





L. Jankowski

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

ŻYCIORYSY, STRESZCZENIA, WYJĄTKI

POD REDAKCJA

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO, IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO, AURELEGO DROGOSZEWSKIEGO, HENRYKA GALLEGO, GABRYELA KORBUTA i MANFREDA KRIDLA

TOM IX

Biblioteka Publiczna
Warszawa - Wola
59/IX

0



3011--000439--00

NAKŁADEM

GEOTHEBERG I WOLFFA
WARSZAWA-KRAKÓW-LUBLIN-LÓDŹ
POZNAŃ-WILNO-ZAKOPANE

WYDAWNICTWA ZAKŁADU NAJ. IMIENIA OSSOLIŃSKICH
LWÓW-WARSZAWA-KRAKÓW
POZNAŃ-WILNO



~~F 11-59 IX~~

Geyt. Naukowa

Nr

III

Nr inw. C. N.

439

/ 59 IX

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMP. CO., INC.” — NEW-YORK
 „KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU SP. AKC.” — KATOWICE

Z Drukarni Zakładu Nar. im. Ossolińskich we Lwowie
 pod zarządem Józefa Ziemblińskiego

WYKAZ ŻYCIORYSÓW I WYPISÓW.

Wspomnienie o prof. Bron. Chlebowski Str.
 VII

CXXVII.

LENARTOWICZ TEOFIL (1822—1893)

opracował Br. Chlebowski.

Wiersz do poezji	18
Kalina	19
Mazur za wolami	20
Jak to na Mazowszu	21
Wiochna	23
Mały świątek	25
Zachwycenie	29
Bitwa raclawicka	32
Rzym Italia	34
W Genui w pałacu Dorjów	35
Wiersz na cześć 25 lutego 1881 r. w Warszawie	35

CXXVIII.

ZIELIŃSKI GUSTAW (1809—1881)

opracował Henryk Galle.

Kirgiz	41
Samobójca	45

CXXIX.

CZAJKOWSKI ANTONI (1816—1873)

opracował Gabrjel Korbut.

Pająk	50
Do Norwida	51
Baśń o żelaznym wilku	54
Do mojej myśli	56

CXXX.	
NARCYZA ZMICHOWSKA (1819—1876)	
opracował Aureli Drogozewski.	
	str.
Szczęście poety	87
Fantazja	91
Do motek dziewięzinek	94
Poganka	98
Wstępny obrazek	115
Adeodat	120
Z listów N. Ż. do rodziny i przyjaciół	126
CXXXI.	
DEMBOWSKI EDWARD (1822—1846)	
opracował Manfred Kridl.	
	143
Twórczość jako żywioł polskiej filozofji	143
Piśmiennictwo polskie w zarysie	147
CXXXII.	
KAMIENSKI HENRYK (1812—1865)	
opracował Gabrjel Korbut.	
	161
Filozofja ekonomji materialnej	161
O prawdach żywotnych narodu polskiego	165
Katechizm demokratyczny	170
CXXXIII.	
BALIŃSKI KAROL (1817—1864)	
opracował Gabrjel Korbut.	
	181
Do współtowarzysza wygnania	181
Farysz-włeszcz	182
Do Narcyzy	187
CXXXIV.	
MAJORKIEWICZ JAN (1820—1847)	
opracował Manfred Kridl.	
	199
Powaga w myśleniu i życiu	199
Historja, literatura i krytyka	203
CXXXV.	
BARTOSZEWICZ JAN (1821—1870)	
opracował Tadeusz Kupezyński.	
	217
Szkice z czasów saskich	217
Znakomci mężowie polscy XVIII w.	220

CXXXVI.	
CYGANERJA WARSZAWSKA.	
DZIEKOŃSKI JÓZEF BOHDAN (1815—1855)	
opracował Gabrjel Korbut.	
	str.
Pajk	228
Sędziwój	233
CXXXVII.	
ZMORSKI ROMAN (1824—1867)	
opracował Gabrjel Korbut.	
	259
Lesław	259
Do Liszta	269
Anioł niszczyciel	271
Wieża siedmiu wodzów	272
Na grobie J. Słowackiego	278
CXXXVIII.	
WOLSKI WŁODZIMIERZ (1824—1882)	
opracował Gabrjel Korbut.	
	285
Zapał	285
Fantazja wieczorna	286
Liszt	288
Ojciec Hilary	290
Fryderyk Szopen	292
Domek przy ulicy Głębokiej	295
CXXXIX.	
WILKOŃSKI RUGUST (1805—1852)	
i WILKOŃSKA PAULINA (1815—1875)	
opracował Henryk Galle.	
	316
Ramoty i ramotki	316
Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie	320
CXL.	
SCHMITT HENRYK (1817—1883)	
opracował Tadeusz Kupezyński.	
	331
Rokosz Zebrzydowskiego	331
Narodowość polska i jej podstawy	334
CXLI.	
BALIŃSKI MICHAŁ (1794—1864)	
opracował Bronisław Chlebowski.	
	342
Jan Śniadecki i Tadeusz Czacki	342

CXLII.

MALINOWSKI MIKOŁAJ (1799—1865)

opracował Gabriel Korbut.

Z listów do Lelewela	str.
Z księgi wspomnień	350
	356

CXLIII.

LUDWIK KONDRATOWICZ (1823—1862)

opracował Aureli Drogoszewski.

Dyferencja	377
Urodzony Jan Dębóróg	380
Hetman polny	384
Lalka	395
Liraik wioskowy	397
Dedykacja gawęd gminnych	399
Stare wrota	400
Ulas	408
Wyzwolenie włościan	417
Cupio dissolvi	418
Chatka w lesie	419

CXLIV.

ŻELIGOWSKI EDWARD (1816—1864)

opracował Aureli Drogoszewski.

Z wielkich mych bólów	434
Jordan	434
Boże mój	441

CXLV.

GROZA ALEKSANDER KAROL (1807—1875)

opracował Henryk Galle.

Starosta kaniowski	449
Mozajka kontraktowa	455

CXLVI.

WIELOGŁOWSKI WALERY (1805—1865)

opracował Bronisław Chlebowski.

Emigracja polska wobec Boga i Narodu	465
--	-----

BRONISŁAW CHLEBOWSKI

1846—1918.

Po długiej, 10-letniej przerwie ukazuje się nowy tom „*Stu lat myśli polskiej*”. W ciągu tego czasu wydawnictwo poniosło wielką, niepowetowaną stratę. Ubył z grona redakcji zmarły w marcu 1918 Bronisław Chlebowski. Ubył człowiek, którego prace stanowią chlubę wydawnictwa, którego niepospolita indywidualność, jasna, głęboka i prawa myśl, serce płonące szczerem umiłowaniem wszystkiego, co wielkie, silne i piękne, głębokie pojęcie zadań historyka literatury, odczucie, zrozumienie i przeżycie jej dziejów, trzeźwość w ocenie, sumiennosc i intensywnosc skupionej pracy, oraz niewyczerpana energia duchowa — budziły podziw i cześć. Współpraca z Chlebowskim była dla nas nauką, rozkoszą i podniesieniem duchowem. Jego skromność, prostota, uczynność i bezinteresownosc sprawiły, że był nam bliski i drogi jako człowiek. Tem większy żal, żeśmy go utracili, że nie wrócą już te zebrania, które ożywiła i którym niezapomniane piętno nadawała jego wielka dusza.

W pracy nad tomem IX-tym Chlebowski brał jeszcze czynny udział. W uznaniu niespożytych zasług Jego dla wydawnictwa, w uczuciu wdzięczności za dzielenie z nami pracy i udzielanie nam bogatych skarbów swego umysłu, w serdecznym żalu za utraceniem współtowarzyszem-przewodnikiem, poświęcamy mu ten tom, ostatni już, na którym widnieć będzie Jego imię. W dążeniu zaś do dokończenia rozpoczętego z Jego współpracownictwem dzieła, w trosce o to, by wydawnictwo utrzymać na tym poziomie, na jakim je postawiły Jego prace — widzicie będziemy najgodniejszy sposób uczczenia Jego pamięci.

KOMITET REDAKCYJNY.

LENARTOWICZ TEOFIL

(1822—1893)

Najpopularniejszy z grupy poetów mazowieckich, w których twórczości wypowiedziała się dusza pokolenia, dojrzewającego w ciężkich warunkach życia narodowego w Polsce rosyjskiej w okresie lat od r. 1832 do 1860, urodził się Lenartowicz 27 lutego r. 1822 w Warszawie, w ubogim domku dzielnicy nadwiślańskiej (Rybaki), z biednej rodziny szlacheckiej h. Pobóg. Ojciec, majster mularski, odumarli go w siódmym roku życia; matka wyszła zamaż ponownie za woźnego, pijaka, który chłopca wypędzał z domu. Kilka lat przebywał na wsi pod Pultuskim u krewnych, biednych także ludzi, pasając czasem z rówieśnikami konie i gęsi. Uczęszczał następnie w Warszawie do szkoły powiatowej (czteroklasowej), po skończeniu której już w r. 1837, a więc w piętnastym roku życia zaczął pracować w kancelarii adwokata. W r. 1840 zostaje kancelistą przy jednym z sądów, w dwa lata później, dzięki poparciu interesujących się próbami rymotwórczymi młodzieńca, otrzymuje miejsce sekretarza w kancelarii Senatu z płacą 1800 zł. Na posadzie tej pozostawał do r. 1848, w którym, z płacą 1800 zł. Na posadzie tej opuścił Warszawę i Królestwo, by rozpocząć życie tułacza.

Jakim wpływem zawdzięczał rozwinięcie się ducha, nie wiemy, nie mając na to świadectw. Ciężkie koleje lat młodszych, jak sam poeta wyznaje, rozbudziły i umocniły w nim uczucie religijne; pobyt na wsi zbliżył z ludem. O lekturze lat młodzieńczych daje wskazówki, skrócone dopiero w r. 1893, odnoszące się zresztą do całego koła młodych poetów, uczestniczący w nim Karol Brzozowski. „Byliśmy tymi koehankami muz — pisze po upływie lat pięćdziesięciu — co pełni życia, oroku młodości, silni wiarą i nadzieją, lubili bąsać i śpiewać, jak ptaństwo wiosenne po lasach... Cokolwiek wyszło z pod pióra wielkich, żyjących zagranicą wieszczów naszych...

to z pewnością było w rękach naszych. Z jakim to zachwytem, zapalem czytaliśmy „Pieśni Janusza” lub wygłaszali z pamięci ustępy z „Dziadów”, „Przedświt”, z „Pieśni o ziemi naszej”, a czasem i z nas kótemu wyrwała się gorąca improwizacja („Przewodnik Nauk. i Liter.” 1893).

Popęd do wierzowania, które dawało świadectwo uzdolnienia duchowego i wyróżnienie towarzyskie, echuje nasze społeczeństwo aż do r. 1860. Rozkwit wielkiej poezji zmienił swym wpływem formy, zwiększył wymagania, lecz wzmocnił jeszcze skłonność. Lenartowicz, jak i całe współczesne mu grono młodych poetów, zaczyna od tworzenia wierszy, będących co do formy i treści echem ich różnorodnej, dorywczej lektury, odbiciem dostarczonych przez nią wrażeń, obrazów, myśli, form. Pomieszcza swe wiersze, od r. 1841 począwszy, w wydawnictwach, będących organami kół młodzieży, usiłującej zamarłe po r. 1831 życie duchowe rozbudzić zapalem serc gorących. Te próby rymotwórcze Lenartowicza spotykamy w „Nadwiślaninie”, „Przeglądzie Warszawskim”, „Jaskółce”, „Snopku Nadwiślańskim”, a wreszcie w „Bibliotece Warszawskiej” (od r. 1843). Pomieszczony w tym ostatnim miesięczniku wiersz „Do poezji” zwrócił na młodego wierzopisa uwagę ogółu. Deotyma w swym „Pamiętniku” (Warszawa 1910, str. 10) pisze: „Matka moja znalazła w „Bibliotece Warszawskiej” wiersz „Do poezji”, podpisany nieznanem nikomu nazwiskiem... Wiersz był porywający i tak ją zachwycił, że zaczęła się dopytywać o autora. Przeprowadzono chłopca nieśmiałego, niepozornej postaci. Ale ta nieśmiałość prędko pryła; młody poeta okazał się w rozmowie listnym kameleonem: naprzemian to poważny, to rzewny, to znowu wesoły aż do puśoty, nasz sielankowy pan Teofil umiał nawet i kłuc żądkiem”. Wiersz powyższy, którego cała wartość jest pod uczuciowy, odbył w rytmicie i melodji słowa, gdy obrazy i styl świadczą o wpływie pseudoklasycznych wzorów, a osmowa odbija chaotyczność w pojęciach i ich powiązaniu — zdobył młodzieńcom wstęp do głośniego salonu Łuszczewskich i stwierdził opinią gromadzącego się tam wyboru towarzyszącego patent na poetę. Rozbudziło to niewielkie ambitne rojenia w młodej duszy i skłoniło do pracy nad zbogacaniem ubogich zasobów umysłowych.

Przedmioty następnych utworów, pomieszczanych w „Bib. Warsz.”, „Przeglądzie Naukowym”, „Niezapominajkach” (Noworocznik na r. 1845), „Albumie Warszawskim” Wójcickiego świadczą o rozszerzeniu się horyzontu umysłowego Lenartowicza. Są to: „Laokoon” z gólem z Horacego, fantazja p. t. „Muzyka”, wiersze: „Italja”, „Kochanowski”. Stosunki bliższe z Wójcikiem pobudzają nietyłe do poznawania się z dawną literaturą, której zarys wraz z wypisami ogłosi ten zbieracz w r. 1845. Iłe do interesowania się wierzeniami i podaniami ludu, które tenże zebrał i obrobił w głośnych „Klechdach”.

Wpływ demokratycznych i patriotycznych dążeń i pojęć młodych poetów i działaczy ówczesnych (Kolo Żmichowskiej, Żmorski, Wolski) ukazał dotychczasowemu wierzopisowi znaczenie ludu i wartość znanego mu tak i drogiego świata ludowego; przyjaźń z młodym muzykiem Komorowskim, odczuwającym piękno melodji ludowych, oddziaływała na zwroćenie twórczości ku szerzej duchowej wieśniaka mazowieckiego. Rozbudzona powońdzeniem pierwszych utworów ambicja podniecała do rywalizacji z gronem skupionych w Warszawie młodych współwzodników, pragnących stać się śpiewakami, a po części kierownikami duszy narodowej. Gdy w r. 1845 grono to składa w holdzie Wójcickiemu, jako badaczowi rzeczy ojczystrych, puchar zółty w dniu jego imienin, Lenartowicz przemawia w imieniu ofiarodawców. Żywy i porywczy z natury, współubięga się on z młodszymi o dwa lata: Wolskim i Żmorskim w chaotycznej, nieujętej w żadne karby twórczości, odbijającej podniecenie wyobraźni i uczucia przez lekturę, idee demokratyczne i patriotyzm. Wytworzony w duszy młodzieńca-samouka zamęt uczuć, myśli, obrazów, widoczny w wierszu „Do poezji”, znalazł jaskrawszy swój wyraz i szersze odzwierciedlenie w poemacie dramatycznym: „Pierwsze przedstawienie Hamleta” (w 4 częściach, motto z psalmu 36), ogłoszonym r. 1847 w „Dzienniku Młd Paryskich” i osobno, nakładem Dobrzańskiego we Lwowie (str. 71). Lenartowicz właściwościami duszy i artystu, szczerpł sferą swego świata duchowego, przedstawia wielkie podobieństwo z Bohlanem Zaleskim. Jak „Dumka Koscińskiego” podbiła młodemu, nieznanemu przybyszowi z Ukrainy; dusze współczesnych, odczuwających w rytmie wypowiedzenia rwącego do boju Kozaka, tętno własnego serca, wspomnienia świeżych jeszcze bojęw, tak ogłoszona r. 1844 „Kalina” Lenartowicza, uskrzydłona melodją Komorowskiego, stała się odradą pieśnią narodową, wyrazem ukochania i zidealizowania duszy ludowej, z której wycię miało odrodzenie polskości. W przeciwstawieniu do wielkiej poezji, której przedstawiciele, pochodzący z obszarów Litwy i Rusi, mogli jedynie czytelnikom polskim ukazywać duszę ludu białoruskiego czy małoruskiego, Lenartowicz, Mazur z pochodzenia, podobnie jak całe grono współczesnych mu poetów grupy warszawskiej, wprowadza do literatury, wraz z rytmem i nutą pieśni pól mazowieckich, duszę lęznego i dzielnego ludu, stanowiącego najślisniejszy, najżywniejszy czynnik plemienny w wytworzeniu się współczesnej Polski. Podobnie jak Zaleski, w odtwarzaniu duszy ludowej ogranicza się do sympatycznych, radosnych, dodatnich jej uczuć, pragnień, rojeń, wzruszeń, smutków, nie chce wiedzieć o jej krzywdach, mściwości, namętnościach, nienawiciach. Jak Goszczyński w „Zamku Kaniowskim” odsłaniał i uwydatniał strony duszy Ukrainy, pominięte w dumkach Zaleskiego, tak teraz znowu rówieśnik Lenartowicza, Wolski w „Ojcu Hilarym”, a później w „Halec” wy-

śpiewał tony i stany duszy ludowej, usunięte przez Lenartowicza. Pomieszczony w „Snopku Nadwiślańskim” z r. 1845 wiersz „Gołąbek” odbija tę ograniczoność skali uczuciowej, sfery wyobraźni i myśli dwudziestotrzyletniego poety. Gołąb — a stąd i gołębnik spotykany w każdej wsi polskiej, to symbol dzwiew „mej ziemi”. Ozdobą tych dzwiew jest „niewinność wesola, pogoda, blask czola”. O ile w pierwszej połowie wiersza obraz ruchliwości świata ptaszego wsi polskiej podczas poranku majowego jest dość udatny, o tyle wypełniające drugą połowę wiersza refleksje, wysnute ze znaczeń symbolicznych gołębia, rząną nieudolnością powiązania myślowego i pseudoklasyceznoscią wysłowienia. Jakże daleko śpiewakowi „Kalin” do muzyki niebogatyń myślowo, ale czarujących szczerością, prawdą, wdziękiem i głębią uczuciową liryk refleksyjnych twórcy „Śpiewu poety” i „Russalek”.

Sam Lenartowicz stwierdził tę ograniczoność swej twórczości, wyrażając się w wierszu ogłoszonym r. 1856 w „Nowinach Lwowskich”, iż muza jego „jak skowronek towarzyszy oraczowi przy plugu... świegocze jak ptaszę, śmieje się i cieszy jak dziecko; a jeżeli płacze, to łzami radości”. Wobec przmagającego w wielkiej poezji wyrazu cierpienia narodowego, jej mesjanicznych dążeń, podniosłych nawoływań i wymagań, pogodny, dzwiewiczny, żywy ton fujarki pastuszej Lenartowicza podbijał dusze czytelników, przynosząc im pokój, radość i pogodę wsi polskiej, ukazując lud wiejski nie w ówczesnej jego biedzie, ciemnocie, nieufnem odosobnieniu, ale w radosnem podnieceniu, ożywieniu, pozwalającym zapomnieć o ciężkiej rzeczywistości stosunków społecznych, a upajając się radością z osiągnięcia upragnionych, a tak dalekich jeszcze przekształceń w doli i duszy ludu. Melodie Komorowskiego torowały drogę tym pieśniom do serc polskich. Prócz Kaliny otrzymały muzyczne uzupełnienie: Maciek, Sierota, Oryle, Kurpie. Podniecony wraz z całą ówczesną młodzieżą przez rewolucję lutową r. 1848, rwie się do czynnej działalności i sprzedając grożące mu uwięzienie, w dniu 18 sierpnia 1848 r. przekradła się wraz z Karolem Brzozowskim przez granicę, po wysłuchaniu mszy w kościółku myszyńskim, w ziemi Kurpie, i na Działów i Brońnicę podąży przez Pruski do Poznania, gdzie znajduje oparcie w domu Moraczewskiego Jędrzeja, patrioty i demokratty gorącego. Stamtąd udaje się do Krakowa i tu rozpoczyna żywą, różnorodną działalność. Naucza historii polskiej w szkole wieczornej dla Żydów, założonej na Kazimierzu przez „Towarzystwo Wzajemnej Nauki”, przemawia podczas obchodu 28-iej rocznicy usypania Kopca Kościuszki (w dniu 16 października), a jednocześnie wierszem p. t.: „Tyrtusz”, deklamowanym w Teatrze Miejskim, wywołuje zapal i pobudza Amczyca do napisania znanego poematu pod tymże tytułem. Ogłasza teraz w Krakowie zbiór dawniejszych przeważnie, lecz w części tylko drukowanych oddzielnie utworów p. t.: „Polska Ziemia” (Kraków 1848, część druga Poznań

1850) tudzież „Cztery obrazy”, przedstawiające cierpienia narodowe i ukazujące w magnatach wrogów narodu. Dla zaznajomienia ludu z postaciami przeszłości pisze: „Szopkę” (Wrocław 1849). Gdy rosnąca w siłę reakcja polityczna uniemożliwiła pocię-demokracie dalszy pobyt w granicach państwa pruskiego, w których przebywał po opuszczeniu Krakowa, chroni się Lenartowicz do Brukseli (r. 1850), a następnie osiedla się na czas dłuższy w Paryżu (1851—1855), a kulei w Rzymie (1856—1860), a w końcu we Florencji, gdzie spędził blisko połowę swego życia. aż do zgonu, przypadłego 3 lutego 1863. W czasie pobytu w Rzymie poznał mieszkającą tam Zofję Szymanowską, siostrę żony Mickiewicza, zdolną malarzkę, którą postubił w dniu 15 października 1861 r. Syn, który przyszedł na świat w r. 1863, zmarł wkrótce, a żona w kilka lat potem zakończyła życie w Miłostawin (1870), w domu Międzybiskich. Udzielili oni gościny chorej, potrzebującej wiejskiego powietrza i wygód, których nie mógł dostarczyć walezący ciągle z brakiem fundusów tułacz-poeta. Pod wpływem żony i z jej pomocą wziął się Lenartowicz, mieszkający od r. 1860 we Florencji, do rzeźby, z myślą zdobyć sobie na tej drodze środków bytu, jakich nie dawała mu twórczość literacka, którą, naprzemiany z rzeźbiarstwem, wypełniał sobie ciężkimi dniami długiego, samotnego życia. Obok cierpień fizycznych, długoletnich (kamienie żółciowe), ciężkie położenie materialne — w ostatnich latach dopiero pobierał skromną zapomogę w sumie 600 franków, z funduszu imienia Szajnochy — a przytem zawody ambicji, podnieconej uznaniem i rozgłoszem, zyskanym w pierwszym dziesięcioleciu półwiekowej prawie twórczości, odczuwającej boleśnie obojętność, z jaką przyjmowano dalszą coraz obfitszą, coraz szerszą zakres przedmiotów i donioślejsze a trudniejsze zadania podejmującą produkcję, wytworzył stan stałego rozdrażnienia fizycznego i moralnego, w którym ten brak uznania ze strony krytyki i nie spieszącego z nabywaniem dzieł poety ogółu — wydawał się mu najwyższą niesprawiedliwością, zasępieniem, dowodem zwyrodnienia moralnego społeczeństwa, niezdolnego w zmaterializowanej duszy dostrzec piękna prawdziwego i dzielił z poetą jego tęsknotę i pragnienie patriotycznych.

Już w pierwszym okresie (1840—1855) twórczości, któremu zawdzięczamy najlepsze, jedyne trwałe wartości muzyce, liryki i li-ryczne obrazy, odtwarzające sferę uczuć i wierceń duszy wieśniaka szawowieckiego — spotykamy równocześnie z nimi utwory, osnute na innych przedmiotach, noszące wyraźne piętno naśladowstwa („Szopka” na wzór „Szajny-katarynki” Pola) lub zamiaru dorównania współczesnym młodym poetom w ich młodzieńczą przesadą i burzliwością nacechowanych pomyślach romantycznych i wypo-wiedzeniach („Pierwsze przedstawienie Hamleta”, poemat w 4-ech częściach, Prolog do poematu „Srebrny Spiew” w „Dzienniku Mów Paryskich” r. 1847, „Simarà”, scena dram. w „Albumie Literackim”

z r. 1848, „Polska ziemia w obrazkach“, Kraków 1848 — echo pieśni Pola — Druga część r. 1850 w Poznaniu).

Pobyt w Krakowie i Wielkopolsce, a następnie w Paryżu, zetknięcie się z wielu wybitnymi ludźmi, Mickiewiczem zwłaszcza, możność swobodnego wypowiedziania się i ogłaszania utworów, zdobywane uznanie podniecają twórczość poety, widzącego w niej teraz swą powinność, swą służbę narodową. Wielcy poeci, „wielkoludy“, jak ich nazywa Norwid, przysilający swym cieniem rosnąć zastęp młodszych pieśniarzy, zamilkli po r. 1848. Młodzi pragną ich zastąpić. Norwid, Baliński, Żmorski, Lenartowicz — synowie Mazowsza przeważnie — chcą być wyrazicielami duszy ludu polskiego nieznanego „Wielkim“, a zarazem nowych potrzeb duszy polskiej, wywołanych zmianami warunkami bytu i nowymi prądami pojęć. Jeden Lenartowicz, osiagający w tych latach właśnie w utworach takich, jak: „Wiochna“, (Bibl. Warsz. 1853), „Mały Świątek“ (tamże), „Wyroki“ (Leszno, 1853 w książce „Pokłosie“), „Zachwycenie“ i „Błogosławiona“ (1854 — poświęcona Józefowi Bohdanowi Zaleskiemu i ogłoszona w „Szkółce dla Młodzieży“ i osobno Poznań 1853), najpełniejszy wyraz swego aryzmu, opanował dusze czytelników świeżem pięknem, wdziękiem i prostotą tych lirycznych obrazków, odpowiadających formą i treścią skromnemu zakresowi ówczesnej umysłowości i uczuciowości ogółu. Współczesny, z r. 1851 pochodzący „Promethidion“ Norwida podobnie jak dawniejszy z roku 1847 „Król Duch“, długo będącą, nim nadejście pokolenia, zdolne się zainteresować takimi utworami. Przygnębione przez katastrofę r. 1846, podniecone wraz z całą Europą przez „wiosnę ludów“ r. 1848 i na nowo zawiedzione w swych nadziejach, popadło społeczeństwo polskie w okresie od 1850 do 1857 w stan apatii i zobojętnienia dla wyższych celów życia, stan odczucia i scharakteryzowany wymownie w wypowiedziach się Norwida i Żmichowskiej. W tym okresie rządy słabych, drzemających, zamkniętych w ciasnym kole zadań życia powszedniego dusz polskich, objęło trzech pokrewnych zakresem uzdolnień, umysłowości i uczuciowości poetów: Pol, Syrokomla i Lenartowicz. O ile pierwsze liryki tego ostatniego: „Kalina“, „Mazur“ i inne, zawiądywały swą popularność melodijom Komorowskiego, przemawiającym silniej i bezpośredniej do dusz, niż pokrywane przez nią słowa poety, o tyle znowu teraz „Wiochna“, „Mały Świątek“, „Wyroki“ swą wspaniałą muzyką języka, rytma, wdziękiem i prostotą w odtworzeniu świata ludowego i tak z nią bliższego i łatwiej się zespalgającego wewnętrznego świata poety, wysunęły Lenartowicza na pierwsze miejsce w tej trójce popularnych śpiewaków. Podezas gdy Syrokomla i Pol byli śpiewakami duszy szlacheckiej (drobna szlachta przeważnie) i mieszczańskiej (Gawęda o Kilińskim Pola), to Lenartowicz wprowadza do literatury duszę ludu wiejskiego, polskiego, oczyszczoną z obniżających jej piękno cech realnych i zabarwioną sympatycznie

dla ówczesnych czytelników przez uwydatnienie, zidealizowanie jej religijności, polskości, dobroci, wdzięku naiwnego, wesołości. Zarówno ludowcy-demokraci, jak patrioci-konserwatyści, katolicy czy wolnomyślni, unielegali urokowi lirycznych obrazków Lenartowicza, ukrywających też rysy duszy ludowej, któreby mogły do niej zrażać, unikających — wysuwanych w utworach Wolskiego — cierpienia, krzywdy i nienawiści ludu w stosunku do panów, a ukazujących tak w duszy Wiochny jak „Mazura za wołami“, radość i pogodę życia, zaciemniają jedynie przez przelotne ogólnoludzkie smutki, tęsknoty, niepokoje. Ni ówczesni ludowcy-doktrynery, ni poeci, wyszukujący za ludem, lecz przynoszący w jego duszę własne ideały i dążenia — nie troszczyli się o poznanie i ukazanie realnej duszy ludu, istotnych cech jego charakteru i warunków bytu. Przedstawiano wieśniaków takimi, jakimi chcieli ich widzieć, podobnie jak w swoim czasie Zaleski odtwarzał Kozaków ukraińskich wedle ideału swych młodzieńczych marzeń i ukochań, chcąc pozyskać w ten sposób serca czytelników. Jak Zaleski widział w sobie tęsknotę Kozaka, tak Lenartowicz przypisywał sobie duszę chłopską.

Pod wpływem ruchu słowiańskiego w r. 1848 i utrzymującego się ciągle od początku wieku XIX w duszach polskich mglistego słowianizmu, marzył Lenartowicz o federacji ludów słowiańskich, o republikańską formą rządu, polegającą na wybieranym co lat dziesięciu naczelnikowi z różnych koczno-plemion i dodanym mu do boku wiecu starców. Słowiańskim tym marzeniem daje wyraz w „Gładiatorach“, napisanych r. 1856 w Rzymie, a wydanych r. 1857 w Paryżu (str. 32). Motto, wzięte z pierwszych słów monologu Kassandry (z Odpawy posłów), wskazuje, iż linik marzowiecki zaprzagnął zająć stanowisko wiejszcza i nauczyciela, dającego rady i nauki Słowianom i własnemu społeczeństwu. Biorąc za punkt wyjścia rzymski posag koczowniczego gladiatora, w którym Byron i Mickiewicz upatrywali Słowianina, snując marzenia słowiańsko-polskie. Wypowiedziawszy swe ubolewanie nad losem Słowian, poddających się w niewolę i ze sobą waleczących dla uciechy Cesarów, zwraca się do Polaków, Czechów, Rusinów, by w bratnim związku zakończyli dotychczasowe boje, i upaja się wizją wielkiego wiecu wyzwolonych plemion, wśród których staje wolne plemię Lechitów, „narod gladiatorów“. Utwór ten, a zwłaszcza wysuwająca się z niego myśl polityczna, której rzeczywistość ówczesnych stosunków słowiańskich tak wymownie przeczyła, wywołała ostrą, lecz przeważnie słuszną i trafną krytykę Kleczki („Wiadomości polskie“ str. 48 z r. 1857). Krytyk ten, niedawno podnoszący wartość liryk Lenartowicza (w artykule z r. 1855 w „Revue Contemporaine“) teraz, mając na uwadze twórczość lat ostatnich, zarzucał mu ciasnotę jego świata i monotoność na jedną nutę śpiewanych pieśni. Oddosownie do „Gładiatorów“ zarzuca linikowi marzowieckiemu nieznanosć i nierozumienie dziełom Rzymu i pierwotnych stosunków

plemion słowiańskich, a w głoszeniu braterstwa Słowian, wobec brutalnego deptania tej idei we współczesnych stosunkach, widzi poniżenie godności narodowej, maloduzną czułościową. Ten ostatni zarzut był niesuszny; Lenartowicz był zawsze gorącym patriotą, grzeszył tylko słabością umysłu, niezdołnego do głębszego i szerszego ujmowania i rozwijania idei, działających na jego uczuciowości. Krytyka ta wywołała protest bezimienny, pomieszczony w „Dzienniku Literackim” (z r. 1858), usiłujący obalić zarzuty Klaczki i uznający w „Gładiatorach” poezję męską i białą jak marmur, w której pióro stało się niejako dłutem. Klaczko odpowiedział obrońcom, uwydatniając ich nieudolność krytyczną. Niezrażony krytyką Klaczki, a podniecany rosnącym uznaniem współczesnego z nim ogółu, nie przestaje Lenartowicz przerabiać w różny sposób tych samych motywów i wyspiewywać swych liryk na jedną wciąż nutę. W pomysłach, pojęciach, tonie, języku odzwiają się często przypomnienia Zaleskiego, Pola, Kochanowskiego niekiedy. Z tego czasu pochodzi „Mały Świątek”, gawęda napisana pięciogłoskowym wierszem, odwarżającym z senną monotonnością kołyszącego umysł rytmu mały istotnie świątek myśli i zainteresowań poety. „Stara kronika, rymy Janowe; oto czem moja zasilał głowę... Myśl moja cicha, jak moja chata, nad dym ojczystej wioski nie wlatła... Oko nie sięga dalej i szerzej... Czyż większa mądrość czelku potrzebna?... O jak to miło przy tym kominie wedrować myślą w marzeń krainie!”

Obrzymia większość ówczesnych czytelników polskich czytała to z zachwytem, z wzruszeniem przynajmniej, bo spotykała tu odbicie własnej duszy, jej równie ciasnego „światka”. Wprawdzie niezadługo, bo w r. 1858 poeta wyrwie się z tego wąskiego koła zainteresowań i wyspiewa bitwę raclawicką wierszem, tonem i językiem pieśni ludowej, lecz nie znajduje w sobie ni rzekomości i życia Janusza, ni siły i mękości Goszczyńskiego, by odtworzyć mgliste i blade rysujące się w jego wyobraźni postaci i bieg akcji bojowej. W duszy poety, niezdołnej do głębszego ujęcia postaci i faktów dziejowych i plastycznej wizji, wielej ludzie i doniosłe wypadki — czy to z historii Rzymu, Francji czy też Polski, przedstawiają się jak mgliste, rozplywające się cienie, o których poeta opowiada rozklekłe bądź językiem gawędziarza, nie mogącego znaleźć właściwego słowa, stąd szeroko i niejasno rozwodzącego się, bądź stylem naiwnego zakonnika-kronikarza. Głośno wówczas i budzące zachwyty opowieści Królóworskiego rękopisu, tłumaczone i naśladowane przez polskich poetów (Bielowski i Siemiński), rozbiране przez Mickiewicza w wykładach paryskich, są, obok gawęd i klechd Wójcickiego, wzorami dla Lenartowicza, który przyswoiłszy sobie punkt widzenia i uczuciowości „chłopa” z nad Narwi, nie dostrzega dość jasno różnicy między prostotą, a prostactą nieudolnością, między opowieścią Odysei, a gawędzeniem Wójcickiego.

Nieznanomość życia odległych wieków i języka wieku XVI,

k którego formami się posługuje dla nadania archaicznego kolorytu opowieści, pozabawia obrazy dziejowe wyrazistości, prawdy, tonu właściwego. Czytelnik zwykły nuży się, słuchając bezbarwnej, bezwiedowej gawędy, obeznany lepiej z życiem dawnem i językiem, dostrzega w każdym wierszu amachronizmy i niewłaściwe, mylne ujęte wyrazy staropolskie. Dość poślad rozpatrzeniu baczniejszemu początek takiej opowieści, jak: „Słowo o Piotrze Duńczyku”.¹⁾ By zrozumieć ubóstwo treściowe i nieudolność artystyczną, cechującą przeważną część obfitęj produkcji rymotwórczej poety, trwającej do stątu, płynącej z najszlachetniejszych zamiarów, lecz bezwartościowej najczęściej, bo przekraczającej coraz śmielej ciasną sferę „światka” poety i skromną skalę tonów jego „lirunki”, usiłującej beznamiętnie tonami wieszczych harf Wenedów i surm wojennych eposu heroicznego.

Na tę błędną drogę, prowadzącą do zawodów i rozezaraowań, gębiących poetę i ukurzających obojętne na jego twórczość społeczeństwo, a zarazem i ludzką współczesną w pesymistycznym odwieleniu, jako sterczący się przez swe zmaterializowanie do upadku — wpłynął niewątpliwie przykład Zaleskiego, który także w „Duchu od spętu” wdrapywał się na niedostępne jego umysłowi i artystmowi wyżyny, by powtarzając i rozwijając najlepsze myśli „Ksiąg Narodu i Piętrzymsta”, spełniać zadanie wieszca-nauczyciela.

Watrząsające duszę polską wypadki lat 1861—1864 osłabiły mocno urok i wpływ piśni Lenartowicza na ogół. Wydanie zbiorów poznańskich z r. 1863 ukazało się w chwili, kiedy tony „Lirunki” ani wzruszyły ani pościsły, ani pocieszyły serce nie mogły. Poeta, przebywający stale w Florencji, zatracający tym sposobem związek duchowy z ogółem, naproczno stara się umocnić te węzły i utrzymać się na stanowisku śpiewaka narodowego. Dojrzwającą i rosnącą pod wpływem rozgrywającego się dramatu dziejowego duszą polską znajduje swego wyraziela w wielokrot bogatszym umyśle i artystmze Asnyku, którego utwory początkowe wydają się Lenartowiczowi niemal wstrętne. Wyrazem usiłowań Lenartowicza, chcącego w tych latach utrzymać się na stanowisku poety narodowego, jest powieść poetyczna o „Marcinie Borelewskim Lelewelu”, dowodzący z r. 1863, w formie pieśni, ludowym stylem i tonem nacechowanej. Borelewski był rzemieślnikiem z zawodu,

¹⁾ Początek ten brzmi:

Na dworze Bolesławów z Danji przybył
 Był podówczas Piotr Duńczyk, rycerz doznany,
 A jako był samemu królówi miły,
 Wierg, iż go znawał nad swe dworzany,
 I z nim piak, z nim jadł, rudy się budził,
 Na nim rękę łaskawaną bezpiecznie składał
 I onego Duńczyka przyjmował gościnnie
 I obdarzył go racyzł Grabstwem na Skrzynnie.

stad ludowo-demokratyczny charakter utworu. Chęci i uczucia gorące twórcy nie znajdują jednak należytego wyrazu w luźności układu, rozwieksłości i popospolitści wystawienia. Przesada holdu poety, widzącego w Bolewskim zbawcę narodu, zwiastuna nowej epoki, nie mogła pozyskać uznania czytelników. Wiersz na rocznicę zgonu Kościuszki z okazji obchodu w Solurze r. 1865, pisany uroczystym wierszem, pełnym archaizmów, wprowadzający ducha bohatera, przemawiającego do potomnych, nie mógł znaleźć echa w duszach, szukających w poezji wyrazu dla swej nowej, bogatszej o wiele umysłowości i skupionej, zahartowanej przez ciężkie przeżycie uczuciowości. To coraz boleśniejsze dla poety nieporozumienie ze społeczeństwem, składającego mu dowody uznania za jego wytrwałą służbę, dawną twórczość, ale obojętnem na coraz obfitszą produkcję lirnika wiejskiego, występującego w charakterze rapsoða, wieszca — wytwarzało wraz z ciężkimi warunkami bytu materialnego, stan ciągłego rozdrażnienia i rozgoryczenia na świat cały i rodaków. Jak Krasiniński w swych wizerach gorączkowych, tak i Lenartowicz w życiu współczesnym i kulturze widzi same tylko powąj upadku, zginiłszy, zmaternalizowania. Zarówno duchowieństwo, jak arystokracja, mieszczaństwo, artyści, poeci — wszystko to samoluby, pyszalki, warjaci. Jeden lud wiejski — z którym zresztą się nie styka — nie traci sympatii poety. W chwilah rozgoryczenia nie waha się w listach swych i w wierszowanych wypowiedzeniach wygłaszać najzjadliwszych charakterystyk i sądów o wielkich poetach i artystach polskich, jak: Mickiewicz, Słowacki, Krasiniński, Żmichowska, Ujejski, Matejko, Asnyk. Zarzuca im pychę, obłudę, niewiarę, brak serca. Oburza się, iż Matejko „zapałkał” kościół Panny Marii. „Niechby babał rozwornie a nie tykał kościola”. Wprawdzie w chwilah uspokojenia, zwłaszcza gdy spotkał się z protestem przeciwnym sądowi, cofał swa wyrzeczenia, przyznawał, że powtarza dawne emigranckie plotki, ale te wybuchy, często ponawiające się, świadczą o wysokim stopniu rozdrażnienia i rozgoryczenia poety, cierpiącego wskutek obojętności ogółu i starającego się zwalczać te obojętności podejmowaniem coraz nowych, coraz nieodpowiedniejszych zakreświi uzdolnień zadań. W r. 1865 ogłasza poemat „Polskie ślubu” (na tysiąclecie chrześcijaństwa w Polsce), w r. 1866 ukazuje się „Anioł ziemi, srebrny śpiew” (Lipsk, str. 87), zbiór nowych utworów ukazuje się w r. 1870 p. t. „Ze starych zbioru. Rytmu” (Lwów, str. 301 — poematy z dziełw polskich, od Mieczysława do Jana III) i „Album włoskie” (Lwów, str. 198). W dwa lata potem wychodzą w Poznaniu „Echa nadwiślańskie” (T. I, str. 287), zbiór drobnych liryk, którego drugi tom nie ukazał się wobec słabego pokupu. Przechodzą również bez zwroćenia uwagi „Listy do Adama Mickiewiczu”, zwrócone do syna, Władysława (Paryż 1875, str. 72). Ogłoszony staraniem i pomocą życzliwych „Wybór poezji” (Kraków, 1876, cztery tomy,

nakładem autora), mieszczący poniekąd całą dotychczasową twórczość, przynajmniej wszystkie wybitniejsze utwory, nie rozchodził się prawie. Mimo to przypisywano „zgniliznę” światła te obojętność poëta nie powstrzymując swej produkcji. Podejmując ponownie opracowanie pomyślał swej „Jagody” i w przedstawieniu do małego arcydzieła, jakim jest pierwotny obrazek liryczny, tworzy nudną, rozwieksłą opowieść, którą swym kosztem ogłasza życiwy autorowi Gustaw Zieliński (Toruń 1879). Jednocześnie pracuje nad wielkim poematem „Dacia”, idąc za hipotezã Bielowskiego, widzącego w Dakach przodków Polaków, opiewa dzieje ich podboju przez Rzymian i powstanie pod wodzą Decebala, zakończone porażką, upamiętnioną na kolumnie Trajana. Poemat ten, 14-głoskowym wierszem skreślony, pozostał w rękopisie, złożonym w Bibliotece Ossolińskich.

Pracuje również nad poematem: „Założenie Poznania”, rozpoczętym jeszcze w r. 1873. Utwór ten, o którym sam autor pisał w liście z 1874, że jest „dziki i rozczochrany”, nie ukazał się w druku. W liście do Zmorskiej (wdowy po Romanie) z maja r. 1878 pisze: „Nigdy nie byłem więcej usposobiony do pisania — jakieś dobre duchy siadają na mojem drzewie... Jestem spokojny i czasami cały jak we łzach. Ludzi coraz bardziej znośnić nie mogę. Listów z kraju nie czytam, żeby tej ciszy wewnętrznej nie stracić. Czytam Biblię i podróże”. Zamiast natchnienia jednak owe „dobre duchy” zsyłają poëcie plynność wierszowania i łatwość poprawnego, sentymentalizmem przesiąkniętego wystawienia, pozwalające mu być pozbawione plastyki, barwności, życia wewnętrznego i ciepła, półoczytane opowieści. W tym czasie również ciągnie dalej dawniej rozpoczęty poemat o Janie Sobieskim („Ostatni rycerz”) i drugi o Kościuszcze („Pierwszy kmicz”). „Życie dobrych ludzi (pisze poeta do Darowskiego, r. 1880) nakładam najmłodsziwsiem, najdobraniejszymi kolorami; zdaje mi się, że oni żyją, poruszają się koło mnie, a nasz naczelnik wychodzi coraz lepiej... z początku nie rozumiałem go, dziś pojmuje zupełnie. Bogusławskiego piosenki... opowiadania ojea, który służył pod Kościuszką, pomagają mi, ale najwięcej nieskończona, nieopisana miłość, jaką mam dla tej ślicznej postaci”. Przesłuchujący się tonem serca wosk lirnik nie mógł naturalnie dostrzec dysharmonji jego tkliwej uczuciowości z heroicizną postaci takich, jak Sobieski i Kościuszką, a przytem ubóstwa rysów w wizerunkach, kreślonych na podstawie tak ubogich danych, jak opowieść ojea, prostaka, i piosenki Bogusławskiego (co do Kościuszki). Utwory te staraniem Mieczysława Darowskiego ukazały się wraz z innymi we Lwowie r. 1881 p. t.: „Rytmu narodowe” (str. 202). Na te lata przypada działalność Lenartowicza jako członka zawiązanej w r. 1879 z inicjatywą prof. Santagaty włoskiej Akademji Adama Mickiewicza w Bononji. Nieco wcześniej założył Artur Wołyński Muzeum Kopernika w Rzymie. Obie te instytucje nie zna-

laży poparcia świata naukowego włoskiego i przestały istnieć ze śmiercią założycieli. Lenartowicz oprócz przemówień na posiedzeniach (O pismach politycznych Mickiewicza, sprawie Polski i Walenrodzie) wygłosił cały szereg odczytów g literaturze polskiej, za co otrzymał na przedstawienie uniwersytetu bonońskiego order korony włoskiej, tytuł profesora i 1000 franków ze szkatuły królewskiej rocznie za wykłady. Funduszem tym musiał się dzielić z panią Malwiną Ogonowską, lektorką języków słowiańskich. Wykłady Lenartowicza wyszły we Florencji r. 1886 p. t.: „Sul carattere della poesia polono-slava“ (str. 196). Streścił je po polsku i ocenił dr. Sas w „Przewodniku Naukowym i Literackim”. Poeta w swym zarysie objął cały rozwój literatury od Reja (Zywoł człowieka poeciwego) do połowy w. XIX. Słaba znajomość przedmiotu i uboga umysłowość wykładającego, przy gorącym patryjotyzmie i zapale dla poezji ludowej, cechują te ubogie w treść zarysy. W r. 1883 ukazują się „Cienie syberyjskie“ (Lwów, Bibl. Mrówki), rozpoczęte r. 1873, a dokończone 1879. „Nigdy nie byłem lepiej usposobiony, pisze twórca do Zmorskiej — duch Adama, widziany we śnie, pochmurny, bolejący, kazal mi kończyć aż do dzisiejszej chwili dzieje niepisane. Widziałem, że się gniewał na moją śpiewność i kazal mi patrzeć na ogień i słuchać huku dzwonów”. Utwór ten miał stanowić — w intencji poety — jakby dalszy ciąg „Dziadów”. Czując potrzebę wypowiedzenia swych pesymizmem i gorącą nacechowanych sądów o współczesnej ludzkości i własnem społeczeństwie, a zarazem swych uraz i żalów do ludzi, rozpoczął jeszcze w r. 1872 pracę nad udramatyzowaną satyrą p. t.: „Piekielna komedia”. Cieszy się zawczasu, że jak wyda bezimiennie, nikt nie domyśli się autora, tak będzie różnym od dotychczasowych utworów. „Powiedam ci, pisze w liście do krewnego, w r. 1873, że to batołek nieposłodni, który tak wyrobisz, tak wykończysz, jak Celliniego figurki, każdy ustęp, choć jak nie wiem zjadliwy, będzie okragły jak perła, przynajmniej takbym chciał”. Czy chęć dorównania uzdolnieniu, można powątpiewać. Utwór ten, wykonany podobno około r. 1878, nie ukazał się dotąd w druku, może z korzyścią dla pamięci autora, który roził sobie, iż ukazaniem się wywoła oburzenie ogólne. „Ślamazarna muza dzisiejszych poetów, ogłaszanych przez Kraszewskiego za geniuszów, przerazi się czerwonością moją... Jezulity wrzasań jednym chórem anatem i demagogi ukręcają mi postronek, a jednak ja to wydam, bo coś mnie pali i kusi, jak muchę: leć w ogień, spal się... Serce mam rozdarte widokiem najfatalniejszego upadku narodu”. W r. 1881 zaczął pisać nowy utwór dramatyczny: „Zgon Sokratesa”, przerabiany kilkakrotnie co do układu i tytułu, ogłoszony dopiero po śmierci autora, p. t.: „Sędziowie ateński“ (Lwów, 1895, str. 85) Mimo starannego opracowania szczegółów ta greckiego, starannej budowy wiersza białego — rymowany w chórach i pieśniach — postać Sokratesa, podobnie jak wszyscy wieley ludzie

w utworach Lenartowicza — straciła swą wielkość i majestat. Zawszał miedra, stwierdzającego swym zgonem nieśmiertelną prawdę, okazuje nam poeta zającego, znużonego życiem starca, spragnionego wiedzy. Gorycz swą wyraża poeta w określeniu ludzkości, jako zbio-wiska „pysznych, głupców i galganów”, nurzających się w błocie jak w swoim żywiole. W r. 1886 powstał nowy dramat: „Nieszczęsni”. W liście do Kopnickiej pisał poeta: „Są tam gorzkości. Ano tak... Niezawszę można być miłodowym... Moi „Nieszczęsni“ — ale to coś bardzo dramatycznie, na co edytora pewniebim nie znalazł. I może lepiej tak, bo zakończy żywot pod szarą sukmaną brzoza, a nie w plepszu z iskier i płomieni. W której mnie moja narwana Proteowa natura przysztajada”. Korespondencja, którą czytywał H. Biogeleisen w klaszcie, poświęconej życiu i dzieleniu pracy, oddania nam jaszkrawe przeciwnistwa, stanowiące istotę wspaniałego życia i związaną z temi warunkami twórczości. W sprzecznosci ze skargami na obojętność i zmaterializowanie ludzi, kłatwami, straszaciami na arystokrację, otrzymuje poeta od ziomków, a w tem od przedstawicieli arystokracji, otrzymuje pamięci, uznania i poparcia materialnego. August Cieszkowski opiekuje się zdrowiem poety, wozę go do miejsc kuracyjnych swoim kosztem, zamawia i hojnie opłaca roboty rzemieślnicze. Mielżysej opiekuje się chorą żoną poety, która kochały u nich życie. Pani Capelli, z domu Dzieduszycka, gości w swej willi włoskiej poety i popiera jego rzemieślnicze. Ks. Marcellina Crarortyska, Przędziczka nabywają jego roboty i dają zamówienia, Kraszewski i prasa polska przy każdej sposobności podnosi zasługi poety, donosi o jego działalności, wysławia rzęby, wykłady bonońskie. W czasie kilkumiesięcznego pobytu w Krakowie od-tara holdy i dowody zycielności zarówno od arystokracji i duchowieństwa, jak od świata naukowego (uniwersytetu), literackiego, dziennikarskiego. Lwów wysłał specjalną deputację z dyplomem honorowym i albumem pamiątkowym. „Gdybym był zaroumiatym, pisał wtedy poeta, mógłbym myśleć Bóg wie co o sobie; szczęściem, że się znam i wiem, że niezem jestem, marnością i nędzą”. Przerzyony holdami skarzy się: „Godność moja już mi kością w gardle staje i niczego więcej nie pragnę, jak copredzej uciec od tych swawij i od tych herbat i obiadów i wizyt”. Choć od czasu do czasu uznaje sam, iż twórczość jego w szczupłym zamku się granicach, choć czuje się tylko ludowym lirnikiem, to jednakże śmiało podejmuje zadania, przechodzące zakres jego uzdolnień, pragnie być śpiewakiem przeszłości i jej wielkich postaci, sędzią i satyrykiem współczesnego życia, i zadowolony z dokonanych dzieł, oburza się na wydawców i czytelników, obojętnych dla tych utworów. Wysoka artystyczna wartość pieśni i obrazków lirycznych z okresu lat 1842 do 1860, wnoszących do poezji polskiej, odżyły i załamany w uczuciowej duszy poety świat duchowy wierszka mazowieckiego, ujęty w wdzięk i muzykę słowa, nacecho-

wane formy; wytrwała, z dobrą wiarą, choć z ubogim wynikiem prowadzona w rozległym zakresie dalsza praca twórcza na obczyźnie, wśród ciężkich warunków, w walce z chorobą i niedostatkiem, wyznaczają Lenartowiczowi skromne, ale trwałe stanowisko wśród śpiewaków, wrazielieli duszy polskiej, w okresie jej ściśnienia i osłabienia we wszystkich dziedzinach polskich. Krzepić tej duszy nie był zdolny, ale ją uspokajał pogodą i słodczą swą liryki, zidealizowanym, jednostronnym odbiciem świata ludowego.

WSKAZÓWKI BIBLIOGRAFICZNE.

Wydania częściowe i zbiorowe. Liryki Lenartowicza ukazywały się od r. 1841 najprzód w miesięcznikach i noworočníkach warszawskich, jak: „Przegląd Warszawski”, „Nadwiślańcin”, „Biblioteka Warszawska”, „Przegląd Naukowy”, „Niezapominajki”, „Album Warszawskie”. Od r. 1847 ukazują się w „Dzienniku Mód Paryskich”, wydawanym we Lwowie, i „Wiśniaku” piśmie ludowem, wychodzącym w Krakowie r. 1848. Pierwszy zbiorek p. t.: „Polska ziemia w obrazach” wychodzi r. 1848 w Krakowie (część I, druga litografowana), a następnie drugie wydanie w Poznaniu r. 1850, „Cztery obrazy”, pośw. Wojciechowi Stafflerowi, w Krakowie r. 1848, str. 38, „Szopka” (Wrocław 1849, str. 71). Następnie od r. 1850 nowe liryki i obrazki pomieszcza Lenartowicz w „Szkółce dla dzieci”, wydawanej w Poznaniu przez E. Baskowskiego (tu wyszły: „Mały Świątek” i „Zachwyecenie”), w dzienniku „Krzysz”, którego redaktorem był Karol Baliński, a jednocześnie i w „Bibl. Warsz.” (z r. 1853 „Wioclina”, „Mały Świątek”), w „Pokłosiu” (zbiornik liter. 1853, Łaszno) i „Nowinach” lwowskich. Zbiór 27 liryk osobno ogłaszanych pojawił się r. 1855 w Poznaniu (Zupański) p. t.: „Lirenka”, (str. 209). Część tego zbioru (13 utworów) wyszła w Warszawie — z cenzurą petersburską — pod tym samym tytułem („Lirenka”, M. Frühling, str. 110). Współcześnie zaczęły się ukazywać nowe utwory w „Dzienniku Literackim” lwowskim (od 1853) i „Dodatku do Czasu” (od 1856). Wiersz „Wygnańcy do narodu” wyszedł w Paryżu, r. 1856 (str. 6), tamże współcześnie „Gładziarowie” (str. 39), a następnie w r. 1859 „Bitwa raclawicka” z dedyk. gen. Wysocznemu (str. 59 — oznaczona jako część pierwsza całości, mającej się składać z ośmiu pieśni). „Święta Zofia” wyszła r. 1857 w Poznaniu (str. 22), „Zachwyecenie i Błogosławiona”, (Warsz. 1857 i Poznań z ilustr. Zalesskiego 1861, str. 33). Wraz z rosnącą w tych latach popularnością poety mnożą się zbiorowe wydania i przedruki oddzielnych obrazków. W r. 1858 wychodzą w Warszawie staraniem Belejowskiej Joanny „Poezje” (AL. No-

woski), będące zbiorem (w 2 częściach), świeżych przeważnie utworów. Prawie wszystkie pisma polskie literackie pomieszczają nowe poezje Lenartowicza („Dzwonek” i „Czytelnia dla młodzieży” w Lwowie, „Niewiasta” w Krakowie). „Bitwa raclawicka” wychodzi w 1861 w Naumburgu i 1862 r. w Berlinie i 1867 r. w Paryżu w „Bibl. Ludowej” i 1878 w „Bibl. Mrówki”. Nowy poemat „Cezara” według francuskiej prozy Legenda — wychodzi w Poznaniu w 1861 Zupański, str. XVI i 44, ded. Sewer. Mielżyńskiemu). Współcześnie ukazuje się w Warszawie „Zywoł św. Jana Chrzciciela”, ze zbioru starych pisarzy włoskich wyjęty... na język polski i niektórymi odmianami... wytłumaczony. (Warsz. 1862 — druk Ugra, aproba ta kościelna, str. 106). Nowe zbiorowe wydanie poezji ogłasza r. 1863 Zupański (Poznań t. I, str. 213, t. II str. 301). Wszły tu prócz dawniejszych, jak: „Bitwa raclawicka” i świeże utwory, wywołane wypadkami ówczesnymi. Po r. 1864 słabnie wpływ Lenartowicza na ogół, ale zwiększa się ilościowo twórczość w drukarni „Ojczyzny” w Bendikowie (Szwajcaria) wychodzi z okazji poświęcenia w r. 1865 tablicy pamiątkowej na domu, w którym umarł Kościuszko, wiersz p. t.: „Orzeł” i osobno „Wiersz na rocznicę zgonu T. Kościuszki”. Tamże również wychodzi r. 1865 „Opowiadanie mazowieckiego lirnika, t. I, Marcin Borelowski-Lalewel”, (str. 31). Tegoż roku w Poznaniu (Zupański) wychodzi wiersz: „Polskie śluby, na tysiącletnią rocznicę zaprow. chrześcijaństwa w Polsce” (str. 39, pośw. Libeltowi). W r. 1866 ukazuje się w Lipsku (Engelhardt) „Anioł ziemi, srebrny śpiew” przez T. I. Prolog, pięć pieśni (Hellada, Judea, Roma, Kaledonia, Polska i skłoneczenie (Syberja), str. 88. Pojedyncze utwory pomieszcza teraz poeta w pismach warszawskich: Bibl. Warsz., Tyg. ilustr., Kłasy lwowskich: Tygodnik Nauk i Liter., Dziennik Literacki, Dzwonek, Strzecha i w drezdeńskim „Tygodniku”. Rok 1870 przynosi dwa zbiorowe wydania nowych utworów: „Ze starych zbroie” w zbiorze Bibl. Narodowa, t. III, Lwów 1870, Richter, str. 301. Mieszczą się tu pieśni i poematy historyczne, począwszy od Mieczysława aż do części poematu o Janie III. W końcu dodane przekłady, z serbskiego głównie. Drugi zbiór: „Album włoskie” jako czwarty tom, (Bibl. Narod., Lwów, Richter, 1870.) poświęcony młodzieży polskiej, składa na 198 stronach, 38 utworów, osnutych na wrażliwości włoskich.

W r. 1871 ukazuje się w Dreźnie: „Do artystów polskich w sprawie Muzeum Rapperswylu” (str. 18, z ryciną). R. 1872 wychodzi w Poznaniu (Zupański) „Echa nadwiślańskie” — zbiór drobnych liryk i opowiadań, patriotycznej i ludowej osnowy. Tom I, str. 187, tom drugi nie wyszedł. Do liczby pism, pomieszczających utwory L. przybývają: Tyg. Mód i Powieści, Ruch Literacki (Lwów) i Dziennik Lwowski. W r. 1874 wychodzi „Szopka” poraz trzeci w Bibliot. Mrówki. Książka zbiorowa „Sobótka”, na cześć Goszczyń-

skiego wydana r. 1875 mieści urwkek poematu: Jung Blankenheim (wódz z r. 1863). W r. 1875 wychodzi nakładem autora w Krakowie (W. Anczy) „Wybór poezyj” tom. IV, str. 326, 349, 370 i 315. Od r. 1879 do pism, mieszczących utwory L. przybywa „Przegląd Lwowski” i dwa pisma ludowe: „Pszczółka” i „Wieniec”, wydawane przez ks. Stojalskiego.

W r. 1880 wychodzi w Warszawie „Jagoda mazowieckich lasów” przez Au. Li. (Gebethner) poświęcona Gustawowi Zielińskiemu (str. 62). W r. 1881 „Rytmy narodowe” (Lwów, str. 202), poświęcone Mieczysławowi Darowskiemu (mieszczą one poematy o Sobieskim, Kościuszcze i Pieśni gminne). „Chorągiew słowiańska do grobu św. Cyryla w Rzymie” (Lwów 1881, str. 32). „Złote serce”. Wiersz ku czci ks. Pijara, Stan. Konarskiego. (Kraków. Nakładem ks. Pijarów, 1882, str. 15). „Cienie syberyjskie” (Bibl. Mrówki, tom 177, Lwów 1883, str. 99). „Głosy lutni Teof. Len. w sprawie pomnika śp. Marji Bartusówny” (Lwów 1888, str. 10). „Słowo o Bohdanie Zaleskim” (Lwów — Gubrynowicz, str. 54). „O Kościuszcze” przez Czesł. Pieniżnika i o bitwie racławickiej przez T. Lenart. z 2 ryc. Jul. Kossaka (Lwów, nakł. Macierzy, str. XLII i 46). „Trzeci maja”, wiersz ofiar. młodzieży warsz. (Kraków 1891, str. 8, odbitka z „Myśli”). „Lenartowicziana” I, II (Kraków. Bartoszewicz, str. 30). „Poezje”, wyd. poświęc. (Lwów, dwa tomy, Gubrynowicz, 1895, str. 333 i 257). „Sędziwoje atenejskie” (Lwów, 1895, str. 85). „Wybór poezyj” (Petersburg. Grendyziński, wyd. miniat. z portretem, str. 349). „Poezje” (Warsz. 1899 — „Gazeta Polska” — Wybór, str. 148). Pożgonie poety drobne niedrukowane utwory, pojawiały się w „Tyg. Ilustr.”, „Gazecie Polskiej”, „Kurjerze Warsz.”, „Słowie Polskiem”, „Tyg. Liter.” lwowskim, „Bluszczu”, „Wędrowcu”, „Pracy” (Poznań), „Przeglądzie Liter.” (Kraków). Osobno ukazał się: „Żywot starego żołnierza”. Pogadanka zimowa. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył A. E. Baliński. (Kraków, 1905, str. 59). Korespondencje literackie L. o sztuce i literaturze włoskiej, pomieszcza Bibli. Warsz. z r. 1869 i 1870 i Tyg. Ilustr. z r. 1867, 8 i 9. Korespondencja L., obejmująca przeszło 1000 listów, pisanych do najbliższych mu osób, ma się podobno ukazać w druku. Oprócz pojedynczo ogłoszonych w różnych pismach listów, wydał Paweł Bryła „Listy L. do X. C. (w wyjątkach. — Spraw. gimn. Stanisławów 1893.) Przekład włoski poezyj L., dokonany przez Marcucciego, wyszedł p. t. „Poesie Polacche di T. Len. recante in versi italiani da Ettore Marcucci, Firenze 1871, pag. XXI et 173. (Są to przeważnie liryki z Albumu włoskiego). Francuski przekład wyszedł r. 1881, p. t. „Poésies illustres de la Pologne au XIX siècle. Dernière série. Théophile Lenartowicz. Nice — Paris 1881, str. 151. Tłumaczem był znany mianik Charles de Noire Isle (Karol Przędziński) szpexyż zwaną nieudolną robotą przekładane utwory. Niemieckiego przekładu Lirenki i Zachyczenia dokonał częściowo Aug. Woycke (Berlin. Nicolaische Buch. 1861, str. 41).

Opracowania biograficzne i krytyczne. Pierwsze zony utworów młodzieńczych L. spotykamy w „Przeglądzie Warszawskim” z r. 1842, t. III w rozprawie Józefa Czajkowskiego „Spojrzenie na piśmiennictwo krajowe” i w „Tygodniku Literackim” (Poznań, 1843) w rozprawie Edwarda Dembowskiego „Młoda piśmiennictwo”. Zyciorysy z wizerunkiem pomieścili W. Grochowski w „Tyg. Ilustr.” (1861 r. t. IV) i K. Wł. Wycięcki w „Kłosach” (r. 1873, nr. 405), K. Widman („Strzecha” Lwów 1868), Sawicz Zablocki („Kuch Literacki” Lwów, 1876, nr. 48 — 52). Ocena twórczości dał „Przegląd Tygodniowy” w artykule „Grupa poetów z 1840 r. C. Norwida i T. Lenartowicz” (r. 1874, nr. 41 — 45). Czesław Jankowski „Publiczność i poeci” (Dodatek do „Kraju” z r. 1888 nr. 20) Gwido „Autobiografia poety” (Dod. do „Kraju” r. 1888, nr. 48—49).

Opis pogrzebu, obchodów pogzonnnych, mowy i t. p. pomieściła „Nowa Reforma” w specjalnym numerze (131) z 11 czerwca 1893 r. i kilku następnych. Ostatnie chwile poety i wspomnienia z pobytu w Krakowie podał „Czas” z lutego r. 1893 (nr. 31—33). Wychodzący w Krakowie tygodnik „Świat” poświęcił poecie cały zeszyt (p. 1893). Spis utworów L. podał „Gazeta Narodowa” z r. 1893 (nr. 31 i 36). W. Wolski: „Wspomnienie o T. L.” (Tydzień, dod. do „Kurjera Lwowskiego” 1893 r. str. 90). Jan Kasprzewicz: „Wies mazowiecka a poezja L.” (Tydzień, r. 1893, str. 190). „Hold lirski mazowieckiemu przez rodaków w Krakowie 12 czerwca 1893”. (Zyciorys, spis prac, przemówienia pogrzebowe, rozprawa Bartoszewskiego o twórczości L. — str. 107 i portret). K. Bartoszewicz: „Lenartowicziana” (Kraków, 1893, str. 30). J. Kasprzewicz: „Lirak mazowiecki, szkice literackie” (Lwów, 1893, str. 109 z portretem J. Treliaka: „O poezji L.” (Czas, r. 1893, nr. 132 i 133). P. Bryła: „T. L. szkice biograf. (Spraw. gimn. Stanisławów, 1893, str. 39). St. Tarnowski: „T. L.” („Przegląd Polski” Kraków, 1893, t. 36, str. 392—443). „Tygodnik Ilustrowany”, poświęcił L. cały numer z 24 stycznia 1903 r. Ign. Matuszewski: „Z życia i działalności T. L. na podstawie listów poety” (w zbiorze „Twórczość i twórcy” (Warsz. 1904, str. 325—337). St. Lam w „Przeglądzie Wschodop.” (Poznań, 1913, nr. 7 i 8). T. Narbut Monczuska: „Z wspomnień o L.” („Kurjer Lwowski”, styczeń 1913). Henryk Biegeleisen: „Lirnik mazowiecki, jego życie i dzieła — w świetle nieznanej korespondencji poety” (Gebethner i Wolff, 1913, str. 350, dwa portrety). Monografia ta mieści szczegółową bibliografię utworów L., ich przekładów, pism o L., pamiątek i portretów L., wreszcie spis rzeźb i wiadomości o listach, ogłoszonych i zebranych do wydania. Powyższa wskazówka bibliograficzna jest oparta na zebra-
nym przez p. Biegeleisena materiale.

Utworki liryczne z okresu 1841—1855.

Wiersz do poezji.

(r. 1843)

- a) Kochanko ducha, dziewico słońca,
Z mieczem i w zbroi hartownej!
Nikt się nie oprze, gdyś jest walcząca,
Nikt się nie oprze, dziewico słońca,
Twojej piękności czarownej!

Gdy miecz ukazesz, gdy hełm przywdziesz,
Białoramienna dziewico!
Gdy na wiatr sztandar śnieżny rozwieszsz,
Zapał szalony w serca rozsziesz,
Rycerze bronie pochwyca.

Uchwyćą tarcze, miecze ostrzone
Wstrząsają w żyłastych prawicach,
Z krzykiem rozpaczy rzucą się w stronę,
Gdzie im ukazesz grody zniszczone —
Na których widok zapłomienione
Piekło wystąpi na licach.

A gdy bohater padnie w obronie,
Ty znajdziesz w szacie anioła
I wieniec chwały włożysz na skronie —
Zwycięstwo będziesz śpiewać przy zgonie,
I śmierć mu przejdzie wesola.

Ty zimne duchy ogniem zapalasz,
W wary przemieniasz chłód bodów!
Ty jedna cudem ludy ocalasz,
Niezwyciężone tłumy obalasz,
Poezjo, matko narodów!

Ty męczennikom, pod ręką kata
Rozpiętym w bólach śmiertelnych,
Stawiasz obrazy lepszego świata,
Gdzie myśl ostatnia z krzyża ułata
Do Boskich krain weselnych!

Ty im, czarowna dziewico słońca,
Nim śmierci doświadczą chłodów,
Za życie męczarń — światłość bez końca
Ukazesz zdala w promieniach słońca,
Poezjo, wiase narodów!



439

Na czarodziejskie twoje skinienie
Stanie się niebo na ziemi,
Dzikiem niezgody zgasną plomienie,
Na twoj czarownej palmy skinienie
Ludzie się staną świętymi.

Na kogo twoje wejście padnie,
Ten ziemi świeci na wieki,
W imieniu twojem serca owładnie,
Ludziom ich przyszłe losy odgadnie,
A czas je spełni daleki.

Ty będziesz wiązać dłonie szermierzy
W czas ślubnych świata obchodów;
W ołtarzach stawisz duchy rycerzy,
Przez ciebie ludzkość w siebie uwierzy,
Poezjo — prawo narodów!

Kalina.

(r. 1844)

- b) Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrym w gaju roła potokiem.
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majomem słońcu liście kapala.
W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła, jak dziewczę młode,
I jak w lusterko patrzyła w wodę,
Wiatr co dnia cesał jej długie włosy,
A oczy myła kropkami rosy.

U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny
I grywał sobie długo, żalśnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie!
I śpiewał sobie: dana! oj, dana!
A głos po rosie leciał co rana.
Kalina liście zielone miała
I jak dziewczyna w gaju czekała.
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożoną,
Biedna kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwała,
Żywe korale wrzuciła w wodę,
Z żalu straciła swoją urodę.

Mazur za wołami.

(Wyjątek).

c) Ptaszcę śpiewa, bo ptaszę,
 Bo ma w lesie swobodę,
 Dziewczę śpiewa, bo nasze,
 Bo wesole i miłode,
 Bo ma lieczko jak róża,
 I nie mała, nie duża.

I ja sobie zanucę,
 I ja czasem wesoly;
 Jeno woły nawrócę,
 Wołyż moje! hej, woły!
 Albo ja to sierota?
 Albo jaki niepota?

Mam ja rolę i chatę,
 I poszyle stodółki,
 I bydełko rogatę,
 I dwa konie, i pszczołki,
 I kobietę Jagusię,
 I dzieciątko malusie.

Pan Bóg łaskaw na czelka:
 Grady biją zdaleka,
 U mnie zboże się kłosi,
 Deszczyk przyjdzie, porosi,
 Albo lunie jak z cewki
 Na ogrodę, przysiewki.

Jak to woły się cieszą,
 Kiedy jarzma nie czują,
 A rogami się czeszą,
 A patrzą się, a żują,
 Idzie słońko po niebie...
 A no! woły, od siebie!

Jako ciężko pług chodzi,
 Ale ziemia obrodzi,
 Dla kaleki, żebraka
 Daje ziemia nieboga,

Dla sieroty, dla ptaka,
 Przyjaciela i wroga,
 Byle posiać na dobie...
 A no! siwy, a k'osobie!

Danaż moja! oj, danaż!
 Ludzie idą do siana,
 Brzęku, brzęku po stali,
 A dalejże, a dalej!
 Mają zboża Kujawy,
 Mają łąki na paszę,
 Ale gdzie im bór łąkowy,
 Takie łąki, jak nasze!

Oj, Bachorza, Bachorza!
 Same błota i trzciny,
 I jeziora jak morza,
 I doliny, doliny.
 Gdzie się człowiek obróci,
 Wszędzie serce zasmuci.

A to u nas inaczej:
 Szumią gaje w równinie,
 Ani świata zobaczy,
 Jak stryj brodę rozwinie;
 Jeno w górze u szczytu
 Jasny knwał błękitu.

Raniusieńko, jak zorze,
 Słychać ptaków śpiewania:
 Skowroneczek już orze,
 A przepiórka pogania.
 Wiatr po liściach szeleści,
 Coraz widniej, niebieściej.

Każde przy swej robocie:
 Bocian chodzi po błocie,
 Słowiak śpiewa, a śpiewa,
 Żółta*) lasy rozsiewa,

Przyśpiewują na głosy
 Tu wiewilgi, to kosy,
 I ciekaw myślą, że w raję,
 A on w kraju, oj, w kraju...

Na zachodzie pogoda,
 W jasnym niebie wesele,
 Dał Bóg ludziom oj, wiewie!
 Woda jeszcze co doda:
 Woda zboża dorzuci...
 Woda Polskę powróci.

Twardo panu kmięć służy,
 I biednyśmy zazyli,
 Woda życia przyduży,
 Woda nieba przychyli,
 I od grzechów rozgrzeszy,
 I na dzieciach pocieszy.
 Wstuska schodzi po niebie,
 A no! woły, od siebie.

Już z południa daleko,
 Ludzie z miast się wleką,
 Widać baba śród drogi,
 Wiedzie krówkę za rogi.
 Chłopak pędzi, a krzyka,
 Że aż kłają się szkapki;
 Szkapkę wziął się do smyka,

Już i zorza przygasa,
 A no, woły! do lasa,
 Na podwórko, przed chatę,
 Pod te sosny garbate.

Jak to na Mazowszu.

(r. 1850)

d) Po szerokim polu modra Wisła płynie,
 Pochylone chaty drzemią na dolinie,
 Nad wodą zgarbiony stary dąb zylasty,
 Kędy bielą płótka wesole niewiasty.
 Po łące stąpają bociany powolne,
 W owśach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
 A z borów ciemnych leśnej okolicy
 Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.

Spuścił nogi przez drabki:
 Dylu, dylu! od ucha,
 Kto ma uszy, niech słucha.

Środkiem wódzarz się toczy,
 Nawdziął czapkę na oczy,
 Zajrzał w dzbanek niedużo,
 A nogi mu nie służą.

Szumią lasy, hej, lasy,
 A w karczemce grzmiały basy.
 Kiedy skakać, to skacza,
 A kiedy pić, to pija.
 A jak plakać, to płaczą,
 A jak bić się, to biją...
 To już u nas tak idzie,
 Na połówkę nie niema:
 A pocierpieć jak przyjdzie,
 To i to się wytrzyma.

O! i dzwoni już dzwonek
 Na wieśniaczym kościele,
 Dzięki Bogu za dziełek,
 Za serdeczne wesole,
 I za wszystko, co miłe,
 I za wszystko, co boli,
 W ciężkiej pracy za siłę,
 I za uśmiech w niedoli.

*) Żółta — dzięcioł czarny lub zielony.

Po niebie obłoki jak bieluchne runo,
 Słoneczkiem przeciekle, pod błękitem suną;
 Na wodzie, na Wiśle, śród ciszy poranka
 Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka,
 A za nią ładowne pszenicą galary,
 Szum wioseł na falach, i śmiechy, i gwary.
 Po boru jagody dziewięć rwie we wrzosie
 I śpiewa młemu: pędź głose po rosie —
 Po długiej dolinie łeskie tony cieką,
 I słychać piosenkę daleko, daleko...
 I gdzie się obrócisz, nad Wisłą, nad Bugiem,
 Brzmi nuta serdeczna za bydłem, za pługiem,
 Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju,
 Jakby jedna dusza była w całym kraju.
 Oj! śliczna ta ziemia to nasze Mazowsze!
 I czystsza tam woda, i powietrze zdrowsze —
 I sosny rośniejsze, i dziewki kraśniejsze,
 I ludzie moiniejsi, i niebo jaśniejsze.
 Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
 Gdzie mi się rozzmieje tak rażno dziewucha?
 Gdzie mi pokażecie taką chatę licha,
 Taki bór szumiący, taką taką cieką?
 Kiedy ja usłyszę tyle płaciwą wrzasku?
 Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
 Serce moje, serce do tych lasów goni,
 Do Wisły, do Wisły, — oj, szkno mi do niej!..
 Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
 Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy!
 Oj, Mazur, ja Mazur, pomiędzy obcimi
 Zmaruję ja młodość na nieswojej ziemi.
 Kiedyś szedł do ludzi, cały dzień padało,
 Pod wieczór się za mną słońce obejrzało —
 Oj! poczerwienione, jak oczy matczyne;
 Co, mnie błogosławiąc, patrzyła w dolinę;
 Wiatr szumiął po polu, a pszeniczne kłosy
 Strząsały na ścieżkę krople jasnej rosy;
 Po boru, po lesie, przez gęstwiny ciemną
 Na gałęziach wrony krakały nade mną;
 Sierocemu sercu tak się wydawało,
 Jakby coś w powietrzu po lesie płakało.
 Spokrzatem przed siebie — nikogo nie było,
 Kilka ciemnych sosen w ziemię się chyliło;
 Darcemno po drodze patrzyłem za siebie,
 Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie
 I ta utonąła w ciemnej, mrocznej fali,
 Nie było nikogo — i poszedłem dalej...

I dalej, i dalej, w świat szeroki, długi —
 Bywajcie mi zdrowe, mazowieckie smugi!
 Skrzyпки, moje skrzyпки, od serca zagrajcie,
 A wy też, Mazury, cętnie posłuchajcie.
 Niech ci Pan Bóg szczęści, ziemio mazowiecka,
 Płakałem nad tobą od małego dziecka,
 I myślałem nieraż, siedzący na progach,
 Czemu tyle krzyży stoi na twych drogach?
 Dziś tulam się oto i tęskliwie żyję —
 Westebnieniem się żywić i też się napiję.
 I tak schodzi zima i za zimą lato —
 Boże dopuszczenie — chwala Mu i za to!
 Zagrajcie, skrzypceczki, niechaj wdzięczne granie
 Cichy wiatr zaniesie, gdzie moje kochanie.
 — Witajże mi, witaj, kraino kochana,
 W boleści, w tęskności — oj, dana! oj, dana!

Wiochna.

(r 1855)

Już słońcecko powstało
 I przegląda się w rzecze;
 Oj, na rosę, na białą,
 Poleceć ja, poleceć!
 Jak to z brzozy płaczącej,
 Co wyrosła nad rzeką,
 Krople rosy świecącej
 Zwieszają się i cieką.
 Jakże jasne obłoki
 Na niebieskim przestworze,
 Jakże czyste potoki...
 O mój Boże! mój Boże!..

Jaskółeczka przed bramą
 Wełną uwija się w kółko;
 Ja nie jestem jaskółką,
 A potrafię tak samo.
 Teraz matki się boję,
 Lecz niech ogień rozniecę,
 Niechno krówki wydoje,
 Poleceć ja, poleceć!..

Jak to dobrze Bóg zrobił,
 Ze ten śliczny świat stworzył,
 Tak cudnie go ozdobił,

Tyle kwiecia rozmożył.
 I że dał mi braciszka,
 Z którym codzień się pieszczę...
 Pójdę cicho, jak myszka,
 Zajrzeć, czy też śpi jeszcze?
 Śpi w kolebce — więc dalej,
 Prędko ognia trza skrzesać;
 Jak się ogień rozpalę,
 Pójdę włosy uczesać.

A robotą to nudna
 Te warkocze do ziemi,
 Płatnina och, żmudna
 Tak tam bawić się z niemi...
 Kiedy mówią o oczach,
 W których ja nie nie widzę,
 I o moich warkoczach,
 To się tylko nawsyldzę.
 I skarżę się, mój Boże!
 Że mam oczy uorne...
 Może prawda, — a może...
 Ale cóż ja z tem pocznę?..

Matka mi powiada,
 Że ja wcale nie rosne.

Niechno tylko popada
Ciepły deszczyk na wiosnę;
Niech ja na deszcz wyskoczę,
A dobrze się przemoczę,
To nim skoczę się burza,
Już urosnę tak duża!...

Pająk przedzie, oj, przedzie
Swoje szare włókienko;
I ja umiem tak cienko,
I moje też tak będzie.
Bo ja przedzie coś umiem:
Kądział przedę, i piekę,
I na książkę rozumiem,
I zaśpiewam w kościele.

Jakem raz na święconę
Ulepiła baranka,
Co miał wełnę kręconę
I klęczące kolanka —
To się bardzo dziwno,
Bo tak siedział, jak żywy,
Jak baranek prawdziwy
Z chorągiewką czerwoną.

Jak zrobiłam w Trzy Króle
Świątą Pannę i Syna,
I czarnego murzyna
Ze skarbami w szkatule,
I z lilij staruszka,
I z lirenką pastuszką,
To się ludzie zbiegali,
Z całej wioski lacieli,
I za głowę się brali,
Mateo wierzyć nie chcieli.

A galki, a wianki
W listki srebrne i złote,
Jakie chcecie równianki
Jak najpiękniej uplotę,
Kwiatki lubię ogniście,
Boże drzewko, lilije,
I to, co tak na liście
I na prątki się wije...

Oj, niedobra to córka,
Co się próżno zabawia, —

Dalejże do podwórka,
Trzeba ciągnąć żórawia.
Oj! ta, dana... A cicho! —
Matka będzie się gniewać;
Podkusiło mnie licha,
Chciałam sobie zaśpiewać...

Idzie w górę wiaderko,
Z boku woda się leje,
Sporzę w wody lusterko,
W niem ja druga się śmieję.

Jak też to tam głęboko,
Nim się wiadro zabrodzi,
To aż wdryga się oko,
Aż mnie zimno przechodzi.
Nie spotka mnie nie złego,
Choć nad studnią tak stoję,
Nie boję się niczego...
Oho, prawda! nie boję?...
Najprzód straszą mnie bąki,
Co latają w ogrodzie,
Złote osy z nad łąki
I jałowka, co bodzi.

Potem boję się łęczy
Na wilgotnym obłoku,
Choć się do mnie tak wdzięczy,
Pijąc wodę z poloku,
Bo ta łąca świecąca,
Gdybym poszła, bron Boże!
Z ziemi unieść mnie może
Do białego mieszańca.

Wreszcie trwożą mnie grzmoty
I piorunów trzaskania,
Kiedy niebios blask złoty
Tak się strasznie odsłania.

Lecz w kościele nie czuję
By najmniejszej bojaźni,
Mnie tam radość przejmuję,
W sercu jeszcze mi różniej;
Tak mi rześwo, wesolo, —
Jak u matki w chałupie; —
Ludzie szepeją wokolo:
Ot, cieszy się — bo głupie...

A co mi tam, niech sobie!...
Wiele ogarnia myśl błoga,
Co ja robię?... co robię?...
Wstaję się do Boga,
Kiedy może skowronek,
Wyskakując nad kłosy,
Jak świt tylko, jak dzionek,
Zraspotać się w niebiosy,
Bo i mnie nikt nie wzbroni
Przed ołtarza jasnością
Światy oto tak dłoń
I spoglądać z radością.

W spowiedzi gdym była,
Współ, co ludzi spowiada,
Współ; gdybym zgrzeszyła,
Bo pokutę mi zada,
Współ unyślnie dlatego
Współ zgrzeszyłam od rana:
Bo stół miodu złotego
Współ zjadłam ze dzbaną,
Współ zadła raz przecie,
Współ sobie myślała:
Współ tyłam na świecie,
A pokutym nie znała.

Jako ptaszek na roli,
Zawszpiewałam dni płoche
I nie znałam niedoli.
Współ znam ci ją, znam trochę...

Już trzy razem płakała,
I serdecznie, mój Boże!

Raz — gdy babka skonała
W tej tam ciemnej komorze;
A drugi raz — gdy w noc
Ludzie po wsi biegali,
Krzyżując nagwał pomocy,
Że kościołek się pali!
A trzeci raz — gdy w progł
Przyszłedł dziadek pochyty,
Taki oto ubogi,
Ate dobry i miły;
I piosenka zabrzmiała
O Polaku w niewoli
Wtedy bardzo płakała,
Bo mnie zaraz tu boli.
Całowałam go w rękę,
— Nie smućcie się, dziadulu, —
A try żalu i bólu
Upadły mu w lirenkę.

Z za mgły słońce powstało,
Wronka krzeczy na roli, —
Nie wiem, co mi się stało,
Coś mnie smuci, coś boli...
To chce mi się zapłakać,
To mnie pusta myśl techie,
Weselić się i skakać
I chciałabym i nie chcę...

Mały świątek.

(r. 1853)

„Wsi spokojna, wsi wesola,
Któryż głos twej chwale zdola?“

Jan Kochanowski.

(Podajemy tu jedynie wybitniejsze części).

Jak to ja sobie
Domek ozdobię,
Tę modrzewiowy
Wioszcze ojcowy!
Najprzód przed drzwiami
Lipę zasadzę.

Wkoło płotami
Sad oprowadzę.
Stawię przy wodzie
Świętego Jana,
A na ogrodzie
Gniazdo bożiana.

Będą przy stawie
 Chodzą pawie,
 Pod stodolami
 Na ziarno pszenne
 Białe gołębie,
 Goście codzienne.
 Jeśli kto do mnie
 Łaskaw przyjedzie,
 To ślup przed sienią
 Sto! na przedzie.
 Przy nim mesiężne
 Wiszą kółeczka,
 Gdzie się przewleka
 Długa udeczka.
 A zeche bawić —
 To jak zwyczajnie:
 Konia postawić
 Każe się w stajnię,
 Gdzie konieczyną
 Poza drabiną
 Przy czystym śłobie
 Przegryzie sobie.
 A że wypędzić
 Pragnę lenistwo,
 A lubię ryby
 Oraz myśliśwo,
 Więc już psów chmara —
 Bo od ogara
 Aż do jamnika,
 Co lisy dusi,
 U mnie być musi.
 A mam u siebie
 Starego dziadka,
 Co siedzi rozi:
 To będzie siatka,
 Słowem, co chcecie,
 U mnie znajdziecie:
 Ryby i grzyby,
 Mąka i ląka.

Teraz we dworze
 Jak ja ułożę?
 Wszedłszy do sieni,
 To być powinna

Zaraz najpierwsza
 Izba gościnna.
 W niej stół dębowy,
 Szafa u ściany,
 W której cynowy
 Dzban pobielany.
 A zaś na ścianie
 Obraz Łazarza,
 Co to psy liżą
 Rany nędzarza.
 By mieć w pamięci,
 Że w szczęściu jedni,
 A druzdy ludzie
 Straszliwie biedni...
 A w drugiej stajni,
 W mojej siedzibie,
 Co kto ukochał,
 Z tem się tam zdybie.
 Nad mojem łóżkiem
 Bartosz z Kościuszkim,
 Stefan Czarniecki,
 Pogromca szwedzki —
 I Jan Zamojski,
 I ten pan wojski,
 Jan Kochanowski.
 A zaś nad niemi,
 Nad dziećmi swemi,
 Twarz Matki Boskiej
 Jaśnie — a w dali
 Zbroja ze stałi.

Teraz broń moja,
 Myśliwska zbroja:
 Fuzja wyborna,
 Choć niepozorna,
 Sieć dla ptasznika,
 Berło naroga,
 Szabla na wroga
 I nóż na dzika.

Stara kronika,
 Rymy Janowe —

Właż czas moją
 budować głowę.
 Tym człowiek prawie
 Wstał na jawie!
 Cześć opów sprawy,
 Smęty, zabawy,
 Łasza wiara,
 Wstępa stara
 Wzrosły sępiemi
 Wzrosł się od ziemi.
 Tym sejny stawne
 I sjaży dawne
 Za świętą sprawą
 Wstęch aniołów
 Wzrosł się zwawo
 W murach kościołów.
 Wstępa i luki,
 Wstępa różnej broni
 Wstępa tam jasno,
 Wstępa na dloni.

Wstępa moja cicha,
 Wstępa moja chata,
 Wstępa dym ojczystej
 Wstępa nie wzięta.
 Wstępa nie sięga
 Wstępa i szerzej,
 Jak do tych lasów,
 Jak do tych krzyży,
 Jak do tej wody,
 Co płynie srebrna,
 Czyż większa mądrość
 Ciekaw potrzebna?

Wstępa, pogodna
 Wstępa dół zimna,
 Wstępa brylantowe
 Wstępa się świecą,
 Wstępa srebrzyste
 W powietrzu lecą.

Zamarły wody,
 Białe zagony,
 Po drodze gładne
 Włoczą się wrony.
 Śniegi ubite
 Pod nogą skrzypią,
 A wiatry szczypią
 Lice odkryte.
 Więc się na komin
 Drzewa nakładą
 I z starą księgą
 Przed ogniem siada.

Dwa psy ogary,
 Przyległy bli-ko,
 Drzemią spokojnie,
 Patrząc w ognisko.
 To ogień buchnie,
 To iskra prysnie;
 Szabla na ścianie
 W półksiężcu błysnie.
 Na okna kwiaty
 Zaszył śnieżyste,
 Na które miesiąc
 Promienie czyste
 RzUCA zwyżsoka —
 I brylantuje,
 Na szklistej kanwie
 Srebrnem haftuje,
 Izba w półcieniu,
 Wszystko w uspieniu.

O — jak to miło
 Przy tym kominie
 Wędrować myślą
 W marzeń krainie!
 Płomień opada,
 Węgle się złocą,
 Popiół osiada,
 Iskry migocą,
 A człowiek sobie
 Bóg wie co snuje!
 Z żaru, z popiołu
 Zamki buduje;
 Kościółów dachy
 Ze złotej blachy;
 Jasne, przezyste
 Chaty ojczyste.

I sam ze sobą
 W milczeniu gwarzę,
 O jakichż eudach
 Wówczas nie marzę?
 Ciszą wokół...
 Tylko piosenka
 Z chatup, gdzie drobne
 Świecą okienka,
 Jakby z za świata
 Do mnie dolata.
 Tam prądki ciągną
 Pod strzechą starą
 Ze lnu, konopi
 Długą nie szarą.
 A z serca ciągną
 Nici srebrzyste:
 Długie powieści,
 Pieśni oczyste.
 To jak Pan Jezus
 W ludzkiej postaci
 Schodzi do chatek,
 Do biednej braci.
 I między dzieci
 Trzódkę małą
 Rozdziela dary
 Najświętszą ręką.

Tak marzy wioska
 W cichej dolinie, —
 A Matka Boska,
 Co górą płynie
 Nad schylonem
 Dwory i chaty,
 Wiodąc aniołów
 Orszak skrzydlaty,
 Z niebios wyszekich
 Zniża się w locie
 I błogosławi
 Cichej prostocie.
 A wtedy ludzie,
 Snem słodkim zdjęci,

Schylają głowy
 I śpią jak święci.
 I czego ludzkie
 Nie dojrzy oko —
 Tam nad gwiazdami,
 W niebie wysoko.
 Widzę tę Panią
 W jasności złotej.
 A dusze zmarłe,
 Dzieci, sieroty,
 Starce, dziewczyny
 W lilijowej bieli...
 I ci, co w wojnie
 Walcząc, zginęli,
 Przy swej Królowej
 W śnieżnym obłoku,
 Jak pełne oku,
 Jawią się oku.
 Matka-Królowa
 Z świętą Dzieciną,
 Przy niej szczęśliwą,
 Po niebie płyną,
 A wyciągnięte
 Ku ziemi łonie
 Ziarenka złote
 Sieją na błonie
 I w serca ludzkie
 Temi ziarnami,
 Co to się zowia
 Bujnemi łzami.
 I okrywają
 Tą lamą złotą,
 Co to się zowie
 Na świecie enołą.
 I oczyszczają
 Tym jasnym zdrojem.
 Co to się zowie
 Serca spokojem.
 Duch prosty słyszy
 Ten głos w przestrzeni:
 „Ubody, cisi
 Błogosławieni”.

Zachwycenie ¹⁾.

(r. 1854)

g) Matulu moja, powiedzcie przecie,
 Coście widzieli na tamtych świecicie?

„O, moje dziecko, bytam ja w raju,
 Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju,
 Same jabłonie i wielkie grusze;
 Na nich najczystsze umarłych dusze
 Za dobry żywot, za świętą enołę
 Popromieniane w owoce złote,
 Na cienkich prątkach pod liśmi wiszą,
 W ciepłem się słońcu pięknie kołyszą;
 Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
 Bo zaraz lecą w górę do nieba.
 Potem widziałam jasne niebiosy,
 Ową pszenicę z złotemi kłosy,
 Co się pochyla pod Boże nóżki:
 Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
 Potem widziałam przeróżne kwiatki:
 Te w Bożych łąkach przesłizne bratki,
 Co się na ziemi bardzo kochali,
 A potem w niebie powyrastali”.

„Mateńko moja, proszę ja ciebie,
 Co też tam robi Pan Jezus w niebie?...
 Co robi w niebie Gwiazda Zaranna,
 Królowa nasza, Najświętsza Panna?...”

„O! moje dziecko, o! kochające,
 Jezus owieczki pasie na łące,
 Jak śnieg bieluchne, co skubia trawę
 I nie boją się, takie łaskawe
 A to są dusze błogosławione,
 Które cierniową zniosły koronę.
 Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy
 Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy,
 I jużby wszystkie dzieci sieroty
 Miały koszulki z onej roboty,
 Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
 Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
 Tych srebrnych nitek babiego lata,
 Co się na naszych płotach oplata”.

¹⁾ Zachwyceniem lud nazywa sen letargiczny, podczas którego dusza śpiącego przebywa w świecie nadziemskim.

„Matulu moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?”

„Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z łitości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi
I przez tę łitość zboże się pełni”.

„Jest też, jak u nas, matulu droga,
Taka wesołość u Pana Boga?”

„O! moje dziecko, jak ci się zdaje,
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje”.

„A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi więszy chłopcy w dąbrowie?”

„O! jeszcze piękniej, jeszcze weselej
Na złotych skrzyptkach grają anieli”.

„A gdzie się uczą przerwanych pieśni?”

„Tam, gdzie się uczą piaszkowie leśni
I nasi ludzie: — w rumianie zorzy,
We łzach radości, w miłości Bożej...”

„Matulu moja, powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną.
Naszą chałupę, bydle na smugu.
Siostrę w zagonie, ojca przy plugu?
Widać tam dziewczę, co zbiera ziele —
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórku, przy Bożej męce?”

„O! widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy;
Jeżeli ludzie w grzeszy popadną,
To zaraz z żalu anioły bładną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi”.

„Powiedzcie teraz, matenku droga,
Co tam jest więcej u Pana Boga?”

„Potem widziałam — strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą
Przewracał zwołna z smutkiem głębokim
I patrzył na świat żalonym wzrokiem.
Bo w owej księdze wszystko tam stoi:
Co tylko człowiek na świecie zbroi —
I co się stało i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie;
Kiedy śmierć czeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko”.

„Słuchajcie ino, matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?”

„Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest odkryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem;
Tylko z promieni, co stamtąd lecą
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie Boże”.

„A jak daleko, Matko, do nieba?
To pewnie z miesiąc isć tam potrzeba?”

„Bogać tam miesiąc, o moje dziecko,
Isć tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi, jak braci własnych,
To wkońcu dojdzie do niebios jasných,
I Piotr mu święty, apostoł Boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy”.

„Toście wy dużo, matko, widzieli,
I pewniebyście wrócić tam chcieli;
Więc jak pójdziecie, matenku droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga”.

„O! ty zostaniesz, male pachole,
Bo któżby gęsi wypędzał w pole?
Ktoby po lesie zbierał jagody?
Graniastą krówkę pędził do wody?”

Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki?
 Ktoby na ogień przynosił krzaki?
 Tak, moje dziecko, moje kochane,
 Ty się zostaniesz — ja nie zostanę“.

„Ej, co tam gadać, wamy umrzecie,
 Jest ci już dużo na tym świecie.
 Powiedźcie lepiej, jak też to było,
 Jak się błękitne niebo skończyło“.

Bitwa racławicka.

(r. 1865)

(Urywek z większej całości).

h) Zaparskały wszystkie konie,
 Zabrzękły paszasje;
 Maszeruje opolitanami
 Polskie wojsko nasze.
 Maszeruje, nie żartuje:
 Kraj jak malowany;
 Idą nasi, w trabki grają,
 Biją w tarabany.
 Oplotkami, szeregami,
 Konnica, piechota;
 Małe dzieci zadziwione
 Patrzyły z za płota,
 Powłaziły na gąszenie,
 W te zielone paszasje,
 I na szwabach, na topolach
 Siedziały, jak chrząszcze.
 Tyle naszych idzie, jedzie,
 Jak gościniec długi:
 Lecz Kościuszki nie poznali,
 Bo był, jak i drugi,
 A ci ludzie, co poznali,
 To mówili sobie:
 Że też taka wielka dusza
 W tak małej osobie. —

Kolem, kolem, ponad siołom
 Kraży sokoł siwy,
 Pochował się przed sokołom
 Wszelki paszasek żywy.

Wyciągnięty, jak rozpięty,
 To skrzydłami wczuszy...
 Popatrzał się nasz Kościuszko:
 Niema żywej duszy.
 — Choćż niema żywej duszy,
 Ani żadnej trwogi.
 Sprowadzić mi przewodnika,
 Co zna wszelkie drogi;
 Trza mi czelaka nie zdaleka,
 A z tej samej wioski,
 By prowadził, a nie zdradził
 Ten naród krakowski. —

Więcej się skłonił przed Kościuszką
 Wójt, gospodarz solny,
 Z pod kościoła sprowadzony
 Starszerek stuletny.
 Ten choć oczy dawno stradał
 W okropnym pożarze,
 Gdzie co leży, jak należy
 Dokładnie pokaże.
 Krzywym wężem się podpiera,
 Ręką na wiatr maca,
 I przez ścieżki nieznaną
 Drogę sobie skraca.
 — Już ja dawno słyszał o tem,
 Rzekł, ściągnąwszy ręką,
 Żeście, ojcie, pokarali
 Wrogów pod Dubienką.

A głowę jeszcze powiadali,
 Jak to po zwyczajn,
 Śmiejąc kędyś wojowali
 Aż w murzyńskim kraju,
 Na waga perel uryjańskich
 W podarunku dano,
 Sławy grochu łuszonego
 Wyborek w kolano,
 I że za te perły drogie,
 W morzu wybierane,
 Faryzuchaliście wykupić
 Ciepłą kochaną. —
 A Kościuszko z wdzięcznym
 [śmiechem:
 — Serdeczny ojezulu,
 Słuchaj można garścią perel
 Ciepłe Polsce bólu...
 Lecz że kraju nie wykupić,
 Tedy go wróg przywłaszczy,
 Jak ognienia nie wyprosić
 Z głodnej wilka paszczy,
 Wzrost jak szecerze, jak żołnierze,
 Przy pomocy nieba,
 Obrozoną Polskę naszą
 Krewią odkupić trzeba.
 Krewią przeczystą, nie pogańską
 Ale chrześcijańską,
 Krewią kropłą odważoną —
 Perłą uryjańską;
 Białami to perły, ojeze,
 Co nam w żyłach płyną,
 Wykupimy Polskę naszą,
 Matczkę jedyną.
 Prawdać, prawda, Naczelniku,
 Na mój rozum kmięcy:
 Choć chce na chleb zapracować,
 Masi zgarbić plecy.
 Słuchatec tedy Bóg pomaga
 I Matka Gidelska,
 W polskiej roli wyorana
 Królowa Anielska;
 Słuchatec tedy... — i przycichnął
 Starzec siwowloty,
 Wstół kolana w grząską ziemię,
 Ręce wznioł w niebiosy,
 I za oczy pociemniałe,

Co nie widzą słońca,
 Na te smutne oczy białe
 Wyszła tza gorącą...
 I przysgarbiał poźółklemi
 Dłoni wietrzyk polny,
 I brzęk szabli narodowej,
 I głos pieśni wolnej...
 Madaliński i Kościuszko,
 Piechota, ulani,
 Stali nawpół rozrzwieni,
 Nawpół zadumani.
 — A cóż mówisz, Jenerale?
 I potoczył po narodzie
 Wszak to szlachcie prawy!
 Wzrok serdecznie tżawy.
 Matko Boża, Pani świata,
 Ojeze Zbawicielu...
 A seree w nim zakolata,
 Jako dzwon Wawelu:
 Co przepadło, to przepadło,
 Co żywa, to żywe,
 Nie nadobne, co nadobne,
 Lecz co sprawiedliwe,
 Dziadku dziadku, wstaniecie
 [z ziemi! —

Lecz starzec nie wstaje,
 Tylko ręką na powietrze
 Nieme znaki daje:
 — Idźcie, idźcie prostą drogą,
 Idźcie z wami taki,
 Co z rozkazu Matki Bożej
 Prowadził Polaki.
 Idźcie, idźcie po powietrzu,
 Ziemi nie dotykaj...
 A mnie dajcie ucałować
 Ręce Naczelnika... —
 I odwiedli nabok dziada,
 Działwa na koń siada;
 Mgła w dolinach się rozrzeda,
 Opada, opada.
 A z pody mgły rozpedzonej
 Jakby skrzydłem ptaszem
 Kraj szeroko się wynurza
 Siwem polem naszym;
 Krzemienisty, kamienny,
 Pelen traw i wzgórzy,

Przecinany, poszarpany,
 Jak po wielkiej burzy.
 A gdzieś niedzicie w ciszy złotej,
 Któręj nie nie budzi,
 Stoją brzozy jak sieroty
 Po odejściu ludzi.
 Mgła opada na nizinach,

Leci za kraj świata,
 Anioł Boży z dolin, wzgórz,
 Sive mgły rozmiata.
 I wyześcił całe pole
 Jak oka żrenice,
 I pokazał... tam Moskale,
 A tu — Raclawice.

Rzym Italia.

(pomędzy r. 1856 — 1890)

I) W Italji pięknej tej
 Wciąż pamięć żyje Romy,
 Purpurę świętą jej
 Podarły czasów gromy.

A przecież z ruin tych
 Nie stary blasków deszcze:
 Wyblakły purpur szych —
 Gdzie spojrzysz — widać jeszcie.

Wyjdź w pole, pastuch tam,
 Owity w płaszcz, nad drogą
 U czarnych rzymskich bram
 Konsula zdradza togą.

Matrony rzymskiej twarz
 Co krok cię wita w Rzymie,
 W posagu twarz tę znasz:
 Kornelja jej na imię.

Jak różny włoski rym,
 Łatynów męścia mowa,
 Tak Scypionów Rzym,
 Taką Italia nowa.

Nie wskrzesi męskich dusz,
 Pod ciężką śpiących ziemią,
 Których wżółt rzymskich wzgórz
 Mauzolea drzemią.

Nie ludzi, bogów rzecze
 Odnawiać karty dziej;
 Jedyny rzymski miecz
 Przypasał wódz z Kaprei.

Duch wolny w męzu tym,
 Bogaetwo: pląg i chata, —
 Allé nie dojrzyś w nim
 Powagi Cyneynata.

Porzucił spokój chat,
 Walecznych Rzymian wzorem,
 Lecz w tonie waszych rad
 Nie będzie wam Nestorem.

Spaloną wolnych kość
 Rozniosły hord kopyta,
 Cezarów pychę, złość
 Ogarnął jezuita...

I w czarnym płaszczu swym
 Jak w głowniach ukrył żary:
 Italjo, znam twój Rzym
 I twoje znam Cezary...

A gesta — został gest,
 Konsulów gest pastucha:
 Z purpury szczełek jest,
 Rzymskiego brakło ducha.

Lecz światu gorzej z tym
 Italji kształtem nowej,
 Że ten z marmurów Rzym
 Nie pysznił się nad głowiy...

Ha, pomyśl, jakbyś drzał
 Po rzymskich ulic bieli,
 Bronzowy gdyby miał
 Pchnąć konia Aureli...

Wzrysk na szyi swej
 Wzruszoną czuł obróżę;
 W szczyście wzdwy tej
 Spłoszale łozę...

Italskich krzyżów lot
 Nie orłów wartkiem piórem:
 Jowisza włoskich grzmot
 Nie straszny nad Augurem.

W Genui w pałacu Dorjów.

I) Niechże znużone oko odpoczywa
 Pod kolumnami w tej czarownej stronie,
 Skąd widzę każdy okręt, co nadplywa,
 Nim kotwa jego w przystani utonie.
 Przez błękit, co tu wpośród kolumn świeci,
 Szczęśliwą życia wspominając wiosnę,
 To nieśięgniona jaskółka przeleci,
 To się zapędzą gołbie zadrzose.

Najłżejszy wietrzyk w sosny nie powieje,
 Nad morzem miasto i port błękitnieje;
 Muzykę słyszę w takt srebrnej fontanny,
 A w piersi moje wpada powiew ranny,
 Stucham i patrzę na modry świat morza,
 Jak drugi Dorja, genueński doża.

Czarowna ziemia, i nikt się nie żali,
 Oprócz gołbia, co jęczy pod drzewy,
 A w skwarne słońcu krzykliwych czikali
 Wkolo wesole wołanie i śpiewy;
 Rybak tam łódkę wyciąga na żwiry,
 Niewiasty w dzbany czerpią wód szafiry;
 Czar mnie ogarnia, wszystkie zmysły chwytą,
 Oko w błękitach rozciągniętych tonie,
 Na brzeg mię morski wabi Afrodyta;
 O smutki moje! czyż was nie odgonię?...

Wiersz na cześć 25 lutego 1861 r. w Warszawie.

(1861)

K) Dojrzewa owoc lez,
 Jak bliski bólów kres,
 Wód i lkań,
 Słyszony słuha wróg,
 I sąd groba woła Bóg:
 Baczera wstań!

Pochwalne hymny nuć,
 Spowicia grobów zrzucić,
 Świadectwo złość:
 Ze jest na niebie Pan,
 Ze wszelki ból mu znan,
 Ześ wezwan już...

Patrz, jaki wkoło dziw,
Ześ westchnął, żeś już żyw,
Łazarzu mój;
Toż jam obiecał ci,
Ze przejdą bólów dni,
Ze śmiercią bój.

Mówiłem do twych usz
Harf brzękiem, gzmotem burz;
Tak mówi Pan,
Co bólem stawia kres,
Co liczy krople łez
I ilość ran.

Powstałeś, jakoś padł,
A wróg przed tobą zbladł
I dał ci cześć.
Święty go przejął srom,
Pokłonił się twym łzom,
Ócz nie śmiał wnieść.

Zawstydził się swych strzał,
Boś z nagą piersią wstał,
A miecz twój — jęk;
I tak się spełnił cud,
I stopniał lodów lud,
W łez morze zmieknął!

Bezbożnych zdala rzesz,
Mówiłem: wierz! o wierz!
Jam stworzył świat!
Jam ci odebrał dech,

Proch na cię miott i śmiech
W żalobie lat.

Byś poznał ludu szloch,
Byś poznał, żeś jest proch,
Proch, cień i nic.
Tak pycchy twojej róg
Ukrocił w grobach Bóg,
Twych butność lic.

W grób twój złożyłem zwłok,
Lecz ducha'm obmył wzrok,
By przejrzał raz,
Nieziemskie oko wzbil
W świat potęg, cudów, sił,
Byś z źródła prawdę pił
Na przyszły czas.

I tyś, jak jeleń kniej,
Pił z czystych źródeł jej,
W jej patrzal zdroj.
I cały grobu wiek
Tyś krzyża mego strzegł,
Łazarzu mój!

To dziś już grobów dość,
Skruszona wrógów złość,
Coś gniotła krtać;
Spowicia grobów złóż.
Łzom twoim koniec już:
Łazarzu, wstań!

Opracował BRONISŁAW CHLEBOWSKI (1914 r.)

ZIELIŃSKI GUSTAW

(1809 — 1881)

Astor popularnego „Kirgiza”, jeden z epigonów wielkiej naszej grupy romantycznej, urodził się Gustaw Ziełiński na Kujawach, w wsi Markowicach, dnia 1 stycznia 1809 r., jako syn Norberta, pułkownika kościuszkowskiego, i Kazimierzy Ziełińskich. Uczył się w Toruniu, potem w Warszawie i w Plocku. Ukończywszy nauki z odznaczeniem, wstąpił w r. 1827 na wydział prawa i administracji uniwersytetu warszawskiego, a więc równocześnie z Zygmuntem Krasieńskim. W r. 1831, jako ochotnik, później podoficer korpusu artylerji, bił się pod Paprotnią i Królikarnią, w pamiętne dni 6 i 7 września bronił Warszawy, aż wreszcie z korpusem Ryśkowskiego wyruszył zagranicę. Ale już w następnym roku, korzystając z amnestji, powrócił do kraju i osiadł na małym folwarczku, osiedlonym mu przez stryja Józefa. Z tego też czasu datują się pierwsze jego próby poetyckie, mające przeważnie charakter liryk osobistych. W r. 1833, za stosunki, zresztą przelotne z oddziałem partyzanckim, działającym w pow. lipnowskim pod dowództwem Karola Borzewskiego i Artura Zawiszy, Ziełiński został aresztowany i wysłany na Syberję. W dalekiej podróży na wschód azjatycki najwięcej zwracał jego uwagę szczegóły etnograficzne: postać wewnętrzna, ubiór i obyczaje ludów tamtejszych, Czuwaczów, Czeszczołów, Wotjaków, Tatarów, Ostjaków, Samojeđów; z zapalem też mówi w swoich listach o zachwycających i majestatycznych krajobrazach dzikiej przyrody syberyjskiej. W Tobolsku, gdzie przeżył rok, trapiła go „ośmiomiesięczna zima i całoroczne nudy”; przykrość położenia sldziło mu towarzystwo Polaków — zesłańców: Konstantego Wolickiego i Stanisława Dołkiewicza. W Tobolsku napisał Ziełiński kilkanaście drobniejszych poezyj oraz pierwszy swój słabszy utwór, poemat p. t. „Samobójca” (1835, drukowany w Toruniu w r. 1878), z wyraznemi reminiscencjami „Marji”, „Dziadów” cz. III, „Kordjana”, „Zmii”, dumek Zaleskiego. W końcu w 1835 r.

przeniesiono Zielińskiego do odległego o 30 wiorst od Tobolska miasta Iszymia, gdzie przebywał kilkanaście lat, dzieląc czas między książki i czasopisma, twórczość poetycką, wycieczki w stepy dla tem dokładniejszego poznania kraju i ludzi, pogawędki w liczniejszym towarzystwie, niż w Tobolsku, gronie Polaków. Interesuje się też ruchem literackim i w listach do Zygmunta Komornickiego wypowiada rozumne, nacechowane głębszą znajomością sądy o autorach polskich, francuskich i niemieckich. W Iszymiu poeta ukonałszy zaczęty jeszcze w kraju dramat historyczny p. t. „Zbigniew” (1839), który, zgodnie z życzeniami autora, pozostał w rękopisie. Chmielowski, który czytał manuskrypt, twierdzi, że charakter są tu kreślone „w sposób ogólnikowy i bardzo małą liczbę rysów sumiennych wykazać mogą”, roznoimy zaś „przemieniają się na rozprawy i rozmyślenia”, że brak wreszcie „Zbigniewowi” takich „świeżych i oryginalnych pomysłów, ażeby same przez się zajęć mogły i zakrytych niedostatków akcji” (wstęp do wydania zupełnego „Poem” Gustawa Zielińskiego z r. 1901, str. 153). Widoczne stąd, że „Zbigniew”, jak i wiele innych utworów poetyckich Zielińskiego, nie wznosi się ponad poziom szablonu literackiego. O wiele wyżej stoi poeta, gdy czerpie natchnienie nie z książek, lecz z życia otaczającego, zwłaszcza z barwnych, podniecających wyobrażeń wrażeń orientalnych, krajobrazowych i etnograficznych. Wycieczka w stepy iszymskie, zaludnione przez wędrujące hordy Kirgizów, tak niepodobnych do „owych czułych, płaczących, Kochających, wzdychających postaci arkiadyjskich pastery i pasterek”, mieszkających wymarzonej w XVII w. krajiny ezuboi, „pays du Tendre”, zawdzięczamy poemat opisowy p. t. „Stepy” i powieść p. t. „Kirgiz”, „Stepy” poprzedza wstęp, prozą pisany, zawierający charakterystykę plemienia Kirgizów i zamieszkanego przez nich kraju. Sam poemat rozpada się na cztery pieśni: I) Step, II) Góry, III) Bajga, IV) Śpiew; początkowo tytuł jego brzmiał: „Fantasmagorie”. Poszczególne części utworu nie są dostatecznie zharmonizowane; nastroje krajobrazowe w pierwszej pieśni, refleksje filozoficzne w drugiej, obrazy z życia kirgidskiego w trzeciej i czarnej. Całość technicznie zapalen romantycznym, podnieconym lekturą „Farysa” i „Sonetów krymskich”, choć nie brak wzmianki o „Herkulesie przy boku Omfalii” (całość ukazała się w druku w r. 1856, w Poznaniu). „Kirgiz”, drukowany po raz pierwszy w Wilnie w r. 1842, a potem wielokrotnie do ostatnich latach przedrukowany, zarówno w ozdobnych, ilustrowanych edycjach, jak i w tanich wydaniach szkolnych i ludowych, to korona twórczości Zielińskiego, jedyny jego utwór, który pozostał w pamięci narodu. Swą wielką popularność zawdzięcza ten poemat przedewszystkiem doskonałemu zespoleniu pierwiastków twórczych, czego nie było w „Stepach”, harmonijnej budowie, zwartej, zajmującej akcji, a potem malowniczym obrazem stepu (piękny opis burzy), oraz życia i obyczajów kirgidskich. Wreszcie „Kirgiz” czaruje wy-

obrażają i chwytają za serca polem romantycznym, farysowym i gwałtownie w przeszłość bezkresną — ku swobodzie. Młody Kirgiz, bohater poematu, uciekający z miejskiej jarm kamiennych, daży wprawdzie tylko do wolności osobistej, ale zaraz jest symbolem wolności i pragnień zarówno samego poety, oddalonego o tysiące mil od ukochanych i ojczyzny, jak i współczesnego mu pokolenia Polaków. A wysokie napięcie rozgranych w duszach bohaterów samotności (gwałtowne pożądanie swobody młodego Kirgiza, nienawistność jego do Bija, miłość płomienna ku Demeli) na ile podobnie subiektywnych żywiołów (burza, pożar stepu) podnosi urok romantyczny „Kirgiza”, jak i gorący koloryst wschodni, nie konwencjonalnie-literacki, ale wiernie oddający rzeczywistość, trochę może także stylizowaną. „We wszystkich tych szczegółach — mówi Chmielowski — widnieje chęć odtworzenia rzeczywistości, ale i owdzie jeno uidealizowanej” (tamże, str. 191). Niższe są natomiast, prawdopodobnie też napisane w Iszymiu, dwie powieści: „Kochanki Reduina”, ułożony wierszem, a osnuty na motywach, zaczerpniętych z dzieła Lamartine’a „Podróż na Wschód” (o koniu, który poma swego wyzwolił z niewoli), i pisany prozą „Antar”, opowieść fantastyczna o młodym Arabie i przemienionej w gazelę czarodziejce. Wreszcie mniej wzbudzają zaciekawienia dwa obrazki poetyckie, one też konwencjonalnie odtworzonej przeszłości narodowej osnute: „Dwa z Kepy” i „Giermek”. W chwili, gdy „Kirgiz” dał się poznać czytającej publiczności polskiej, autor jego, po 8-letnim wygnaniu, powrócił już do kraju (koniec 1842 r.). W dwa lata potem ożenił się w piątym roku życia, wziął żonę, którą poślubił w wieku 27 lat, i zaczął prowadzić spokojny, nie zakłócony już żadnymi przygodami romantycznymi żywot ziemianina-obywatele, nie uchylającego się od obowiązków publicznych: jako radca dyrekcji głównego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, jako sędzia pokoju powiatu lipnowskiego, jako członek rady przemyślowego oddziału rolniczego przy Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, jako członek komitetu Towarzystwa Rolniczego, jako przewodniczący rady powiatowej powiatu lipnowskiego, wreszcie jako założyciel pierwszej w kraju spółki obywatelskiej, p. n. „Domu Złocień rolników płockich”, rozwijającej swą działalność między r. 1858 a 1865. Wysoce poważany w kręgach ziemianńskich za swą pracowitość w sprawach publicznych i prawach charakteru, nie znajdował sympatii u żywiołów radykalnych, nie sprzyjał bowiem ruchowi r. 1863 i niechęci swjej ku niemu nie ukrywał. Stosunek swój do prądów rewolucyjnych i socjalistycznych wyraził Zieliński w ciekawym bardzo wierszu, napisanym w r. 1865 i dodanym później do „Samobójcy”, „w miejsce przedmowy”. Z dłuższych utworów powstały w tym okresie: poemat katastroficzny p. t. „Pokusy”, o kolorystyce wschodniej, urywek dramatyczny p. t. „Czarnoksiężnik Twardowski” (wydrukowany w Warszawie w r. 1856), komedyjka prozą w 5 odsłonach p. t. „Panna

włoszianka", pozostająca dotąd w rękopisie, wreszcie powieść historyczna p. k. „Manuela”, opowiadanie o przygodach romantycznych młodego oficera polskiego w Hiszpanii w r. 1808 i o tragicznej miłości jego do pięknej Hiszpanki Manueli, na szeroko zakrojonem te zdarzeń historycznych z epoki napoleońskiej (utwór ten ukazał się w druku jako dodatek powieściowej do „Tygodnika Ilustrowanego”, ze znacznymi skróceniami). Próbował także Zieliński sił swoich w monografiach historycznych, jako autor nie ukończonych rozprawy p. t. „O ziemi dobrzyńskie”, badanie historyczne, z mapą (w „Bibliotece Warszawskiej”, r. 1861, t. III) i „Wiadomości historycznej o rodzie Świnków oraz rodowodu pochodzącej od nich rodziny Zielińskich herbu Świnka” (z części w 3 tomach, drukowane w Toruniu w r. 1881). Podczas druku ostatniego tomu tej pracy śmierć go zaskoczyła (dnia 23 listopada 1881 r.), w 73-cim roku życia. Talent mało oryginalny, żyjący głównie pokarmem duchowym, dostarczanym mu przez wielkich poprzedników, zwłaszcza Mickiewicza, Zieliński miał jedną chwilę w życiu, którą uczyniła go poetą samodzielnym, odpowiadającym pieśnią podniosłą na podniety zewnętrzne: chwilę zniechęcia się z dziewięcią przyrodą stepów kirgizskich i równie dużą duszą ich mieszkańców. Dodajmy do tego gorące umiowanie basza romantycznych, a otrzymamy główne czynniki estetyczne „Kirgiza”, jedynego dzieła Zielińskiego, które cełowało od zapomnienia.

WIDOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

A) Pisma Zielińskiego. Pierwsze wydanie „Kirgiza” ukazało się w Wilnie w r. 1842, potem utwór ten niejednokrotnie był przedrukowany w wydaniach kosztowniejszych, a także szkolnych i popularnych. Wyróżnia się piękna edycja Lipska z r. 1857, z 20 drzeworytami i 4 litografiami i chromo-litografiami rysunku hr. Al. Ryszewskiego, w ósemce dużej (powtórzone w r. 1867, Lwów—Poznań). Przekłady niemieckie: „Kirgiza”: A. von Bahna (Berlin, 1851) i Ottona Konigskego (Berlin, 1855), A. von Weissa (Lipsk, 1858), rosyjskie: Michajłowski (1857) i Orbienszczykowa (Tomsk, 1910, z ilustracjami), czeski: Józefa Kollarza. Z innych utworów Zielińskiego ukazały się za jego życia w osobnych wydaniach: „Czarneksiężniczka Twardowski, dwa ustępy z dramatu, osnutego na podaniach gminnych” (Warszawa, 1856) oraz „Stepy, poemat” (Poznań, 1856), przetłócone na niemiecki przez A. von Weissa (Lipsk, 1858). Pierwsze wydanie zbiorowe ukazało się w Warszawie w r. 1846 i zawiera: Jana z Kepy, Giernka, utamek z poematu „Samobdja”, Kirgiza, Stepy, Konia Beduina i Wiersze różne. Najpiękniejsze wydanie

znane wyszło staraniem rodziny w Toruniu w roku 1901, z wizerunkami poety, poprzedzone monografią obszerną, napisaną na podstawie listów i dokumentów przez prof. P. Chmielowskiego, w dwu tomach: 1) drobne wiersze, w młodości pisane, drobne wiersze późniejsza i 2) Jan z Kepy, Giernek, Samobdja, Stepy, Kirgiz, Koń Beduina, Antar, Pokusy, Czarnoksiężnik Twardowski, Przekłady, Inne wiersze w skład tego wydania: 1) Dramat p. t. „Zbigniew” (z wierszami w rękopisie), 2) komedycja prozą w 5 aktach p. t. „Manuela włoszianka” (rękopis), 3) powieść historyczna z czasu kampanii hiszpańskiej w r. 1808 p. t. „Manuela” (drukowana w Warszawie, w dodatkach do „Tygodnika Ilustrowanego, ze znacznymi skróceniami), 4) O ziemi dobrzyńskiej, badania historyczne, z mapą, z „Bibliotece Warszawskiej”, 1861, t. III), 5) Wiadomości historyczna o rodzie Świnków, oraz rodowodu pochodzącej od nich rodziny Zielińskich, herbu Świnka, 2 części w 3 tomach (Toruń, 1881), 6) artykuł o prawie rólniczym w dawnej Polsce (Encykl. Rolnictwa, tom V), 7) Starożytności dobrzyńskie (w „Wiadomościach technologicznych” (t. II, Warszawa, 1874). Nadto drobniejsze prace z „Bibliotece Warszawskiej” i w „Encyklopedji Powszechnej” A. Engelbranda.

B) O Zielińskim pisali: 1) Chmielowski P. Zyciorys i omowa dzieł we wstępie do toruńskiego wydania „Poezji” z roku 1861; 2) Koźmian. Rozbór „Kirgiza” w „Przeglądzie Poznańskim” z r. 1846; 3) Tyszyński A. O. „Kirgizie” („Rozbiory i krytyka”, III); 4) Kaszewski K. „Gustaw Zieliński” („Tygodnik Ilustrowany”, 1861); 5) Korotyński W. „Gustaw Zieliński” (Tyt. Nowy, 1881); 6) Sokółowska. Gustaw Zieliński „Ktosy”, 1881; 7) Zieliński J. Przyczynek do biografji autora „Kirgiza” („Tygodnik Ilustr.”, 1895, D; 8) Zdziechowski M. Byron i jego wiek (t. 2); 9) X. Gustaw Zieliński nieznanne jego listy („Tygodnik Polski”, 1891); 10) Gomułicki W. Autor „Kirgiza” w literaturze i w życiu „Kraja”, 1902; 11) Matuszewski Ign. Diabel w poezji (II wydanie Warszawa, 1899); 12) Zatey H. Wstęp do „Kirgiza” w wydaniu F. Westa (Brody, 1908); 13) Jellenta C. Wszehpoemat i najnowsze jego dzieje (1894); 14) Galle H. Autor „Kirgiza” (Biblioteka Warszawska, 1909, D); 15) Tenze. Śpiewak „Kirgiza” („Tygodnik Ilustrowany”, 1907, T. 1).

A) Kirgiz, powieść.

(1842)

Bohaterem poematu jest młody Kirgiz, nie wskazany z imienia. Kiedy jeszcze był dzieckiem, zamordowano mu ojca, a jego samego porwano i zaprowadzono kupcom w niewolę. Wyrósłszy z lat dziecięcych, zataknął młotem do stepów, do wolności i niekiedy z „surt kamiennych” miasta syberyjskiego. Od tej chwili zaczyna się poemat, na którego czele widnieje

plonieny monolog wyrwyjającego się ku swobodzie i ku zemście za śmierć ojca Kirgiza; młody bohater, przeżywszy burzę w stepie, spotyka wreszcie aut kirgijski, gdzie go przyjmują z wyłaną gościnnością. Nieszczęście chciało, że głową autu jest Bij, zabójca ojca młodego Kirgiza, i że ów młodzieniec pokochał pierwotną ognistą miłością od pierwszego wejrzenia 16-letnią hożą Demelę, córkę Bijka. Gdy w jego sercu toczy się walka między miłością a zemstą, Bij dowiaduje się od starszego czarownika, kim jest jego gość, ale zabić go w autle nie może, bo nie pozwalają na to prawa gościnności, ściśle u narodów wschodnich zachowywane. W jesieni Kirgizi ruszają w drogę. Niby bawiące się w wysięgi, młody Kirgiz i Demela wysuwają się niemalże na najdalszych koniach daleko przed łabór i postanawiają uciekać. Wtedy Bij, nie mogąc ich doścignąć, każe zapalić w trzech miejscach step. Płonienie ognia biegną z wiatrem szybciej niż konie i wkrótce pochłaniają ciała obojga nieszczęśliwych kochanków. Podajemy poniżej dwa cenniejsze urywki: ustęp liryczny oraz obraz burzy w stepie.

I.

a) „Dość! — dość żyłem nie sobie...
Duszno, ciasno, jak w grobie,
Żyć zamkniętym w ścian w czterech niewoli...
Mnie tu nuda zabije!..
Ha!.. tam chyba ożyję,
Gdzie powietrza... gdzie stepów dowoli...

Bom na stepach się rodził:
Wiatr pustylni mnie chłodził,
Gdym na koniu biegł stada doziera...
Ciągłe widne niebiosy
I step, błniący od rosy...
Ach! tam tylko i żyć i umierać!

Berkut, ¹⁾ z gniazda gdy dzieckiem
Wzięty sidłem łowieckiem,
Sądziś — zbrałaś się z tobą, ożwiocze?
O, poczekaj, niech z wiosną
Pióra w skrzydłach porosną,
Puść go tylko, on wie, gdzie uciecze!

Koniu! i ty u toku
Tęsknisz, choć ci obroku
Ani wygod nie zhywa stajennych —
I ty nie tuś się chował...
Ciebie Kirgiz hodował...
Nam nie użyć w tych jurtach kamiennych!

¹⁾ Berkuty są to wielkie orły stepowe, które Kirgizi układają do polowania (*Przyp. Peety*).

Noe — pomyślna do jazdy:
Świeci księżyc i gwiazdy,
Biały tuman po łukach wije się...
Spij — nie czekaj nas, panie!..
Na dzień dobry w świtanie
Wiatr ci chyba wieść o nas przyniesie“.

* * *

Leć, — w lewo i w prawo
Mkną przedmioty tak żawo,
Że nie poznać: dom, wzgórze, czy drzewo...
Leć — jeździec wzniosł ozło,
Spojrzat — stepy wokolo...
Przed nim, za nim, na prawo, na lewo.

Tu skończyły się drogi;
Wkrąg — jak zajrzysz — rozłogi
Puste, równe, faliste, szumiące.
Gdy w nich Kirgiz żegłuje,
Któż mu drogę wskazuje?
Niebo tylko przez gwiazdy lub słońce.

Leć, — któż ich dogoni?...
Tylko trawa się kłoni,
Gdzie ją rumał w przelocie dotyka;
Ślad i jeździec — to chwila,
Wnet się trawa odchyła,
Jeździec przemknął — a za nim ślad znika.

Ziolo, twory — w śnie drzemią...
Między niebem a ziemią
Nikt nie czołwa, nie żyje — w pustyni;
Jeździec powiódł oczyma:
Tak — nikogo tu niema,
On sam — w środku w tej ciemnej świątyni!

W tem czarnoksiężskim kole
Kraina mroku w dole,
Leć jej krańców wzrok jeźdźca nie sięga, —
Kraina światła — w górze
Iskrczy w ciemnym lazurze,
Środkiem jasna przestania ją wstęga.

b) Pędzą chmury za chmurami
Coraz większym, gęstszym tłumem,
Aż ostatnia z świstem, z szumem,
Przeświecana błyskami,
Dudni, huczy, grzmi. —

Deszcz kroplami padł wielkimi...
A kwiat stepu, spragniona wody,
Chwyta usy zawiędłemi
Te powietrznych pól jagody,
Rozplynięne w lzy.

Glucho... nagle straszonym blaskiem
Cała chmura w zygzak pękła;
Step rozwidniał — ziemia jękała,
Gdy w jej łono huknął z trzaskiem
Piorunowy strzał!

I z czarnego zaraz stropu
Deszcz nlewny rzeką lumał,
Jakby w nowy dzień potopu
Cały obłok się usunął
I step zalać chciał.

Niebo przez pół się otwiera
I zamyka na klucz gromów...
Step wodami wyżej wzbiera,
Powódź znosi świat atomów,
Robaczków i ziół.

Odtąd błyski bezustanne,
Jakby niebo było szklane,
Jakby z niebios Boża chwala
W strumień jasny się rozlała
Na zamierzchny dół.

Odtąd huk już nieprzerwany —
Jakby, z posad swych zachwiany,
Świat się z dawnych zgrębów ruszył,
I zapadał, walił, kruszył
W nieskończoną toń!

A na stepie w jasną chwilę —
Jeden tylko punkt ciemnieje: —
Duch?... wszak stoi na mogile?...
Głaz?... wszak burza nim nie chwije?..
To jeździec i kon.

B) Samobójca.

(r. 1865)

„Na własnej piersi skrwawiłem me pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem“.

B) Kończyłem drogę — wtem nagle przede mną...
Ujrzałem przepaść straszliwą i ciemną;
Paszcza otchłani, jak krater, ziejąca,
W obie się strony ciągnęła bez końca;
Isé niepodobna... ni też cofnąć biegu,
Więc smutny siadłem na skale przy brzegu
I wzrok miłości w tę stronę zwróciłem,
Gdzie wiodła droga, którą już przebyłem! —

Szlak ów przebyty nie wciąż był kwiecisty,
Rosły tam ciernie i sterczały glazy,
Leż jak w pustyni dzikiej i piaszczystej,
Tu, owdzie wdzięczne migwały oazy; —
Dalej, za szlakiem, był horyzont mglisty,
Gdzie w mgły przezroczu tak cudne obrazy,
Że, jako dziecię do swej matki łona,
Ku nim się rwała dusza utęskniona.

Długo wzrok miłym poilem widokiem,
Aż mnie z głębokiej obudził zadumy
Jakiś krzyk dziki, rzucany przedz tłumy,
Co do przepaści rączył biegly skokiem;
Tłumy wpońganie, całe w krwii i pianie,
Gaane przez furje z ohydnem obliczem;
Smagane z wężów ukręconym biczem;
Jak potępiency, spadały w otchłanie.

Jedna z tych furj, widząc mnie na stronie,
Zwróciła kroki i stałe przede mną: —
„Czego tu szukasz?... i oko twe tonie
„W ów świat miniony, odziany mgłą ciemną.
„Patrz! jak się niebo zaciąga chmurami,
„Patrz! jaka burza zrywa się za nami;
„Gdy gromy hukną, gdy luną zaloty,
„Ziemia z pod twojej usunie się stopy.“ —

„My śpieszym zdobyć dla siebie świat nowy,
„Idź z nami, — widzisz chorągiew na przedzie
„Krwawą i napis ognistemi słowy:
„Wszystko godziwe, co do celu wiedzie“, —

„Świat naszych życzeń jeszcze noc okrywa,
„Ale mrok pierzebnie, gdy rzucim paliwa,
„I błysnie luna z tak licznych płomieni,
„Ze przy niej słońce w oblok się zamieni“.

„Tam w głębi, słyszysz, świst machin i młoty;
„To są cyklopów dzisiejszych roboty;
„Olbrzymie luki przez przepaście wiązą,
„Nurt rzek zwracają, łono ziemi drążą,
„Oni przez lądy i przez oceany
„Ścielą nam drogi do przódziej wygranej;
„I znajdźcie dalej, parci siłą pary,
„Niż wy na skrzydłach fantazji i wiary.“ —

„Przepaść nie straszna!.. tylko się odważyć!..
„Ale kto z nami, musi się obnażyć.
„Zrzuć strój zdarty odwiecznej roboty
„Sumienia, wiary, i sławy, i cnoty;
„Nam, co idziemy posiąść nowe światy,
„Potrzebne szersze, wygodniejsze szaty,
„Niż te, co nosił syn cieśli — któremi
„Wolę i rozum skępował na ziemi.“ —

„Życie za krótkie i czekać za długo,
„By świat zdobywać pracą i zasługą,
„My chcemy — dziejów poczynając kartę,
„Wydrzeć — co tylko może być wydarte;
„Burzyć — to nasza idea przewodnia;
„A środki — sztyt, trucizna, pochodnia.
„Gdy wszystko stare wyszczem i zwalim,
„Wienczas wzniesiemy nową Jerozolim.“ —

„O! nie! nie!..“ rzekłem. „W pokorze i wierze
„Chrześcijańskie palnę wynieśli ze zgonu.
„I z Bogiem w sercu szli dawni rycerze
„Zutknąć znak święty na murach Syjonu.
„A wy! bez Boga, bez cnót, bez zapachu,
„Bez żadnej myśli dodatniej — przewodniej —
„Wy karty, z piętnem podłości i zbrodni,
„Frymarkiem, chcecie dojść do ideału!“ —

„Do wielkich czynów — wielkich cnót potrzeba!
„Pekory! aby dostać się do nieba!..
„Wam niegdyś bratnie Timura zastępy
„Znikły w pustyniach, pożarte przez sepy:

„Bo zbrodnia krótko dzierży berło świata,
„Bóg dobrej sprawie tylko da zwycięstwo.
„Cóż wam zostanie?... sława Herostrata!..
„I wieczne!.. tak, wieczne przekleństwo!..

„Ja tu zostanę z mą lutnią na brzegu,
„Nim ja na wieki do przepaści rzucę;
„Nim brzeg zapadnie, ów kres mego biegu,
„Ustęp, podjęty w mej drodze, zanucę,
„Pieśń tu nienowa i stare już dzieje,
„Smutna — jak wieher, co po grotach wieje;
„Prosta — jak życie, złamanej istoty,
„W której nie wygast głos prawdy i cnoty“.

Opracował HENRYK GALLE.

CZAJKOWSKI ANTONI

(1816 — 1873)

O życiu tego głośnego i poezynego niegdys w Warszawie za rządów paszkiewiczowskich poety szczerze jeno bardzo i urywane posiadamy wiadomości. Urodzony w r. 1816 (13 czerwca) w Krakowie, był synem Pawła Czajkowskiego, zmarłego w r. 1839, profesora literatury polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, poprzednika Michała Wiszniewskiego. Nauki szkolne pobierał zapewne w grodzie podwawelskim; tu też, w Wszechnicy Jagiellońskiej, studiował nauki prawne i uzyskał stopień doktora obojga praw po napisaniu „Rozprawy historycznej o prawach kobiet” (druk, w r. 1836 w Helela „Kwartalniku Naukowym”).

Okolo r. 1837 przeniósł się Czajkowski do Warszawy; przez lat kilka (1837—45) urzędował tu w sądownictwie; w r. 1841 był sekretarzem generalnego prokuratora w Królestwie. W tym czasie wystąpił publicznie jako poeta; poezje swoje ogłaszał najprzód w różnych czasopismach ówczesnych, najczęściej w „Bibliotece Warszawskiej”, ale już w r. 1841 wydrukował w Warszawie pierwszy swój zbiorek, p. t. „Niektóre poezje”,¹⁾ a w kilka lat potem drugi, obszerniejszy („Poezje”, Warszawa, 1845), w którym skupił wszystkie wówczas napisane utwory poetyckie, własne i tłumaczone. Wśród nich znalazły się najpiękniejsze i najpopularniejsze jego poezje, jak „Do Wisły”, „Śmierć Stefana Czarnieckiego”, „Do Augusta Cieszkowskiego”, „Pajak”, „Kurdy”, „Do mojej myśli”, „Walka Michała z szatanem”, jeden z najgłębszych i najoryginalniejszych; poetyckie transkrypcje podań i baśni ludowych, jak „Mada”, a przedewszystkiem poemacki, z zacięciem ludowym napisany — „Baśń o żelaznym wilku”. Do najdatniejszych utworów Czajkowskiego należą jego przekłady „Beppsa” Bajrona i „Hermana

i Thorety” Goethego. We wszystkich tych utworach uderza czytelnika dbałość o wykwint i artyzm formy — słowa i wiersza; efektywność jest też jedną z cech jego talentu, pokrewnego talentowi młodszego nieco Felicjana Faleńskiego, który o lat dziesięć później wystąpił jako debutant na widowień twórczości poetyckiej. Był się znali obojście, niewiadomo; Faleński w wspomnieniach swoich o tem nie mówi; w każdym razie były to, jak się zdaje, osoby bardzo sobie bliskie i równie skupione; obaj rzadko się wyrażali, a wybuchy uczucia tłumili. Przyjaźnił się natomiast Czajkowski z Cyprjanem Norwidem. Z „cyganerją” ani jeden, ani drugi się nie łączył; nie należał też do niej Faleński. Jedynym śladem jakiegoś stosunku Czajkowskiego do tej cyganerii jest głośny wiersz jego „Pajak”, umieszczony w jednym z jej wydawnictw w „Jaskółce” r. 1843 Zmorskiego i Dziekońskiego). Zapaisał się ona później do „cechu głupców”, zbierających się u Wilkońskich, do którego netylko cyganie mieli zaszczyt należeć.

W r. 1842, pod wrażeniem „przecudownego”, jak się wyraża, wiersza Norwida, który ten na zebraniu u Leona Lubińskiego zapisał za powrotem z wędrowki po kraju, odbytej wraz z Władysławem Wężykiem, pisze Czajkowski ku chwale jego jakby hymn, słodzy, oryginalny w pomysle, utwór: „Do Norwida”; obiega wiersz ten w odpisach po salonach warszawskich i dostaje się aż do emigracji; niechętny bowiem Norwidowi Konstanty Gaszyński wspomina o nim w r. 1851 w liście do Siemienińskiego, jako o jednym z „cyganików, które jakoby wbiły autora „Promethidiona” wraz z pochwałami salonów w niepomierłą pychę. Wywodził się Czajkowskiemu Norwid wierszem „Pióro”, wpisany własnoręcznie do pamiętnika autora „Pajaka”. Wiersza „do Norwida” nie ogłosił Czajkowski współcześnie; dopiero w lat kilkanaście potem umieścił go w dodatku książkowym do „Słowa” petersburskiego z r. 1859, opublikowanego przez Józefa Obryzka. Był już wtedy Czajkowski od lat kilku profesorem prawa polskiego w uniwersytecie w Petersburgu; a w r. 1859 należał wraz z Spasowiczem, Żeligowskim i innymi, do redakcji krótkotrwałego „Słowa”. Spasowicz, który o tem wspomina, nie daje nam żadnych bliższych wiadomości ani o życiu, ani o działalności Czajkowskiego jako profesora w Petersburgu, z którym kolegowal w wszechnicy nadniewskiej, ani nie kreśli nawet jego charakterystyki.

Od wyjazdu z Warszawy twórczość poetycka Czajkowskiego niemal ustala; oddany poważnej pracy zawodowej i wykładom w katedrze, nie miał zapewne na to czasu; od czasu do czasu tylko ogłaszał w „Bibliotece Warszawskiej” jakiś wiersz własny lub jakiś przekład, zwykle pod względem formy starannie wykonany.

Zmarł Czajkowski w Petersburgu, dnia 9. lutego 1873 r.

¹⁾ „Wydanie Władysława Bentkowskiego”. Poprzedzone ciekawą przedmową: „Wydawca do czytelnika” (V—XXIV).

BIBLIOGRAFJA.

Twórczością Czajkowskiego mało się dotychczas zajmowano. Pisali o nim: Chmielowski w W. Encykl. Powsz. Ilustr. t. XIV (1895) i w „Historji liter. polskiej”, t. V, str. 156 — 158, i Matuszowski w książce „Djabel w poezji” wyd. 2. (Warszawa, 1899), str. 266 — 268.

A) Pająk.

(„Jaskółka”. Pamiętnik ułożony przez K. Zmorskiego. J. Dziekońskiego. Warszawa, 1843. Str. 69 — 71.)

Pająk się Mateo Boskiej sprzeciwia:
Bo chociaż Ona przędzie tak cienko,
On cienie snuje swoje krosienko
I w srebrne barwy jaśnie oszkliwia —
Więc nie grzech zabić pająka.

Lecz pająk wieszczek, po srebrnej sieci
Z rana nieszczęścia zwiastować leci;
A gdy wieczorne godzinny wieją,
Wróżbita, złotą cieszy nadzieją —
Więc szkoda zabić pająka.

A pająk muzyk, na gruzach gości,
I starym grodom z bratem słowikiem
Promieniejącej barwy językiem
Kwili gdzieś w kątku dumki przeszłości —
Więc żal zabijać pająka.

A pająk prorok, w złocistej sali,
Na brudnej przędzy pierś swą kołysze
I szarym kłębkim po ścianie pisze
Baltazarowo: „Bóg cię obali” —
Więc strach zabijać pająka.

A pająk kapłan, kraty osłania,
Więdnów pociesza, urny zaprzedzie,
I z trupich główek tęczy dobiegaje
Po hymnach śmierci, hymn zmartwychwstania —
Więc grzech zabijać pająka.

A pająk mędrzec, gdy mu sieć zmiota,
W nadziejach piersi swej nie rozleni,
Ale ze starych serca promieni
Wnet rzeczywistość uplecie złotą —
Jak nie iść w ślady pająka?..

B) Do Norwida.

(1842)
(„Słowo”. 1859. Str. 144 — 149.)

Wola, rodzinne przemierzasz	Ja słuchałem zadumany,
[obszary,	Ja słuchałem sercem bliski,
Płacz słońca, a nad ziemią	Ja, przychodzień od kołyski
Ona się twoje skrzydła ciemną:	I od grobów naszej chwały.
Wszedła miłości i wiary,	
Wszedłem miłości w stare	Ziemia nasza! twoje dzieje
[uderzyłeś dzieje,	Wiatr po snopach w polu wieje;
A na skrzydłe się wiary	Prawi myszka gminowładna,
[szmaragdą nadzieje.	Jak stryjowie poszli na dna,
Wzaka ewangelisty, gdy ci nucił	A jej naród zjadł Popieła.
[przyjdzcie,	I jaskółka w gniazdku prawi:
Nad pierś twoją nabrzmieje	Niech Bóg Piastom błogostawi,
[ewangelji pieniem,	Niech ich w działwie uwesela.
W nas poisz nadzieją, pamiętką,	A sąsiedki i pasieki
[cierpieniem,	Mówią: Boże, szczęść na wieki,
Wole Norwidzie.	Boć też naród był pasieczny,
A na twoich zaklęć nutę	Rolny — wolny i stateczny.
Wiąg duchy mgłą osnute,	
Wzajem położyły osiet stary,	Ziemia nasza! twoje dzieje
W szarańcza — to Tatarzy,	Wiatr po starych grodach wieje;
W poganiaństwa wzbity w chmurzy,	Blyszczą skrzydła obok stali,
W korowód Łysej Góry,	Na rumakach młóć się wali,
W stalne druty i puklerze,	Lecą na Ruś lub na Niemce,
W skamiali gdzie rycerze.	To zaborce, to rozjemce.
I bard wielki swego czasu	Z obcych krajów zwyczaj nowy:
Wsiadł pod lipą Czarnołasu,	Każdy szlachcic i herbowy,
A w łabanie lowczy stary	I na tarczy jastrzab strzyże,
Łowi płatwo na ogary,	Lub podkowy, albo krzyże,
A pan krajeży szaty płami;	Goniw, łowów znak to stary,
Wysła prawil między nami,	I znak nowy cichej wiary,
A jak prawil — to kaskada,	Odtąd dawna równość znika,
On wśród wonnych kwiatów	Wyższy rycerz od rolnika;
[spada,	Rolnik, jako ptak domowy,
I szalysta, perlejąca,	Zamknął w domu swe narowy,
Patrzy tęczą w oczy słońca.	Stary rozum swój przechował;

Rycerz — sokół strząsał pierze,
W nowej bujał atmosferze,
A król orleń mu przodował.
Pierchaj sepie — krogulcio,
Wpół pogaińska rzesza wali,
Zabrzmiało Boga-Roźcio!
Tam po słupach Dniepru, Sali,
Aż gdzie trąby wodną nutą
Naszą chwalebą grają suto.

Ziemię naszą! twoje dzieje
Wiatr po Warnie — Wiedniu wieje,
Tyś twe szable jako kwiaty
Sypła Bogu na krucjaty;
Bóg w ofierze wziął ei z łona
Rycerskiego Jagiellona,
A pod Janem na twe syny
Spuscił niezwiędte wawrzyny.
Bóg dał tobie obraz boski
Matki Boskiej Częstochowskiej,
Obraz świętej, nieskalany,
Wiarą naszą wyzłacany.
To nie olej, ani gwasza,
Ale dobra Matka nasza;
Żywa Matka i Królowa,
Syna w modry ranituch chowa,
I tak patrzy przetrąbana,
Że padamy na kolana.
Jej twarz ciemna w serce

[wpadnie,
I jak w studni świeci na dnie,
I tak dna samego trzyma,
Że już głębiej myśli niema;
Tyś tak w sercach pozla

[z nami
Bić się, tulać za Alpami,
I przy Tobie umierali
W St. Domingo i gdzie dalej.

Ziemię naszą! twoje dzieje
Wiatr po starej szopie wieje;
A do szopy, niby snopy,
Ciągnie szlachta pod okopy.
Jak pszenica świecą pany,
Wojewody — kasztelany,

A posełska Izba zwita
Z możnej szlachty — niby z żyta,
A jak owsiak członkiem bodzie
Drobna szlachta na zagrodzie;
I duch Boży patrzył z nieba,
Bo na króla młócić trzeba;
A król u nas to jak wieniec,
To i krótem zostać może.
A król u nas to jak wieniec,
Co go niesie młody zeniec;
Stawia wieniec gdzieś na lawie,
A hasają po murawie;
A król u nas to pieszczocho,
Co ją naród — Matka kocho,
To swawoli jej na straży
Stawia czujnych pieczętarzy.
To ją senat z ziemstwem nianczy,
To lud za nią w polu tańczy,
I pod godłem świętej wiary
Siecie Turki i Tatory.

A lud u nas to rój pszczołny,
Pozłocisty i weselny;
Swarem brzęczy koło ula,
Skrzydłem-koniem lotno hula.
A podrażnij go człowiecze,
Zgłdem-szablą walet uszczęże;
Na hartniki lub niedźwiedzie
Pospolită chmurą jedzie;
A gdy niema w domu zgody,
Dał podbierać nieraz miody.

Ziemię naszą! twoje dzieje
Wiatr przez stary Babin wieje,
I dowiecipem karty zagnie;
Oj, babiańskie wilecze zęby,
Dumnej siedmiogrodzkiej gęby
Wystraszyły obce jagnię.
Patrzaj, Szwedzik krezowany
Wpadł pomiędzy Krakowiany,
I królewską hardą nogą
Biegł na zamek do kościoła;
A tam królowi dookola
Chcą przemówić, a nie mogą.

Bo im marmur, pierś kruszcowa
Sta da gład się w polskie słowa.

Wgap im Szwedzik hardy-karli,
W twarz zaglądał — bo pomarli.
Współ kościoła lutrza owca
Bo Łakietka biegł grobowca,
Aż tu pralat Starowski:
Kocha, mówi — ten król polski
Byszkroł przemocą zwalczony,
Byszkroł wrócił do korony.

A Szwedz groźnie: ja wam ręczę,
Je wasz Kazimierz już nie wróci.
I ksiądz na to pychę cnel,
Nubij patrzę w losów łęczę,
Nubij ten starzec osiwiwały:
Bóg waszchnoony, los niestały.
Ksiądz Szwedu głowa,
Was rzekli już i słowa.
Bo od babiańskie wyrazy,
Takim satołem pal dwa razy.

Niesam smutny Babin bywał
Bo siołkiej to ostatniej.
Ksiądz prymas okrąg bratni
Bo głosowania przyzywał;
A pan ruski wojewoda
Bował w sercu: Ironi szkoda;
Ksiądz szlachcic na szkapinie
Bował swych braci się wywinie
Wskrzyżery w pierwszym

[rzędzie:
Wschaj ksiądz królem będzie,
Bo pan szczydry i bogaty.
Wgap w śmiech szlachta —
[było z czego,
Bo szalec im szczydrego,
A sam miał dziurawe szaty.
Wgapł musnął po bulaciu,
I psoki; dzięki, panie bracie,
Tak zbył sucho pana brata
I wystryknął kandydata.

W końcu kucharz Wloch czy
[Niemiec,
Ale pewno cudzoziemiec,
Przy ostaku babinował,
Kiedy karła w wazę chował.
Król to przyjął wśród radości
Przez współczucie dla małości.

Pehlę w chomacie i sto czynów
Dalbym jeszcze do babinów,
Lecz do niej o nich skończy
[wreszcie,

A mnie fale dalej nieście.
I cóż robić, kiedy fala
Wszystko niszczy i obala.
O, ty Noe! W arce twojej —
Przyszły zaród świata stoi;
Bóg świat stary w arkę schował,
By nim nowy odbudował.
Niema dębu bez korzenia,
Biją źródła przy ruczajach,
A na starych obyczajach
Wiek się nowy rozzielenia.
I Norwidzie, twoje fale
Gdzieś z odwiecznych źródeł płyną,
To tak tęskne, jako żale
Tklivej matki za dzieciną;
To znow miękie i ogniste,
Topisz potem na byz czyste;
To nam niesiesz stare drzewa,
Wybujale i omszone;
To znów słonec się rozlewa
Na twe nurty zapienione
I uperla malowanki,
Jasne, jako sny kochanki;
Nurt rozlany i głęboki,
A wita się wyżej sięga.
Leciż — pryskają pod obłoki,
A jaskrawa uczuć prega
Z ziemi w niebo pędzi wiry,
Jakby struny boskiej liry;
A ja, bracie, jako rzeka,
Co na piaskach sptawu czeka.

C) Baśń o żelaznym wilku i o pięknym królewicu.

(Z podania gminnego.)

„Pocisze”. Warszawa, 1845. Str. 124—134.)

Czytelniku!

Siódmy wiek, jak baśń miła
U nas się rozgościła,
I od krucjat Henryka¹⁾
W narodzie się pomyka;
Palestyńska a eicha,
Czarodziejstwem oddycha.

A z tej wschodniej kądzieli,
Na tem odwiecznem krośnie,
Wciąż przedziwo się bieli,
I cienkie zgzielo rośnie;
Chodzą cewki, a na nich,
Obok jasnych, jordanich,
Nieraz także zabłyśły
Szare nitki z nad Wisły.

Bo baśń kcaza, barwiasta,
Różnowzora, a żywa,
Gdy czas nici pozrywa,
Naszem pręcłem się zrasta;
I na zszytym obrusie
Siedzą kwiki nie strusie.

A gdy bocian, to ptaszek,
Co to nasze, nienasze,
Co to siada na kołe,
Co się u nas wykołe,
Co się u nas opierzy,
U nas weźmie lot chyży,
I wygląda dzioboło
Nad folwarkiem lub chatą,
Z dziatwą swoją uleci,
Gdy go zima wystrasza;
Wtedy nasza, nienasza,
Baśń pod strzechę zaświeci,
Przy wrzodzonie, kądzieli
Długi wieczór weseli.

Prawi dziadus a prawci,
Wkoło siedzą ciekawi,
Dym się wali z komina;
Słucha Wójtek w kożuchu,
Słucha Kachna, Maryna,
O kopciusku, piecuchu,
I zbrojach, królewicach.
I zakłetych dziewieiach.
Wierzą wkoło ciekawi,
Dziadus prawci a prawci:
Jak król jakiś wędrował,
Jako owce bodował.
Tylko mu niedowierza
Kuba, kawał żołnieza;
Widać to zaraz po nim,
Ze się w świecie przeceieral!
On mówi: Król Hieronim,
Ani Dawus, jenerał,
A niechże ich Bóg strzeże!
Gdzież tam byli pasterze.
Sam umie historyje,
Jak się syrena myje,
I prawci o kampanji,
Co ją odbył w Hiszpanji.

Starą baśń w garderobie
Służebne szepcą sobie;
Inne tam znowu życie:
Księżniczki w aksamicie,
I koronkach, stanikach,
Królowice w płaszczykach,
Haftowani, złoceńi,
Jak na bal postrojeni,
A każdą serce pika
Mieć takiego chłopczyka.

Starą baśń w gabinecie,
Badacz ścisła i gniece;
Raz z niej naksztiał zecera

Stare głoski wybiera;
Tu gdy cała popruta,
Wyrzakuje jej kości,
Choc mów złożył mamuta
W swej pierwotnej wielkości.

I ja baśnie chcę pisać;
Aż to przy mym stoliku
Widz się zaczął kołysać.
Waga bajek bez liku,
A we środoku na straży
Słowich największych bajarzy.
Nasze miał was lechicki,
Wzrost urodą dziwił,
Tęgi Ignacy Krasieki,
Wzrostem Karol Radziwiłł,
Fstrzeg już od chwili kilku,
A nie witam ich przecie,
Wtem o *żelaznym wilku*¹⁾
Wtem bajka się plecie;
Wage postuchaj tej baśni;
Jasni nie chcesz, to zaśnij.

Piekna jest piękna,
A brydzkie jest brydzkie.
Nie-Szekspr.

Baj sobie król przed laty,
Naszożno możny, bogaty,
I miał dobr swych dziedziac,
Pięknego królewica,
A królewicę wd młody
Poszedł w świat na przygody.
Szedł daleko, daleko,
Poszedł wodą, nad rzeką,
Szedł przez pola i bory,
Wiał wioski i dwory,
Aż gdzieś pałacu blisko
Natrafił na karezmisico.

Byłoto właśnie pono,
Gdy parobków godzono,
Więc że był kawał zucha,
Wzięto go za pastucha.
Pasił owce przez czas długi,
Wkońcu wziął miał zasługi;
Aż teź zbiegło trzy lata,
Tu ni brata, ni swata,
Ani zwierzę się komu,
Więc zatusznil do domu,
I szedł patusznią dzikową,
Z zasług się porachował.
Aż osiołek doń rzecze:
Usłuchaj mnie człowiecze!
Zyskasz na tem, bądź pewny,
Lepiej wyjdiesz niż drugi,
Gdy poduszkę królewny
Za twe weźmiesz pelen poznania,
Więc królewicę się kłania,
I wnet roi układy,
Trzymać się osłej rady,
Idzie w pałac na sale,
Król tam siedzi wspaniale,
Gdy go ujrzał, czempredzej
Chciał mu dawać pieniędzy,
On zaś pomny przestrogi,
Ujął króla za nogi;
A że miał edukację,
Taka wyciął orację;
Nie szkoduj się, o Panie!
Schowaj twoje grosiwo;
Nie chcę go, jako żywo,
Lecz niech mi się dostanie,
A że dasz, jestem pewny,
Poduszczyna królewny,
Król więc idzie do łóżka,
Gdzie leżała poduszka,
Bierze jąską z falbaną
I daje go, jak chciano.

¹⁾ Prysłowie: „Piecie jak o żelaznym wilku” jest dotąd w użyciu. Jakby ten wilk żelazny wyglądał, niewiadomo; to tylko pewne, że zamiast tego miał głowę, że łapy jego były kosmate, że gładz chciał, palił oddechem, że słotyko wył, ale i rzyzał, że biegł krokami sążnietami, że jadł słowiki i że był bardzo grzeszny; sposób zaś jego myślenia, niniejsza bajka wykaże.

¹⁾ Książę sandomierski, syn Bolesława Krzywoustego.

Królewic, dobra dusza,
 Śmiało z nim w drogę rusza,
 Idzie polem, lasami,
 Nucić sobie czasami,
 To dla niebian, dla ziemian,
 To znów gwizdaje naprzemian,
 To się pakrzy, to nuci,
 To się śmieje, to smuci;
 Boć miał dosyć frasunku,
 Że nie zrobił sprawunku,
 Lecz obdarty, ubogi
 Z długiej powracał drogi.

Już też w smutnej potrzebie
 Przeklął ośła i siekierę,
 Aż ciekawość go bierze
 Przejrzeć w poduszec pierze;
 Więc usiadł kolo drogi,
 Nuż pruć, aż tu dwa rogi,
 Za niemi łeb, a dalej
 Pyszny baran się wali.
 Za nim drugi i trzeci
 Kędziornani się świeci.
 Więc poduszka zaklęta,
 Beczą tryki, jagnięta,
Me, me, huczy po łące,
 Skacze owice tysiące,
 I jak fala za falą
 Wciąż z poduszki się wala.

A królewic w kłopotcie,
 Jak pędzić takie krocie,
 Jak poradzić w tej biedzie,
 Aż wilk żelazny idzie;
 Więc w prośby: Panie wilku!
 Tu się od godzin kilku
 Wala owce na droge,
 Zatrzymać ich nie mogę.
 Ach! w tym strasnym kłopotcie
 Dopomóż mi, kłojncio!
 A wilk żelazny na to:
 Zgodzi! — lecz za zapłatą —
 Wnet pomogę waszeci,
 Lecz przyrzecz, że twe dzieci
 Bez żadnego wyparcia,
 Oddasz mi do pożarcia.
 A królewic tak dumna:
 W pole wywiode kuma,
 Nigdy się nie ożenię,
 Więc mu dam przyrzeczenie:
 I na tym fundamencie,
 Skomplanował się święcie,
 Wilk pobiegł na manowce,
 W poduszkę wagnał owce,
 Królewic podziękował,
 I do domu wędrował.

D) Do mojej myśli.

(Tamże. Str. 122—123.)

I gdzież moje marzenia, moje sny młodzieńcze?
 Wyście uciechły, pierzchły, jak przelotne stada!
 Któżże ja bóstwo dzisiaj pieśniami uwienczę?
 Gdy głos mój kamienieje i w nucie nie spada!

Styrałem wiek na niczem, zestarzałem duszą,
 Stępsiał rozum, osłabła wyobraźnia młoda,
 Stare mary po mózgu dawną nutą guszą,
 Wypiewując: o! wieszcu, szkoda ciębie, szkoda!

Wieszcu! czyliż pieśń twoja usnęła na wieki?
 Obudź się, nastrój bardon, uderz śmiało w struny,
 Nuc chwałę twoich ojców, nuc ubiegłe wieki,
 Śpiewaj przeszłość i przyszłość, nasz wieszcu natchniony!

Małe dziś nie śpiewać, myśl ma, ta moja królowa,
 W chaotycznej wielkości rozkoszując, drzymie;
 Czyż się zechce kształtować i łamać na słowa,
 I wielka, bezimienna, skartłowacić w imię!

Posłuchaj, myśli! spały marmury przez lata:
 Nierozbudzone w kształty, jak ty moja myśli;
 A wtem Fidjusz, Kanowa i Thordwaldsen przyszli,
 Z głazów wyjrżeli Jowisz i Zbawiciel świata.

Myśli! wystąp z chaosu, nabierz świeżej kraszy,
 Zawdział formy, bądź mistrzem i materją razem,
 O myśli! kiedyż przyjdą te szczęśliwe czasy,
 Że ty, myśli! mej myśli staniesz się rzeźbiarzem.

t. zw. przez Żmichowską „konspiracji”, schodzące już na pole czynu bardziej konkretnego, którego celem pozyskanie ludu dla zadań ogólna narodowych. Co prawda, praktyczna wartość tej działalności była nikła. Stosunki między szlachtą a ludem były obojętne, często nieufne lub nawet wrogie. Demokraci Przeglądu, nie mogąc wpłynąć na szlachtę, zwracali się do ludu w myśl Prawd Żywcotnych z hasłem: wszystko dla ludu przez lud — choćby przeciwko szlachcie (jakkolwiek t. zw. konieczności nie chciały ogłaszać za cel), ale kończyło się na tem, że „inicjowany starał się ugraniczać przekonanie inicjowanego” (t. j. przekonywał przekonanego); „od czasu zaś do czasu znaleźli się jakiś ochotnik, co między tłumem głosił się odezwał, zaszedł między rzemieślników, trącił kieliszkiem o kieliszek chłopski — tutaj usłyszał jakiś koncept... tam znowu sam coś dowcipnego powiedział...” (List Żmichowskiej do Sev. Elżanowskiego II 30.)

Obok Edw. Dembowskiego i H. Kamieńskiego, Gabriela była najświeższą gwiazdą plejady entuzjastów, najlotniejszym duchem ich grona i najenergiczniejszą sprężyną. Przez pisma swoje, przez urok bezpośredniego obcowania, przez rozgąłżone stosunki osobiste, wywierała wpływ szerszy niż inni, przyciągając do siebie nade wszystko młode, zdolne do uniesień serca. Inię jej stało się wreszcie symbolem dążeń całej grupy, a zwłaszcza symbolem emanacyjnego ruchu kobiet w piątym i szóstym dziesiątku lat ubiegłego wieku. Późniejsze pionierki sprawy kobiecej, z Orzeszkową na czele, były spadkobierczyniami entuzjastek, które mniej się wprawdzie troszczyły o prawo do pracy i o normy prawne, lecz pragnęły dla siebie praw ludzkich i obowiązków obywatelskich. W gronie najbliższych swemu sercu była otoczona Gabriela atmosferą miłości i uwielbienia. „Narcyza Gabriela, mówi we wspomnieniach swych Skimborowicz, szlachetnie piękny kwiat naszej ziemi, lilja biała poezji, archanioł ducha rodzinnego i krajowego, najszczęśliwsza niedawnych jeszcze chwil postać, którą nazwano dopełnieniem trójcy wieszczów: Adama, Juliusza i Zygmunta, postać pełna uroku i wpływu w swoich czasach”.

Przyszła poetka i entuzjastka urodziła się w dn. 4 marca 1819 r., otrzymując na chrzcie imiona Józefa, Kazimierzy, Narcyzy, Matka, Wiktoria z Kiedrzyńskich, umierając, zostawiła dzieciątę swoje z kolegi dzieckiem trzydniową sierotką. Ojciec Ż-j, Jan, pisarz żupy solnej w Nowem Mieście nad Pilicą, nie był zamożnym człowiekiem, po śmierci żony żył samotnie, dzieci u krewnych znalazły opiekę. Narcyza do sześciu lat przebywała na wsi u stryjenki Tekli, którą matką nazywała i o której najrzewniejsze wspomnienie zostało jej do końca życia. W szóstym roku opiewała się dzieckiem zaszła wujenka Kiedrzyńska. Z tych czarów pozostało wspomnienie „pieszczoty prawdziwie rozpierzającej” ze strony starszej siostry Kornelji. Jednakże mimo że pieszczoty nie przeważała

tego poczucia braku rodzinnego ciepła zarówno w owej dziecinnej epoce, jak i w samotnych latach nauki szkolnej. „Ranek był ciemny i słotny, południe mgliste i bezbarwne, przed zachodem słońce się objęrało i świeci, choć zachodzi”, pisała w r. 1858 (Listy I, 94), ogrzana miłością dawnych przyjaciół i młodzieży.

W r. 1827 oddano Narcyzę na pensję Z. Wilezyńskiej; po skończeniu jej, chcąc zdobyć kwalifikacje do pracy nauczycielskiej, wstąpiła Żm. w 1833 r. do t. zw. Instytutu Guvernantek (Instytutu nauki i wychowania panien), i ukończyła go we dwa lata później. Od tych pozostała żywa wdzięczność dla kierowniczej pensji Instytutu Z. Wilezyńskiej, która wyróżniała zdolne uczennice i opiekowała się nimi. Jednak najwięcej zawdzięczała dziewczęcej pracy. Już wtedy „wszystkich ludzi jak braci, polską ziemię jak matkę kochała”, burzała się na nieludzki kast podział, na niesprawiedliwy los niewolników, już wtedy sądziła się do wzniosłych powołane. W r. 1831 chciała opuścić pensję, stać się nauczycielką, brąc na siebie trudne zlecenia, a dla wypróbowania siły wyjechała na podłódże, wystawiła się na zimno i t. p. Choroba osłabiła siły. Narcyza przekonała się, że jeszcze nie podola zamierzonym zadaniom. W całym tem przejściu, w rozmyślaniach dziewczęcych, zaznaczył się w zaradku przyszły charakter i jej charakter. Miłość ku bliźnim, co „sięgała tak daleko, jak Indyj czarna, jak Afryki pustynie”, oburzenie na niesprawiedliwość, powołanie, samotnie w duszy wypiastowane, wola, dążąca do wyidealizowanego wykonania tego, co powołaniem się wydało. To były elementy już w samej naturze, w całej organizacji duchowej dziewczyny. I na dobitkę — niedomaganie fizyczne, często i w epoce burzliwej kładące tamże zamierzeniom.

Po ukończeniu instytutu przez dwa lata przebywała w Mężeninie u wujostwa Kiedrzyńskich. Poświęciła ten czas na bardziej osobistą naukę i na rozmyślenia. W dalszym ciągu jednak podlegał się nad Gabriełą ranek ciemny i smutny. Od dzieciństwa, od czasu niefortunnnych zamiarów na pensji w r. 1831, imię starszego brata, Erazma, zmuszonego do przebywania na emigracji, było otoczone wśród rodzeństwa bałwochwalczą niemal czcią. W każdym marzeniu o szczęściu, w każdej nadziei na przyszłość jego ukazywała się postać. Lecz odmienny był stosunek starszego brata. Erazm był demokratą, wierzył w ezarodziejskie wyrazy: „prawda, dobro ludzkości, wolność... I wszyscy, jak wyznaje Narcyza, jednym głosem popiełnili go i żałowali. Przykład Erazma, według słów Żm., o dwadzieścia lat ją zestarzył. Uniesienia — tak opiewała młodocianna filozofka — były ludzimi obce, były dla nich objawem dążeń nieuchwytnych i szkodliwych nawet. Poczęła wówczas pilnie rozglądać się wokół siebie... Najczęściej oko jej padało na ludzi smutnej epoki marłoty i przynębiaenia. Najlepsi,

najenergicznijsi opuścili kraj, ginęli na obczyźnie. Ci, co pozostali, zamknęli się w najcisniejszej sferze prywatnych i rodzinnych zabiegów, odrzucając wszelką myśl szerszych dążeń, wszelkie marzenia o możliwości wysiłku na celom odleglejszym. Młodzi używali nadmiar sił w hulankach, zabawach, grze w karty i t. p. Poczynając autorka przyszła tedy do wniosku, że istota natury człowieka jest egoizm i bezwład moralny i umysłowy. Ludzie nade wszystko pragną spokojnego snu, więc apostołowie Królestwa Bożego na ziemi spotkać się muszą jedynie z dotkliwą, bolesną sercu Narcezy ironią... Jeżeli ludzkość odstępowała się od ideałów, są one mironką. I historia, jak się jej zdało, wyrok taki potwierdziła. Wohee tego najrozsądniej jest zamknąć się w kole rodzinnych stosunków i świadczyć ludzom dobroce o tyle tylko, o ile się do tego sposobność nadarzy.

Jak widzimy z tego, Zm. usiłowała wynaleźć sankcję filozoficzną i historjograficzną temu stanowi rzeczy, jaki zapanował w kraju po r. 1831. Przyszła demokracja z lekceważeniem mówi o dążeniach na szerszą zakrojonych modłę. Wycała się tu daje jednak pewien podkład gorczy i zawodu i powodu konieczności wyrzeczenia się dawnych, dziecięcych, ale niezapomnianych rojeń. Widoczny jest w tem także popęd do czynnego udziału myślą w otaczających zjawiskach i skłonność do uogólnień i wczucowego ich zabarwienia. To wszystko cechować będzie Zm. od pierwszych chwil świadomego życia do ostatnich jej tchnień. Ze myśli jej ten nie inny kierunek obecnie przybrały, wyjaśnić to można niepodobnie dla Narcezy znalezienia jakiejś praktycznej drogi działania. Prawda, byli gdzieś ludzie inaczej myślący i w innych przebywający warunkach, ale Narceza spotkać ich miała dopiero. Nielatwo zresztą wyzbywała się tego, co było zdobywcą jej godzin samotnych. Dlatego wykrzyknęła przy spotkaniu się z Dembowskimi: ach, jacy oni jeszcze młodzi! Dlatego niehawem, gdy spełni się jej marzenie dzieciństwa i wczesnej młodości — zobaczenia się z Erazmem — zaczęte będzie z nim stażenie walki przekonaniowe. Samodzielność Narcezy już teraz jest wielka, a przekonanie nabiera mocy wiary religijnej. Dlatego przez całe życie najnamiętniejsze i najgwałtowniejsze spory Narcezy będą najbliższymi i najukochańszymi, tak chciałyby ich mieć na zaplecie własności swojej i tak myśl jest dla niej prawdą żywą, nie obojętnym do zycia dodatkiem. Możliwość spotkania się z Erazmem zawdzięcza N. poniekąd swej energii. Gdy starsza jej siostra, jako nauczycielka, mogła wychylić się zagranicę i jakiś czas przebywać z bratem, dopóki „dąsła się i napierała”, jak pisze, aż rodzina wreszcie i ją na gawerantkię wykirowała. Los tym razem posłużył Zj. W połowie r. 1837 przyjęła miejsce nauczycielki u Zamoyskich, w rok później wraz z siostrą wyjechała do Paryża. Brat, ubogi pracownik, mieszkał w Rheims, i niekiedy przyjeżdżał dla zob-

szować się z siostrą do Paryża. Wpływ, jaki wywierał, znajomości, jakie jej wytwarzał — pisze biograf Zm-ji — nie podobały się wysoce praktycznej rodzinie ordynatów. Jakkolwiekbyż straciła Narceza esse miejsce w końcu roku 1838. Okoliczność ta spowodowała, że ona na jakiś czas (w pierwszych miesiącach 1839 r.) zamieszkała u brata w Rheims, żywiąc się wraz z nim „chudą emigrancką dietą”, przyglądając się bliżej życiu sfer pracujących. Przykre wrażenie, wskutek którego nagle ujrzała się samotną na obczyźnie, wywarzyło być może odpowiedni moment psychologiczny, w którym idea dziewczyna pozyskana była dla przekonania demokratycznych myśli. Zresztą narazie miały one dla niej znaczenie raczej teoretyczne, nie widziała bowiem dla nich żadnego zastosowania w swem życiu, wciąż trapiąc się swoją nieużytecznością; a była to już „niechęć jej natury”, i każdego także jej poglądu społecznego, filozoficznego, religijnego, psychologicznego, że żadne przekonanie, żadna myśl nie miały dla niej znaczenia, jeśli nie podlegały jakichś pozytywnych następstw. Z Rheims powraca Zm. do Paryża, gdzie ma szansa uczenie. Korzystając z wolnego czasu, czytuje dużo, powraca się do wskazówek brata, zwiędza muzeum, przesiaduje w bibliotece, uzupełniając i rozszerzając swe wykształcenie, zapoznając się z filozoficznymi i społecznymi prądami ówczesnej Francji, oglądając dzieła sztuki plastycznej i gromadząc zasób wrażeń i wiedzy na najbliższe życie.

W dn. 12-m września, po pożegnaniu się z Erazmem, poszła z nim Zm. w podróż do kraju, zatrzymując się na drodze w Poznaniu dla poznania się z krewnymi. Podróż ta samotnie odbyta, była na owe czasy aktem wielkiej samodzielności. Przez następne kilka lat Z. znów oddaje się zawodowi nauczycielskiemu. Na ten czas przypada wejście autorki w świat literacki, wtedy ugodził w nią pierwszy ciężki cios, i w tej dobre wreszcie musiała przelecieć pierwszą stratę swych współtowarzyszy. Podciąg do pióra została się Zm. już dawniej. Najwcześniejsza znana nam powieść „Wędrowiec” pochodzi z r. 1834. Przed wyjazdem do Francji zostawiła już w biurku swym wiele „buzgrol”, o których niśkrotnie wspomina w listach, jeden zaś wiersz był drukowany w Pierwiosnku z r. 1838. W wędrówkach swych po kraju odwiedziła kilkakrotnie o Warszawę, zwłaszcza podczas pobytu w domu Kisielnickich (w drugiej połowie 1842 i w r. 1843), spędzając w stolicy po kilka miesięcy. Młodzieńczo, entuzjastycznie, z miłą swą „Ode do młodości” uznany wiersz „Szczęśliwe poety”, drukowany w Pierwiosnku z r. 1841 pod pseud. Gabryeli, i „Wyjście z podróży tobiasty” w Bib. Warsz. tegoż roku, zwroty swą na młodą autorkę. Zawiażując się stosunki literackie. W tece wspomnianą spoczywała już wiele innych rzeczy, które stopniowo sama zdobywały miejsce w piśmie, albo też i nie zdobywały go wcale. W r. 1841 gotowe już są „Danko z Jawuru”, „Fantazja”,

„Prządki”, „Maina i Kościej”, nieznamy nam „Lech”. Myśl autorki zajmuje również i sprawa kobieca, czego dowodem jest artykuł o kobietach, zarówno jak obrazek „Zagadnienie”. W roku następnym 1842 autorka pisze lub drukuje parę wierszy, obrazek „Burza i „Zwałiska Luksora”. Rok 1843 daje „Trzy pieśni gęślarsza” i urywek z poematu „Lilja”, który przez następnych lat parę będzie nie ziszczonym złotym snem Gabrieli. Najróznorodniejsza przyczyna stały na zawadzie. Ruchliwe życie Ż. J. brane przez nią na siebie obowiązki, w których spełnianie wkładała całą duszę, różne troski i nieszczęścia, wreszcie zdrowie wątłe, na miesiąc odwie rające sprawność władzom twórczym. Wszystko rozbiła natchnienie i odbierało procesowi twóczemu ciągłość pracy. Do ciszy zaś i spokoju, umożliwiających niezbędne skupienie ducha, próżno wyzychała Gab. przez całe życie — z wyjątkiem jednego, klasztornego jego okresu.

Co do utworów omawianej przez nas młodzieńczej doby twórczości, posiadają one tak pod względem treści, jak i formy szczególne cechy, wyodrębniające je od dzieł późniejszych. G. przeważnie pisuje obecnie wiersze, które przecież w całości jej pisać znikomą zaledwie częścią będą stanowiły. Zarówno wierszowane rzeczy, jak pisane prozą, są prawie bez wyjątku lirycznymi fantazjami, gdy tymczasem w okresie późniejszym ustalili się formy rozpraw lub opowiadań, wygłaszanych wobec grona osób, tworzących rodzaj akademii towarzyskiej. Co do treści — zarysowuje się tu zupełnie osobisty ideał „szczęścia poety”, ideał marzycielskiego snu, w którym wszelka brydota, wszelkie zło ziemskie ginie z oczu. Zapewne, pieśń ma wysokie znaczenie w pojęciu Gabrieli dla ludzkości, chroci ją od zmaterializowania, nie daje zgnać idealnym uczuciom, dążeniom. Gdyby ludzkość pieśnią pogardziła, straciłaby z oczu wszelki cel, znikczemiałaby, ogólnym pożarłym sam siebie („Fantazja”). Pieśń uczy wytrwałości, pieśń wręcza w sumienie przekonanie, że Bóg „dla człowieka w człowieku nie stworzył służki, lecz brata”... Ale Gabrieli zajmują obecnie nie tyle stosunek pieśni do świata, ile stosunek twórcy do pieśni. Był to wyraz młodzieńczych marzeń o powołaniu własnem, jako poeity, i doznawanych rozkoszy w chwilach natchnienia. Taki proces twórczy staje się niejako sam dla siebie celem; boski mu naznacza G. początek; nie może granic wyznaczyć jego potędze. Wszelkie eudy natury i fantazji, wszelkie głębie duszy ludzkiej, świat cały, nieskończoność, wszystko to staje na rozkazy poeity, jego królestwo stanowi świat rzeczywistością swą przynajmniej równy zmysłowemu. „Może równo z bohaterów czynny” bogowie „zwałyli jeden sen Mainy”; kto ma mądrość i siły, niech idzie wśród ludzi; „lecz kto ma serce tylko do uczucia, do pieśni, ten niech całe życie przeżeni”. Zdawać się może, że Zmichowska sobie ten dział zostawia, i ta część dla artysty, uwielbienie jego żywiołowej, samorzutnej

artystki przez długie lata przeżwa w Gabrieli, nie stając bynajmniej w sprzeczności z jej skrajnymi demokratycznymi ideałami.

Idealy te zresztą i obecnie znajdują swój wyraz w jej utworach. Niepróżno nazywa siebie Narcyza dzieckiem ducha Erazma „Boska z Jawuru” (powieść dla dzieci z czasów Łokietka) budzi sympatię dla chłopca przez jego idealizację i przez obraz krzywdy na wyrażonej. „Wyjtki z podróży kobiety” znanąjmu powróć do wiary dzieciństwa o dalekiej przyszłej epoce, w której na tej ziemi zapanuje miłość i sprawiedliwość... W „Przładkach” wyraża autorka program zyciowego zbliżenia się warstw wyższych do ludu na le stosunków towarzyskich. Wszystko to zapewne, pomijając niewyrobioną formę, ma cechę niedojrzałego romantyzmu, lecz w warunkach jej bytu — gdy, jak mówi, „nie śnieć, przewożono ją w różnych kierunkach jak rzeź bez woli, nie śnieć — w warunkach podobnych ideał życia w śnie był objawem przynajmniej osobistego protestu przeciw martwocie otaczającej ją atmosfery i wskazywał cel w twórczości, idylla zaś „Przadek” dawała się mogła jedynym konkretnym programem działania. Narcyza jednak musi w tych pierwszych próbach dążyć do ogólnych uogólnień, opartych zresztą o idealistyczne podstawy, jak zwykle bywało w tych czasach. Niekiedy Żm. w sposób zadziwiający w pomysłach swych zbliża się do Krasiańskiego. Ukazuje się w snach to poeity, które stanie się zasadą całego życia Żm., i w snach musi w sobie zawierać pierwiastek czynny. Odnajdujemy w każdym ruchu, myśli i uczuciu Gabrieli, w jej postępowaniu, w zresztą odnajdujemy w praktyce i teorii ogólnego prądu epoki.

I jeszcze jeden rys wcześniejszych utworów Żm-j podkreślić należy. W myśl ogólnych zasad romantyzmu, w myśl przekonania, że z głębin duszy ludowej mamy oczekiwać zarówno odrodzenia, jak twórczej, jak i narodu, autorka usilnie pragnie nadać poeity swym i obrazom barwę ludową, co niekiedy sprowadza się do parafrazy klech ludowych, bo w „Przładkach”, bądź przybiera ona kształt baśni fantastycznej, jak w niepowyższych źródłach i śmiałych konstrukcjach opartej teogonii prastawiańskiej. („Maina i Kościej”, „Lilja”). Niekiedy rys ten, z późniejszych dzieł znikający, mógł być za osłonę wobec podejrzliwej ówczesnej cenzury. („Trzy pieśni gęślarsza”).

Podczas tych lat, kiedy powstają wspomniane dzieła, znajduje się Narcyza moralne oparcie, pomoc, gorącą zachętę w najbardziej miłym kochanym z całego rodzeństwa Janku, dlatego pewnie, że moralna jego istota ukształtowała się pod przemożnym wpływem wychowanej a gorącej serca siostry, ona to go bowiem ocaliła od bakonyślnego trwonienia życia. Zbliżeni byli do siebie wiekami, pojęciami, dążnościami. Niestety, przyszła choroba nieuleczalna — suchoty. Próżno tygodnie i miesiące całe spędzała Narcyza,

czuwając przy nim. Jego śmierć w dn. 30 nr. 1843 była dla niej gromem, niszczącym w niej na jakiś czas wolę życia. Jej organizacja psychiczna, tak wybitnie, namiętanie nawet, teoretyzująca, tak często w gorączkowym podnieceniu przeobrażająca każdy fakt i każde zagadnienie w drobny jedynie szereg jakiejś rozległej syntezy, organizacja ta samą pracą myśli żyć nigdy nie mogła. Że nie umiała być samotną; potrzebowała zawsze oparcia w jakimś wyłączeniu. lecz indywidualnym ukołchaniu. Wprawdzie ideę swego nigdy nie wyrzekała się, ukołchała tylko tych, co umysłowym wzrostem swym, dobrą wolią i dążnościami jej dorównywali. Ale takie bezwzględnie, bezpamiętne, rzeczy można, ukołchanie mieć musiła. Znosiła z pokorą, z rezygnacją, gdy się kruszyła jej osobiste nadzieje, gdy coraz dalej odbiegało od niej marzone „szczęście poety”, ale nieszczęśliwą była, kiedy ją spotykała strata lub zawód w tem, co ukołchała indywidualnie, i w tem, co miało związek z ideą. Otóż taki stan przynębiaenia objął G. po śmierci Janusza. Zdawało się jej, że z zawodem autorskim musi wziąć rozbrat; na stan jej wpłynęło i wyczerpanie fizyczne, będące skutkiem czterociecznej choroby. Nie chciała jednak ulec. Podnieła była dla niej ta okoliczność, iż zaczęła dostrzegać tu i ówdzie objawy budzenia się z tej martwoty, która przed kilku laty doprowadziła ją do felfelży rezygnacji. Wiedziała, „że jakiś duch skryty czynie po wszystkich stronach kraju nurłował, przeciw wskrzeszonemu szlachetwu oddziaływał opinją, przeciw zepsuciu i próżniactwu młodzieży religijną nadzieją i zamilowaniem narodowości”. Polska jej duma, jak mówi, aż pod niebiosa rosła. Najbliższe stosunki osobiste łączą Żm. w 1843 z kilka osobami z kółka Przegl. Nauk. i ze „Związku Narodu Polskiego”. Jest to rodzina Dombrowskich i Dombowscy, Edward i żona jego Aniela. Nie była jednak wówczas Żm. uczestniczką zebrań w redakcji Przegl. Nauk., nie była też wtajemniczoną w spisek. Sama przez się jednak pragnęła dla siebie pracy pozytywnej; wpadła wówczas na myśl założenia nowego typu szkoły dla dziewcząt w Poznańskiem, tam tylko bowiem powstawać mogły instytucje, posiadające rozległejsze obywatelskie zadanie. Projekt rozbił się o brak środków. Tymczasem w końcu sierpnia i na początku września 1843 r. nastąpiły aresztowania wakatęk wykrycia Związku Narodu Polskiego. Wtedy Żm. dowiodła, jakże zasób energii spoczywał w jej duszy. Przeciwno konspiracji, uznaje jeden działania środek — wyrozumianie. Tworzy projekt rozlania po kraju całym szkiełkom i sal ochronny. Nadto krząta się nad zapewnieniem więziom i skazankom ulg przez sędziów. „Schodzę więc, głos w pierśiach rzucić, a jeśli i to jeszcze napróżno, będę mogła przynajmniej bez grzechu złożyć ręce i samemu Bogu na ostatecznem powieździe sędzić: „Tyś tego nie chciał”. Za obowiązek swój uznaje obecnie pozostanie w kraju. Teraz dopiero siłą współczucia i siłą czynnego, jakkolwiek „glantropijnego” tylko na razie udziału pozyskaną została Żm. dla

życia demokratycznych. Wprawdzie i teraz świadoma była, iż sama w sobie jest systemem, stronnictwem, wiary wyznaniem”, która uczyniła wybór, by nie zostać samotną, więc bezczynną, „czepiała — według jej słów — do najczynniejszych — z początku „organizacją, teraz współmyślą, a szczęście Boże i współdziałaniem” — przyszłości. Perspektywa w czynu znowu przedstawia się jej, i znowu „nie ma — w postaci zakładu naukowego w Poznańskiem. Przyjęła ona zobowiązanie prywatne w domu Turnów, opuszczając Warszawę, by się uchronić od pewnych powikłań, które spadły na nią „skutkiem oświadczenia o jej rękę Jana Baranowskiego (dyrektora „mieszawstwow”). Ucieczka ta może się tłumaczyć tą okolicznością, iż sama jej nie było obojętne — jak można przypuszczać — dla „kogoś ze spiskowców, Władysława Dzwonkowskiego.

W Poznańskiem (1844) miała znowu dom Dembowskich, miała tam, przeważnie literackie znajomości, przez dom Moraczewskich, siostrzyczka Jędrzeja i jego dzielnej siostry, również autorki, Bibjany i siostr. Moraczewską (Felię) we Wstępnym obrazku) i Teklą Dubajską (Seweryna) zawiązała wtedy ściśle przyjazne stosunki, czego dowodem jest wieloletnia korespondencja. Zbliżyła się również z Józefą z Kamińskich Mielęcką, później Węgierską (Augusta), którą długo broniła przez zarzutami płochości. W Poznaniu wychodził pierwszy książkowy zbiór Gabrieli „Wolne chwile” w r. 1845. Wtedy utworów już wspomnianych, umieszcza ta autorka Capriccio, które najpewniej w Obojrzeju (u Turnów) pisany. Występuje tu po charakterystycznej formie opowiadania pewnej historii życiowej, jako przykładu, ilustrowającego te, omawiane przez grono zebranych. Jest zapewne jest to ceko pogadanki w salonie Moraczewskich. Wskazują tuwora jest przedstawienie władzy uczucia pięknemu światu. (Poeta Julia rozmarza 18-0 letnie dziewczę, by z tego zrobić piękną poezję.) Poraz pierwszy zamyśla marzycielskich, czułościowych fantazji autorka daje nam pewien fakt psychologiczny, ustalając go i ocenia wrzeszcząc z pewnego ogólniejszego stanowiska, które tu jest stanowiskiem entuzjastki.

Pobyt Żm-ji w Poznańskiem trwał zaledwie dziewięć miesięcy. Projekt pensji znowu spełzył na niemiec, polięja zaczęła robić trudności w dodatku dołączają mocno Żm-ji plotki z powodu jej „maszynowego” rzekomo zachowania się. Dużo przykrości przypisywała jej sprawa niejakiego Adolfa D., o którym nie chciała Ż. mówić, że nie na zbyt pochlebna pod względem politycznym nastąpił opinję w Kongresowej 27 lut. 1845 opuszcza dzielnice, w której zamierzała poświęcić się pracy obywatelskiej. W tym właśnie czasie przesyła znowu dziwny, niemniej ciężki, bardzo osobisty dramat, który pozostawił ślad w jej twórczości. Źródłem powstania była natura Żm-ji, posiadająca zawsze jakiegoś nad zwykłą „osobę wielkiego, a zupełnie wyłącznego ukołchania. Przed wyjazdem w Poznańskie czuła się po niedawnej śmierci Janusza bardzo

nieszczęśliwą i osamotnioną. Gdy w takich warunkach stanęła na drodze jej życia poecka, która okazała jej współczucie, N. przygłęła do niej całym sercem. W marcu 1849 Żm., gotując się do wyjazdu, objędziała rodzinę. Zbliżała się do niej wówczas jedna z entuzjastek, Paulina Zbyszewska. Łącznikiem między obiema kobietami była wspólna troska o przyszłość kraju, demokratyczne uczucie, wspólne pojęcie o samoistności kobiety. Swemi zdolnościami, w których Żm. dopatrywała się geniuszu, objawiały uczucia względem nowej przyjaciółki, wreszcie śpiewem i kompozytorskim talentem, wzbudziła w sercu Narcyzy uwielbienie i miłość. Nadmienić wypada, że Ż. na muzykę była wrażliwa do ekstazy. Uwielbienie, swe i przyjaźń posunęła do tego, że wpadła niemal w niewolę, żądając, rozumie się, wzamian równie wielkiego i bezinteresownego uczucia. Z geniuszem — pisała później — pierwszy raz w życiu do czynienia miałam, zmierzyłam go moją poziomą miarą, uwielbiłam, ukochałam, ale następnie chciałam być także najlepiej, najwyłącznie kochaną (L. III, 217). Po powrocie z Poznańskiego znowu Ż. utknęła na jakiś czas w Kurowie w Zbyszewskiej i przekonała się, że była dla niej rodzajem eksperymentu; że Żb. dla szczególnego efektu, dla wyzyskania wrażeń artystycznych pozwalała się otaczać atmosferą uwielbienia.

Nie zdziwi nas zatem petyta grozy wykrzyknik w „Pogance” o jakimś psychologu: „to anatom serca ludzkiego”. W dodatku Żb. natura widocznie zupełnie niezrównowazona, przechodziła od objawów nadmiernej oziębłości do wprost odpychającego zachowania się, poniżającego w stosunkach bogatej dziedziczki do ubogiej przyjaciółki. Trudno sądzić, czy istotnie Żb. była w tym wypadku tak przewrotną artystką życia, jak to jej zarzuca Żm.; ale z pewnością mamy tu do czynienia z jakimś kaprysem, z uczuciem nieskończenie mniej szczerem, niż to, które dawała Narcyza. Toteż przebiegała swój zawód nieomal głębiej niż śmierć Janusza, może dlatego, że obecnie zachwiała się jej wiara w serce ludzkie. O stanie swym po zerwaniu stosunków ze Żb. mówi Żm. „Marja”¹⁾ z litością chrześcijańskiej odwołała mnie na poetkę, poetka steinkelerka, niewiem poco, do Warszawy zatoczyła, Wincenta (Zabłocka) w Warszawie znalazła jak rzecz jakąś martwą i bezużyteczną, rozgrzała z Anną (Skimborowiczową) przy sercu swojem, oddała siostram. Wśród siostr w domu... przygłęgam spokojnie, jak „dzębło trawy pod śniegiem” (L. III, 218). Paul Żb. nieraz usiłowała zbliżyć się do Żm., o przebaczenie prosiła, ale już stosunki poprzednie nawiązać się nie dały. W wiele lat później zaledwie zdobył się Ż. na sąd o Żb., wprawdzie bezwzględny i surowy, ale już obo-

¹⁾ Marja Boleska, z córki Moraczewskiej, była nauczycielką w domu Zbyszewskich.

jętą, jak o osobie obcej. Długo jeszcze będzie trwać rozżalenie i pamięć, że Paulina była jej „losem”.

Wyjazd z Kurowa, pobyt kilkunastodniowy w Warszawie, i wyjazd do siostr (Głogerowej i Lewińskiej) do Rzeszcy odbyły się w lipcu 1845 r. Na tę chwilę przypada zawiązanie serdecznych stosunków z W. Zabłocką i A. Skimborowiczową, a oprócz wspólnych poglądów i ideałów najmocniejszym łącznikiem była ta okoliczność, że obie stały obok niej jak siostry i ciepłem uczucia ogrzały zmarła serce Gabrieli w chwili nadzwyczaj ciężkiej. Obie one, zwłaszcza ona, później Kazimiera Ziemlecka (bratowa Eleonory), otoczyły ją tą atmosferą gorącego ukochania, jaka była jej niezbędna. W Rzeszcy w ciągu jesieni 1845 r. powstała najpiękniejsze dzieło Poganowskiej — Pogańka. Spokój wsi i cisza rodzinnego życia, odgradzając autorkę od świata, sprzyjały twórczości, ból serca żywił w niej krwią, nasycał barwami. I oto rozlana przed nami poetka wstąpiła jakiejś ukrytej wyspy, oazy, w której pogodnie płynie życie kochającej się rodziny, w której wszelako każdy z członków posiadał wyłącznie jakieś ukochanie — widziadło cichej ostoji wśród murów otwartych przestrzeni. Geniusz — jak przez długą czas wywodził się będzie Ż-j — stanął na jej drodze. Geniusz przedstawiał jej się od strony groźnej, niszczącej. I postać artysty Cyprjana stała się wezwaniem potęgi żywiołowej, wzbijającej się ponad wszelkie względy ludzkie i pochłaniającej i twórcę samego i tych, na na swe nieszczęście w okrag jego bezpośredniego oddziaływania stała. Wszak to Cyprjan zasiał w sercu brata Benjamina pożądania, które go do zguby, do śmierci moralnej doprowadziły, uczynił to bez troski o następstwa, by podpatrzeć grę rysów fizjonomii, by ujęć na oczy wymarzoną przed siebie postać, znaleźć jakikolwiek wyraz piękna i namienności. Benjamin znowu przestaje być niemal żywym, w warunkach codziennosci bytującym człowiekiem, jest uosobieniem tej siły wyłączonego a bezdennego uczucia, której źródła w sercu autorki były. I to jest znowu potęga, niecierpiąca techną. Niema w tem żadnej przestrogi i żadnej nagany. Jest w tem jedynie stwierdzenie pewnej nieubłaganej konieczności, w naturę ludzką włożonej, i nie pomogłyby tu żadne badania nauki — więc i biadać i przestrzegać nie warto. W tego rodzaju momentach i jasnowidzeniach spoczywa wartość i może nawet wielkość Poganeki. Takiej siły artystycznego widzenia nie wykazał żaden współczesny Żm-j pisarzy w kraju, malujących ludzi powszednich, powszednie stosunki i rozmarzenie poetów w stosunku do świata. Ale próżnobyśmy upatrywali w powiązaniu wypadków Poganeki choćby cień najłajszej tęsknoty za mniej wysoką temperaturą uczuć. Entuzjastka nie zaprzeczyła ani swemu przekonaniu, ani naturze swej. Owszem, dobrze, że tak jest, mówi obrazami swemi. Wielkie szczęście (wprawdzie i wielkie nieszczęście) może być następstwem jedynie wielkiego ukochania. Benjamin stał się

bankrutem moralnym. Tak. Ale dlatego, że ukochał pogankę. Więc obecnie pośredku wszystkich osób i zdarzeń staje postać naczelna — Aspazja. Przejawienie pogaństwa chrześcijańskowemu polega na zwykłej u romantyka antytezie: chwila a nieskończoność, materia i duch, egoizm i poczucie solidarności z ludźmi. Więc Aspazja jest poganką, nie żyje bowiem duchem i w nieskończoność swemi pragnieniami nie wybiega — jej dziedzina to chwila obecna, szal, użycie. Ale ta chwila, to nie rozkosz jedynie w najpospolitszym znaczeniu. Aspazja wszystko piękno natury i wyobraźni, wszelkie zdolności i wiedzę, wszelkie skarby ducha rozpoznła, oceniła na własność zabierze dla przeczysta pięknego mgnięcia, dla ustrojenia się, na użycie zupełnie osobisty jednej godziny. Więc wszystkie klejnoty namotrąwi, potem odrzuca. Zapewne, Aspazja nie jest portretem Pauliny Zbysz. Osoba rzeczywista nie była bochantką, jak stworzona przez wyobraźnię. Raczej mielibyśmy w bohaterce Poganki upostaciowanie t. zw. lwic... Ale w tem, co jest z pewnego punktu widzenia rdzeniem tej istoty, bogato uposażonej, lecz z gruntu egoistycznej i uczuciowo chłodnej, goniącej jedynie za przelotnemi, nerwy łechcącemi wrażeniami — to wsiątko w nią, jako osad gozkiego doświadczenia Nareczy w stosunku do niedawno tak bałwochwalczo uwielbionego ideału. Jeżeli zechemy zdać sobie sprawę z założenia utworu, jako całości, musimy przyjść do wniosku, że zamyka się ona w treści samej, w garści faktów natury psychologicznie-społecznej, składających się na barwny, często fantastyczny świat Poganki. Jakie siły działają, jakie mogą działać w duchu człowieka? Jak się one krzyżują wzajemnie? Oto zadanie do rozwiązania.

Co do sposobu wykonania, można by użyć zarzut np. że względu na użycie efektów czarnoksięsko-baladowych, albo że względu na zatracenie granicy między życiem prawdziwym a bajką, zwłaszcza dotyczący to całkiem fantastycznej kariery Benjaminia — lecz uwagi takie objęłyby jedynie punkty podrzędne. „Poganka” właściwie nie jest powiastką psychologiczną w zwykłym znaczeniu, w której autorka winna była bacznie pilnie na warunki realnego prawdopodobieństwa w szczegółach powszedniego życia. To raczej poemat, w którym pewne uosobienia ludzkie niemal wyodrębniają się i obrzymiają w kosmiczne potęgi. Poetka wprawia je w ruch, śledzi ich starcia się do najdalejzych konsekwencji, dając im wolny lot, jakby nie istniały warunki rzeczowe, ponieważ kształtujące, kierujące i nadzwyczajnie krępujące realne objawy ludzkich namiętności, charakterów i t. p. I naturalnie, że autorka musi stworzyć pewną przestrzeń własną, w której postaci z jej świata poruszać się mają. A realizm lub fantastyczność to już kwestja jedynie wyboru tych czy innych środków, i tylko w punkcie zetknięcia się tych dwóch stron odczuć można pewne dysonansy. Wymaganja prawdopodobieństwa dotyczą tu tylko konsekwencji rozwoju pewnych stanów

i ścisłości duszy ludzkiej i harmonji między różnemi ich elementami. Krytycznika pociąga sama oryginalność takiego traktowania; potęga objawów ducha ludzkiego i szereg misternie wyrzeźbionych postaci i scen, to życie bogate, bujne, urozmaicone, które autorka wstąpiła w swój twór, i wreszcie odbicie własnej duszy poetki, jej własna część i podziw dla wszelkich ducha ludzkiego żywiołów. — Jednego tępiłoby nie chciała. Za jej wysoką miarę etyczną — Benjamin i Aspazja grzeszyli, i całego bowiem świata snuli rozkosz dla siebie, nie z siebie nie wysnuwając dla świata. Lecz miłość zdolna uwiecznić człowieka i grzech rozpoznać w dobro. Poganka miała stać się duszą w chrześcijaństwie odrodzoną. Z dwu istot pięknych i doskonałych ma się zrodzić w przyszłości piękna i doskonała chwila. Psychologia Zmichowskiej ma tedy korzenie w nieskończoności i w nią osiadczenie wsiąka. A pomiędzy jednostką i społecznością istnieje zawsze stosunek. Nie zewnętrzny jednak. Barwę i znaczenie nadaje mu to, co samoistnie w głębinach istoty powstaje. Benjamin mówi o sobie, że uczyni, co mu każą, co uznają za jego obowiązek. Nawet dla się ukrzyżować. Tylko — dodaje — i obraca moi, choć skonom, nie zbawię... bo nie kocham was... — Zniszczono jego bogactwo duchowe, zniszczono samą zdolność kształtowania, i oto staje przed nami w pełni idealistyczny dogmat Gabyeli — entuzjastki: uczucie, jako najwyższa, jedyna poługa... — o sobie jednak nie mogła powtórzyć słów Benjaminia: nie zbawię was, bo nie kocham... Jej nie zniszczył złowróżny genjusz. Zażbro niewyukryto się pod śniegiem, owionęły je ciepłe powiewy wiosny, ogrzało słońce. Sam proces (wówczas miał ożywcze znaczenie.)

W końcu r. 1845 spółka wydawnicza zaproponowała Żm-j. ułożenie systematycznego kursu nauk dla domowego nauczania. Propozycję tę przyjął Żm. z zapalem, w znacznej bowiem mierze odpowiadała jej przekonaniom o potrzebie wychowania nowego pokolenia, któreby otrząsnęło się z grzechu odrętwienia, sobkownstwa, słabości dla kraju. Praca zresztą zapewniała jej niezależność materialną. Często teraz odwiedza Warszawę, w latach własnie 1846-8 odbywają się posiedzenia przy ogniu kominkowym w mieszkaniu Skimborowiczów; wreszcie Żm. przenosi się do Warszawy na stały pobyt (w końcu r. 1846). Pędzi życie bardzo ruchliwe, zbiera u siebie młodzież klas rzemieślniczych, odbywa pogadanki, czytuje książki. Echo tego znajdujemy w „Księdze pamiątek”, w której znaczna część akcji odbywa się w dworku rzemieślnika, w której spotykamy mgliste zresztą bardzo aluzje do wypadków 1843 r. W połowie 1846 skarży się, że nie może znaleźć ludzi

¹⁾ Rękopis był złożony do druku w maju 1914 roku. W r. 1916 w wydanietrach Towar. Nauk. Warsz. ukazało się studjum prof. M. Manna z Poganki Zmichowskiej, w którym autor rozwija problemat stosunku świata powieści i jej kreacji do osobistego dramatu Zmichowskiej.

nie z wiary, lecz z żelaża ochrzczonych, choć wie, że są, i że smutkiem przypuszcza, „że jako żyła w szlacheckich przywilejach”, tak może nie będzie danem jej umrzeć inaczej, tylko szlachecką śmiercią (t. j. z rąk ludu). Zapewne grupa Przgl. Nauk. po smutnej przestrodzie z r. 1843 odgrażała się od działań spiszkowych. Nie mogąc inaczej, pragnie przynajmniej na jednostki wydać to, co ma w duszy dobrego, i wierzy w użyteczność swej pracy. Przypłajdając się stosunkom, ze smutkiem widzi, że nad szlachtą zawisł wyrok przeznaczenia, ale tę konieczność przyjmuje, podzielać przekonania Prawdowskiego. Wideożnie w końcu udało się jej odszukać ludzi z żelażem, w tym czasie bowiem zostaje „kospiratorką” (według terminologii, użytej w wierszu „Dziedzictwo Eryka”). Przez Bib. Moraczewską utrzymuje stosunki z Poznańskiem i emigracją.

Mimo to jednak praca nad kursem posuwa się powoli i w Przgl. N. umieszcza Gabriela artykuły, pomiędzy niemi piękną i żywą recenzję o Spekulancie Korzeniowskiego. I pole twórczości wreszcie nie leży odleglim. Powstaje wtedy „Księga pamiątek”, powieść na większe obliczono rozmiary, niż Poganka. Założenie jest to sumo, co w poprzednim dziele: znaczenie artyzmu w stosunku do jednostki i społeczeństwa, prawda uczucia, jako nakaz w postępowaniu jednostki zarówno względem siebie samej, jak i innych, obowiązek społeczny. Tylko schodzi tu poetka z hymnu do prostej powieści, mimo to nie zawsze uwzględniając warunki pracy życiowej. Rzecz jest wykonana bardzo po literacku, trzeźwiej, rozprawy zagłuszają mowę obrazów. Lecz i tu mamy bardzo subtelną analizę, kilka postaci, naczelnie zaś wśród nich miejsce zajmuje główna bohaterka Marja Regina. Jest to znowu kreacja pokrewna Aspazji, mimo, że na pozór niewiele jest wspólnego między fantazyjną królową czarodziejskiego zamku i czarodziejskiej uczci i szaleństwa, a skromną panią mieszczańskiego saloniku warszawskiego, dysputującą, filozofującą i bawiącą się w artyzan. Ale też wskutek tego może chłodna i nigdy żadnej ustawy nie przekraczająca, choć tak niezależna w swych pojęciach, Marja Regina bliższą jest swego pierwowzoru, niż Aspazja. I znowu o portretowaniu ścisłym nowy bież nie może. Charakter analizy psychologicznej jest ten sam, co zwykle, jest ona oparta o jakąś zasadę ogólną. Szczegóły zawsze są objawiani jakiejś prawdy, w znaczeniu raczej etycznym, niż przyrodniczym. Zboczenia są rzeczą przypadkową, i chodzi o to, by zbadać przyczyny i drogi tych zboczeń. Konkretnie objawy wskutek tego tracą same przez się swą wartość, są raczej ilustracjami, niżeli właściwą, niezależną treścią fantazji i uwagi. Pragnąc przeprowadzić jakąś tezę, ujmują ją nade wszystko w sformułowania teoretycznych, korzystając stale z formy pogawędki i sporów między zgromadzonymi, autorka nieraz rozdziela im role, każe poruszać coraz to inne

tematy zagadnienia, niezawsze zważając na to, czy ten lub ów bohater ściśle przypada do osoby, do sytuacji. Chociaż znowu znać, że pewne postaci naskakują rysami żywych osób: a kwestje same odwołują się do spłotu życiowych wydarzeń. Punktem wyjścia jest zawsze coś przeżytego, niekiedy gorąco bardzo, ale nie coś tylko pomyslanego. Naogół biorąc, Księga pamiątek zawiera ciekawe treści, jest mimo to uzupełnieniem, rozświetleniem, ponownym rozważaniem zagadnień i przedmiotów, które zrodziły Pogankę. Nie ma tu nadbiegło jeszcze fala, rzucająca pod stopy Gabryeli mowę zupełnie, nieznaną jej jeszcze bogactwa... Owszem, fala nadbiegła, ale przewalając się przez jej głowę, na długo uniosła i ją pracę twórczą na szerszą skalę.

W sierpniu czy wrześniu 1848 Skimborowicz z żoną zostali powołani. Żm. spędza przeważnie czas u sióstr w Rzezczy, powracając nad dalsze części kursu (Geografja), ale zagląda do Warszawy, nie ustając w swych zabiegach. 25 października tego roku przyszła kolej i na nią. Wśród uwiecznionych wcześniej wspomnień się i przewodnicy spisku; niektórzy z nich, między innymi bliźniak Żm-j Narcyz Tebórzewski, nie umieli zachować tajemnicy, i to stać się miało powodem aresztowania Narczyzy. Ze swąw tą kojarzy się inna — przejęta została dawna (z r. 1844) korespondencja Zbyszewskiej ze Żm. i oto obie zostały osadzone w klasztorze Karmelitanek w Lublinie, może z braku miejsca w Cytadeli Warszawskiej. Lecz Zbyszewska, za którą wstawał się bliźniak marszałek szlachty Jezierski, uwolniono już w grudniu 1849 r. Ż. zaś przebyła w zamknięciu blisko dwa i pół lata: na próbę rodziny, gdy zdrowi; jej mocno szwankować zabiegano, pozwolono zamieszkać (d. 9 lut. 1852 r.) przy siostrze Horowej Duninowej w Lublinie. Nowe panowanie przyniosło i Żm. życie. W maju 1855 r. mogła opuścić Lublin i przenieść się do Warszawy. Czas próby przebyła z wielką godnością, uważając, że postanowienie włożyło na nią obowiązek przedstawicielstwa drogiej sprawy. W ciągu długich samotnych miesięcy w głębiach jej umysłu i sumienia odbywała się praca, doprowadzająca do znacznych rezultatów dotychczasowej jej wiary narodowej i filozoficznej. Powstała być demokratka, jak mówi, t. j. przyszła do przezwyciężenia o bezowocności działań spiszkowych według metody Korzeniowskiego. Odrodził się pesymizm lat młodzieńczych. Docho- dowały do jej celi wieści o zachowaniu się społeczeństwa, nie mającego otępnąć się z apatii moralnej i szczęśliwego nawet przez ten swój stan. Jego niemoc i bierność sigwały tych czasów, w których zanikać poczyna odporność i godność nawet. Z drugiej strony stanęła najwrażliwiej przed jej oczyma nikłość wskutek niezłej garstki energiczniejszych i szlachetniejszych jednostek wobec bezwładnej masy narodu. Sposób działania i najważniejsze zabiegów dosadnie secharakteru później we wspomnianym

liście do Elżanowskiego. Wymarzony, a zdawało się jej w czasach, gdy sama była konspiratorką-demokratką, — bliski cel odrodzenia narodu i społeczeństwa, oddalał się począł, ledwie nie zniknął z oczu. W gorączkowym poszukiwaniu wyjścia moralnego oparcia dostarczyły jej nowe, mistyczne pojęcia o stosunku Boga do ludzkości. W zwykłym biegu rzeczy według praw mechanicznych przyczyny i następstwa, garstka świętych nie przewazy w najdalszej nawet przyszłości i wielkiej ciżby złych i niezmiernie masy istot bezwładnych. Lecz poza mechanizmem zależnych od siebie warunków istnieje siła wszechogarniająca i twórcza — miłość. Bóg miluje ludzi i jest nawzajem przez nich kochany, i to jest łącznikiem między Bóstwem a ludzkością. Bóg prowadzi ludzkość do celów jej przeznaczonych, i ciąglem dodatnim działaniem natury ducha (ludzkiego) musi prostować i podnosić ku sobie. Idealne zatem cele stają się rzeczywistością czynną, chociaż wcielenie ich widziane jest jeszcze w dalekiej mgie. Tak Żm., jak mówi, tracąc Polskę na ziemi, w Bogu ją odnajduje, i wierzy, że Polska, jakkolwiek pewnością i objawieniem. System ten wymagał uzupełnienia w kilku kierunkach. Trzeba było zrozumieć i wierzyć, że Polska, jakkolwiek w tak smutnej ukazająca się moralnej postaci, jest przeciw niezbędna w ogólnej harmonji świata; trzeba było zdobyć podstawę, która dostarczałaby pewności, iż wysiłki indywidualne w ogólnej sumie nie są stracone, że przez nie chociaż wolno, chociaż w szeregu wielu pokoleń, staje się jednak wola Boża na ziemi. I wreszcie należało znaleźć wyjaśnienie, czemu praca dnia dzisiejszego nie wydaje widomego plonu. Co do pierwszego zagadnienia, znajduje Żm. rozwiązanie w osnowie utworu „Głos pański w więzieniu”. Miłość jest tą potęgą, co świat odkupi, a ziarna z miłości w wybranej ziemi swojej Pan przechojuje.... Dlatego wypełnił z niej wszelkie korzenie, zostawiając jeno cierpienia i smutki. Z posiewu zaś miłości wyrósłeno cnota. W innych krajach wojują, piszą, myślą przęda. Lecz jeśli Polskę stracą, to gdzie kochać będą? W innych krajach dostatek ksiąg, bisioru, złota. Ale dla innych krajów skąd weźmie się cnota? Nowa Polska musi do spiechlerza ludzkości „wydać swoje żniwa”. Jeśli taka pewność istnieje, to już do zwątpienia niema powodu, choć się serce zakrawi wskutek ciósów spadających, choć ból ścisła na widok małości współczesnych. Smutek staje się obecnie cechą szlachetwa jednostek, oznaką, że w nich iskry ducha nie zamierają, owszem przekazane będą przyszłości, że jednostki te nie dają swej wewnętrznej zgody na rzeczywistość. I wreszcie najbardziej bezpośredni związek czynów przeszłości z dniem dzisiejszym, wpływ takiego czy innego postępowania na przyszłość, rzuca nieraz światło, na błędy i winy i słabość pokolenia żyjącego, jak znowu staje się podnięta do wysiłku, by wowe słaby ducha, czynów wypracować i jutro je przekazać. Żm. przyjmuje część systemu Towiańczyków, może

nową „Syna cieniów” i „Psalmu wiary”, t. j. przeświadczenie i stanowem wcieleniu się dusz, niegdyś żyjących na ziemi; kończy się z tem wiara w konieczność pokuty za winy w dawnym życiu popełnione i w stopniowe doskonalenie się istot. Zaznaczyć tu trzeba, że i upadek i wznoszenie się odbywa się zawsze przez winy i zasługi społeczne, przez ten czy inny stosunek osoby do bliźnich do narodu. Wiara taka miała dla Żm. moc twórczą. Dobro uczynione nie ginie (a znowu nie ginie dla społeczeństwa, jeśli ono może mieć doskonalonych członków i doskonalsze służę). Tak może odbywać się ciągle dodatnie oddziaływanie Boga na ducha ludzkiego. W późniejszym swym utworze „Bury dwór w Świerczkowej” Żm. przedstawiła wzniesienie się jednostek na wyższy poziom, a zarazem pokutę za winy, w przesłaniu życia popełnione.

W taki oto sposób przestała być Żm. demokratką w społeczeństwie ówczesnem rozumieniu, straciwszy wiarę w dawne, konspiratorskie środki, i odsuwając w dalszą przyszłość święty cel odrodzenia ojczyzny. Nie było to przelotnym nastrojem. Gdy się stał wypadek 1863 r., brała czynny w nich udział, o ile zmieniła do wytworzenia nowych warunków życia na podstawie pracy i życia całego narodu, ale nie dała się porwać ogólnemu skrajnemu prądowi i zgromadła wokół siebie ludzi, zgodnie z nią myślących. Co do mistycyzmu religijnego Żm.-j zaznaczyć należy, że zawsze odwracała się od poglądów, wskazujących w zaświatach drogę. Teraz jednak pojęciowy stosunek do Bóstwa przekształca się w uczuciowy. Zbliżać się Żm. usiłuje do form dogmatycznych, które to jest widoczne, że zwrot ten posiada źródło społeczne. Wskutek tego zachowuje odpowiednią barwę. Jak dla Polski stała się demokratką, tak też przez Polskę drogą jej szła do Boga. W wygnaniu z więzienia, zniewolona samotnością, przestaje w Luźnie przeważnie z księżmi, ale dlatego, że wśród nich odnajduje odrobinę i dopatryje się pewnej siły społecznej. Chwali ich za ich kazania, oczekuje jeśli nie mają charakteru wyłącznie magisterskiego. O ile zaś dostreże w duchowieństwie obojętność w sprawie narodowej i ogólnoludzkiej, uciecha z reakcji, wyrażonej we wzroście pobożności dewocyjnej i wierności wskazanym duchownych pasterzy, natychmiast budzi się w niej odruch powstania. Sama w tym czasie pisze „Wstęp do książki z mottem” (1854), w dziesięć lat później rodzaj homiji do słów „Wzrost się imię twoje”, podkładając pod słowa modlitwy pojęcia: „Wzrost miłość, za cel wskazując: Królestwo Boże na ziemi. „Bo Bóg Boże to nie Bóg sam w Sobie, to nie Bóg w Niebie, tylko Bóg w pojęciach ludzkości i w sumieniu człowieka”. Nadawszystko powstaje Żm. dawną entuzjastką, która sobie kłamu zadać nie może. Dla miłości W. Zablockiego nie daje się nakłonić do spełnienia polityki kościelnych, nie odczuwając w sobie żywego drgnięcia

uczucia. Rogata zaś jej dusza każe zacięte walki staczać z W. Zabłocką, a tworzyć się o najdroższą Annę Skimborowiczową, właśnie z powodu ich zasady wiary ślepej, nierozumującej.

W więzieniu, w warunkach ciężkich, gdyż pozbawiona materiałów piśmiennych, zdolała Żm. skreślić parę utworów: wspomniany „Głos Pański”, „Do moich dziewczyneczek” (w jesieni 1851), i być może „Wstępny obrazek”, będący hółdem, złożonym przez autorkę najbardziej kochanym lub najbardziej cenionym entuzjastom i entuzjastkom, skupiając je w jedno grono w salonie Emilii (Skimborowiczowej), jakkolwiek mówi tu o osobach z różnych czasów i miejsc. Nie mówi o sobie nie; z listów wiemy, iż zadanie swe życiowe uważała za ukończone, przyjmując to z rezygnacją. Pokrzepieniem były dla niej listy od przyjaciół i rodziny, dostarczane przez pełną poświęcenia Teklę Dębską.

Mimo, że pobyt w więzieniu działał na zdrowie Żm. zabójczo, niemniej pod względem moralnym lubelski okres był o wiele ciekawszym od poprzedniego. W celi klasztornej Żm. wyidealizowała Polskę, jeżeli nie w ludziach sobie współczesnych, to przynajmniej w jej liście, w jej losie i przeznaczeniu. W Lublinie, wyrwana z dawnego kota serc gorących, musiała bezpośrednio stanąć wobec ówczesnej rzeczywistości polskiej. Obojętność na położenie narodu, połączona z brakiem godności, apatia umysłowa i zamknięcie się w kole powszednich interesów, matomiasteczkowa atmosfera wreszcie odczły ją zszwad. Śmielesz słowo w ustach Żm. dziwiło, krepawało, gorzyło i odstraszało, znajomości z stosunków z nią się lekano, bo były niebezpiecznie polityczne, a zresztą cały ton moralny, uczuciowy i umysłowy entuzjastki, znany bodaj z głębiej wieści, wywoływał obojętną lub lekliwą niechęć. Chociaż milczała, podejrzewano, że surowo sądzi, więc żywno do niej rodzą urazy. Nie widziała poprawy również w stosunkach między szlachą i chłopami. W czasach głodu (1854) łamę i owemu stanęła w myśl groźn 1845 r., i wtedy wymownie radziła, jakby zlewn zapobiec, przynajmniej jedynie sobie wyjątkowość w postępowaniu. Dziw — dodaje z sarkazmem Żm. — gdzie się ci nie wyjątkowi podziwiają! Możemy z tego uważać, że zerwanie Żm. z demokracyzmem ma to swoiste znaczenie, które wyżej określiliśmy, gdyż pozostera ani uczuciowy jej stosunek, ani pojęciowy do sprawy włościanstwiej nie zmienia się wcale. Tak tedy stan moralny społeczeństwa wydał się Gabrieli rozpaczyliwym. Osobiste czuła się cieką obceniem i zupełnie niemal osamotnioną; wprawdzie miała bliską istotę, która się do niej garnęła, zę Bierzyską, lecz te rodzice pod wszelkimi pozorami wyprawiali w świat, by jak najmiej z wyjątki Narcyziej się „wdawała”. Nie miała Żm. wolności ruchu, korespondencja jej nawet odbywała się niemal w warunkach więziennych, bo list jak i znajomość mogła narazić Feliksa Danusa (szwagra), który wziął ją na swą odpowiedzialność, a zdaje się

niezależność i przestróg nie szczędzono Narcyzie, może w formie przygnębiającej, bądź to zależność ciężła jej barzo. Nie miała Żm. czasu po pracy, w którejby swoją mimo wszystko nie wyczerpaną energią mogła użytkować. Oddała się nauczaniu dzieci (dorastające dziewczynki lekano się jej oddać w opiekę), lecz praca ta, wymagająca wielkich wysiłen fizycznych, pochłaniająca wobec samotuności narodziłki cały dzień, nieraz o głodzie, owoców zadawała nie wydawała. Nie miała w szczytnym domu siostry własnego kąpka, nie miała potrzebnej ciszy. Tygodniami list jeden musiała pisać, a zdrowie nie dopisywało, nie mogła przesiadywać wieczorami....

W takich warunkach, w stanie ogólnego przygnębnienia nie było w myślenie o pracy literackiej. Tłumaczy zresztą przyjaciółkom, gdy im pracy takiej nakładają, że oprócz skarg na niechy się jej pióro obrócić nie mogło, a tego właśnie nie chce. Tęsknota jednak do twórczych zyczeń w pierś. Gdy raz ktoś wspomniał jej o piórze, o mało w głos się nie rozplakała. Znamienna jest okoliczność, że gdy zaprownowano jej (w lecie 1854) dokonczenie pracowanej przez zaszle wypadki Geografji, po raz pierwszy wydała się Żm. ję, że widzi blask jakiejsz zorzy, chociaż otwiera się przed nią możność pracy erudytyjnej tylko, nie twórczej. Z czasów tejsz pochodzi tylko wspomniany „Wstęp do książki o modlitwach” „Modlitwa do św. Cecylii”.

Gorzkie doświadczenie lubelskie odbija się na charakterze utworów, pisanych w Warszawie pomiędzy 1855 a 1861, w którym wychodzi zbiorowe wydanie pism autorki. Jednak stopniowo widnobi się rozjaśnia. Miała przecież już znowu przy sobie dawne, osobne, choć uszczuplone kółko osób, co prawda mocno przez siebie potieranych. Już sama możność pracy twórczej, której oddaje się teraz z gorączkowym zapalem, wpływa dodatnio na usposobienie Narcyzy. Nowe panowanie sprwadza pewne ulgi, coraz bardziej powracają z Syberji zesłańcy. Daje się odczuwać ogólne ożywienie, atmosfera moralna zaczyna się nieco oczyszczać, chociaż już nie ma obcenie Gabriela skłonna do entuzjazmu, raczej odpornie i ostrożnie zachowuje się tak względem ludzi, jak i perspektywy. Nie dopinaje tylko zdrowie, gruntownie przez więzienie podkopane. Przyjacielki przemoga wyprawiają Żm. do Karlsbadu (1857). Tam znajdują bliskie stosunki z kilku osobami z Galicji, przekonywają się, że w tej dziedzinie istnieje objawy odrodzenia ducha narodu. Otucha rośnie. W czasie tej wycieczki i następniej (1859) znajdują stosunki z emigracją, zawadza Żm. i o Poznańskie, stają się w pewnej mierze jak dawniej łącznikiem między wszystkimi dzielnicami, a zamierza rozciągnąć wpływy i na Ukrainę. W Warszawie otacza ją gromada siostrzeńców z wyboru.... Ziarna, siewane przez entuzjastów, wschodzą. Te przyczyny ogólne, jak i osobiste sprawiły, że z piersi Żm. wyrywa się okrzyk: „przed

wieczorem słońce się obejrzało i świeci, choć zachodzi". Zwłaszcza piękny był czas t. zw. Miodogórza (od jesieni 1858 r. do wiosny 1863 r.). Zajmowała wtedy Żm. (wraz z Julją Bąkowską) na Miodowej parę pokoiłków, urządzonych i wypięknionych przez młode dłonie „siostrzeńców”. Doznawała wówczas Narceza dowodów szerszego uznania. W wigilję Bożego Narodzenia 1861 r. kobiety uczyły Gabryelę, ofiarując jej krzyż srebrny. Nie zadawałając się pomocą Julji Bąkowskiej na jej pensyję, w r. 1862 urządziła kurs „pogańdek pedagogicznych”, które niezatarte wspomnienie pozostawiły w pamięci słuchaczy.

W r. 1861 ukazuje się czterotomowy zbiór (niezpełny jednak) pism Żm-j. Obok utworów, już wyżej omówionych, mieszczą się w nim i te, które powstały w ciągu ostatnich pięciu lat (od r. 1855), a drukowane były w różnych wydawnictwach warszawskich. Jest to „List niewiadomą czyj i niewiadomo do kogo”, „Kwestja pod rzędna”, „Adeodat” i „Niektóre pisma bezimiennej autorki” t. j. „Pierwsze i Drugie zapytanie”, „Stary Dwór w Swierszczowej” i „Biała róża”. Utwory te spokrewnia z dawnymi formą, pogadankę i rozpraw; zachodzi w tym względzie jednak ta niekorzystna zmiana, że rozprawy, wypierające prawie dialog, przystają niemal zupełnie element opowiadania. Dodatkowo pod tym względem wyróżnia się tylko „Stary Dwór”, w mniejszej mierze „Adeodat”. Zaznaczone zmiany pozostają w związku z przewagą dydaktyzmu, a ten znowu wynika z psychicznej konieczności rozprawienia się z pewnymi cechami osobowości jednostkowych, posiadających jednak źródło społeczne i podlegających nieopodważanemu następstwu, również społecznej natury. Tak np. „Adeodat” jest satyrą na obłudę, używają „świętych hasel za okrywę wewnętrznej nicości lub samolubstwa. „Biała Róża” jest wcieleniem specjalnej choroby — bezpłodnego rozmarzenia, rzekomo uszlachetniającego swym kierunkiem jednostkę, lecz rozwijającego się równoległe do życiowej bierności i niemocy. Talent autorki zachował swą siłę w tym stopniu, że mimo natężonej formy potrafiła stworzyć bardzo oryginalny typ istoty, żyjącej podwójnym życiem. W stosunku do rzeźwy ideałów, jak je postrzegamy, przeważa nastroj pesymistyczny, jako skutek przeżyć więziennych i doświadczeń okresu lubelskiego. Gdy w „Lisicie” nakreśliła kilka postaci idealnych, na zakończenie rzuciła z bolesnym sarkazmem pytanie „Ale, że śladu osób w nich wymienionych nigdzie nie spotykam, to mi jest coraz przykrejszem zagadaniem: Gdzie żyje ówa plejada szlachetnych i wzajemnie kochających się towarzyszy?... Czy żyją? Czy są tacy, jakimi ich opisano? Czy też mnie dane będzie na własne oczy któregośkolwiek zobaczyć kiedy?... Jak łatwą jest miłość bliźniego m. „puszczy i na cmentarzu”... Jak z poręczą i bólem Adeodat pod próżnym poszukiwaniem człowieka... Wiemy jednak, że niebawem życzenie Narcezy spotkania gromadki z Listu spełni się miło.

Pod innemi również względami obecne utwory Ż-j są przeniknięte echami z doby po r. 1849. Autorka zamyka w nie nowe swe poglądy na znaczenie jednostkowego zrywania w szeregu podobna, a powracając do interesujących ją wciąż, jak w początku swego piśarskiego, zagadnień uczucia i twórczości, inaczej ich rolę i rolę w życiu oświeta. Gdy kade wierzyć np. że uczucie miało uszlachetniać jednostkę, gdyż zmusza ją do usprawnienia i w myślach, uczuciach, czynach wysokiego wyobrażenia o sobie kochających, oczywista jest rzecz, że entuzjastka nie pogrążyła tu z dawnego swego stanowiska. Widoczne jest przecież, że wzmocnione wyidealizowanie pewnych dążeń natury ludzkiej, wiodąc się dale niemal bosse skupienie i napięcie uczucia, przynosiło się wybranych osób całą siłą woli, by się ocalić od rozciągających wokół, bliźniatych fal życia; z drugiej strony widoczne, że słyszane względy osobiste doskonałości zaczynają grać rolę decydującą. Mimo, że miarą doskonałości wciąż pozostanie doskonałość (dla bliźnich, społeczeństwa, narodu, przyszłości), oświeta to niekorzystnie na formę literacką, a odbija się również na porwaniu zagadnienia sztuki, problematu, snąc będącogo osobistą autorki sprawą. Pożya była w zaraniu działalności snem myślenia dla tych, co do działania nie byli stworzeni, lub dla których pole czynu było niedostępne; później twórczość stała się pełną, często groźną, kruszącą wszelkie zewnętrzne tamy, a sobie samej jedynie znajdującą swe prawo. Obecne życie artysty i powstaje jego autorka poddaje nakazom prawdy wiecześnie, odrzucając dawniejszy ideał bezstronnej żywiołowej swobody w życiu, twórczości. Pojęcie doskonałości się wewnętrzne połączone jest z miarą Gabryeli w odradzanie się dusz. Lucejan („List”) przed śmiercią wspomina najdroższych i najszlachetniejszych ludzi, takie właśnie skarby, takie uczucia chce wiązać z sobą na dalszą wędrówkę. Z innej strony zagadnienie to, jak wspominaliśmy, oświeta jest w „Starym Dworze”.

O stanowisku Żm-j wobec rozwijających się wypadków 1860 do 1864 już wspominaliśmy. Nie pozostała bierna, ideałem jej była wiara i czynna świadomość narodoła, coś w rodzaju pracy organizacyjnej ale posiadającej zakres szerszy i oparty o rekojmie polityczne, które zdołabywać należało. Odrodziła się w niej wiara w żywą siłę narodu, energicznie jednak opierała się prądom, które pchały gośd do ruchu zbrojnego. Składną z równa zdaje się nieufnością wobec siebie z względem Wielkopolskiego, jak i A. Zamoyskiego. Wierzyła się szlachcie gorąco wypowiedzianem przekonaniem, że tylko przez właszczenie etapuś można stworzyć podstawy rozwoju narodołowego.

Cokolwiek mógł żywić względem Żm-j ten czy ów przedstawiciel Tow. Rolniczego, nie dotykało to jej osobiste. Inaczej było w stosunkach do współwyznańców, gdy drogi zaczęły się rozchodzić.

Zerwała się długoletnia przyjaźń z entuzjastkami poznańskimi — Bibianą Moraczewską i Teklą Dobrzyńską. Nie mogąc pogodzić się z brakiem rewolucyjności Narcyzy, uskarżały się na jej despotyzm w staroścach, wynikających z powodu różnic stanowiska, jak się zdaje jednak, obie w gwałtowności temperamentu Zm-j nie ustępowały — zarzucały jej nachylenie się do towianizmu, jak ona znowu Moraczewska zakrój heglowski. Stosunki zerwały się w połowie roku 1861. Moraczewska nie chciała pośredniczyć w działalności, z którą sympatyzować nie mogła. Zerwanie to mniej może odczuła Zm., wirem wypadków porwana, otoczona współczesną młodzieżą, mając przy boku Jürgensa, najbliższego i najszerzej znanego z tych czasów przyjaciela. Ale w połowie r. 1862 i z tej strony doznaje zawodu. Jürgens dał się porwać przez ruch, odwracając się nagle od najbliższych dotychczas znajomych i przyjaciół. Być może tu należy upatrywać przyczyną gwałtownego wstrząśnienia, doznanego przez Zm-ę, „Wszystko mi się polukko, porzywał, popasło”, wyznaje. Poszukuje bezwzględnej samotności — nie chce widzieć ani „kochanych ani niekochanych”. Stan gorczyzy, jakby odpienia, pustki zupełnej wewnętrznej, jakiego doznawała, można jedynie porównać z przejściem młodzieńcem, kiedy spracowany zawodu stała się Paulina Złyszewska. Lecz wówczas było rozżalenie, jakiś element czynny, który znalazł ujście w piśmie, teraz jedynie pustka i bezwzględna potrzeba ciszy i oddalenia, które znajduje u brata Hfacynta w Mieni. W końcu roku 1862 powołana ją znowu do Warszawy perspektywa pracy owoceją: mianowano ją nauczycielką geografii w Instytucie pań. Ale, że wykład oparł na geografii fizycznej, władza uznała, że uczy rzeczy niepotrzebnych. Wówczas kwiecień lub maj 1863 r.) usuwają się na wieś do rodziny, przebywając w Olszowej, Pesezonowie, najbliżej u siostrzenicy Grodzkiej w Dębowej górze (do r. 1874), zamieszona patrzeć na powódź ter i krwi, jaka się rozlała po kraju. W pierwszych latach przynajmniej wyraża się w cherobliwie rozwiniętej potrzebie ciszy. Był stumić ból, by nie myśleć, jak się wyraża, lekturę przesłania sobie rzeczywistość. Stopniowo jednak zdaje się wciągnęta w koło zagadnień, jakie niósł z sobą nowy prąd umysłowy, zaznajomienia się z wynikami nauk przyrodniczych, zwłaszcza z ich metodą, z przyrodniczym i mechanicznym na świat poglądem. Jej umysł zachowuje swą niezależność, ogarnia szerokie widnokrąg, na podstawie nowego materiału zapożyczając nowych metod szkła rozwiązania wciąż tych samych społecznych, narodowych, etycznych zagadnień. „Pojęcie co do bliźniego cenniejsze jest lub szersze, obejmując rodzinę lub pokolenie, naród lub całe człowieczeństwo — ale grunt stosunku z bliźnim wszędzie ten sam... Każda nowa zdobycz na polu umiejętności raz po raz go zatwierdza. Darwina walka o byt w niczem mu się nie sprzeciwia — oswiem warunki jego objaśnia”. (Listy II, 552.) Ideal jej

pozostaje więc wciąż humanistycznym. Przechylając się na stronę i sw. pozytywizmu, wymownie przecież bierze w obronę entuzjazm, który pozostaje poległą, ma się jeno odłąd posługiwac pozytywnymi uwagami. W r. 1867 siostrzenice złożyły się na podróż Zm-j do Paryża na wystawę powszechną. Chciała jednym spojrzeniem ogarnąć, jakie owoce wydaje duch czasu, rozwijający z siebie postęp materialny. Tak tedy ze Zm. stajemy u progu nowej epoki.

Działalność Zmichowskiej zamyka się w tym kilkunastoletnim okresie w granicach szupieższych, niż dawniej. Uczy drobne dzieci siostrzenice, dzieci swoich umiłowanych dziewczynek niegdyś, którym rzuciła serdeczną zachętę i przestrógę z więzienia; na wesawanie młodych matek i nauczycielek przesyła rady, rozwija poglądy systematycznej nauki domowej. O politycznej działalności już teraz nie marzy. Co do pisarskiej — nie mogła o tej myśleć w pierwszych chwilach, kiedy cały jej świat zapadł w gruzy. Przeboleła tyle strat osobistych, zwłaszcza śmierć Jürgensa; oddawała rozluźnia węzły przyjaźni z wielu bliższymi osobami, czego ona dają się słyszeć w ustępach „Kasi i Marynki”. Brakło jej też zapewne pożądanego spokoju, który niezawasze doznacza cicha woda z halasującą dziećmi... Listy niekiedy bardzo obszerne, zawierające często szeroko najrozmaitsze kwestje, które czasomswaw, nie mogły zastąpić bezpośredniego obcowania z osobami, stojącymi na odpowiednim poziomie. Dziwnie pomyśleć, że ona, którą grupa najlepszych w swoim czasie na swoim cele powołała, że Gabriela, która stanęła w pierwszych szeregach literatury, przez lat kilkanaście z powodu braku środków materialnych, stała goręca i nagląca przez wielbicieli wzywana, nie może przetrwać w środowisku ruchu umysłowego. Pod koniec tego okresu następuje zarobkowa praca nad przekładem dwi tomów „Historji Anglii” Macaulaya powstała Zm-j przeniesie do Warszawy (we wrześniu 1874). Z tych wszystkich powodów powiesić i prace, rozpoczęte od r. 1863, — czego były „całe stopy” — pozostały w stanie szkiców zaledwie. Cokolwiek bardziej posunięta została „Kasia i Marynka”, zawierająca piękne i ciekawe kartki. W Warszawie powstaje praca o przyrodniku Strzeleckim i szkic powiesić pod tytułem „Czy to powieść”. Praca ta, jak i szkic o Strzeleckim, miała charakter historji minioniej epoki w biografjach osób. Nadto stała była Zm. redakcją pism Hofmanowej, dając w 8-m tomie wstęp do pism dydaktycznych autorki „Pamiętki po dobrej matce”. Na halas miejski nie sprzyjał twórczości, nie sprzyjała i ta okoliczność, że ręka odmawiała zaczęła posłużeniństwa. Organizm się osłabiał, chociaż umysł pozostał czynny do ostatniej chwili. Władny był zachód życia, samotną czuła się Gabriela, przeszyty najukochańszymi: Wincenty, Kazimierz, Anne. Pozostała jej woy heku Julia Baranowska, dawniej Bąkowska. D. 24 gr. 1876 kładła się z gromadką płaczących cześcieli i z rodziną, nazajutrz

25 grudnia zakończyła życie, po brzoży wypełnione troską, czynem, walką, myślą i cierpieniem. Zamknięty został romantyczny okres naszego rozwoju duchowego.

Gdybyśmy, chcąc wydać sąd o organizacji duchowej Gabryeli, brali wymiar jedynie z zewnętrznych oznak jej dzieł, gdybyśmy pamiętali tylko o nieskończonych rozprawach, monologach, komentarzach, rozmyślaniach, często nużących, zwłaszcza w dziełach późniejszych, może przysłabibyśmy do wniosku, że mamy przed sobą naturę zimną, zrównoważoną, pozbawioną gorętszych elementów, wyłącznie refleksyjną, skłonną do retoryki, a posiadającą mocne zacięcie moralizatorskie. I już wówczas pozostałaby do rozstrzygnięcia sprawa większej lub mniejszej siły argumentacji, głębokości i oryginalności wniosków, wartości moralu. Gdy jednak wejrzymy w to źródło, z którego wypływa cała twórczość Gabryeli i cała wogóle jej działalność, jeżeli uwzględnimy pobudki dzieł, ustępów, katek, rozważmy, ile wsiąkli treści z przeżytych chwil w sytuacji, sceny, postaci, jeżeli zwrócimy się pilnie w pomnik, który mimowolnie wznosiła sobie Żm. w listach, odsoni się nieco wtedy dopiero tajemnica tej duszy bogatej i złożonej, a zniewalającej ku sobie nieprzepracze swą czystością i wzniosłością. Całą jej istotę wypełniały i wiecznie w głębi się żarzyły ogień ukochania ideału, wiara w dostojęstwo człowieka, miłość i tkliwe współczucie dla cierpiących, wstręt i pogarda dla wszystkiego, co w sercu ludzkim było małością i złem, nienawiść i oburzenie na to, co było źródłem zła, niesprawiedliwości, krzywdy. Osobiciście dla Żm. atmosfera serdecznych stosunków tak była niezbędną, że w niej serce jej rozrastało radością, biło przyspieszonym tętnem; tej pozbawione, kurczyło się w sobie, chłód je obejmował. Uczucia jej były mocne, temperament sprawiał, że objawiały się nieraz gwałtownie i namiętnie, były one wrzeszcz trwałe. Stąd, chociaż w charakterze Narcyzy była wielką impulsywność, chociaż usposobienie jej nieraz wydawać się mogło fantastycznym i kapryśnym, oddawała się bowiem wrażeniom chwili i z zupełną bezpośredniością, a przejścia od uniesień, od wybuchów radości do stanu smutku i przygaśnięcia były dość częste i nagłe, mimo to wszystko w jej życiu duchowym, w jej przywiązaniach osobistych, jak w ukochaniu ideałów była ciągłość, stałość i potęga, a z tych znowu rodził się wielki hart moralny, kryształowa czystość i wielka dostojność duszy. Tkliwość Żm-j. ta tkiwość, która karała żółtawą zwanego kwiatu (Ludwinka w „Pogacie”), nie stała się łzawym i łatwym sentymentalizmem, wrażliwość — zmiłną chwytliwych, przedelnych, niegłębskich nastrojów. Ojczyzna zaś, ideał etyczny, rzeczy niezmiennie, były tak głęboko i osobicie przez Narcyzę przeżyte, że decydowały o stosunkach do osób. Kolizja między temi dwoma warstwami uczuć głęboko wstrząsała całą jej moralną istotę. Uczucie, jako próbnik doskonałości jednostki

i wartości jej tworów, było nietylko dogmatem pojęciowym Gabryeli, ona również i miarą naturalną, w głębinach duszy złożoną. Uczucie stało się podłożem systematów myślowych, ono też stanowi dla Gabryeli nakaz twórczości, daje w zaraniu działalności szereg pięknych liryk. Nie była to jednak natura tylko czująca, tkliw w niej popęd do zamiany myśli i uczucia w czyn, do spełnienia rzeczy, do obowiązków uznanych. Imiała się wówczas prace i zabiegów najpodstęjszych i najściągalszych, dokonywając zadania z największą wytrwałością i cierpliwością, czy to była elementarna nauka dzieci, czy pełne niebezpieczeństw krzątania się spiskowe. Tylko fantazja tworzyła i naogół praca literacka nie znosiła przymusu, tylko tego nakazała sobie Gabryela nie mogła. Abstrakcyjne dociekania niekiedy ją podlegały, lecz bronila się przed podobnemi upodobaniami, wstręcała w tem coś egoistycznego; marzenia bezprzedmiotowe były jej obce. Idee nabierały dla niej wartości dopiero przez możność niespożywiłnienia się. „Miłość ludzkości, nienawiść złego“ człowiekowi „wystarczy... nie może, trzeba indywidualnych łączników“. Oni też stawiają nas wobec konieczności, żeby „w każdej chwili nie zatawiać, co pod rękę popadnie i najdrobniejszym szczegółem nie gardzić“. Nie dość jednak tego, łącznik indywidualny między człowiekiem a ideał istnieje tam, gdzie jest „w każdej chwili i w każdej sprawie prawda indywidualnego uczucia“. (L. III. 296.) Wzrost dla Gabryeli skuteczności czynu samej przez się, w oderwaniu od osoby działającej; czystość moralna jednostki, czerpiące pobudki w ukochaniu spełnienia dzieła, była dla niej nieodzownym warunkiem jego użyteczności. Stąd to pochodzi w pewnym okresie działalności Żm-j przesunięcie się idealnego punktu ciężkości w jej poglądach i wymaganiach: moralna doskonałość jednostki zajmuje miejsce w systemie.

Na usługi ukochaniem i upodobaniem Gabryeli wyobraźnia dostarczała pomysłów i kształdów, im też służył wiecznie czynny, niezmiennie czynny umysł, spragniony wciąż nowych nabytków, w każdej sprawie zajmujący samoistne stanowisko, posiadający oszczędność zdolność subtelnych rozróżnień odcieni, moc głębokiego penetrowania w przedmiot, a zarazem popęd do rozwijania dalekich perspektyw i tworzenia rozległych syntez. Do tworów swych wprawdzie nigdy jej czerpie materiał z zasobu pojęć, przez epokę gromadzonych, nigdy przecież samodzielności nie utraciła, a posiadała tyle giętkości, by przerabiać i asymilować nowe elementy, ukazujące się wraz ze zmianą prądów duchowych w społeczeństwie. Tak podczas panowania heglizmu, zwróciła się Żm. przeciw niemu, dostrzegając, iż on usprawiedliwiał panowanie faktu historycznego, choćby się okazało przeciw niemu buntowało. A przeciw heglizmowi byli ze sobą i uwielbieniem przez Żm. wspomniani Edw. Dembowskiego i Jan Węgrówkiewicz. Tak później stanowiący na swem antykonspiracyjnym stanowisku, oplotcie to musiała ciężkim dramatem osobistym.

I umiała wreszcie znaleźć łącznik między swojemi dążnościami a ruchem pozytywistycznym.

Tak uposażona w bogactwa charakteru i umysłu, staje przed nami Zn. jako autorka i obywatelka, jeżeli pominiemy prywatną stronę życia. Zastąpi jej w czterech skłupiają się dziedzinach, w zakresie wychowania młodych pokoleń, w stosunku do sprawy emancypacyjnej niewiast, na polu działalności społeczno-narodowej i wreszcie w dziedzinie twórczości. O znazeniu ruchu demokratycznego w okresie 1840—1848, i o roli w nim Zn. mówiliśmy już wyżej. Dążenia entuzjastek, jako przodowniczek niewieścieści, stanowiły tego lego cząstkę. Co się tyczy sprawy wychowania, los nie był tu dla Zn. litotliwsiwym, niż w innych względach. Nie stanęła nigdy na czele zakładu naukowego, jak o tem marzyła, jak dwukrotnie próbowała; o porażce swej na tem polu wspomina z westchnieniem jeszcze na schyłku żywota. Wpływowi więc na młode pokolenie życia wyznaczyło szczupłe granice. Jednak pomijając osobistą pracę Narcezy w zakresie najszerszym elementarnego nauczania, winniśmy wspomnieć, że liczna grupa nauczycielek przechwyciwała żywe wspomnienie jej „pogadank pedagogicznych”, i w czasie późniejszym zasiała się jej wskazówkami i radami. Ułożony przez nią „Wykład nauk” dostarcza jeszcze jednego dowodu, jak wielostronna była jej praca.

Działalność pisarska Gabryeli odbywać się musiała w niesprzyjających warunkach, a mamy tu na myśli nie tylko zewnętrzne okoliczności, indywidualnie ją dotykające, lecz i ogólny stan rzeczy, który sprawiał, iż wieszac musiał, według słów Stowackiego, piórno zostawiać w cenzurze. Nie wyrządzało to moim zdaniem krzywdy autorom, którzy pozostawali lubili w srankach codziennego życia, lecz dla Gabryeli było to równoznaczne z całkowitem usunięciem z zakresu twórczości wielu wzruszeń i myśli, najosobistej natury, a że tworzyła tylko z wewnętrznej głębokiej potrzeby, więc cząstkę zaledwie swej duszy wyrazić mogła, i tu nawet słowa swe w tysiącach owijając całonki. Z drugiej strony forma rozprawy, swę wadałwa swym tworem, stanowiła zapórę między czytelnikiem a Gabryelą. Talent jej był natury liryczno-refleksyjnej, nie też dziwnego, że pomysł, sytuacje i wizerunki osób, jakkolwiek pełne treści wewnętrznej, niezawasze zarysowują się dość plastycznie w ruchu, w wyrazie zewnętrznym, w barwie i kształcie. Może zawazyła okolowiek i ta okolowieczność, że natura obdarzyła Zn. krótkim wzrokiem, zmysły nie dostarczały jej dostatecznego zasobu linii, kolorów, odcieni, cęstw, barw. Natomiast zdolność jej francologiczna, swoboda użycia słowa zależna jest pewnie od subtelności uczucia, od ostrości myśli rozszerzającej ją i od wielkiej, niechędliwej naiwności wrażliwości Gabryeli na dźwięki. Jednak na koloryt jej utworów miały wpływ decydujący nie wspomniane przed chwilą okoliczności, lecz natura umysłu, który nie miał w sobie cech

szopnej, bo bezosobistej ciekawości epika na objawy życia, na kształty konkretne, zajmujące ją przez to, że istnieją. Zupełnie wolną od takiej ciekawości G. wprawdzie nie była, lecz umysł jej i wyobraźnia posuwała się natychmiast dalej. Mocne namietności o wielkim żywiołowym napięciu pociągały ją dlatego, że w niej budziły równie serdeczny oddźwięk. Stąd stałe, wciąż powracające tematy jej utworów — zagadnienie uczucia, jako dźwigni orzadów i całego wogóle życia psychicznego i zagadnienie twórczości. W kombinowaniu zaś odcieni wyobraźnia jej była niewyważoną. Albo też ta czy inna rzeczywistość zwracała uwagę jej przez jakieś konsekwencje społeczne, przez stosunek do ideału etycznego. I znowu sprawa wymagała specjalnego, bynajmniej jednak nie epickiego traktowania.

Twórczość Gabr. obracała się najchętniej w zakresie zjawisk zagadnień psychologicznych. Stąd też specjalna karta jej w historii literatury naszej, która poza takimi poematami, jak Dziady umiałby chętnie lubić sięgać w głąb duszy. Nie lubiła też takich wstęperek i nasza powieść obyczajowa. Zaslugę w pomienionym względie dzieł z autorką „Poganki” Szyrmer, jako psycholog a parę lat ją wyprzedzający. Jest on konkretniejszym w swych obrazach, jest skrupulatniejszym badaczem, bardzo konsekwentnie kształtując dzieje człowieka, a przynajmniej pewnego uczuciowego i wogólnego stanu, i jakkolwiek jednak miał on także chwile rozgłosu i świetności, jakiej Zn. wśród szerszej publiczności nie zaznała nigdy, analiza jego, jakkolwiek zajmująca, w porównaniu z ujęciem powieści przez Zn., traci swą wartość. Nie mówiąc już o tem, że stara się w specjalnej dziedzinie patologicznych kombinacji, wyrażając o wogóle dostrzeganych objawach jako surowy sędzia, nastoty o nieruchomym dogmat, karcąc za odstępstwo od niego. Szalała zamienia się w suchy moral. Świat Zmich-ji jest bez porównania rozleglejszy, treści jego bogatsze, w porównaniu z ujęciem powieści, a za każdym jego skrótem odstania się coraz to inny obraz. Wogóle jeżeli ostrość widzenia Zn., głębokość jej twórczości stawiamy z odpowiednim traktowaniem spraw duszy przez współczesnych jej pisarzy, musimy przyjąć do przesądzenia, że są to rzeczy zupełnie niewspółmierne. Nie jest powieść Zn-ji psychologiczną w przyrodzonym sensie. Nie obchodzi jej zazwyczaj pewnego określonego stanu psychicznego, nie dba o warunki konkretne jego powstawania. Przełomy w jej osobach odbywają się nagie. Nie obchodzi jej i charakteru. Można by rzec, że zwykle dla niej „złarno duszy nagie pozostaje”, staje się czemś dla siebie i przez siebie istniejącem. Jednocześnie ukazuje N. daleką od siebie perspektywę — szczęście osobistego, etycznego nakazu powady i godności, narodowego i społecznego obowiązku. Jak sama z jej bohaterów „umie się przednieć w chwilę podaną na świat, umie się wtałmnić w osobiste przedstawionych osób,

a rozsądzi je według niezmiennych prawd Bożych sprawiedliwości". Ale to rozsądzenie nie jest potępieniem życia, instynktów, uczucia. Niczego, co w duszy żyje i rozkwita, Gabriela nie odrzuca, nieczego nie chce niszczyć. I grzech na coś — według jej mniemania — przysłać się może, zło przebóstwić się w dobro... Ten szacunek autorki dla człowieka, mimo jego zbroczeń, ukochanie pełni życia, jej wzrok przenikliwy, umysł lotny — to wszystko sprawia, iż niejedno z dzieł Gabrieli może bogactwem treści, subtelnością analizy, oryginalnością pomysłów, głębokością syntezy olśnić, ciepłem uczucia zniewlecić. Jej dusza dostojna, serce gorące, charakter, ideałom wiernie, pryncypiom niezłomny, musi wzbudzić cześć i dumę, żeśmy ją wśród nas posiadali.

BIBLIOGRAFJA.

A. Pisma. Zbiorowe wydanie Pism Gabrieli ukazało się w Warszawie, w 5 tomach. Poza wydaniem zbiorowem: 1) Wiersz bez tytułu w „Pierwiosniku” na r. 1839 2) Rozbiór „Spekulanta” Korzeniowskiego, Przegl. Nauk. 1846, t. III, 828—36. 3) Część elementarną Wykładu nauk, przeznaczoną do pomocy w dom. wychow. Wyd. 2. Warsz. 1873. 4) Wykład nauk... Geografja cz. I. Warsz. 1857. 5) Dwa artykuły o pierwotnem wychowaniu dzieci do r. 7. Gaz. Pol. 1874, Nr. 63—4. 6) O Pawle Edmundzie Strzeleckim, Aten. 1876, t. 383—424, 538—96. 7) Pamiętnik pisany w młodym wieku, Świt 1886. 8) Wspomnienie regenta, Aten 1888, t. III, 36—53. 9) Wędrowiec, Bibl. Warsz. 1902, t. 162—8. 10) Utwory, dodane do Listów Żm-ą, cz. t. I i II. Ponadto w listach i w innych źródłach spotykamy wzmianki o różnych artykułach i utworach poetyckich, te jednak dotychczas nie są odzyskane i zebrane. Zaznaczyć należy antologje, ułożoną przez Żm-ą p. t. „Kwiaty rodzinne” w wyd. 3 z r. 1898 (wyd. 4-te z r. 1912 dopełnienie przez Or-Ota), przekład 6 i 9 tomu Dziejów Anglii Macaulaya (Warsz. 1873—4), i Zeznania Narcezy Żm. przed Komis. śledczą w Lublinie w r. 1851. Przegl. hist. 1920 i odb.

B. Listy. 1) Listy 2 ty, Krak. 1885. 2) Listy, t. III, Krak. 1906. 3) Listy do T. Dębskiej, Lwów 1890. 4) Listy do Lud. Michałowskiej, Świt 1886. 5) List do Henr. Dunina z r. 1865. Tyg. II. 1885, t. Nr. 127.

C. Opracowania i życiorysy. 1) Stefan. Listy o pismach Gabrieli, Błuszc 1871, Tygod. Ilustr. 1872 i 1873. 2) J. Szujalski, N. Z. Przegl. Pol. 1876—7, III, 162. 3) P. Chmielowski, N. Z. Kwartalnik Kłosów 1877 i w „Autorki Polskie”. 4) W. Zelenka, Kłosy, 1877, t. 5) Agaton Giller, N. Z. Rach Literacki, 1877, t. 22, 39. 6) Al. Świętochowski, N. Z. Gazeta Handlowa, 1877 i Kalend. Gospod. dla kobiet na r. 1877.

7) P. Chmielowski, Biesiada Literacka, 1877. 8) Słfinks (H. Kuchmowicz), Gabriela i entuzjastki, Błuszc, 1880. 9) Fel. Szaracka, N. Z. Krak. 1883 i w „Pismach” Lwów 1893. 10) St. Chmielowski, Listy, Przegl. Pol. 1884—5, IV, 329—34. 11) Biebelissen, Z koresp. Gabrieli. Dod. do Przegl. Tyg. 1885. 12) P. Chmielowski, Wstęp do t. I „Pism” Żm-ą, Warsz. 1885. 13) Tenże, Entuzjastki w „Autorki polskie” Warsz. 1885. 14) (pani Huszard), Wstęp do 1-go tomu Listów Żm-ą, Krak. 1885. 15) Zdziarski, Tyg. II. 1885. 16) B (em?) Pozytywistka, Prawda 1885. 17) Jeszcze słówko o Gabr. i entuzjastkach, Aten. 1892. III. 18) P. Chmielowski, Ż. i Ziemięka, At. 93. IV. 19) A. Piłkowska, Kobiety poetki, Warsz. 1895. 20) Zdziechowski, Byron w 19-wy wiek, t. II. 642—51. 21) Ign. Chrzanowski, N. Z. Alb. Tyg. II. Warsz. 1901. 22) Tenże, Przedmowa do „Wyb. pism Żm-ą” Warsz. 1901. 23) Tenże, Smutek Gabrieli, Wędr. 1902 i w „Okruszkach Literack.” Warsz. 1903. 24) W. Zelenka, Pogadanki pedagogiczne, Błuszc 1902. 25) Ella (Izabela Zbiegniewska), N. Z. Błuszc 1903. 26) Z. Bukowińska, Wspom. o Ż. Świat kozy 1905. 27) J. Dicksteinówna, Trzy fazy w twórczości „Słfinks” i odb. Warsz. 1909. 28) Tejze, „Poganka (Prometeusz Paskiet, Warszawa 1913 r.). 29) M. Mann, „Poganka”, Geneva, 1914, artystyn, idea utworu, Warsz. 1916.

Szczęście poety.

(1841)

(Pisma, Warszawa 1885, t. I, str. 1—6)

Ach! być poetą! Czy wiesz, starczyżno,
Co to poetą być znaczy?
To jest — mieć wszystkie słaby bogaczy,
Rządzić cudowną, Boską krainą,
Jakiej król żaden nie ma na ziemi,
Którą ze szczęścia, z czystej mądrości,
Z wielkiego orzecia, z nieskończoności
Stwarza się sily własności.

Ach! być poetą! To jest być razem
Wszystkiem, co żyje pod niebem, w niebie,
Kropelką rosy, iskierką, głazem,
Światu wielki przedzierny w siebie;
Światu wielkiem dumnie panować,
I gwiazdy noc, poranku zorze,
Ciche strumienie, wzburzone morze
Według swej woli kierować.

Ach! być poetą! To ducha eudem
Czas niedościgły ująć w swe szpony,
Powieścią wieków zedrzedź szpony,
Hymnem przyszłości nucić przed ludem;
W jednej godzinie przywłaszczycie sobie
Długiego życia innych wrażenia,
Pierwsze o szczęściu młodych marzenia
I myśl ostatnią starców o grobie!
Być męczennikiem za świętą wiarę,
Aniołem Stróżem małej kołyski,
Rycerską dłońią rzucać poićski,
Albo kapłańską spełniać ofiarę;
Nie być męczyzną, nie być kobietą,
Prawem, co ludzie mylnie nakreślą,
Lecz być pojęciem, uczuciem, myślą,
Dziewczyno! — to być poetą!

Jeśli ci się ujrzyć zdarzy
Lzę w mem oku, smutek w twarzy,
Jeśli w życia podróży
Mówię ci kiedy będę,
Że mi się czas już dłuży,
I zmęczona usiędę
Na spoczynek przy drodze,
I żalom puszczyć wodze,
I skarżyć będę okrutności losu,
Patrząc na współwędrowców, moich towarzyszy,
Z których żaden nie usłyszy
Mojego głosu,
Ani głosu natury, ani Stwórcy świata,
Co woła wiekiem nędzy do przyszłego wieku,
Że dla człowieka w człowieku
Nie stworzył sługi, lecz brata...

Jeśli na widok zepsucia,
Które się szerzy dokoła,
Szyderstwem stępia uczucia,
Pogardą nagina czoła,
Trony myśli, kłóremi prawda tak się szczyści,
Że one tylko być mogą
Czystym zwierciadłem cnocie,
Aż je zepsucie pochwyty,
Nikczemną zdepeze nogą
I zanurzy w swoim błocie;
Jeśli na obraz nędzy, tęsknoty,
Złego nad dobrem przewagi,

Nieonej obłudy, grubej ciemnoty,
Zbraknie mi w sercu odwagi;
Jeśli beczynninie opuszczę ręce
I szatem dzikiej rozpaczę
Najczystsze szczęście ducha poświęcę
Za podłą rozkosz bogaczy: —

Wtenczas ty siostrę pociesz, dziewczyno,

Wspomnij jej tylko, że przez trzy chwile
I ona była poetą.

Tak jest! Raz pierwszy, gdy poeta była,
Dokoła się majowa łąka zieleńiła,
Jak szmaragdowe jezioro;

I byłam kwiatkiem, co na łące rośnie,
Wonnem powietrzem łąki oddycha,
Co się tak wdzięcznie uśmiecha wiosnie,
Gdy wiosna jemu uśmiecha;
Promień słońca mnie pieścił,
Karmil deszczyk perłowy;
Wietrzyk w listkach szeleścił,
Rozpedzał czarne chmury,
Dźwięcznemi gwarzył słowy
Coś o cudach natury,
Coś o świata wielkości,
O Bogu, o miłości.

A ja, pięknie przystrojona,
Niżli szata Salomona,
Co go w dzień chwwały okrywa,
Ja, rosy szczęścia mając dostatek,
Słuchając pieśni, byłam szczęśliwa,
Byłam szczęśliwa — jak kwiatek.
Lecz potem obszar łąki zbyt mały,
I w duszy inna myśl błyska;
U ramion dwoje skrzydeł wytryska,
Ja, z kwiatka orzeł, leczę nad skąty;
Leczę daleko, leczę wysoko,
Słońce się z orla śmiać chciało,
Orzeł mu spojrział dumnie oko w oko:
Słońce się w obłok schowało;
Ja dalej leczę, — gdzie burz siedlisko,
Silnemi szpony rwę czarne chmury;

Zdziwiony piorun, widząc mnie blisko,
Musiał ustąpić chybkimi pióry;
Ja wyżej lecę — aż tam, gdzie chciałam,
Lot mój wstrzymałam.
Spojrzę na dół: przepaść ciemna;
Tylko bystre orla oczy
Widzieć w niej mogą,
Jak kolistą drogą
Brudna, mała i nizekzenna
Ziemia się toczy;
Ziemia — ma dawne mieszkanie!
Wzrok smutny, lecz hardy,
Litości i wzgardy
Przez gęste chmury
Rzuciłam ku niej na pożegnanie,
Potem go wzniósłam do góry;
A com widziała wyżej od siebie,
A ilem szczęścia czuła odrazu,
Na to pod niebem niema wyrazu.
To powiem tylko — braciom orłom w niebie.
Fotom raz trzeci zmienia isoty
Czucie i myśl są odmienna;
Kwiatka rozkosze, orla poloty
Zakulałam w łono kamienia.
„Kamień nie czuje” — ludzie powiedzą.
Och! nie wierz ludziom, dziewczyńno!
Żyły kamienia iskrami płyną,
Choć ludzie o tem nie wiedzą.
Byłam kamieniem — ni mędra coko,
Ni wichru szala, ni burzy wiecie
Nie wysłodziły skrytej głębokoi
Jasności ognia w granicie.
Ja, głaz dla innych, a światło sobie,
Całej przeszłości zebrałam watek,
W grób zakopalam i na tym grobie
Strzegłam świątyni pamiętek.
Tam z przeszłych złudzeń wszystko, co było
Uciechną kwiatka, orla wielkością,
Wszystko pod zimny pomnik się skryło
Przed burz północnych wściekłością.
Bo ja z nawalaie, ja z burz się śmieję;
Czyż mnie to piorun rozkruszy?
Czyż mi wyszarpią mroźne zawieje
Tajemnicę świata z duszy?
Och, nie! ja wichur przetrzymam w biegu,
Twardsze od twardych gromów mam czoło.

A chociaż śniegi spadną wokóło,
Piers mam zimniejszą od śniegu.
Tylko, że pierś ta innym ukrywa
Tlejącą iskrę dawnych omamień:
Więc po raz trzeci jestem szczęśliwa,
Jestem szczęśliwa — jak kamień.

Fantazja.

(1843)

(Tamże, str. 163—8.)

Wielkie wieków mijają, jak człowiekta plemię
Kochał świeżemi trupy zasilało ziemię,
A ziemia, ich żyznemi sokami karmiona,
Kochał też więcej bogactw wyrzucała z łona.
Tędy dła błotne bagna, zdradne trzęsawiska,
Szpony wyziewów matki i gadów siedliska,
Tędy laki wypłynęły, w nowe strojne szaly,
A drzewa niebotyczne i barwiste kwiaty;
A co tylko jest kruszców, lub drogich kamieni,
To wszystko w cudnych kształtach na ziemskiej przestrzeni
Kamieniem ogniów błysło od promieni słońca;
A morza, zwyciężone od końca do końca,
Wobły się przelękle przed ładem, swym panem —
Ład nad niezmiernym zawiał oceanem,
Był piękny, zielony, rozległy, szeroki,
A dokoła go srebrne owiały obłoki;
Odwalało się wtedy, że natura cała,
Mocna, silna, z przeszłości swojej tak powstała
Jak miodzian, co z dzieciństwa do życia się budzi.
Wszystko była starość świata? — starość — w sercach ludzi.
Człowiek sam jeden dźwigał ciężkie wieków brzemię,
Mowami cierpieniami młodą smucił ziemię,
A sam tylko był stary, zgrzybiały starością.
Wzrost śmieje się z czucia, pogardza młodością,
Wzrost w duszy polotach i serca słodyczą
Wstał grobu igraszkę, kruszcowy zysk leczy;
Wszystko, co tylko jest pięknością, cnotą,
Wszkawa zimnym mózgiem na kłamstwo lub złoto.
Wtedy był groźnym wrogem lub wroga ofiarą;
Wzrost rwał oszustwem, miłośń śmieszna marą,
Wzrost echem próżności, szczęście ziem zuchwałem,
Wzrost próżniactwem, poświęcenie szaleń.

I tak bez wiary, czucia, smutne było życie,
Choć natura swe dary rozlała obficie,
Choć cała kula ziemiska i niebios ostona
Na wspólne szczęście wszystkich była urządzona.
Raz tylko — w długiej wieków ludzkości kolei,
Raz błysła odrodzeniem iskierka nadziei —
Zjawił się człowiek nowy z młodzieńczym zapalem,
Wzniósł się myślą szlachetną i sercem wspaniałem;
A jak nad dachem ciemnie postać archanioła,
Tak on, gdy inni w ziemię popuszczali czoła,
Szukając reszty złota dla duszy pogrzebu,
Śmiało stanął nad nimi, wznosił oczy ku niebu,
I wzięwszy dzielną ręką wieszczkę lutni tony,
Zabrzmiał hymnem proroka wśród puszczy zdziwionej:

„Bracia, słuchajcie pieśni! — pieśń to anioł Boga!
Pieśń to nauka wieków, przyszłość przestroga;
To silny głos zwiastuna, co na puszczy woła,
Jasny promień nad głową prawdy apostoła!

Bracia, słuchajcie pieśni! — Jak anioł odleci,
Zginą wieków pamiętki, przyszłość zaciemięła —
Głos zwiastuna o twarde serca skamienieje,
A jasny promień zgaśnie. — Kto z was go roznieci?
Gdy wszystko będzie zimne, i martwe, i głuche,
Kto wywoła na ziemie silnemi piensiami
Z grobów życie, z wspomnienia przyszłość naukę?
Kto was w niebo powiedzie jasności szlakami,
Jeśli pieśń wieszczów zniknie? O ziemscy mieszkańco!
Póki Bóg jeszcze do was pieśnią się odrywa,
Póki w dusze wybranych hymna natchnienia wlewa,
Jako wonną oliwę w świątyni kaganiec,
Słuchajcie Jego głosu! Ludzie, bracia moi!
W pokorze przed Nim wasze nachylajcie czoła,
Otrzyjcie sroce z pyłu ziemskich niepokoi:
Dziś Bóg pieśnią — lecz kiedyś piotunem zawoła!

Ludzie, ludzie! gdzie wy dągycie
Przez tzy i zbrodnie?
Stójcie, chwilowi przechoździe,
Och, stójcie, bo zgasię
W kałuży krwi i błota
Promienną iskrę żywota!
Ludzie, nie idźcie w te strony,
Gdzie na trupach ludów

Wznoszą się trony
Z podłości brudów,
Gdzie w diamentowej koronie
Kał siadł na tronie
I każdemu, co karku w poddaństwo nie zgina,
Żelaznem berłem wolną głowę ścina!

Ludzie, nie idźcie, gdzie bogacze świata
Purpurą, złotem, zbytkami
Urągają niedźzy brata,
Żywiąc się jego ciałem, pojąc jego łzami!

Ludzie, nie idźcie, gdzie głosem szy terca
Duch piekiel kłamie Boga i bluźni nauką,
Żeby stokroć przeklętą szluka
Resztki nadziei wyszarpać wam z serca,
I ciężej niż ciała, w żelazne łańcuchy,
W przewrotne fałsze okuł wasze duchy!

Och! nie idźcie tam, ludzie! Ludzie, bracia moi!
Do mnie, do mnie! ja wszystkich przytulę.
Moja pieśń ukoł
Wszystkie troski; wszystkie bóle.
Moje ramie obejmie jednym uściśnieniem
Wszystkie ludy. — O bracia! pójdź mojem pieniem
Bądźcie uśpione w obojętnej noey,
Z południa ku północy,
Z zachodu ku wschodowi.
Głos mój wypowie,
Pieśń moja wyśpiewa
Rozkaz Boga — cel ludzkości,
Słowo braterskiej miłości,
Ziemia będzie szczęśliwa!”

Umilkł wieszcz — a w długim milczeniu
Wstał się tłumy ludu dziwie jego pienu;
On drzący, jako jeszcze drzące lutni tony,
Przez okiem w ich dusze, śledził bieg ich myśli,
A głos jakiś zpośrodku zawołał: „Szalony!”,
I ludzie powtórzyli — i poszli, jak przysli —
A on sam został tylko, głowę schylił smutnie,
I sterczące skal brzegi rozbił swoją lutnią,
I znówu spojrzął w niebo ostatniem spojrzaniem,
I ostatnią łzę uronił nad bratniem cierpieniem

I skonał. A ród ludzki szedł dalej bez celu,
Ginał, niszczał — na ziemi zostało niewiele.
Potem dwóch tylko ludzi — dzieci matki jednej,
Ale dalsi od siebie, niż ziemia od słońca,
NIŻLI niebo od piekła: bogaty i biedny,
I biedny sięgnął ręką po brata dostatków,
Z głodu zgrzytnął zębami. Własności obronca,
Bogacz, szkielet bez serca, dobył sił ostatki,
Całym skarbiów ciężarem ciskał w piersi brata,
Aż nędzarz padł pod ciosem. — Sam bogacz wśród świata
Dumnie powiódł oczyma i cieszył się z tego —
Och! cieszył się samolub, że niema drugiego,
Że jest sam. — Ale chmura płynęła po niebie
Ostatnia, grom ostatni wyrzuciła z siebie
I ostatniego w świecie zabiła człowieka —
I wtedy pieśń harmonji zabrzmiała zdaleka,
I drzewa się w miłosne pospłatały wianki,
I ziemia drżała szczęściem, jak łono koehanki.
I w piękniejszej naturze wszystko piękniej żyło,
I wszystko było dobrze — bo ludzi nie było!

Do moich dziewczynek.

(1851)

(Tamże, str. 275—9.)

Dziewczynki moje, o moje kwiatki!
Z kolebki dziecka, od piersi matki,
Jak rzezo biegną po życia drodze;
Ach! po tej samej, z której ja schodzę!
Znam ją tak dobrze! znam każdy kamień
I każdą ścieżkę błędnych omamień.
Wiem, gdzie jest cięższa, a gdzie wygodna,
Wiem, gdzie bezpieczna, a gdzie zawodna,
Mogłabym przestrzec, powiedzieć tyle...
Stójcie, dziewczynki, stojcie na chwilę! —
Lecz między nami, jak świat od świata,
Daleka przestrzeń, bo długie lata —
I ludzie krzyczą, śpiewają, piszą,
Gdy ja zawołam, ach! czy dosłyszają?

Dziewczynki moje, tam, gdzie biegniecie,
Wy pewno piękność pochwyćcie chęcie,
Cacko, gwiazdeczka, kwiatek, piosneczka,
Tęczowe błaski, głośnie poklaski,

Wioski spokojność, zbytków ozdoba,
Wszystko was negci, co się podoba.
A za czem dążyć? co wybrać w świecie?
Co najpiękniejsze? to wy nie wiecie.
No, ja wam powiem, dziewczynki moje:
Piękne są perły, diamenty, stroje,
Piękniejsza jednak woda w strumieniu
I lilja polna w białem odzieniu;
A od liliji, od czystej wody,
Piękniejsza świeżość waszej urody;
A od piękności hoźych dziewczynzek
Jeszcze piękniejsza — tza użalenia,
Cicha modlitwa, święte natchnienia,
A najpiękniejszy — dobry uczynek.
Lecz wy daleko! Tam zaś, mój Boże!
Tam wszelką piękność inaziej może
Ludzie ocenią, rozważą, zmierzają,
Ody ja tak mówię, ach! czyż uwierzą?..

Dziewczynki moje, wy się trwożycie,
Bo o cierpieniu często słyszycie;
Więc chociaż jeszcze przed wami leży
Ościniec taki równy i świeży,
Wy po tem polu gładkiem, szerokim
Już ostrożniejszym stąpacie krokami.
Śmiało, dziewczynki! To strachy płonne,
Strachy pogańskie i zabobonne!
Ach! ja wam powiem: jest cierpień mnóstwo;
Piękna lub chleba głodne ubóstwo;
I od ubóstwa gorsza choroba;
I od choroby gorsza żaloba;
I od żaloby, ach! gorsza strata
Żywych serc bratnich w katuszach świata;
I na i te straty, nad te cierpienia
Najgorszy z wszystkich — wyrzut sumienia.
A jednak śmiało, dziewczynki moje,
Ja się niczego dla was nie boję.
Ja wiem, że tutaj z liłoseł Pana
Na każdą troskę pociecha dana.
Spokojna godność, wytrwałość z pracą —
Ubóstwo znoszą lub też bogactwa,
Przeciw chorobie pomoc skuteczna,
Lub w śnie ostatnim jest ulga wieczna.
Dla tych, co placzą w grabiej żalobie,
Zmartwychwstałego jest krzyż na grobie;
A za odstępem, za przeniewierę,

Za wszystko, co nas gorzko zawodzi,
 Dość znaleźć jedno szlachetne serce:
 Jeden poczciwy stu złych nagrodzi.
 A za grzech własny? o! jest pokora!
 Jest do poświęceń chęć bardziej skora,
 Jest pobożanie drugim cierpliwie,
 I są pokorne prace gorliwie.
 Bo tak już chciało mieć prawo Boże,
 Że i grzech na coś przydać się może.
 Tylko się nigdy nie przyda na nic
 Dumnego serca pycha bez granic;
 I kiedy wszystkie by, wszystkie grzechy
 Zbiera i święci anioł pociechy,
 Ten anioł we śnie nawet nie stanie
 Przy takim, który kochać przestanie.
 Toż baczność w drodze z tej tylko strony,
 Gdzie samolubstwem szlak jej skrzywiony...
 Lecz wy daleko! A tam znów ludzie
 W smutku, w potrzebie, w boleści, w trudzie
 Zapewne inne rady im dają...
 Gdy ja zawołam, czyż usłuchają?

Dziewczynki moje, wy się śpieszycie,
 Każda z was myśli, że dalsze życie
 Oddać jej musi, jak płatnik wierny,
 Ze skarbów świata procent niezmierny.
 A starcy na to kiwają głową;
 Dla starców szczęście — to kłamstwa słowo!
 Lecz ja wam powiem: jest szczęście przecie,
 Jest nawet wiele szczęścia na świecie.
 Szczęściem są wasze lata niewinne,
 Wpół młodociane, a wpół dziecinne,
 Bez doświadczenia, lecz bez kłopotów:
 Czy chleb powszedni na jutro gotów?
 Czy w zdrojach utęch nie wyszła woda?
 Czy do wieczora wytrwa pogoda?
 Bogosławione pierwsze dni wiosny!
 Bogosławionys, wieku radony!
 Słowik ci kwili, wonieją drzewa,
 O łebie Bohdan poeta śpiewa:

Żeś „sen na kwiatach, żeś sen nasz złoty,
 Żeś „ideałem wiary i enoty“.

Lecz od tych marzeń, od tej swobody
 Jest większe szczęście, o wieku młody!

Jest większe szczęście — jest głos ponętny,
 Głos cichy, miękki, a nienamiętny,
 Głos, co tak szczerze, jak Bogu w niebie,
 Wymodli kiedyś: „Ja Kocham Ciebie“.
 A niż głos taki, niż ta zyskana,
 Większem jest szczęściem miłość doznana.
 Tę własne serce silnie uderzy,
 Gdy czuje, że mu ciepłej i szerszej,
 Że się w niem, jakby ze snu, zbudziły
 Nowe zdolności i nowe siły...
 A większem szczęściem od tej miłości,
 Jest wielkie szczęście ludu całego;
 Prawo Chrystusa w rzeczywistości;
 Ze słowem Bożem — chleb dla każdego;
 Z życiem na ziemi — miejsce wśród tłumu;
 Ze światłem słońca — światło rozumu;
 Z pamięcią przodków — win odpuszczenie!
 Daleczyński moje, niech każda wierzy,
 Że się jej takie szczęście należy;
 Niech za niem goni, niechaj go szuka;
 Piękność, cierpienie, radość, nauka,
 To w pomoc tylko danem wam było,
 Aby się takie szczęście ziszcilo.
 Lecz wy daleko!...
 Ach! tam inaczej
 Może im szczęście kto wytłumaczy?
 Może je ludzi inną nadzieją?
 Tu, co im mówię, czyż zrozumieją?..
 O gdyby mogły!.. Dziewczynki moje!..
 Lecz ja daleko, daleko stoję...
 I jeszcze dalej smutna odchodzę!) —
 Szczęść, Boże, lepiej dziewczynek drodze!

¹⁾ Pisane w wizeraniu w jesieni 1851, kiedy Ż. sądziła, że będzie
 wzięta na wygnanie Wiersz pisany dla siostrzeńce w Rzeczyce.

Poganka.

Powieść przy kominkowym ogniu opowiadana.

(1845)

(Tamże, t. II, str. 34—40.)

I.

Wyobraźcie sobie państwo zieloną oazis w pustyni Sahary, wyobraźcie w świecie dzisiejszym, w świecie złota, srebra, miedzi i galganów na bankowe papiery przerobionych, rodzinę liczną, ubogą, a szczęśliwą — w tej rodzinie lat temu dwadzieścia sześć, o godzinie pierwszej po północy, przy najpiękniejszej noc sierpniowej, urodziło się dziecko pięci męskiej, dziewięć z kolei, a rzecz nadzwyczajna, przyjęte taką radością, takim błogostawieństwem, jak upragniony pierwszy potomek gapiącego już imienia, oczekiwany dziedzic wielkiego majątku.

Leć nie, bliźnierstwem jest to porównanie — dziecko przyjęte taką miłością, jak wszystkie dzieci w miłości zrodzone — tem dziećciem ja byłem. Nad przygotowaną dla mnie kolebką nie zaczęła żadna skarga, ni to starszej siostry, że w domu nowy kłopot będzie i nowych trudów się przysporzy, ani dobiegającego swej młodości brata, że mu jedna ręka więcej do rozszarpania spodziewanej puścizny przybędzie, ani drobniejszego rodzeństwa, że się zaczęła dla niego chwila przynusowej cichości, narzuconego rozsądku, uskąpionych pieśszcót — ani matki, że z danem życiem jej życie się umnie, że ją noce bezsenne, karmienie, prace hodowania czekają, — ani ojca nawet, że ciężkie czasy, że wychować będzie trudno, że na obmyślenie zawodu sił i sposobu już nie wystarczy. Dziwa rzecz, stokród dziwna, tego wszystkiego nie było!

Matka z siostrami ze starej bielizny poszyty pielnuski moje. Jeden z braci na niespodziewankę upiół zupełnie nową kołyskę, a ojciec, kiedy mnie pocziwa babka na pokazanie w poduszce przyniosła, przeźegnał mnie krzyżem świętym. „Oto człowiek światu się narodził”, rzekł tylko i ze łzami w oczach i z uśmiechem na ustach poszedł cęprzej do żony swojej,

poskował ją w czoło, pocałował ją w rękę i nie odszedł, aż póki osłabiona, lecz ciągle niewymownej słodczy jaśniejąca miłością, z nowo-narodzonym przy boku nie zasnęła spokojnie.

I takie były moje narodziny. Przez długi czas nie miałem imienia; zwano mnie tylko maleńkim, synkiem, pieśszcótka, a osady odbywały się długie, jak zwać miano na później. Teresa, moja mała poprzedniczka w rodzeństwie, załatwiła wszelką zapłatowość; kiedy jej na starych obrazkach opowiadał jeden z braci historję synów Jakobowych, tak się rozmitowała w matkę Benjaminską, że gdy wieczorem wznowiono o krótkość narodził mającym chrzcie moim rozmowę, dziewczynka, siedząca w tej chwili nad kołyską, uroczystie wzniosła swój paluszek na góry i powiedziała stanowczym głosem:

— Ty maleńki będziesz Benjaminskiem.

Od tej chwili nadano mi imię Benjamina.

Pocziwa Teresa! zapomniano jej powiedzieć, że Benjaminską pierwszą wołą matki swojej zwał się Benoni, a Benoni to znaczy „syn boleści”; a matka moja, rodzeństwo moje, pochwylił wyraz dziećcięcia, bo im do serca przypadła, a ojciec go zaprzeczył, bo takie było miano jego wielkiego bohatera, jego imię wśród sławnych mężów — Franklina. Z tej czci dla Franklina możecie państwo odgadnąć cały charakter mego ojca, miał tylko trochę choć biegłymi jesteście w zauważaniu tych znaków tajemnych, a zawsze logicznych, które upodobanie i ostae sympatje człowieka z treścią jego własnej natury łączą. Tak do mnie, taki mam w tym względzie przynajmniej instynkt, że raz, gdy w galerji Lawru widział pięknego, młodego człowieka, jak się długo z najspokojniejszym obliczem zatrzymał przed Katonem Velasqueza, co sobie piersi tak krwawo, tak niespokojnie rozdziera, powiedziałem zaraz — to zły człowiek — i sprawdziły się słowa moje: ten człowiek był anatomem ludzkiego serca; spotkałem go później na salach sądowych ciekawego bardzo widzem, a w ostatniej chwili świadkiem przeciw obwinionemu, na moje sumienie wierząc — obwinionemu niewinnemu. Lecz wracając do osobistej biografji, już wiecie, pod jakim byłem, w jaką atmosferę niejako dostałem się na tę ziemię, odgadwamy według dawnych, wstąpiwszy według nowszych, a odrodziwszy się według najpodobniejszych do prawdy mnie-

mań. Jak mnie tak długo usypiano, pieoszono, kołyszano bez mojej wiedzy, jak ja rozwijałem się w tem ciepłe uczucie, w tej pogodzie szczęścia, jak mi cała treść mojej istoty nasiąkała niejako tą pieśnią miłości różno i wszechstronnej — och! gdybym mógł pamiętać! Ale ja nie, nie nie pamiętam, a jednak to było już życie moje, to była już przyczyna jakaś późniejszych następstw, chwila rodzicielka wszystkich chwil, wszystkich lat moich. Kiedy się pierwszy raz poczułem i obejrzałem na świecie, znalazłem już jej owoc w głębi ducha mego i stał mi się tem, co nazywają skłonnościami, charakterem, naturą. Każdy mnie kochał, ja się ocknałem, kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się oddycha, je, pije; przed kochaniem nie było dla mnie przeszłości, jak przed Bogiem nie było początku; lecz niedosyć na tem: ci wszyscy moi poza mną kochali jeszcze wszystko w różnych objawach, w różnych jej kształtach, a było coś pięknego, świętego w wyborze tych kształtów i tych objawów; każdy coś kochał na swoją własność szczególną, tylkoż bierzcie to w dostownem znaczeniu, kochał — nie lubił.

Moja najstarsza siostra Julcia kochała dumki ukraińskie, a mój brat Adam kochał niebieskie oczy córki bliskiego sąsiada, a mój brat Józef kochał ziemię, której uprawę się tradnił, a moja siostra Ludwina kochała wodę bieżącą i kwiaty niezerwane, a mój brat Karol kochał psa, konia i strzelbę dwururkę, a moja siostra Bronisia kochała gwiazdy i niebo, a mój brat Cyprian kochał obrazy, a moja siostra Terenia kochała powieści, a mój ojciec kochał książki, a moja matka kochała ludzi — i tak dla mnie pierwsze wrażenia z ich wszystkich ulubionych wrażeń się złożyły.

.....

Ludwinię moją, najmniej ładną, najcichszą, najłaskawiejszą z całego rodzeństwa siostrę, pamiętam najdokładniej w obrazku, nad którym może najdłużej, może najpierwej główka moja rozmyślać zaczęła. Przy końcu naszego sadu, za rzędem wierzb bąjnie rozrosłych, płynęła rzeczka maleńka, bezimienna, wąska, tak że się zdało przeskoczyć ją można, a żywirem drobniutkim na dnie wysypana, że tylko liczyć, tylko zbierać jego ziarna

niekolorowe; nad tą rzeczką usiadła sobie Ludwina tuż przy brzości, przegięła się nieco i w wodzie do połowy odbiła się jej postać, a woda odbitą kołysała równo, ciągle, spokojnie, jak to sou. Zmęczony biegiem, przykłąkłem obok Ludwinki i zasnąłem gałązką pluskąc w srebrne kropelki.

— Nie budź mnie, Benjaminsku — szepnęła tylko siostra, i to tak cieniutkim głosem, że ledwo dosłyszeć mogłem.

— Czy ty śpisz, Ludwinko? — spytałem.

— Śpię, śpię, braciszku — odpowiedziała jeszcze ciszej, ale ja patrzyłem w jej oczy i widziałem, że oczy, choć ku wodzie spuszczone, nie zamknięte, nie zaspane były.

— Och! żartujesz — zawołałem w pustotę i uderzyłem palcem mocniej, aż się cała nadbrzeżna woda zmąciła.

Ludwinka drgnęła, jak gdybym to ją był moją gałązką uderzył.

— Obudziłeś mię — rzekła bardzo, bardzo smutnie, i ja zaraz poczułem, że coś złego, coś najgorszego zrobiłem, przyszkodziłem temu, co już cierpiał.

— Ale kiedyś ty nie spała, — rzekłem na ostateczne usprawiedliwienie — tyś nie spała, Ludwinko — dodałem z prośbą. Siostra nie mi nie odrzekła na to, tylko mię wzięła za rękę i pochyliwszy się wraz ze mną, na uspokojoną wodę palcem wskazała. Zobaczyłem siebie i Ludwinkę. Jak zwierciadło zabawili mnie ten obrazek, lecz zwołna, im dłużej w niego patrzyłem, tem zupełnie ogarniała mnie jakaś senność, a nie oczu, nie ciała, bo oczy miałem roztwarte, bo ciało silne, w jednemże utrzymanie wygięciu; była to raczej senność mojego odbicia, jakieś cząstki ze mnie, co na drobno łamaną łuk rzeczki padła i w jej kryształach chwiała się jednostajnie bez przerwy, bez zmiany.

.....

Brat Karol był leśnikiem, lubił konną jazdę, myślistwo, niebezpieczne wyprawy. Miał ulubioną klacz, Zittę, dużego czarnego byłana, Molocha. Pewnego dnia Karol posadził małego Benjaminska przed siebie na koniu.

Dzień był prześliczny, mroźny wprawdzie, że aż śnieg skrzypiał, ale taki jasny, taki ubrylantowany słońcem, że aż w oczy ćmiło. Pędziliśmy z bratem, pędzili, aż nakoniec i w białą się wjechało. Ja się nie mogłem nacieszyć iskierkom różnolśniącym po drzew gałęziach, po drodze naszej rozsiąnym, i tej czarnej Zicie, i temu czarnemu Molochowi, wśród owej dokoła rażącej białości. Nagle Zitta strzygnęła uszami. Moloch stanął i sierści najężył. Bratu rozległy się nozdrza, cmoknął ustami, jakby chciał powietrze ucałować, i konia zatrzymał.

— A to co będzie, Karolku? — spytał.

— Cicho, cicho, to wilk.

O wilkach słyszałem tylko o powiastek Teresi, powiastki były okropne, lecz i moja ciekawość wielka. Brat się przechylił, popatrzył mi w oczy i tę rękę, którą mi obejmował, bardziej na lewy bok przesunął. Spojrzeniu jego dość spokojnemu odpowiedziałem spojrzeniem, jednak ręczyci nie śniłem, czy pod ręką brata coś tam w piersiach moich silniej nie zastukało.

— Dobrze, dobrze, wcale nieźle — poszepnął Karol sam do siebie, a potem głośniejszy dodał: — Zabijemy wilka, Benjamina!

— Jakto, czy i ja go zabiję?

— I ty, chłopcze, tylko uważaj, baczność, przytul się do mnie plecami, tak, dobrze — teraz — wziął fuzję, wymierzył, — teraz daj tu obie ręce, trzymaj, gdzie ja trzymam — i ułożył mi palce na kurku i na moich dopiero swój własny położył. W czasie tych przygotowań, mały punkcik na drodze ziała czerzając przybliżył się wolno, poważnie, jak monarcha w granicach państwa swojego, — było to ogromne wilczyisko. Moloch warknął, Zitta parsknęła, Karol zawołał „psyt“ i znów wszystko ucichło, a wilk szedł naprzód nieustraszony, zuchwały. Ten wilk, dowiedzieliśmy się później, był sławny w okolicy. Dopiero na kilkanaście kroków od nas dał ogromnego susa. Moloch także nie mógł wytrzymać, rzucił się naprzód, ale Karol głośno zawołał znowu: leżeć! i Moloch przyległ, skowycząc wściekle i tarzając się po śniegu, jakby z rozpaczy upokorzenia. Wilk stanął, w tej chwili brat mi palec nacisnął, strzał

zapanął i śnieg się zarumienił czerwoną farbą. Ale prędzej, niż to wszystko mogliśmy spojrzemien objąć, zwierz skaleczony rzucił się prosto do piersi Zitty — klacz przeraźliwie wstrząsała i tak gwałtownie cisnęła na bok, że ja, który się ani nie bronił, ani brata nie trzymałem w tej chwili, spadłem jak łuska na ziemię. Kiedym się zerwał równemi nogami, pamiętam w najdrobniejszych szczegółach obraz, który mi się przedstawił. Takich obrazów mam kilka w mej duszy; mimo wiedzy prawie odbity w niej tak dokładnie, tak silnie, że czasem aż się sam wydziwić nie mogę, skąd mi to pamięci wracają wywołiwane obecnie jak bolesność. Z tego obrazu naprzykład widzę doskonale nie tylko brata mego, co z siodła zeskocony, przede mną stanął i obie ręce rozgarnął, by mię własnemi rękami lepiej od wszelkiego niebezpieczeństwa zastąpić; nie tylko Zittę, która się wspięła pod przemożnemi łapami wilka, ale choć targany przez Molocha, jej napierśnika trzymał się mocno, nie tylko Molocha, co w kudły przeciwnika łeb zanużył, w rozszarpane mięso tak pysk utopił, że mu go nawet nie widać nie było; — nie tylko wilka owego, jak na tylnych nogach wzniesiony, odwrócił się do nieprzyjaciela gwałtownem kręku przęgięciem; ale widzę krwawo-migotliwe jego spojrzenie, burzo-żółty połysk sierści — widzę wszystkie zęby w rozstawnej paszczęce i mógłbym je anatomowi wyrysować bez uchybienia żadnego.

Karol po tej pierwszej chwili niespokojności usunął się przede mnę, wziął fuzję i z najmniejszą krwią do rąk mi ją podał znowu, jednym rzutem oka wymierzył, za palec mój postąpił, i wilczyisko ani zapięło już nawet. Brat prosto poszedł do Zitty, piersi jej trochę okaleczone chustką przyłożył, zaszeniem trzemi obwiązał, Molocha pogłaskał, za uszy wywagał, w łeb szeroki pocałował, potem skoczył lekko na siodło i znów gwizdnął, żeby Zitta przede mną ukłękła. Przez całą drogę rozmawialiśmy, jakie to śliczne z tego wilka będzie lato pod nogi dla matki, rozmawialiśmy o wielu innych rzeczach, tylko jeden wyraz żadnemu z nas do ust się nie przysięgał — wyraz „bojaźń“. Karol nie wspominał go i w zapamiętaniu nawet dał mi uczuć szczęście pierwszego zwycięstwa, jako najnaturalniejszą własność, jako przynależne mojej ludz-

kiej istocie zdarzenie. Później coraz częściej brał mię z sobą na polowanie i kiedyś zabił pierwszego dzika, aż mię uścisnął z radości, lecz uścisnął dlatego, że dzik był pysznym odyńcem, a nie dlatego wcale, że mu dałem na pigę kroków do siebie przypędzić i tak celnie trafitem, jak gdyby kulę życzenie poniosło.

.....

O moim ojcu jużście słyszeli, mój ojciec taki poważny, taki uczony, taki dobry i łagodny. W szczyptym domku nie było osobnego pokoiku na jego księgi i papiery; lecz kiedy zasiadł do czytania, to bez nakazu, bez przymusu, prostym rzeczy i zwyczajów układem, tak wszystko cichło dokoła, że mógłbyś brzęczenie muchy usłyszeć. Ja w tem wzrosłem i nie pamiętam nawet, żeby mi kto w podobnych razach spokojność zalecił. Kiedy ojciec książkę rozwinął, matka szła pociętu na palcach przez pokój, siostry i bracia wychodzili najczęściej, lub które nieruchomie z robotką w kąciuku zasiadało. Jednego dnia i ja tak zostałem, przerzucając ostrożnie, żeby mi nie nie szeleściły, karty starego dzieła in 4-to, w którym były wszystkie wizerunki królów polskich. Oeh! mój Boże, jak to ja pamiętam. Cyprjan gniewał się na nie, a szczególnie że Wandzie dano rogatą czapkę, a Jadwidze ogromną kryzę, w której niby garbata i jakby dusząca się wyglądała. Lecz ja nie byłem tak surowym krytykiem, mnie codzień jak coś nowego bawiły i myszy gryzące Popieła, i ogromna peruka Wiśniowieckiego, i łańcuchy Zygmuntów; bo też przyznać trzeba, że na wszystko zupełnie osobnym przytylem przyzmatem.

Tego dnia jednak na polowie skończyłem mój przegląd i zacząłem nie w książkę, lecz w twarz naprzeciw siedzącego ojca bardzo uważnie się wpatrywać, bo za okno wywieszona makolągwa przedświeżnie śpiewać zaczęła i miałem wielką chętkę wybiegnąć do niej, a bałem się ojcu przeszkodzić, tembardziej, że drzwi się jakoś trudno zamykały i otwierały — kto wie nawet, czy klamka nie zażyty wysoko dla ręki mej była osadzona. Patrząc ciągle uważnie, spostrzegłem, jak naraz ojciec brwi znarszczył, i taki groźny twarz jego przybrała

wyraz, jak gdyby się na kogo rozgniewał. Potem wsparł głowę na rękę i przez chwilę nie patrzył na książkę, lecz też przez tę chwilę wyraz gniewu zmienił się w wyraz jakiejś wielkiej, głębokiej boleści, a ciężkie i głośne westchnienie z piersi mu się wydarło. — Ojcie, ojcie, co ci jest? czy cię co boli? — spytałem, prędko biegnąc ku niemu. — Ojciec smutnie się uśmiechnął, a dziś jeszcze daremniebym chciał wypowiedzieć gorycz tego uśmiechu na owem męskiem, pełnem siły i dobroci obliczu. Bo mój ojciec był dziwnie pięknym mężczyzną. Równego jemu wiekiem, a równego młodzieńczą prawie rześkością i grą fizjognomji nigdy mi się spotkać nie zdarzyło. Była to twarz pociągła, trochę żółtawo-biała, nos rzymski, brwi czarne, mocno odznaczone, włosy od czoła radsze i gdzieś się już srebrzące wśród kručzej innych połyskliwości. Oczy, na które do połowy wypukła zachodziła powieka, wyśtały zwykle poważne zamyslenie i surowość jakąś, lecz zato w całym rysunku ust, dość wydatnych, było tyle tkliwej słodyczy, tyle pieśczoły prawie, że my dzieci nie bałyśmy się ani troszeczkę nawet całej surowości spojrzenia. Prawda, że też nas nikt nigdy ojcem nie straszyl. Wyobraźcie sobie teraz, jakie wrażenie zrobić mógł na mnie gorzki uśmiech na tych szczywach tak dobrych, tak łagodnych ustach.

— Ojcie, ojcie, co cię boli? — powtórzyłem z płaczem siedledwie.

— Maie to boli — rzekł ojciec, wskazując na książkę.

— Szkaradna, niedogadująca książka! — zawolałem z oburzeniem i rzuciłem ją na ziemię.

— Że robisz, synku — odpowiedział, podnosząc ją spokojnie.

— A cóż to jest, ojcie?

— Historia.

— A cóż jest w tej historii?)

.....

) Takimi niedoświadczonami tylko można było potrącać o losy ojczyzny.

Na wigilię Bożego Narodzenia pojeżdżały się dzieci ze wszystkich stron do domu rodziców. Benjamin, górnik, przybył z Węgier, w ostatniej chwili zjawił się z Włoch artysta Cyprjan, budząc niepokój śladami wyniszczenia w twarzy. Pochłonięty pomysłami obrazu, przedstawiającego Aspazję i Aleybjadesa, próżno poszukiwał odpowiedniego modelu mężczyzny, w któregoby obliczu kojarzyło się piękno, siła, pragnienie życia. Uderzony po długim niewiedzeniu rysami Benjaminą, jak cherubin pięknego, zapragnął na jego twarzy wywołać grę namiętności, w chęci tej mu swe źródło nocna scena.

(Tamtę str. 63—72).

Nagle w parę godzin może, blask mię jakiś przebudził. Patrzę, aż tu Cyprjan stoi nad mojem łóżkiem.

W jednej ręce trzymał on zapaloną świecę, a drugą tak jej płomień obejmował, żeby cień w stronę Karola padał, całe zaś światło na mnie; przez rozchrzesztaną koszulę widać było jego piersi zapadłe i wszystkie kości, z anatomiczną dokładnością z pod skóry się rysujące — rzekłbyś, że to szkielet jakiś, zlekka tylko cielistą błoną pociągnięty, lecz zato całe życie trupich piersi do twarzy jego uciekło; była to twarz na ową chwilę grą nerwów i muskułów do pierwszej młodzieńczości wrócona, były to oczy ciepłym promieniem bijące, usta purpurą świeżej krwi wypelnione, czoło jakby od niewidzialnej gwiazdy jaśniejące — była to jednem słowem głowa wskrzesiciela na ramionach umarłego. Sprzecznosc uderzająca, niesłychana, a cudna.

Pod jej urokiem, w chwili niespodzianego przebudzenia, nawet sobie wyrazów na zapytanie dobrać nie mogłem, przetrząłem tylko oczy, zerwałem się i usiadłem. Brat lekko mię znów na postanie przechylił i dał znak milczenia.

— Cóż to jest? — spytałem go się wreszcie.

Cyprjan trochę brwi zmarszczył, siadł na brzegu łóżka, świecę jeszcze zapalając ku twarzy mojej obrócił, ale nic nie odpowiedział.

— Cóż to jest? — powtórzyłem raz drugi.

Znowu milczał, lecz po chwili:

— O czym ci się śniło? — zagadnął mię wzajemnie.

— Nic a nie nie pamiętam — odrzekłem, gdyż tak było w istocie.

— To bardzo źle, Benjaminie; spróbuj, może przypomnisz sobie.

— Doprawdy, nie mogę ani słówka.

— A jabym dał sobie lewą rękę aż po sam łokieć uciąć, byś mógł!

— Nie czekaj na to, Cyprjanie, bo się przeziębisz jeszcze. Jak można z takim kaszlem w noc Bożego Narodzenia wstać boso i nawet płaszcza nie zarzucić?

Brat syknął i usta przygryzł.

— Ja pytam, co ci się śniło? — powtórzył z przyciskiem.

— Pomówimy o tem, tylko weź co ciepłego na siebie, lub połóż się przy mnie.

— Słuchaj, Benjaminie, — rzekł brat z powściągnięta, ale widoczną niecierpliwością — mnie dalebóg żadne alpejskie zimno nie szkodziło; spałem kilka razy pod śniegiem, byłem na górach, gdzie mi oddech w ustach marznął, i wróciłem stamtąd zawsze zdrowszy, rzeświejszy; lecz jednego dnia, gdy się wspaniewał, zaraz mi krew nosem i ustami buchnęła: przestrzegam cię o tej ułomności mojej, braciażku, nie gniewaj mnie. Nie to widzisz, mój drogi, — ciągnął dalej, jakby zgadując niepokojne zadziwienie moje — są chwile życia, których nie trzeba na drobniuteczkie wrażenia rozrzucać: „a to się zaziębił — a to weź co ciepłego — a to jedz — a to pij — a to tak — a to owak“. Cierpieć nie mogę całej tej trzygroszowej troskliwości. Jeśli na nią będziesz uczuciem szafował, to kiedyś w wielkim przesileniu i serca ci zabraknie. Mnie jak o życie chodzi o przywołanie twego sennego widziadła, mnie w głowie przyszłość, sława... a ty kaszel przypominasz, i gdybym pozwolił tylko, bybyś bżowemi ziółkami zaczął mnie częstować. Czyś ty Niemka rozkochana, czy siostra szpitalna? Toć to wytrzymał trudno!

— No, już nic, już nic nie powiem; lepiej ty mów, czego chcesz?

— Chcę wiedzieć, o czym ci się śniło?...

— A to dziwny człowiek! Chyba z natchnienia naprędcę jaki sen ułoży.

— I owszem, proszę, układaj...

— Otóż słuchaj — śniło mi się, że z drżącą lampką w rękę

spuszczano się do głębokiej pieczary; w pieczarze były skarby tak wielkie...

— Kłamiesz, Benjaminie, ja ci mogę lepiej twój własny sen przypomnieć. Zastanów się tylko, czyś nie roił, że byłeś Grekiem w pięknych młodej Grecji latach?

— Och! nie, za to ci ręczyć mogę; we wszystkich snach przeszłego i przyszłego życia jestem zawsze tatrzańskim górnikiem, synem ojców moich.

— Alboż ty wiesz, Benjaminie? Może ci się też śniło, że byłeś poeta, lecz rozumiemy się dobrze — nie takim poetą z piórem w rękę, z palcami w atramentie uwalaniami, nad drewnianym stolikiem, a do tego jeszcze w szlafroku i pantoflach — och! nie, może ci się śniło, że byłeś poetą w dawnych wiekach i na młodszej ziemi, że miałeś siedmiostunną lutnię w dłoni, a nad sobą tylko niebo, a dokoła siebie, zamiast czterech ścian wilgotnego muru, przestrzeń bez końca i mur żyćciem bijących piersi. I wtedy śpiewałeś sobie pieśń wielką, głośną, śmiałą, a lud słuchał, czuł, wierzył i śmiał się i plakał, i w żelazne miecze dzwonił według tego, jak pieśń brzmiała. A pieśń twoja Benjaminie i wieńiec olimpijski twój — bo dla tłumy wielu śpiewało, lecz ty sam zwyciężyłeś; tobie tłum padł pod nogi i bracia-mistrze się ukorzyli. No, cóż myślisz? snem takim czyżby śnić niewarto, chociażby potem zanieść na wieki...

— Prawde rzekłeś, bracie, ty lepiej ode mnie moje sny pamiętasz; snem poety ja nieraz marzyłem, ale bez wieńca olimpijskiego, bez ukorzenia współzawodników, bez tłumów u nóg moich; marzyłem tylko, że wszystkie serca tętnem krwi mojej biły, że w mojem uczuciu spromieniło się każde w świat Boży rzuczone uczucie, że byłem ze wszystkimi i wszyscy byli ze mną, nie niżej, nie dalej, tylko tuż pod bratniej ręki dotknięciem, tuż w samym dźwięku mej pieśni.

— Dobrze, dobrze, Benjaminie, ale dźwięk pieśni to jeszcze nie wszystkość życia twójego; młody jesteś, młodość sama przez siebie władzą i zdolnością, użyć jej musisz koniecznie — nadmiar siły trzeba ci przeleć choćby w pustotę. Potrzebie gwałtownych ruchów trzeba stworzyć odpowiednie choćby i szaleństwo, bo przecież wszystkie arterje wzbierają czerwienią soku, niby lawą goręlszą; jeśli zbytku twójego nie ciśniesz

na światła uciechy, to się natura wstecz cofnie i głębiej ducha wciągnie. Trzeba szaleć, Benjaminie. Czy snu takiego nie miałeś? Może też kiedy widziałeś sam siebie na wozie złocistym, jak, śmiałym rumakom cugli popuściwszy, biegniesz do mety z największymi gonitw bohaterami — ty, taki młody, taki niewzruszony. Daj pokój lepiej, bo tysiące patrzy na ciebie — tam nadem kobiety, tu starce, które ci poważnie za nieroztropność zgromią, tam młodzi towarzysze, którzy próżność nieważną wysmieją. — daj pokój, tobie w gyniecuem jeszcze piosenki się nianczę, albo według koloru na krosnach nitki rozpuszczać; daj pokój — ty dziecko, ty słaby, ty śmieszny, w głosie ci się zakręci, ręce ci zemdleją; — daj pokój, ha, może ci tak mówiono? Ale słuchać nie chciałeś, od zamętu, od hałasu mózg ci w głowie zakapiał, ręce drżą do cugli, oczy widnow magnetyzują cię prawie — im ich więcej, tem lepiej. Siadaj na wóz i pędzisz — konie pianą parskają, obłok kurzu ci skrył, nieba nie widzisz, z samą przestrzenią się gonisz — czy jej nieknieiesz, czy ją wyścigniesz? A słyszysz, jak się to śmieją — och! sztyderstwo pospólstwa to harpia, co serce wygryssa; obelga śmiechu to rozpalone pod czaszką żelazo! Śpiesz się, śpiesz — tam naprzeciwko sędziowie z baczmem okiem i mata już bliska; tobie pęd powietrza głos w piersiach tamuje, chciałbyś krzyknąć — jak krzykniesz, twoje ramaki nowych ci wydosłana... ha! krzyknąłeś i przy mecie jesteś — ty pierwszy! Spójrzyj teraz po widzach, śmieją się z tych, co o tobie wątpili, bierz nagrodę i wychodź ze szranek z dummem nadem, z hardym wzrokiem, i słuchaj, jak po drodze twojej podsił drugim z ust do ust podają: „to on, to on, zwycięzca hipodromu!..“

Brat zamiłki i patrzył na mnie. Jużcić przyznam się państwo, że byto wtedy mówić do mnie o koniach, o wyścigach, o tych przemianach zwątpień i nadziei, to jak gdyby kto z szach szulera najpiękniejsze tasował karty i pobrzękiwał szachem stawkami; jakoś mi się ciepłej zrobiło, śmiać się zacząłem, a Cyprjan rozgarnął mi włosy i znów dalej mówił, lecz jego jego był uroczysty, głębszy, czasem trochę drżący nawet.

— Może też ci się śniło, Benjaminie, że miałeś głowę woskami wonnościami skropioną, tunikę z najcieńszej wełny

sydońskiej utkaną, wieniec różany na skroni, a te skronie wsparte o łono kobiety — lecz nie matki, nie siostry, nawet jeszcze nie kochanki twojej... Benjaminie, czy ty rozumiesz tę chwilę, w której kobieta jeszcze kochanką ci nie jest, a już kocha i kochana? — czy ty rozumiesz tę chwilę? A kobietę taką czy widałeś? Kobiętę piękną, siłą w namiętności, świętą w duchu-światości? Na jej czole taka myśl potęga, żeby mogła losami Aten kierować, a na jej ustach taka rozkosz, a w jej spojrzaniu taka wabność gorąca i przenikliwa... Czy ty śniłeś o niej? Ej! daj mi pokój z całą powściągniętą małżeństwem uroczystością — co mi po tej dziewczynie, która skromnie oczy spuszcza, jakby drzemać chciała, ustek niewinnie przysznuruje i nie ma nie da w życiu, prócz praw kodeksem zawarowanych. Och! jak inną piorun od świecy, tak inną moja piękna od tej, ze zwyczajowych przepisów uklejonej duszyczki. Tobie także, Benjaminie, inna zupełnie się śniła. Jej oczy jeśli spuszczone, te promień tylko nadziei lub wspomnień zbyt jaskrawy, więc przysłonięty; jej rumieniec to krew, to życie, co z przepelnionej organizacji gwałtownie nazewnątrz bije... a jej miłość!.. Ty nie znależ własnej potęgi, nie rozumiałeś świata, nie czuleś Boga, póki cię ona nie ukochała; piękność, szczęście, cud to miłość jest jej... Wierz mi, bracie, takie kobiety są, i możesz spotkać którą, i możesz kiedyś zapragnąć umrzeć w jej objęciach, żeby już potem nie być chochy nawet szczęśliwym inaczej. A nie nazywaj szczęścia podobnego zmysłowości, rozkoszy twojej rozpustą; zmysłowość będzie ledwie formą najorganizniejszego wzniesienia się ludzkiej natury w pełność Bóstwa z duchem i ciałem, rozkosz sama w świadectwo przeciw rozpustnie stanie. Zmysłowiec tak nie czuje, rozpustnik tak nie używa, jak ty czuć będziesz wszystkimi władzami duszy twojej, jak ty użyjesz całą męskością twojej siły młodzieńczej. Gdybyś nie miał każdócuchwilowego uznania swej godności, gdybyś ona nie była ową Medeą, co żywiłom rozkazuje, ale Medea, która nigdy zbrodni nie popełni, bo wiecznie kochaną będzie; gdybyś ty po jej miękkich węzłach hartowniej wśród spartańskich niewygod zasnął potem nie umiał; gdybyś ona z swych ust rozpieszczonych krwawym na torturach nie splunęła w potrzebie językiem; gdybyście oboje nie mieli tej wyobraźni, co

was w poezję każdy całunek ozłoci, tej śmiałej myśli, co z każdą siłą radosnej chwili siły wyciągnie, co zawsze nową prawdę odkryje, lub nowy sposób na szczęście utworzy; gdybyście nie byli tak właśnie duchem potężni, inteligencją wzniesieni, rozumianiem szlachetni — tobyście i tak szczęśliwi nie byli. Nie, szczęście, słuchaj, niech ci się chociaż śni o tem, Benjaminie — szczęście zupełne jest dane tylko temu, kto umie najgłębiej dla dobra bliźnich cierpieć i najnamiętniej kochankę na drżącej piersi przyciskać.

Uciech! znowu Cyprjan; ja go słuchałem jeszcze, dziwy mi się po głowie roily, wszystkimi jego słowami niby krew w żyłach zbierała — jednak czulem potrzebę odparcia tych wrażeń.

— Kusicielu! — rzekłem zicha.

Brat się nachylił, pocałował mnie w czoło, ale nagle świeca, którą trzymał, zadrzała, upadła z lichtarzem na ziemię i zgasła. Wskoczyłem Cyprjana za rękę, ręka była zimna jak lód — krzyknąłem. Karol się obudził, wstał prędko, świecę znów zapalił i gdy jej światło ujrzelśmy Cyprjana bez przytomności, na ławeczki łóżka przewieszzonego... Krew mu się kawałami z ust wała... był przerażający, żółtej jakiejś bladeści... myślałem, że już umarł. W tej chwili dzwonił w kościółku na mszę pańską zaczęto...

Przepraszam państwa... muszę odpocząć trochę. Kiedy sobie ten obraz przypomnę, jest mi okropniej, niż wtedy było nawet.

III.

A cała ta okropność czy też się domyślacie, skąd przyszyje wzięła; gdzie cel obrała sobie?... Cyprjan do wykonczenia jakiegoś obrazu potrzebował moich rysów i układał je sobie w zamierzonych wrażeń odbicie; artystą, wielkim artystą był mój brat Cyprjan.

Ja wam powiem tylko: gdybym dzisiaj miał sławnych patriarchów zwyczajem błogosławic najukochańsze dziecko moje i gdybym był wierzył w nieomylnosć mego błogosławieństwa, jak w czarcosilne zaklęcie talizmanowej formułki, to nad głową schylnego u kolan moich wzniołszy oczy do nieba, z głębi duszybym wołał: „Niech z drogi twego życia

Bóg artystów usunie!" Ha, gołowiście się rozgniewać na mnie, wy wszyscy zakochani w piękności i sztuce, a ja przecież nie o was mówię; sztuka i piękność, do życia wzięte użyciem, przynależą się każdemu, mnie, tobie, wam i im. Lecz być artystą wszakże to co innego, jak być używającym. Być artystą znaczy tylko być obdarzonym pewną ilością mózgu, który w pewnym miejscu czaszki tworzy pewną wypukłość, nie więcej, wierzę mi. Używający musi mieć serce do ukochania tego, co używa; ukochanie samo w sobie nie zamknie się nigdy. Ukochanie prześwieci w nieskończoność dobrą podniecią i czynem szlachetnym, ale artysta tworzy, nie kocha, — dzieło po dziele odpada od niego, chwila po chwili zstępuje w przestrzeń, ogranicza się kształtami i póty jest prochem, póty Salomonową światła próżnością, póki jej obce nie przejmie uczucie, póki jej obcy rozbudzony entuzjazm w nieskończoność życia nie pełni. Artysta tworzy tylko, tworzy zaś, bo ma zdolność i musi tworzyć, bo tego wymaga organizm całej jego istoty, bo pszczoła także musi miod wyjadać, kwiat musi pachnieć, woda rzeki musi płynąć, — ale jak tworzy, naco tworzy? to jest w nim odrębność, to już artystycznej nie stanowi natury. Czasem tworzy okropnymi sposobami: żeby odmalował konającą twarz Chrystusa, przybija do krzyża żywego człowieka i bok mu włócznią śmiertelnie rani. Żeby występował piosnkę miłości, kładzie spokojne ucho na wzburzonej piersi, nastraja do gry krwawe żyły cudzego serca i przebiera po nich marmurowymi palcami dopóty, dopóki mu artystycznego nie wydadzą dźwięku, a jak wydadzą, to choćby też wszystkie struny pękną i splątają się miały, oddziera od nich palce, przenosi je cpośród na kościane klawisze fortepianu, może na smyczka włoszenie, i co podstępnie, odgrywa dokładnie, i czem pamięć naciągają, ten echo dętych instrumentów wypełnia. Czasem też artysta sam z siebie wymyśli wrażenie jakiegoś dźwięku, sam sobie wyrzysuje nigdzie niewidziany obrazek. O! to jeszcze niebezpieczniej, bo wiecie przecież, że on uczuciem i miłością znieśmiertelnia tego nie może, on musi w kształty ująć, skończonością zawarować. Więc też szuka kształtu, dobiera sobie warunków, próbuje pomysłu swojego, a zawsze na żywych przykładach, jak doktorzy nowych lekarstw próbują... podobno

tylko na zwierzętach żywych... No i cóż? czyż za to przekleństwo rzucić artyście? a jeżeli też wzamian cierpien i krwi waszej da nam jakie arcydzieło, przesliczny obraz, cudną nutę pianiski, to cóż? przeklinać także? O! nie, tylko niech ci, których kochają, zdala artystów idą drogą swoją... Patrzcie, co za piękny wyborny! świeci i grzeje — wyborny ogień! a jednak została wszyscy usunęliście się od kominka i między nim a wami zostało puste, szerokie koło; genjusz artysty ogniem pal — rzucajcie mu na pastwę wszystko, co chcecie, tylko nie oszczędzajcie złotego szczęścia i serce, miłością bijących. Alboż wy nie Sobieżykowie, lub Gwebry, czciele tego, co świeci? Ja wam powiadam, światłość dla was, jak powietrze dla was, jak pokarmy i napoje dla was. Wyłączono już bóstwo z natury, nie bją dziś pokłonów słońcu, gwiazdom i księżycowi — wywołanie i wy część waszą z użycia piękności i sztuki, postrącając artystów z ołtarzy waszych, bo to nowe bałwochwalstwo tylko, sobeizm intelektualny. Co jest Boskiego w artyście, to dane przez was i wam; co jest Boskiego w artyście, to właśnie rozłączać się z nim musi ciągle, żeby stanął przed was; co w nim Boskiego, to przez jego duszę sączy się niby olej skalny i nazewnątrż dopiero w zetknięciu ze wzrokiem waszym, i z myślą waszą, i z uczuciem waszem może się z błaski rozleć: ale tam w głębi, tam tylko masa jakiejś czarnej ziemskiej gliny, trochę odmiennego gatunku. O tak, tylko mi słowo na myśl wpadło: artysta jest tylko odmiennym gatunkiem człowieka; co tam sądzić, ganić, chwalić, jest odmiennym i koniec. Niechże kto wielbi białość, a błękit potępia! to do Cyprjana żadnej nie mam urazy — biedny Cyprjan! jego życie stargane, zakłócone sny mojej młodości! czyż ja się nie mogę domyślić, że to wszystko było planem jednego obrazu?

Benjamin zaczyna marzyć o Aspazji, o wielkiej, pochłaniającej samietności, o szczęściu. W warunkach fantastycznych pojawia (na Węgrzech, gdzie pracował jako górnik) panią czaro-boskiego zamku, Aspazję z portretu Cyprjana. Szaleje ta poganka, wspania a nią cały jej świetny dwór. Oddał całe serce Benjamin na skarby złota cisnęła na huczne biesiady, skarby umysłu na powieści ponne, a piękność swoją stawia na zadziwienie tylko.

I ona go pokochała — zniszczeniem. Truciznę szalu w żyły jego wsączyła. Nie dała mu odejść, gdy wzywali rodzice i bracia — w chwili, gdy na ołtarzu ojczyzny największe składali ofiary. Odjęła mu wszystkie skarby na użytek chwili: zapał, natchnienie, poczucie piękna, władzę marzeń; władzę szczęścia.

I wszystko pokolei odrzuciła, aż wreszcie się znudziła, inne szukając zabawy. W Benjaminie budzi się oburzenie na tyrana. Z zadróżki zabija człowieka, na którym z upodobaniem społeczeństwa Aszacji. To staje się powodem zerwania, a Aszacja rozkłada się jeszcze jednemu, ostatniemu wrażeniu, jakiego mógł jej jeszcze dostarczyć kochanek.

(Tamże, st. 135—6)

I wróciłem do Aszacji, powiedziałem jej wszystko. Aszacja wysłuchała mnie bez oburzenia, bez wstrętu, ale zamysliła się głęboko — i po długim milczeniu rzekła zinnym głosem sądowego wyroku:

— Ja ciebie nie kocham, ty mię nie kochasz, rozstańmy się, Benjaminie.

Gdym usłyszał te słowa, ciemno mi się zrobiło i język mi zdrętwiał; potem przez chwilę patrzyłem na tę kobietę, i w mózgu moim postawa jej odbijała się z taką dokładnością, jak niegdyś postawa tego wilka, co Zittę za piersi chwycił.

Nie uszło mojej baczności ani jedno zawiązanie misternych kółeczek perłowej siatki, którą na włosach miała, ani jeden fałd jej kaszemirowej, jasno-zielonej sukni — pamiętam każdy odbłask światła, który się łamał w dwóch przepyszanych opalch na jej obnażonych ręku, bransoletami upiętych; pamiętałem, jak trzymała te ręce, łokciami przed sobą wsparte o stół ciemny i w dziwaczne arabeski mozaiką wykładany; pamiętałem, jak na zaciśniętych dłoniach brodę oparła, jak jej szyja wygięła się przez to, jak cała głowa wtył przetrzcudła, jak jej to nadawało wyraz dumy i zuchwalstwa, jak mi spoglądała w oczy temi swojemi oczyma, które jej poczerały prawie od czarnej krwi jej serca. Potem — och! potem — wzgarda płomieniem z piersi do ust mi buchnęła, rozgrał mi się język, spląnąłem z niego wszystkie obelgi, wszystkie moje meczarnie, wszystkie przekleństwa. Aszacja słuchała ich z tą samą spokojnością, jak pierwej, gdym jej mówił, że

przez nią i dla niej zabijem człowieka. Ta spokojność wywołała we mnie wścieklą i dziką myśl zemsty; przyszło mi na myśl, że jak ją zabiję, to przecież choć pod pchnięciem sztybeta zadgrną rysy jej twarzy i usta jękną boleśnie... Chęć moja oszpecała mi się tak dobitnie, że gdym ją nagle ujrzał prawie spełnioną, sam siebie się przeląkałem i uciekłem z pokoju... Dziwna rzecz — ani byście zgadli, czego ja najwięcej żałowałem, gdym z pierwszego umiesienia zawziętości ochłonął. Dziwna rzecz, że ja żałowałem, że Aszacji nie zabijem dawniej, och! dawniej, kiedy ją kochałem jeszcze. Mnie rozpacz była nie za kobietą, lecz za miłością moją. Nie mieć miłości, mieć tak najpierwszy istnienia swojego warunek, patrzeć tak na pogrzeb własnej duszy dlatego, że się na ohydę wybranego przedmiotu patrzyło, to okropnie! Czyż nie lepiej byłoby, czyż nie stokroć lepiej, gdybym był zabity Aszajką wtedy, jak ona ze mną razem na gwiazdy patrzyła, jak włosy i oczy moje nadawała, słuchając zdała płynącej piosenki — czyż nie lepiej? Ja umarłą byłbym owinął we wszystkie pamiętki moje, i byłbym przechował na dnie serca bez uszkodzenia, bez zmyru grubowej, i byłbym ją kochał na wieki — i wtedy przypomniał sobie te pierwsze prawie do mnie wyrzeczne słowa: świąt kocha zniszczeniem i tajemnicą. Zrozumiałem je, lzy mi w oczach stanęły. Aszacja znikła z pamięci, został tylko żal niewymowny, rozpaczliwa ku przeszłości tęsknota, wydarcie się wszystkich władz ducha ku temu, co już minęło!

(Tamże, t. II, str. 1—5).

Wstępny obrazek (r. 1861)

Jaki to był przeszły ów kominiek, cośmy go kilka lat temu gronem dobrych znajomych z domu Emilki¹⁾ obsiadali, siedzieli prawie, przez całe długie, jesienne i zimowe wieczory! Wzianki, czarnym marmurem wyłożony, miał dokoła brązową galeryjkę od staczenia się głowien zabezpieczającą, dwie żelazne podstawki, na których się drewna układało — a drewna

¹⁾ Anna z Sokolowskich Skimborowiczowa.

olszowe, takie suche, tak mało zostawiające po sobie węgla i popiołu, tak czyste, jasne, płomienne, że choćbyś miał smutek na sercu, choć zgrzyotę na sumieniu, to przy ich blasku i myśli ci się rozjaśnia, i droga zbawienia ukaże. Teraz jeszcze trzeba sobie wyobrazić, że ten kominiek beczenny znajdował się w dosyć dużym i wysokim pokoju, że ten ogień niepokalanu rozświecał polskami swojemi cztery bielutkie ściany, dwa gołotkie okna z przymkniętymi od ogrodu okiennicami, śnieżyste zwoje muślinowych firanek, złote ramy kilku miejscowych krajobrazów, karmazynowym adamaszkiem wykpite meble, fortepian w głębi stojący — a począwszy od ósmej godziny, trochę na uboczu, stolik niewielki z całym herbacianym rynsztunkiem, ze szklankami, filiżankami i z świecącym samowarem, który w miarę dosypywanych węgla syczał lub warczał gotująca się w nim woda. Im niepodobniej było na dworze, tem rozkoszniej lubowaliśmy się ogniem kominaka i chociażnością pokoju, i muzyką samowaru — ach! bo nam wtedy tak dobrze było jednym z drugimi, ach! bo my wtedy kochaliśmy się tak szczerze, szanowali tak ufnie, spodziewali się tak niemylnie!... Dzisiaj? los nas rozwiął po szerokiej ziemi, obojętność, zapomnienie, gorzka rozżala lub żal gorzki śladem za tymi lub owymi biegą. Gdyby nam znów gościnne kto rozniecił ognisko, gdybyśmy się tak wszyscy dokoła niego zromadzili — czyby się też zapomniało uraz? czyby już wszelką z serca zrzuciło tęsknotę? czy przyjaźń znówby zbliżyła dionie, a pogodą czola blysnęły? Nie, ja radzę, nie próbujcie nigdy powtórzeń przeszłości waszej. Kto kochał wtedy, niech już teraz ukochanych swoich nie spotyka, kto w trumnie złożył najdroższych, niech dziś wschrzeszonych nie ogląda. Kto stracił, niech nie odzyskuje, bo to okropność spostrzec po latach dwóch, trzech, dziesięciu, spostrzec, jak oni różni od tego, czem byli, lub jak my sami różnymi; zawieść się na nich lub na sobie, z wspomnienia mieć rozczarowanie lub w obecność zegar, bijący smutną niedoleństwa godzinę!.. Bogdajby to nam oszczędzonym zostało, nam wszystkim, cośmy wówczas siedzieli przy kominowym ogniu i gwarzyli tak wesolo, tak swobodnie, tak poezjowie; a była nas dość liczna gromadka, a nieraz jeszcze ktoś z dalszych znajomych zawitał. Pamięć

moja wiernie mi przechowała każdego, i przechowała takim, jakim go miała w chwilach owych, nie takim, jakim jest teraz, lub jakim ja go być sądę. Najpierw Emilka, pani domu, wdowa po mężu, który jej zatruł dni pierwszej młodości¹⁾ — była to — waham się w doborze wyrazów, anioł czy święta? — bo jeszcze między jednym a drugim wielka zachodzi różnica, w niej zaś do jednego i drugiego wielkie było podobieństwo. Anioł, posłannik, to duch czysty i spokojny, który prosto, jak nakaz Boży, ku dobremu idzie. Święta, to córka tej ziemi, która w trudach i boleści walką i zwycięstwem dokupuje się nieba.

Otóż myśl Emilki była aniołem, jej serce świętę sercem — jak anioł nie wątpiła ona nigdy, cicha i spokojna, żadnym instynktem, żadną potrzebą ciała ani umysłu nie stanęła na poprzeczek prawdom religji chrześcijańskiej, ale ta walka, unikająca w rozumie, przeniosła się do serca i serce cierpiąco okropnie.

Występki bliźnich, niedoskonałości ukochanych, kłeskiasterskie, stawały się dla niej żywym jak rana cierpieniem — oburzenia, skargi, potępiających wyroków nie znaly usta Emilji; realia jej dusza zato okropność daremnych wysiłen i ciężkie gołby strudzenia — wszystko jednak przetrwała, zawsze łagodna jak słońce, które złym i dobrym świeci, zawsze cierpliwa jak rzemieślnik, który dzień po dniu tęż samą robotę zaczyna, zawsze łatwa do oszukania jak dziecko, które samo nikomu nie skłamało jeszcze; bo ona anioł i święta — dwie istoty w połączeniu swoim tworzące taką kobietę, jaka za trzysta lat, najprędzej i najpocheblniej dla rodzaju ludzkiego licząc, będzie dopiero mogła żyć bezpiecznie, błogo i szczęśliwie.

Teraz miejsce się z nią na ostrożności, młode głowy i fne serca. Emilka wam świat cały w swoje własne ubierze sukienki, pójdzie z wami szukać ślicznych, a dalszych niż podobieństwo obrazków, rozpieści was za łada poczciwą obietnicę, nie wyłaje nigdy, nie odepchnie nigdy, choćbyście na to sto razy zasłużyli, choćby to wam do zdrowia najpotrzebniej-

¹⁾ Szczegół, maskujący osobę, Mąt Emilji-Anny, wymieniony w dalszych latach obrazka — Teofil Dzieciak.

szem było — chyba... lecz znów życie aniła płynię tak jasnym strumieniem, że zupełnie „czarne diabły” nic z niem nie mają wspólnego. Stąd też zapewne Emilka w swoim własnym przekonaniu jest bardzo surowa, bo żadnemu z nich nie przebaczyła jeszcze, a inne odcienia popielate, sine, brudne, jej białości nie ujmują przecie, same nią wzbogacić się mogą. — Emilka nie wątpi o nikim. Śmiałał się z niej czasem, że gdyby od niej zależało, toby nawet Judasz był kiedyś zbawionym, i trzeba wyznać, że nigdy szczerze na ten żart nie odpowiedziała.

Obok Emilki, jako zupełną inność, Felicję¹⁾ sadzać lubiłam. Felicja była dla mnie ideałem obecnej chwili, miała się potrzebą do moralnych tego wieku zapasów, namiętne wszelkiego dobra pragnienie, gwałtowną złość nienawiści, sąd rozumu bez litości, miłość dla myśli swęj większą niż dla ludzi, a jednak ludziom bratniej myśli rękę z pomocą wyciągniętą i życie całe wyłane. Jak Emilia nie znała, tak Felicja nie rozumiała błędów i słoności ludzkich. Emilji grzech bliźniego tłumaczył się nieszczęściem, lub cnotą omyloną, Felicji upadkiem zupełnym; przed Felicją nie było sakramentu pokuty i też oczyszczenia — jeśli wzgardziła nie zaczęła, to przeszła obojętna, tułąc dokoła szaty swoje, aby gdzie mimowolnie ich skrajem kału brudnego nie dotknąć. Kiedy jej raz wymawiałam taką niemilosierdną sprawiedliwość, brakiem czasu mi się tłumaczyła. Według zdania Felicji, łatwiej nowe wznosić, niż zniszczone podźwignąć; zniszczenie uważała ona za najgłośniejsze dla wszelkiej niedokładności następstwo i oddawała mu bez żalu zrywane stosunki, zapomniane imiona ustających na pół drogi towarzyszy swoich. Felicja choćby i za najarystyczniejszych wrażeń podarunek nigdy się spóźnić nie chciała. Czynność jej była zadziwiająca — od najprostszej jałmużny do najwznioślejszej około oświecenia bliźnich pracy, od gospodarstwa domowego do filozofji, od igły do poezji, od gawędki do nauczania — dni jej starczyły na wszystko i wszystko było dobrze lub pięknie, szlachetnie lub odważnie. Prawda, że też Pan Bóg do wszystkiego jej drogę ułatwił: od dzieci-

stwa otoczył ją kółkiem poczciwej rodziny, dał jej kochającą matkę, wykształconych braci, położenie w świecie niezawisłe, wyższe zdolności umysłowe i prawą naturę.

Pieszczona, rozumna, słiczna, biała jak lilijka, jasna jak gwiazdeczka, tak snadnie wzbila się na wysokości człowieczeństwa, tak wygodnie zawarowała osobistość swoją w zatrudnieniu egoizmu, radość swoją w obowiązkach, że nie umiała sobie dobrać skali na mierzenie postronnych uchybień. Jej życie całe było czyste i tylko ciągle z niższej do wyższej przechodząc piękności, rozwijało się, niby dzieło muzyczne według praw rytmu i harmonji, w coraz śmielsze, bogatsze i wdzięczniejsze akordy. Nigdy Felicja nie miała powodu, żeby choć na chwilę o samej sobie zwątpić. Z okiem badawczym, nieustannie w głąb własnej duszy zwróconem, widziała tyle świętości, tyle prawdy w jej najtajniejszych zakątkach, że prawda i osobiste uczucia w jedno się dla niej złąły zupełnie, i że nakoniec, jak każda wyższych przeznaczeń istota, wierzyć sama w siebie zaczęła. Współwyznawców jej nie brakło; ja także należałam do ich liczby. Felicja, pełna wdzięku i uroku, odważna, dowcipna, otoczona przyjaźnią serc poświęconych, szczerością nikczemnych, a szcankiem ogółu, wyobrażała mi kobietę najzdolniejszą do przeprowadzenia w rzeczywistość wszystkich kobiecych o niepodległości marzeń. Ona jedna mogła stanąć tak silnie, że jej boleść nie dosięgła, a tak pięknie i bezpiecznie, że aż innym z nią razem stanąby się chciało. Wszystkie cnoty, które jedynie w normalnych warunkach bytu ludzkiego rozwijać się mogą, były właśnie cnotami Felicji; brakło jej wprawdzie cnot anormalnych, drobnych cnot cierpienia, lecz co tam dzisiaj po nich — cnoty cierpienia, pokora, skrucha i litosć bez granic, rezygnacja niewyczerpana, to dobre dla ascetów, dla pustelników Tebaidy, lub męczenników Kolizeum. Nam trzeba cnot siły, cnot triumfu, nam trzeba koniecznie cnot szczęścia, żeby inni w nas uwierzyli i tak jak my cnotliwymi się stali. O! bo głównie o innych chodzi. Pojedynczej duszyczki Bóg chyba teraz nie wpuści do królestwa Swego; to samośne zbawienie postów i umartwień, długich paciery i ciasnego życia, nie jest zbawieniem godziny dzisiejszej. Cierp, ale

¹⁾ Bibiana Mrazewska.

krząta, smuci, pociesza i modli. Widzi pan, ja to zowią królestwem, panowaniem obywatela. Na tym gościeńcu przede wszystkim chcę postępu i wszelkich możebnych udoskonaleni; nowości przyjdą później, znajdują się w swoim czasie i miejscu, będą nawet pomocą te, co są truciźną dzisiaj.

Adeodat (rozrzewniony).

Niech pan raczej bez wszelkiej przenośni powie, że gdy ludzie zaczęli kształcić moralną swoją naturę i sumienie swoje, to dopiero na gościeńcu prawdziwego postępu się wydostaną. Czy obywatele, czy urzędnicy, czy chłopci, czy panowie, dla wszystkich jedno prawo. Jeśli o królestwo niebieskie starać się będą, reszta przydana im zostanie. Nadużywano tych świętych wyrazów Ewangelji, utworzono z nich jakąś formułkę ascetycznego wyrzeczenia się ubóstwa; tymczasem w nich tkwi najpraktyczniejsza, najważniejsza zasada ekonomii społecznej. Póki się ludzie nie zaczęli starać o to, co jest dobre, sprawiedliwe i święte, póty im zawsze brakować będzie nawet tego, co jest wygodne, przyjemne i potrzebne. Wiek za wiekiem upływa i doświadczenie za doświadczeniem idzie, a nieomyślność tego proroctwa i mądrość tego przykazania stwierdza się coraz dowodniej.

Obywateł.

Już-to zaprzeczyć trudno, że moralne udoskonalenie natury ludzkiej jest wspólną koniecznością dla szczęścia wszelkich stanów; ale przy dzisiejszym rzeczy układzie, dla nas szczególnie, postęp tak zwanych wylicznie „obywatelskich” stosunków i zasad jest niewątpliwie główniejszą potrzebą na przyszłość zadaniem. Same okoliczności to wskazują. Tu pan już masz gotowy do obrobienia materiał, masz przed sobą czas i przestrzeń, masz grunt, ludzi i władzę rozkazowania — idzie tylko o to, byś miał myśl w głowie, miłość w sercu i wiedział, co rozkazywać.

Gospodarz domu (zbliżając się do obywatela).

Ciężkie czasy, ciężkie czasy, dobrodzieju! Urodzaje ogromne, żyto tanie, najemnik drogi! Po wiele pan u siebie pład?

Obywateł.

Po 40 groszy; ale i wódka trzy razy na dzień w przyśliku.

Gospodarz domu.

Mój rządca pisze, że i za 2 złote nie chcą w naszych stronach wychodzić. Ciężkie czasy, ciężkie czasy! A cóż ta sprawa pana z zarobnemi wsiami, czy już skończona?

Obywateł.

Niebardzo zręcznie mój adwokat mi ją pokierował; teraz gójdzie pod decyzję senatu.

Gospodarz domu.

Pod decyzję senatu? No, to właśnie doskonale się trafia: rozpoznam pana z osobą, wielkie tam wpływy mającą. Musisz pan jednak godzinke czasu wśród nas wściarzy przepędzić. Wiem, że to będzie wielkiem poświęceniem z jego strony; lecz interes przed szczęściem, mój panie młody.

(Uśmiecha się znacząco).

Dam panu miejsce przy jego stoliku, zwykle on punkcik po pół rubelka grywa.

Obywateł.

Żal mi czasu, tego się nie zapieram; ale z wdzięcznością wamien cenić dobre chęci łaskawego pana i jestem na jego nakazy.

(*do Adeodaty.*)

Pan nie z nami?

Adeodat.

Nie, nie z panami.

(*Patrzy się za odchodzącymi i dziwi się.*)

Rozmowa z literatem równie niespodziewanie się kończy, bo ten, który gromił pisarzy, że brak im namaszczenia Bożego, iskry wywodził, sam jest autorem dzieła, pisanego przeciw ludziom, nie w prawdę swego przekonania. Wyjaśnia sprawę po odejściu literata, przysłuchujący się z boku Urzędnik, który ze swej strony wymyśla, że zdolności nie na wiele się przydadzą, gdy braknie im pokory, t. j. ukochania prawa Bożego i ofiary, t. j. zrzeczenia się swego samolubnego ja.

Pokory więc i ofiary! wołam ciągle do młodzieży naszej. Ale głos mój jest głosem wołającego na puszczy. Głowy zbyt pełne, serca zbyt puste u wszystkich. Pozbawione równowagi to, co zbyt pełne, nisko upada i w brudzie ziemskim się tarza; to, co zbyt puste, na powietrzu bez żadnej buja sobie podstawy — inteligencja służy zaspokojeniu potrzeb, serce dla wactwom chwilowym! Kto ma bystrzejsze umysłowe zdolności, używa ich na wyrobienie sobie karjery; komu serce uderza, to chyba do jakich rozmarzających utopii. Prawdy życia, zgody między swoim powołaniem a przeznaczeniem ludzkości, między jednostką a ogółem, między ideałem a możliwością, nikt dzisiaj w ustrój praktyczny nie sprzędzie, bo nikt w sobie pokory nie ma, nikt ofiarować się nie umie; ofiarować dla myśli Bożej i dla prawdy ukochanej ofiarą prawdziwą, ofiarą Abiła, ofiarą Izaaka na stosie, Chrystusa na krzyżu.

Adeodat.

Są jednak ludzie cichej duszy i pokornego serca, ludzie...

Urzędnik.

A ja panu powiadam, że ich niema. Gdyby takie drzewa rosły w naszych ogrodach, czy tam lasach, toć przecieź znalazły by było po ich owocach. A gdzie — obejrzyj się pan dokoła — gdzie tu pokory i ofiary owoce? Nędza, ucisk, kłamstwo, zepsucie, martwość; oto są gorzkie jagody rozrastających się na ziemi naszej cierni.

Po dłuższej rozmowie wzruszony Adeodat woła: „Święte słowa pańskie”. Lecz tu się okazuje, że ów urzędnik jest właśnie tą wpływową osobą, która za przegrana do niego sumę pokieruje odpowiednio sprawą w senacie, zapewne na niekorzyść „zarobnych wsi”.

Młody obywatel (przychodzi i grzecznie się skłania).

Teraz na pana kolej znowu; robr już rozegrany.

Urzędnik.

A przy kim szczęście?

Młody obywatel.

Przy zastudce, choć to się nieczęsto zdarza; pan górą między nami.

oddalają się; Adeodat zostaje sam, patrzy za nim i zdziwi się ogromnie. Po chwili wysuną się niepostrzeżony z salonu).

Adeodat (idąc przez sien).

Święte słowa! Tak jest, ci ludzie napamięć wszystkie święte słowa umieją!...

Adeodat na ementarzu.

Kiedy z puszczy wychodziłem, to się przygotowałem na wielkie cierpienia, na szyderstwo, nienawiść, na kamienie poszarobów i krzyże prześladowców. Dotychczas nikt mię jeszcze nie ukrzyżował, nie spotwarzył, nie zaczepił, nie wymiał urąganie, a jednak smutnym i utrudzonym się czuję; bo mię wszędzie obojętność lodowatym opasała murem i wszędzie mi pomoc dano, że się na nie braciom moim nie przydam. Boże! wspomnij mię w tym ucisku! nie wwdźz mię na to pokuszenie! Zaiste, nie mam prawa zrażać się i przy plęgu ustawać. Są już w ludzkości wszystkie do jej zbawienia potrzebne warunki; są władze potężne, które tylko w odpowiednie sobie czasie nie weszy; są skarby, któremi tylko zagospodarzyć trzeba. Już rozum, co doścignął wysokości słowa Twojego, Panie! — już nawet serce niejedno, co ukochalo Twą świętość; nędza nie ciężka, że litość Twoją wzruszyć może; siła wierzienia tak oszechwiana, że niaby góry przenosić się dały; jest wszystko, chociaż wszystko, niestety, w chaosie i rozstrojeniu. Gdzie wieść, co na lepsze, tam niczego, co dobre, spełnić nie umieją; gdzie pragną tego, co sprawiedliwe, tam przeciw temu, co odróżne wytrwałej cierpliwości nie stawiają, gdzie ponoszą, co najdotkliwsze, tam do tego, co uszlachetnia, nie są skłonni; gdzie wierzą w to, co nadzmysłowe, tam jeszcze temu, co jawne, nie ufają. Słowom ludzkim brak wiary i miłości. Miłości ludzkiej brak spokoju i nadziei; cierpieniem ludzkiem brak uświęcenia i godności; wierze ludzkiej brak słowa prawdy Twojej. Ale Ty, Panie! nad błędzycami zachowaj się Sołnca aż do skończenia czasów pełną tajemnicę i grozy, opiekę. Ty masz w ręku Swojem — śmierć. Grób zwolna chłonie wszyst-

kie grzechy i bolesti, a wieczność zwolna prostuje wszelkie zbroczenia, zaciera wszelkie skazy. Wobec grobu i śmierci którzy śmiały zwątpić o ducha człowieczym? któżby wrogowi swemu nie przebaczył? któżby nad nieszczęśliwym się nie rozweselił? Grób oczyszcza, grób usprawiedliwia, grób pociesza i łagodzi. Widzisz zbytke szalejącej zuchwalstwem? Poczekaj chwilę — śmierć go ze złota i diamentów obdrze. Widzisz miecz obosieczny w szalonego dłoni? Poczekaj chwilę — śmierć go wytrąci i skruszy. Widzisz lzy na zmienionej twarzy, krew na ranach świeżych? Poczekaj chwilę — śmierć wszystko uciszy ku śmierci każdy biegnie i śmierć idzie ku każdemu. Śmierć z sądem, z zapomnieniem, z odpoczynkiem, z zagładą — a jednak... śmierć z nadzieją poprawy i z wiecznością udoskonalenia! To, co mię jątrzy, co mię oburza, co mię dręczy i znęca, to jest chwila przemiana tylko. Czyż ja dla tej chwili jednej mam ludziom złorzeczyć i sam w drodze się cofnąć? Nie, nie, bracia moi, bracia obojętni i oporni — kochać was będę wszystkich, was co umrzeć zepsucia, odzyc wyrokom Najwyższego musicie!...

Ach, jak łatwa jest miłość bliźniego... na puszczy i na cementarzu!..

Z listów Narcyzy Żmichowskiej do rodziny i przyjaciół.

(Listy N. Żm. Krak. 1885, t. I, str. 163—4).

r. 1850 (wrzesień).

Moje drogie i ukochane, czyście wy nie rozumiały tego, co wam posłałam, czyście to wzięły za wyskok egzaltacji? Że z przekonania najświętszego obiecałam, że nie mówić nie będę. — Zaiste, łatwo mi przyszło się tłumaczyć, szczególnie gdy bym chciała odpowiadać, czy mnie kto przyjmował, czy kogo przyjmowałam — lecz od słowa do słowa, skończyłyby się na tem, żebym musiała kłamać — a to jednak nie żarty. — Mówcie sobie, co chcecie — ja jestem zero, ale sprawa moja dzisiaj jest Polska

Jałąk chce, żeby Polska była, taką ja jestem. — cierpliwa, miłująca, cicha, a jednak odważna w prawdziwości swo-

jej — Zresztą tak mi z mego osobistego gospodarstwa wyjdzie. — Tyle razy ja chciałam umrzeć, tyle razy prosiłam Boga, żeby was od kłopotów z meą uwolnił, żeby mi wolno było to życie nieocenione i nieużyteczne, te kilka lat coraz bliższej przyszłości, oddać za zreczywistnienie idealiku mego. —

Napisałam jednak, co myślę o rządzie i o Polsee: że rząd nas psuje, a że moja Polska święta i pocieszna. — Teraz ofiaruję mnie Panu Bogu i powiem ci sobie: Adiu, Narcyzo. — Jednak z mej ekonomii politycznej to wypada, że kiedy na moją zgubę już ostatecznie się podpisałam¹⁾, to trzeba, aby się ona komu innemu na ocalenie przydała. — Najlepiej będzie ocalić Andzię²⁾, tę moją kosztowną i drogą gumę arabską; może ona da sobie wydrzeć jakie niby potępiające mię słowa, — niech powie coś o moich podróżach do Erazma, który chorował śmiertelnie i w więzieniu siedział — i mnie byłoby łatwo mówić o tem. — Teodozy³⁾ ułatwił drogę — już umarł. — Słowo przysięgi świętem jest, — niech mnie jak chcą biją, ja osimio tego będę miała osobistą wdzięczność dla Jolszyna, że pierwszy zrozumiał, że mojej przysięgi nie cofnę. — Zresztą, może tak źle nie będzie, wy przecież módlcie się za mną. —

(Listy N. Ż. do Tekli Dębskiej, str. 41—2)

(Listopad 1851 roku).

I cóż ja poradzę z Orcią⁴⁾, kiedy to cudo uroiło sobie, że mi jej obiady nie smakują; mówią o jadle, miałam na myśli to, że czasem przy rewizji zupełnie wystudza, a tu buch, moja siostrzyczka pięć potraw naraz przysyła. — Proszę was, ślad ja żołądka na upakowanie ich pożyczę; wprawdzie mój żołądek już znacznie rozszerzył, ale takiej ilości nie wystarcza. Jak

¹⁾ Narcyza na śledztwie przysięgła, że na zadane jej pytania odpowiedzieć nie będzie, piśmiennie tylko głową jest złożony wyznanie swojej wiary — i rzeczywiście takie wyznanie złożyła w ręce generała Jolszyna.

²⁾ Skimborowicz; w cytaeli dawawszkiej od roku 1848 do 1851.

³⁾ Krywicki, poeta.

⁴⁾ Hortensja Densimowa, siostra.

mi będziecie z tego, co wam napiszę, żalobne wnioski i lamenta wyprowadzali, nigdy ani słówka nie wspomnę o niezem.

Ewcia¹⁾ mi raz przemówiła, że was ogólnikami zzywam, zaczęłam więc szczegółów dostarczać i ślicznie wyszłam na tem. Otóż proszę was, zachowajcie w swojej pamięci ten aforyzm: Narcyzie jest sto razy lepiej niż tym, co w Cytadeli siedzą, a chociażby i sto razy gorzej było pod względem wygód, toby się jeszcze nie obejrzała na to, bo ona do różnych kolei przywykła; na mrozie marzła, na deszczu mokła, na wietrze zębami dzwoniła, raz na dzień jadła i było jej dobrze, bo jeśli nie żelazny, to przynajmniej gutaperehowy Bóg jej dał temperament, jeśli nie w mocy, to w zdolności przetrwania celuje wszystkie znajome sobie białogłowy. — Otóż gdy z takim darem Opatrzności lub raczej pomimo daru takiego krzywię się czasem i przed wami skargi rozwodzę, to nie dlatego, żebyście się o mnie martwili.

Wy się tem burzycie, słuszna rzecz, ale nie kłopotcie się w głębi serca, bo to na mnie spada jak woda na jaskółkę, przy pierwszej odebranej kartce ino trzępnę skrzydełkami, wnet wszystkie piórka suchuteńkie. — Mój Boże, mnie się żalić, a tam na Stasiu²⁾ odzienie butwieje, a Stach ma febrę! — Niechże mi teraz trochę się mrozem okna umalują, zaraz na oczach ten obrazek stanie.

(Listy N. Ż., t. I, str. 194—7)

Lublin, (listopad 1853 r.)

Gdybym znów rozpuściła cugle wyobraźni, kaprysom, dziwaectwom — nacózby się to zdało? — Gdybym nawet odezwała się głośno tajoną w głębi serca boleścią, gdybym skarżyć, jęzczyć, piszczeć, wzdychać, w przestrzeni ręce wyciągać zaczęła — co za korzyść dla czytelników? — Bezwzględnie, mogłabym całą butelkę atramentu na to wypotrzebować — możebym ktoś powiedział, że ładnie piszę, a piąty, dziesiąty rozmarzyłyby się bezcelnie — lecz ja nigdy, Bóg widzi, nawet

¹⁾ Tekla Dębska.

²⁾ Stanisław Jarmand, więziony w cytadeli warszawskiej.

Poganki mojej na efekt nie pisałam — chociaż w złudzeniu potrzeba wypowiedzenia jakiejś prawdy musiała mi autorską moją pracę złożyć. —

Dzisiaj tembardziej jeszcze własną naturą, własnym nieostatkiem najdokładniejsze mam poczucie tego, na czem drugo zbywa, czego drudzy są spragnieni, co jest w obecnej chwili dla ich ducha najpotrzebniejsze. — Otóż najpotrzebniejsze jest zdrowa pewność. — Pewność jędrna, zdrowa, twarda jak cukier spartański, jak ukazy carskie. W godzinach o 8-ej Barbarsze ślicznego wyrażenia z Pisma ś-go użyto: „Silną jako śmierć jest miłość”. — Silną jako zniszczenie jest siła tworzenia — silną jako zbrodnia enota. — Gdyby tej siły w miłości nie było, gdyby kochanie, gdyby życie cofnęło kroku przed miłością — o, to już światły zamarł — i Bogaby nie stało — i Statan-Nicość zwyciężyłby istnienie.

Tak więc na mojej tego prawa, w każdym głosie, co między ludzi idzie, szukamy przedewszystkiem takiego słowa, któreby równo brzmiało z przeciwników słowem.

Od lat wielu, może od niepamiętnych czasów duch przeżycia i zagłady tak śmiało, bezcelnie, ohydnie, a tak pownie się nie odzywał, jeśli w odpowiedzi jemu studzy prawdy, podgrzy mi obiecaną Jeruzolimę, wyznawcy Chrystusowi, rzucą tylko płonne wykrzykniki rozrzewienia, albo znakami zapytania książki swoje poznaczą, to niech ich pierwej licho na tybór porwie, boć lepszy jeden za dobrą sprawę wygnaniec, niż sto głupich lub niedołężnych, za myśl jałową kartek — słodziej nawet mówiąc, lepiej aby dziś pocziwcy człowieka zaknutowali — niż żeby ten pocziwcy człowiek miał choć jedną kartki niedorzeczności napisać. —

Pocziwych jedynie mam na uwadze w tej mierze — pocziwych, którzy na sakramentalnym bierzmowaniu teraźniejszych wypadków sami przed sobą i przed drugimi wzięli sobie imię Polki lub Polaka, którzy w opinii współbraci, w nienawiści wrogów, w prześladowaniu rządu z większą czy mniejszą surową — o to nie pytać — byle z ogólnem przywiązaniem, w łączności jakiejś z myślą o Polsce stanęli. — Tacy ludzie odpowiedzialni są za ton i ważność każdego jawnie wyrzeczonego słowa — kiedy mówią dla drugich — (wolno im wszakże

mówić dla siebie; ja z wami, najdroższe moje, zawsze dla siebie mówię) — kiedy więc dla drugich mówią albo piszą, powinni tak mówić i pisać, żeby aż iskry z mózgów lub z serc bratnich wyprysły. —

Powinni tak się odzywać stanowczo, jak Mikołaj w swoim z 48-go r. manifestie według miary śmierci, a tak niezachwianie, jak śły Paweł według miary życia. —

Wszakże znać listy Apostoła narodów? Gdzież tam choć jedno drgnienie niepewności, choć półcień wątpliwego dociekania? Aposto! wszystko wie, widzi, głosi — zna i więcej nawet jak ludziom powiada. — Był w trzecim niebie — słyszał słowa, których śmiertelnym jeszcze powtarzać niewolno — ma zapas objawienia, prawdy, przekonania, ma fundusz, którego nie wyczerpie nigdy. — Ach! ten śły Paweł, to moja pociecha i rozpacz moja — to doskonałość, która mnie ciągle ku zrzeczywistnieniu swych wzorów popycha, i niepodobieństwa, które mię ciągle lich niedoścignoną wyższością w bezczynności zatrzymuje. —

Kiedy myślę o tem, co czynić trzeba, jak działać powinienam, kiedy na! potrzebami obecności się zastanowię, kiedy zamiary prac ogólnych rozważam; zawsze i z każdej ścieżki do niego wracam muszę. — On jest systematem najdokładniejszym — jeśli dobrego nie wyczerpnął, bo dobre jak Bóg na wieki wieków nieprzeważnięte zostanie, przynajmniej wszystkie sposoby dojścia ku dobremu, uzyskiwania dobrego wynalazł, ogarnął i użył. — Za każdym więc pomysłem i życzeniem, bezprześcześnie o świętego Pawła zaczepiam — a za każdym zwrotem na samą siebie, bezprześcześnie własnej niemocy uragam. — Wiesz przecież, moje najdroższe, jak bi głę jestem w egotyecznej parodii. — Mogłabym na palcach zacho- wać i datami kalendarzowemi oznaczyć te wybrane chwile, w których z siebie samej, przed samą sobą najśmieszniejszej nie układałam karykatury. Toż i pod tym względem, ile razy nieudolność moja z pragnieniami moimi na kopje uderzy, a placu nie dotrwa, sypię jej z własnego mózgu najpociesniejszemi konceptami — i w salonie nikty lepiej zwyciężonego rewolucjonisty nie wyszydził — ale cóż z tego? —

Choć się wysmieję, choć się nazwijam — ludźmi z mojej

spolobij, z mego samowstrętu i jednej sylaby nie przybędzie — ten rysek jedyny, że się aby od sylab niepotrzebnych wstrzymuję. — Dawniej, obok zupełnie podobnego sądu więcej jakóż musiał lekkomyślności, czy zaufania w prawej intencji natchnień, dlatego też łatwiej mi było od czasu do czasu coś bąknąć — Teraz wypadki mego życia spadły mi na kark jak heshiowski tytuły miesięcznowi i rady sobie z niemi dać nie mogę. — Raz tutaj w niedzieli przysłała mi pokusa, że jaśniej dziwactwem wyszrelić — ej, co to szkodzi księgarzom sprzedać sztukę szaleństwa za trzy grosze, kiedy trzech groszy z pewnością dobrze użyję. —

Vade retro satanas — oparłam się pokusie. — A szatan szepotał do ucha, że jak St. Just w Paryżu swoją głowę za czasów Robespiera, tak ja wspomnienie mego zamknięcia w Lublinie, z uroczyścią niby sanctissimum chcę piastować. — Powiedziałam Szatankowi, że głupi; bo moje zamknięcie, moje uwięzienie a ja, to dwie rzeczy tak różne od siebie, jak różną monstrancją od pijanego karmelity, który ją raz w czasie niesporów do góry podniósł. —

Nawet pokorą oszukać się nie dam — wiem, że na osobną wartość jestem pijanym kleką w oczach bożych, ale na wartość zdarzeń biograficznych jestem kapłanem, któremu święta w ręce dano i z świętością nieść ją będę. —

Sądźcie mnie, jak chcecie, ale póki Duch Święty nie zleje na mnie łaską odpowieźnego laskom więziennym pocieszenia — póki ten Bóg, co mię obdarzył chwałą przesłaniającą na święte imię Swoje w świętem Polskim imieniu, równocześnie daru słowa godnego tej chwili nie zbudzi mi w duszy; póty bodajby i do śmierci milczeć upornie będę. —

Opracował AURELI DROGOSZEWSKI w r. 1914.

DEMBOWSKI EDWARD.

(1822—1846)

Jeden z najzapalniejszych u nas zwolenników Hegla i szerry cielei jego filozofii, jeden z najskrajniejszych wyznawców idea demokracji ludowej, krytyk literacki, publicysta i działacz rewolucyjny, przyszedł na świat w Warszawie, w kwietniu r. 1822. Był synem Leona, kasztelana i senatora Królestwa Polskiego, pochodzącego z możnej, arystokratycznej rodziny. Matka, Julia z Kuchanowskich, odumarała go, kiedy miał rok. Z wrażeń dzieciństwa zapamiętał musiał moment z rewolucji listopadowej—kiedy wbiegłszy tłum w poszukiwaniu szpiega dobijał się do bramy domu, w którym mieszkał z ojcem, i rabował mieszczący się w tymże domu sklepik¹⁾.

Wychowanie i wykształcenie odebrał niezwykle staranne. Lat chłopięce spędził w Klementowicach w Lubelskiem, w majątku swego ojca; nosił się pod kierunkiem nauczyciela matematyki, Niemca. W r. 1836 przenosi się z nim ojciec do Warszawy i nie szczędzi kosztów i starań na kształcenie syna. Nauczycielem jego jest, między innymi, Adrian Krzyżanowski, były profesor uniwersytetu, sam pisa kasztelan wykłada mu literaturę, logikę i filozofję. Chłopak musiał być wyjątkowo zdolny i zapalony do nauki, kiedy mając lat 18, kończy studia uniwersyteckie. Późniejsze jego prace świadczą o zaanalożeniu języków starożytnych i nowożytnych, filozofji, literatury powszechnej i matematyki, nie mówiąc już o umyśle z przyrodzenia samodzielny i niezwykle pojemny.

W tymże czasie wybiera się Dembowski w towarzystwie ojca w roczną podróż zagranicę, zwiedza Kraków, Śląsk, Niemcy i północne Włochy. Po powrocie, licząc około 19 lat, żeni się z p. Anielą Celińską; mając, dzięki ojcu, zapewnione wygodne

ostatnie życie, może się teraz swobodnie oddać działalności piśmiennej i spiskowej.

Ludzie, do których się obecnie zbliżył i z którymi zawiązał bliższe stosunki, to cioteczny brat jego, Henryk Kamiński, późniejszy autor „Prawd żywotnych” i „Katechizmu demokratycznego”, Skimiszewicz, Jan Majorkiewicz, Karol Baliński, grono „entuzjastek” z Nareczą Zmichowską na czele, wreszcie młodzi poeci i literaci jak Wolski, Znorski, Dziekoński, Lenartowicz i inni. Znajdują się między nimi ludzie rozmaitych usposobień i temperamentów, rozmaitych zamiłowań, talentów i skłonności, wszystkich jednak łączy zapał do wiedzy, pęd ku tworzeniu nowych wartości artystycznych i estetycznych, oraz tendencje demokratyczne, rozmaitej siły, jakości i zabarwienia. Dembowski jest najgorętszym z gorących, najbardziej entuzjastycznym spośród entuzjastów i entuzjastek, najkrajoczszym wśród heglistów, najbardziej rewolucyjnym wśród spiskowców, do których należy wielu z pośród wyżej wymienionych. Oto jak go charakteryzuje Zmichowska w „Obrazku wstępnym” do „Poganki” pod postacią Henryka: „Henryk „zapalenić” ślad otrzymał swoje przezwisko, że tak żył wątko, chciwie i gwałtownie, jak gdyby najmłodszemu z nas wszystkich, najwcześnieji miała wybić ostatnia godzina. Alchemik, który wziął trzech ludzi z burzliwemi i sprzecznemi skłonnościami, wstrzech innych z enotą najznajdniejszą, pomieszał razem, utłukł w moździerzu, nalał wodą wiślaną, zgotował przy wulkanie, odcedził przy księżycu, trochę podsycił siarką i saletra, miałby dopiero dla osobliwości lub dla „przestraszenia” spokojnych amatorów wista i egotów rodziny esencję, podobnieutką do takiego, jak Henryk człowiek... Przy nadzwyczajnej wale postaci, przy dość miękkiem wychowaniu, żelazna jego organizacja nie upadała pod żadnem usiłowaniem zbytowych i trudu, egoizmu i poświęcenia. Ach! żal mi usza, że napisałem to słowo: egoizm. On i egoizm? On, co tak dbał o zdrowie, majątkiem, szczęściem, co dla przyjaźni lub szlachetnego celu byłby swe dobre imię oddał bez wahania i nawet go egoista!.. Henryk nie był egoista. Henryka osobistość była tak wydatną w tem, co czynił, tak zainteresowaną w tem, czego pragnął, tak połączoną z tem, czemu się poświęcał, że byłby się dał zabić dla tego, a jeszcze wielu bardzo ludziom i mnie samej zdawać się mogło, że dał się zabić, bo mu to wielką przyjemność robiło... Strach czasem było tego dziecka z błękitnymi oczyma, z ślepem niedoświadczeniem, a żądzą płomienną. Przeczuwało się, że dusza jego, silnem pełnieniem Bożem w świat przesłaneni racuona, musi bez spoczynku i zboczenia jakieś fatalne, gwałtownie zakreślić kole...²⁾ Dzięki swojej energii, zapalowi, zdol-

¹⁾ Szeregły biograficzne czerpiemy z pracy p. M. Steckiej o Dembowskim, Łódź, 1911.

²⁾ Pismo Nareczy Zmichowskiej, Warszawa, 1885, t. II, str. 16—17.

ności organizacyjnej, dużej i wszechstronnej wiedzy, dzięki wreszcie swemu położeniu majątkowemu, zajmuje on niebawem bardzo wybitne stanowisko wśród tego grona, staje się utalentowanym wyrazicielem jego dążeń i hasel. Praca filozoficzno-krytyczno-publicystyczna łączy się tu ściśle z działalnością spiskowo-rewolucyjną, jedna z drugiej wypływa, jedna druga warunkuje. Pierwsza znałoga wszechstronny i bogaty wyraz w założonym w r. 1842 przez Dembowskiego wspólnie z Skimborowiczem „Przeglądzie Naukowym”, druga kryje się w podziemkach. Ale w artykułach filozoficznych i literackich, zamieszczanych przez Dembowskiego w tym piśmie — przebijają niekiedy wyraźnie (choć ze względu na cenury ostrożnie) te zasady, na których opierać się musi w tym czasie jego działalność polityczna.

Praca Dembowskiego w „Przeglądzie Naukowym” odznacza się przede wszystkim zdumiewającą wszechstronnością, rozmaitością poruszanych tematów i płodnością tego 20-letniego redaktora. Zamieszcza on tu większe i mniejsze artykuły z dziedziny filozofii, krytyki literackiej, estetyki, matematyki, nauk przyrodniczych, sprawozdania z literatury polskiej, niemieckiej, francuskiej, angielskiej, włoskiej, hiszpańskiej, przekłady utworów poetycznych obcych i własne próby wierszowe. Z taką wszechstronnością nie może naturalnie zawsze iść w parze pogłębienie i przemysłowość poruszanych zagadnień (zwłaszcza jeżeli się zważy młody wiek pisarza) — w każdym razie jednak ujawnia się tu ogromna ruchliwość i pojemność umysłu, pod niepowstrzymaną gorączką wiedzy, dążność do syntetycznego ujmowania zjawisk duchowych, pomysły ciekawe, poglądy szerokie, wiele spoprzetanych, głębokich i subtelnych.

Najobszerniejsze i najważniejsze są w tym zbiorze artykuły filozoficzne oraz teoretyczno-literackie. W filozoficznych poglądach młodego autora królują niepodzielnie Hegel; Dembowski uważa się za jego ucznia, nazywa go „nowoczesnym Arystotelesem”, a jego systemat przedstawia mu się jako najstarszy szczyt, do którego myśl ludzka doszła. To przekonanie stara się Dembowski zaznaczyć swoim czytelnikom. W tym celu, w jednym z najobszerniejszych swoich artykułów p. t. „Rys rozwinięcia się pojęć filozoficznych w Niemczech”, daje naprzód ściśle sprawozdawczy przegląd systematów filozoficznych przed Heglem (Leibniz, Wolff, Mendelssohn, Jacobi, Kant, Fichte, Schelling), następnie zaś szczegółowe stre-

żenie poglądów „mistrza berlińskiego”. Gruntowne poznanie i przemyślenie Hegla, przyswojenie sobie jego metody dialektycznej jako Dembowskiemu ogólny pogląd na świat, narzędzie badania wszelkich zjawisk i kryterjum do ich oceniania. I trzeba przyznać że jest on w tem stosowaniu filozofii heglońskiej do rozmaitych dziedzin konsekwentny i samodzielny. Uważa ją za najwyższy szczyt, na jaki wdarła się myśl współczesna; ale z tego nie wyłącza bynajmniej, żeby miała być kołosem i zamknięciem wszelkiej filozofii. Właśnie dlatego, że Dembowski jest wiernym uczniem swego mistrza, przypuszcza, że systemat jego nie może zakrzepnąć, że musi rozwijać się dalej, tworząc na dawnych podstawach nową „filozofję przyszłości”, którąby „wesła w życie”. Już w najwczesniejszych swoich pracach wypowiada to wyraźnie, czyni zastrzeżenia co do pewnych poglądów Hegla, polemizuje z niektórymi jego wywodami i podziałami. Zastrzeżenia te i polemiki są niecierpliwie ciekawe, świadczą bowiem o tem, jak tu przez dialektykę heglońską przediera się instynkt społeczny autora, jak domaga się on usprawiedliwienia, uświęcenia i uzasadnienia w filozofii tego, co go łączy ze sprawą rewolucji i co mu każe brać udział w spiskach warszawskich.

A więc w filozofii przyrody musi nastąpić dążenie do „strojności” (harmonji) — w filozofii ducha układy towarzyskie i polityczne rodzin musi być oparte na bezwzględnej i zupełnej pojęwaniu się członków i wzajemnej najczystszej miłości, a admistracja, opierająca się na sprzeczności wsi i miasta, utworzyć musi organizm — w najdrobniejszej swej cząstce, np. gminie, spójnąca wotującą, a jednak od innych zależną całością¹⁾. Chodzi tu więc wyraźnie o filozoficzne uzasadnienie dążeń społecznych, a raczej o rozciągnięcie na nie panowania filozofii, tak jak zresztą i na sztukę, uczenie i t. p.

Ogólniej wyraził Dembowski swoje odrębne stanowisko w późniejszych artykułach „Przeglądu Naukowego” („Piśmiennosc powszechna” i „Stanowisko przyszłości filozofii”), kiedy ustanawiał trzy „główne istności ducha”, t. j. uczenie, myśl i czyn — którym odpowiadają: umiretwo (sztuki piękne), wiedza i dzieje — ale w ten sposób formułował swój stosunek do filozofii Hegla: „Potrzeba filozofja bezwzględna miała ustąpić, więc nie była zupełnie bezwzględna, miała w sobie zapleć zaród bezwzględności, to uznawała byt i myśl za równoznaczne i zbadała przyrodę myśli; przyszłość filozofii czyli filozofja przyszłości, właściwa wiedza nie tylko myśl za żywioł świata, za istotę świata uzna, lecz dołącza do niej dwa inne czynniki: uczenie i twórczość, które jedno-

¹⁾ We „Wstępie” do I tomu w ten sposób sformułowano program piśmie: „Przedtęcić ogólną, a samodzielnie dążenie myślowe, to jest naukowść, ubraćjono rajskim piękności umiekiem w taki sposób, aby sproszka i zwykłe ją odpychająca powszechność stała się jej lubą i miłą; podać naukowść, oświeciloną różnym zapach promieniami, a ożywioną błogiem miłości uczeniem, ka politykowi i sztuce ogóln — oto nasz zamiar” („Przegląd Naukowy” 1842, str. 1).

²⁾ „Wiedza i świat”, Przegląd Naukowy, 1842, tom I, str. 84.

znaczne z myślą i z sobą są zarazem jednoznaczne z bytem i tworzą w swej potrońności jedność, a są istotą wszystkiego¹⁾.

Było to oczywiście raczej uczuciowe, aniżeli naukowo-filozoficzne traktowanie tych problemów, raczej uzasadnienie i uświęcenie dla samego siebie swoich własnych uczuć i instynktów, aniżeli tworzenie nowego systemu w znaczeniu ówczesnej filozofii niemieckiej.

Próbował wprawdzie Dembowski w artykule p. t. „Twórczość jako żywioł samorodny naszej polskiej filozofii²⁾” dać podstawy takiego systemu, opartego o lud i jego myśl, o twórczość jako istotę narodu w dziedzinie umysłowej, a dziarskość jako jego istotę w dziedzinie żywota — ale były to tylko bardzo ogólne rzuty myśli, bez należytego pogłębienia i uzasadnienia.

W dziedzinie estetyki idzie Dembowski również za Heglema, choć różni się z nim w tem, że umieszcza „umiewtvo” nie na najniższym, ale na najwyższym stopniu. „Sztuki piękne (powiada w artykule „Pismienność powszechna³⁾” są wyrażeniem wejścia w żywot uczuciowy tej prawdy, której wiedzeniem jest filozofia, a wykonaniem w ogólności czyn”. „Umiewtvo, będąc jednością myśli i uczucia, jednością doskonałą, stojąca, od obydwóch jest wyższem” („Ułamki z badań o umiewtwie⁴⁾”). Jedynem prawem umiewtwa jest to, że „osnowa umiewtwa powinna ducha wzniesić i rozczulić — sposób oddania winien być zupełnie swobodnym, t. j. niczem nie związanym i nie skrepowanym” (tamże). Hasłami umiewtwa są samowiedzialność, potęga i uczucie — i one to zarazem stanowią kryterjum oceny⁵⁾. Ideałem, który umiewtvo wyraża — to poświęcenie celów szczegółowych dla celów powszechnych. Cechą prawdziwego artysty jest miłość ludzkości bez granic⁶⁾.

W innych artykułach znajdujemy rozwinięcie, względnie dopełnienie tych poglądów. I tak w artykule p. t. „Pedro Calderon de la Barca” D. pragnie ocenić Calderona „względnie do czasu, w którym działał, stosownie do słuszności lub niesłuszności idealów, które sobie założył i wykonał, nakładnie względnie do prawdopodobieństwa utworów jego (Przegląd Naukowy, 1842, II, 423) Ideał piękności określa jako „doskonałe zlanie w jedność, zupełną harmonijność własności i uczucia” (ibid. str. 425). Nie lekceważy przytem bynajmniej formy. „Forma jedynie stanowi estetyczną doskonałość utworu” — ale zaraz następuje zastrzeżenie, że forma doskonała a „niemumiewtwa” osnowa — to zwiedły kwiat, jak z dru-

giej strony piękna osnowa o złej formie to kwiat sztuczny („Rozmowa i porównanie Ryszarda Savage Gutzkowa i Torkwata Tassa z 1838ego”, ibid. str. 467).

Stojąc na takim stanowisku estetycznym, w którym również poglądy Dembowski przebiły się własne tęsknoty i marzenia, musiał Dembowski piśmiennictwo obce i polskie współczesne, często polemizując z Michałem Grabowskim, zarzucając mu, że przesławia i nadmiernie wywyższa przeszłość i twierdzenie, jakoby każdy taki obraz był poetyczny, ślepienia zakres twórczości i tamuje rozwinięcie się samoistnej piśmiennictwa, gdyż sądzi, że tylko to jest poetyczne, co „ducha wznosi i serce rozumia” musi być zastosowane i do przeszłości. To samo odnosi się do poezji gminnej. Występuje dalej przeciwko ślepemu naśladowaniu natury, co prowadzi do pospolitości, której oznaki widzi np. w „Zamku kaniowskim”, „Grażynie” (tak) i w utworach „szanownego i czcigodnego” Wójcickiego, który „za coś godnego pośmiej się i bardzo szlachetnego — brednie i pospolitości podaje” („O różnych dążnościach w piśmiennictwie naszym⁷⁾”; za niemniej potępienia godne uważa poglądy Grabowskiego, jakoby zaznajamianie się z literaturą obcą i przekłady z niej zabijały oryginalność; powiada natomiast, że „kto nie chce znać arcydzieł obcych poetów, sam postępując niesamoistnie musi i będzie cofnięty w wyobczeniach” („O przekładach dzieł Göttheego i Schillera⁸⁾”).

O ile w tych poglądach krytycznych znajdujemy wiele trafnych i głębokich uwag — o tyle w swoich zachwytach i pochwałach nad Dembowski często dziwny i nierozumiały. Jana Nepomucena Kamińskiego nazywa np. „genjalnym Mowobadaczem, Mędrcem i Wieszczem” („Pedro Calderon de la Barca⁹⁾ — w powieściach Ryszyńskiego widzi zlanie się wiedzy i poezji najwznowiojszej poezja „Moreny¹⁰⁾”, Dumasa stawia wyżej od Wiktora Hugo „Ułamki z badań o umiewtwie¹¹⁾”, sam tworzy dziwny i sztuczny podział poezji polskiej na szkoły: literacką, ukrainiską, halicką, wiedeńską, poznańską i krakowską. (Myśli o rozwianiu się piśmiennictwa naszej w XIX stuleciu¹²⁾), popędza zupełnie niefilozoficzne sądownictwo w określaniu cech literatury powszechnej („Pismienność powszechna¹³⁾”).

Równoległe z tą wytyczoną działalnością piarską oddaje się Dembowski — jak już wspomnieliśmy — tajnej robocie spiskowej. Nie mamy o niej dokładniejszych wiadomości. Wiemy tylko, że

¹⁾ „Przegląd Naukowy”, 1843, tom I, str. 340.

²⁾ Ibid. str. 300.

³⁾ „Przegląd Naukowy”, 1842, tom III, str. 854.

⁴⁾ Ibid. str. 383.

⁵⁾ „Pismienność powszechna”, ibid. str. 859.

⁶⁾ „Ułamki z badań o umiewtwie” ibid. str. 891 i 894.

⁷⁾ „Przegląd Naukowy”, r. 1842 tom II, str. 452—3.

⁸⁾ Ibid. str. 508.

⁹⁾ Ibid. str. 421.

¹⁰⁾ Ibid. str. 721.

¹¹⁾ Ibid. tom IV.

¹²⁾ „Przegląd Naukowy”, 1843, tom I.

w r. 1839 wszedł on wraz z Kamińskim i Skimborowiczem do nowopowstałego w Warszawie „Związku Narodu Polskiego”, gdzie wkrótce wybił się na stanowisko jednego z kierowników i dostarczał głównie funduszy na propagandę. Celem „Związku” była wywołanie powstania, którego wybuch nastąpić miało nawet na wiosnę r. 1844. Jednak w końcu r. 1843 spisek został częściowo wykryty, wielu członków „Związku” aresztowanych, Dembowskiemu zaś udało się uciec do Poznania.

Z przybyciem w Poznańskie rozpoczyna się druga epoka działalności piśmniczej i rewolucyjnej Dembowskiego. Szybko stał się on tutaj jedną z wybitnych postaci publicystyki i demokracji poznańskiej.

Dzięki wolności prasy, a także większemu uświadomieniu ówczesnego społeczeństwa poznańskiego, może Dembowski wypowiadać teraz śmiało i bezwzględnie swoje skrajnie rewolucyjne i secesyjistyczno-komunistyczne poglądy.

W ogólnych zasadach filozoficznych nie schodzi on ze stanowiska heglowskiego, ale silniej obecnie dochodzą „do głosu i wyraźniej krystalizują się w jego ogólnym systemacie tendencje społeczne. W dawnej trójce: umiędwo, wiedza, dzieje — te ostatnie zastąpiono zostają „żywotem społecznym”, którego istotą jest gorące miłość ku całej ludzkości. Ta znova jest „poświęceniem siebie i wszystkiego dla dobra ludzkości”, która utożsamiona jest z ludem, a ten na całym świecie ma wspólne interesy. W dalszym rozwinięciu tych myśli widak już wyraźny wpływ współczesnych teorii socjalistyczno-komunistycznych: „wolność tam być tylko może, gdzie nicma własność” — stał konsekwentny wniosek: zniszczenie jej, współność wszelkich dóbr i udział secesyjistyczny, którego obzeryw, w szczególności nawet wnioskując obraz, daje Dembowski w artykule „Twórczość w żywocie społeczności”, zamieszczonym w „Tygodniku Literackim” poznańskim z r. 1843. Ogniwio, łącząc ten pogląd z filozofią polską, opartą o Hegla, stanowi myśl, że twórczość jest to bezwzględna wolność, „stanowisko twórczości w filozofii jest przeto stanowiskiem wolności w żywocie społecznym”.

Odpowiadnio do tego zmieniają się i rozwijają orientacje estetyczno-literackie. „Miarą ważności każdej z gałęzi wiedzy jest jej wpływ na żywot społeczny”. Natomiastem prawdziwym jest niłość wrzeka ku ludowi. Pełnia powinna być oryginalna i narodowa, a narodowa to znaczy tępnąca miłością ludu i odbijająca w sobie „lud bowiem, a naród to jedno”.

Podobne poglądy znajdujemy również w artykule „Kilka myśli o eklektyczmie”, drukowanym w tomie IV „Roku” poznańskiego 1843

„Pamiętajmyż przedewszystkiem, iż każda myśl, nie dążąca pośrednio lub bezpośrednio ku rozwinięciu żywotów ludowych i nie mająca na celu samodzielności, a szczęścia ludu, tej najciotniejszej, najbrzezniejszej, a najniezczęśliwszej części ludzkości, zmarnowana jest” (str. 29).

Poza „Tygodnikiem Literackim” pisuje Dembowski jeszcze do „Piśmiennika Domowego” i „Roku”. W pierwszym z nich ogłasza przeważnie feljtony beletrystyczne jak „Obrazki i szkice”, „Z notulek warjata”, „Piękną kuzynką” i, w „Roku” zaś obszerniejsze esejały, między innymi „Kilka myśli o eklektyczmie”, gdzie zaznacza już wyraźną różnicę swego stanowiska od heglizmu, który sterpi zło społeczne istniejące — „O dramacie w dzisiejszym piśmiennictwie polskim” — „Myśli o przyszłości filozofii”, gdzie wypowiada bardzo ciekawe uwagi o mesjanizmie i Mickiewiczu, występuje przeciwko jego „wierze w osoby”, pojmowaniu człowieka pojedynczego jako „zrzecowiszczenia myśli posłanniczej” — „On ma być — według Dembowskiego — niezgodne z „filozofją polską”, której cechą jest wiara w społeczeństwo, w masę, w lud; wiele wątpliwie zaś są tylko wynikiem niejakiego postępu narodu, cząstkami społeczeństwa, a więc tworem drugorzędnym, wtórnym.

Najobzerniejszą z prac Dembowskiego, w tym okresie wydanych, jest „Piśmiennictwo polskie w zarysie”. Stanowi ona ciekawy obraz historii literatury, pisanej z punktu widzenia rewolucyjno-wolnościowego. W przedmowie powiada autor, że jeszcze w początku r. 1842 miał zamiar opracowania z Hipolitem Skimborowiczem dzieł piśmiennictwa, przyczem Skimborowicz miał podać żywoty, Dembowski zaś rozbiór krytyczny i wyliczenie bibliograficzne dzieł i pisarzy polskich. Gdy jednak wówczas nie można było dokończyć „rozpoczętego pisma” — postanowił D. obecnie dać przynajmniej krótki rys piśmiennictwa i wystawić „organizmy, myślowy rozwój literatury, w porównaniu na żywot społeczński”, będąc przekonany, że oceni pisarzy i dzieła „ze względu znaczenia ich politycznego i wpływu ich na żywot społeczński”, będąc przekonany, iż w ten sposób wykaże, „co jest prawdziwą piśmiennictwa istotą”. Żywot narodu, życie umysłowe, narodowość — stają się tutaj rozmaitemi kombinacjami pojęcia wolności, ona też stanowi kryterjum oceny zjawisk dziejowych i literackich. Szluznie powiada Bartoszewicz²⁾, iż Dembowski „nakreślił (w tej książce) doskonale charakterystykę własnych usposobień i widoków. Literaturę dawną podzielił na 2 kategorie, na postępową i niepostępową, drugą naturalnie odrzucił, więc w postępowej bardzo się mało faktów znalazło”. I tak też rzeczywiście przedstawia się

¹⁾ Tygodnik Literacki, 1843, str. 199.

²⁾ Wyjątek z pomyśłów do wiedzy kmiotwa”, Tygodnik Literacki, 1843.

¹⁾ Obacz Bibliografię.

²⁾ Historia literatury polskiej, Kraków 1877, t. II.

ideologia i podział literatury Dembowskiego. Z trzech epok, na które dzieli dzieje piśmiennictwa, dopiero epoka trzecia, od 1820 r. zastępuje na nazwę czysto polskiej Wtedy dopiero wyrabia się społeczność, myśl narodowa i żywioł narodowy. Wszystko, co było przedtem, jest szlachcko-lub łacińsko-polskim szpiereniewierzeniem się idei wolności i idei ludowej. Duch narodowy został przez oświatę łacińską zwichnięty, bo rozłała się ona tylko na jedną część narodu. Większość też pisarzy, występujących w tej epoce, sążąd odpokutować. Kochanowski jest niezupełnie polskim poetą. „Odprowa postów greckich” trzęca małej wartości, w Reju nawet dostrzega autor „ducha wykształcenia obcego”, treść pism Skarpi jest „częca” zupełnie, choć ubraną w piękną szatę językową. Czartoryscy — to ludzie, „apragney zmienić na swoja korzyść Rzeczpospolitą na monarchię”, Konarski przez swoje wyobrażenia monarchiczne stał się przyczyną przemiany, która „wyrodziła się w letarg polityczny” — w okresie od r. 1770—1820 „ani jednego poety nie wydała Polska w tym czasie letargu ducha narodu” — wreszcie, jako korona tego wszystkiego, następujące zdanie: „Kasta, przemoc dzierząca w narodzie, przyjęła ustawą 3 maja monarchizm w tona Polski i tem podała ją w letarg polityczny, który napródo dobrze myślący przeważnie chcieli zbrojną opozycją”. Z drugiej strony wszędzie tam, gdzie znajduje Dembowski choćby niki jakiś przeblysk po swojemu pojetej „idei wolności” — tam uderza w zbyt wysoki ton pochwały i uwielbienia. Tak się dzieje np. w Klonowiczem i Orzechowskim, tak słuszniej już z Górnickim i Kołłątajem. W układzie książki mał kontrast pomiędzy bardzo daleko sięgającymi uogólnieniami we wstępach do poszczególnych okresów — a suchem, bibliograficznie wylizaniem dzieł z wszelkich dziedzin piśmiennictwa, bo i nauk ścisłych sztuki wojennej, gospodarstwa i t. p. akcentowanie przy każdej sposobności tego, co autor uważa za istotę literatury — a niemietliwość w wyudatnieniu rozwoju tej idei i jej poszczególnych etapów. W szeregach znajdujemy naturalnie i tu, jak we wszystkich pracach Dembowskiego, uwagi i spostrzeżenia trafne i głębokie, uogólnienia bystre, charakterystyki przenikliwe, np. szlachty, pieśni ludowych, twórczości Reja, reformacji, stanowiska i znaczenia Mickiewicza, który „stwarza nową literaturę i nowemu życiu Polski daje początek” i t. p. Cenić musimy postać „Piśmiennictwo” Dembowskiego jako jedną z pierwszych prób traktowania dzieł literatury z jakiegoś stanowiska ogólnego, która na He ówczesnego stanu tej nauki u nas wyróżnia się, bądź co bądź, ujęciem tematu, związaniem literatury z życiem narodu i dążnością do szukania się w niej (a raczej narzucania jej) pewnych tendencji ogólnych.

Z „Piśmiennictwem polskiem w zarysie” kończy się właściwa działalność pisarska Dembowskiego. Odąd poświęcił się on wyłącznie pracy rewolucyjno-agitatorskiej. Jako członek komitetu

poznańskiego Towarzystwa Demokratycznego wysłany zostaje do Galicji (z początkiem r. 1845) celem zorganizowania tej dzielnicy pod hasłem Centralizacji. Działa jednak właściwie na własną rękę, jego gwałtownie do powstania i przedstawiając w Galicji sprawę tak, jakoby dwie pozostałe dzielnice Polski były już gotowe do wybuchu. Agituje zawzięcie i z poświęceniem się wśród wszystkich sfer społecznych, w krótkim też czasie udaje mu się poruszyć nawet szlachtę i nieufną szlachtę. Rozpłynony żądza czynu, przekonywany zwycięcie o tem, że „kraj się już pali”, a nie zdając sobie sprawy z tego, że to właściwie pali się tylko jego serce — popada nawet w konflikt z komitetem poznańskim, który bynajmniej nie myśli w rychłem powstaniu. Ale rzeczy zasły już podobno tak daleko, że wybuchu powstrzymać nie można było. W Galicji wszechodnie stał się słumiony przez masowe aresztowania w lutym 1846 roku, w zachodniej przez rzeź — jedynie Kraków powstaje i przychodzi ku sobie tych, którzy zdołał ująć przed aresztowaniem lub nętem chłopskim. Wśród nich znajduje się przedewszystkiem Dembowski. W ogniu rewolucji czuje się jak w swoim żywiole. „Zdołał być” sam jeden Wielicki, poczem przybywa do Krakowa i staje przy boku „dyktatora” Tyszkowskiego, udaremnia „zamanach stanu” Wierzyńskiego, zakłada klub rewolucyjny, w których usprawiedliwia wrogość stanowisko Rządu Narodowego, w których usprawiedliwia wrogość stanowisko chłopów, i redaguje odezwy w jego imieniu Wierzy bezustannie i ślepo w powodzenie sprawy — nie daje się zmieszać ani zachwiał obawem. Myśli wciąż o pozyskaniu ludu dla powstania i chce na oddziałach przez duchowieństwo. W tym celu organizuje w dniu 27 lutego 1846 r. uroczystą procesję z Krakowa przez Podgórze w kierunku Wieliczki. Sam idzie na jej czele, w sukmanie, z krzyżem w ręku w asystencji 30 „dachownych” i tylny uzbrojonych strzelców.

Procesja ta jednak spotyka nie chłopów, ale wojsko generała Gollina, który zdołał już zająć rynek krakowski. Dembowski zostaje uwieczony i rozbrojony — chce się uwolnić, wyrwa jednemu z prowadzących go żołnierzy karabin — „w tej chwili zostaje jednak przez żołnierza, postępującego za nim, przesyry kula, pozbawiam, po upadku na ziemię, przybitu jeszcze trzykroć bagnetem”¹⁾.

Tak zginął ten młodzieńcze 24-letni, jedna z ciekawszych postaci w historii naszych walk poroborobowych. Gdyby był pożył dłużej i mógł pracować w normalnych warunkach, pozostawiłby po sobie niewątpliwie dzieło trwałe i cenniejsze, niż tylko kilkanaście artykułów i jedną książkę o literaturze. Umysł jego bogaty, wspany i wszechstronny stałby się na podejmowanie zadań trudnych i domiosłych. Ale i to, co pozostało, co zdołał gorączkowo wyznaczyć z siebie w przeciągu kilku lat zaledwie intensywnej pracy,

¹⁾ M. Stecka: „Edward Dembowski”, str. 50.

przedstawia niemalą wartość dokumentu kulturalnego z 4-tego dziesiątka lat ubiegłego wieku. I nie tylko dokumentu. Są w spisie licznie piśmienniczej Dembowskiego pomysły, poglądy, rzuty myśli, ujęcia i syntezy, mające wartość trwałą, a cała jego postać po zostaniu w dziejach jako wcielenie młodości, zapалу i entuzjazmu.

BIBLIOGRAFJA.

Artykuły Dembowskiego:

A. W „Przeglądzie Naukowym” z lat 1842 i 1843: „Wstęp”. — „Stanowisko wielkowiec brańskiejszy”. — „Wiedza i świat”. — „Oraz układu wiedzy”. — „Pedro Calderon de la Barca”. — „O różnych dątkościach w piśmiennictwie naszym”. — „Rozbiór i porównanie dzieła Ryszarda Savage Gutzkova i Torkwata Tassa Göthego”. — „Rys rozwinięcia się pojęć filozoficznych w Niemczech”. — „Wiadomość o poezji hiszpańskiej w początku XIX stulecia”. — „Piśmiennictwo powszechna”. — „Jan Nepomucen Kamiński”. — „Ułami z badań o umiactwie”. — „Morena i pojęcia estetyczne”. — „Uwagi nad źródłami do badań dzi-jowych”. — „Odczyty berlińskie Schellinga”. — „Myśli o rozwinięciu się piśmiennictwa naszej w XIX stuleciu”. — „Rzuty o wychowaniu osób pojedynczych i ludów według filozofii stanowiska twórczości czyli samorodnej polskiej”. — „Twórczość jako żywioł samorodnej naszej polskiej filozofii”. — „Stanowisko przyszłości filozofii. Filozofia samorodna polska czyli stanowisko twórczości w filozofii”. — „Pozatem wiele innych, drobniejszych, rozpraw, recenzji, przekładów, wierszy i t. p.; podpisywane są najczęściej literą „D”, czasem „E” — często zupełnie nie podznaczone w tekście, tylko w spisie rzeczy.

B. W „Tygodniku Literackim” (poznani-kim) z r. 1843: „Notatki z podróży”. — „Twórczość w żywocie społeczności”. — „Wyjatek z Pomysłów do wiedzy umiactwa”. — „Kilka myśli we względzie rozwijania się dziejów i życia społecznego Polaków”. — „Młoda piśmiennictwo warszawska”. — „Djaból polski”. — „Pozatem „Poezja” i trywek z tragedji „Twardowski”.

C. W „Dzienniku Domowym” z r. 1843: „Obrazki i szkice” (przez E.); z roku 1844: „Z notatek warjata” (przez Dem.); „Pieśń kuzynka” (pod artykułem podpisane „E” — w spisie rzeczy zaś „D”).

D. W „Roku”: „Kilka myśli o eklektyzmie” (1843). — „O dramacie w dzisiejszem piśmiennictwie polskiem” (1843). — „Sprawozdanie z piśmiennictwa polskiej w ciągu 1842 roku” (1844). — „O postępkach w filozoficznym pojmowaniu Bytu” (1844). — „Myśli o przyszłości filozofii” (1845). — „O dążeniach dzisiejszego czasu” (1845). — „Piśmiennictwo polskie w zarysie”, Poznań 1845.

LITERATURA.

Chmielowski Piotr: D. E. (Wielka Encyklopedia Ilustrowana). — Tenże: „Metodyka historii literatury polskiej”. — Tenże: „Dzieje krytyki literackiej w Polsce”. — Tenże: „Historja literatury polskiej”, tom V. — J. Bartoszewicz: „Historja literatury polskiej”, tom II. — Sfinks (Skimborowicz): „Gabryjela i Entuzjastki” (Bluzecz 1880). — Jarochoński: „Literatura poznańska”. — M. Stecka: Edward Dembowski, Lwów, 1911. — Karwowski: „Wspomnienia” (Biblioteka Literacka 1911). — Struve: „Historja logiki jako teorii poznania w Polsce”, Warszawa 1911. — Bolesław Limanowski: „Historja ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 r., Kraków 1913. — Ponadto recenzje o „Piśmiennictwie polskiem” w „Orędowniku Naukowym”, 1845 i w „Roku” 1845.

Twórczość, jako żywioł samorodnej, naszej polskiej filozofii.

(„Przegląd Naukowy”, 1843, tom I, str. 300—315)

Biada krajowi i ludowi, który, szukając prawdy na drodze myśli, stara się o samorodność pojętą fałszywie! Cóż zrodzi myślenie tego ludu? Dziwoląga jakiegoś, potwora, bez myśli, bez prawdy, ciemnotę!

Biada krajowi i ludowi, który, szukając prawdy na drodze myśli, nie stara się o samorodność, nie stara się wypelnic postannictwa swojego, lecz pierworznych lepszych żywiołów się nie opieka, — myślenie jego zrodzi ciemnotę!

Jeśli chcemy więc działać w dziedzinie myśli, winniśmy, w jej żywiołem samorodności krajowej — poznać, a nie ludzić się pozorem i nie brać mniemań stroniatć, wyrożeń koteryj-szych, lub zdań kast, za myśli i samorodność ludu, — lecz pamiętać winniśmy, że myśli ludu w sercu ludu drzymie, że tam jej szukać należy.

Lecz jakież ma być postępowanie myślącego? Czyż chcąć poznać filozofję i prawdę, chcąć wiedzę rozwijać dalej, jest przykutym do ludu, z którego bierze początek? Czyż całe jego kształtowanie tak nędzne będzie, iż tylko iskrę, co dawno pada w amysłach ogoła, rozbudziwszy, nie jej własnego nie doda? — a choćby i dodał! jakże on jeszcze małym będzie, jak nikczem-nem całe jego myślenie! Wszak on nic nie stworzył i on będzie

tylko warjały do danego dopisywał temat; a temat? ten nam dany, od tego nie godzi mu się na krok odstąpić! — o takie postępowanie niegodne jest myślącego! Wycinaż zdań i myśli cudzych, kompilator niechaj tak postępuje; będzie on tylko wypisywaczem i przepisywaczem i niczem więcej; dla samorodność, to wierzytelną odpis z kronik albo opisów obyczajowych; gdy go naród usłucha, gdy uwierzy, że on samorodne jawi żywioły, przesłanie mieć własną istność, nie ożywi go młodzieńcze technienie, będzie sam własnym kompilatorem i bładzi ludowi, co się musi, niepomny, że jest ludem, niepomny własnej godności, aż do kompilatorstwa poniżać!

Więc jakżeż ma być postępowanie myślącego? Oderwał się od świata; z siebie, własną potęgą stworzyć? Lecz cóż z ludową stanie się samorodnością? Cóż z pracą wieków ubiegłych? Czyż nato historia olbrzymią swoją rozwijała i rozpojawiała istność, aby być zabawką szperaczom starożytności? czyż dla tego dzieje istniały, aby pierwszy lepszy, któremu się zamarzyło, aby też jak i inni pomyślał, mógł z nich się bezkarnie wysmiewać? Nie! nie! nie można więc z siebie tworzyć, ni z żywota ludu kompilować filozofii; jakąż drogę obrać, gdy się uczuje potrzeba filozofii własnej, gdy się zapagnie, aby wiedza, ów zar najgorętszej miłości od mrozu czasu w bryle lodu nie stężał, lecz postępował, rozwijał się? W czym żywał, w czym popęd dla wiedzy?

Postępowania, o których nadmieniliśmy, nie były i nie mogły być dostateczne, jedno było podmiotowe, drugie przedmiotowe; postępowanie bezwzględne może nam tylko być rekonią dojścia do prawdy i samorodności indywidualnej i narodowej pomysłów filozoficznych, lub zresztą jakich bądź innych; lecz w czemże owa bezwzględność postępowania polega? Zaiste! na łączeniu w stroju jedność postępowania podmiotowego z przedmiotem. Nie odrzucającż pracy wieków ubiegłych, przyznajmy prawdy, uznane przez przeszłość i społeczeństwo, lecz i osobowości naszej skrzydła nie wylamyjmy, nie zniżajmy się do przepisywania faktów danych! Jakąż drogą, by tego dostąpić? Nie lekceważmy pracy wieków. Obłędny szczyty, do których się wzbili wszyscy Mądrycy przeszłości, zostawmy pracownikom ich uczniami, a gdy ich wiedza naszą wiedzą się

stanie, spojrzmy w siebie, i z siebie po swojemu, ich wiedzę, która już dla nas jest prawdą, rozwijajmy, a staniemy na drodze bezwzględnego postępu. Zgoda! Lecz cóż się natenczas z samorodnością filozofii jako krajowej stanie? Czyż nie będziemy jak pseudofilozofia p. Bejły radzi, wiedz ze statutów i praw naszych wystrzygali, by krajową była?

O nie! pominiemy te zbłąkania! Filozofia samorodną wten sposób dla kraju będzie, gdy będzie filozofią z charakterem ludu krajowego; o resztę możemy się nie troszczyć. W rozumieniu p. Bejły, do filozofii krajowej należałyby także zdania: „Non ad vinum nisi hungaricum, albo się bij, albo pij!“ i. t. p., ale niewyklenia, obyczaje, nawet prawa narodu, o ile nie są z bezwzględnością zgodne, nie są bynajmniej istotą narodową. Filozofii samorodnej pragniemy, lecz jeśli w niej mamy znaleźć oświecenie wszytkiego, co w bycie naszym było stanem ciemobliwym, to poniżmy i wyraz Samorodność, i wyraz lud i wyraz Filozofia.

Samorodność filozofii nie z obyczajów płynie, nie z praw obyczajowych, ale z istoty narodu; były obyczaje z którychbyśmy powstałą filozofię wyprowadzili¹⁾, były i prawa takie²⁾; ale istota narodu jest zawsze cnotą, jest prawdą. Cóż tę istotę sławę? Czyż owe smętne dumki, czyż skoczne krakowiaki?

Twórczość! odpowiadamy naprzód. Przypatrzmy się ludowi, przypatrzmy mu się, jakim jest, jakim był kiedyś, jest podstępny, otwarty, szlachetny, wesołość jego nawet w nędzy i śledoli jest do podziwiania, tęskność wyobraźni, barwność, często serdeczność i prostota są jego wybitnymi znamionami, uczuciami zniechęcenia, wyrażające się w lenistwo, w niepoprządek, w pijaństwo; lecz te znamiona nie są kmięciowi narzeczem z innymi, mianowicie słowiańskich, kraiń mieszkańcami polnie? Czyż nie przypominamy sobie żadnego rysu, nam tylko sławieckiego? — Jest nim dziarskość, a dziarskość jest tem w dziedzinie żywota, czem w dziedzinie umysłowej twórczość. Rozważmyż, azali słusznem jest wysnućie naszej myśli.

¹⁾ Np. zwyczaj zaślubiania córek bez zapytania ich woli, lecz jedynie według wyboru (ciężo jedностroicznego) rodziców.

²⁾ Prawa, nie uznające bytu chłopów, a nadające przeważnie przywileje szlacheckie.

Któryż lud ma dziarskość, równą naszemu? któryż ma słowo, toż samo wyrażające? Czyż nią nasz taniec narodowy mazur, czyż nią nasz krakowiak nie oddycha? W piosenkach ludu, nie tyle spólny wszystkim Słowianom żywioł rzewności jest rozwinięty, niżli ta nam właściwa potęga wesolego, a jednak poważnego uczucia, ta sama wiedza własnej potęgi? Nie sądzimy bowiem, aby właściwie dziarskość była wyciuciem się ze smętnego uczucia, jest to uczucie swojej wyższości, swej najwyższej mocy ducha, które pewną swobodą, pewnym uśmiechem, w pół poważnym, w pół bolesnym opromienienia istotność naszą! Jesteśmy w biedzie, dzień cały trzeba pracować, a jednak my wyżsi nad tę niedolę! praca, ciężka praca rozkoszą naszą! Nie mamy pałaców, nędzna chata rzewnej nie posłucha skarg, pieśń piewcy ludu ani ma podobieństwa do jakiejś rozpazy, jest w niej smutek, jest rzewność (w dumkach ukraińskich najwybitniejsza), ale nad te żywioły wyższym jest żywioł uznania własnej godności; muzyka, pieśni, podania i tańce nasze — to uosobiona dziarskość! Gdy wieczorny nadejdzie taniec, spojrzcie, jak przy nędznej łożówce, w ciasnej izbie karczmejnej, rznie skrzypek! spojrzcie na pary tych chłopaków, co dzień cały cepem bili lub sochą dźwigali, na te smagle dziewczyny, które dzień cały dzięki ziemię łopatami rzucały dzień cały, ba! żywot cały w pracy im upłynął, a jak teraz krążą po chropowatej podłodze karczmejnej! w jakim wirze uniesień wesolych! w jakim serdecznym żywocie. O wiecież mi! więcej tam poezji w tym żywocie, niż w wielu naszych wierszowanych księgach! a duszą tego wszystkiego dziarskość. Zresztą, że ta jest istota ludu naszego, dość go znać, by być przekonany. Nawet sam piewca smętnych dumek, kozak, gdy wykrzyknie: „Hej, ja kozak z Ukrainy!” a tupnie nogą! zniste nie będziecie wątpili że i on dziarski, że innym być nie może! Jednym z rysów wybitnych i charakterystycznych i to zdarzenie, które tu przytoczymy; tyle wzniosłych rysów ono zawiera, a duszą jego jest dziarskość, któż w niem charakterystyki naszego ludu nie pozna?

Następnie opowiada autor o bohaterskim czynie pewnego parobka, imieniem Michal, który uratował życie swemu rywalowi, rzucając się bez namysłu w nurty Wisły.

Jeśli dziarskość za istotę charakteru ludu naszego uznamy, jej jedność z żywiołem, który zowiemy twórczością, nie jest trudną do okazania, bo z samych orzeczeń (definicji) obu już wypływa, że czem ta w dziedzinie umysłowej, tem ta jest w żywocie praktycznym, zastosowanym, w żywocie takim, w jakim nasz lud się rozjawa...

Piśmiennictwo polskie w zarysie.

(Poznań 1845)

(Pozostałe zamieszczamy rozdział wstępny, w którym autor określa swoje stanowisko ogólne oraz podaje plan i rozkład swojej pracy.)

Pojęcie piśmiennictwa. Narodowość w piśmiennictwie. Znamie główne piśmiennictwa polskiej. Język. Stosunek literatury polskiej do piśmiennictwa słowiańskich. Stosunek ich dziejów i języków. Poddział.

Str. 1—9.

1. Żywot narodu jest osiągnięciem przezeń coraz wyższego stanowiska, pojmowania i zrzeczywiczczania wolności. Według tego życia narodu rozpada się na życie jego umysłowe, to jest wyrabiające pojmowanie coraz wyższe wolności, i na życie jego społeczne, zrzeczywiczczające wyrobione w żywocie umysłowym pojmowanie. Życie społeczne uoznaczonione jest więc życiem umysłowym narodu, stopniem rozwoju, który naród osiągnął w umysłowości, w wyrobieniu pojmowania wolności. Życie społeczne pojawia się w stanie społecznym narodu, w nim się rozwija, a wypływem jego jest oznaczenie stosunków prawnych i politycznych w narodzie, są instytucje i ich rozwijanie się, kierunek i rozległość oświaty. Rozwój społecznego stanu w narodzie, czyli czynowego życia narodu, rozważają i wystawiają dzieje. Rozwój przeciwnie żywota umysłowego narodu czyli pojmowania coraz wyższego przezeń wolności, wyraża się w słowie mówionem lub piśmie, a ciąg tego rozwoju jest literaturą czyli piśmiennictwem albo piśmiennością narodową. Rozwaga istoty pojawów piśmiennictwa, z wykazaniem ich następstwa, jest historją literatury.

2. Jak różnicę narodów stanowi narodowość, czyli właściwy kierunek, w jakim naród rozwija wolność, albo właściwie poję-

cia wolności, np. miłość, równość, jedność i t. d., które głównie naród rozwija, tak różnicę życia społecznego i umysłowego, czyli dziejów i piśmiennictwa narodów, stanowi narodowość odbita w tychto konarach.

3. Narodowość, a zatem i właściwość dziejów lub piśmiennictwa narodowego, może być wywiedziona z poznania ubiegłego żywota narodu, bo w tem charakteryzuje się naród pojawami swego ducha. Stąd przed przejrzeniem dziejów nie można udowodnić, że prawdziwym jest żywot społeczny; przed przejściem piśmiennictwa nie można wywieść właściwości żywotu umysłowego, którybyśmy uznali za składowy pierwiastek jakiegos narodu. Chcąc podać charakterystykę i znać główne piśmiennictwo naszego, musimy je podać bez dowodu, a dopiero cały ciąg literatury sprawdzeniem być może i dowodem wyzrzenia naszego. Głównym żywotem piśmiennictwa polskiego jest miłość całości narodu, to znamy równie jak w każdej społecznej instytucji, jak w każdym dziejowym fakcie się odbija, tak i w każdym dziele. Miłość całości narodu rozwija się w literaturze, nadaje jej kierunek, uoznacznia przebieg, sama się na coraz wyższy stopień wzbija i rozprzestrzenia. Dlatego też pojęcie narodu, za który, nie wyrobivszy go, brano szlachtę, dziś przychodzi do pełni, i pod narodem już tylko całość ludu rozumieć można.

4. Literatura, wyrażając się w słowie mówionem lub pisanem, ma za rozległe powa swego język, rozwijający się i kształtujący w stosunku rozwoju literatury i zależnie od jej postępu. Język ze zdobyciem nowych myśli w narodzie oddaje je nowymi zwrotami i nowemi maluje odcieniami.

5. Stosunek dziejów, literatury i języka polskiego do tychże w innych narodach jest oznaczony w stosunku odpowiednich narodowości, czyli jakości rozwijanych przez narody oblicz pojęcia wolności. W tym względzie uderza szczególniej pokrewność narodowości polskiej narodowością innych ludów słowiańskich. Duch dziejów i życia społecznego, zwrot myśli ku jednalmu przedmiotowi jednaki sposób pojmwania, pobratymstwo języków, zbliżają bardzo narodowość polską do narodowości każdego ze słowiańskich ludów. Lecz to zbliżenie niknie coraz w miarę rozwijania się żywotów indywidualności

w narodzie każdym, i dopiero wtenczas znowu nastąpić może, kiedy ludy słowiańskie, wyrobivszy się, przyjdą do rozwijania każdy w swoim żywocie, niezależnie, wielkiej jakiejś idei, brającej narody słowiańskie, lecz nigdy nie zlewającej je w jedną całość, lub pragnącej sferalizować i zbliżyć w życiu politycznym pierwiastki różnorodne. Tę myśl wielką, mającą zająć i zbratać zbliżoną do siebie, odrębne i samodzielnem wyrobieniem indywidualności w narodach, słowiańską spółkę, podziwignęła Polska. Wyraziła ją w dziejach swoich, w stanie społeczeńskim i w życiu umysłowym. Przeciw niej jednak stanęła myśl inna, wbrew przeciwna duchowi polskiemu i słowiańskiemu — myśl panslawizmu, to jest zamalgamowania w jedną eklektyczną całość żywotów różnorodnych, zbliżonych do siebie ledwie mechanicznie, żywotów, przenikających całą Słowiańszczyznę. Myśl polska i myśl panslawizmu rozwijając się, wzbijając do coraz wyższych stanowisk, ścięrały się wielokrotnie, przeważały, zwyciężały nawzajem. Cała Słowiańszczyzna brała i bierze udział we walce, od której wypadku zależeć musi przyszłość Słowian, rozwiązanie zadania, czy uspołecznienie, wsparte na oświacie europejskiej, czy też na barbarzyństwie hord tatarskich, zależnie Słowiańszczyznę. Ten punkt jest bardzo ważnym zbliżenia się narodowości, dziejów, literatury i języka Polski, do odpowiednich Czech, Słowaków i t. d.

6. Dzieje, stanowiąc jeden ciąg, równie jak życie, nie mają rzeczywistych poddziałów. Podobnie dzieje się z piśmiennictwem. Jednak równie w życiu indywidualnego człowieka, jak w życiu narodów, napotykalmy coraz zmienne odcienia, coraz inne stanowiska. Wedle tych dzieje i literatura podzielane być mogą: na okresy, epoki i t. d. Poddziały te, chociaż nie istnieją rzeczywicie, nie są nieprawdziwymi, bo na jakiejś zawsze oparte są odrębności. Równie dzieje jak piśmiennictwo polskie okazują trzy główne epoki: epokę przed wprowadzeniem chrześcijaństwa, epokę od przyjęcia chrześcijaństwa aż do upadku szlachectwa w Polsce, wreszcie trzecią, dzisiejszą epokę czysto polską, w której duch narodowy rzeczywicie się wyrybia.

Epoka pierwsza może być nazwana słowiańsko-polską. W niej Polska rozlewa się w ogromie Słowiańszczyzny, nie

wyosobnia się w naród stały, odrębny. Dopiero wędrówki ludów naginają społeczeństwo do zawiązania się w całość, mniej na gminności słowiańskiej opartą, więcej do narodu zbliżoną. Partie Niemców z zachodu, wskisnie się chrześcijaństwa i niedostateczność uspołecznienia bezpośredniego, wyrabia indywidualność narodową. Polska staje się osobnym, w części schrzęścianionym narodem, przyjmującym w łono swe instytucję wojenną rycerstwa, mającego wodza, nazywanego królem.

Partie instytucyj i wyobrażeń zachodu, rozerwany interes kościoła i państwa, a w wnętrzu państwa samego sprzeczne interesa szlachty i ludu, króla i szlachty ścierają się, równoważą i, walcząc, stanowią pochodń dziejów. Wreszcie zwycięża żywioł szlachecki i wtenczas zakwita naród potęgą, oświatą i piśmiennictwem. Żywioł jednak opromienający naród, nie jest czysto polski, nie wychodzi ze serca narodu, ale z jego części, w demokratyczną uorganizowaną kastę, ze szlachty. Stąd epoka ta nie jest polską, lecz szlachecko-polską, albo, jakbyśmy ją nazwać chcieli, łacińsko-polską, ze względu, że oświata łacińska i obrządek łaciński głównie upiętnowały istotę szlachty.

Żywioł szlachecki i oświata łacińska uległy wkrótce zepsuciu, rozwinięte skarlłowaciały. Szlachta dała się intrygami możnych owładnąć i fanatyzmem zaślepić — literatura upadła. To znużenie literatury zaczyna się od początku XVII wieku, jej świetność trwa przez wiek XVI, do tego zaś czasu od wieku XI wyrabiła się równie społeczność jak piśmiennosc polska. W połowie wieku XVIII żywioł łaciński i katolicyzm zostaje podcięty w szlachcie przez żywioł francuski, wiskający się mianowicie do wyższych warstw społeczeństwa. Starcie się dwóch obcych żywiołów wyniszcza je obadwa. Szlachta sama zaprzecza swoją istotę, przyjmując króla obieralnego; — literatura staje się czystem naśladownictwem francuskiego klasycyzmu.

Dopiero w początku wieku XIX budzi się duch polski. Z zawiąaniem Napoleona zaczyna literatura w poetach legjonistach, oraz w Brodzińskim, zwracającym myśl do ojczyści, przeczuwać swoje rodzime stanowisko i ducha czysto polskiego, który wyspiewany przez Mickiewicza, a przepracowany umiejętnie przez myślicieli-mistrzów narodu, wzbija się dziś nad

całym narodem — jako brząsk narodowej oświaty, samodzielności i potęgi.

Taki przebieg ducha narodowego, w pojawianiu jego umysłowości, oznacza poddziały, które przyjmujemy, i usprawiedliwia je. Dzielimy piśmiennictwo polskie na:

- a) Epokę pierwszą. Zabytki najdawniejsze języka i pieśni, pomaliki przedchrześcijańskiej Polski, do r. 1000.
- b) Epokę drugą. Od r. 1000 do 1820. Oświata łacińska w Polsce.
- c) Podokres pierwszy. Od r. 1000 do r. 1500. — Epoka wznoszenia się i wyrabiania piśmiennosci.
- d) Podokres drugi. Od r. 1500 do r. 1600. — Epoka świetności literatury.
- e) Podokres trzeci. Od r. 1600 do r. 1770. — Epoka znużenia literatury i jej zupełnej czczości.
- f) Podokres czwarty. Od r. 1770 do r. 1820. Epoka naśladownictwa francuskiego klasycyzmu.
- g) Epokę trzecią. Od r. 1820. — Rodzimosć literatury.
- h) Podokres pierwszy. Od r. 1820 do r. 1825. — Budzenie się poezji narodowej.
- i) Podokres drugi. Od r. 1825 do r. 1830. Mickiewicz i przezeń wzniesiony duch polski do samodzielności.
- j) Podokres trzeci. Od r. 1830 do r. 1844. — Wyrobinie się myśli narodowej we wszystkich kierunkach i rozpoczęcie życia samodzielnego, umysłowego w narodzie.

KAMIEŃSKI HENRYK.

(1812—1865).

Jednym z pisarzy, wgardliwie zwykle przez historyków literatury pomijanych lub opacznie przez nich pojmowanych i z uprzedzeniem traktowanych, a który na to nie tylko bezwarunkowo nie zasługuje, ale którego, przeciwnie, należy się z honorami wprowadzić w szereg tych duchów Polski wychodzącej, z pomroki przeszłości przez pisma swoje nam przyświecających — jest autor „Prawd żywych” i „Katechizmu demokratycznego”. Wspominali o nim ze zgrozą, potępkami nieraz, ci, którzy się twórczością Krasieńskiego i Stowackiego po r. 1840 zajmowali, gdyż dla nich jest on jakby widmem czerwonym, złowrogim z przeszłości wyglądającym (Małocki, Tarnowski, Treliak), a ci, którzy go bez uprzedzenia czytali, nie uważali za właściwe odrzucić na tego pisarza uwagę badaczy i miłośników literatury; rehabilitacji bowiem on nie potrzebuje. Ci, co go dziś jeszcze potępiają, nie wiedzą może, że ten sam Krasieński, który, gdy pisał swe „Psalmy”, odzyskiwał się od Prawdowskiego, jak od straszdyka, jak od wielonego Pankracego, złożył na później hold jako pisarzowi i patriocie. Prawomyślni religijnie wzdrygli się doniedawna na samo wspomnienie o Towiańskim, bo zamroczył jakoby umysły Mickiewicza, Stowackiego, Goszczyńskiego; prawomyślni społecznie wzdrygają się podobnie na wspomnienie o Prawdowskim, ale żaden z nich nie spróbował zgłębić lub chociażby bliżej poznać wyklinanego; Towiańskiego dopiero niedawno zaczęto bez uprzedzeń badać i wpływu jego na umysły wyjaśniać; czas już oddać sprawiedliwość i Kamieńskiemu¹⁾.

Urodzony w r. 1812 w Warszawie, był synem Henryka Kamieńskiego, napoleończyka, który brał udział w ataku na Samo-

siera, a w r. 1831 już generał, poległ pod Ostrołką. Matka, Kochanowska z domu, była córką kasztelana, który ród swój wywodził od Jana z Czarnolasu. Miała to być kobieta umysłowo niepospolita; przeżywała ją też warszawska Korynna, matka Edwarda Dembowskiego była jej siostrą; był więc Kamieński ciętym bratem, o 10 lat młodszego od siebie Dembowskiego. Do szkół chodził w Warszawie. W r. 1831, jak podaje biograf Kamieńskiego, Limanowski, zaciągnął się do 4-go pułku ułanów; następnie został przeniesiony do sztabu gen. Skrzyneckiego i pełnił przy nim obowiązki adjutanta. Za waleczność został odobiony krzyżem *Virtuti militari*. Raniony w nogę podczas bitwy pod Warszawą, znajdował się w szpitalu w Modlinie, w chwili, kiedy wojsko rosyjskie wchodziło do tej twierdzy. Po zagojeniu się rany otrzymał pozwolenie powrotu do domu rodzinnego, ale oddano go pod nadzór policyjny; osiadł w majątności swej Rudzie, w Chełmskiem, nad Bugiem. Po pewnym czasie, zapewne kiedy czynność policyjną zmniejszyła się, znalazł się Kamieński znowu w Warszawie. Wraz z Dembowskim wstępuje do powstałego w r. 1839, po wykryciu Świętokrzyców, Związku Narodu Polskiego, którego celem było wywołanie powstania; wybuch miał nastąpić na wiosnę r. 1844. W jesieni r. 1843, gdy Dembowski, zagrożony aresztowaniem, uciekł w Poznańskie, Kamieński objął kierownictwo Związku. Ale już pod koniec r. 1843 połączył i Kamieński w Poznańskie. Co zmusiło go do nagłego opuszczenia Królestwa Kongresowego, czy niebezpieczeństwo, grożące jego osobie ze strony tropiącej Związek policyjii warszawskiej, czy też, jak sądzi Limanowski, gorące pragnienie swobodnego wypowiedzenia swych myśli — niewiadomo.

Jeszcze przed wyjazdem w Poznańskie, Kamieński oddawał się studjom nad filozofią niemiecką i naukami społecznymi. Myśli swe rozwijał na zebraniach grona entuzjastów i entuzjastek, z Zmirowską na czele, do którego wraz z Dembowskim należał, a które skupiało się około „Przeglądu Naukowego”, wydawanego przez Dembowskiego, a redagowanego przez Skimborowicza. W „Przeglądzie Naukowym” ogłasza kilka rozpraw treści filozoficznej i społecznej; do filozoficznych należą: „Twórczość jako byt” (1843), „Myśl, więc jestem. Tworzę, więc jestem” (1843), i „O filozofii w ogólności i systematach filozoficznych” (1843) i „O filozofii praktycznej czyli o filozofii czynu” (1845). W rozprawach tych, jak i w głównym swem dziele filozoficzno-społecznem, p. t. „Filozofia ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa”, jest pod przemożnym wpływem filozofii niemieckiej, t. j. właściwie filozofii Hegla, ale nie poddaje się jej bez zastrzeżeń. Zdaniem Kamieńskiego jest ta filozofia zanadto abstrakcyjna, dlatego więc nie może przejść w istotę naszego narodowego pojęcia²⁾. Odrzuca zatem jej założenie „myślę więc jestem”, a przyjmuje inne „tworzę więc jestem”, próbuje stworzyć „filozofję praktyczną, filozofję czynu” —

¹⁾ I p. Kleiner („Zygm. Kras.”) zajmuje się naturalnie Prawdowskim o tyle tylko, o ile on wywołał powiew obaw w twórczości Krasieńskiego lub wywarł na poglądy jego wpływ; i on jednak, pomimo że sumiennie przestudjował „Prawdy” i „Katechizm”, nie utrzymuje się sądszenia o Prawdowskim z punktu widzenia moralizatorskiego (II, 142).

taka tylko, zdaniem Kamińskiego, może być „odpowiednią naszą narodowości”, taka dopiero bowiem filozofia „w naszych umysłach znaleźć potrafiła oddźwięk powszechny” (zob. przedmowę do „Filoz. ekon. mater.”).

Z tego stanowiska wychodząc, rozwija Kamiński na polozu filozoficznym swój system ekonomii politycznej, czyli, jak ją nazywa, „materjalnej”, w „Filozofii ekonomii materjalnej ludzkiego społeczeństwa”. W dziele tem Kamińskiego jest widoczny pewien wpływ teorii St. Simona, poczęszsi Comte'a, ale całosc jest, jak twierdzą ekonomici nasi, „traktatem samodzielnie przemysłowym, który postawił można obok najlepszych z literatury europejskiej XIX stulecia”. Zasadnicze myśli Kamińskiego rozwijał jego uczeń, Edward Dembowski, w artykułach swych w „Przeglądzie Naukowym”. Zbiór rozumowania Kamińskiego Libelt w „Filozofii i krytyce” (I, 1845), dowodząc, że nie schodzi on właściwie ze stanowiska filozofii niemieckiej. Mniejsze już znaczenie mają artykuły ściśle społeczne Kamińskiego, w tym samym czasie, co filozoficzne, ogłaszane w „Bibliotece Warszawskiej” (1842) i w „Przeglądzie Naukowym” (1843) („Uwagi nad stanem włosci i produkcyj krajowej” i inne).

Jednocześnie z „Filozofią ekonomii materjalnej” obmyśla i opracowuje Kamiński główne swe dzieło, książkę, która wielkie wrażenie i wielki wpływ wywarła nietylko na zapalną młodzie, ale nawet na umysły dojrzałe, samodzielnie i niepospolite (Krasziński, Stowacki) — „O prawdziwych żywotnych narodu polskiego”. Kończy ją w Poznaniu, drukuje w Brukseli (1844).

Na wstępie, w „Dedykacji do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego”, zwracając się do tego zgromadzenia, woła Kamiński: „Ojcowie polskiej sprawy! to wasz uczeń, wasz wychowaniec do was się odzywa i składa przed wami swoją pracę w dowód czci i uwielbienia. W latach trzulecia i niedoli wyście myśli ojczyzny pojęli i kształcili na rozmiary narodowej potęgi, *myśli ludową*, która wyście ujęli istotę naszej narodowej potęgi, *myśli ludową*, która jedna zdolna przywrócić nam nasze siły, wznieść je do najwyższej dzielności; wskazaście i oocicie masę Polski dotąd martwą i bezwładną. Postawiliście kamień węgielny wszelkiego dalszego narodowego kształcenia; na nim wspierać się musi, kotołkolwiek rękę do sprawy przyłoży, a wasza dzieło jest nieśmiertelne i eozar do tej wznosić się będzie. Rzuciliście ziarno, które nie pada na nie wdzięczną rolę; napozegliście kwestię żywotną, która o własnej sile musi się rozwijać, a naturalny jej postęp powszechnosc Polski ogarnie. Wy, wskazyściele postępu narodowych wyobrazeń, wybyście się pewnie oburzili na naszą myśl, aby podstrajając młodzi polska nie miała nic nowego do waszej budowy przyłożyć; aby daremnie następowało nowe pokolenie, nie nie przyjdące do tego postępu, którego wy jesteście twórcami. Postuchajcie więc, co mówię

oświecone natężenie i w jaki sposób pojmuje rzeczywistnienie ludowego przekształcenia naszej Ojczyzny... Składam przed wami tutaj czci i uwielbienia i w wasze zasady wstępuję; lecz wstępuję samodzielnie, bo ja prawdziwy wasz uczeń, a myśl wasza, tak jak każda myśl wielka i prawdziwa, samodzielnosc obudzać musi... i t. d.

Zasady swoje Towarzystwo Demokratyczne wykladało w szeregu broszur i artykułów, które ogłaszało w organie swoim, „Demokracie Polskiej”, a zwięzle je sformułowalo i wygłosiło w słynnym Manifestacie z r. 1836. Kamiński opiera się na tych zasadach, a nawet niektóre artykuły „Demokracy Polskiej”, ale rozciąga te zasady po swojemu, do czego, jak widzieliśmy, sam się przyznaje. Książkę swą Kamiński, urodzony propagator, napisał z ogromną siłą przekonania i wyrazu, która musiała podbić od razu młodzież epoki wiosny ludów. Dzieli ją na 3 części. W pierwszej składa hold Mauryemu Mochmackiemu, „wielkiemu nieśmierśelnemu, genialnej głowie”, jak go nazywa; ale nie jest ślepyim wielbicielem jego, jako działacza, ani jego poglądów polityczno-społecznych; krytykuje stanowisko jego wobec rewolucji społecznej, której był przeciwny, a bez której powstanie 1830 r., zdaniem Kamińskiego, udać się nie mogło; zgubiła ją nie kontrrewolucja historyczna i innych, lecz sami inicjatorzy powstania, którzy dopuścili do kontrrewolucji, a zaniedbali obudzić uspiąony żywioł. W części drugiej („Rozwagi nad obecnym stanem Polski”) Kamiński rozwija zasadnicze myśli swoje, „prawdy żywotne”, jak je nazywa, „narodu polskiego”. „Naród wielki nie mógł upaść, jak śmieciem własnej niemocy”. „Przyczyny upadku narodu w nim samym leżą, nie zaś w okolicznościach zewnętrznych”. Przyczyna naszego upadku nie był wadliwy ustroj państwowy, lecz usiek ludu; upadliśmy, bo nie umieliśmy porwać ludu, a mogliśmy to osiągnąć przez rewolucję społeczną, to jest przez uwłaszczenie ludu wiejskiego; przeciwko zasadzie zniesienia własności indywidualnej, jako niepraktycznej, Kamiński wstępuje; Edw. Dembowski, głosząc zasady komunistyczne, poszedł dalej od swego mistrza i do Towarzystwa Demokratycznego. — W rozdziale „Stanowisko i powołanie Emigracji w narodowosci polskiej” określa Kamiński jej rolę w społeczeństwie. Emigracja, odcięta od kraju i nie znająca stosunków, jakie się wytworzyły w kraju po upadku powstania 1830 r., nie może i nie powinna narzucać się mu na przewodniczkę w działaniach polityczno-społecznych; dotyczyło to i Towarzystwa Demokratycznego, jako części tej emigracji. Podzielał tu Kamiński zdanie Goszczyńskiego, wyrażone w artykule: „Główny żywioł demokracji polskiej” („Demokrata Polski” 1842), który znać musiał, oraz w Memorjałe jego do Towarzystwa Demokratycznego ogłoszonym drukiem dopiero w roku 1910 przez Z. Wasilewskiego).

Ale „Emigracji winniśmy *myśl ludową*”, powiada Kamiński dalej, „zupełnie dotąd nieznaną, ani szlachetko-miejskim powstanom. W imię teraźniejszości i przyszłości część wieczna Emigracji, która tę potęgą dźwignię krajowi podaje... Oto jest źródło święte władzy, jaką Emigracja sprawuje *de facto*, naginając i wyskakiwając jakoby wosk miękki narodowe pojęcia do postępowych kształtów, zapewniających nam świętą przyszłość... „Myśl ludowa, przez Towarzystwo Demokratyczne wyświeconą, jest sumą całej Emigracji” — „... w jego (Tow. Dem.) naukach niemieli się ostateczny owoc jej prac”. Jaka gorąca wyznacza zasad republikańskich, Kamiński potępia „ideę dynastyczną, popieraną w Emigracji przez stronnictwo arystokratyczne”. Wyjaśnia następnie pojęcia: *kontrewolucja, terroryzm i kluby*.

Kontrewolucja Czartoryskiego i komp. zgubiła powstanie 30 r.; lekarstwem na nią był „terroryzm”, który według Kamińskiego odpowiada prawu karności wojennej, a który nie mógłby w Polsce mieć nigdy tego charakteru i tego zastosowania, co we Francji. Zgubiona byłaby u nas, tak sądził Kamiński, forma tego środka, przyjęta niegdyś przez Francuzów, ale zawiernia zasada. Kamiński wcale w dziele swem nie wygląda i nie jest takim czuwającym i krwi chciwym, jakim go sobie Krasński i wielbiący jego retorycznych „Psalmów” wyobrażali; przerażili się tego wyrazu „terroryzm”, który w rzeczywistości rzeczy strasznej w sobie nie ukrywał; wlemy przeciw, jakim był ten „terroryzm” w praktyce, gdy go wypadło niabawem zastosować Dembowskemu do „kontrewolucjonisty” Michała Wiszniewskiego w r. 1846.

Także są zasady rewolucyjne Kamińskiego; dwie trzecie książki zajmują część trzecią, praktyczną, z tytułowana: „Wojna ludowa”, która jest systematycznym wykładem, przewodnikiem czy regulaminem dla urządzających ją walkę.

Zasadnicze myśli „Prawd żywotnych” włożył Kamiński w formie popularnej, katechizmowej, z darem propagatorskim wybitnym, w książeczce, która się ukazała wkrótce po wydaniu takiej, p. t. „Katechizm demokratyczny” (1845). Jakżeż ona przypomina, i formą, i tendencją antyszlachetką, inną, o lat 50 z górą wcześniej ogłoszoną (1790) książeczkę, wyszły z „kuźnicy Kołłątajowskiej”, „Katechizm o tajemnicach rządu polskiego”, piera za jakobiną w sutannie uważanego księdza Franc. Salezego Jeszkińskiego! Innej broni tyłko, niż romantyki Kamiński, użył ks. kanonik, racjonalista, nieortodny syn Wieku Oświeconego. — Broszyczerska.

Otóż „Prawdy żywotne” i „Katechizm demokratyczny” do głębi eburzyły i przerażaly trapiącego wciąż zmorem przewrotu społecznego autora „Nieboskiej komedji”. Spirydon więc Prawdowski odpowiedział Filarotowi Prawdowskiemu „Psalmem miłości”. Da-

prawdowskiego „kuźnica” jakobinich teoryj była Centralizacja (Tow. Demokr.), a autor „Prawd żywotnych” i „Katechizmu demokratycznego” jej ajentem. Ajentem Centralizacji Kamiński nie był, nie był bowiem członkiem Towarz. Demokratycznego, ale gorący wyznawca jej zasad, za ucznia tylko duchowego „Ojców polskiej sprawy”. Jak wiemy, siebie uważał. Tymczasem Towarzystwo Demokratyczne nie miało odwagi otworzyć i jawnie książek Kamińskiego uznać za wytwory swego ducha, za wyraźne bowiem zaprzeczenie i konsekwentnie rozwijały zasady, przez nie w pismach głoszone; Centralizacja odrzucała „wojnę ludową” Prawdowskiego, do książki jego polecała do czytania, chociaż dlatego tylko podobno, że była się z autorem nie poróżniła.

W obronę zasad Towarz. Demokratycznego i Prawdowskiego, przeciwko napaści wierszowanej (Ps. miłości) Krasńskiego, wystąpił nie członek Towarzystwa również, poeta Słowacki (w wierszu, jak wiadomo, „Do autora 3 psalmów”). Goszezyński, tak gorliwy i wymowny niegdyś szerczyści idei demokratycznej w poezji i w pułchności (współpracownik „Demokracy Polskiego”), najbliższy duchowo Kamińskiemu, — Goszezyński miewał; zerwawszy od lat kilka (1842) ze światem realnym, zatopiony był już wtedy cały w lewianizmie.

Kamiński zbyt wydatną był indywidualnością psychiczną, aby myśli jego, tak dosadnie i z taką mocą przekonania wygłasza, nie znalazły swego odbicia w umysłach i w utworach nawet ludzi wybitnych. Dowodem Słowacki, a co ciekawsza, nawet niegdyś przeciwnik Prawdowskiego, Krasński. Wpływ Kamińskiego na Słowackiego uwidocznili się w wierszu „Do autora trzech psalmów”; apoteoza ludu, składanie dzieła zbawienia w ręce miłości, zaznaczenie przeciwieństwa pomiędzy starszem a młodszym pokoleniem — to są echa „Prawd żywotnych” i „Katechizmu demokratycznego” (zob. Treliak „Jul. Słowacki”, II, 228—35). Nie mógł też, zdaniem Treliaka, na co zgodzić się można, nie wywrzeć swego wrażenia na Słowackiego rozdział „Prawd żywotnych”: „Z stanowiska postępowem poezji ludowej” (46), w którym Krasowski nauczał poetów, jak mają śpiewać do ludu i o ludzie... „... a teoretyzować się apoteozą: „Powstań, piewco przyszłości, poeto ludowej!” i t. d. (Zob. Treliak, II, 228).

Ale oto niedawno młody budaż, p. J. Kleiner zwrócił pierwszą uwagę na fakt znamienny i wielkiej wagi, że Kamiński wywarł wpływ nawet na swego nieubłaganego przeciwnika. Krasński, który z taką zgrozą odstępował się od teoryj Prawdowskiego, nie mógł jednak obronić się od niektórych jego myśli, które przyjął do swoje i w „Psalmie miłości” wypowiedział. „Prawdy żywotne” dopiero rozbudziły, zdaniem p. Kleinera, głosny ton rycerski w twórczości Krasńskiego, — przyjmował on i głosił emigracyjny ideał powstania („Przeciw piekłu podnieść kord”... i t. d.). Na-

stępnie przyjął Krasziński drugi postulat Kamińskiego — uwielbienie ludu; — co więcej, zgodził się na to, że „rewolucja społeczna” musi złączyć się z powstaniem, — ale pod warunkiem, że przeprowadzi ją w imię miłości szlachty, jako przewodniczka ludu; drażniło bowiem Kraszińskiego to przekonanie Kamińskiego, że ze szlachty lub przeciw niej dokonane się miała przemiana w Polsce, nie przez nią.

Ostatecznie, „praktyczny program Kraszińskiego na przyszłość najbliższą” — wnioskuje p. Kleiner — to był program Henryka Kamińskiego, program „wojny ludowej”, „Dać zniewarcom wszystkich grunt”... i t. d. (Kleiner: „Zygm. Kras. II, 145—148).

Tak jest. Nie zwrócono jednak uwagi (i p. Kleiner) na fakt ciekawy, że już sam Kamiński, pisząc w lat 20 niepełna (w roku 1863) po tej polемice popularną opracowaną książeczką p. t. „Wojna ludowa”, zwraca się w przedmowie do zmarłego już poety, którego, jak Słowacki, nazywa trydionem, stwierdzając, że Krasziński w gruncie rzeczy podzielał jego zasadniczy punkt widzenia: „Trydion przedwioń niej (t. j. „Prawdom żywotnym”) wystosował swoje „Psalmy”, jakoby przeciwko potwornemu dziełu, sięjącemu w narodzie rozwojenie, a przeciwstawił jej to, co było w niej, co samą treść jej stanowiło, z polską szlachtą polski lud”, a co Prawdowski wyjaśniał, ukazując, na jakiej zasadzie i jakimi sposobami do tego może a musi przystąpić, by z polską szlachtą trzymał polski lud...” Wieszcz, twórcą „Psalmów”, który na Prawdowskiego rzucił kłopot, ale który go miał za człowieka uczciwego, lecz błądzącego, twórcą Psalmów mówił o tej szalonej a upartej walce która skutkiem popędu i woli na stronę podłego ludu musiała się rozstrzygnąć, że ta wojna, że ta książka (dosłownie, albo prawie przytaczany) „jest poematem, lecz poematem strasznym, poematem krwi i mordu”. Wieszcz się mylił!... „Trydion e, drogi przedwiońku, czemuż się nie dożył tego, byś ujrzał powstający polski lud z polską szlachtą, a przekonał się, że oś, których niesłusznie napadłeś, obrońcami byli zasad, które sprawie miały i sprawiły opiewaną przez ciebie jedność”.

W kilkanaście lat po ogłoszeniu „Psalmów”, przesłał Krasziński Kamińskiemu w liście obszerny „Uwagi” nad dziełem jego o „Rosji, Europie i Polsce”, które ogłosił w r. 1857, wkrótce po pokonaniu paryskim. Ocenił to dzieło Krasziński i dokładnie, ale nie może się powstrzymać od wyrażenia swego podziwu i zachwytu dla myśli w nim zawartych i dla sposobu ich wyrażenia. Podziwia Krasziński w tej książce: „czyste patjotyczną zamiar i niesłychane z wiersza panowanie nad rozdzierającą w głębi najmniejszą — jasność i ścisłość wykładu — głębokość prawd dziesiętych, na jasnie wyrwanych — mądrość i wzniosłość idei... Wszystkie doskonale przemysłane, wyrobione, napisane — i tem o stopień jeden wyżej podniósł autor filozofję historii”.

Na kartki, pisze dalej Krasziński, za których czytaniem był uwielbiony w oczach się rodzaj, tzn. wywołane pięknem i dobrem, na nich wyrzycim. Polska wdzięczną być winna za to dzieło... Książka taśaka co do rozmiarów, uroczyścia powaga, mądra pojęcia”... (Pisma. Wyd. jubil. t. VII, 389—396).

Na „Uwagi” te przesłał Kamiński Kraszińskiemu obszerną odpowiedź, której jednak w papierach poety nie znalazzono¹⁾.

W końcu r. 1845 Kamiński wrócił do Kongresówki; został natychmiast aresztowany i osadzony w cytadeli; oskarżono go głównie o napisanie „Prawd żywotnych”, ale mu tego udowodnić nie potrafiono. Zesłano go do Wiatki, gdzie pozostawał przez 3 lata. Wskazanie się do społeczeństwa rosyjskiego pozwoliło Kamińskiemu poznać głębi jej charakter, w którym spostrzegł wielkie zalety; spostrzeżenia wówczas zrobione użytkował później w dziele, które tak wielkie wrażenie na Kraszińskim uczyniło.

Po powrocie z wygnania, Kamiński osiadł znowu w majątku swej nad Bugiem i zajął się czynszowaniem włocian. W jesieni r. 1851 ciężko zachorował i wyjechał na początku roku następnego (1852) do Szwajcarii. Poprawiwszy się na zdrowiu, ożenił się i osiadł na stałe w wolnej krainie Helwetów; przebywał zwykle w Interlaken, lecz zimą, dla pokrzepienia słabnących sił, wyjeżdżał do Algieru. Po wojnie wschodniej pisał dużo w sprawie polskiej, po polsku i po francusku. Ogłosił najprzód broszurę: „Lettre à M. Léon Plé sur la question européenne”, a niebawem wspomniane wyżej dzieło: „Rosja i Europa—Polska” (1857), w którym zawarł charakterystykę Rosji, jej rządu i narodu, i stosunku jej do Polski. Opracowanie francuskie dzieła, dokonane przez Władysława Orłęga, o które gorąco wolał Krasziński, ukazało się jednocześnie p. t. „La Russie et l'avenir”. Wkrótce potem (w r. 1858) przesłał Kamiński drukować w Genewie na obszernie rozmiary założone dzieło p. t. „Demokracja w Polsce”, ale wyszło jego tylko kilka początkowych arkuszy. Podanecony wypadkami r. 1859, wojną włoską, Kamiński zaczął w Genewie wydawać pismo p. t. „Prawda”; wychodziło ono od października r. 1860 do sierpnia r. 1861. Rozwijal w nim swoje poglądy polityczno-społeczne, z zabarwieniem, jak zwykle, filozoficznym. Na wiosnę r. 1863, podczas powstania, opracował na nowo dawną rzecz o wojnie ludowej (1844), wydrukował dwa pierwsze arkusze w Paryżu i przesłał je Rządowi Narodowemu, z żądaniem nakładu na dalszy ciąg; ale do ukończenia druku wówczas już nie doszło; wydał dziełko, już po śmierci autora, Agaton Giller.

¹⁾ Dowiadujemy się o tem z dopisku, ręką Kamińskiego do „Uwag” sporządzonego.

Kamiński zmarł w Algierze, 9 stycznia 1865 r. W papierach po zmarłym znaleziono, jak zapewnia biograf jego, Limanowski, rękopis, przygotowany do druku, p. t. „La Pologne incon nue”.

BIBLIOGRAFJA.

A) Pisma Kamińskiego. — „Filozofia ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa”. Część I, Poznań 1843; cz. II, Poznań 1845 (bezimiennie); w skróceniu wysłał w „Bibliotece dzieł społeczno-ekonomicznych pod red. Dr. Z. Daszyńskiego-Golińskiego”. Warszawa 1911 (wydanie niekrytyczne). — „O prawdach żywotnych Narodu Polskiego, przez Filareta Prawdosięgo”. Bruselsa 1844. — „Katechizm demokratyczny czyli opowiadanie słowa ludowego, przez Filareta Prawdosięgo”. Paryż 1845. — „Lettre à M. Léon Pée sur la question européenne” przez X. Y. Z. Genewa 1857. — „Rosja i Europa—Polska”, przez X. Y. Z. Paryż 1857 („Wstęp do badań nad Rosją i Moskalami”. D). — Toż po francusku: „La Russie et l'avenir”, 1858. — „Demokracja w Polsce”, przez X. Y. Z. Genewa 1858. (Str. XV i 128; druk dzieła nie ukończony). — „Wojna ludowa”, przez X. Y. Z. Bendikón, 1866. — W czasopiśmie: „Uwagi nad stanem włościan i produkcji krajowej” (Bibl. Warsz. 1842, III i Przegl. Naukowy 1843, III); w „Przeglądzie Naukowym”: „Twórczość jako byt” (1843); „Myślę więc jestem, tworzę więc jestem” (1843); „O filozofii w ogólności i systematach filozoficznych” (1843); „Przeład rozpraw o oczyszczaniu” (1843); „Obraz porównawczy pauperyzmu” (1843); „Przeład i próba Biblioteki Warszawskiej z r. 1843” (1843); „O filozofii praktycznej czyli o filozofii czynu” (1845); „O obowiązkach włościeli ziemskich” (1844). — „Mémoires d'un prisonnier d'état, par Henri Korwin” (w „Temps” 1835).

B) O Kamińskim pisali: J. A. Kamiński: Materiały do monografii i historii rodzin Kamińskich i Kamińskich, 2 t. Lwów 1854—6. — Jarochevski: Literatura poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Poznań 1880, str. 89. — Limanowski: Henryk Michał Kamiński (przy skróceniu wyd., „Filozofii ekon. materj.” Warsz. 1911). — Stecka: Edward Dembowski”. Lwów 1911 (str. 8—15). — O „Filozofii ekon. materj.” pisali: Libelt: Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej 1845 („Filozofia i krytyka” I, Poznań 1845, 167—176); Limanowski: Historia ruchu społecznego w XIX w. Lwów 1890 (str. 463—470); Głębicki: Ekonomia społeczna I (339—41); Daszyńska-Golińska w Przedm. do skróc. wyd. Filoz. ekon. mater. (Warsz. 1911). — O „Prawdach żywotnych” i „Katechizmie demokrat.” pisał Sternał: „Zpewoda dzieła Tarnowskiego o Krasińskim”. Krak. 1893; Matecki: „J. Słowacki”, wyd. 3, t. III, 174; Tarnowski: Hist. liter. pol. V,

304—6; Tretiak: „J. Słowacki, II, 206—235; Polemika Piniego z Lambrom (A. Niemojewskim) w „Pamiętn. Liter.” 1903; Limanowski: Hist. demokracji polskiej. Zurych 1901 (str. 296 i nast.); Ciesner: Zyg. Krasiński. Lwów, 1912, II, 138—152. — Art. bezim. w Przegl. Poznańskim 1857 p. t. „Panslawizm a Polska” (ocena ruchu „Rosja i Europa, Polska”). — Z Krasiński: Uwagi nad dziełem o Rosji, Europie i Polsce (Pisma. Wyd. jubil. VII, 387—396; toż w „Myśli Niepodległej” 1913, kwiecień). — Lambro (A. Niemojewski): Henryk Kamiński i Zyg. Krasiński (Myśl Niepod. 1913, kwiecień, nr. 240). — Limanowski: Historia ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 r. Kraków, (1913). — Chmielowski: Hist. lit. pol. IV, 33.

Filozofia ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa.

(1843)

„Filozofia ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa”. Poznań, 1843—45).

(Część pierwsza. Wstęp. (§ 6) Str. 34—38).

„Czyn nosi cechę, jakośmy wyżej wykazali, obcowania społeczniczego człowieka z ludzkością. Więc samo tworzenie czynu jest temsamem tworzeniem jedności pomiędzy ludźmi; a stąd postęp czynu jest temsamem postępowaniem jedności między ludźmi. Więc ludzka twórczość nie byłaby zdolna wydać czynu, gdyby temsamem nie tworzyła jedności pomiędzy ludźmi, i narodził: nie byłoby jedności pomiędzy ludźmi, gdyby nie istniała sama czyn. Tak więc jedność pomiędzy ludźmi jest dziełem ludzkości człowieka i wynikiem konieczną powszechnej jedności ludzkiego bytu.

1. Jedność pomiędzy ludźmi, czyli ludzkie społeczeństwo. — Nauki społeczne.

Życiem duchowem człowieka jest czyn; a czyn — związane pomiędzy ludźmi obcowanie — stanowi już ludzkie społeczeństwo, które przeto tam się zaczyna, gdzie duchowe życie człowieka i postęp, jako bezpośrednia wynikłość i pierwotny konsekwentny utwór absolutu twórczego. Niema zatem ludzkiego przedspołecznego, duchowego życia.

Czyn stanowi ludzkie społeczeństwo, a jak niema czynu, nie byłoby nie był obcowaniem pomiędzy ludźmi, tak niema czynu, nie byłoby nie był postępowaniem ludzkiego społeczeństwa.

Więcej społeczeństwo ulega prawu bezwzględemu koniecznego postępu, a stąd kształty swoje ciągle zamienia na coraz doskonalsze i foremniejsze. Społeczeństwo i wszelkie pomiędzy ludźmi stosunki, jako bezpośrednie dzieło ludzkiej twórczości, — wynikiem bytu — na mocy prawa absolutu przetwarzane być muszą w coraz większej jedności pomiędzy ludźmi. A tak główne znamię społeczeństwa bierzemy i wyprowadzamy wprost z absolutu, wszystko ludzkie pod najogólniejsze podciągając pojęcie: absolut (byt, twórczość) — wynikłość (czyn).

Społeczność — życie duchowe — czyn, są wyobrażenia nierozdzielne i bez siebie istnieć nie mogące; społeczeństwo ludzkie występuje przeto jako istota zbiorowa, w ludzkości — jako istota zupełnem i doskonałem życiem obdarzona, którego człowiek pojedynczy jest częścią, atomem składowym, samym przez się niekompletnym i bez rzeczywistego znaczenia. Atom ten odżywa w społeczności jako w swoim żywiole i tu się uzupełnia, jako u właściwego ogniska ludzkiego życia. Stąd więc każdy czyn, każda nauka, tem większym i silniejszym technie interesem, im więcej do tego ogniska zbliża i życia z niego zaczerpuje. Więc tak człowiek, jak i nauka, tem więcej się uszlachetnia, im ścislejszy zawiera związek i obcowanie z ludzkością. Ta stopa zarazem i na ludzi i na systematycznie naukowe, nad wszystkie inne wywyższa, stawiając u szczytu wykształcenia duchowego, badania i nauki społeczne.

Społeczność więc tam się zaczyna, gdzie duchowe życie człowieka — ludzkość, — i ciąglem ulega przetwarzaniu nieustającej twórczej genesty. Więc odbywanie wszelkich funkcji społecznych, które niczem innym nie są, jak tylko czynami, bezwzględem prawem postępu jest rządzone. Człowiek (absolut) wydoskonalać musi i wykształcać to społeczeństwo, które jest jego czynem, jego dziełem; — a tu występują układy społeczne, w nieprzerwanym swoim ciągu i niepodrybnem następstwie. Układ społeczny, czyli urządzenie wzajemnych ludzkich stosunków i życia, jest dziełem koniecznem samodzielnego, a zatem wiekowego stwórcy, który dzieło swoje, społeczność, obejmuje i określa. Układ społeczny jest zawsze wyrażeniem

niezwywistem idei¹⁾ jedności pomiędzy ludźmi, a przeto postępuje z wykształceniem tej jedności. Układ społeczny jest więc siłą wszelkiej działalności duchowej człowieka, która tem bardziej się wzmacnia, im więcej wydoskonala istotę człowieka-ludzkość przez jedność pomiędzy ludźmi; bo żyjąc tylko z innymi i w innych, nie zaś sam w sobie, tem doskonalej żyje, im doskonalsza jest społeczność, w której się uzupełnia, im układ społeczny, którym jest objęty, większą pomiędzy ludźmi jedność przedstawia. Któż wątpić będzie o wyższej duchowej dostojności Amerykanina Stanów Zjednoczonych nad Grenlandczykiem lub Laponem?

— Bo cóż jest życie duchowe? — czyn, — obcowanie z ludzkością, a to leży w układzie społecznym. Więc treść ludzkiego życia — społeczeństwo w najogólniejszem znaczeniu — jest dziełem koniecznem ludzkiej twórczości, bezpośrednią wykładnią absolutu. Rządzone jest prawem koniecznego postępu, jak wszystko ludzkie, a stąd przedstawia nieustanny ruch. Pojmowanie więc społeczeństwa nie zasada się na pojmowaniu obwodowych jego kształtów w pewnem danem okresie ludzkości; lecz na ujęciu jego istoty postępowo ruchomej, a zawsze jednej wśród ciągłego powtarzania powierzchownej jego postaci..

(Część druga. Rozdz. VII. Praca. Str. 57—39).

§ 4. Strona moralna pracy. Wpływ naturalnych skłonności na jej urządzenie i rozdział. Praca powołania.

Mówiliśmy, że praca jest niesieniem usług całemu społeczeństwu, — a wszystkie czyny, które cechę tę noszą, liczyć potrzeba do rzędu pracy, którą powyższa definicja obejmuje dokładnie i zupełnie określa. Praca nie ogranicza się na samej

¹⁾ Wyraz idea bierzemy tu w znaczeniu wyobrażenia ogólnego, abstrakcyjnego, — więc dwoiste znaczenie do niego przywiązujemy: raz to, które znamie tłumaczymy; drugi raz, idea czyli myśl, tak jakosmy poprzednio użyli tego wyrazu.

walce z materją, ale rozciąga się do wszelkich bez wyjątku usług, oddawanych społeczeństwu. Artysta, badacz i wogóle każdy, poświęcający się uprawie ducha, zaprawdę pracuje. Skala zaś mierniczją pracy do oznaczenia jej zasługi jest ważność usług, niesionych społeczeństwu.

Mówiliśmy, że praca jest obowiązkiem, — że interes własny (że tak powiem, liczebny) strzeże jego wykonywania. Tak się to dzieje i dzieć musi w spełnianiu usług, będących przedmiotem wzajemnej wymiany, wspartej na kombinacji interesu wszystkich ludzi; — ale obok takich względów i od nich niezależnie wznosi się strona moralna pracy, której pojęcie zmieścić się nie może w zbyt ciasnych dla siebie karbach wymiennej rachuby. Praca jest nie tylko koniecznością materialną dla człowieka, dlatego, by wzamian własnych usług pozyskać zaspokojenie swoich potrzeb, — ale jest nadto potrzebą duchową jako dla istoty, która tylko w obcowaniu towarzyskiem może znaleźć używalność właściwego sobie życia, — które żyje z innych i w innych. Zaisie, człowiek najwyższe swoje zadowolenie znajduje w tem, ażeby służyć jak najlepiej społeczeństwu, i ta pobudka umysł jego porrywa i gwałtownie naprzód pędzi. Jego własna osobistość zanika mu z oczu, a natomiast występuje cała ludzkość, z którą się myśl jego brata i nierozzerwanem łączy ogniwem, — praca przestaje dla niego być środkiem, a natomiast staje się najwyższym celem sama sobie. Obok takiego wyższego natchnienia daremnie interes własny i rachuba wymienna ciągnęłyby człowieka w inną stronę widokiem korzyści, — wszystkie bowiem te ziemskie względy przeważa głos wznioślejszy, z głębi jego ducha twórczego wychodzący, a gdzie on przemówi, tam wszystko inne milczy. Jest to wyższy pęd do danego jakiego przedmiotu, — jest to powołanie. Tenże, w którym się ten głos raz odezwiał, dla żadnych materialnych pojęć drogi swojej nie zamierza, — a przyjmie raczej życie pędzący i poświęca, byle cel swój mógł spełniać, — byle twórczość rozwinąć i dokonać powołania. Milton, Galileusz, Tasso, nie byłiby zamienili swojego losu, kołatatego cierpieniami, za najświetniejszy czysto ziemski żywot.

Odzywa się w człowieku duchowa potrzeba rozwinięcia

swojej twórczości, — potrzeba używalności właściwego sobie życia, a tej zaspokoić nie można żadnym innym sposobem, jak pracując dla ludzkości, która to praca staje się n a j w y ż s z y m celem, od wszelkich innych względów niezależnym. Taka praca nie jest sama w sobie nagrodą, a wyższa nad interes, nim się nie powoduje. Ktokolwiek ją zamituje, nie więcej nie żąda, jak to, by mógł jej się poświęcić swobodnie, — a walczy śmiało z potrzebami ziemskimi, i byle miał od społeczeństwa zaspokojenie koniecznych warunków istnienia i pracowania, nie więcej nie pragnie, bo jego życie nie jest tej ziemi, — bo tacy ludzie rodzą się prawdziwie dla całej ludzkości, a ich usługi nie są sprzedajne, ale mają coś boskiego, bo się wynurzają z swoich czynach dla całego rodu człowieczego i rozlewają nań światło, które staje się dobrodziejstwem powszechnem, niepośmielnem nakształt darów przyrody.

O prawdach żywotnych narodu Polskiego.

(1844).

O prawdach żywotnych narodu polskiego, przez Filareta Prawdoskiego*
Bruksela. 1844.

(Str. 55—60).

...Naród myśleć powinien, aby się nie stawał igrzyskiem niernem zawistnego losu. Nieszczęścia nasze byłyby tylko gorzką ironją, piekielną i niczem wytłumaczyć się nie dającą wypadków kombinacją, gdyby nie miały istotnego powołania i celów do spełnienia w ludzkości. Nasza niewola i rozszarpanie kraju muszą mieć przyczyny swoje konieczne, i niechybne następstwa; pierwsze posłużyć mogą do wyjaśnienia drugich. Musieliśmy upaść, ale w samych przyczynach naszego upadku dojrzymy, że ten nie pociąga za sobą rozchwiania naszej narodowości, jakoby rzeczy zużytej i do niczego już nieprzydatnej; że życie naszego narodu wyrabiać się musi sposobem sobie właściwym w szkole nieszczęścia i przysposobić go do wielkiego przeznaczenia, bo niedola jest wielką mistrzynią nie tylko dla pojedynczego człowieka, ale i dla ludów.

Schodząc do przyczyn upadku Polski, nie będziemy się zadawać w długie historyczne rozbiory, lecz w ogólności chcemy je oznaczyć w pierwotnym ich zawiązku, który w ten lub ów sposób rozwinać koniecznie się musiał. Naród wielki, jakim jesteśmy, nie mógł upaść, jak skutkiem własnej niemocy; przyczyny więc pierwotne naszych rozbiorów i poniżenia w nas samych leżały, i do tego się ściągają, co nas osłabiło, i siły nasze rozprzędło, bo słabości następstwem niechybnym jest upadek, a ten w żadnym razie niczem innym wytłumaczyć się nie da. Cała ta kwestja odnosi się do pytania, co stanowiło słabość Polski. Jedni o to winują tron elekcyjny, nieład szlachecki i liberum veto, inni magnatów i osobiste ich widoki, inni wreszcie złą organizację maszyny rządowej, brak wojska stałego, fundusów publicznych i t. d., lecz to wszystko nie natrafia na główną i zasadniczą przyczynę.

Do wysokiego stopnia dojść musiała nasza słabość, kiedy nas podbili i zawojowali wrogi bardzo nieznaczącymi siłami, a co większa prawie bez bitwy i silnego oporu, bo czyli utarczki konfederacji Barskiej i bój Kościuszkowskiego powstania nie były prowadzone na tak małe rozmiary i tak nieodpowiednie wielkości naszego narodu, że tylko za chorobliwe cząstkowe wysilenie, nie zaś za rzeczywiste odpiernie wszystkich siłami obcej napaści uważane być powinny! Gdyby cały naród był wrzał zapałem niepodległości i miłości ojczyzny, byłby wobec grożącego niebezpieczeństwa siły swoje wszystkie połączył, a tak żaden podbój nie byłby się stał podobnym, a wróg, któryby śmiał na kraj nasz nastąpić, znalazłby niezawodne zniszczenie, ziemia wolnaby się pod jego stopami zapalała i pochłonęła go niezawodnie, zalewając go masami ludu. To, co narodowi naszemu odjęło naturalną spójność, na mocy której wszyscy jednej ojczyzny synowie w chwili niebezpieczeństwa na ratunek jej śpieszą wspólnym popędem, to było przyczyną upadku Polski, bo zrzuciła powszechną naszę przyczyną społecznego niemoc, za którą musiał nastąpić upadek. Dopokąd bowiem despotyzm istnieje jeszcze na ziemi, każdy naród słaby podbitym być musi, tem samem, że słaby, i daremnie jest szukać innych przyczyn wydarzenia, które stał niechybnie zawsze wynikiem.

Cóż więc rozprzędło jedność, a tem samem siłę naszego narodu? Co osłabiło święte pojęcia miłości ojczyzny i niepodległości? Nadwątleniemi były niezaprzeczenie, kiedy naród wielki na małe tylko i nieznaczące usiłowania się zdobył. Aby na to pytanie odpowiedzieć, dosyć jest wejrzeć w stan ludu, bezwymaganego w poddaństwie, na przywilej, który człowieka robił własnością, jakoby rzeź lub bydło; na stan powszechny niemocy najliczniejszej klasy, na której główna siła narodu i cała nadzieja obrony ojczyzny zależały. Czyliż masa pogneębiona mogła na wzór wolnych ludzi technąć zapałem świętym niepodległości? Niewolnik nie zna ojczyzny, która nie jest jemu matką, nie barbarzyńska macocha, która zamiast opieki ma dla niego tylko nędzę i zhańbienie niewoli, ucisk i plagi. Lud nasz, podobawiony używalności człowieczeństwa, poniżony, znikczemiony oberpliwem uginaniem karku, w nagłej i gwałtownej potrzebie ratunku nie mógł się pokazać czem innym, jak tem, czem był w istocie, to jest masą martwą i bezwładną. Dlatego-to Polska podbitą została bez wielkiej narodowej wojny, po nieznaczących rozprawach.

To więc, co zerwało jedność, nadwątliło siłę polskiego narodu, uczyniło go niezdolnym odeprzeć obcą napaść, a tem samem stało się przyczyną naszego upadku, to nie innego nie było, jak ucisk ludu. Zginęliśmy więc dlatego, że nasza jedność, a tem samem siła, pogwałconą została nienawistną stanów różnicą. Upadliśmy we wszystkich naszych powstaniach, bo nie umieliśmy usunąć zgubnych zarodków, jakie nam grzechy przadziadów przekazały w spuściznie, nie umieliśmy całego ludu z uspienia przebudzić. Uległa Polska obcej przemocy dlatego, że garstka uprzywilejowanych, przewodniczących obronie jej bytu, nie miała nic wspólnego z masą narodu, przechowywała interes własny na niesprawiedliwości oparty, a powszechnemu przeciwny; nie otrzymaliśmy dotąd zwycięstwa dlatego, że ani razu cała Polska, cały lud, nie porwał się do dzieła.

Naturalną misją obcej przemocy jest zawsze złać w doskonałą jedność wszystkie części narodu, wykształcić go wewnętrznie, jeśli ma tylko zarody żywotne, łącząc wszystkie jego części wspólnym interesem wyswobodzenia, który nad wszel-

kie inne przeważa. Nim do tego przystąpimy, musimy wykażać z przyczyn samych naszego obecnego pogrzebienia, że nie jest ono stanowiącą Polskę zgladłą, ale upadkiem chwilowym, z którego musimy się podnieść, że nie jest śmiercią, ale przemijającą chorobą. Powiedzieliśmy, że przyczyną upadku narodu w nim samym leży, nie zaś w okolicznościach zewnętrznych, dalej rozpraszając tę zasadę, kwestją życia lub śmierci w nim samym podobnie leży, nie zaś w okolicznościach zewnętrznych, które, jeśli są pozorem istotnego życia przeczeniem, jak np. u nas dowolne wymazanie nas z rzędu narodów, jakimkolwiek sposobem, prędzej czy później, ale koniecznie ustąpić muszą niewątpliwym życia pojawom, samodzielnemu gnębiącym działaniu; bo równem niepodobieństwem jest naród zapalony do utrzymania swojej niepodległości podbić, jak utrzymać go w jarznie, skoro zdola wyrobić i rozpowszechnić zapalającą miłość ojczyzny, skoro natchnięty zostanie duchem jedności i gotów będzie usunąć wszystko, cokolwiek sprzeciwia się może tej jedności, której brak go zgubił, a której odzyskanie ocalić go niewątpliwie musi. Narodowość jest to połączenie wspólnym węzłem dzieci jednej ojczyzny; kiedy ten węzeł się zwalnia, natenczas naród słabnie; kiedy ściślej się staje, naród wzmacnia się koniecznie, bez względu na okoliczności, które ten wypadek sprowadzają, i czyli się to dzieje w dobrej albo złej doli; — kiedy zaś ten węzeł znika zupełnie i staje się zbyt czynnym, wtenczas tylko naród ginie; rozkłada się na pierwsiastki, aby wejść w skład nowych ciał społecznych, bo już nie ma żadnego celu do spełnienia w ludzkości. U nas Poleków węzeł ten osłabił, stąd powstała niemoc, nie odpowiednia zewnętrznemu ciśnieniu otaczającego nas despotyzmu, któremu zatem musieliśmy ulec; ale się nie rozprzął, owszem coraz silniejszym się staje, co nam objawia postępowy ruch naszych powstań, coraz na większą odbywających się skalę, i coraz wszechenniejszy i silniejszy urok, towarzyszący słowom: ojczyzna, niepodległość. Odbywa się to pośród "zewnętrznego ucisku, który zatem nietylko że nie tamuje naszego narodowego życia, ale nawet nie sprzeciwia się jego rozwinięciu i postępowi. Lecz nie dosyć jest uznawać to niezaprzeczone fak-

tem, trzeba jeszcze przyczyny jego zgłębić i wyrozumować, aby podzić wypadki, które do zbawienia doprowadzić nas koniecznie muszą.

Naród ginie wtenczas, kiedy nie ma naturą rzeczy sobie wskazanego żadnego celu do spełnienia w ludzkości, kiedy idea cel ten w sobie zawierająca nie jest węzłem jego spójnym. Wszelkie zewnętrzne tamowanie działalności narodu w tym kierunku koniecznym nie jest ani jego zagubą, ani chwilowem nawet zawieszeniem życia, bo to leży w sile jego spójnej, dążącej do spełnienia celu w ludzkości. Jedyny sposób, którym naród ginąć musi, jest odebranie mu celów, około których cała siła jego się skupia niejako przy jedynem wspólnem ognisku, zastępując je większymi i powszechniejszymi, które tamte pierwsze sztyczkami uczynią i pochłoną. Wtenczas to narodowość rozwiązuje się, i tak stać się powinno. Jest to podbój duchowy jeden tylko słuszny na świecie, przeciwko któremu nikt nie szuka, bo doskonalej życie ludzkości rozwija i nie odbywa się gwałtem, ale wspólną wszystkich wolą. Takiego to podboju przeciwko nam nie wywarły nasze wrogi i wyrzwać nie mogą, bo to nasza broń, która ich nie posłucha, — bo służyć może tylko ludom w duchu postępu ludzkości idącym, nigdy zaś tyranom, którzy wbrew temu dowolnie obierają kierunek sprzeczny. Nato, aby despci tego dokazali, musieli by przestać być despotami, bo samo dotknięcie się postępowych środków byłoby skruszeniem ich całej potęgi. Podbój duchowy, który jeden tylko narody prowadzi do złania się w inne większe całości, podbój duchowy jest naszą bronią nam tylko właściwą, tak jak podbój zbrojny wrogiem ludzkości, bo my reprezentujemy duchową, tamci zaś materjalną siłę. Używała już Polska tej broni w czasach swojej wielkości i potęgi i tym sposobem braterska Litwa rzuciła się w nasze objęcia; dwa ludy przedtem różne, a nawet sprzeczne, zawarły święte i niezartane sprzymierzenie, dążąc razem do wyższych celów powszechnego postępu, i oddać nie już rozzerwać ich nie może. Nikt dzisiaj nie przypuści, że to dlatego nastąpiło, że Jagiełło posłubił Jadwigę, bo sprzymierza ludów nie od osobistych stosunków zależy; lecz obywatelstwo i prawa Polski chrześcijaństwem złączona, a stąd wyższą wolność i oświata przyciągnęły do nas więcej młodocianą

Litwę i stanowiły podbój duchowy, którego wypadkiem wieczny związek braterski życia i śmierci

Katechizm demokratyczny.

(1845).

(„Katechizm demokratyczny czyli opowiadanie słowa ludowego, przez Filareta Prawosłobkiego”. Paryż, 1845).

(Str. 1—4).

I. O miłości ojczyzny.

1. Pytanie: Co to jest miłość Ojczyzny?

Odpowiedź: Jest to miłość wszystkich swoich rodaków i braci — miłość gorąca całego ludu, całego narodu — miłość, którą każda szlachetna dusza czuje i nad wszystko ceni, poświęcając dla niej z radością wszystkie swoje siły, całe swoje życie, walcząc za nią chętnie do ostatniej kropli krwi.

2. Pytanie: Czy można w inny sposób pojmować miłość Ojczyzny?

Odpowiedź: Byłe się tylko nad tem zastanowić i pomyśleć, nie można miłości Ojczyzny brać za co innego, jak za miłość całego narodu i ludu. Cóż bowiem innego kochać w Ojczyźnie, jeżeli nie ludzi? Czy piasek, bagno, kamienie lub drzewa?

Stanowiący zaś na tem, że miłość Ojczyzny jest miłością ludzi, musi być miłością całego ludu. Kto bowiem kocha tylko pewne klasy społeczeństwa, nie kocha istotnie całego narodu, nie zna prawdziwej miłości Ojczyzny, która jest miłością całego ludu.

3. Pytanie: Co pomyśleć o takim człowieku, który mieni, że Ojczyznę kocha, a tej miłości w najobszerniejszym znaczeniu do całego ludu nie rozciąga?

Odpowiedź: Taki człowiek prawdziwie Ojczyznę swojej nie kocha. Albo się nad tem świętem uczuciem nie zastanowił i takowego nie zgłębił, nie wyrozumował — albo też kocha tylko pewne klasy społeczeństwa, nie zaś wszystkich swoich

rodaków i braci, którym Ojczyzna jest wspólną matką — a w tym ostatnim razie jest złym synem Ojczyzny.

4. Pytanie: Jak uważać miłość Ojczyzny ze strony religijnej?

Odpowiedź: Jako najświętsze wykonywanie miłości bliźniego, na większe, na społeczenské rozmiary. Właściwie zatem jedno i drugie to samo znaczy; kto bowiem kocha bliźniego, kocha tem samem cały lud, a zatem Ojczyznę. Miłość Ojczyzny niczem innym nie jest, jak miłością bliźniego, czyli spełnianiem boskich przykazań. Ślusnie więc mówimy, że miłość Ojczyzny jest rzeczą świętą.

5. Pytanie: Czy miłość bliźniego nie nakazuje nam kochać wszystkich ludzi, nie tylko swoich rodaków? Czy z tego nie wynika miłość całej ludzkości? Jak tę pogodzić z miłością Ojczyzny?

Odpowiedź: Bez wątpienia, miłość bliźniego każe nam kochać wszystkich ludzi, a zatem wiedzie nas do miłości całej ludzkości; — ale miłość ludzkości i miłość Ojczyzny nie są bynajmniej pomiędzy sobą sprzeczne, owszem podają sobie ręce wzajemnie. Lud kochać, czyż to nie jest najczystsza miłością ludzkości? Czyli prawdziwa miłość Ojczyzny prowadzi nas do czarnej zawiści i chęci szkodenia innym ludom, nastawiając na święte ich prawa? Tylko despotyzmy, które są pogwałceniem ludu, dopuszczają się takich szkodliwych czynów i rozbojów na wielką skalę; — miłość Ojczyzny, która jest miłością ludu, nigdy do niczego brzydkiego przywieść nie może, dlatego, że w samym gruncie swoim jest piękną i szlachetną.

Mniemając, że dla miłości ludzkości potrzeba się wyrzeknąć miłości Ojczyzny, byłoby równą niedorzecznością, jak utrzymywać, że dla tego potrzeba się wyrzeknąć ojca i matki. — Nie może kochać prawdziwie ludzkości, kto jest złym synem Ojczyzny, kto nie czyni zadość najbliższemu obowiązkom — i naodwrot, ten, który nie kłamliwymi i udanemi słowami, ale prawdziwym uczuciem zamiłował ludzkość, ten będzie pewnie kochał Ojczyznę ze wszystkiego serca swojego, ze wszystkich sił swoich. Zaprawdę, ci wszyscy, którzy kochają lud i własnych rodaków, jednem słowem Ojczyznę, ci wszyscy, powtarzam, kochają tem

samem całą ludzkość, i są ozdobą, zaszczytem, nie zaś zaklątą i wrogami ludzkiego plemienia.

6. Pytanie: Co pomyśleć o człowieku, który mówi, że cały świat jest jemu Ojczyzną i że tam jej szuka, gdzie mu się dobrze wiedzie?

Odpowiedź: Taki człowiek niewart jest żadnego szacunku, ani poważania u dobrze myślących, bo się tylko samolubstwem szkaradnym rządzi; idzie tylko za swoim interesem i dla niego się wyrzeka swoich rodaków i braci, znać ich nie chce, wypiera się nawet swojej Matki Ojczyzny, względem której jest synem wyrodnym. Po takim człowieku nie można się niczego dobrego i poczciwego spodziewać.

Taki człowiek nie czuje w swoim sercu żadnej miłości dla swoich bliźnich, dla nikogo na świecie i dlatego właśnie nie go nigdzie nie wiąże. Niechaj naród jęczy w niewoli, niechaj przepada — dla niego to wszystko jedno, byle jemu dobrze było. — Podobnych ludzi zwą kosmopolitami — od greckiego wyrazu, który znaczy to samo, co obywatel całego świata; — może właściwiej byłoby o nich powiedzieć, że są bez czci i wiary, a niewarci imienia człowieka. Kiedy szanować nie umieją węzłów ojczystych. Każdy, do którego wyobrażenia kosmopolityczne przylegają, od tej chwili przestaje być Polakiem i nie ma prawa ani Ojczyznę naszą, ani braterstwem naszym się szczyścić.

BALIŃSKI KAROL.

(1817—1864).

Ojciec poety, Tomasz Baliński, doktor medycyny wojsk rosyjskich, był przedtem lekarzem legionów w Hiszpanji; tam ożenił się z Hiszpanką, rodem z Madrytu, Marią Anną Orjan. Płynęła więc krew południowa w żyłach poety polskiego. Urodził się Baliński 21 maja r. 1817 w Dzierżkowicach, wsi, dzierżawionej przez ojca w Lubelskiem (pow. kraśnicki). Wkrótce potem ojciec przeniósł się do Jarosławca, wsi pod Uchaniami, należącej do Hrubieszowskiego Towarzystwa Rolniczego, której część nabył.

Tu upłynęło Karolowi kilka lat dziecińczych; i później przebywał tu nieraz; dlatego używał przez czas jakiś kryptonimu „Karol z Jarosławca”. W piątym roku życia był już sierotą po swoich rodzicach; wychowywał się odłą, wraz z młodszym rodzeństwem, pod opieką babki, pani Orjan, i starszego brata, Antoniego. Uczył się najpierw w szkole powiatowej w Hrubieszowie; następnie oddano go do liceum w Warszawie, pod kierunkiem Lindego zostającego. Pod wrażeniem powstania napisał Baliński pierwszy swój podobno utwór poetycki p. t. „Garyla-s” (niedruk).

W r. 1833, gdy był uczniem klasy ósmej przemianowanego już urzędownie na gimnazjum gubernjalne liceum, był Baliński wzięty za przyznanie się do napisania na tablicy, w dniu straszenia Artura Zawiszy, wiersza z Wirgiljusza („Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor”); napisał go, jak się później okazało, jeden z jego kolegów. Z przepięknego wspomnienia o latach młodzieńczych, „wstępu do pieśni” (wydanych w r. 1849), jak je nazywa, dowiadujemy się o uczuciach, rozpięających serca młodzieńskich liceistów „Poerzą i miłość ojczyzny skupiła nas, jeszcze wówczas studentów, w małe grono literacko-polityczne. Zbieraliśmy się zwykle wieczorami na poddaszu jednej z kamienic przy ulicy Młynnej w Warszawie. Do tego to Młynego poddasza odwołuje się w piosence mojej w Moskwie pisanej („Czy pamiętasz?”). Podda-

Opracował G. KOR BUT.

sze to, inaczej facjata zwane, długie, szerokie, ale ciemne i przez małość okien z dachu wysterczących i od mazy tytułowego dymu, nieastanne tworzącego obłoki, było ogniskiem, zbierającym w siebie całą prawie ówczesną mądrość warszawską, zaczynającą czuć i myśleć po polsku. Tam to czytaliśmy książki, zakazane przez cenzurę, a szczególnie bi-torj naszej dotychczas, — i poezję. Tam to nieraz, uniesieni czarodziejstwem wiary i poezji, wykryży namyzy chórem: „hej! ramię do ramienia!”, stawaliśmy kolem, niby opisując cały świat stary, i kończyliśmy z Mickiewiczem:

Dalej z posad bryło światła!
Nowemi cię pchniemy tory!...

Och! święć się! święć się wiecznie wieku młody!
Raz wpadły nam w ręce pamiętniki własne Kilińskiego. Cóż to była za uciecha! Dziś jeszcze ją pamiętam! Ten szewc zaryzykujący za warszatem tak wielkie zamiary, ten Polak prawdziwy, wierzący tylko w Boga i szablę swoją, ten pułkownik wojska narodowego, głośno i dumnie przyznający się do swojej dratwy, tak nam głowy zawrócił, taką w nich sprawił rewolucję, że wszyscy jednoogłusnie depucę pergaminowe szlachectwo, przezaliśmy się Szewcami. Szewcami — aby jak ów cechmistrz Kiliński z niczego dobić się poezdowi sławy; — Szewcami, aby jak on uragać lalkom uprzywilejowanym; — Szewcami nakoniec, aby jak on uszybył buty Koskałom — bo Niemców zostawialiśmy miłotom i ożogom przekupek warszawskich — i krakowskich“...

W tym czasie zapewne, Felician Fałenski był, jeszcze przed wejściem do szkół, uczniem Karola Balińskiego (zob. wspomnienia w „przedmowie” do „Pism Teodozjusza Krzywickiego”, Warszawa 1887, str. X).

Wraz z wielu innymi dzielniemi i gorąco miłującymi ojczyznę jednostkami należał Baliński do Stowarzyszenia Ludu Polskiego, które objęło cały kraj, 9 czerwca 1838 r. kilkudziesięciu związkowców, wśród nich Balińskiego, aresztowano w Warszawie i osadzono w cytadeli. W rok potem wywieziono Balińskiego na Sybir. Za miejsce pobytu wyznaczono nam Izym, o 300 wiorst od Tobolska oddalony, na stepach kirgizskich. Został w Izymie kilkunastu rodaków wygnanoć, między nimi Gustawa Zielińskiego, od r. 1835 tu przybywają ego, i Adolla Januszkiewicza. Przed wyjazdem na Sybir napisał Baliński „Pożegnanie do braci związkowych” i „Do piory” (druk. w „Demokracji Polskim” 1840 r.); w Izymie: „Obrazek” (druk. w „Przegl. Nauk. 1844), „Do współtowarzysza wygnania” i „Do majowego wietrzyka”. Uwolniony w r. 1842, w drodze powrotnej, w Moskwie, utworzył wzruszający wiersz „piosnkę” „Czy pamiętasz“?.

Powróciwszy do ziemi rodzinnej, przebywał otdąd Baliński najwięcej w Warszawie, częściej u braci w Jarosławcu. Należał wraz z Jaszem Majorkiewiczem, Henrykiem Kamińskim, Edwardem Dembowskim i kilku innymi, do grona entuzjastów i entuzj-tek, któżną przewodziła Zmichowska, a która skupiała się około „Przedładu Baskowego”, przez Hipolita Skimborowicza i Edwarda Dembowskiego od r. 1842 wydawanego. Kółko to, zbierające się „przy kominkowym ogniu” w domu Skimborowicza i jego żony Anny, uczestniczyła Gabriela we „Wstępem obrazku” do „Poganki”. Taż była Baliń-kiego charakterystyka autorka „Poganki”, „bo w tym roku właśnie swierzył w duchu, cuda i magnetyzm. Poprzedniej zimy był zapalonym beglistą; na przyszłą wiosnę mógł bardzo zupełnie człowiekiem się zrobić. Jego miłka i wrażliwa natura z otaczającemi ją tytulami zawsze się do równowagi układała. Ta własność asymlacji, ta własność przyswajania sobie z nazwątnr wewnętrznych sposobień i przekonań, była w nim nawet zupełn o odrębna oryginalnością. Wymawiano mu ją nieraz, lecz ja się umowałam, bo w tem korzyść nasza była — zupełnie jak gryby co kilka miesięcy przychodził nam kto czytać nową, a zawsze pięknym stylem napisaną książkę”.

W tym czasie wydał Baliński, wraz z Marcinem Ossoryją (Ciepląskim) noworoecznik na r. 1844 p. t. „Snopek Nadwiślański”, zawierający szereg utworów, wierszem i prozą, literatów ówczesnych warszawskich młodego pokolenia: „Snopek” ten wyszedł i na rok następny (1845); w obu tomikach umieścił Baliński kilka swoich utworów, mową wiązaną i niewiązaną napisanych.

Jednocześnie z pierwszym „Snopek” ukazał się w r. 1844 w „Bibliotece Warszawskiej” najcenniejszy utwór Balińskiego: „Farys-wieszcz”. Wyjaśniając genezę swoich utworów z przed r. 1850, Baliński podaje, że poemat ten natchnął związek księdza Kocięgienego. „Dzięki arabskiemu przebraniu szczęśliwie przeszedł cenzurę. Młodzież warszawska jednakże poznała owego sybirskiego brata pod tą suknią obcą i przyjęła go całem sercem. Ona zrozumiwała, że ten buragan stepowy, pochłaniający żywceem tyłu naszych braci — to...! Ona pojęła dobrze, że ci farysy, kochający tylko siebie i słońce — to bracia z Syberji — to ona sama — młodzież polska! I dostała mi się od nich jedyna nagroda, której pragnąłem: „cisza ona — święta, urecza z której odgadnie, że w duszach wielki zamiar się knęwa, co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie! cisza, co mówi, że ziarno wschodzi, i myśl kwiat wkrócie owocem zrodzi!”... „Smatek rozlany na „Probie o krzyżyk”... jest wiernem odbiciem zawiedzionych wyżej wspomnionego związku nadziei”. W jednym z listów Kornela Ujejskiego czytamy: „Podczas mojej bytności w Warszawie w r. 1844 kipiała ona pod

świeżem wrznięm „Farysa“ Balińskiego. Nadspodziewanie udało się „Bibliotece Warszawskiej“ przejąć go przez cenzurę, tym razem o zmezonem oku. Na stępacach kirgiskich musiał urodzić się ten syn Karola i pustyni. Z ucieszonej piersi skazańca wyleciał on jak płomień na lot, na oddech, na swobodę“ (Boberska K. Baliński).

Wciążęty do związku, na dni kilka przed wybuchem 1846 r. (a więc w lutym) napisał Baliński „Naszą pieśń“ — ale „przepowiednia była za wczesna“, powiada we „wstępie do pieśni“. Nie bawem został uwieczniony i osadzony po raz wtóry w cytadeli, gdzie przesiadził aż do kwietnia r. 1847; uwolnieni swoje zawzięcie oraz lekarzom więziennym, którzy przepowiedzieli rychłą jego śmierć, co się jednak nierychło sprawdziło. W cytadeli powstają: „Wierzeń do zbirów“, „To nie miłość“, „Żywy trup“, „Cześć szaleńcom“. W Jarosławcu, dokąd się udał po opuszczeniu więzienia, utworzył Baliński, przyciębnio wypadkami, „Jesień“ i „Kwiat tajemniczy“, poświęcony towarzysze więzienia, Teresie Kosowskiej, oraz w tym samym czasie zapewne wiersz „Do Narczyza“ (t. j. do Zmichowskiego), natchniony „tęj powieściami, w „Przejędźcie Naukowym“ umieszczonymi“ (t. j. „Poganka“ i „Książką pamiątek“). Pod wrznięm rewolucji francuskiej 1848 r. napisał Baliński duchem republikańskim przesiąkniętą „Piosnkę“, ale zagrożony ponownym uwieszeniem, opuścił Królestwo i schronił się w Galicję. Przechwał we Lwowie: wszedł do legionu gwardji narodowej, składającego się z młodzieży akademickiej, która go uwielbiała i powierzała mu odpowiedzialne stanowiska. Zaprzyjaźnił się z Szajnochą, z Ujejskim, z Bielowskim i z Polem. Wraz z Szajnochą i Ujejskim zamierzył wydawać dziennik p. t. „Krzyż a Miecz“, ale wypadki ówczesne udermiły ten zamiar; zamiast pisma, w nocy po bombardowaniu Lwowa (3 listopada 1848 r.) powstał wiersz Ujejskiego pod tym samym napisem.

Wypadki r. 1848 pobudziły Balińskiego do utworzenia wierszy: „Poeci przed Bogiem“, „Dzisiejszy rycerz“ i „Requiem staremu światu“; ostatni poświęcony „towarzyszom b. Legionu Akademickiego Lwowskiego“.

Wydalony ze Lwowa, wjechał Baliński do Poznania. Wr. 1849 wydał tu zbiór swoich poezji pod skrytym napisem „Pisma“. Od 7 stycznia do 24 czerwca r. 1850 wychodził pod redakcją Balińskiego w Poznaniu tygodnik „Krzyż a Miecz“ (wyszło nr. 25), podpisywany jako przez redaktora odpowiedzialnego, przez Ewarysta Estkowskiego, a wypełniany przeważnie artykułami pióra Balińskiego¹⁾. Na czele pierwszego numeru wydrukował Baliński

¹⁾ Artykuły te pisane w tonie biblijno-apostolskim — „objaw, jak właśnie uwaia Ujejski, powtarzający się u naszych poetów po wielkich klęskach politycznych, począwszy od Kochowskiego i Woronicza“.

niżej wspomniany Ujejskiego. Obostrenia prasowe w Prusach uniemożliwiły dłuższe wychodzenie pisma. Ogłosił w Poznaniu jeszcze kolekcję „Grosz wdowi“ (1851). Prześladowania polityczne musiał wrzesić Balińskiego Wielkopolską opuścić i podążyć do Paryża (1851). Osiała w Paryżu, zapoznaje się z Mickiewiczem, odwiedzi do Kola towarzyszyków i zwołuje serdeczne stosunki z Goszczyńskim, Nabelakiem i Karolem Różyckim (którego apoteozuje w późniejszych utworach swoich: w „Bratnim słowie“ i w „Haśle polskim“). Już dawniej w misticznie nastrojony, przeważny przez Zmichowską mistykę, Baliński łatwo się przejął doktryną Towiańskiego. Wszystko, co napisał w ciągu ostatnich lat dotychczas swego życia, ma charakter mełanizacji. Znalazłszy w dramatach sakramentalnych (autosach) Calderona, jak i Słowacki, nastroj mistyczny, pokrewny nastrojom, którym się przejmował, wyznawcy towarzyszy, Baliński pod wpływem i z zachęty Nabelaka, postanowił przełożyć niektóre z tych dramatów; ale zamiaru swego całkowicie nie wykonał, — ogłosił tylko „Kochanków nieba“ (1858), poprzedzwszy je wielce charakterystyczną przedmową, w formie listu do „brata Ludwika“ (t. j. do Nabelaka), w której zdaje mu sprawę z wrażeń, w ciągu pracy doznaných; sam bowiem w utworze Calderona widział „dramat dzisiejszy, odgrywający się nie na deskach teatru, ale na widowni świata — w życiu — na ziemi“. Misticzycyem przesiąkniętą są wszystkie utwory poetyckie Balińskiego, w tych latach emigracyjnych powstałe; jak „Myśli serdeczne“ (1854), „Śpiewakowi „Mohorta“ i „Wielkie słowo“ (1855), „Mądrość polska“ (1861), „Głos ludu polskiego w tysiącletnią rocznicę zgonu Piasta“ (1861), „Haślo polskie“ (1861), pod wrznięm wypadku z d. 8. kwietnia r. 1861. w Warszawie, na nutę „Przedświtu“ i „Dnia dzisiejszego“ Krakuskiego wypiewane, a „Jaśnie Oświeconej Łaską Bożą, Przewielbnej męstwem chrześcijańskim...“ Warszawa, ufajacej tylko Bogu...“ w najgłębszej czci, miłości i pokorze“ przez poetę złożone. Łubędzim śpiewem poety-tulacza był nieukończony poemat „Męczeństwo Zbawiciela“, ostatnia może mesjada w literaturze polskiej.

Po wybuchu powstania w r. 1863 Baliński postanowił wyjechać do kraju i wziąć w niem udział. Na wieść o przywiezieniu do Krakowa ranego w jednej z bitw brata, pośpieszył tam, ale sam już na pole walki udąć się nie mógł, zaniemógł bowiem na odrobinę; czas jakiś redagował jeszcze pismo „Wolność“; w październiku wjechał do Lwowa. Tu umarł d. 10 stycznia 1864 r.

Jeden z najserdeczniejszych, najszczerzych liryków naszych, Baliński unijmie nas gorącym umiłowanym Ojczyznę, które przekania wszystkie jego utwory. Ojczyzna jest głównym, jest jedynym częściej przedmiotem, jedynym żywiołem, jedyną niemal treścią jego poezji; jej ideał, gwiazda „umilowanej na wieki“, przyszłca mu

„Kilka słów o komedjach Szekspira”); artykuły w poznań. czasopiśmie „Krzyż i Miecz” z r. 1850 i w piśmie krakowskim „Wolność” (z r. 1863); w lwowskich „Nowinach” i „Dzienniku Literackim” (m. l. poem. „Tulaćce” i początek dzieła prozą, p. t. „Myśli narodu i jej koleje”). — W rękopisie pozostały: „Gerylasy”, poemat młodzieńczy, „Pisni do Bogarodzicy”, poem. (druk. tylko utępy), „Myśli narodu i jej koleje”. Rękopisy Karola Balińskiego podobnie przepadły; brat jego Aureli, umierając w Krakowie, kazał je sobie włożyć do trumny — jak zapewnia w liście prywatnym p. Izabela Zbiegniewska. — Ogłoszone przez Wójcickiego „Powieści luba” spisane z podań (Warszawa 1842) zebrane były przez inożytkarza Karola Balińskiego, imiennika poety (ur. w r. 1812); niektóre przedtem drukowane były w „Bibl. Warsz.” z r. 1841).

B. O Balińskim pisali: Ważny jest wstęp autobiograficzny do „Pism” 1849. — Najdokładniejszy życiorys utworzył F. Boberska: „Karol Baliński”, Kraków 1882 (toż w jej „Pismach”, Lwów 1868 i odb.). — Bielowski: Spomnienie o K. Balińskim, Biblioteka Ossolińskich 1864, t. IV (toż jako wstęp do poem. „Męczeństwo Zbawiciela” 1864). — Siemiński: „Michał i Karol Balińscy”, w „Portretach liter.” i w „Dzieliach” t. III (krótkie wspomnienie). — W. Kociatkiewicz: Życiorys K. B-go, Tyg. Nauk. i Literacki 1866, Lwów. — Słiński (H. Skimborowicz): Gabriela i Entuzjastki, Białystok 1880. — Chmielowski w W. Enc. Powsz. Ilustr. — K. Przegaliński: „Przyczyłki do życiorysu poety K. B-go”, Bibl. Warsz. 1907, listop. — Tenże: „Wspomnienie o znakomitym K. B-im, Ziemia Lubelska 1906, nr. 199—207. — K. W. Błeski: K. Ujejski, Lwów 1902 (m. l. wyjątek z listu do S. B. nocy z 1849, str. 284). — Oceny: Zdzisławowski: „Farys-zwycięzca”, „Byron i jego wiek” II. — Szezechowski: „Farys-zwycięzca”, („Pisma” I, Lwów, 1903). — List B-go do Odyńca z 3 paźdz. 1849, w Kron. Rodz. 1883. — Kąsinowski: K. B. 1817—1864. Kalendarium Powszechna 1914, nr. 14. Kąsinowski: Pamięci Karola Balińskiego. * 25. V. 1817. * 10. I. 1864. Literatura i sztuka, dodatek do Dziennika Poznań. 1914. Mirwiński: K. B. Studium biograficzno-literackie. Przew. Nauk. Liter. 1918.

Charakterystyczny jest sąd Bolesława Prusa o „Farysie” w wierszu Balińskiego, w rozprawie o „Farysie” Mickiewicza wypowiedziany (w „Książce zbiorowej ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza w stulecie rocznicy urodzin poety”, Petersburg 1890, przedtem w „Kraju” 1885). Dla Prusa, pozytywisty, oceniającego wszystko ze stanowiska użyteczności społecznej, Farys mickiewicowski nie jest rycerzem idei, lecz typem awanturnika z kręgi i kłosek, wieloentem najbardziej krańcowego indywidualizmu (bez miernego egoizmu i próżniactwa); cyganeria warszawska z takim właśnie, jak sądzi Prus, składała się farysów; „idea zatem po-

nie jest szkodliwa, taę bowiem farysowie nie są obywatelami, ale pasorzytami społeczeństw”. Baliński poszedł, zdaniem Prusa, śladem Mickiewicza i mimowoli pokazał nam skutki farysostwa; może kiedy Farys I był rozkukany, Farys II jest „bredzącym szwadem”... i t. d.

„Do współtowarzysza wygnania”.

(1840)

(„Pisma Karola Balińskiego”. Poznań 1849).

Wiel wiersza w całości brzmi: „Do współtowarzysza wygnania, żądającego pniał w Sybirze”; w „Kilku pracach literackich Karola Balińskiego” (Warszawa 1845) wydrukowany p. t. „Do przyjaciela”.

Jeszcze chcesz pieśni? — lubisz pieśń pogrzebu?
Pogrzebu szczęścia? — innych zapomniałem.
Inne przebrzmiały. — Patrz — spojrzysz ku niebu —
Widzisz tę chmurę w przestrzowiu wspaniałem!

Blyszczy, zachodniem ozięcona słońcem,
Buja rozkosznie, wznosi się i plonie,
Lecz zającie słońca i jej blasku końcem,
Zawieje wichur i w przepaść pochłonie!

Jak promień słońca, tak uśmiech kobiety,
Gdy po raz pierwszy w mem sercu zaświecił,
Chwyteńm lutnię i śpiewem poety
Głosiłem uczucia, jakie w mnie wzniesił.

Lecz gdy Adama usłyszałem pienia,
Kłóremi Laurę wstał w czas daleki,
Rzuciłem lutnię i śród obrurzenia
Przestałem śpiewać — myśląc, że na wieki:

I w głębi serca poetężi uczucie,
Boskie sny duszy, czarowne marzenia,
Zamknąłem w silne milczenia okucie,
Śpiewałem w duszy — sam słuchałem pienia!

Jak promień światny, gdy go słońce cisnie
W śnieg lodowaty, a ten go odrzeli,

W milion się jasných gwiazdeczek rozprysnie,
W milion się tęczy kolorów rozdzieli, —

Tak kiedy bole mego plemienia
Strzeliły w serce współczucia promieniem,
Promień ten w duszy milion rozpromienia,
I milionowem dręczył mnie cierpieniem!

Spojrzałem wkoło — wszędzie cichość guchaa,
Lutnie nie dźwięczą i bardy nie pieją;
Więc chwytam lutnię i w potęgę ducha
Śpiewałem z wiarą, miłością, nadzieją!

Komu tak daszę paliły te śpiewy
Jak mnie, gdy w serca powstawały głębi,
Kto uczuł wrzące mych uczuć wylewy,
Temu się serce nieprędko oziębi.

Słuchacze znikli — i pieśni skonały.
Dziś, gdy o szczęściu tak trudno nam roić,
Chceszże te tony, co w niebo wlatowały,
Na ziemską nutę przestroić?

Iszym, na stepach kirgiskich 1840 r.

„Farys-wieszcz”.

(1844)

Wydrukowany po raz pierwszy w „Bibliotece Warszawskiej” z r. 1844, b
na podstawie tekstu w „Pismach” (Poznań 1849).

O! i ja niegdys byłem Farysem!
Lecz czyż wy wiecie, co Farys znaczy?!
Ha! niech step mówi swoim opisem!
Olbryzma, olbryzm niech wytlumaczy!
On tylko jeden prawdę wam powie,
Jemu więc wiercie, jak koranowi:

„Farys” — step mówi — „to dziecko moje!
To duch tęsknoty nieba trawiony —
Zestany tutaj na ciągle boje,
Na ciągłych pragnień żar niezgaszony!
A tak ma brzecha nieba i słońca,
Ze tylko za niem pędzi bez końca.

I nie go w pędzie wstrzymać nie zdoła! —
Ani urecej cienie oazy,
Ni beduinka głosem aniola
I blaskiem oczu — miłszym sto razy!
Próżne pokusy! — bo tacy gońce
Kochają tylko niebo i słońce!”.

Więc jam był gońcem — i gońców bardem. —
Cudneż to było to nasze grono!
Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą
I z tem ramieniem młodzieńczem, bardem,
Co krawędź nieba z światła świata
Sili się spoić — wierząc, że zbiera!

Patrzcie tam — wkoło piaszczyste wzgórza
Niby umyślane stane mogiły —
Czasem się z głębi szkielec wynurza —
Spytaj szkieleców, czemu one były!.,
Ha! te mogiły Arabistan!.,
To tylko ślady stóp huraganu!

On to Farysów pochłonił w sobie!
Pochłonił żywcem braci kochanych!
Jam tylko jeden został na grobie,
Na grobie gońców — już zapomnianych!.,
Czy to jest łaska, czy kara nieba:
Allah żyć kazal, więc żyć potrzeba!

Jak młode orle z złamanym skrzydłem,
Co się już nigdy w niebo nie wzniesie,
Żyć, żyćem goda, gnusnem, przebrzydem,
W tych smutnych murów ciasnym zakresie!.,
Ha! próżne żale! śpiewaj Fajaco!
Tylko zabawnie — bo nie zapnęą!

O! wieczna hańba! wieczna sromota!
Ja, Farys, piewca z niebios natchniony,
Pieśń mą na ziemskie przestrajad tony,
Pieśń mą sprzedawać muszę za złoto!
By czem okupić cień cudzej strzechy!
Lub zgłuszyć z nędzy szrydzące śmiechy!

Oni nie wiedzą, że wieszczą pienie
Jest jako słońce na niebios sklepie,
Co na wszelkhalnie Boga skinienie
Świeci wędrowcom błądzącym w stepie —

A przecież słońcu nie płacisz za to,
Że cię zbawienną poi oświatą!

Oni nie wiedzą, że wieszczą śpiewy
Jak ów dziewiczej ogień miłości,
Co za niebiańskie swoje wylewy
Nic! nie nie pragnie — prócz wzajemności!
Sprzedawać miłość — hanba kobiecie!
Sprzedawać śpiewy — hanba poecie!

Przecież tą hańbą włokę dziś życie!
Allahu! jakże dręczysz mnie srogo!
I jeszcze nieraz ktoś niby skrycie,
Niby poeichu powie: „za drogo”.
Za drogo mówisz?... powiedzcie, bracie,
W jakiejż wy cenie życie sprzedacie?...

Bo słuchaj! — pieśń ma to cząstka życia,
Tam jest krew moja, tam są bzy moje,
I mego serca gwałtowne bicie,
I uczuć moich i myśli roje!
A każdą żeby dostać, wyjawić,
Muszę wprzód serce mocno rozkrwawić!

Więc cóż? za drogo?... O! bądźcie szerszi!
Gdyby wam przyszło życiem trzymarzyć,
Jak ja, pelikan, rozrywać piersi,
By krwi za cenę złota dostarczyć,
W jakiejżby cenie była kropelka
Krwii lub bzy waszej — choćoby niewielka?...

Męczarnia wieszczą w chwili tworzenia,
To boleść matki w chwili porodu —
Ile wiał życia do swego płodu,
Tyle wziął życia z swego istnienia —
Ile on pieśni dla was utworzył,
O tyle kroków grób swój przysporzył!

Czasem, w dodatku — słyżę oklaski —
Szczere czy zwodne — wszystko mi jedno!
Znam tych błyskawic przełotne blaski!
Znam ich grubość i trwałość biedną!
Wasze pochwały — toć to sztyrdstwo!
Wasze pochwały — toć to bluźnierstwo!

Gdy syn rozpaczną pięścią kołaczę
W grób, co mu drogą matkę ukrywa,
Czem nie mówicie, że ślicznie płacze?
Czem nie mówicie, że z czuciem śpiewa?
Jak ta Iza syna na matki grobie,
Tę samą szczeroseń śpiew mój ma w sobie!

A więc porzućcie marne pochwały,
Gdy śpiew mój święty, jako Iza syna,
Nie takie wieńce wieszczom przystały!
Wieszcz takie wieńce depce, przeklina!
Duch jego wielki i wiecznie młody
Innej — a! innej! żąda nagrody!

Nagroda piewcy — to cisza owa
Święta, uroczna, z której odgadnie,
Że w duszach wielki zamiar się knowa,
Co kiedyś światu zagzami wszechwładnie.
Cisza, co mówi, że ziarno wschodzi
I myśl-kwiat wkróci. owoc-czyn zrodzi!

Nagroda piewcy — to te spojżenia,
Co świecą całym duszy wulkanem!
Krótkie, mierzące dłoni ściśnienia
Z westchnieniem długo w piersi stłumianem;
I owa chmura cieniąca czoła,
Z której polyska miecz Archaniola!

To mi nagroda L. jam ją odbierał!
Wkoło mnie stali bracia Farysy,
Každy pieśń moją sercem pożerał,
Pieśń ma wnikała w ich twarży rysy,
W krew tych serc wielkich, w ich myśli gniazdo,
Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą!

Farysy znikli! — głucho na stepach!
A w stepie życia, och! smutniej jeszcze!
Czasami tylko wiatr zaszeleszeze,
Dmąc po wywianych czaszek czerepach!
On wszystko wywiał! — wszystko przewiał,
Co było enotą, prawdziwą chwiałą!

O! i mnie pora spocząć w mogile,
Zasnąć snem braci błogosławionych!
Aż kiedyś, kiedyś, za męczarni łyle,
Gdy głos Allaha, budząc uśpionych,

Na swoje rajskie zwoła ogrody —
I ja niebiańskiej doznam nagrody!

W tyn Boskim raju, w tem siódmem niebie,
W waszej ojeździe, o! prawowierni!
Allah mnie wielki wezwie do siebie,
Zdejmie mi z głowy ten wieńiec z cierni
I zmię, tyłą krwi przesiąkniętą,
Wyrwie mi z serca pamięć przekłętą!

I najcudniejsze wezwie dziewice
I rzeknie; służcie jak Padyśzachu!
Ja — i nie spojrzę nawet w ich lice,
Ale z pokorą powiem: „Allahu!
Jam tylko prawdy szukał na świecie!
Czyż taką miłość znajduję w kobiecie?!

Nie chcę hurysy! choćby piękniejszej
Od tej, com niegdyś kochał na ziemi —
Lecz ja nie gardzę dary twojami —
Ja tylko łaski błagam pełniejszej...
Za wszystkie, wszystkie twoje hurysy
Niech wstaną moi bracia Farysy!...

I pozwól! pozwól choćby na chwilkę
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów,
I w dawną naszą młodzieńczej sile
Pobujać orlim lotem Farysów!
I piersi dawnem orzeźwić biciem,
I dawnem naszym zabłysnąć życiem!

Allah wysłucha — wnet grzmiące głosy
Wystraszą w głębi śpiących tygrysów,
I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy!...
Widzieć raz w życiu polot Farysów!
Może wam wówczas, biedne robaki!
Przyjdzie ochota do jazdy takiej.

„Do Narcyzy”.¹⁾

(1847)

(Po przeczytaniu jej powieści, umieszczonych w Przeglądzie Naukowym
Warszawskim).

Czyj to głos słyszę po tak długiej ciszy?
Czyj śpiew tak silny, że do mnie dolata!
Może to który z dawnych towarzyszy
Zatęsknił do mnie — tam, z lepszego świata?
O nie! choć silny, jest to głos kobiety!
A jaśny, święty, aż serce weseli —
Pod skromną szalą tętni pieśń poety!...
Taka bogata!... ach, to Gabryjeli!

I nagle brudna zazdrość mnie owładła,
I wzięła górę nad sercem, nademną;
Myślałem sobie: wkoło mnie tak ciemno...
Tak zimno, smutno, i biada bez końca;
A ona? proszę! skąd ona wykradła
Tyle brylantów, tyle złota, słońca?
A tak tym skarbem szasta i swawoli!
Ho, ho! znać dobrze, że serce nie boli!...

Myślałem długo — dziś już się nie troszczę —
Już się nie dziwię — choć jeszcze zazdroścę —
Dziś już wiem wszystko — nie twoje to dzieło!
To jakiś genjusz wznosił cię tak wysoko
Nad nasze chmury — że już twoje oko
Z kolebką słońca narówni stanęło;
I tak się bawisz blaski słończennymi,
Żeś zapomniata o bólach, o ziemi!

A two brylanty? to jest prosto... rosa,
Którą kwiat raju skrapiają niebiosy —
Masz ją pod ręką, zręczasz — a w przelocie
Ścietą w kryształ chłodem biednej ziemi,
Z wszystkiemi swemi barwy tężowemi
Spada przed nami, jak brylantów krocie,
Widzisz! wiem wszystko — mam twą tajemnicę,
Opłać się dobrze — bo wszystkim wyświecę.

Wiek nasz, Narcyzo! wszak wiesz — to nie głupiec,
A on naucza: ten człowiek, kto kupiec!

¹⁾ Zmichowskiej.

Wszystko sprzedawać, nie darmo nie tracić,
Nawet z sumieniem dla złota się rozstać;
Więc tajemnicę musisz mi zapłacić!
Przecież raz w życiu muszę mądrym zostać.
Rozumni mówią, żeś wiek darmo strawił,
Więc gwałtem trzebsa, żebym się poprawił.

A przedewszystkiem potrzebne mi ciepło,
Bo u mnie zimno! aż serce mi skrzepło.
Gdy zacznę śpiewać — to stęzale głonie
Wejść uderzają w jakąś tęskną nutę,
I z pieśni zaraz takie zimno wionie,
Takie grobowe, tak gorzkie, zatrute!...
Rzuć mi garść myśli! — niech błysną przedemną,
Niech mi choć chwileć nie będzie tak ciemno!

Przy twoich myśli niezłomnym polysku
Raz jeszcze zajrzę w serca mego tonie,
Może w tem zgasłych wulkanów siedlisku
Pod chłodną lawą choć isierka płonie!
Może w tej piersi, w tej lutni zgwiezionej
Choć jedna strona wyda dźwięki żywe!...
Poświeć! bo powiem cizbie zadziwionej,
Że wszystkie twoje brylanty... faksywe! —

P. S.

Roznowę naszą ludzie usłyszeli —
Rzekli: — milcz lepiej, bo chwalisz za mało;
Oni, jak zwykle, i dziś nie pojęli,
Żem ani myślał czczyć Ciebie pochwałą!
Ja tylko widzę, że masz pełno słoneca,
A u mnie ciemność i ciemność bez końca!
Idę więc k'Tobie z tą prośbą serdeczną,
Choćby o jedną isierkę słoneczną!

MAJORKIEWICZ JAN.

(1820—1847).

Pisarz wszechstronny i utalentowany, pracujący w dziedzinie filozofii, prawa, historii, historii literatury i krytyki literackiej, człowiek obrzyniej pracy, obszernej wiedzy, szlachetnych i szczytlnych dążeń — urodził się 1 czerwca r. 1820 w Płońsku, na Mazowszu. Ojciec jego miał tam dużą posiadłość i zajmował stanowisko burmistrza. Kształcił się naprzód w szkole OO. Reformatorów w Żurominie, potem w gimnazjum plockiem. Lata swoje szkolne wspomina rzewnie w szkicu p. t. „Młodość moja i przejażdki po kraju”¹⁾. Opowiada o księtach-profesorach „z ich białemi paskami, kręconemi w spły, któreśny zwali ogórkami”, o „erratach”, audytorach, rachunku sumienia w sobotę za cały tydzień, poszanowaniu Alwara (choć z niego już nie uczono), uczeniu się konjugacyi i deklinacyi pod okiem „dyrektorów” i innych zwyczajach, „zachowanych w owym ustroju z naszej edukacyi staropolskiej”²⁾. Płock znowu wywierał nań silne wrażenie malowniczością swego położenia, wspomnieniami historycznymi oraz powagą swych kościołów i klasztorów, z którymi fantazyja ludowa wiązała rozmaite straszne baśnie i legendy. I tutaj miał nauczycieli, których wspominał później z żywą wdzięcznością, jak np. ks. Justynjana Strzałeckiego, nauczyciela języka polskiego, który go zachęcał do czytania Skargi i rozbudził w nim zamiłowanie do historii. Wspomina, również o prof. Augustynie Żdzarskim³⁾. Cichy, skromny, pracowity, skupiony w sobie chłopak musiał już wówczas zarabiać (czy też dorabiał) na życie; jako korepetytor odznaczał się łagodnością, sumiennnością, zamiłowaniem do nauczania, nie skarżył się nigdy na nie, sływał z religijności i pobożności, która zjednała mu nawet przyjaźń jakiegoś sąsiadki staruszkii. Napisał dla niej piękną modlitwę

1) „Przegląd Naukowy”, 1844, t. II-gi.

2) Tamże. (Toż w „Pismach pomniejszych” Warszawa, 1852, II, 11).

3) Obacz „Dzieje serca i rozumu”, Warszawa 1851, str. 95 oraz „Historja literatury i krytykę”, Warszawa, 1850, str. 216.

do Matki Boskiej, czem ujął ją sobie tak, że kiedy spadło nań pewnego razu niesławne posiadanie o jakiej przekroczenie w szkole, starszka udął się do dyrektora i pokazywał mu tę modlitwę, zdolała go przekonać, że chłopak, który takie rzeczy pisze, nie może dopuścić się żadnych złośliwych wyryków¹⁾.

Gimnazjum ukończył Majorkiewicz w r. 1841. Później udał się prawdopodobnie do Warszawy na kursa pedagogiczne i prawne, a w końcu — jak powiada Głuszyński — „korzystając z wielkiego dobrodziejstwa rzędu, który otwierał drogę do nabycia obszerniejszych i oszczędniejszych wiadomości, pojechał do Moskwy na uniwersytet i tam przez 4 lata słuchał kursów prawnych²⁾. Podczas krótkiego pobytu w Warszawie zdolał prawdopodobnie zawiązać pewne stosunki z czasopismami warszawskimi, może poznał się już wówczas z E. Dembowskim oraz kółem entuzjastów i entuzjastek, gdyż od chwili ukazania się „Przeglądu Naukowego” zasiało pismo stałe, początkowo korespondencjami, potem artykułami różnej treści, nadsypaniem z Moskwy.

O jego pobycie w Moskwie niema bliższych wiadomości. Z jednej korespondencji, zamieszczonej w „Przeglądzie Naukowym”³⁾, można wywnioskować, że studjował z zapalem i intensywnie. Informując tam z zachwytem o profesora encyklopedji prawa, Redlinie, pisze między innymi: „Rozkosz była słuchać Go... z każdej prelekcji wychodził się szczęśliwszy, oświeceniwszy, lepszy”. Słuchał tam również prof. prawa, Ignacego Daniłowicza, o którym wspomina w „Dziejach serca i rozumu” (str. 104 i 112). Szeroki zakres i gorączkowskie niemal try studjów widoczna jest z artykułów i rozpraw z rozmaitych dziedzin wiedzy, jakie pisze wówczas, jak również z przygotowywanej w tym czasie większej pracy p. t. „Dzieje serca i rozumu” (uczucia i wiedzy), która ogłoszona została dopiero po śmierci autora⁴⁾.

Po ukończeniu uniwersytetu powraca Majorkiewicz do kraju i zostaje aplikantem sądowym przy trybunale plockim. W r. 1845 przeniesiono go do Warszawy, a w r. 1846 dostał się do biura Komisji Sprawiedliwości, wszędzie cenny i lubiany dla swej pracowitości, wykształcenia i słodczy charakteru. W tym czasie rozwinął bardzo intensywną działalność piśmienniczą, pisywał stale do „Przeglądu Naukowego”, a poza tem przygotowywał większą pracę p. t. „Historja, literatura i krytyka”. „Choroba pierwsza —

jak świadczy Wójcicki¹⁾ — spowodowana nadludzką pracą, przyśpiesza go do śmiertelnego łoża”. Umarł 23 marca 1847, nie zdolał wykończyć należycie swego dzieła o literaturze polskiej, ani opracować wielu pomysłów i zagadnień, które nieustannie nurtowały jego bogaty i żywy umysł.

Rozpoczął pisać i drukować bardzo wczesnie, bo jeszcze będąc w gimnazjum. W r. 1840 zjawiają się w „Piśmiennictwie krajowym” pierwsze jego prace: „O filozofji życia” — „Miało Płońsk” — „Porządkowanie wiadomości ludzkich”. W r. 1841 drukuje „Nadwislania” 6 jego artykułów, z których jeden, a mianowicie: „Wyśli i uwagi” nosi adnotację: „Pisałem w Plocku 1839 r.” W tymże roku zamieszcza młody autor w „Przeglądzie Warszawskim” własną przekład Cicerona przez Klemensa Zukońskiego oraz obrazu „Myśli” Boehmera. — Pierwsze te próby trąca oczywiście jeszcze lawą szkolną, ale zadziwiają poruszenie w nich tematy oraz zakres zainteresowań i lektry. W artykule „O filozofji życia” pisze o stosunku człowieka do towarzystwa, o jednym, wiecznym i niezmiennym duchu ludzkości, o konieczności doskonalenia się, które na tem polega, „aby ludzie tracili indywidualność, a dzieląc się jako cząstki, jako organa ludzkości”; wzywa do obudzenia w sobie „tego zmysłu wewnętrznego, tej rozwiagi, która nie pozwala człowiekowi woli, ani walepać na życie współczesne, w którym nie widąc najwyższego uczucia, myśli i woli, lecz tylko ich parodie — wznosi protestate przeciwko odróżnianiu praw moralnych od ustawowych, które — według niego — stanowią jedną, nierozdzielalną całość; prawda moralności wyrzysą w sercu i prowadzą do praw umysłowych (Piśm. kraj. 1840, Nr. 40, str. 1—4). W artykule p. t. „Porządkowanie wiadomości ludzkich” stawia on pożytku jako podstawy życia człowieka i wartości nauki.

W pracach umieszczonych w „Nadwislaniu”, zastanawia się nad „periodami dziejów filozofji” i „rozporządkowaniem dziejów filozofji” (zapewne na podstawie cytowanych w tych artykułach dzieł Heraklida i Kiesewettera), pisze o filozofie z XVI w. Jakóbie Górskim i wzywa do złączenia się dawniejszej filozofji polskiej, ocenia „kroki rys geografji J. Presioskiego”, zwracając na liczne błędy metodyczne i brak metody naukowej, streszcza w rozprawie p. t. „O ziemności pism filozoficznych niemieckich” przedmowę Schellinga do przekładu niemieckiego „Kursu filozofji” Consina, przytem nazywa Schellinga „najznakomitszym dziś przedstawicielem filozofji w Niemczech” — wreszcie we wspomnianym już artykule p. t. „Myśli i uwagi” daje jakby własne „filozoficzne” wyznaczenie

¹⁾ K. Wł. Wójcicki: „Cmentarz powązkowski”, Warszawa 1855, t. I.
²⁾ Michał Głuszyński: „Rozmaitości naukowe i literackie”, Warszawa 1850, t. V, str. 14.

³⁾ Wyjątek z listu słuchacza Uniwersytetu Moskiewskiego „Przegląd Naukowy”, 1842, t. II-gi.

⁴⁾ Ze pisma była w Moskwie, świadczą o tem liczne wzmianki w tekście, jak również opinia Wójcickiego 6. c. str. 47.

¹⁾ J. L. c. str. 49 oraz wstęp do „Zwrotu trzeciego literatury polskiej” Majorkiewicza (Hist. lit. i krytyka str. 312).

wiary. Szczęście człowieka polega na harmonijnej uprawie ducha i materji, gdyż jesteśmy „duchem związani z Bogiem, ciałem z materijnym światem”; postępować należy tak, jakśmy poznali i uczuli, poznając zaś nasze i wiedza „zakwita na niwie uczucia“; *) oboje główne myśli tej rozprawki, które w związku z uwagami o „filozofji życia” zasługują na uwagę, gdyż będą w późniejszych pismach Majorkiewicza szerzej rozwijane i pogłębiane i staną się jakby pierwszym rzutem, szkicem do własnego poglądu na świat.

Od r. 1842 rozpoczyna się współpracownictwo Majorkiewicza w „Przeglądzie Naukowym”; w ciągu lat 5 zamieszcza tu mnóstwo większych i mniejszych rozpraw, artykułów, szkiców, recenzji i polemik z najrozmaitszych dziedzin wiedzy: filozofji, historii, literatury, prawa, pedagogji i geografji (obok kilku opisów podróży). Zakres wprawdzie nieco szerszy od współczesnych prac Edwarda Dembowskiego (gdźy ten pisywał i o naukach przyrodniczych oraz uprawiał poezję), ale w każdym razie imponujący wszechstronnością i oczytaniem. Majorkiewicz nie posiada może umyślnie tak lotnego, a prztem tak pojemnego, jak Dembowski, niema jego wyobraźni bujnej, jego rozmachu i szerokich rzutów — ale jest zato spokojniejszy, gruntowniejszy, głębszy, a w każdym razie samodzielniejszy. Od pierwszego wystąpienia jego znać w nas wytyśzoną dążność do objęcia jak najszerszych obszarów wiedzy, zaś poznania się z metodami wszelkich nauk i stworzenia sobie własnej filozofji, własnego poglądu na świat, własnych kryteriów ocen i sądu. Praca to żmudna, ciężka, najęzona tysiącem przeszłości, narazająca na wiele prób nieudanych, wahań się, zawońdów, pominięć. Jest ich wiele w pismach Majorkiewicza, wiele też sprzeciwności, czasem chaos, trudny do ujęcia, czasem powikłania niemożliwe do rozplątania — ale jest i pewien postęp stały i widoczny, pewne klarowanie się myśli, opanowywanie zagadnień, coraz większa konsolidacja i zwartość wywodów szczegółowych — jest w końcuż żywy, pogłębiający się i bogocący umysł, serce zacne i silne, chętne. Ostatniego słowa Majorkiewicz wypowiedzieć nie mógł — budowę swej myśli pozostawił nieskończoną, urwaną, niemal w powłokę, zakrągloną, do szczegółów obrabionego systemu nie opracował; ale pewien zarys ogólny pozostał i można go szkicowo z pism jego odtwożyć.

Centralnym zagadnieniem, około którego porusza się myśl Majorkiewicza, jest stworzenie uniwersalnego poglądu na świat, któryby zamykał w sobie wszystkie dotychczasowe zdobycze ludzkości, niezego nie uroił, a służył sprawie życia. Przewodzi do filozofja, jako „dążność do poznania tego, co jest”, jako „zasada

*) „Nadwielizain” 1841, t. I, str. 157.

wszelkiej nauki“¹⁾, jako „rozumienie się treści“²⁾ — filozofja, pojęta jako suma wysiłków umysłowych ludzkości, a bynajmniej nie jako jeden systemat filozoficzny, zamknięty w sobie i wyłączający wszelkie inne. „W myśleniu pokazała potrzeba, — powiada M. — że wszystkie systemata, które istniały w ludzkości i wywierały wpływ jakikolwiek, leżały w naturze człowieka i musiały konieczną pokazać się i zginąć. Tym sposobem nietylko nie będziemy nieświadziłi różnorodności pojęć, ale owszem cieszyć się będziemy, że rozmaite systemata zostały na wielkopomną pamięć życia ludzkości umysłowego, a gdy się który systemat odrodzi, przekonamy się, że była konieczna potrzeba odrodzenia się i zmartwychwstania“. Nie ten bowiem jest apostołem prawdy, kto ją widzi w jednej sekcje, kto chwali jednego filozofa, a gani innego, ale ten, kto rozumie wszystkich, „widzi jasno powody historyczne wszystkich sekt, stronnictw i systematów“ — dla którego imię każdego filozofa jest „tonem tej odwiecznej harmonji, eo świat z niezego wyprowadziła i żyje w rozmaitości przeziwieństw, składających życie“³⁾. Wobec takiego zasadniczego stanowiska nie może M. (jak i inni filozofowie polscy) uznać żadnego z tych systematów filozoficznych, które jedną władzę człowieka wysuwają naprzód i ją uważają za równoznaczną z istnieniem. Błędna jest według niego zasada, jakoby człowiek dlatego jedynie istniał, że myśli. „Człowiek — powiada — zdaje mi się dlatego istnieć, że jest duchem, a duch ma oprócz władzy myślenia, władzę woli, zapomocą której przerabia myślenie w ilo praktycznego życia“⁴⁾. I w innym miejscu: „W życiu człowieka uczucie jest jednym czynnikiem, myśl drugim, a wola łączy je w jeden stół i przedstawia pełnię filozoficzną“⁵⁾. Jakkż jest rola tych wszystkich władz? „Oto myślenie daje naukę, wola tworzy dobro, a uczucie jest przedmiotem (7) obojga — ogniskiem życia“⁶⁾. Dziedzin tych odrębnych nie należy mieszać ze sobą. Filozofja ma na celu zaspokojenie naszej myśli na drodze rozumowania, nie zaś zaspokojenie woli — nie może dać tylko czyn“⁷⁾. Z drugiej strony jednak istnieje między wola i życiem ścisły związek... „Myśl prawdziwa jest owocem prawego życia, zła zasada zaś płynie z życia zepsutego, skąd wa-

1) „Encyklopedia i metodologia prawa“ — Przegląd Naukowy, 1843, str. 34—35 (tut. Pisma pomniejsze, II).

2) „Szkice o uprawie filozofji“ ib. I, IV, str. 142.

3) „Zasada filozofji w człowieku“, Pisma pomniejsze J. Majorkiewicza, Warszawa 1852, I, 210—211.

4) „Myśl i wola“ Mazura nad dziełem T. Szczerbińskiego... „Przegląd Naukowy“ 1842, II, 1119.

5) „Szkice o uprawie filozofji w Polsce“, ib. 1843, IV, 138.

6) „Rzeczy filozoficzne“ ib. 1846, I. (Tut. Pisma pomniejsze I, 217).

7) „Rzeczy filozoficzne“, Przegl. Nauk. 1845, IV. (Tut. Pisma pomniejsze I, 191).

pory zgnie wchodzą w sferę myślenia. Największe i najszkodliwsze błędy w myśleniu powstały w czasie największego zepsucia¹⁾. Dalejz ciąg tego samego zidania świadczy o tem, że w poglądzie na świat Majorkiewicza do życia wszystko się ściąga i jemu powinno służyć. Życie, a nie myślenie jest zasługą człowieka, życie, nie myślenie uszlachetnia społeczeństwo; bo myślenie jest częścią życia, a życie normalnie się rozwijające nie pozwala skrzywić się myśleniu²⁾. Życie jest nietylko podłożem, na którym się wszystkie rozwija, ale i sprawdzianem wszelkich teoryj. „Probiereczym kamieniem wszystkich naszych wyobrażeń, ich prawdy i praktyczności, to jest znaczenia wpływowego, są dzieje. Pojmowanie rzeczy niehistoryczne, nie oparte na dziejach przeszłości... wprowadza nas na morze błędów³⁾. I „nauka powinna nietylko przedstawiać to, co jest, ale posuwać, kształcić i rozwijać życie“, a to przez rozszerzenie doświadczenia, zapalenie chęci do dobrego, rozwijanie charakteru i przyłogosowanie woli do spraw życia⁴⁾. „Wszystkie nauki mają jednakie prawo obywatelstwa, bo wszystkie wypłynęły z potrzeb ducha ludzkiego — pierwszeństwo przed innymi mają te, co się najściślej wiążą z potrzebami ciągle rozwijającego się społeczeństwa, t. j. rozwijając władze, dają zarazem wiadomości przydatne do życia (historja, nauki przyrodzone). Inne nauki są nie mniej ważne, ale nietylko konieczne, i dlatego stanowią przedmiot zajęcia jakby wyłączonej kasty, t. j. specjalnych uczonych, np. matematyka, języki starożytne...“⁵⁾. Nie ujmując zupełnie zasług ani nie obniżając czci dla uczonych, powiada jednak M., że „inna rzecz człowiek, inna uczoney — ostatni należy do kasty, pierwszym każdy z nas być może i powinien“⁶⁾. Uczonym zaś przypomina, że „medry od ludów się uczą i tylko o tyle posunąć się mogą w rozwinięciu, ile się od nich nauczyli, i o ile sami się tą organiczną siłą rozwijają, a nie zewnętrznie, sztucznie, obcami tej sile żywiołami“⁷⁾.

Tak się przedstawiają w ogólnem streszczeniu najważniejsze zasady poglądu na świat Majorkiewicza. Nie sformułował on ich, jak już wspomnieliśmy, w sposób wyczerpujący i systematyczny, lecz raczej w szkicach, rzatach, pomysłach, nie wolnych od sprzeczności i niejasności. W każdym bądź razie ogólny bieg jego myśli jest na tyle wyraźny i jasny, że nie można go uważać (jak to

¹⁾ „Myśli i uwagi Mazara nad dziełem T. Szezenjowskiego...“ *Przegl. Nauk.* 1842, II, 117.

²⁾ „Rzecz o historii powszechnej“ *Przegl. Nauk.*, 1847, II (Pisma poma. I, 103).

³⁾ „Pewna w myśleniu i dczinaniu“ (Pisma poma. I, 226).

⁴⁾ „Rzecz o historii geografij“ *Przegl. Nauk.* 1843, III, 198.

⁵⁾ „Siódmo o uprawie filozofij“, ib. t. IV, 143.

⁶⁾ „Myśli i uwagi Mazara nad dziełem T. Szezenjowskiego...“ ib. 1842, II, 117.

oznani Struve) za „zajmującego wogóle stanowisko racjonalne filozofji Hegla“¹⁾. Broni on wprawdzie rozumu i nawet racjonalizmu w pewnem znaczeniu, broni go przed obskurantyzmem i ciemnotą estetycznych pseudofilozofów krajowych — o Heglu mówi zawsze z najwyższem uznaniem, jego metodę dialektyczną uważa za wyższą od wszystkich innych, nazwisko Schellinga łączy się u niego zawsze z entuzjastycznymi okrzykami, od obu tych filozofów wiele korzysta — ale pomimo to wszystko stara się wyjść poza całe filozofję idealistyczną niemiecką, poza jaźń Fichtego, absolut Schellinga i ideę Hegla²⁾ i istoty bytu szukać w bycie samym, w życiu, tej „harmonij przeciwieństw“, od niego uzależnić myśl, z niem łączyć jej bieg, wysiłek jej uczynić równocześnie wynikiem i źródłem życia, życiem mierzyć jej wartość i trwałość. „Jakże poznać prawdę? Poznasz ją, — powiada — przerabiając w tło życia, gdy na drodze swojego życia siadą będziesz nasiona i zbierając owoce dobra, enoty... Najwyższą istotną prawdą życia nie są wcale prawdy odzwierciedlane od życia, ale samo życie“³⁾.

Ten zasadniczy pogląd (coprawda często zaciemniany niepotrzebnem moralizowaniem, rozmaitemi dygresjami i wszelkie szaleczyny wiedzy i t. p.) chronić musi Majorkiewicza od miana ślepego naśladowcy filozofji niemieckiej.

Do nakreślonego powyżej obrazu myśli Majorkiewicza (odtworzonego przeważnie na podstawie ulotnych jego artykułów) świeżole nowego dodaje dzieło, napisane jeszcze podczas studiów uniwersyteckich w Moskwie, a wydane po śmierci autora p. t. „Historja serca i rozumu“ (uczucia i wiedzy). Jest to obszernie rozwinięta i poprzec dzieła całej ludzkości przeprowadzona myśl, którą M. niejednokrotnie porusza w artykułach, a mianowicie, że siema i być nie może zasadniczo sprzeczności pomiędzy uczuciem a rozumem, wiarą a wiedzą. Zagadnienie to i praca nad niem były wypływem osobistych, wewnętrznych potrzeb autora, w którego duszy kojarzyły się harmonijnie głęboko, szczerza religijność i wiara z niemierni głębokiem umiłowaniem wiedzy, dla której — jak przesyła rzeż można — poświęcił życie. To też dwa te uczucia przepelniają karty tej książki i nadają jej dużo uroku — jakkolwiek, objętychwicie rzecz wzięwszy — musi ona ustąpić przed wielokrotni artykułami i późniejszą „Historją, literaturą i krytyką“. Takaj dzieła jest dość prostej. Po obszernym wstępie, rozważającym naturę ludzką i człowieka, jego pojętność, rozum, uczucie i wolę — kreśli autor początki rodu ludzkiego, poczem przecho-

¹⁾ Henryk Struve: „Historja logiki jako teoryj poznania w Polsce“, Warszawa 1911, str. 277.

²⁾ Ob. jego słowa o Heglu w przytoczonym poniżej artykule p. t. „Pewna w myśleniu i życia“.

³⁾ Tamże (Pisma poma., str. 238—9).

dzi kolejno dzieje Wschodu, Grecji, Rzymu, wieków średnich i czasów nowożytnych. W dziełach tych narodów i państw zwraca główną uwagę na organizację społeczno-polityczną (wykazując w tej dziedzinie duże czytanie), tworzenie się wierzeń religijnych i prądów umysłowych oraz ich wzajemny stosunek. Jak to wynika z jego stanowiska ogólnego, traktuje te sprawy z historycznego i tolerancyjnego punktu widzenia, jakkolwiek religij i moralność chrześcijańska uważa za najwyższą i jedyną. Stara się dowiedzieć konieczności tych, a nie innych prądów i wierzeń w danej epoce, a w ich starciach i walkach widzi zawsze zwyciężanie stopniowo form wyższych i trwalszych, stopniowe doskonalenie się ludzkości.

Nierównie większe zniszczenie posiada zarys historii literatury polskiej, wydany p. t. *Historja, literatura i krytyka* w r. 1847. Zamiarem autora było — jak sam powiada — przedstawienie dziejów literatury polskiej jako „jednej całości organicznej żywej”, a zjawisk jej „nie tylko w porządku systematycznym zewnętrznym, ale i wewnętrznym”. Chciał tedy zwrócić główną uwagę na treść zjawisk literackich, a nie na bibliografję (jak to czyniło wielu jego poprzedników, a nawet i rówieśników) — pragnął dać krytyczny i syntetyczny obraz rozwoju piśmiennictwa. W przedmowie „do czytelnika” i we wstępie zaznaczył stanowisko swoje ogólne i pogląd na „zwyroty” czyli kierunki literatury polskiej. Zdaje sobie sprawę z konieczności przygotowania filozoficznego i historycznego dla krytyki literatury, z dziedziny literatury wyłącza nauki specjalne, za najwyższe jej „zagadnienie” uważa „życie źródkowane, spromienione, t. j. zebrane w uczelnia piękna” (Hist. II, str. 11); dzieje literatury „to przedstawienie w czasie i miejscu danem rozwinięcia się życia pewnego społeczeństwa w myślach i uczuciach, w dziedzinie duchowości...” (ib. str. 25) — historyk zaś „pokazać powinien prawa niezmiennie i stałe natury ludzkiej, a załem wyjaśnić, dlaczego np. taki, a nie inny zwrot (kierunek) literatura przyjąć musiała, co było powodem, że innego przyjąć nie mogła” (ib. str. 25). Całokształt zaś literatury polskiej dzieli na 3 zwroty: 1) epoka rozumu, badania wiary (w. XIV—XVII), — 2) epoka antyrozumowa (od w. XVII) i epoka wszechstronności wyobrażeń czyli zharmonizowania wiary i rozumu (od czasów Krasińskiego). Nie określa M. tych zwrotów temi właśnie terminami, ale tak można je zasadniczo rozumieć na podstawie jego dość niejasnych wywodów.

Mimo głębszego pojmowania zadań historyka literatury, gruntowniejszego przygotowania ogólnego i prawdziwego zmysłu historycznego i krytycznego — nie udało się Majorkiewiczowi przeprowadzenie wyraźnych powyżej zamiarów w zupełności. Przedewszystkiem dlatego, że nie mógł się ustrzec od narzucenia literaturze z góry pewnych tendencji rozwojowych, ujmując jej dzieje

w 3 epoki czyli „zwyroty”, niedość ściśle określone i uzasadnione; posatem popełniał błędy metodyczne, nazywając pierwszą epokę „badaniem wiary”, podczas gdy była ona raczej epoką „wiary ślepej”, charakteryzującą postępie ludową średniowiecza na podstawie pieśni, zebranych w w. XIX, czyniąc zbyt gwałtowny przeskok od literatury stanisławowskiej do romantyzmu; dalej niezawse opierał się na źródłach, korzystał z wyjątków, streszczał, opracował obcych, nawet tam, gdzie źródła mogły mu być dostępne; wreszcie rękopis części „zwyrotu” drugiego i całego trzeciego zaginał nieszczerliwym trafem podczas druku, tak, że dogorywający już autor musiał opracowywać te części na nowo, z konieczności pobieżnie już i w skrócie, skutkiem czego opracowanie literatury w XVIII i XIX przedstawia się jako szereg luźnych, krótkich szkiców i notatek.

Są to niewątpliwie braki tego dzieła; wynagradza je natomiast talent autora, jego głęboki umysł, umiejtność historycznego i porównawczego patrzenia na rzeczy oraz traktowania literatury, jako odzwierciedlenia życia danej epoki, oceniania jej zjawisk według osiada ich rzeczywistej wartości życiowej dla danego okresu czasu. W stosowaniu tego kryterjum nie przeszkadza Majorkiewiczowi jedna ciasna doktryna (jak to było np. u Dembowskiego), jasnego opatrzenia na dzieła i twórców nie przyniewia mu żadne uprzedzenie lub niechęć, z czasów mu wspomnianych przeniesiona na dawniejsze. „Historj w. XIX — pisał w jednym z dawniejszych swoich artykułów — nie pyta, co było, ale co jest, dlaczego jest i dlaczego być musi”. Dzięki temu też mamy w książce Majorkiewicza tak pięknie opracowany w. XVI — dzięki temu tak płaszyzanie i żywo kreśli on sylwetki duchowe Reja i Kochanowskiego, tak trafnie naogół ujmując ich cechy charakterystyczne, dzięki temu wreszcie tak poważnie, spokojnie, bez złości, ale trzeźwo krytycznie sądzi Skargę i tak przedmiotowo określa wartość reformacji. Jest to najlepiej opracowana i najwięcej wartości dziś jeszcze przedstawiająca część pracy Majorkiewicza, choć i w „zwyrocie” drugim znajdujemy wiele ustępów ważnych i ciekawych. „Zwrot” trzeci nie z winy autora przedstawia się najslabiej.

Ogółem zwiąwszy, jest to książka wartościowa, niższa zapewne od współczesnych opracowań analogicznych pod względem materiału faktycznego, ale wyższa od nich rozległością horyzontów, talentem syntetycznym i konstrukcyjnym oraz głębią perspektywy.

Zmichowska w obrazku wstępnym do „Poganki” kreśli, wśród wielu innych postaci, także i wizerunek duchowy Majorkiewicza —

*) Myśli i uwagi Mazera nad dziełem T. Szczenińskiego... „Przeł. Musz. 1842, II, 1118.

„Alberta, filozofa”. Zwraca słusznie uwagę na jego miłość mądrości, „zdolność rozumową” nadzwyczaj trafną w kombinacjach wniosków i wyobrażeń — ciągłą pracę nad zastosowaniem wszystkich czynów do wszystkich pojęć swoich. Wierzyć jej również można, gdy mówi o jego „nawłajnej niedomyślności rzeczywistego świata”, niepraktyczności i przypuszczalnej nieumiejętności wykonania jakiegokolwiek planu, a to z powodu zbyt wszechstronnego rozważania go — wreszcie o nieskłonności obyczajaj, charakterze prawnym i tak pełnym godności, że mu zjedną ogólny w rówieśników gronie szacunek. „On młody, on ubogi i cichy stał się prawie jakąś moralną dla nich władzą i potęgą”.

Takie niewątpliwie oblicze duchowe przetrza i z piem Majorkiewicza. Wyśniewo ono na nich piękno wyraziste i niestawie podniosłości moralnej, powagi i skupionej pracy. Te cechy charakteru obok niezaprzeczonych wartości jego spuścizny literackiej, zapewnią mu należne miejsce w dziejach umysłowości polskiej.

BIBLIOGRAFJA.

Obok artykułów, drukowanych po czasopiśmie, a omówionych lub zaznaczonych w zyciorysie, ukazały się osobno następujące dzieła Majorkiewicza:

1. Nowa metoda uczenia się geografji. Warszawa 1841. 2. Rys historii geografji (odbiłka z „Przeglądu Naukowego”). Warszawa 1843. 3. Historia, literatura i krytyka. Literatura polska w rozwinięciu historycznym. Warszawa 1847. Toż, wydanie drugie, pomniejszone (Pisma pośmiertne t. I), Warszawa 1850. 4. Historia serca i rozumu (uczucia i wiedzy). Rękopis pośmiertny. Dwie części w I tomie (Ogólnego zbioru pism J. M. t. II i III), Warszawa 1851. 5. Pisma pomniejsze tomów II (Ogólnego zbioru t. IV i V — zawierają one artykuły M. przeważnie z „Przegl. Nauk.”, ale nie wszystkie), Warszawa 1852.

O Majorkiewicza pisali: 1) A. Tyszyński: „Historja literatury polskiej przez J. Majorkiewicza” (Bibl. Warsz. 1847. Toż w „Rozbiorach i krytykach”, Petersburg 1854, t. II-gi). 2) Tenże: „Historja serca i rozumu” przez J. M. (Rozbiory i krytyki, t. D). 3) K. Wł. Wójcicki: „Cmentarz Powązkowski”, Warszawa 1850, t. I-szy. 4) Tenże w Encykli. Powszech. Orgelbranda t. XVII, Warszawa 1854. 5) Michał Głuszyński: „Rozmaitości naukowe i literackie”, Warszawa 1859, t. V. 6) Słinks (H. Skimborowicz): „Gabrjela i entuzjastki”, Białystok 1880. 7) Żmichowska: „Poznanie” (Obrazek wstępny). — 8) P. Chmielowski: Historia literatury polskiej, t. V-ty. 9) Tenże: Metodyka historii literatury polskiej. 10) Tenże: Dzieje krytyki literackiej w Polsce. 11) H. Struve: Historia logiki jako teorii poznania w Polsce, Warszawa 1911.

Powaga w myśleniu i życiu.

(„Przegląd Naukowy” 1846, tom III. Pisma pomniejsze, część I, str. 225—239.)

(W rozprawie tej autor występuje przeciwko nauce „gabinetowej”, nie związanej z życiem i nie służącej życiu, przeciwko bałwochwalczemu czczeniu „powagi” w nauce i filozofji; propaguje natomiast samodzielność i krytycyzm, uszanowanie za „dwóch wielkich ksiąg prawdziwej mądrości”: natury i społeczeństwa; poniżej podajemy część drugą rozprawy, w której autor stara się określić swoje pojęcie nauki i prawdy.)

Dążąc do poznania prawdy bezwzględnej z jednej strony, a drugiej strony usiłujemy poznać dzisiaj stanowisko względne ludzkości, w danym czasie i miejscu. Stanowisko bezwzględne pokazuje się zawsze w duchu czasu i usposobienia społeczeństwa. Nauka dzisiaj zyczyna poznawać dzieje ludzkości w prawdziwym świetle, to jest, nie w oderwaniu ducha ludzkiego, ale w urzeczywistnieniu, we wszystkim w życiu, w czym się tylko duch ludzki wyrazić może: przemysłu i wszelkiego rodzaju pracy, handlu, w zwyczajach i obyczajach, nauce i sztuce. Dawniej historia była spisem nazwisk i bitw, a zatem nie przedstawiała wcale obrazu życia i ducha narodów — dziś przeciwnie; dziś więc nauka nie daje nam prawd martwych, oderwanych od życia, ale żyjące, bijące pulssem, to jest uznaniem bytu tak prawdziwe, że to samo uznanie ożywia nas, budzi wiarę w życie i zachęca do działania w swoim obrębie, bez względu na okoliczności, które nas zniechęcają i stłumić ducha usiłują, aby usnąć nas, aby znowu przywrócić — powagę światu.

Nauka powinna nie tylko przedstawiać to, co jest, ale posuwać, kształcić i rozwijać życie. Wszakże ostatnim zagadnieniem nauk przyrodzonych jest sztuka, to jest zastosowanie ich do życia, ostatnim więc zagadnieniem nauki w ogólności winno być również zastosowanie jej, to jest strona praktyczna, życiowa. Tej potęgi wpływowej niemasz w pismach, mających śladiną niezaprzeczenie wielką wartość — największej powagi, w pismach Arystotelesa; bo on nie postawa życia, bo niemasz w nim wiary w przeszłość, uczucie, siły swoje, co się dotąd rozwijały bez uznania, a uznawszy się w swoim jestestwie, ubóstwiły się i zmartwiały, padając przed bałwanem własnego utworu, apoteozą rozumu. A jednak te

samą siłę, w czasie ich najpiękniejszego rozwoju, wydały naukę, wydały sztukę i piękne życie Grecji. Jedną uwagę zdolną jest zachwiać wiarę człowieka myślącego w pisma Arystotelesa, chociaż się z nich nauczył niemało; jest to uwaga, że nauka tego olbrzyma umiejętności jest pogrzebówem pięknem życia, ostatecznym requiem uczucia i poświęcenia i zapada nad grobem najpiękniejszego życia Hellady. To samo zastosowały można do Hegla, którego czasem zowią Arystotelesem nowożytnym. Mówmy, co chcemy, o doskonałości metody dialektycznej Hegla, metody, która ma wyższość niezaprzeczoną nad wszystkie inne, co ją poprzedziły — mędrzeż wszelkie berlińskie nas nie zaspokoją, bo nam nie daje tła życia, bo nam wyrwa wiarę w życie, w potęgę uczucia, to nieprzebrane źródło prawdy żywej, natchnienia i zapału, prawdy i poświęcenia, to jest nie tylko prawdy, ale prawdy i życia razem. Nie Hegel zaiste, nie Kant, nie Arystoteles, Plato, ale natura ludzka, ale świat stworzony, przedstawiają rudę złotego kruszcza, prawdy i życia, w dziedzinie umysłowości, a te potężne umysły, te myślące głowy, o tyle tylko, o ile obejmują uznaniem (mniej więcej niedostatecznym) myśl stworzenia, związek natury i społeczeństwa, ich stosunki z nami, i nasz stosunek z najwyższą wszechmocną Potęgą istnienia, jakkolwiek ją nazwiemy, i jakkolwiek ją uważać będziemy — czyto naturą, czy Opatrznością, czy Bogiem, czy najwyższą siłą istnienia, twórczością, myślą, lub tym podobnie.

Patrz na tych pisarzy, co się wyrwali z powagi, co się złożyli odrzuć z przesądów nauki i uprzedzeń wszelkiego rodzaju — jakże ludzkie ich myśli, jakże oni głęboko przemawiają do duszy i jak nas przywiązują do życia? Zdać się, że oni wszystkie nam z duszy powybiali myśli, bo każdy prawie pomysł, każde uczucie odbiło się w ich pismach, i dlatego to, czytając ich, zdaje ci się, że żyjesz na łonie natury i przywiązujesz się całym uczuciem młodzieńczej piersi, całą mocą przywiązania do ich dzieł, czyli, co na jedno wychodzi, do świata i życia, czujesz się doskonalszym, lepszym, godniejszym siebie i świata, i niejako ożywionym, zdolniejszym do działania dla dobra innych — co się zawsze od ugodnienia, to jest od wykształcenia siebie samego zaczyna. Organicznie

myśli, zasady tych pisarzy światowych, ludzkich, w całym znaczeniu tego wyrazu — prowadzą nas wprost na bujne obszary życia, gdzie nas czeka okwite żniwo uczuć, myśli i czynów ludzkich, godnych nas, jako ludzi. Oni każą mieć rozum i patrzeć w rozum i w naturę, przypuszczając uczucie, jak ów genialny wieszcz nasz, co wyrzekł: „Miej serce i patrzaj w serce!“ Mija czas wyłączności, powag uprzywilejowanych i wyłącznych, uprzywilejowanych myśli. Ow wieszcz, co kazał mieć serce, zapomniał o rozumie, gdy znowu niejednym filozofom przypominał o uczuciu i wszedł na pole zimnej obojętności, jak ten ten nierozumu. A na świecie ciężko żyć również bez serca, jak bez rozumu.

Przeszły już na zawsze w myśleniu czasy powagi tak dawnej, że ani doświadczenie, ani uczucie osobiste, myśl nasza własna, wyłączona od świata, nie może stanowić nic w sprawie nauki, ani życia. Z jednej strony ludzie mimowolnie prawie nie wierzą już w sam rozum, i słusznie, bo powaga li rozumowa doprowadza ludzi częstokroć do największego nierozumu. Z drugiej strony przestają, radzi-neradzi, wierzyć w samo uczucie, i słusznie! bo to doprowadzało do smutnej niedo-łężności i bezwładności uspienia, do fantastycznej potworności życia, co nie odpowiadała godności człowieka, jako ciała nieśmiertelnie poddanego nieskończonej działalności sił światowych, odwiecznych.

Długo ludzkość, pozbawiona światła rozumu i dlatego nie rozumująca nawet wiary, uczuć swoich, które się bez wykształcenia umysłowego, jak ciepło ziemi bez światła, obejść nie mogły — nie żyła własnem, ale pożyczanem życiem, uczuciem i myślą nie swoją, i dlatego uczuć nie mogła całej potęgi godności swojego istnienia, i dlatego zobojętniała na los własny, a powaga była dla niej, czem siła ciężenia powszechnego dla świata — siłą tylko! Dziś znikły powagi wszelkiego rodzaju, do takiego stopnia, że nawet nie powinniśmy słuchać powagi własnej myśli i własnego uczucia, jak popędów i skłonności naszych, dopóki się nie zastanowimy i nie przekonamy, że te — do prawdy i życia prowadzą. Dobro jest to prawda wcielona życia, i ta tylko prawda jest żydłem, co się przejawia w postaci artystycznej życia. Nieprawdą zaś jest wszystko, co

nie przechodzi w życie, przekonanie, jako wysnute z pajęczej przędzy rozumowania, gorączkowego uczucia lub dumnego poglądu powagi. Od egoizmu w rozumowaniu, od fantazji w uczuciu, nie można czynić zależną sprawę życia, prawd istotnych, świętych dla ludzkości, bo działających w życiu i płynących w niem, jak poloki siły elektryczno-magnetycznej, ożywiającej organizm świata fizycznego.

Jakże poznać prawdę? Poznasz ją, przerabiając w tło życia, gdy na drodze swojego życia siąd będziesz nasiona i zbierać owoce dobra, cnoty — gdy prawdę uświęcać będziesz zawsze czynem i harmonizować uczucie z myślą, w pokoju duszy i błogiem przeświadczeniu, przeświadczeniu ugodniającem, żeś dopełnił twoich powinności. Cnota i pogoda uczuć, spokojność sumienia, jasność i czystość myśli — są kamieniem probierczym wartości wewnętrznej, to jest umysłowej, moralnej, obyczajowej człowieka, są prawdziwie niewzruszoną opoką, na której śmiało wznosić możesz świątynię życia twojego. — Najwyższą istotną prawdą życia nie są wcale prawdy oderwane od życia, ale samo życie.

W nauce prawdziwej gra idzie o życie, nie o urojenia lub myśli czcze, oderwane od świata. Zostawić tu więc każdego powinności własnej wielkości, jak nas Bóg zostawia sobie samymu, a wtedy podobni będziemy do Najwyższej Istoty, będziemy obrazem i podobieństwem Bóstwa na ziemi, wystarczając sobie i działając na drągich jedynie wpływem moralnym życia, natchnieniem wewnętrznej polegi myśli, uczuć i czynów. Zestawieniem życia jest to samo życie i dlatego to ono wywiera więcej zbawiennego działania na innych, niż wszystkie rozumowania, niż wszystkie uniesienia rozmarzonej fantazji lub uczucia.

Historja, literatura i krytyka. — Literatura polska w rozwinięciu historycznem.

(Wydanie drugie, pomonotone, Warszawa 1850.)

W swrocie pierwszym omawia autor napród pieśni i podania ludowe, następnie poezję religijną i lacińską prozę do w. XVI, wreszcie poezję liryczną i dramatyczną oraz prozę wisku złotego. Zwrot drugi obejmuje w. XVII i czasy saskie — trzeci zaś literaturę epoki stanisławowskiej i wieku XIX. Podajemy poniżej charakterystykę Skargi.)

Aby ocenić godnie stanowisko tego znakomitego pisarza, trzeba najprzód serdecznie, t. j. szczerze, w chęci nauczania się samego, zdjąćwszy pychę z serca, wczytywać się w pisma Skargi. Najlepiej zacząć od kazań, chociaż i Żywota ŚŚ. są, pod względem języka, rudą nigdy nieprzebraną. Język Skargi tem się różni od języka innych społecznych pisarzy, że kiedy tych ostatnich czytać bez znużenia prawie niepodobna i nieraz dość przeczytać jeden urywek niewielki np. XVII wiekowego pisarza, aby się odstręczyć od niego, autora Żywotów ŚŚ. dość przeczytać najmniejszy ustęp, aby polubić styl, nabrać chęci do czytania go i zamiłować język swój. Ten to powab czarowny i szczerze piękny, pełnego wdzięku języka Skargi, jednak mu zawsze największe pochwały i zachęci do wczytywania się w dzieła jego ludzi, piszących najlepiej w języku ojczystym, którzy wykształcenie swoje językowe winni są Skardze. Nieśmiałości, nieoswojeniu się z pismami jego przypisać należy niewyrobienie i wszystkie dziaćwa stylowe dziś piszących młodych i niemłodych pisarzy, nawet nie bez imienia. Skarga pod względem języka zastąpi wszystkich dawnych pisarzy naszych, wyjąwszy Jana Kochanowskiego. Nie tak się rzeczy mają pod względem treści samej: bo w tym względzie Skarga nie zastąpiłby ani jednego nawet znakomitego z XVI lub XVII wieku pisarza, w nich bowiem jest więcej żywiołów, niż w Skardze, złotoustym Skardze.

Nie był on historykiem, nie był filozofem, ale był człowiekiem z uczuciem, wiarą i wyobraźnią nader żywą, co się pokazuje w jego języku plastycznym, wyrazistym, pełnym obrazowości, okwitości, harmonji i wdzięku niewysłowionego, niewymuszonej łabości i słodyczy, a przytem życia i mocy wyrażenia. Przystępując atoli do czytania dzieł Skargi, nie

powinniśmy tego spuszczać z uwagi: że to była osobistość, wyrażająca jeden zwrot życia, jeden pierwiastek wieku. Skarga był teologiem, kaznodzieją jezuitkim, przekonany żywo i gęro, wierzący najmocniej, że tylko powaga zachowawcza, czyli konserwatywizm kościoła, stać się może zbawieniem ludkości, drogą zjednoczenia społeczeństwa, zlania pojedynczych interesów dla dobra powszechnego. Powstaje on z zapalem i wiarą na wszystkie herezje, widząc, że odszczepieństwa nie prowadziły do nieczego stanowczego, a wywiązywały się jedne z drugich bez końca. Herezje te, zasada ich rozumowa, groziły zasadzie uczuciowej katolicyzmu, w obronie którego stanął Skarga z wiarą i powstawał przeciwko wszystkiemu, co naruszało powagę kościoła. Kto się poświęcił szukaniu prawdy i jest bezstronnym zjawisk dziejowych badaczem, przyznać musi, że w Skardze widać przemagającą dobrą wiarę, wszędzie zamierzanie dobra powszechnego, chociaż się w nim pokazują (i nie mogło być inaczej) uprzedzenia zakonu, do którego należał, i nietolerancja, co pochodziło z braku wykształcenia wyższego, i dlatego nie na drodze miłości i zgody chrześcijańskiej, ale na drodze niezgody dogmatycznej pokazuje się Skarga, tam wszakże jedynie najznakomitszy, natchniony, gdzie każe miłość braterską i poprawę obyczajów, gdzie na życie praktyczne zwraca uwagę.

Skarga miał najlepsze w świecie chęci, ale niedosyć czlowiekowi, a mianowicie też pisarzowi, dobrych chęci: trzeba jeszcze zasady woli, myśli i światła, obok uczucia; bo chęci nie możemy, czego nie znamy, a gdy nie widzimy, do czego nas doprowadzą nasze popędy i chęci, zbłądzić łatwo — trzeba więc światła, nauki, a w nauce wszechstronności, poglądu na świat i życie. Nie miał tego Skarga i dlatego nie jest on weale wszystkim dla wszystkich, bo nie jest historykiem ani filozofem. Wyborcy to wszakże kaznodzieja, a przytem szlachcic polski, który jednak w Polsce najlepiej kocha zakon swój i rozkazy jego, naturalnie, ma sobie za święte: pełen zdolności, pracowitości i świętobliwości życia, Skarga nie wznosił się dlatego nad widoki zakonu, i we względy naukowym — Bogu duszę winien, w całym znaczeniu tego wyrazu. Rzecz to wielkiej wagi, że ten wielki mówca nie kształcił się na wzorach

rozległości klasycznej i dlatego nie masz w nim tej głębokości i rozległości pojęć, którą spotykamy w innych pisarzach naszych. Nie mając wykształcenia zasadnego, wyższego, nie mógł być Skarga wszechstronnym, a że był mówcą, nie dziwnego. Wszakże do dziś dnia mamy mówców, powstających nie tylko na naukę, ale i na sam rozum w czlowieku. Natchnienie samo nauki nie da, bo nauka, jak każda inna praca jest krwawym dobytkiem ludzkości w ciągu wieków doświadczenia. — Stąd to nie wdawał się nigdy Skarga w badania krytyczne zasad prawdy, nie zapartywał się nigdy wszechstronnie na sposobienie czlowieka, naturę ludzką i dlatego nie raz powierchownym jest, nie może czy nie chce pojąć, o co rzecz dzie, i powstaje na przeciwnie myślących nie wprost, ale napęda na nich niegodnie czasem. Wogóle, co do walki z różnowiedcami, błędnie aureola, jaśniejąca nad złotoustym Skargą, swanym młotem na hereztyki, gdy się dowiadujemy, że spory ważniejsze wypracowali jezuiti włoscy, a słuchając drugiej strony, widzimy, że rozum jego niebardzo był straszny dla uczonych innych wyznań, np. Wolana, Jarosza z Moskorzewa Moskorzewskiego i t. p. W istocie! w pismach polemicznych Skargi wiele jest słów, obrazów, rzeczy, wątku mało i tem się odznaczają pisma polemiczne od kazań, pełnych treści i życia. W kazaniach stoi on najwyżej. Powstaje na złe, co się jak gnieździło w próchnięcym pnju państwa; potężny wiarą i dążeniem do jednolitości, którą wszakże sam tamował, powstaje bez umiarkowania na wszystkie inne wyznania i nie przyznając zasługi żadnej ludzkości pełnym nauki, którzy mogli uczynić dla kraju wiele dobrego, bez względu na wyobrażenie swoje i przekonanie wewnętrzne. Kazania sejmowe są arcydziełem, pomnikiem niepożytych prawdziwej wymowy. Pokazuje się tu w wysokim stopniu miłość dobra powszechnego: mówca się wznosi w zapale świętego natchnienia do wysokości przedsiotu i z namaszczeniem religijnym, jużto z łagodnością apostołską, ucy miłości ewangelijnej, jużto z ogniem grozi zgubą społeczeństwu, które o dobro powszechnym zapominał i czyniło. Aby ocenić stanowisko Skargi, pamiętać trzeba z jednej strony, że ten znakomity mówca nie stał na równi z nauką wieku: miał wszakże wiadomości bardzo rozległe pod

względem faktów. Całą przeszłość uważał on za skarbnicę przykładów, a mianowicie też dzieje kościoła, gdzie się przedstawiało tyle ideałów! Bierze on przykłady bez żadnej krytyki i przyłącza za nie ulegające wątpliwości rzeczy, zupełnie czasem niewiarogodne. Cel tego wszystkiego najpiękniejszy, t. j. zwrócenie ludzi na drogę prawości i poświęcenia; chociaż cel, rozumie się, środków nie uświęca, lubo je tłumaczy. Pomijając fakta, że społeczeństwu czytamy ustępy, gdzie mowa o życiu prawem i poświęceniu. Jest to znanie wybitne, odznaczające pisarzy naszych, że dobro powszechne, dobro społeczeństwa, w którym żyją, jest ich najwyższem zagadnieniem. Dlatego to w Skardze, tam nawet, gdzieby się tego najmniej spodziewać należało, widzimy odbite obrazy miejscowości. W Żywotach ŚŚ. maluje Skarga stan kraju, zalety i wady miejscowe, cnoty i grzechy nasze, malując nawet strony obec, nieznanie wieki zapadłej przeszłości. Celem jego była moralność, zbudowanie przykładami przeszłości. Wszyscy niemal kronikarze nasi noszą na sobie charakter pragmatyzmu Liwjusza i nie mogą się wznieść nad cycerońskie pojęcie historii, jako nauczycielki życia (magistra vitae). Moralny ten cel, cel zbudowania w Żywotach ŚŚ. Skargi sprawia, że autor przyłącza bez braku fakta i widzi tylko materiał do swego celu pragmatycznego we wszystkim, co przeszłość podaje, co fantazja ludzka stworzyła. Fakta wszystkie dla Skargi o tyle mają wartości, o ile wyrażają szczególniejszą łaskę i opatrność Boga, pokazującą się w cudach i przypadkowości. Myśl autora, czyli raczej uczucie żywe, z gorącą wiarą w Boga, pragnie wszędzie szukać i natchnienia, wszędzie szczególnych dowodów opieki Opatrzności. Filozofia scholastyczna uosobiła myśli ogólne w faktach szczególnych, a uczucie uosobiło Istność Najwyższą w cudach, biegu rzeczy nadprzyrodzonym i wyjątkowym, odrywając zasadę świata najwyższą od ogółu stworzenia i wcielając ją w świat wyłaczny i że tak powiem uprzywilejowany. Filozofia przedstawia nam wiele obłądów rozumu ludzkiego, obłądów snadź koniecznych dla dojścia do prawdy życia, kiedy człowiek pojmuje Boga w natchnieniu życia i widzi Go zarazem w prawach ogólnych, odwiecznych i sławnych świata tego. Zrozumieć tylko trzeba Skargę, cel jego pisania

(bo celowość jest zasadą myślową piszącego), aby ocenił pisma jego najróżnorodniejsze i czytać je z korzyścią, nawet pod względem treści samej. Skarga, pojęty w tym duchu, w jakim pisał, nabywa dla nas bez porównania większego znaczenia — bo jego wyrażenia już nie będą symbolami tylko, ale obrazami z życiem i treścią, rzeczami zrozumiałemi dla nas, a przytem obrazami najpiękniejszymi, najpoetyczniejszymi, wyrazem pełnym okwitości i wdzięku uczuć i myśli człowieka dobrej wiary ¹⁾.

Ważna to rzecz, że Skarga nie kształcił się na żadnych innych wzorach, prócz Pisma Ś. (którego niepodobna pojąć bez starożytności, bez wykształcenia zatem klasycznego): stąd to brak wszechstronności, brak tolerancji religijnej. To nam zarazem tłumaczy, dlaczego ten wielki mówca tak się oddalił pod względem treści od pisarzy XVI-wiekowych, których jest koroną i uwieńczeniem pod względem języka.

¹⁾ W rękopiśmie historii literatury polskiej A. W. Maciejowskiego natrafy się znajdujące dowody, że Żywoty ŚŚ. Skargi napisane były dla dzieci. Bawa ważna! Może niejednym z czytelników przypomina sobie owe szeregowe iła imłodoci, kiedy czytając Żywoty ŚŚ., zapalał się egielą zostania pustelnikiem. Tak po przeczytaniu Ryndzińskiego, niejedną chciał być zbójcą. Bawa to fantazja umysłów nieleńnych. Takim był młód nasz od początku świata, a mianowicie od pobwy XVII wieku do pobwy XVIII, i w dobrej wierze, w prostocie ducha czytał ksiątki, o których na początku okresu drugiego powiem, czytał Skargę i Dufrenoy'skiego naprzemiennie, dopóki się nie awiał Krasicki. Kowarski uczniowie wychowawcy jego epoki, dopóki Wyżsi nie zapłakali, po raz pierwszy czytając w życiu — Żywoty Płutarcha.

BARTOSZEWICZ JULJAN.

(1821—1870).

Zasłużony pracownik na polu badań nad przeszłością ojczyzną i zarliwy tej przeszłości miłośnik pochodził z rodziny, osiadłej zdawna na Litwie. Ojciec jego, Adam, wychowawiec szkół wileńskich, pełnił obowiązki nauczyciela matematyki i języka polskiego w szkole wydziałowej w Białej Radziwiłłowskiej. Zbierał on i ogłaszał przysłowia, przypowieści i podania ludowe. Ożeniony był z Amelią Sengellerówną, z której urodził mu się 17 stycznia 1821 syn Juljan.

Młodzieńcze lata spędził on w Białej, Ruiny zamku radziwiłłowskiego i świeże jeszcze tradycje o ks. Karolu „Panie Kochanku” zwracały myśl i wyobraźnię chłopca ku przeszłości. W r. 1839 wszedł do szkoły, w której nauczał ojciec. W grudniu następnego roku bieg nauk ideą przerwie z powodu wstąpienia kilku profesorów do wojska. Po upadku powstań wrócił do szkoły, lecz niebawem skutkiem translokacji ojea przeszedł do szkoły obwodowej w Warszawie. Wkrótce jednak przerzucony został wraz z ojcem do Łukowa, skąd znnowa wrócił do Warszawy i tu w r. 1839 ukończył gimnazjum na Lesznie.

Związany ze środowiskiem nauczycielskim, obrat sobie też zawód. Władze naukowe Królestwa, z powodu braku nauczycieli gimnazjalnych, wysyłały wtedy na koszt skarbu najpilniejszych uczniów do uniwersytetów rosyjskich. W ich liczbie znalazł się młody Bartoszewicz. Skierowany do Petersburga, zapisał się na wydział historyczno-filologiczny. „Nasze usposobienie — tłumaczył Bartoszewicz rodzicom — w ogólności znacznie przewyższa usposobienie tutejszych krajowców; możemy zrobić jakiegokolwiek o tem wyobrażenie, gdy wam powiem, że ja odrazu, pomijawszy trzy cędnia, na czwartoletnie ucznia na wydziale filologicznym przechodzę”. Czteroletni pobyt na uniwersytecie, podczas którego nie tylko odwiedził strony rodzinne, upłynął mu na pracy w obrzędowej Bibliotece Publicznej, w której — w zbiorach Zaluskich — znalazł obfite źródła dziejowe. Całymi dniami przesiadywał tu i gromadził

wypisy z dzieł i rękopisów polskich i rosyjskich. Notaty tu zebrane były początkiem olbrzymich zbiorów kartkowych z wyciągami źródłowymi, a które istotnie dopomogły mu do szybkiego wystąpienia w literaturze z pracami, opartymi na nieznanym dotąd materiale, i nowego oświetlenia faktów historycznych.

Otoczenie młodzieży, w jakim się znalazł na uniwersytecie, było przeważnie polskie. W listach do rodziców podnosił, że cudzoziemców na uniwersytecie jest zaledwie część dziesiąta, gdy są to Polacy, głównie z krajów zabranych. Gdy znalazł się w gronie młodzieży, wśród ścierających się wzajemnie opinii, ożywił się i sprawał gorąco, a wymowa jego, aczkolwiek niepiękna, nabierała siły i serdeczności. Zdanie swe wypowiadał z odwagą i przekonaniem, bronił go do upadłego. Cechy te zachował do zgonu. Wiadomo, że był wśród kolegów najmłodszym, przykładem i działalnością swą wpływ wywierał niemały. Zainicjował i urządził studentką bibliotekę polską, wespół z kolegami brał udział w wydawaniu noworożnika „Niezabudka”. Tu umieszczał pierwsze swoje prace, przeważnie tłumaczenia białym wierszem dzieł dramatycznych niemieckich i włoskich. Wtedy też zaczął prowadzić dziennik swojego życia, który w niezwykle skrupulatny sposób ciągnął aż do śmierci.

Uniwersytet petersburski naówczas miał mało cech rosyjskich; profesorów Rosjan było mało; wykłady odbywały się często w języku niemieckim i francuskim, wśród słuchaczy największą było młodzieży polskiej; pomimo to, jednak ujemne wpływy obcych warunków życia odbiły się na Bartoszewiczu. Sam się do tego przyznaje. Silne wrażenie wrażeń dzieciństwa i głębokie poczucie polskości starł wkrótce obcą naleciałością. Po powrocie do kraju znalazł się napowrót w rodzinnej kole, które z jednej strony skupiało około siebie wybitniejszych pedagogów warszawskich, a drugiej zaś było centrum Podlasian, z którymi rodzina szerokie posiadała stosunki.

To też Juljan tu szybko odżył i niebawem począł występować z pierwszemi pracami. Artykuły jego, umieszczone w prasie warszawskiej, odrazu zwróciły uwagę na młodego pracownika. Jeszcze przyświecał mu ideal popularyzatoru dziełom i rzez powieści historycznej, zamilowanie jednak ścisłości w badaniach i wpływ szalonego Przeszkodździńskiego zwróciły go na właściwą drogę. Wkrótce później niektórzy z literatów warszawskich namawiali go, aby w suchej historii nie tracąc talentu poetyckiego, którego dowiedzieli w powiastkach i tłumaczeniu „Franziska z Rimini”, ale powoływał to miny bez skutku. Z literaturą nie zerwał, poświęcał jej od czasu do czasu, uważał ją wszakże raczej jako środek zaspokajania wyjętej pracy.

W pamiętniku swym stałe użala się, że cenzura bądź psuje przesłania do niepoznania jego prace, bądź też nie dozwala ich

ogłaszać. W roku 1847 pomieścił w „Bibliotece Warsz.” rozprawę p. t. „Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagiellończyka”, cenzura ją przepuściła, lecz z polecenia władzy nakład cały po wyjściu sfinansowano. Cenzor otrzymał nagane, autor zaś, który od chwili powrotu pełnił obowiązki nauczyciela łaciny w gimnazjum, dzięki staraniom ojca i stosunkom W. Al. Maciejewskiego, został tylko w sierpniu r. 1847 za karę przeniesiony do szkoły powiatowej w Końskich.

Czas pobytu w małej miejscinie był dla Bartoszewicza okresem „wyznania”, jak to sam nazywał, tem przykrejszego, że cenzura zabroniła mu drukowania rzeczy historycznych. Przez wyśledzenie go z Warszawy chciano go zmusić do zaniechania badań dziejowych, zamech jednak chybił celu. Bartoszewicz w domu Małachowskich, dziedziów Końskich, tudzież w okolicznych dworach szlacheckich znalazł sporo dokumentów, był więc w swoim żywiole. Pozatem zwiedzał i opisywał sąsiednie miasteczka, parafie i kościoły, tłumaczył Bizardiera historię bezkrólewia polania III Sobieskim, często także odwiedzał Warszawę. Wtedy też poznał Kuziemrę Zapłotowską, córkę obywatela wiejskiego, byłego kapitana Jana Zapłotowskiego, którą później zaślubił.

Na skutek zabiegów ojca w r. 1849 powrócił z „wyznania” do Warszawy na posadę nauczyciela szkoły powiatowej, którą zajmował przez lat kilkanaście. Mianował, następcą Okuniewa na stanowisku kuratora warszawskiego okręgu naukowego, najrozsądniejszych miał się środków, aby młodego nauczyciela odciągnąć od dotychczasowych badań historycznych. Radził mu więc pisać o stosunkach Polski z Piotrem W. i zbierać w Polsce materiały do jego panowania; kazał mu przygotowywać książkę szkolną na klasę VI, mającą obejmować z historii powszechnej dzieje wieków średnich, proponował objęcie redakcji rządowego miesięcznika, mającego rywalizować z „Biblioteką Warszawską”, obiecywał mu pieniądze i ordery; wreszcie, napotykając opór, dręczył go i sztykował w różny sposób.

B. nie ugiął się przed swym zwierzchnikiem, krocząc wytrwale raz obraną drogą. Gdy Henryk Rzewuski założył w r. 1851 w Warszawie pismo codzienne „Dziennik Warszawski”, B. wszedł do redakcji i brał żywy udział w prowadzeniu tego dziennika, rozpoczynającego nowy okres w rozwoju prasy codziennej warszawskiej. Po usunięciu się Rzewuskiego zmienił „Dziennik” nazwę na „Kronikę Wiadomości Krajowych i Zagranicznych”.

Z chwilą ożywienia się ruchu umysłowego po wojnie krymskiej wszedł B. jako stały współpracownik do dwóch wydawnictw, które rozpoczęły swoje istnienie w r. 1859, mianowicie do „Tygodnika Ilustrowanego” i „Encyklopedji Powszechnej” Orgelbranda. Równocześnie prawie został powołany do składu redakcji „Biblioteki Warszawskiej”, która uorganizowała się w cztery wydziały

magno stanowiąc zawiązek Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pełnił on w wydawnictwie historycznym naprzód funkcje sekretarza, później wiceprezesa, a przez 3 lata do chwili rozwiązania się wydziałów w r. 1865 obowiązki przewodniczącego. Od końca 1860 wykładał przez dwa lata język i historję literatury polskiej w Instytucie historycznym, a w r. 1862 otrzymał posadę kustosa Biblioteki historycznej w Warszawie, którą wyrobił mu dyrektor Komisji Oświaty, Michał Grabowski. W czerwcu 1863 polecono mu wykładać historję i literaturę polską w VI i VII klasie drugiego gimnazjum warszawskiego. W r. 1866 dostał dymisję z profesorswa, a następnie i z kustoszostwa w Bibliotece Głównej. Za 27 lat służył pedagogicznej przynajmniej na skromną emeryturę.

W ciężkich warunkach rozwijała się działalność naukowa B. Do pracy nateczył-kiej zmuszał go potrzeby materialne i potrzebowała chęć kształcenia dusz młodzieży. Obowiązki te, jak wszystkie, co czynił, wykonywał z wielką żarliwością. Jako nauczyciel literatury przygotował on jako przewodnik dla dojrzałej młodzieży „Historję literatury polskiej, potoczny sposobem opowieściową” (Warszawa 1860). W pracy tej odbiła się samodzielność i niezależność w sądach o pisarzach przy braku poczucia estetycznego i słabym rozumieniu twórczości wielkich poetów; B. oceniał pieśni i utwory ze stanowiska polityczno-patriotycznego przesadnie. Książka ta wywołała wiele hałasu i protestów.

Do r. 1851 nie występował B. z większymi pracami. Ograniczał się do drobnych szkiców historycznych, zyciorysów i ocen, druznionych w wydawnictwach periodycznych; od czasu do czasu pisał do literatury, podejmował tłumaczenie utworów dramatycznych i, snuł plany opowieści historycznych. Jednocześnie prowadził poszukiwania archiwalne w Metryce koronnej, gromadził noty źródłowe i porządkował je do późniejszego użytkowania. Znalazł wszystko, co w Rosji pisano o Polsce, przepisywał gazety polskie z w. XVIII i obec, кіsano o Polsce pisyły, tudzież liczne listy pisane z ubiegłego wieku. Książkom nie wierzył, do dokumentów główną przywiązywał wagę. Czytając dzieła historyczne na manuskrypty, robił mnostwo wypisów na tytu kartkach, o flu notach i rzeczach była mowa. W ten sposób przy niesłychanej pracowitości zebrał ich tyle, że na przepisanie nie starczyło lat dwa. Były w nich dzieje Polski, historia każdej instytucji, miasta, osobliwie, który jakakolwiek rolę w narodzie odegrał. Tworzył nie całe stopy, w których jeden autor potrafił się zorientować, wydobył to, co do pracy potrzebował. Pisał zyciorysy, których nie było żądano, a nie było zdarzenia, aby odmówił komu z po-

3 Przetłumaczył z włoskiego tragedję „Francesca da Rimini” z Oehlendorfa wierszem miarowym „Hagbart i Sygna”, tłumaczył Puszkina „Borys Godunow” i in.

wodu braku materiałów. Gdy jakie pismo ilustrowane w Warszawie dostało portret znakomitego człowieka, mało znanego, zaraz udawano się do B., a ten w ciągu niewiele godzin, posiadając dużą łatwość pisania, dostarczał zyciorysu, w którym podawał mnóstwo nowych dat i faktów.

Z większą pracą wystąpił dopiero w r. 1851, pisząc o w. Świat po raz pierwszy w osobnym wydaniu dzieła p. t. „Kroń wieże biskupi”. Było ono początkiem całego ciągu zamierzonych wydawnictw, z których ukazała się nieznaczna tylko część. Cenzura stanęła na przeszkodzie. Tak z pracy p. t. „Hetmani polni karolni i Wielkiego Księstwa Litewskiego” wyszło tylko dziesięć strzytów, ponieważ dalsze cenzura odrzuciła; przy wydawnictwie „Historji literatury polskiej” autor z trudem wyjeżdżał, aby się pozwoleń nadmienić o Lelewela; w „Album malowniczym Kłowa” drugi zeszyt wyszedł z samymi rycinami, tekst bowiem został przez cenzurę skreślony. Najcenniejsze usępy z pamiętnika Rutkowskiego, przygotowanego do druku, cenzura usunęła i t. d. Zmuszony koniecznością, wziął się B. do opracowania dzieł dawniejszych zakładów dobroczynnych. Już po śmierci autora wyszła z druku „Historja szpitala Dzieciątka Jezus”. Wtedy też powstał plan opracowania całości dzieł polskich. Poznańska księgarnia Kanańskiego zwracała się doń weznień o dopełnienie urwanych na J. nie Kazimierz „Dzieł w Rzeczypospolitej Polskiej” Jędrzeja Marcewskiego, umowa atoli nie doszła do skutku; teraz natomiast stanął w tej mierze układ z księgarzem warszawskim Merzbacherem. B. rozpoczął pracę w r. 1863, której wynikiem była czterotomowa „Historja pierwotna Polski”, wydana z rękopisu dopiero po jego syna autora.

Trwałym pomnikiem jego erudycji i pracowitości są artykuły o rzeczach polskich w „Encyklopedji Powszechnej” Orgelbranda. Jest ich tam 1291, a obejmują 3650 stronice w wielkiej osiemnastu, co najmniej dziesięciu zwykłych tomów. Praca ta byłaby znacząco zupełniejszą, gdyby nie pisał pod naciskiem dwóch cenzur. Pierwszą była rządowa, która usunęła wiele cennych rzeczy, drugą stanowił wydawca, który określał autorowi rozmiary artykułów.

Znaczna część prac B. znajduje się rozproszona po piśmiennicach perypatrycznych warszawskich, krakowskich i poznańskich; bardzo wiele pozostało w rękopisie, z którego dwadzieścia już tomów wydał syn historyka. Ponadto zachowała się obfitość materiału niezauważonego, która ze śmiercią autora może uchodzić za straconą, ponieważ nie znajdzie się tu człowiek, któryby zdołał na patrzeć się w labirynty kilkudziesięciu tysięcy kartek, nadzwyczajnie rzeźliwie zapisanych.

Działalność B. w swoim czasie cieszyła się uznaniem i hołdą. Już w 1853 r. w uznaniu swych zasług został mianowany członkiem Cesarzkiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego

w Petersburgu. W cztery lata później obrano go członkiem korespondentem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, niebawem zaś członkiem rzeczywistym Komisji Archeologicznej Wileńskiej i Muzeum Historyczności i honorowym w Towarzystwie Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Testamentem, zdziałanym w Odesie przez zmarłego tamże Michała Konarskiego, obywatela z Ukrainy, otrzymał wraz z Al. Mianowskim, Szajnochą i Lompa, działaczem śląskim, po 10.000 zł. na cele naukowe. Ze wszystkich stron Polski nadsyłano mu mnóstwo papierów i dokumentów historycznych. Maciejowski wszystkie swe zbiory oddawał mu do rozporządzenia, posiadając zaś jeden w Warszawie prawo sprowadzania książek z zagranicy, ułatwił otrzymywanie ich za swem pośrednictwem; Józef Łukaszczyk pozostał, że doзор nad archiwami polskimi godnie spoczywać może jedynie w rękach Lelewela lub Bartoszewicza; Szajnocha „przesyła mi swój „Lechicki początek Polski”, pisał: „Nie wiem, czy na ziemi polskiej znajdzie się kto, o którego zdanie więcej bym miał, aniżeli o Twoje”.

Michał Grabowski, popierał Bartoszewicza wespół z profesorem Przystańskim i rektorem Mianowskim, jako jedynego kandydata na katedrę dziejów polskich w utworzonej przez Wielkopolską Szkołę Główną. Ze śmiercią wszakże Grabowskiego w listopadzie r. 1863 sprawa nominacji została uzależniona od Wielkopolskiego, który dla Bartoszewicza był usposobiony nieprzyjaźnie. Wszyski proces o dobra sułgostowskie i fundację im. Świdzińskich, w którym B., jako jeden z wykonawców testamentu Świdzińskiego, występował przeciw margrabim, był powodem tej niechęci.

W r. 1866, po utracie posady nauczycielskiej, myślał Bartoszewicz o przeniesieniu się do Ławoa, ażeby swobodnie pracować i zgłaszać owoce wieloletnich badań. Zamiar ten nie dał się jednak skutecznie. Gdy następnie w Krakowie opróżniła się katedra dziejów polskiej po Antonim Waleńskim, zachęcony przez Józefa Szajnochowskiego, w czerwcu 1869 r. zgłosił B. swą kandydaturę. „Wszyskim będę, — pisał — jeżeli spełnią się jedyne marzenia mego życia, szczęśliwym daleko, jeżeli Uniwersytet ławowski usłucha na moje prośby skłoniwszy, odda mi tem samem mandatwo, że dotychczasowe prace moje na jak widać u Niego zostały. To pewna, że sercem i duszą ukochanej nauce oddany, moją mego zapalu tej wyłącznie poświęcę”. Zgłoszenie to nie zostało porządnie. Zwyciężył drugi kandydat: Józef Szujski.

Od początku r. 1870 zaczął B. zapadać na zdrowiu. Wydarzenia nadmiernej pracy organizm nie mógł powstrzymać postępu chronicznej choroby; zgon nastąpił w Warszawie dnia 3 list. r. 1870. Okazały pogrzeb i nagrobek w kościele wzytek (kościół ś. Józefa) gimnazjalnej przed r. 1864) były wyrazem uznania za jego historyka i patriotę przez r.

Ogół pracy, dokonanej przez B. cechuje nagromadzenie obfitego materiału w utkanych z faktów, źródłowych, archiwalnych przeważnie, monografiach i biografiach, których zbiór objąłby zapewne 30 tomów.

W przekonaniach swoich był szczerze religijnym. Katolicką przeszłość Polski i jej dziejowe posłannictwo podnosił zawsze bardzo żarliwie. Katolicyzm uważał za pierwiastek wiele doniosłych w organizmie i kultury i podnosił zawsze we wszystkich wiekach znaczenie i oddziaływanie hierarchii kościelnej. Wiele też pracy poświęcił dziejom kościoła unickiego i Rusi. Badaniami nad pierwiastkowymi dziejami Polski usiłował udowodnić, że plemię polskie, niezawisłe do końca, miało za posłannictwo przechowywać i rozwijać pierwotne, pierwiastkowe, niż gdzie indziej je rozwijał i tem stanąć wyżej nad ludy słowiańskie. Niezmordowany w zbieraniu szczegółów, odnoszących się do działalności osób historycznych, przygotował dla późniejszych historyków olbrzymi materiał biograficzny.

Kierunek i system jego pracy płynął z przekonania, że gwałtu dziejowego nie można tam stawiać, gdzie do budowy brakuje kamieni węglanych i cegieł, a mianowicie monografię ludzi, instytucji, praw, sejmów, wojen, miast i t. d. W pracach swych nie poprzestawał na gromadzeniu ze źródeł czerpanych faktów, szczegółów, ale zabierał się gorącymi uczuciami swej duszy: narodektem i katolikiem, unoszącym go za daleko niżej, stąd też pewien optymizm, niekiedy pewien zapal do przedmiotu, kiedy w dziełach wyobraźnia i dążność prawowierności religijnej wnoszą go poza stery krytycznego chłodu. Objasnienia krytyczne wplatał w tok narracji, obchodził się narówna z innymi sobie współczesnymi historykami niemal bez przypisków i przytoczeń źródłowych, co uważać należy za wielką wadę jego bogatych w treść prac. W pewnym znaczeniu możnaby go zaliczyć do epigonów szkoły lelewelskiej, pewnie pokrewieństwo z nią dałoby się stwierdzić w jego poglądach, właściwiej jednak będzie przyznać mu stanowisko odosobnione w tak rozbieżnie, tak samopas rozwijającej się naszej historiografii w okresie między r. 1831 a 1870. Prace B., mimo postęp w tej dziedzinie, nie ze swej wartości, jako zbiory materiałów źródłowe, nie straciły.

BIBLIOGRAFJA.

I. Pisma Juliana Bartoszewicza. A) Druki. a) W osobnym wydaniu: Królewice biskupi, Żywoty czterech kapłanów, Warszawa 1851. Panowie niemiecy na dworze Stanisława Augusta, część I. Wizerunki osób historycznych, Warszawa 1855. O pomysłach historycznych Augusta Bielowskiego, Warszawa 1855 (odt. z Brł. Warsz.). Bezkrólewie po Janie III Sobieskim, Michał

Wiśniowiec, tłumaczenie z francuskiego, objaśnione przypisami, Wilno 1853. Znakomici męźowie polscy w XVIII wieku, Wizerunki historycznych osób, 3 tomy, Petersburg 1853—1857. Kościoły warszawskie rzymsko-katolickie, opisane pod względem historycznym, Warszawa 1855—1857. Pogląd na stosunki Polski z Turcją i Tatarsami, na dzieje Tatarów, w Polsce osiadłych, na przywileje, tu im nadane, jako też wspomnienia o znakomitszych Tatarach polskich, Warszawa 1860 (odt. z „Alkoranu“). Historyczne pamiętki szlacheckich rodzin i osób dawnej Polski, 2 tomy, Warszawa 1858—1860. (Jest to poprawione i uzupełnione dzieło T. Święcickiego). Codex diplomaticus Poloniae etc., tom trzeci (dalszy ciąg koleksji Ryszczewskiego i Muczkowskiego), Warszawa 1858. Królowie polscy, wizerunki, zebrane przez A. Lessera i objaśnione po polsku i francusku, Warszawa 1857—1860. Arcybiskupi gnieźnieńscy i prymasi, wizerunki z galerii łowickiej, objaśnione tekstem historycznym, Warszawa 1858—1865. Hetmani polni koronni i Wielkiego Księstwa Litewskiego, wizerunki W. Gersona, objaśnione po polsku i francusku, Warszawa 1860—1866. Historia literatury polskiej, potoczny sposób opowiedziana, Warszawa 1861. Album malownicze Kijowa, wydane przez R. Raczynskiego i K. de Belier z opisem statystycznym, Warszawa 1861—1863. Wywlek wspomnień Józefa Ralikowskiego, wydany z obszerniejszego rękopisu (1731—1792), Warszawa 1862. Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, wojewody mińskiego (1666—1721), wydane z oryginalnego rękopisu i opatrzone przypisami, Warszawa 1862. Historia szpitala Dzieciątka Jezus, Warszawa 1870. Dzieła Juliana Bartoszewicza, wydane z rękopisu przez Kazimierza Bartoszewicza → tom I i II: Historia literatury polskiej, potoczny sposób opowiedziana, wydanie drugie, Warszawa 1877; tom III, IV, V i VI zbioru (I, II, III i IV dzieła: Historia pierwotna Polski), Warszawa 1878—1879; tom VII zbioru: Szkice z czasów saskich, Kraków 1880; tom VIII, IX i X zbioru (I, II i III dzieła: Studja historyczne i literackie), Kraków 1880—1881; tom XI i XII zbioru (I i II dzieła: Anna Jagiellonka), Kraków 1882. — Szkice dziełwo księcia rosyjskiego w Polsce, Kraków, 1880. — Zamek Biały, Łódź 1881.

b) Ważniejsze rozprawy i życiorysy, zamieszczone w pismach pojedynczych, z pominięciem artykułów, przedrukowanych w posmiernym wydaniu dzieł historyka, oraz objętych Encyklopedją powszechną Orgelbranda: 1) W Bibliotece Warszawskiej — Kościół św. Andrzeja i kanonicy w Warszawie, 1850, i i III; Michał Małach, marszałek wielki koronny za Stanisława Augusta, 1852; Studański, Historia polska od śmierci Władysława IV, rozbiór, 1855, IV; Ignacy Bobusz, sekretarz Jenerałności w konfederacji saskiej, 1858; Nowa epoka literatury historycznej polskiej, 1853, III; Pamiętniki Losia, 1859, II; Działusz Mikołaja Haneńki, wnuka

hetmańskiego, jako materjał do dziejów Ukrainy, 1859, IV; Tablice historyczne (dostojnicy koronni i litewscy) 1860, III, 1861, II, 1863, I i IV, 1865, II i IV, 2) W Dzienniku Warszawskim — Seweryna Golebiowskiego ustep z przeszłości, 1851 nr. 38; Ks. Jędrzej Poniatowski, 1851 nr. 230; Nowe fakta do zyciorysu Mazepy 1853, nr. 150 i 188; Pamietniki Wydzigi, 1853, nr. 175; Wespazjan Kochowski, 1853, nr. 326; Iwo z Końskich Odrowąż, biskup krak., 1854, nr. 174; Kwestja prawa salickiego, 1854, nr. 90; Osińskiego Al., biskupa, jeden tom listów, 1856, nr. 37; 3) W Przeglądzie Poznańskim — Rozprawa białocerkiewska, tom XXIII. Szkice dziejów kościoła ruskiego w Polsce, tom XXVI i XXVII. Podział Polski w r. 1772, tom XXXI i XXXII. 4) W Przeglądzie Lwowskim z r. 1880 — Prawodawstwo czteroletniego sejmu względem cerkwi ruskiej i Morderstwa, dokonane na unji po upadku Polski. 5) W dodatku do Czasu (krakowskiego) z 1860 roku — O historii, zainicjowanej w cesarstwie rosyjskiem, Sobory ziemskie, pan Solowjow i Aksakow. 6) Urywki z pamietnika i korespondencje drukował Przewodnik Naukowy i Literacki z roku 1901: Listy Juliana Bartoszewicza z Petersburga, — i Biesinda Litaracka z r. 1901: Powieść o sercu dobrego człowieka (1847—49), dalsza część z lat 1842—1847 wyszła w 1912 r. w Przeglądzie Historycznym.

B) Rękopisy w posiadaniu p. Kazimierza Bartoszewicza: 1) Historia Aleksandra Jagiellończyka, 2) Stanisław Poniatowski, kasztelan krakowski, ojciec króla Stanisława Augusta. Rys do dziejów reform politycznych XVIII w., 3) Epistolae historico-familiares Załuskiego, przełożone częściami w formie pamietnika. 4) Adam Kisiel.

II. Prace o Julianie Bartoszewiczu: Gloger Zygmunt, Julian Bartoszewicz, jego żywot i prace, Kraków 1871. Tenze o B. w Albumie zasłuż. Polaków i Polek XIX w. I, 1901. Mosbach August, Serdeczna przemowa do Pana Juliana, Wrocław 1861. Piotr Chmielowski w Wielkiej Powszechnej Encyklopedii Ilustrowanej. Wępiecki w Bibliotece Warsz., 1871, I i w Kłosach, t. IV nr. 81 i 82. Wacław Szymański w Tygodniku Ilustr. 1870 nr. 159 i 151. Dobieszewska w Gazecie Narod., 1870. Cezary Bierzański w Gazecie Warsz., 1870. Aleksander Kraushar w Tygodniku Ilustr., 1900 nr. 44, i w Obrazach i wizerunkach historycznych Warsz., 1900. Strzelbicki-Daniłowicz w Wędrowcu, 1900 nr. 46 i 47. List Lelewela do Bartoszewicza w Przeglądzie Literackim, 1897 nr. 11. Tegoroczna podróż p. Maciejowskiego i p. Bartoszewicza w Dzienniku Warsz., 1853 nr. 328. Recenzje historii literatury polski: Ehrenberg w Bibliotece Warsz., 1861, III; Lukaszewicz tamże, 1861, III; Tyszyński tamże, 1862, II; Baliński tamże, 1861, IV; oraz Dmochowski w Świecie Literatury Historycznej, Warszawa, 1861. Recenzje dzieł historycznych — Schmitt Henryk w Dzienniku Lit-

erackim, 1858; Jaroehowski w Muzem Rutowskiego 1881 (odb. nowe pierwotne Polski, Kraków, 1881); Tyszyński w Bibliotece Warsz., 1856, I i 1880, II; Sowiński w Kłosach 1879, XXIV; Kanowski w Przewodniku Naukowym i Literackim, 1880.

Szkice z czasów saskich.

Kraków 1880.

Sprawa Karwickiego, str. 88.

Przeszłość nasza prawie nieknięta, naukowo nieprzejęta, leży przed nami. Krytyka wnikała tu i owdzie w kraj faktów i objaśniła to i owo; pod tym względem nawet posiadamy dzieła, którymibyśmy się sprawiedliwie mogli pochłubić przed Europą. Ale up. prawo polskie w swoich rozmaitych odzieniach? Kto je badał? Kto się nad niem zastanawiał tak, jakby należało? I tutaj nauka zebrała fakta i rozpowiadała, że tak a tak było, wtędy a wtędy było, ale dlaczego było, dlaczego tak, a nie inaczej? — o tem nauka mizelała i milczy. Nikt organicznie rozwoju zasad naszego prawodawstwa nie prowadził przez wieki, a notował tylko różne jego stanowiska i chwile. Znamięte bardzo dzieło Lengnicha, prawo polityczne Królestwa Polskiego, ciekawe, zajmujące, jest tylko zbiorem sułtych faktów o życiu politycznem narodu. Autor jego pojmował piękne rysy cywilizacji polskiej, na które patrzył, jako filozof-mysliciel. Pisał nawet pochwałę konfederacjom, znajdując w nich dobrą stronę, ale kiedy w samym wykładzie prawa jest etologiczny i mieża przedmioty jedne z drugimi, tem samem zawinąć nie mógł tajemniczego sposobu, w jaki się poczynały, kształciły i rozwijały zasady publicznego prawa naszego. W nowym dopiero czasie literatura polska zyskała dzieł kilka, w których ten i ów przedmiot ukazał się w nieznannej postaci, kiedy światło nagle nań spłynęło.

Przy głębszem też badaniu rzeczy swoich, wiele spraw, które nas dzisiaj zgroza przenikają albo dziwią, inaczej ukaże się oczom i poznamy wtenczas, jak często w dziełach ojczystych wśladzimy się przesiadani lub uprzedzeniem. Kiedy świeże były jeszcze podania narodowe, forma rządu Rzeczypospolitej i jej

objawy nikogo nie dziwiły, owszem musiały mieć coś szlachetnego i wielkiego, kiedy taką miłością ku sobie natchnęły szlachę przez tyle wieków. W naszym przekonaniu każda zasada i myśl, która zatrzymuje się przez kilka pokoleń, godna jest zawsze szacunku, bo musi mieć w sobie jakieś żywy dodatnie. Działaj, chociaż o międzę graniczym z naszymi wiekami średniami, według pięknego wyrażenia się autora „Listopada”, rzadko kto z nas rozumie tę niedawno ubiegłą przeszłość, kiedy nagłem pod nami wstrząśnięciem ziemi zatamowały się nurty podąży narodowych. Dziś się pospolicie na to i owo narzekają, mierząc zasadę pojęciami społecznymi, — gruba to nieświadomość. Dla człowieka nauki, który wnika w te labirynty, niema miejsca na uprzedzenia, ależ trzeba długo pracować, zanim się przyjdzie do czyściejszych wyobrażeń o przeszłości. Konfederacje np. nasze w zasadzie swojej niczem się nie różnią od mityngów angielskich, tego podobieństwa jednakże nie upatrują wcale ludzie, którzy mityngi uważają za przynależność pewnej cywilizacji, a konfederacje wyrzucają jako grzech śmiertelny dawnym Polakom. Charakter narodowy to robił, że u nas wszelki opór w rycerskim narodzie większości prawdziwej lub przysposobionej, rozwijał zaraz sztafard rycerski, kiedy w Anglii kończyło się na spokojnej propagandzie i na ligach. Zresztą późno dopiero konfederacje sprawy publiczne rozstrzygały orężem, ale już wtedy machina Rzplitej ruszała się na swoich podstawach, wśród ogólnego zepsucia i nierządu. Kokosza wojna czemże była, jeżeli nie konfederacją? Skończyła się przecież spokojnie, jak mityng, chociaż tysiące zbrojnej szlachty brały w niej udział. Albo potwarzane tyle razy liberum veto? W zasadzie swojej płynęło to prawo z najszlachetniejszej myśli, że wszyscy obywatele polscy wszystko poświęcają dla ojczyzny, a więc, że i zgadzać się z sobą powinni we wszystkich sposobach i środkach, które za cel mają dobro ogólne. Rzeczpospolita nie przypuszczała, żeby znalazł się szlachcic, któryby się uwodził prywatą w sprawie, która kraj jego rodziny obchodziła, i choćgo jednak żyła szczęśliwa tem przekonaniem. Jeden poseł mógł sprzeciwić się całemu sejmowi i zatamować słowem swoim, albo zniszczyć obrady publiczne, i prawo polskie dla tego za nim się oświadczało, że poseł ten mógł lepiej sercem

swojem znacem, poświęconem wyłącznie dla kraju, przeczuć, przewidzieć niebezpieczeństwa, jakie pewien wniosek wywoływał dla Rzplitej, od przeważnej większości obywateli, którzy wniosek popierając, mogli mimo to być w błędzie, lub którzy, oświeczeni błędem, uplatani myślą, nie tak jasno pojmowali potrzeby Rzplitej, lubo wszystko i sami gotowi nieść jej byli na ofiarę. A takim sposobem Rzeczpospolita posunęła system reprezentacyjny do ostatnich jego konsekwencji i rządzić się chciała nie większością, ale jedynomyślnością. I kto zna historję, przyzna, że różne mogły być w Rzeczypospolitej w senacie i Izbie poselskiej zdania, ale mniejszość ustępowała u nas zawsze większości, młodzi zasłuzdzą, stan rycerski senatowi, i ten stan rzeczy, świadczący o wspólnej miłości ku sobie całej szlacheckiej rodziny, trwał tak długo, póki nieład nie zaczął kasie obyczajów polskich; fakt faktem, że prawa zawsze stawały u nas jedynomyślnością. Przykładów podobnych zgody nie poznał żaden państwo na świecie. Pierwszy dopiero Siciński użył prywaty dla zatamowania sejmu, ale wtenczas za Jana Kazimierza, wśród rozprzęgłej Rzplitej, kiedy w osobnych grupach obok siebie stawali katolicy, dysydenci, kościół grecki, szlachta i miasta, różne narodowości i wiary, duch obywatelski był jeszcze tak silny, że krok ten Sicińskiego wszyscy napiętnowali zgrozą i przekleństwem. Zle rozwijało się piorunem, za Korybuta zrywanie sejmów już nie raz, za Jana III zupełna swawola, za Sasów już paraliżem ścięło naród. Nie zasada więc, ale jej nadużycie było zgubnem dla kraju. Liberum veto złem lekarstwem, trucizną być zaczęło dopiero za Jana Kazimierza. Od swojego z początku aż do tej krytycznej chwili, wyrażające się językiem szlachty, owo liberum veto było prawdziwą żenicą wolności. A jednak tak mało znamy stosunki naszych przodków, że oto niedawno jeszcze zasłużony wielce literaturze Fel. Bentkowski, jak zmyry nocej, bał się liberum veto, i tłumacząc swoją pisownię, nie chciał, żeby go o miłość dla tego prawa posądzono¹⁾.

¹⁾ W przedmowie do wydania dzieła Łukasza Gołębiewskiego o panowaniu królów jagiellońskiego domu. Warszawa 1846 r.

Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku.

Wizerunki historycznych osób...

Tom II. Petersburg 1856.

Anna Orzelska, (Pańi Błkitnego pałacu) str. 263.

Po Sobieskiego śmierci na tronie polskim zasiadł król młody i piękny, olbrzymiej siły, namiętego serca. August Mocny lubił wystawność dworu, zabawy rycerskie i miłość dla kobiet. Zalotny, hojny, bogaty, zaczął blaskiem swoim przepych i świetność, jaką się inne otaczały korony.

I nikt w Polsce tak jeszcze nie kochał, jak król August Mocny. On umiał tak wybrać stosowną chwilę, żeby się podobać, z takim wdziękiem potrafił roztoczyć czary uludy, tak po rycersku rozumiał piękność, że w samej rzeczy trudno się było oprzeć nie ponęce, a milionom tych ponęć, coraz więcej namiętnych, coraz więcej tęsknych. Szalały też za Augustem niewiasty polskie. Niejedna głęboko w sercu ukrywała miłość, jakby ją chciała osłonić przed sobą, przed ludźmi, przed całym światem, a jednak wkońcu zdrząła struna tajemna i wydała odgłos, który August zrozumiał. Wówczas już przywiązanie łamało wszelkie światowe zapory. I rzecz dziwna, — miłość jedna w Auguste ustępowała przedko drugiej, ale kobiety walczyły z sobą o jego serce i nawzajem prześladowały się z nienawiścią, z całym ogniem szaleństwa. On kochać przestał, a ich westchnienia jeszcze gonily za niewiernym.

Dawniej w Polsce małżeństwa jeszcze były spokojne, a jeżeli zdarzyła się kiedy jaka niewierność, tzy i żal długi zmagaly plamę, bo niewinność i doświadczenie spoglądały z pogardą na upadłą cnotę. W początkach wieku XVIII powoli nęknęły te skrupuły. Ziarno, rzacone na ziemię, wschodzić zaczęło. Domy starodawnych zwyczajów nie otwały podwojów jeszcze dla zarazy, ale kobiety nasze zaczęły powoli przywykać do zbytków, przechodzących stan, i bawić się z mężczyznami w miłość niepozwoloną. Już nie ukrywały się ze swoim uczuciem w komnatach rodzicielskich, a owszem wychodziły na świat, trefły włosy misternie, na usta przywoływały uśmiech i w pogardę dumy stroily swoje oblicze. Nie płakały, jak niegdyś Jadwiga, kiedy jaki Gniewosz z Dalewic domyślał się po nich

ślędu, a owszem chlubić się już zaczęły, że w wieku nawet dojrzałym potrafią czarować swoją pięknoscią i obudzać dawne rycerskie wspomnienia. A jednak zaraza ta dotknęła pewne, tylko wyższe warstwy, a nie tknęła niższych słojev społeczeństwa. A nawet i tam daleko jeszcze było do cynizmu Francji. W Wersalu panie Pompadour, Dubarry w rękach swoich trzywały losy całego narodu. U nas kobiety, oswojone z wyobrażeniami francuskiej i niemieckiej szkoly, chociaż już starty a siebie piętno skromności dziewiczej i niewieściej, przecież nie popisywały się jeszcze ze swoim wpływem. Jeżeli go rozposcieraly, to tylko chyba w komnatach, a nie pokazywały narodowi twarzy pięknej, chociaż często zalanej łzami.

We Francji był bezwstyd cynizmu, — a w naszym w. XVIII, w jego początkach, za Augusta Mocnego, panowała, że tak się oryginalnie wyrazim, skromność bezwstydny.

CYGANERJA WARSZAWSKA. — JÓZEF BOHDAN DZIEKOŃSKI.

(1815 — 1855.)

Po burzy listopadowej i upadku powstania nastąpiła w Królestwie cisza i zanik ruchu umysłowego; po chwilach zapалу i porywów nastąpi długie lata przygnębienia, apatii i zniechęcenia. Zamiast kilkadziesiątu czasopism, dyszących życiem gorączkowym i temperamentem, które wychodziły w r. 1831 w Warszawie, w ciągu dziesięciolecia 1831—1840 węgiewało zaledwie kilka, jałowych pod względem treści, pozbawionych głosu wolnego, pism; i nie dziwnego, najwybitniejsze umysły, najdzielniejsze jednostki, cała niemal młodzież, pełna energii i ducha iniejaływy, wymi-growała zagranicę, z drugiej zaś strony surowa cenzura Humbla wszędzie przejawy wolnej myśli. Życie umysłowe w kraju, t. j. w Królestwie, było w letargu. Dopiero ok. r. 1841 zaczęło się ono badać w Warszawie. W r. 1841 powstaje poważny miesięcznik o charakterze naukowym, pod względem kierunku umiarkowanie postępowy, i staje się jakby kamieniem węgielnym czasopiśmiennictwa warszawskiego, które odąd zżywiej zaczyna się rozwijać. Pismo to — „Biblioteka Warszawski” nie mogło jednak zadowolnić młodego pokolenia, które wewnątrz w tym czasie dojrzało i szukało ujścia dla porywów swego ducha. I oto młodzież ta próbuje założyć własny organ; staje się nim najprzód „Przegląd Warszawski” (1840—41), a następnie „Nadwiślanin” (1841), ale pisma te krótko trwały. Wreszcie, dzięki poparciu materialnemu jednego z tej młodzieży, Edwarda Dembowskiego, powstaje pismo, które, znalazwszy grunt pod sobą, skupia plody ducha młodych pisarzy ówczesnej i przedstawia się „Biblioteczka Warszawskiej”, jako organ postępowy i demokratyczny, który nie tylko wyznawał idee postępowe, ale i walczą dla nich postanawia. Jest to „Przegląd Naukowy”, założony przez Edw. Dembowskiego, a redagowany przez Hipolita Skimborowicza; wychodził on przez lat 6 bez przerwy (1842—48) i w ruchu umysłowym dziesięciolecia 1841—50 w Warszawie zawążył niemało.

Młodzi pisarze, którzy wystąpili w Warszawie na pole literatury ojęzycznej w tym okresie czasu, skupiali się w różne grona i kółka. Część zapaleńców tworzyła grupę t. zw. *cyganów* czyli *cyganerję warszawską* (pokrewną *bohemijski* paryskiej); byli to przeważnie poeci i malarze, pogardzający t. zw. salonowością konwenansami i przeciwstawiający się jaskrawo „filistrom” czyli t. zw. dżit „burżuom”. Należeli do niej Seweryn Filleborn, rektor „Nadwiślanina”, Roman Zmorski, Włodzimierz Wolski, Józef Bohdan Dziekoński, Seweryn Zenon Sierpiński, Aleksander Niewiarowski, Józef Miniszewski, Wacław Szymanowski, Józef Kenig (ostatniego głośny publicysta) i kilku innych. Przewodził cyganom czasu Filleborn, lecz niabawem przewodzą ich stał się J. B. Dziekoński, najgłębszy, jak się zdaje, wśród cyganerji warszawskiej umysł.

Druga grupa czyli kółko t. zw. *entuzjastów* i *entuzjastek*, z Narezą Zmichowską na czele, natury wykwintniejsze i podnoszące, zbierała się w redakcji „Przeglądu Naukowego”, w domu Hipolitowstwa Skimborowiczów. Składali to grono, oprócz entuzjastów, Edward Dembowski, młody filozof, najzapalniejszy i najradzy-kalszejszy demokratą z całego kółka, założyciel i główny przez dwa pierwsze lata współpracownik „Przeglądu Naukowego”, du-szowy ojciec Dembowskiego, Henryk Kamiński, późniejszy autor „Prawd żywończy”, które tyle krwi napisały Zygmuntowi Kra-szkowskiemu (Dembowski i Kamiński należeli do tajnego „Związku Narodu Polskiego”), Jan Majorkiewicz, filozof, Karol Bałuski, Julian Kozłowski, Feliks Jezierski i kilku innych. Skupili się oni nieco później od cyganów. Niektórych entuzjastów i entuzjastki świetnie oskarżycielska Zmichowska we „Wstępny obrazku” do „Polski”. W lat kilkadziesiąt dopiero po Gabryelli, wzorując się, jak się zdaje, na jej „Wstępnym obrazku”, spróbował odtworzyć du-szowe oblicze „cyganerji warszawskiej” jeden z jej niegdys grona, Aleksander Niewiarowski (Półkoźcie), również w „obrazku”, p. tyt. „Cyganerja Warszawska” (1881).

W obu tych charakterystykach, skreślonych w formie po-słanctwowej, należy oddzielić zmyślenie od prawdy (jak w Goethego „Bildung und Wahrheit”), szczególnie w obrazku Półkoźca, po-wstałym, jakby rzekł Słowacki, z imaginacji i sennego przy-goszenia.

Winni pisarze tego pokolenia (t. j. urodzeni ok. 1820 r.), którzy w tym samym dziesięcioleciu wystąpili w Warszawie po raz pierwszy w literaturze, bliżej się nie łączyli ani z jedną, ani z drugą grupą, ani ap. rówieśnik Dziekońskiego, Antoni Czajkowski, Ludwik i Kyprian Norwidowie, Edmund Chojceki; lub też, stroniące od ży-wotnych zebrań, trzymali się od nich zdaleka, w sobie się zamy-kać, jak np. Lenartowicz, jak młodo zmarły Teodorjusz Krzy-

wieki, jak Felician Faleński, w tem dziesięcioleciu (przed r. 1843) nie występujący jeszcze publicznie.

Wszystkich tych młodych poetów i pisarzy, skupiających się w kółka i idących samotnie, ożywiły te same mniej więcej aspiracje i te same ideały, wszyscy byli demokratami z przekonaniem społecznym, ludowcami z upodobaniem estetycznym, rozmiłowanymi w ludzi i jego twórczości, wszyscy byli romantykami, drugie pokolenie romantyków, ale nie epigonami romantyzmu, którzy wystąpiła w następnym dziesięcioleciu (ok. 1860). Po paru latach przelazli się w Warszawie szeregi tej zapalonej młodzieży, umiera Sierpiński w r. 1843, w parę lat po nim Filieborn (ok. 1847), w 1843—44 wyjeżdżają zagranicę Zmorski, Cyprjan Norwid, Edna Chojecki; w tym samym czasie (1843—44) udają się w Poznańskie spiskowcy i rewolucjonści, jak Dembowski i Kamiński; za nimi podąża konspiratorka również, gorąca patriotka i działaczka, Zmichowska; niektórzy wkrótce wracają i zostają uwięzieni (Kamiński, a w kilka lat po nim Zmichowska); Dembowski ginie w r. 1846 pod Krakowem; zagrożeni aresztowaniem uciekają za kordon Dziekoński w r. 1847, Baliński i Lenartowicz z Karolem Brzozowskim w r. 1848.

Cyganie nie cierpieli warstw sfilistrzanych i salonowych i na przekór im lekceważyli formy towarzyskie i konwenanse, dopuszczając się nieraz dźwięków i ekscentrycznych wyryków, w ten sposób narazie, w ciężkich warunkach politycznych i wczesnych, wyładowywali zasoby przyrodzonej żyźny i energii. — Chętnie też zgodzili się po knajpach i garkuchniach, gdzie mogli puszczać wodze swym bujnym temperamentom, bez skrapowania. Gdy się szeregi ich przeszedli, zbierali się w domu Wilkońskiego, nieocenionego autora „Ramatok”, i żony jego, Pauliny i Lenartowicz, autorki licznych powieści, przybrawszy nazwę „cechu głupców”, cechowi przywołał sam gospodarz, a zapisał do niego nie tylko „cyganie”, — i Wójcicki, i Antoni Czajkowski, i Lenartowicz; zebrania te naturalnie musiały już mieć inny charakter, niż dawniejsze knajpiane. Wilkoński, który dopóki był współpracownikiem „Biblioteki Warszawskiej”, nie lubił cyganów, napadających ostro na to pismo, w którym on ogłaszał swoje „ramoty”, w r. 1844 rozpoczął wydawać swój „Dzwon Literacki”, pozyskawszy wspólnie z pracownikami Dziekońskiego, Wojskiego, Lenartowicza i innych, Cyganie zbierali się też chętnie w gościnnym domu p. p. Morzkowskich, w Rybkienu pod Wyszkowem nad Bugiem, gdzie nie było w niczem krępowań.

Cyganeria warszawska składała się przeważnie z ludzi uduchowionych, ale wykojejonych, z dyktantów, bez uniwersyteckiego wykształcenia, nie było bowiem przez lat 30 po powstaniu listy podawem ani jednego wyższego zakładu naukowego w Królestwie. Jedynym wyjątkiem wśród tych wykojejonów był przywódca ich

Dziekoński, wychowaniec uniwersytetów niemieckich. Ant. Czajkowski, rówieśnik Dziekońskiego, nie należący zresztą do właściwej cyganerii, który się kształcił w uniwersytecie krakowskim, był przybyszem z za kordonu.

Józef Bohdan Dziekoński urodził się w r. 1814 w Warszawie; syn zasłużonego pedagoga Tomasa Dziekońskiego, był on o trzy lata młodszy od Zygmunta Krasńskiego, którego ojciec jego uczył w liceum literatury polskiej. Matką była Tekla z Bloiszczańskich. Naukę szkolną odbył J. B. Dziekoński w Warszawie, uniwersyteckie zaś wykształcenie zdobył w Dorpacie (1837—39) i w Królewcu, gdzie studiował głównie nauki lekarskie; w Moskwie otrzymał tytuł doktora medycyny, ale nigdy nie praktykował; uniwersytetem niemieckim zawdzięcza Dziekoński nie tylko przyrodnicze, ale i wykształcenie swo łożoficzne; z nauk przyrodniczych umiłowal sobie szczególnie chemję.

Ukończywszy studia uniwersyteckie w r. 1840, osiadł w swem rodzinnem mieście, od czasu do czasu porzucając bruk miejski, aby się schronić w Ustroniu pod Warszawą, majątności swych rodziców. Strącony fałszem, panującym w życiu łowarskim salonów warszawskich, zerwał Dziekoński z niem zupełnie i przyłączył się do hałki cyganów z Filiebornem na czele, stroniącego również od konwencjonalnego życia salonowego. „Ta garska młodzieży, pragnąca myślą i duchem, idąca w przyszłość bez żadnego kierunku, pragnąca coś działać, bez świadomości środków, wiodących do celu, bez samopoznania sił swoich i bez spójni z szerszym społeczeństwem warstwami, wydała mu się” powiada jeden z tej garski (Niewiarowski), „gronem dzieci osieroconych świeć, lub gromadką marzących się w życiu”. Postanowił skierować je ku jakiemś wyraźnemu celowi, dowodząc, że pisać wiersze lub malować obrazy dla samej sztuki tylko, to zabawkę; zwał więc tych młodzieńców, aby się schodzili i wzięli się do pracy wśród ludu i dla ludu. I oto rozpoczęła się podobno, podczas pierwszego zetknięcia się Dziekońskiego z cyganerją, scena wielek charakterystyczna, malująca doskonale atmosferę ówczesny wśród młodzieży: Dziekoński w uniesieniu postąpił podobnie, jak jeden z bohaterów jego opowiadań (zob. opow. „Pająk”) — poszarpał na sobie stroj salonowy, frak, wstrętny cyganom symbol filisterstwa, i ubierał się odąd zawsze bardzo skromnie. Był też, jak powiada pamiętnikarz, wyłącznie prawie z klasą obywatelskich rzemieślników, które pomiędzy młodzieżą zwłaszcza posiadał mił i wpływ ogromny”. Dziekoński zawładnął też odrazu umysłami „cyganów” i wpłynął na kierunek ich twórczości. Mniemanie, że to on przeszczepił na grunt warszawski z Dorpatu obyczaj bycia uzasadnione, wobec faktu, że w jednym ze swoich szkiców ówczesnych buszerję dorpacę i jej zwyczaje secharakteryzował

bardzo niepochlebnie (zob. „Dorpat” w „Dzwonie Literackim 1846 i w „Spomnieniach i marzeniach Bogdańskiego”); był zresztą Dziekoński myślnie głębszym, poważnym, skłonny do mistycyzmu.

Utwory swoje Dziekoński pomieszczał zrazu w „Bibliotece Warszawskiej” (od 1841 r.) i w „Nadwisłaninie” (1841); w r. 1843 wydał wraz z Zmorskim książkę zbiorową (noworocznik) p. t. „Jaskółka”, w którym zebrali obaj utwory wierszem i prozą przeważnie z kółka cyganów. Edw. Dembowski ocenił bardzo surowo „Jaskółkę”, choć sam dał do niej rozprawkę, a nawet ofiarował fundusz na jej wydanie. Główny zarzut, jaki uczynił tej książce, był, że zbiór to bezbarwny prawko, że „dążenia jednego” w niej nie widać, to ma za znaczący kierunek jednolitość. Nie oszczędził i samego Dziekońskiego, który jest za mało dla niego postępowy, że „od czasu kiedy ramotę pełną wstecznych dążeń przelożył (zapewne ma tu na myśli Dembowski przekład z franc. dziełka Roselly’ego p. t. „Chrystus w obliczu wieku”, Warsz. 1842), zrodził w sercach naszych bolesną wątpliwość... Dziekoński „coraz dalej brnie w kał wsteczności, dziś już przez wszystkich myślących wzgardzonej i wyszydzonej... i mając na myśli fantastyczną powiastkę Dziekońskiego, umieszczoną w „Jaskółce”. Dembowski wyraża żal, że „takimi bezsensownymi tworam” marnuje swój talent („Przegląd Naukowy”, 1843, III). Dembowski przesadzał nieraz w swych ujemnych ocenach, o ile dopatrzył się w utworze jakim wstecznego, to znaczy niedość radykalnego dążenia.

W powiastkach swych i obrazkach fantastycznych (zaczął je pisać jeszcze przed r. 1840), w których wzorował się na podobnych utworach T. A. Hoffmana, Dziekoński wyraził najdobitniej hasła i idee, przyswiciające egzanerji, dążenia i aspiracje całego kręga młodzieży, któremu przewodniczył. (Na szczególną uwagę zasługują: „Wyzwolenie zapaleńca” i „Pajak”). Zebrali je z czasopism i drukiem ogłosił w dwu tomikach A. Wilkoński, serdeczny przyjaciel Dziekońskiego, już po jego wyjeździe z Warszawy, p. t. „Spomnienia i marzenia Bogdańskiego” (1848). Żegnając się niejako z towarzyszami, pisał we wstępie do zbioru Dziekoński: „Może niejedno z rozczuconych w następujących kartkach marzeń lub myśli, dobrzy moi koledzy! obudzi w was wspomnienie dawno w przeszłości pogrzebanej chwili, wspomnienie dążeń i nadziei młodzieńczych. A ktoś spomnie takich nie wita przyjaźnie?... Chciejcie je więc tylko uważać jakby duchowe odwiedziny i przypomnienie, że dla was zawsze niezmiennymi pozostać pragnę”. W Wilkońskiego „Dzwonie Literackim” (1846—47) umieścił Dziekoński, oprócz paru obrazków, szereg artykułów krytycznych. Najdojrzałym utworem Dziekońskiego jest powieść, na ile historycznym osnuta a mistycyzmem przesiąknięta, p. t. „Sędziwój” (1845).

W 1847 opuścił Dziekoński Warszawę i znalazł się we Francji. W Paryżu zapoznał się z Mickiewiczem; został wyznawcą

doktryny Towiańskiego. W r. 1848 zaciągnął się do legjonu, utworzonego we Włoszech przez Mickiewicza, a walczącego z Austrią. Następnie udał się w Badenśkie, a stąd do Szwajcarii; tu starał na życie poczęci jako rytmik, poczęci jako malarz i pomarcezy. Zmarł w Paryżu, w szpitalu Beaujon, na suchoty, 4 3 lipca 1855 r. Nad grobem jego przemówił jen. Dembiński; opisał na ementarzu Montmartre.

BIBLIOGRAFJA.

A. Pisma Dziekońskiego: Powiastki i obrazki Dziekońskiego, drukowane poprzednio w Bibliotece Warszawskiej (1841—43), w Nadwisłaninie (r. 1841), w Jaskółce (1843), w Słopku Nadwisłaniskim (1845) i w Dzwonie Literackim (1846), wyszły zebrane p. t. „Spomnienia i marzenia Bogdańskiego. Zebrali i drukiem ogłosił Au. Wl.” [t. j. August Wilkoński], 2 tomiki, Warszawa, 1848. Zawierają: „Siła woli”, „Trupa głowa na biesiadzie”, „Pajak, wryki z listów młodego”, „Ogłoszenie w gazetach”, „Piosenka, kuszaja”, „Worek, gawędka z podła ludu”, „Wyzwolenie zapaleńca”, „Moja fajka, marzenie”, „Władysław, niepodobne do prawdy, a jednak prawdziwe zdarzenie”, „Dorpat”. — „Sędziwój”, 3 t. Warszawa, 1845. Nowe wyd. Warsz. 1907, 3 t. w jednym (Dod. do Tyg. Ilustr.) — W czasopismach drukował naddo następujące utwory i artykuły: „Łysa Góra, wspomnienie z wędrówek po kraju”, „Okiennik, wspomnienie z wędrówki po kraju” („Jaskółka” 1843); „Uwagi nad pochwałą poematu „Dziecięcie Jezus” ks. Hołwińskiego, umieszczoną przez J. L. Kraszewskiego w posyلة biblioteki Warszawskiej za miesiąc lipiec 1846 r.” (w „Dzwonie Literackim” 1846); recenzje powieści: „Spekulana” Krosznowskiego, „Pamiętników Nieszajonego” i „Zygmuntowskich czasów” Kraszewskiego i „Kataleptyka” Szyrmera (tamże); „Kilka słów o metafizyce hermetycznej” (w Przeglądzie Naukowym 1842), „Gawędka o literaturze i niektórych innych rzeczach (tamże 1843). — Przekłady: „Zacmienienie księżycy”, Jana Pawła Rychemta (Bibl. Warsz. 1841, III); „Zbrodniarz przez sirażona honor”, powieść prawdziwa Fryd. Szyllera (Bibl. Warsz. 1845, IV); osobno: Roselly de Lorges A. Fr.: „Chrystus w obliczu wieku, czyli Nowe świadectwo nauk o obronę Chrystjanizmu. Z franc. przelożył J. B. Dziekoński, Warszawa 1842. — List Dziekońskiego do Mickiewicza, z r. 1848, w Paryżu w „Korespond. Mickiewicza” t. IV; wyjątki z innych listów w Wl. Mickiewicza „Żywocie Ad. Mick. IV”; 2 listy z r. 1855 do Pauliny Wilkońskiej w jej „Moich wspomnieniach o życiu towarzyskiem w Warszawie”; list do Mickiewicza z r. 1848, wrytek z dziennika z r. 1848 i odczyna — w aneksach do t. III Słopkińskiego „Adam Mickiewicz i jego epoka”, (1923).

B. O Dziekońskim pisał i: P. Wilkońska: Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie. Poznań 1871; nowe

wyd. w Bibl. Dzieł Wybor. Warsz. 1907. — Chmielowski w W. Enc. Powsz. Ilustr. i w Hist. liter. pol. V, 141—144. — Półkozie (Al. Niewiarowski): Cyganeria warszawska (Kur. Warsz. 1881, listop. grudz. i 1882, stycz.). — Marréné: J. B. Dziekoński. („Dodatek Miesięczny” do Przegl. Tygodn. 1889, III i „Świat” (Kraków) 1894; też w jej książce p. t. „Cyganeria warszawska”, Warsz. 1905 (Bibl. Dzieł Wybor.). — Zdziechowski: Byron i jego wiek, II. Kraków 1897. — Wł. Mickiewicz: Żywot Ad. Mickiewicza IV. — Z. Feliński: Pamiętniki. Kraków 1897.

O Cyganerii warszawskiej pisał:

A. Półkozie, p. wyżej. — Marréné, p. wyżej. — K. Witte: Cyganeria warszawska i Teofil Lenartowicz (Tyg. Ilustr. 1904, II). — Gomulicki: Cygan. warsz. (Wyjaśnienia i przyczynki) Goniec Poranny 1905, nr. 273. — Tenże: Cyg. Warsz. Bajki o niej i prawda (Tyg. Ilustr. 1911, nr. 42—43). — Al. Półkozie (Niewiarowski) w artykułach o Wolskim (Słowo 1882, nr. 32—38), Lenartowiczu (Słowo 1822, nr. 172—177), Zmorskim (Kłosy 1885), Ludwiku Norwidzie (Echo 1882, 17 stycz.), Cypr. Norwidzie (Wiek 1884 i Kłosy 1886, II). — Sfinx (Skimborowicz): Gabryella i Entuzjaska (Bluszczy 1880). — Wilkowska, p. wyżej. — Bartoszewicz w hist. liter. pol. II. — Faleński w Przedmowie do „Pism Teodozjusza Krzywickiego (Warsz. 1887). — Chmielowski w Historji liter. pol. V, 132—152. — A. Plug: Filteborn Seweryn (W. Enc. powsz. Ilustr.). — Zmorski: Wspomnienie Seweryna Zenona Sierpińskiego (Tyg. Literacki 1844). — Skimborowicz: Słów kilka po pogrzebie S. Z. Sierpińskiego (Orędownik Nauk. 1843). — Stecka: Edw. Dembowski, Lwów 1911. — Cz. Jankowski: Józef Kenig (w jego „Na marginesie literatury”, Warsz. 1906).

„Cyganeria Warszawska”, sztuka Adolfa Nowaczyńskiego (1911) wraz z „Parergą do Cyganerii Warszawskiej” („Świat, 1911, nr. 43) nie jest charakterystyką, z zasadniczych rysów charakteru tej grupy pisarzy naszych wysnutą, lecz karykaturą.

Pająk.

(1841)

Urywki z listów młodego artysty.

(Spomnienia i marzenia Bogdaniego*. W Warszawie, 1848.)

A pfe! c'est du
mauvais genre.

I ja, gdy wspomnę lękam się,
a wstrząsa drżenie ciała moje.

Księg. Job. Rozd. XXI w. 6.

Warszawa d. 7. lipca 1841.

(Tom I, str. 93—103).

... Jak Ci wiadomo, nie miałem u żadnego przyjaciela,
o co nie łatwo każdemu, tem trudniej mnie z dziwactwami

mojemi; ale co szczególniejsza, że przez cały ten paromiesięczny czas nie znalazłem nikogo, z kimby mógł szczerze doszyta się nagadać, choćby tylko dla przypomnienia dawnych naszych gawedeł. Warszawa okropnie mię nudzi. Wszystko mi tu wydaje się tak zimne, sztywne i bezduszne, iż w czasie opałów dreszcz gotów przejąć serce, gdybym je najaw wyśnósł, gdybym je, jak ogrodniczy swe rośliny, nie ochraniał przed powiewem tutejszego modnego świata. Sam nie chcę sobie wierzyć, czy to jest toł samo miasto, którem po 5-letniej nieobecności na nowo poznał. Miałbym się dotyla zmienić, iż co dawniej uwielbienie, dziś tylko okliwłość sprowadza? Zaczynam wierzyć, iż oprócz własnej woli jest druga, jakby odrotna strona medalu człowieka, bodaj czy nie ważniejsza. Tak mi dziś jakieś tęskne uczucie całe piersi rozpiera, tak namiętnie wzdycham za tą balsamiczną pociechą Twych wyrazów, iż pokonawszy wstręt do bagrania, co fala kałamarza na pióro przyniesie, rzucę Ci do wspólnego przyjacielskiego spotycia, chociaż na odpowiedź tak długo — długo muszę czekać. A naprzód opowiem Ci jeden ustęp z terażniejszych wypadków dni moich, który, nie wiem dlaczego, co chwila mi staje przed pamięcią — miałoby to być przeżucie? Kilka dni temu odbieram bilet, zapraszający do pani baronowej.** Znają mię tam tylko z rekomendacyjnego listu; a jak Ci wiadomo, polecony byłem z dobrej strony, to jest: jako *un jeune homme bien élevé*, czyli człowiek, nie wychodzący z granic sumy, grzeczny, przyzwoicie ubrany, nie powstający na modę, mający zdolności umysłowych właśnie tyle, ile potrzeba do zabaw wieczornych, a choćby trochę mniej, to nie nie szkodzi. Był to, ani na jedną, ani na drugą stronę, nie razito, bo wszelkie odznaczenie to psuje równowagę pięknego parteru światków salonowych.

Pani baronowa, dama nie pierwszej młodości, zachowała jeszcze ślady wdzięku, które jej wiele dodają uroku, właściwego warszawskim gospodyniom zabaw wieczornych. Bierze się u niej modna młodzież, niedobitki wyższego tonu, a mianowicie artyści i literaci. Przyszedłem za wcześniej, za mało było osób kilka, prawie sami domowi, znajomy tylko i gospodynią, nie wiedziałem, co z sobą robić, przedstawiono

mię jednemu, drugiej, trzeciemu, czwartej, kłaniałem się rumieniąc, nie mogąc ani jednego wyrazu znaleźć... Bo proszę Cię, odpowiedź mi głośno w dzień, bez zarumienienia się lub śmiechu, gdy kto poważnie odzywa się: „Bardzo mi miło, lub przyjemnie, poznać WPana“ i t. p., resztę patrz w gramatyce Meidingera. I gdy podobne rozmowy toczą się godzin kilka!

Siadłem w kącie i patrzałem. Rozmawiano: po francusku. Śpiewano: po włosku. Tańczono: po niemiecku. Jedzono kołację: po angielsku; ja milczałem: po polsku. Wreszcie zaczęło się widowisko: wystąpił na środek straszny, z wąsami i brodą, i długą czupryną poeta i deklamował. Daruj, że nie pamiętam o czem, wiem tylko, iż chodził do nieba, rozmawiał z Panem Bogiem, a potem, zamadzany kawatek chleba z masłem, wstąpił do piekła i danom zaręczał, że tam nie tak źle, jak sobie ludzie wystawiają. Potem drugi błady z podsińtami oczami poeta zaklinał się, iż lwu paszczę rozzedrzeć jest w stanie, iż gwiazdami jako galkami rzucić potrafi, później znowu jakieś dziecko deklamowało wiersze, nie swoje, niby dla doświadczenia braci literatów i t. p. Damy dziękowały za zabawę głośno, z uśmiechem, mężczyźni sypli estetyczne pochwały, oklaski zewsząd brzmiały, poeci, tocząc oczy dokoła, spoglądali po sobie, potrzaskali grzywami, poprawiali czubów, zapewne aby laury nie pospadały, a mnie już brakło cierpliwości; cierpliwości, jakiej zapas obfity na długie dni powszedniego życia byłby wystarczył. Tehu mi nie stało, wybiegłem, choć dopiero była godzina 10. Uf! jak cudem wyleczony astmatyk pełnemi piersiami zaczerpnąłem wieczornego powietrza. Już lud wracał ze spacerów, tłumy minęły, rzadzi przechodnie i dniowe światło już zaszło, tylko jeszcze złote krzyże i wierzch kościoła Aleksandra rumieniły się odbiciem wysoko czerwieniących obłoków. Czarne aleje brzmiały jeszcze czasem powozami, pragnąłem spokoju, ciszy, chciałem uciec od zabaw i biegłem ulicą Mokotowską, która, że był dzień powszedni, jako bezładna ku sobie mię wabiła. Za mną tylko huczał coraz dalszy głuchy gwar mrowiska miasta, coraz rzadziej warczą kota na dalekiej ulicy i znów cicho — tylko chyba kilka nut przechodzącej katarynki doleci. A nade mną śród ulicznych murów, jak rzeką płyną fale błękitu i chmury

jak duchy złego, dręczące w dzień ludzi, uciekają na noc z miasta i wielka odwieczna iluminacja mirjadami gwiazd zapala się na pyszną uroczyść nocy. Gdym spojrział w górę i odkrył głowę, cały żar i niechęg mego życia buchnęły mi do twarzy, jakby duch po promieniach wzroku ulecieć miał w przestrzeń, do swej rodzinnej kolebki, a tu tylko zdążone kroki tak leniwo śród pyłu mię niosty. Jeszcze jedna iskra woli, a zdawało mi się, iż wlecę do, nieskończoności!... tak lekko, tak chętnie mi się wyrwał z objęcia ziemi, — aż spojrzę po sobie na ten strój balowy i na nowo całe utrapienie, cała nieczemność brudu i błota ziemi z szatańskim szyderstwem przed oczy mi wystąpiła; czulem w tej chwili męcznie dzikiego orła, któremuby skrzydła objęto i na zabawkę zsucono dzieciom. O wierz, Kochany! w tej chwili jakaś wściekłość, szal mnie opanował, gotówbym rzucić się w sam nurt Wisły, gdyby pod stopami płynęła, gotówym tarzać się śród błota i pyłu, byle sobie z przed oczu, z przed duszy strącić siebie i te obmierzłe cechy mody bezdusznej, sztywnej salonowości! — białe rękawiczki w kawalki poszarpałem... Oh przekłęte! stokroć przekłęte, kto w takich chwilach nie ma przyjaciela, nie ma nikogo przy sobie, kto by przyjął i ukoił w swoim objęciu! Kto zamiast spózcucia spotyka wzrok ludzi porządnych, ludzi zajętych spekulacją i zwojących donkiszoterją każdą iskrę przepelnionej miary czucia! Pojmiesz więc łatwo, gdy w najwściekłej walce, lejąc jak szalony, o kilka kroków przed sobą usłyszałem szczyder nutę prostego mazura. Nie na salonowej orkiestrze wyczudzone malowanie tej cudnej muzyki! W i e s t a w a, ale proste, pełne duszy, wyróżnione od ucha akorda chłopkiego mazura! Wskoczyłem raczej niż wszedłem przez otwartą furtkę do owego niby ogródka, niby szynku, skąd się muzyka słyszeć dawała. Całe to miejsce miało kształt trójkąta kilkanaście kroków długiego. Parę drzew z za płotu zwieszających gałęzie, i kilka oblamanych krzaków około muru, zdęwały zapewne nędznemu kłosem nazwisko ogródka. We drzwiach w głębi parę wschodów wiodło do izby, na wschodach ładna, wysmukła dziewczyna siedziała dla posługi gości. Dokoła długie stoły i ławy, zastawione butelkami i kufkami, kilku obdartych ludzi, dalej do-

rożkarz, baba z obwarzankami, weteran, oto był pozór całego miejsca. Spojrzeli się po mnie, i czy mam Ci powiedzieć? za wstydziliem się! wstyd mię było mych sukien. Zazdrościłem im w tej chwili obdarzonych łachmanów, jakby ten frak czarny był jakimś piętnem, jakąś nieprzepartą zawadą do połączenia się i zbratania z gminem, ich wzrok wyrzucił mi różność kasty, spoglądali na mnie tak, jak spoglądać musieli Iłowicie na swych dumnych panów, idących na Forum! Nieśmiało siadłem na ubożcu, jak student, co pierwszy raz wyrwawszy się ze szkoły chyłkiem wpadnie do kawiarni. Dziewczyna, nie dowierając, dwa razy się pytała, czego żądam, nie pamiętam, com odpowiedział, postawiła kufelek z piwem i podała szkaradne sygare. Zасыpiający Żydzi nowym na przybycie me ożywił wien zapalem, z nową mocą fałszywymi akordami uderzył marsza, objaśniono gasnące i wiatrem miotane długie knoty świeczek i lamp — i ja swobodniej odetchnąłem i wkoło się obejrzałem.

Z szynkownią tą graniczy, dobrze warszawskiej młodzieży znajomy Wiejski Ogródek, gdzie wyborne raki, kurczęta, kalteszal, miejskie po wiejsku przestrojone służące, szampan, a przedwyszylkiem niemieckie i czeskie koczujące dziewice, jako ministrle z arfami, zabawiają średnią klasę naszej młodzieży. I teraz poznałem po dalekim śpiewie za murem tyrolskie trele i znów jakąś pieśń z Normy, z towarzyszeniem arf. Dżika to była dysharmonja tych dwóch muzyk: tu żydowska, jęcząca basetla, nad którą siwa broda i czerwone oczy ślepego starca w takt się kiwały, a obok mały bachur, może wauk jego, pisał na skrzypcach. Tam obok, chłodny powiew wiatru kołysał w powietrzu i śmiechu i niemieckie wyrazy umizgów z drżącemi jękami arfy, co czasem wyształ korka z butelki szampana przerywał, lub głużyły bliskie, grube głosy i grubsze jeszcze wyrazy pijanej nędzy i upodlenia. Nad nami czarna noc obejmowała nas jako smętarz, dwa groby, gdzie jak upióry pijane trupy bez duszy szukają w napoju życia, bo tylko mur rozdzielał bogatszych od nędzarzy, a i tu i tam muzyka, nakształt złowrogiego szyderstwa szalana migła się w dźwiękach wśród ciemności. Bo gdy czasem ciszej i słychać, jak liście drzew szeptać między sobą zaczęły, to

nieś głuży je wrzawa śmiechu, dalekich lub bliskich przestaw. Bo gdy powiew wiatru woń kwiatów i ponczu przywiesie, to je wnet zagłuży zapach wódki i dym prostego tabaku i odrażający brud nędzy.

Dźwięki i obrázky migaly nawzajem jako śmy nocne kręgaśmi do jasnych kół, co gasnące świeczki zakreślały w ciemności, i ja śledziłem lot śmy, a coś do ucha mi szeptało: — spali się — nie, nie spali się — to ty — to ty jesteś, ha, ha! wiatrak ogień i nie móc ostrzeć!

Trącono mnie po ławce.

Sędziwój.

(1584)

(„Sędziwój”. 3 t. Warszawa, 1846.)

Powieść historyczną i okultystyczną zarazem, osnuta na tle życia Michała Sędziwoja, głośnego w Europie w swoim czasie alchemika polskiego (1566—1646).

Sędziwój marzy o zdobyciu najwyższej wiedzy, aby móc uszczęśliwić lud. Ale zdobywszy t. zw. kamień filozoficzny, zapomocą którego może zrobić złoto i staje się posiadaczem niewyczerpanych skarbów, zapomina o swych szczytnych marzeniach i oddaje się namiętnie uciechom zyciowym. Sędziwójowi Dziekoński przeciwstawia Sethona, zwanego „Kosmopolitą”, zapożyczanego mu alchemika; jest on w powieści postacią nadprzyrodzoną, obcym nauk tajemnych (hermetycznych), żyjącym tylko dla wiedzy i miłującym ją. Dopiero pod koniec długiego życia dostępuje Sędziwój taski potęg nadprzyrodzonych i zostaje adeptem wiedzy tajemnej.

O Sędziwoju (Sendivogius) pisano dużo w Europie Zachodniej. U nas w „Wiadomościach o Michale Sędziwoju (w dod. do „Bakona nauki Umaczenia natury”, Kraków. 1834) i J. bar. Brinken: „O życiu i naukach Michała Sędziwoja (Bibl. Warsz. 1846, II).

III. Złoty bocian.

„Weź, pasterzu, ten puhar meońskiego wina,
 „Poświęć Oceanowi; niech w karnej ofierze
 „Ten potężny wód ojciec naszą część odbiera
Georgiki Wirgiljusza.

Na rynku Bazylei, naprzeciw ratusza, stała duża kamienica z przyzbłą na słupach murowanych; o ile poważna i pomura zwierzchu, o tyle hałaśna i wesola wewnątrz: biesiadnie okrzyki cały dzień do późnej nocy ją ożywiały. Nad wchodowymi drzwiami wisiał zielony wieniec z wplecionym przez środek słomianym krzyżem, co służyło na znak, iż tam wszelkich trunków dostać można. Oprócz tego na wielkiej błękitnej tarczy wyrobiony z drzewa, pozłacany bocian i podobnemi literami długi podpis, zapraszały podróżnych do gospody, jednej z największych i najporządniejszych w całym mieście. Podobnie karczmy wspólnie dla rozmaitego stanu ludzi urządzone, w owych czasach zastępowały razem kawiarnie, czytelnie, cukiernie, restauracje, resursy i tym podobne cywilizowańszych wieków zakłady; jedynych rywałów posiadały w sklepach golibrodów, których łaźnie i warsztaty były także miejscami sehadzek i ogniskami nowin.

W pierwszej długiej i niebardzo jasnej sklepionej sali pod złotym bocianem stały dokoła ścian dębowe ławy i podobne stoly. Dalej wielki piec z zielonych kafli z wmurowanym do połowy kotłem miedzianym do rozgrzewania napojów. W kącie, niby ołtarz bożka tej świątyni, wznosił się wysoki kredens, na którym rzędami poustawiano naczynia ofiarne, to jest kufle, rostrachany, dzbany, puhary, poprzewracone do góry dnami, wszelkiego kształtu, miedziane, cynowe i szklane. Naprzeciw drzwi, narówni z podłogą otwierał się obszerny komin, gdzie przy sutym ogniu na różnach kreczone baranie i sarnie ćwierci dawały woń swoją do zapachów piwa i wina. Pan Anzelm, gospodarz otyły, z rumianą twarzą, w tabaczkowym kaftanie, chodził, wydawał rozkazy i z założeniami za pas rękami kłaniał się to kiwnięciem głowy, to schyleniem aż do ziemi, stosownie do godności wchodzących gości, i raz rubasznie pochlebiał, to znów, marszcząc brwi nad siwemi oczkami, surowo gromił nie-

świeżo krzającymi się piwnicznymi chłopaków. A wśród gwaru rozmów, wśród tłumy na różne strony wychodzących i wchodzących, niełatwo byłoby się odrazu poznać i przypatrzeć wszystkiemu.

Najgłośniejsze kółko składała młodzież, w pośrodku nich wędrowny śpiewak z cechu meistersingerów przygrywał na lutni, kształtu dzisiejszej arfy, końce zwrotek cała czereda powtarzała, długimi rapierami bijąc takt o kamienną podłogę i kufkami o stoly.

Hansa Sachs piękne pieśni były już tylko wspomnieniem, a wędrowny trubadur chlubił się wiszącym na piersiach złotym medalem z wyobrażeniem króla Dawida, jako nagrodą, otrzymaną za zwycięstwo na publicznym popisie śpiewaków w Norymberdze. Nie opiewał on tu ani piękności dam, o które walczył na turniejach, ani odwagi i awantur rycerskich, ale stywiony wspomnieniem brata swego kunsztu, Jana Boehma, więcej myślał o polityce. Śpiewał albo ulotne, do okoliczności stworzone satyry, lub pochwały rządzących, albo też stawiał ogólny węzeł, łączący biesiadnicze koło, stawiał wino.

Skosztowawszy świeżo nalanego z łaski gospodarza puharu, skrzywił się i ze złośliwym uśmiechem brzęknął w lutnię i, naśladowując kościelną nutę, uderzył następnie zwrotki:

Oj, wielkie szczęście spotkało Noego,
 Ze widzi Boga na ziemi żywego,
 I mówił słudze Pan Bóg dobrotliwie,
 Jakieby łaski żądał osobliwie:
 Bo, mając, rzeze, twą enotę na względzie,
 Spelnię z ochotą, co waść prosić będzie.

Wtem stary Nee rzekł: ach, miły Panie!
 Pię dłużej wodę już mi sił nie stanie,
 Boć ta to woda nieszczęna zalała
 Wszelakich bydląt i człowieczę ciała,
 Więc proszęć Panie, o jeden ratunek,
 Racz mi wynaleźć zdrowszy jak ten trunek.

Wtem Pan łaskawy z rajskiej okolicy
Wyrwie potężny krzak winnej macejy
I go nauczył mądrymi słowami,
Jakoby sadzić, co czynić z gronami,
A Noe, wielmi rad z owej nauki,
Takei od Boga wyuczył się sztuki.

Ale patriarchy pobożny był człek,
I na cześć Boską pił cały swój wiek,
A jeśli słowa te mają być szczerze,
Nie frasował się, niech mi każdy wierze,
I tak od czasu, jak był tonął świat,
Pił jeszcze zdrowy trzysta sześćdziesiąt lat.

Z tego siałeczny zda się uczyz mąż,
Ze wino snadnie spijać może wciąż;
I tem ma patrzeć chrześcijanin prawy,
By wodnej nie lał do wina zaprawy;
Boć ta to woda nieszczęсна zalała
Wszelakich bydłał i grzeszników ciała.

Huczne okłaski za zgodną z duchem słuchaczów pieśń
i docinki gospodarzowi towarzyszyły rzucaniu pieniędzy w nadstawiony beret śpiewaka.

W dalszych komnatach poważniejsi, spokojniejsi goście, po kilku, osobno bawili się rozmową, a nowiny od obcych i podróży opowiadane, stawały się przedmiotem rozpraw, po większej części polityczno-religijnej treści.

Na uboczu siedziało dwóch obcych, ubiorem i postacią odznaczających się od reszty, nie zważając na ogólne rozmowy, w swoim języku zajmowali się ze sobą. Jeden z nich z jasnymi włosami, głową podgołoną, twarzą przyjemną i otwartą, z małemi wąsami, podparty na krzywej szabli, słuchał rozprawiającego towarzysza, był to znajomy nam już Sędziwój. Współtowarzysz jego, Wacław Rogosz, starszy, bo około trzydziestu lat liczący, na pierwszy rzut oka we wszystkim tworzył sprzeczność z Sędziwojem. Niski i krępy, w ruchach powolny,

szymrużonemi oczami, ciągłym uśmiechem nadzwyczaj szerokich ust, pomarszczonem czołem i rudą, krótko ostrzyżoną brodą, niepociągający nadawał wyraz całej twarzy.

Parę dni, jak przyjechał z Krakowa i cheiwiemu wiadomości i pociechy Sędziwojowi opowiadał o domowych w kraju wypadkach, stąd wywoził wnioski, układał zamiary, a opowiadał żywo, bo wszystko, jak igłę z magnesową do półnoey, do własnych kierował korzyści.

VIII. Zakłęcie.

„Bądź ty błogosławionym, czy przeklętym duchem
przyczyn rosz nieba, czy dym piekiel z sobą”.

.....
Muszę z tobą mówić!

Haniel Szekspira.

Duszne są te cmentarze ludzi żyjących, nazywane miastami. — Wspaniałe pałace i rządy domów są tylko szeregiem grobowców. Tu nawet wzrok jest spętany, zimne głazy spotyka lub zimniejszą pierś człowieka kupczącego; tu myśl jest spętana, niebo nawet dym kominowy ci zastoni; tu musisz zapomnieć, żeś człowiekiem, a żyć, jak jedno kółko maszyny bezduszne, bez woli, bo gdybyś własnem życiem się poruszył, to cały rój wyrzuci cię ze swego mrowiska, jako przestępcę praw, wiszących na sztykach ulicznych. — Żadna pierś czuła nie odetchnie w mieście; tam czołgać się, jak robak, w ślady za drugimi, a jeśli chcesz skrzydła rozwinąć, lub ulżyć ukłechem duszy, uciekaj za miasto!

Sędziwój miał już bramę Bazylei, czarowny widok okolie zastaczał się przed jego oczami i gwałtem go ciągnął do siebie. Zaszedł z głównej drogi i boczną ścieżką udał się w dolinę, wiodącą między góry. Słońce całym blaskiem wypełniało lazurną przestrzeń, jakby złote iskry światła widoecznie krążyły w promienistym eterze. Wszystkie świetne barwy i odgłosy z gajów i skał i strumieni rozkosznie łączyły się w jeden szasz, jeden akord i biegly do duszy, dzwoniąc pieśń chwaty

i pokoju natury. Śród doliny, nad strumieniem, stały rzędem ładne chaty wieśniacze; młodzieniec spostrzegł je i odwrócił się, tak życzył sam pozostać. Środkiem wąwozu szła ścieżka i gubiła się w łożysku wyschłego potoku. Wszystko było ciche, spokojne, a on z rozpaczą się patrzył dokola, jakby burza z całej ziemi do jego piersi teraz się schroniła. I wściekle się rozszalał, a echo i ten chrapliwy śmiech gorczy, oczyszczony i dźwięczny oddało mu napowrót. Podwojonym krokiem postępował wyżej. Wysokie drzewa coraz rzadsze, a z rozpadła skal wieszwały się karłowate, skąpa żywnoie ziemia. Jeszcze wyżej już tylko niskie napotykał krzaki, glazy nagimi świeciły grzbietami i gdzie nigdzie między kępami szmaragdowego nieba i siwych porostów rozwijały się świeże, na równinach nieznanne kwiaty. I powietrze coraz czystsze, świeższe, zachęcało go do pędzenia się wyżej po ostrych skalach. W dolinie drobne zagrody ludzi i chaty traciły wszystko, co brudne i nieforemne, a z tej wysokości uroczych nabierały kształtów i kolorów. Zwolna mgła spuszczała się, jak zasłona przejrzysta, i otoczyła go dokola. Później chmury zastąpiły Bazylię i cały widok daleki. Sędziwój spoczął, odetchnął, był sam jeden, dokola tylko zimne kamienie. Nieznacznie, wpadł w głębokie zadumanie. Cała jego przeszłość burzliwa w głębi, a napoje spokojna, młodość, wszystkie żądze, wszystkie chęci tańczyły dokola, jakby obręb czarodziejskiego kręgu, a on, spętany, nie mógł się wydobyć nazewnątrz. Wezbrane uczuciami serce, myśl rozpalona chciały się gwałtem wydobyć z tego więzienia, a dokola było wszystko już zasłonięte chmurami. Złożył rozpalone czoło na zimnym glazie, wspominał czas niewinnej młodości, gdzie modlitwa była tarczą wszystkich cierpień, filarem upadającej duszy; i westchnął; ale teraz zimna nauka i gorące jej żądze i modlitwę spłoszyły i lży wysuszyły. I, biorąc stan swój, szukał koniecznie powodu i winy zewnątrz siebie, szukał, na kęgoby mógł zwałić ciężar, przynajmniej go.

— Tak jest, — myślał sam w sobie — miłość mogła uwiecznić moją cierpliwosć; w nauce nowych sił nabrałem, byłam bliski szczęścia, od chwili jak Jęgo spotkałem, całe moje jestestwo zostało wzburzone. Tak jest, on przyczyną tej

walki śmiertelnej, z której wyjść muszę, bobym upadł pod jej łusaniem.

Po chwili podniósł głowę, gdy oto blisko, oparty o ścianę szarego granitu, stał, wpatrując się w niego, Kosmopolita.

To nagle i nieprzewidziane zjawienie się odrętwiło młodzieńca.

— Szukałem cię — rzekł nakoniec — i nigdzie znaleźć nie mogłem, nie dbając, iż oskarżony jestem o zabójstwo, chociażem między tłumem, czy twego śladu nie znalazę, i oto teraz, śladym zrozumiał, iż nikt mnie nie spotka, w jaki sposób?

— Wiedziałem o tem i dlatego przyszedł, teraz mogę odejść.

— O, teraz nie opuścisz mnie. Czy jesteś zwodzicielem, czy prawdziwym mędrcem, bodajbys był duchem, nie człowiekiem, musisz ze mną mówić!

— Wszystko, co byś mi miał powiedzieć — odrzekł Kosmopolita — wiem zawczasu; za całą odpowiedź usłuchaj rady, którą ci podam. Póki pora, unikaj mnie. Palmy, o które się kłaniasz, zbyt wysoko rosną, i te lodowcebyś przebył, a nie schłodziłyby twego tchnienia. Na ich szczyty chciałyś się wspiąć jeszcze wyżej, dokąd tylko orle skrzydła doniosą — i nigdzie tam nie znalazł pokoju. Póki pora, wróć się, zapomnij o mnie.

— Więc nazwę cię oszustem, a całą twoją władzę i mądrość występkiem! Bo, jeśli wiesz istotnie, jakiś wpływ wywarł na mnie, i teraz unikasz, to chyba chciałeś mnie uwieść, lub śladza twoja dalej nie sięga!

— Wiem, — odrzekł spokojnie Kosmopolita — iż ten duch niespokojny, przedziwny, czy później samby się w tobie obudził. Twoje spojrzenie rozbiło tylko w tobie iskry, które wyobraźnia i większą szkodą późniejszą rozpałała. Ty zewnątrz siebie szukasz winy, a lękasz się spaść w głębię własnej duszy i tam samotnie stojeć walczyć z uśmiechem zła, które cię niepokoi...

— Póki ciebie nie widziałem, — rzekł Sędziwój — póty nadziei nie mogłem mieć nadziei zostania szczęśliwym; miłość i nauka starczyły mi za świat. — Poczujesz mnie przekonanym, że jest świat wyższy, o którym wątpiłem; stanąłem na drodze miłości, zniweczyłeś urok nauki, jakem ją dawniej pojmo- wał. Dlaczego bronisz mnie od niebezpieczeństw w ten

sposób, iż obrona ta zgubniejszą mi się stała od samego niebezpieczeństwa...

— Odwieczne prawa, którym podlegam, — rzekł Kosmopolita — nakazują nam rozciągać opiekę nad wszystkimi, których tylko dotknie się kolo naszej potężnej nauki. Tysiące biednych sprzeczaj pozostawiamy spokojnie, bo ciasny zakres ich poziomu życia i myśli nie stanie się ani dla nich katusz, ani dla nas nadzieją zyskania wyznawcy. Lecz są inni szczęśliwi, których dusza stać się może znaczącą cyfrą w ludzkości lub nauce, byłoby występkiem opuszczać ich; gdybys się zrozumiał, mogłbys do ich liczby należeć; stąd moja nad tobą opieka. Ale ty chciałbys, aby kilku wyrazami wtłoczyć cię do tajemnic, które spodziewasz się, że posiadam, aby potem, jak szaleniec, rozrzucić złoto i ogień — żelazo i zbrodnie i klejnoty z jednego rogu obfitości. — Chiałbys malpować Opatrzność i wedle widzimisię mniemałbys Boską naśladować władzę, a tybys ją tylko znieważał! Rozumiałbys, że mędzrec może być potężnym, nie rozumiejąc odwiecznego porządku!

— Więc, jeśli widzisz, że błędę, ukaż mi powrót na prawą drogę! — Czyż dla mnie niema nadziei szczęścia; ukat mi, jakbym mógł się stać godnym mądrości i zdobyć ją; przecież i ty jesteś człowiekiem, i tyś się młodziem nie rodził.

— Mądrość i szczęście! — rzekł spokojnie Kosmopolita — mieszkam; — Ty zapomnij o mądrości, a idź drogą do szczęścia, możesz być jeszcze szczęśliwym. Porzuć nauki, o które się kusisz, a które ci tylko hańbę lub zgryzość zniszczonego napróżno żywota dać mogą! — i o mnie zapomnij, jak o śnie rannym...

— Nie! to niepodobna! piąć się tak wysoko i znów wracać, rozpoczynać drogę — ha! lepiej zginąć w pół kresu. Już teraz całe moje jestestwo jest jak splecione, i leżę w tych więzach, a setkami żyłami dusza moja krwawi się, jako ranie owego obrzydła, przykutego do skały, który chciał ludzkość darować boski promień! — a przecież nie jestem zbrodniarzem! a przecież kochać ludzkość i cnotę, kochać sławę, jest już cnotą! — I ja mam teraz całe, to życie przesiąknięte tylko czczeniem nadziejami rzucić od siebie, jak zużyte odzienie? Mam

patrzeć, jak najgorętsze życzenia moje pękają jako bańki na wodzie? — O, nigdy! chociażbym miał szatanowi duszę na wieczność zaprzedać!

— nierozważny! jakby człowiek był mocen cokolwiek zaprzedać na wieczność, a tem bardziej to, co nie jest jego własnością! — jakby władza, o którą się ubiegasz, z nieczyłowego źródła mogła pochodzić. Ale przypatrz się swoim myślom, a sprzysz z przestrachem, że ta twoja żądza sławy, miłość ludzkości, nie cnota, lecz są egoizmem w innej formie, a ty z niemi, jak wodę z ogniem, chcesz łączyć miłość nauki?

— A więc powiedz mi, jak mam zapomnieć, czem byłem i do czegoś dążył?

— Jedno słowo — rzekł Kosmopolita — najmniejszego ucznia naszych może tę skalę, na której stoimy, wtrącić w przepaść; może na tę śmiejącą się dolinę sprowadzić jęk rozpaczcy i zagłady; ale żadna mądrość mistrza nie jest w stanie powiedzieć temu, co raz było w pamięci: nie bądź! nie może wyzwać do jednej myśli człowieka: powrót do nicości, z którejś powstała.

— Jeśli tak jest, — rzekł Sędziwój, powstając — to w imię potężnych praw, którym podlegasz, wyzywam cię, mistrzu! przymnij mnie za ucznia!

— Stój! — przerwał nagle Kosmopolita — nie zmierzylesz ścieżkami i, szalony, rzucasz się w jej głębię! Jeszcze nie znasz własnych warunków, którebys, jak jarzmo, włożyć musiał na swoją duszę. Wiedź, iż nauka nie cierpi żadnego innego współzawodnika. Musiałbys się zerzeć i miłości, i przyjaźni, i szlachy, i ludzkości; musiałbys się oddać tylko jednej, samej nauce. Każde przeniewierzenie się karze ona srogo. Miłość nauki jest, jak ów płomień pioranowy, którego niezem ugasić nie można, dopóki nie strawi swej pastwy i nie uleci z nie, skąd wziął początek, do nieba! — A czyż ty zbadałes własne serce? — czy wywołales w uczuciu obraz Adeli? — czy sobie przypominał przysięgi, któreś jej uczynił? Ona jeszcze cię może kochać. W miłości i ziemskim szczęściu możesz być szczęśliwym! Wróć się, całą swoją umiętnością doprowadź cię do portu.

— Nie! — rzekł Sędziwój — już za późno! Przysięgi,

którem jej czynił, natchnęła żądza serca, a nie myśl; myśl, która jedna ma prawo rozkazywać człowiekowi! Ja czyniłem, nie wiedząc; poznaję teraz, iż miłość nauki pochłonęła wszelkie inne przywiązanie.

— Boś nie znał prawdziwej miłości, — rzekł mędrzec — boś w kochance nawet siebie tylko kochał.

— Jeśliś jej nie znał, — zawołał Sędziwój — to ja ją przeczuwałem; miłość, drobne, bezsilne uczucie, które jednego serca zapelnąć nie zdoła, gdy mądrością mogą pełnymi rękoma rozsielać szczęście dokoła; pozioma miłość ukochanej istoty obronić nie umie, gdy ty mądrością nad obcyymi czuwałeś! Ja z rozkoszą rzekłem się miłości.

— Nie dosyć na zrzeczeniu się; gdybyś nawet rzekł się ojczyzny, rodziny, przyjaciół, kochanki, nazwiska nawet własnego i sławy, nieznanym poprzysiągł wszystkie godziny twego życia poświęcić tylko samej nauce, i takbyś jeszcze nie był pewnym korony mistrza; bo na progu przybytku, do którego chcesz się dostać, spoczywa straszliwy wróg rodu ludzkiego, naprzód musisz jego zwyciężyć; — taka walka jest okropna! Nie dość na to odwagi chwilowej, jakiej potrzeba, aby zostać bohaterem; ale trzeba nateżonej, ciągłej mocy i nieustraszenia, o jakim ci się nie śniło. Kto się potworowi oprzeć nie zdoła, staje się jego służalcem; staje się nieszczęśliwym, nad znaczenie tego wyrazu; mirjady lat nieoczekszany, pozostawiony, nim dostąpi palmy pokoju, którą prostem życiem i cnotą dostępuje najnieumiejętniejszy wieśniak. Tysiące słabych, potężnych i wytrwałych stawalo z nim do walki, a jakże niewiele wyszło z triumfem!

— Adela jeszcze nie zginęła dla ciebie; jeśli ją ukochasz, prawdziwie, ją wesprze cię, odzyskasz ją. Jeśli nie tę, to ci dam inny kwiat, pełny miłości, o jakiej nie masz pojęcia; poślubiła, półziewając, z nią niebo ziemi mieć możesz. W kraju twoim tysiące dróg otwartych dla dusz działalnych, namiętnych, jak twoja. Prędzej, niż się spodziewasz, dojdziesz znaczenia, wyczystej sławy, będziesz przytomny braciom, a to więcej znaczy, niż kamień mędrców. Majątek twój i tak zniszczony, reszty nie rzucaj niebacznie na szalę losu; nie idąc za radami Rogosa,

zostaniesz być błogosławionym i błogosławić tę chwilę, w której godziłeś się na tę radę.

— Już za późno — odparł młody alchemik.

— Więc ciągle rozumiesz — mówił Kosmopolita — że mądrość jest szczęściem?

— Nie, — rzekł Sędziwój — ale jest więcej, niż szczęściem!

— Abyś pojął prawa tego świata, którego chcesz zostać mieszkańcem, abyś je rozważył, zostawiam ci trzy dni do namysłu; przepędź je zajęty jedynie tem, że albo masz wyrzec się na zawsze ziemi, albo się stać jej ozdobą.

W czasie tej rozmowy chmury zbiły się w gęstą masę, ciemny kir okrywał niebo; w dolinach cisza, a nad głowami szumiał głucho wicher. Sędziwój milczał, a w duszy jego powstało dopiero powątpiewanie i obawa, jakby o stratę zbawienia; dreszcz go przejął, zdawało mu się, że cień matki wolała go: „Synu, wróć się na prawą drogę!”.

Czarna już była połowa nieba, żaden orzeł się nie ukazywał; naprzeciw nich chmura oparła się na szczytach skały; szczyt ten nie był tak odległy, jak się przy jasnym niebie wydawał; ciemność rozproszyła złudzenie. Szaleł dał się słyszeć, na przeciwną skałę przeleciał kruk.

— Patrz, — rzekł Kosmopolita — wszystko w naturze, co wypełnia swoje powołanie, jest mądre, potrzebne i konieczne. — Jeżeli ten obłok spadnie, wszystko, co żyje na tem wzgórzu, zatonie, i kruk zawczasu opuszcza gniazdo, aby dla tarlonych swoich piskląt zbierać zdobycz. To nozdy rozbójnik i ciemność go wypędza, znajduje śpiące istoty, wydziobuje im oczy i porzuca, a potem wietrzy ścierwo. A jednak kruk idzie na wyższym popędzie; wypełnia tu obowiązki, którychby nikt inny nie pełnił; czyści te dzięce. Teraz jest w niepewności; ciemne skrzydła jego ledwo znać na czarnym obłoku; poleciał widłuż skalistej ściany. Jedyna żyjąca istota, nie śmie tu siedzieć w gnieździe. Patrz, jak ten obłok pracuje, spada i wznosi się, jakby płuca z ciężkością oddychającego człowieka; oto opada, opada coraz niżej.

Wtem błysk z hukiem piorunu! Wierchołek skały strącony i kruk zabity upadł pod nogi wędrowców. Niebo otwo-

rzyło się, rozdarła zasniona w płomieniach; cała natura wzburzona, w zamieszaniu.

— I kóżby teraz — rzekł Kosmopolita grzmiącym głosem — powątpiewał o strasznej wielkości Tego, który się na wiatrach przechodzi i burzom rozkazuje! kóżby mógł powątpiewać, iż w koleżanie jego są strzały, które, nim najmniejsze oko szerokość włosa przemierzy, potrafią tysiąc światów zburzyć i tysiąc nowych wywieść z nieościs? iż jedyna władza od niego pochodzi!

Sędziwoj odkrył głowę, wznosił oczy do góry i od lot wielu pierwszy raz do duszy jego zawiała modlitwa.

VIII. Tortury.

„Jałowice i Cedr, namaszczone olejem, welne są od robactwa i spróchnienia; podobnież dusza raz ożywiwszy Boskiem technieniem, nie podpada żadnemu tego świata zepsuciu“.

Plinjuusz. Ks. XVI. R. 40.

Wieżenie Kosmopolity mocno było strzeżone; wszystkie pogłoski, dochodzące o nim, nakazywały ostrożność. Przedślonek więzienia, będący zarazem kurdygardą, zapełniało czterdziestu żołnierzy z kapralem, umyślnie do pilnowania więźniów przeznaczonych.

Późno już było w nocy, na kominie trzeszczący palił się ogień, mały dobosz raz po raz starym rapierem w nim grzebał. Przed ogniem, na wielkim krześle, wygodnie grzejąc się, siedział otyły wachmistrz z wyciągniętymi nogami, podciągając co chwila opadające cholewy obszernych butów ówczesnej mody.

Przy stole słabo oświetlonym od kagańca, na łańcuchach ze sklepienia zwieszanego, porozpięrani wojacy grali w kości, inni patrzyli na grających, lub zabawiali się rozmową, a wszystkim krążyły kufle długie czas skraçały. Ogorzałe twarze, potężne wąsy i brody, odbłysek promienia, odbity od żelaznych pancerzy i naramienników, stosownie tworzyły obraz do ich rozmów

niekrawych, przekleństwami kraszonych. A rozmowy wszystkie obracały się ciągle i wracały do jednego głównego przedmiotu, do więźnia, którego strzeżli. Nie było zbrodni i czarów, któreby mu nie przypisywano, a rozognione wyobraźnie truntem i tajemniczością, otaczającą więźnia, najdziwniejszym wierzły powieściom. Opowiadania i kufle w najlepsze krążyły, gdy na kurytarzu zewnątrz dał się słyszeć odgłos zbliżających się ludzi. Otworzono podwoje, błysnęły pochodnie i całe wnętrze kurdygardy krwawem światłem oślnęły; za pachotkami, smagającymi pochodnie, postępowali panowie radni, sędziowie w łogach i czarnych beretach, a wkońcu kat, w czerwonym płaszczu, z błyszczącym mieczem i oprawcami.

Cicho się zrobiło wśród żołnierzy, rozstąpili się na strony, a orszak postępował w milczeniu, jak szereg duchów udręczenia. Widok tych zimnych nieruchomych twarzy, posępnych sztorów, a najposępniejszych spojrzeń, uderzyły wojaków i ci, nie z zimną krwią mordowali na polu bitwy, z dreszczem boskiej patrzyli na sędziów; tak przerażającą była wtedy myśl wszelkiego sądowego badania. W głębi kurytarza łańcuchy, ścianki i drzwi żelazne zabrzęczały, otworzono więzienie, i odgłos kroków catego orszaku zginął w echu ciemnych sklepień sklepienia. Drzwi zatrzęsnięto i przez chwilę trwało milczenie pomiędzy strażą; gasnącego ognia na kominie i blednącego kagańca żaden nie poprawiał.

W pierwszym sklepie, czyli izbie sądowych badań nikt się nie znajdował. Żadne okno nie oświecało tego przybytku ścian i męczarni. W głębi, między dwoma grubymi murowanymi filarami, stał stół, pokryty czarnem sukniem, na nim naszedła do pisania, papiery, zwoje pergaminów, dzwonek, klejnoty i Chrystus na wielkim krześle; i tortury bowiem, w ówczesnych czasach pobożności, odbywały się w Imieniu Zbawiciela! — Na środku sklepu umieszczona była długa ława z słobowego bala, z oba końców zaopatrzona śrubami i rzęwaniami do krępowania i rozciągania winowajcy. Czasami tak rozdgniętemu przez blaszany lej wlewano w usta znaczną ilość zimnej wody, co nadzwyczajnie miało sprawiać boleści.

Dalej na podłodze oparte były ciężkie dyby, do zamazywania nóg i prażenia ich powolnym ogniem węgla z podsta-

wionych fajerek. Od sklepienia spuszczone był na bloku łańcuch żelazny z obręczkami na wielkie palce u rąk, za które męczonę wieszano i smagano rozmaitego rodzaju biczami. Zresztą, aby opisać kształty i użytek wszelkich kleszczy, śrub, pasów, ławek i innych dziwnych narzędzi tortur, trzeba zapytać się średniowiecznego kata (którego nauka była daleko trudniejszą niż dziś), o nazwiska i użytek wszystkiego, o stopień bólu, jaki działa. Procesy, wypadki, zeznania, wymuszone przez tortury, nazwiska osób, to go wszystko nie zajmowało; dla niego ofiara jedna czy druga, wszystko było jedno. Lecz zato dobrze pamiętał, czy cierpiący cienkie i delikatne miał członki kobiece, czy muskularne i mięskie nogi i ramiona; za którym obroceniem śruby wydał pierwszy jęk, za jaką torturą trzeba mu było nakładać na usta tak zwaną technicznie drewnianą gruszkę, aby zapobiec zbytłim wrzaskom. Ukazywałby krwawe ślady i opisał, jakim sposobem ze złamanych lub rozgniecionych stawów krew trysnęła; a może wreszcie i westchnienia wyliczyłby tych, którzy w czasie badania ducha wyzionęli. Wtedy dopiero można by dokładnie zrozumieć mechanizm tak zwanych rękawiczek, czyli śrub na ręce, butów, czyli śrub na nogi, lin do spowijania człowieka, drabek ze szpikowanym zajacem, meklemberskich instrumentów, bamberskich narzędzi, manhecińskich kozłów, siarkowanych nić, lineburskich krzesel, obroży na szyję, pomorskich bandaży i wszystkich przyborów z kleszczami do owej okropnej hiszpańskiej ogniowej tortury, których sam widok zimnym dreszczem przejmował, gdy przy terrefeji ukazywano obwinionemu narzędzia i tłumaczono ich użytek, wzywając ostatecznie, aby się przyznał do winy.

Sędziowie zajęli siedzenia za stołem, pochodnie zatknęli w żelazne świeczniki przy słupach przybite; na stole zapalone lampy.

Jeden z radnych i pacholecy otworzyli wąskie drzwi właściwego więzienia i weszli do lochu. Przez okienko u góry księżyc rzucał ukośnie białą wiązkę promieni na kamienie; zresztą było ciemno.

Potrząśnięta pochodnia sypnęła gradem iskier i żywszyż zajaśniała blaskiem. W głębi spoczywał więzień na słomie, z rękoma złożonemi na piersiach, oczyma zamkniętymi.

Przybliżyli się i radny rzekł:

— Setonie! po raz ostatni sąd zeszedł do twojego więzienia, w imię prawa, wstań i udaj się za mną!

— Chrystus tylko w imię Swoje pozbawionym sił wstać rozkazywał — rzekł więzień. Radny skinął i dwóch pomoczący ujeli leżącego, a zarzucający mu na ramiona szeroki jego płaszcz, wywiedli do pierwszej izby i posadzili w wielkim krześle, przed stołami i sędziami.

Przydujący przewrócił klepsydrę, brzęknął w dzwonek, a pisarz zaciął począł:

— Setonie! oskarżony jesteś o czarodziejstwo, przeprowadzenie nieszczęścia kraju, rzucowanie umarłych, niepokojenie dusz chrześcijańskich, rzućcie na nie uroku, a związki na ziemi duchami i robienie za ich pomocą zła i lekarstwa na wszystkie choroby, zgola o crimina maleficium falsi et perduellionis.

Zeznania świadków są złożone. Prawo, nie potępiając cię ostatecznie, dozwala jeszcze obrony. Przed tym wizerunkiem skrzyżowanego Zbawiciela, na św. Ewangelię, wyprzysięgnij się błędów, wyjaw swoje nieme praktyki, a szczególnie robotę zła. Tak chce mieć prawo i wola J. X. M. Elektora, młotem nam panującego, jako słuszenie jest. A łaski spodziewaj się, tylko oczyściwszy sumienie.

— Sumienie! — rzekł Kosmopolita — jest to kwiat, który się rozwija dla jasnych promieni słońca i głosu przekonania, a samyka na gwałt i burzę. Sumienie Bogu tylko zdaje rachunek!

— Trwasz więć w uporze? — zapytał przydujący; pamiętaj, iż upór tylko ci śmierć haniebną przyspieszyć może, gdy wyznasz, zbawisz siebie, zyskasz łaskę i chwałę. Pierwsze gestności mogą cię jeszcze oczekiwać.

— Kto pracuje dla prawdy, — rzekł zapytany — ten nie dla o chwałę, a gardzi łaską!

— Po trzeci więć raz, zapytuję cię, czy nie wyjawisz śladów?

— Zaiste, — odparł Kosmopolita — nawet nie wiem, o co mnie oskarżono.

— Przystąpić do badań — odezwał się sędzia. — Jeszcze

raz przeczytać ważniejsze zeznania świadków. — Pisarz rozwinął arkusz i czytał począł.

— Aleksandrze Setonie, zwykle zwany Kosmopolitą, jest obywatelem całego świata, czyli nie mającym ojczyzny, więc tułaczem, a zatem podlegającym wszystkim prawom, świadczą przeciw tobie ad primum: iż wielokrotnie robiłeś złoto z podłych metali, zmieniając je zapożyczoną chemię wonego proszku, zwanego lapis philosophorum, co bez pomocy złego ducha działać się nie mogło. Mianowicie Jakob Hannsen, poważany niegdyś i bogaty kupiec holenderski, ze sprawami handlowymi przybyły do Drezna, w poufalej rozmowie z Adamem Bodenstemem, lekarzem i profesorem Akademii w Bazylei, przyznał, iż rzeczony Kosmopolita w domu jego z ołowiu robił czyste złoto. Rozmowę tę słyszający świadek kowie i rzeczony Bodenstein zaprzysięgli, dodając nawet, iż poczciwy niegdyś i poważany kupiec, Jakob Hannsen, oczarowany przez ciebie został.

Wspomniany znakomity lekarz Bodenstein, uczeń i następca wielkiego Paracelsa, znając cię w Bazylei, miał sposobność poznać wiele twych bezbożnych praktyk, i teraz wiernie służąc nam, został delatorem twoim, aby zło nie rozposcierało się dalej po świecie.

Jako corpus delicti, oto jest złożony ów kawałek złota, zamienionego z ołowiu.

— Setonie! — rzekł znowu sędzia — wspomnij na Maleus maleficarum, straszliwa kara czeka fałszerzy i czarowników!

Obwiniony, po chwili milczenia, z najwyższą niechęcią odezwał się:

— Słowa! czcze słowa, chociażbym je objawił, czegoż was nauczą! Nędzny przepis, formuła do łamania myśli, paralizowania cierpliwości, gdy jej ducha nie pojmiecie! — A wtedy dmuchaj na węgle, praż całe lata w tyglach, a zamiast ożywego blasku kamienia miedziów tylko popiół i pot własny i wsłabłość omyłonej nadziei zbierać będziesz! — O, prawda, święta prawda, że człowiek silną wiarą w odwieczną przycy-

świżany z wyższą, boską naturą do większych jeszcze zdolny ustów. I nie zapomoga złych duchów, ale zapomoga Boga, którego bałwochwały nie znając, znieważają wyzywaniem jego imienia! Modlitwa i głębokie, pobożne wejście w dzieła Twórcy stanowią człowieka namiestnikiem tego Boga na ziemi. Ale nie kilka wyrazów bez myśli, pługawymi ustami wyrzeczonych, stanowią modlitwę! Bo szklany wzrok w modlitwie, a nawet szuka zysku i zapłaty, naczynia egoizmu, są posłańcami satana! — A jeżeli kto chce siłą słowa żywego, zwyciężką i twórczą władzą panować nad tworami, niechaj rani tego, bięsty, niechaj zdepcze własną pychę, oczyści się z brudnych śladów chęciwości, która kała jego serce, nie zwalczy własnych szatańskich, którzy w duszy jego założyli swoją stolicę, a potem... A potem pod sklepieniem wielkiego Boga, jedno spojrzanie na wschodzące słońce, jeden wódek porządku gwiazd, więcej go nauczy, niż cała magia z czystości duszy, wyczyta sam te tajemnice, których tu żadne męczarnie nie wymoga za mnie.

Prezylujący w czasie tej mowy zblił i nie mógł wytrzymać wzroku alchemika, sklnął na kata, przewrócono klepdyrę i dano znak do tortur.

Kat zbliżył się do stołu i zapytał o coś sędzię zicha. — Nie oszczędzać! — odparł sędzia — to ostatni sposób, daj ostatnią torturę, niech skona, inaczej nie wytłumaczymy oporu. A wreszcie — daj głośniej, odwracając się do radnych — stylizelście, iż kazal się modlić do gwiazd i słońca i deptać oznaki naszych dostojelństw, a tak jawnie okazał, że jest czarownikiem i bałwochwałką.

Pachołcy ujęli znowu Kosmopolitę, rozciągnęli go wznak na lawie tortur, twarde rzemienie skrepowaly pięście i stopy obwinionego, pokręcone śruby skrzyknęły, ciało jego jak struna wyciągnięte zostało. Już krew z za paznogi sączyła się krogłami, a jeszcze żaden jęk, najmniejszy głos nie zdradził bólu męczonogo. Sędzia rozpoczął pytania, lecz obwiniony najgłębsze zachował milczenie. Dano znak i coraz mocniej rozciągać członki jego zaczęto. Trzask stawów tylko i wypręgnięcie się rzemieni było slychać, a oddech jego cichy, spokojny, oczy zamknięte, na twarzy żadnego śladu cierpienia.

Raptownie obłano go zimną wodą, dla zwiększenia drażliwości, i ciche tylko dło się słyszeć westchnienie, pot kroplami okrył mu czoło. Na powtarzane zapytania, przytłumionym głosem, w nieznanym począł mówić języku. Strach przeszedł przytomnych.

Kat obwinał ciasto więźnia szerokim, jak skóra jeźwoza kolemi nabitym pasem i ścisnął sprzączki pasa razem z pomocnikami, opierając nogi o ławę tortur. Twarz więźnia, dotąd biała, zmieniła się: krwią nabiegłe żyły wystąpiły na czoło, oczy otworzył konwulsyjnie, szeroko, i głosem, jak rozbitego dzwonu, wolno począł mówić:

— Męczennicy prawdy, w jej święte imię, wyzywam was, wspierajcie mnie!

— Jakóbie Molay! przez krzywoprzysięstwo i płomień, co pożarł szpik kości twych, ucieknij mnie!

— Husie zdradzoncy! przez męki i nieugaszoną twą zemstę, wesprzyj mnie!

— Hieronimie Praski! wolnym sprażony ogniem, za miłość braci, wyzywam cię!

— Galileuszu! potęgę rozumna, przez szyderstwo kłętwy twe, wspieraj mnie!

— Turkwacie Tassie! za ukazanie piękności ducha ukarany więzieniem i obłąkaniem, wzmocnij mnie!

— Kolumbie! za nowy świat, darowany staremu, okuty w kajdany i zaponniany, wyzywam cię!

Głos jego coraz słabnął, zamienił się wreszcie znowu w nieznanym języku ciche mruczenie, jakby entuzjasta zakończył cichą modlitwę.

Nakoniec zamilkł zupełnie i wszyscy mniemali, że już skończył. Z klepsydry też wyspał się wszystkie piasek, to jest upłynęła godzina; a dobroczynne prawo nie dozwala dłużej nad godzinę torturować.

Kat z pomoczami zdjął obwinionego z tortur i nacięciem przywracano rozciągniętym i pokaleczonym członkom naturalny ich kształt. Stary oprawca z zadziwieniem zawołał:

— On żyje! — dwadzieścia lat już tu pełnię służbę, i nie dziesięciu, ani dwudziestu ludzi przeszło przez moje ręce, a za-

tem jeszcze z tej ławy, po takim torturowaniu, nie zeszedł nigdy! — To chyba nie ludzka dusza w tym człowieku!...

Męczony zaczął głęboko oddychać, rozejrzył się, jak człowiek ze snu przebudzony, poruszał rękami i nogami, jakby ich odświeżał; odrzucił wstrząśnięciem głowy długie zwoje sznura, spadających mu na oczy. Sędziowie wstali, chcąc się odświeżyć, wtedy i on powstał: postąpił pewnym krokiem ku nim i głosem, spokojnym, rozkazującym tonem zawołał do przybyłego:

— Stójcie! jeszcze nie koniec!

Sędziowie spojrzeli się, wzrok jego przykuł ich do miejsca, siedli.

Kat nawet i siepacze nie śmieli, czy nie mogli się poruszyć.

Pochodnie, rozpalone w żelaznych świecznikach, dziwnym, nienaturalnym blaskiem oświecały posępne twarze sądzących. Śmarszeczki na ich czołach wydawały się jakby kreski, wyrotkami śmierci znaczone, z oczu ich patrzył jeden tylko wyraz: potępienie.

A wierzyłbyś musiał, iż postaci podobnych, w czarne ługi owiniętych, oddychających tylko powietrzem więzień przy obłędach, niepodobnaby było znaleźć, ich widok każdógoby mógł przerazić, a teraz na nich widomie strach wycisnął odrażające swoje piętno. Pomieszanie odbiło się wyraźnie, gdy Kosmopolita błady, lecz pełen szlachetnej powagi i uderzającym tym kontrastem piękności, przystąpił i rzekł:

— Mojemu życiu tortury miały koniec położony, chociażbym wydał tajemnicę! I wy mieliście ją tylko dać sobie zaschować, a tem podwójnem podejściem chcieliście uniknąć kary. Lecz bądźcie spokojni, nie do mnie należy kara, która was nie minie!

— Powiedzcie tylko teraz, co by było, gdyby wszystkie ławce niegodnych spełniały się na ziemi? Co by było, gdybym dla spełnienia tych łączy sam oddał im w ręce wszechmocne słońce i nadludzką potęgę?

Polowa świata wymordowałaby drugą połowę, aby rozstrześć na gruzach panowanie złych. — Ale tak nie jest, nie

każdy może rozkazywać, bo do rozkazywania trzeba mieć serce czyste!

Skazując na palącą się pochodnię, rzekł dalej:

— Patrzajcie; jedno słowo: zgasnij! i oto płomień posłuszny uleci!

Sędziowie przerażeni, cofnęli się i powstali z siedzeń, bo w istocie, razem ze słowami Kosmopolity, pochodnia zbladła, płomień jej oderwał się od rozżarzonych knotów i znikł w powietrzu, a za chwilę i dym, sączący się wąskim strumieniem, ustął. Więzień znowu się odezwał:

— Ale tej władzy nie nauczy żadna recepta, ani wymogi tortury! Dzięki chciwości, przez te męczarnie otrzymałem to, czego bym bliżki utracenia.

— A teraz idźcie i powiedzcie temu, który was przysłał, że gdyby serce moje równie było skalane żądzą, żaden z was, jużby światła słońca nie oglądał; bo łatwiej jest zgasić duch, ozywiający człowieka, niż rozkazywać tej pochodni. Ale wola prawdziwego mędra jest niepodległa, jak Bóg, co ją stworzył!

Śluchający nie przyszli jeszcze do siebie z zdziwienia i przestrasza, Kosmopolita wszedł do swojego ciemnego więzienia. A w owej chwili podobny był raczej do wspaniałomyślnego przebaczącego winnym, niż do obwinionego więźnia.

ZMORSKI ROMAN.

(1824—1867.)

Mazur z pochodzenia, urodził się Zmorski w r. 1824 w Warszawie. Dziecinne lata spędził na Mazowszu, przyruchując się piśmiom i podaniom ludu. Uczył się początkowo w szkołach warszawskich. Gdy ojciec osiadł na wsi, w powiecie białskim (gub. smol.), chodził do szkół w Białej Podlaskiej. W Warszawie pedził tylko prawdziwie cygarskie; nie cierpiał zebrań towarzyszkich sałosowych, unikał towarzystwa kobiet; chodził w stroju zamiedbanym, „po liderlichowski”, jakby się wyraził Słowacki; był typowym przedstawicielem „cygarety”. Namietny, burzliwy, niespokojny, wyrodzone swe zdolności zmarnował, nie mógł bowiem, czy też nie umiał, systematycznie się wykształcić, ani w kraju, gdzie to było wówczas, za rządów paskiewiczowskich, wiele utrudnione, ani później zagranicą; był tym z grona „cygarety”, na którym współcześni największe pokładali nadzieje, których jednak nigdy spełni nie zisłał. Marzył Zmorski o utworzeniu u siebie polskiej „szkoły mazowieckiej”, zapewne pod wpływem „Amerykanki w Polsce” Tyszyńskiego, ale z ówczesnej poetycko-nastrojonej młodzieży warszawskiej jeden chyba tylko Lenartowicz mógłby na prawdę ją przedstawiać.

Pierwsze utwory swoje drukował Zmorski w „Przeglądzie Warszawskim” i w „Nadwiślaninie”. „Nadwiślanina” rozpoczął wydawać młodzieńcki poeta (17-letni) w roku 1841, wraz z Fillebornem, ale wkrótce, bo już z wydaniem drugiego zeszytu, z redakcji i od współpracownictwa się usunął; z powodów nie wyjaśnionych, umieściwszy ogółem w tym organie „cygarety” tylko dwa utwory (w zesz. D. Pierwszy zbiorek poezji Zmorskiego wyszedł już w r. 1842 w Warszawie, kosztem Edwarda Dembowskiego, młodego mecenasu ówczesnej „młodej Polski”, do której on należał. W r. 1843 Zmorski wespół z J. B. Dziekońskim „ulożył” i ogłosił „Jaskółkę”, zawierającą zbiór prac młodych poetów ówczesnych i literatów; na wydanie jejłożył pieniądze również Dembowski. W „Jaskółce”, obok kilku mniejszych utworów, umieścił

Opracował G. KORBUT.

Zmorski urywek rozgłośnego swego poematu p. t. „Lesław” („Te pieśń”), który w tym samym roku ukazał się i wydzielając się zapewne za wydanie swych poezji, Edw. Dembowskiemu poświęcił „Lesław”, nim się ukazał w całości w druku w kilka lat później (1847), krążył po rękach w rękopisie. Ale już przedtem Zmorski ceniony był w Warszawie jako autor popularnych wierszy: „Aniś Niezyczylił”, Improwizacji „Do Liszta” (1843) (utworzonej pod wrażeniem koncertów mistrza w Warszawie i jednocześnie z wierszem Wolskiego na cześć Liszta w „Przeglądzie Naukowym” dr. kowanej), „Na zwaliskach zamku w Czersku”, „Do młodego poety” (t. j. Teodila Lemertowicza), Dwa zwierzyły polityki, już w zaraniu twórczości, pomogali przedewszystkiemu Zmorskiego — bańka ludowa i fantastyka utworze Zmorskiego, w Warszawie powstały w r. 1843, a przed nim już w poemacie, na „powieści gdańskiej” osnutym, p. t. „Noe św. Jana”, „Lesław” to plód typowy przesadnej „szalonej” romantyki, utwor 19-letniego młodzieńca, rozczulającego się z lubością w t. zw. dramatach fantastycznych — w „Faucie”, „Manfredzie”, „Dziadach”, „Kordjanie”, „Władzu dziejach”, „Nieboskiej” i tworzącego na ich wzór jeszcze jeden, pośiód ultraromantyczny dramat fantastyczny. Długo przeceniano (jak np. Libelt), lub niedoceniano ten poemat; dopiero K. Wojciechowski zrucił większość światła na „Lesław” i określił trafnie jego znaczenie. Już Chmielowski zrucił uwagę, że w „Lesławie” najwięcej zastanawia myśl, wypowiedziana przez czarta, iż wątkiem istnienia jest nienawistny wieczna, że w całej naturze p. n. nie istnieje stanna walka o byt. To jakby poetyka zapowiedź przyszłej teorii Darwina, — ale zapomniał Chmielowski, iż to samo można powiedzieć o „Werterze”. I oto Wojciechowski robi spostrzeżenie, że wszystkie te reminiscencje z „Fausta”, „Manfreda”, „Dziadów” i t. d. są w „Lesławie” tylko dekoacja, a węzeł tragedji, jej punktem kulminacyjnym, jest myśl, zaczerpnięta z „Wertera”. (Pamiętny monolog Lesława i część dialogu z Nieznajomym z parafrazą listu Wertera z 18 sierpnia. — Ks. D. Niemniej jednak zianem Wojciechowskiego, jest „Lesław” w dziejach wertycyzmu w Polsce jawiskiem bardzo ważnym, o pierwszorzędnym znaczeniu. W nim jedynie *weltszmerz* jako objaw spowodowany poglądem na „prawo bytu”, jako okrzyk duszy, przerażonej odkryciem, że niszczenie jest koniecznością, że nie waszechność, ale walka wszystkich przeciw wszystkim jest dogmatem — znalazł po raz pierwszy pełny, niezmiernie nieprzyniomy wyraz... „Lesław” był ostatnim silnym wyrazem prądu werterowskiego w Polsce, a najsilniejszym sceptycznym płynącego z... uświadomienia sobie prawa przyrody“ („Wzrost w Polsce”).

W r. 1844 (1843) opuścił Zmorski Warszawę i odlaty pod życie koczownicze; ułat się najprzód w Poznańskie; ogłaszał po-

je swoje w czasopiśmie poznańskich (w Tyg. Liter. i in.) W Osielcu, majetności pp. Parczewskich, gdzie bawił przez czas dłuższy, wraz z Lenartowiczem, T. Morawskim, Janem Koźminem, Wł. Walskim, poznał i zaślubił w r. 1847 Teklę Parczewską. Sąd wyjechał na ziemie do Akwizgranu, a na wiosnę r. 1848 do Brukseli; tu obcował z domami Siemieńskich, gen. Skrzyneckich, z Lelewela, z Wal. Kalinką, Z. Brukseli, jak się zdaje, zborył z do Pa- 1848. Wtedy poznał Mickiewicza i Słowackiego. Słowacki zarządził powojem Zmorskiego brak szerszego, serdecznego uczucia; ale kiedy poznany poeta odezwał mu piosenkę swoją „Westchnienie z od- 1848”, w której wyraził tęsknotę swoją do rodzinnego Marusza, Słowacki uścisnął serdecznie Zmorskiego i prosił go, aby więcej takich pieśni tworzył, przepowiadając im wielką popularność (Niewiarowski). W lipcu tegoż roku (1848) był już Zmorski w Saksce; 10 lipca pożegnał w Dreźnie wrocławskiego z Wrocławia do Pa- 1848 Słowackiego. Zwiedza Łużycę, wraz z Smołarem zbiera polowa i pieśni z ust ludu. W r. 1849 wydał w Budzysynie „Tygodnik, rzeczom polskim i słowiańskim poświęcony, p. n. „Stado”. Tu, pod wrażeniem śmierci Słowackiego pomieszcza gorąco napisany nekrolog wielkiego poety, jedynie wówczas głęboko odczuwane wspomnienie o nim, i trafne, choć zwięzłe określenie jego znaczenia. W kilka lat potem (1855), na emigracji w Montmarcie w Paryżu powstaje piękny wiersz Zmorskiego: „Na grobie Juljusza Słowackiego”.

Z Budzysyna rohb Zmorski wyjechał do Belgji, Heidelbergu; pod koniec r. 1852 i w r. 1853 bawił czas jakiś w Weimarze; tu obcował często z Lisztem, naówczas kapelmistrzem dworu weimarskiego, a z którym się zaprzyjaźnił jeszcze w Warszawie w r. 1843. Jak Magnuszewski, niepraktykujący poeta, oświadczył się i osadziwszy na wsi, nie miał sobie dość rady z gospodarstwem, stał się z tym stanem interesów i... podróżywał.

Podczas wojny wschodniej przybywa z Paryża, w listopadzie r. 1855, jako ajent ks. Ad. Czartoryskiego, do Konstantynopola, z misją do Serbji; osiada w Belgradzie¹⁾ po wojnie jest już w Lwowie, skąd, korzystając z amnestji, wraca w r. 1859 do Warszawy. W r. 1861 należał do redakcji „Pszczelki”, wraz z Niewiarowskim i Miniszewskim. W r. 1832 uwieczono Zmorskiego, podług wyrażenie go o redaktorstwo tajnego pisma „Strażnica”. Po kilku miesiącach wypuszczony, wyjeżdża, dla poratowania zdrowia,

¹⁾ Mickiewicz w liście do Sadyka paszy z 8 listop. 1855 r. pisał: „Wjeżdża sąd (z Konstantynopola) do was p. Zmorski, wysłany od ks. księcia jako ajent do Serbji, Bawiliński dobrze znamy. Zdzie mi się ten człowiek i nie zasłodzi nikomu jego tam bytność. I wszem, niech uważają obaczy Słuziński, który obawia się Zmorskiego jako miazdza, gada z nim w swój sposób jako o człowieka strasznym. To są balnuctwa”. (Pamiętniki 1912, str. 458).

do Galicji. W Krakowie należy do redakcji tajnego pisma „Wolność”. Po ogłoszeniu stanu oblężenia w Galicji prznosi się do Drezna, gdzie umiera d. 19 lutego 1867 r. Pochowany niedaleko od grobowca Brodzińskiego.

W Osieku napisał Zmorski, w r. 1847 i w początkach r. 1848, najcenniejszy swój utwór, poemat „Wieża siedmiu wodzów” (wyd. w r. 1850 w Poznaniu), który przesłał Mickiewiczowi z wierszem dedykacyjnym¹⁾. W przedmowie utrzymuje Zmorski, że osnuł swój poemat na podaniu, zasłyszanem niegdyś z ust ludu na Mazowszu, poufnie jednak, nacisniony, przyznał, że temat zaczerpnął z sagi skandyńskiej, poznanej w przekładzie niemieckim. Była to więc mistyfikacja ze strony Zmorskiego; ale podobnie zamistyfikował pochodzenie ludowe „Dudarka” i „Grażyny” Mickiewicz, „Lubora” Zaleski i wielu innych. W stylu „Wieży” znać wpływ pieśni serbskich. Niegdyś stawiano bardzo wysoko przekłady pieśni serbskich, dokonane przez Zmorskiego, lecz dziś obniżono już ich wartość. Zdaniem Zyg. Mrkowskiego (Jeża), znawcy piśmiennictwa i ducha pieśni ludowej serbskiej, „jak Zaleski, tak Zmorski zanadto spolszczali. Tłumaczenia ich wielkie posiadają zalety, lecz zalety te właśnie zacierają akcent oryginałów. Zaleski w Serbji nie był, Zmorski się przez nią przesunął jeno i czasu, a smadź i możność, nie miał wsłuchać się w brzmienie serbskich akcentów pieśni nych. Tłumaczył bez odczuwania tonów żywych, narodowych, w powietrzu serbskiem dżgających” (Wstęp do przekładu pieśni serbskich Izyd. Kopernickiego²⁾).

Zapalony miłośnik twórców fantazji ludowej, ogłosił Zmorski (pod pseud. Zamarskiego), idąc w ślady Wójcickiego i Berwińskiego, „Podania i baśni ludu w Mazowszu” (1852), „w słowotnem”, jak się w wiele charakterystycznej przedmowie wyraża, „do ogłoszenia obrobieniu”. „Co przed półwiekiem — pisał w r. 1902 zasłużony etnograf Jan Karłowicz, w przedmowie do nowego wydania „Podañ i baśni”, — „nazywano „obrobieniem”, to łatwo wyrozumieli, czytając „Klechy” Wójcickiego i „Powieści” Berwińskiego. Mniemano wówczas, że bajka surowa, tak jak lud ją opowiada, nie nadaje się do druku, upatrywano w niej bowiem nie materiał etnograficzny, lecz utwór „literatury nadobnej”, skutkiem takiego poglądu retuszowano oryginał, dodawano romansewy, opisy miejscowości, morały, ba, nawet szczegóły z własnej głowy. Uczciwy Zmorski przyznał się do używania tych kosmetyków: „Czując się żywą ludu swego częścią, zachowałem sobie

swobodę w szczegółach ubocznych lub obojętnych. Wprowadziłem do niektórych powieści akcesoria i koloryt właściwy osiem, do których prawdopodobnie rzecz bajki odnieśćby się miały”. „Poównywiają jednak cktwie gadulstwo Wójcickiego i Berwińskiego, którym rozwinęli osnowę bajek ludowych, przystąpił na chyłty słusznosci Zmorskiemu, że był daleko wstrzeźmliwszy i w nich w „obrabianiu”; baśń jego znacznie bliższa jest form bajkowej gadki i nie należy niemiaturalności. Styl jej wszakże jest nie ludowy, literacki. Czuł to sam Zmorski, mówiąc, że „wziąwszy pióro do ręki, nie mogłem przemocy wymęczyć nałogu książkowego języka z drugiej strony mniemam jednak, że pisać tak, jak się pisał podobne rzeczy, byłby niemiernie niewdzięczny sposób”. Wskazywać przynajmniej przecie Karłowicz, że „zbiorek Zmorskiego powstał i ta zawsze drogą nam pamiętką Jedynego z pierwszych etnografów podań naszych, który czuł i przeczuwał doniosłe ich znaczenie”. („Pod. i baśni ludu w Mazowszu”. Warszawa 1902, przedmowa str. 6—8)

BIBLIOGRAFJA.

Al Pisma Zmorskiego: Osobno wyszły następujące: „Poezje”. Warszawa 1843. — „Ledałw”, szkic fantastyczny. Ostrowo 1847; inne wyd.: Pleszew 1849, Lipsk 1854, Lwów 1870 (Bibl. Nowaki). — „Wieża siedmiu wodzów”, pieśń z podania. Poznań 1850; inne wyd.: Lwów 1857, Warszawa 1860, Warszawa 1908. — „Podania i baśni ludu w Mazowszu”. Spisał Roman Zamarski (pseud. Zmorskiego) Wrocław 1852; nowe wyd. Warszawa 1902 (pod Dż. Wybor.) ze wstępem J. Karłowicza. — „Domowe wspomnienia i powiastki. Zbiórka przedk. Romana Zamarskiego. Warsz. 1854. — „Narodowe pieśni serbskie, wybrane i przełożone przez Zamarskiego”. Warsz. 1853; 2 wyd. 1855. — „Króliewicz Marko. Narodowe pieśni serbskie”. Warsz. 1859. — „Lazarica, ustęp z narodowych pieśni serbskich”. Warsz. 1860 — „Poezje”. Lipsk 1866 (Bibl. Pis. Pol. Broekhaus). — „Pisma oryginalne i tłumaczone”. Warszawa 1899 (Bibl. Najc. ul. Liter. Europ.) — W czasopiśmiech, w zbiorach utworów poetyckich, drukowanych w „Przeglądzie Warszawskim” (1840—41), w „Nadwiślaninie” (1841), w „Bibl. Warsz.” (1841 i 1851—62), w „Przeglądzie Naukowym” (1843), w „Jaskółce” (pamiętnik złożony przez R. Zmorskiego, J. Dziekońskiego) 1843, w „Ziemiach” (później do wydań zbiorowych), ogłosił Zmorski wiele utworów i poezji w następn. czasopiśmiech: w „Tygodniku Literackim” (Poznań) 1844, pod pseud. Romana Mazura; w „Wspomnienie R. Z. Sierpińskiego” i „Rozbiór poezji Al. Grozy” w „Gaz. Warsz.” 1849, nr. 272—98: „Serbskie Luzyce i ich mieszkancy”;

¹⁾ Tekst, jak się zdaje pierwotny, podany przez Wł. Mickiewicza w „Zwycięstwie Ad. Mick.” IV, str. XXXIV, z datą: „Osiek, 1-go stycznia 1847”.

²⁾ Mimo to prof. uniwersytecki belgradzkiego, Radovan Koszalic, rozkłada pieśni serbskie Zmorskiego nazywa wyborami („odlicznie”). Zob. jego „Wypisy polskie”. Belgrad, 1901, str. 219.

w „Bibl. Warsz.” w l. 1851—62, m. i. „Krótki rys nowego piśmien-
nictwa serbskiego podług Jana Risticza” (z niem.) (1853, maj),
w „Gaz. Codziennej” 1858 „Listy z podróży po Bośni, Hercegowinie
i Czarnogórze”; w „Przegl. Powszechnym” Kraszewskiego 1860
(Drożno): „Merima czyli powstanie w Bośni”, przekł. tragedji Ma-
ciji Bana, poety serb-kiego; w „Stadle” 1849 m. i. nekrol. *Słowackiego*;
wiele artykułów w „Tygod. Ilustr.” (m. i. o „Dzie-
częciu z Sączu” Romanowskiego (1861); w „Ojczyźnie” (1864—4.
Bendikón): „Przegląd poezji M. Romanowskiego”; nadto w „Pszczo-
le” (1861), w „Świcie” (1856—7), w „Przyjacielu Ludu” i in-
czasop.; po śmierci Zmorskiego wydrukiwała T. Zmorska jego art.
„Serbowie Lużyccy” w „Kurjerze Poznańskim” 1880. — W rękopi-
sach pozostały m. i. poematy: „Dzieje Warsza i Sawy, bajecznych za-
łożycieli Warszawy”, „Święto Majowe”, obraz liryczny z Piastow-
skich czasów”, „Potrzeba Grunwaldzka”, powieść rycerska. — List
do Maciejowskiego z r. 1853 w „Księdze pamiątek. Mickiewicza
I” (1898).

B) O Zmorskim i jego utworach pisali: J. I. Kra-
szewski: Zmorski Roman („Rachunki” 1867, II, str. 519—528). —
Rządewski: R. Z. Warszawa 1868 (odb. z Bibl. Warsz. 1868, II). —
Marzeń: Grupa poetów z r. 1840. Rom. u Zmorski (Przegl. Tygodn.
1880). — Taż: R. Z. Wędrowiec 1901, nr. 8 i nast. — Taż: „Cy-
ganeria Warszawska”, Warsz. 1905 (Bibl. Dzieł Wybor.). — A. Pol-
kowiec (Niewiarowski): „Jak meteor. (Fragment pamiętnika”.) (Kur-
jer Warsz. 1882, nr. 1). — Tenże: R. Z. (Kłosy 1885, II). — R.
„Osiek”. (Kłosy 1885, nr. 1057). — T. Zmorska: Przyczynek do
wspomnienia o Romanie Zmorskim (Kłosy 1885, nr. 1063). — Ka-
szewski o „Więzi siedmiu wodzów” (Bibl. Warsz. 1858, II). — Li-
bell o „Lesławie” w Estetyce i Filozofii i krytyka, IV, 377). —
X: Franc. Liszt i R. Zmorski (Tyg. Ilustr. 1897, nr. 37). — L.
Méyel: Z nieznanych pamiątek (Tyg. Ilustr. 1897, nr. 3). — Za-
chowski: R. Z. („Byron i jego wiek”, II, Krak. 1897). — Pąg-
Tekla Zmorska (Wędrowiec 1898, nr. 51). — Małuszewski: Djaból
w poezji. Warsz. 1899 (str. 254—6). — Chmielowski w Hist. liter-
pol. t. V, 136—140). — Ziżarski: Pierwiastek ludowy w utwor-
ach R. Zmorskiego („Dodatek miesięczny” Przegl. Tygodn. 1900
cz. 5; też w „Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX w.” War-
szawa, 1901 — Karłowicz w walepie do nowego wyd. „Pod-
dań i hańd”. Warszawa, 1902. (Biblioteka Dzieł Wybor.). — Wojcie-
chowski: „Werter w Polsce”. Lwów 1904 (str. 152—158, o „Le-
śławie”).

A) Lesław (1843).

(„Lesław, szkic fantastyczny”. Ostrów 1847.)

Wydany wyjątki na podstawie tekstu w wyd. lipskiem „Poezji” (1866).

Noc pierwsza.

III.

Wagórz urwiste — na szczytach ich wiszą obłoki.

Lesław

Krew wre, burzy się w żyłach mych — gorąca
Jak olów roztopiony. A po mojej twarzy
Czuję, jak chłód jesienny zimną rosą wieje.
I chciałbym, i siłę się odetchnąć tym ostrym,
Prześiąkłym mgłami wiatrem, — by nim choć na chwile
Ostudzić żar, pałący piersi me; — napróżno!
Tak okropnie twój ciężar ciśnię moje łono,
Nieukojona żądzo!...

Wszzechmoena, jedyna.

Żądzo miłości! wierniejsza od cienia,
Tyś zawsze — wez dy ze mną; a sama swym cieniem
Takeś okryła wszystką moją duszę,
Że żadna inna żądza wznieść już w niej niezdolna.
Ty jak zazdrośna żona, na łozu mem w nocy
Przylegasz i, zawiścią bezenna, na sennem
Sercu mojem badawczą rękę swoją kładniesz.
Okiem łakome czystsz z twarzy mej myśl każdą,
Co nie o tobie była; — i wtedy szlona,
Ciśniesz mnie, by ocucić, w namiętne ramiona —
By w ciebie tylko patrzeć, słyszeć tylko ciebie.
Ty wszystkie głosy, wszystką ciszę ziemi
Zrobić swoim językiem umiałaś; i niemi
Wolasz mnie, mówisz bez prestantku ze mną...

Pomnę, gdy po tych górach, po dolach tych, wiosna
Rozwieszała majowe, lekkie swoje sploty.
Las młodym, bladym liściem dźwięczał, — smąg kwiatami
Błyszczał cały, oskrzony, jak niebo gwiazdami.
Motyli woniących powiewów rój młody
Bujał wśród nich rozkosznie — jak dzieci po łące.
Jak anieli po niebie; a z gęstwiny boru

Brzmiał chór setny słowików tęskną pieśń wieczoru...
 W pieśń tę cudną tyś wtedy wcieliła twe słowa.
 I poczułem wśród tego niezmiernego hymnu,
 Naczonego harmonją, i wonią, i blaskiem,
 Żem był sam, jako struna zerwana na lutni.
 I samotność ta męczarń była mi torturą.
 Kończąc młodzieńczej pory czekał niecierpliwie.
 Zdało mi się, że serca cisnąć tak boleśnie
 Nic nie zdola, jak rozkosz nie dzielona z nikim...
 I oto — wiatr północny gwiazd zimy wózba,
 Kolyząc płowe rżyska i traw kity płowe.
 Lasy się ramieni ją krasą suchotnika
 Gorączkową, co śmierci poprzeda godzinę;
 I wieszczą dla natury zgonu, wieszczą siwa,
 Pospępna w leśnem gnieździe sowa się odzywa...
 A ta piosenka zniszczenia sroższą mi trucizną
 Piersi pali, rozdziera, niż wdżęk wiosny cały. —
 Przecież nie śmierci trwoga boleści mej matką;
 Jaki zwalczyć niezdolny, nie drzeć zdolnym przed nią.
 Ale jakże boleśnie patrzeć na to życie,
 Którego nic co chwila rozerwać się może,
 Niekące jak cień marny, jako śnieg przedwiezany,
 Bez tych rozkosznych, pojących uniesień, —
 Bez niepojętej współczucia radości, —
 Bez twóich palających uścisków, miłości!...
 Darmoż? i darmoż po marzenia świecie
 Skrzydlatą myślą twe rozkosze gonię?
 Nigdyż mnie boska woń twa nie owionie,
 Miłości i ziemi najpiękniejszy kwiecie.
 Nigdyż z ust lubej, ustami drżącemi,
 Nie zgaszę żądz, co w mem sercu pała?
 Nigdzież? i nigdzież nie znajdzie na ziemi
 Duszy, co by się z duszą wieszczą złąta!
 Gdzież ciebie szukać? gdzież znaleźć? aniele!
 King ciebie świętym miłości wyrazem, —
 Do mnie, ach, do mnie! na wieczne wesela, —
 Do mnie, żyć i umrzeć razem!...
 Ja dla twej białej, marmurowej skroni
 Wieniec z gwiazd spłotę zerwanych na niebie;
 Ocean blasków i ocean woni
 Rozleję wokół ciebie —
 I wysoko, wysoko, nad światem nieczystym,
 Wzniosę w harmonji nieskończone morze,
 I za życia niebios ci podwoję otworę
 W moim uścisku ognistym!...

(wyciąga do uścisku ramiona)

Uścisk mój spada na pierś moją własną,
 Jak kamień w niebo gwiazdziste rzucony,
 Na skroń zuchwałą. Gorące zakłącia,
 Z dzikim rozdźwiękiem w proch się rozsypują
 O zimne piaski i zimniejsze serca,
 Żądze i klątwy, daremne — daremne!...

N o c d r u g a .

Topielcy J.)

W błędy kroplistych całunach, o długich, zielonych włosach, wynurzają się tłumem z pod wody i na brzegu wiążą się tęczne koła.

Białej! w lotnym, wietrznym biegu, A kto jutro w nasze ślady
 Po zroszonym Wisły brzegu, Wstąpi, wkrótce ebrhodny, błady
 W taniec rażno, tłumnie; Położy się w trumnie!

(Płając, zalkają w mgłę.)

Topielice.

Chodźcie, siostry! tam na piasku, Czasem długich włos warkoczy,
 Wszy księżycu złotym blasku, U spokojnych fal przeczoczy
 Zasiądźmy dokoła: Zapleść białe czoła.

Wągiem szeregami zasiadają ponad wodą — i schylone, palcami rozczesują włosy.)

1 Topielica.

Jam księżniczką niegdyś była. Przechroczytych sznur perłami,
 W marmowanym zamku żyła, Rozmarynu gałązkami
 Ciskać płowieje Bug; Plołam sobie skroń.
 Na dła w mlekiem się kapala, Stroliłam się w drogie szaty,
 Biały warkocz mi czesala, W złotogłowy i szkarlaty,
 Karmych zgraja sług. W diamenty otóli!

*) W całej Polsce pomiędzy ludem upowszechnione jest mniej więcej podobnie o topielcach wyobrażenie. Są to ciała utopionych ludzi, zaczyna-
 jąc po śmierci drugi, niesmiertelny, tajemniczy żywot. W nocy grzmady
 kłopotów wyprowadzą dzięki swoje irzyska po głębiach i brzozgach wód
 wspanie i topiąc każdego, kto wtedy ku nim się zbliży. — Na Mazowszu
 mają topielcy zielone włosy. Panuje także mniemanie, że kto w ślad ich, na
 wodzie wyciąsnęty, pierwszy wstąpi nastajtra rano, wkrótce umierać musi.

Po z marmuru, po podłogach,
Przy ochocezych gęsiach, rogach,
Zwodziłam ja tan.
Wlonięjące mi pochodnie
Laly blask, jak słońce wschodnie,
Z zwierciadlanych ścian.

Na tym zamku był myśliwy,
Młody, krzepki, urodziwy,
Jak majowe dnie; —
Jedynaczka ja kołpańca,
Pokochałam wnet młodzieńca.
A młodzieniec mnie.

Aż raz ojciec zszedł nas razem;
Serce przebodł mu żelazem
I porucił w krwi.
A mnie biedną zsiękł różgami,
Widół w komorę zlaną łzami,
Zarygował drzwi.

Cóż po życiu bez kochanka?
Co bez dziewiczego wianka?
Wiecznie płacz i płon!

Skrytał sobie oczy ręką
I skoceżyłam przez okienko
W bystrej rzeki toń!

Wiek za wiekiem ręco bieży,
W smutnych gruzach cały lęty
Mój rodzinny gród. —
Zawsze płynie srebrna woda
I ja zawsze żyję młoda
W głębi mokrych wód.

Tam ostrego zwiru łożę,
Gładkie moje ciało porze,
Cały jasny dzień,
Tam ja i czekam, cała drżąca,
Ryć to błysnie krag miesiąca,
Spadnie nocy cień.

A przy bladym nocnym blasku
Na nadbrzeżnym siadam piasku
W wieńcu z trzcini i mchów,
W przezroczyście kropole rosy
Me zielone plotę włosy —
Aż zadnieje znów.

2 Topielica.

Ja, lat temu dwieście z górą,
Mieszkałam we wsi nad Bzurą;
Byłam czarownicą,
Czarowałam pola, sady,
Świat straszylał wichry, grady,
Gromów błyskawicą.

Raz, gdy w polu świegoc czary,
Wypatrzył mnie sąsiad stary!
Zaskarżył do gredu.

Uwiązali wnet na sznurze
I zawiedli pławić w Bzurze,
Czy mnie przyjmie woda?

U brzegu stos czekał smolny —
Oj, nie rozkosz ogień wolny!
Lepiej kąpiel chłodna.
Oderwałam się ze sznurka
I ze śmiechem dalej, nurka!
Jak siekiera do dna.

3 Topielica.

Moja dola nieszczęśliwa!
Jam nie znała, jako żywa,
Co rozkosz, co świat!
Zaledwem się urodziła,
Matka w Wiśle utopiła —
Dzisiaj dwadzieścia lat.

Wodne trawy kołysały,
Wały, burze pieśni grały
Nad kolebką mą. —
Płyną wały, płyną lata,
Ja nie widzę nigdy świata
Tylko poza chmą!..

4 Topielica.

He-he! do wody, do wody!
Pochwycim za dłoń,
Podrzacie, oto tam —
W mokrą wciągniem toń!
Wiosny brzegiem, chłopiec młody
Chór.
Lisnie nucąc k nam. —
Dalej! do wody, do wody!
W łódkę wsiędzie,
Nasz-śś, chłopce młoty! —
Płynąć będzie.
Lód! a fale ciśnieniem,

(Zanurzają się w wodzie.)

Noc trzecia.

I.

Niekie posępne ustronie. — Wokoło nagie pagórki, czerwonymi wrzosem pokryte. — Niebo całe zaćmiane grubemi, szybko biegającymi chmurami. — Zmurk.

Lesław.

(Sam — głęboko zadumany, siedzi na pochyłości wzgórz, — u nóg jego strzelba. Zdawa słychać głos pogrzebanych dzwonów.)

Jak smutno, boleśnie.

Ostatnie potęganie brzmi ci dzwon żalobny —
Tak niespodzianie, tak stracona wcześniej!
Na te dni moich przemknął się jak we śnie — —
Tak piękną byłaś, kochałaś mnie tyle — —
Przecież ja tylko jeden dzień nie żegnam ciebie,
Nie uśleszę na wieczne rozstanie w mogile.
Leż kropili w mojem oku, w sercu kropili żalu
Nie mam, by je poświęcić na twoim pogrzebie...
Jakże są niezbadane serce naszych uczucia! —
W mojem objęciu grom śmierci ja stari! — —
Grom! jego mściwy wiaśtunem mi był
Obu miłości mych kołca — —
Jednakże grom ten w mojem nie odbił się tonie
Echem rozpacy, przerażenia, zgrozy.
Tylko, że niżli kiedy, dziś mi bardziej mile
Dzikiem samotnej oblicze natury:
Tylko, że w duszy mojej zwiasty jakies chmury
Czarne, ciągnące... Zresztą pokój taki,
Taka tam cisza! — jak na tem jesiennem
Niebie, straszliwej burzy nadzieją brzemieniem.

Jak dziwaczniemi kształty niebo to się chmurzy¹⁾
 Tu czarny siedmiogłowy smok w obłokach drzymie —
 Tam jakieś wół człowiecze, wół mgliste, obrzymie
 Tłumy: — horda wędrownych duchów, obłąkana
 W swej nieskończonej powietrznej podróży. —
 Owdzie ciemna, rozwarła paszeza dziwolóra
 Wisł z bezdennych mroków. Strzępione jej zęby
 Krwawym błyszczą szkarlatem. Zda się ognia kłęby
 Co chwila na świat rzygnie...

Pole widnokręga

Zatulało się całe: jakby niespokojne
 Potęgi, piorannemi poci-kami zbrojne,
 Zeszły się tu rozgłośną stoczyć z sobą wojnę. — —
 Któż odgadnie istotę tych zastępów ciemnych?
 Groźnej ich siły, walk, gniewów tajemnych?
 Toż ludy dębów zgniewane na sąd
 Ziemi, co martwym czyni państwo ich,
 Wolają, wściekle irwożny trzęsąc łąd:
 Zryjemy!...

Przed oczyma wojsk czarnych obrzymów
 Nowa gonitwa; — wysoko, wśród zmierzchu,
 Rozpierzchle gołębi stado
 Szaremi skrzydły chwila ściga kania.
 I coraz chężej i coraz bliżej kania
 Kręgi łup swój obiega, zaskrzydła — dogania — —
 Chwila, a krwawą szpony zmaże.
 Stój, krwawy zbójco! — Bóg przez ręce czeka
 Nie dopuści morderstwa i morderce skaże!

Strzeż: — ogromny jastrząb u nóg jego spada. Z poza pagórka występuje

Nieznamy.

Witaj Lesławie! —

(Pofręca nogą jastrzębia.)

¹⁾ W różnokształtnych masach chmur, przemykających tłumnie po burzliwym wieczornem niebie, lud nasz widzi cały świat dziwów, pety i potwórów, i racbu. Są tam smoki wielogłowe i stada dziłkich, niewidzialnych płaszków i zwierząt, harcujące między sobą. Wśród tych potwornych, bezładnych gromad ukazują się nieraz szybko biegnący na skrzydlatych ramakach naszego mglistych, obrzymich jeźdźców. Są to duchy dawnych wojowników, koczujące wiecznie z wicherami po nieskończonej przestrzeni. Kiedy dusze te i dusze żywe napotkają się ze sobą, często zwoją z sobą walkę — które z nich zwycięży, przepowiednią srogiej między ludźmi wojny. Jak to wyobrażenie śród-głęboko wkorzenione w całym narodziu, dowodzą mnogie wzmianki w dawnych kronikach, przywołując z zupełną wiarą opisy najeźdźczych walk i gonitw, poprzedzających wojny i klęski na ziemi.

Krew!!!

Krew ta cóż znaczy?...
 Także straszliwym ukochanej zgon
 Zaległ twe serce plonieniem rozpaczy,
 Że go w strugach gasisz krwi?
 W ogniuż tym speliż? Kędyż się podziłał
 Promienne czucia, co świat życia cały
 Świętej miłości wiencem otaczał?

Lesław

Kiedy nadejdziesz wiosna, z gór Iatrzańskich szczytów
 Pętlą potoki szalone, spienione,
 Hwiałę koziodrzewy i jodły zielone,
 Co się rozrosły w szczytelach granitów, —
 Ale rodzimej nie obalą skały.
 Tak w sercu mojem plonienistym prądem,
 Straszny grom śmierci zwalił wszystkie to,
 Twariego życia co zdołało nagość.
 Uciecia moje błogie, marzenia, nadzieje
 Pozarpał wszystkie ze szczerem.
 Miłości jednej — wielkiej, nieskończonej,
 Skruszyć nie zdołał; bo ona się zrosła
 Ze sercem mojem, jak zrosła się z lądem
 Karpat opoka wyniosła. —
 I żadna postać pojedyncza zbliśka
 Gdy nie przesłania więcej jej ogniska,
 Z nową potęgą w nieskończoność błyska. — —
 I mógłbym patrzeć, widz niemy, gdy ptak
 Chłasi, krwioherczy bledne stado gnat?
 Widziałem trwożne, rozpaczne wybiegi,
 Śmiertelny popłoch a łosnego plectwa —
 I miałem przemieść? Mój strzał,
 Jak niebos opatrny grom,
 Zbawił gołębia...

Nieznamy

Ugodził jastrzębia.

Za jedno życie drugiej życie stuił. —
 A któż cię stałw śladzi między niemi?
 Nikiemny pył twój ziemi!

Lesław

Kto? — Duch, co życie w piersi mojej nieci,
 I jasnym słońcem miłości w niej świeci.

Co na widok ucisku i zbrodni,
Gwałtów przemoicy i podstępą zdrad,
Burzy się, i wrę, i miota;
Coby świat cały wybawić od nich,
Coby ceną własnego żywota
Państwo sprawiedliwości okupić dłań rad.

Nieznamomy.

Na uścich twoich słowo sprawiedliwość,
Brzmi, jak niewinność w nierządniczy ustach.
O twardzi, niezblagani wy wszach jestestw sędzię!
Od samych siebie sprawiedliwi bądźcie;
Zanim je potępicie, siebie wpróż osądźcie.
A wyrok wasz straszny będzie! —
Wszakże w całej drapieżnej, świat krwawiącej hordzie,
Pierwsze miejsce, człowiecze, tobie się należy;
Tyś wodzem i mistrzem w mordzie. —
Wielka ziemia za mała dla twoich łupieży:
Dla ciebie morze głębokie,
Tobie powietrze wysokie,
Równem polań zdobywcy. Kędy dosięga zdolną,
Ręka twa rzeź wszędy szerzy — —
Ańi zadrzy na chwilę. Bóś kłamstwem sumieniu
Mileczę rozkazał. Wszęchświata stworzeniu
Zaparłeś uczucia i ducha: — by wolno
Bez hańby tępłć je było.
Przecież, co żyje, jednym życiem technie.
Zwierzenia skorupa, ziemianna nieskończenie,
Wszędzie jednakię jądro ducha kryje.
I każda z istot, najnieodolniejsza,
Bliźnia stąd tobie, — i tworom od ciebie
Wyższym, którym-ęś imię duchów dał,
Ze wzięły ciało od was subtelniejsze,
Z błękitnej pary, powietrza, plomienia!).

¹⁾ Zapatrywanie się na przedmioty swojskie przez szkła obcych pa-
jęć, jakiego hasła dali pierwsi rzeczy naszych pisarze, upowzechniło u nas
niejedną dotąd trwającą fałszywą widzenia sposób. Tak naprzykład istoty,
podług wyobrażeń gminnych żywoły zamieszkuje, dotąd uważane by-
wają bądźże za treźsze żywołów uosobienie, bądź za dawne ich opiekunów
bóstwa. Tymczasem kłoby sobie zadać (niełatwą prawdą) pracę głębiej w tę
mierze wnikać w ducha ludu, przekonanyby się, że istoty te — podług
narwy ludowej duchy — nie mają nic wspólnego ze znanymi powszechnie
mitologicznymi systemami. Są to istoty również jak człowiek stworzone i włas-
nym warunkom bytu poddane — wyższe tylko ogniwa w łańcuchu stworzenia
i dlatego świadomsze od nas i potężniejsze. Żywoły, w których zamieszkuje
są dla nich tem, czera dla człowieka ziemia, z nich składa się ich ciało
i w nich tylko znajdują potrzebne istnienia warunki.

Zwierzę, roślina, — i te ni rośliny,
Ni to zwierzęta, ni kamienie, spiące
W głębinach mrocznych, — zarówno swą wiosnę
Mają i chwile rozkoszy miłosnej.
A rozkosz czując, i cierpienie czując;
Kochają życie, używając życia.
To też jestestwu wozemu twarz człowieka
Zaana — jak śmierci strach; na sam widok twój,
Wszystko spłoszone bojąnią ucieka.
Wrogu odwieczny wszystkiego, co żywie,
Wszystko żywiące przeklina!.. Czy słyszysz?..

Leśtaw

Słyszę — i drzę. — Jak otchłań bezdenna
Mysł ta rozwarła gardziel swą przede mną.
I z każdą chwilą, co w nią okiem tonę,
Tem straszniej widzę jej niezmierną przepaść. —
Chłód przerażenia wieje z jej głębiny,
I skrońi mają tłoczy lodową obrzeżą. —
Wszystkie me siły wytężam, by nie paść
W jej czeluści czarnej — — napróżno! pode mną
Drzą stopy... świat się mgłą obwija ciemną!..

Dzika, straszliwa, wszęchwiadna potęgo!
Trzebaż ci było, rzucając mnie w świat,
Gdzie mordem tylko wolno mi mój byt
Wąty utrzymać, — trzebaż było ci
Stworzyć bez uczucia i bez serca n nie!
Niedość, że na mnie zwałiłeś już mąk.
Co zewsząd gnioł i zewsząd mnie pieką.
Ześ we mnie samym ziarno ich posiał?
Pocóż wala w pierś mą ogień szczytów —
Miłość i litość!.. gdyś chciała straszylem,
Sobie samemu i ziemi obrzydylem,
Rzucił mię w miłości świat!..

Nieznamomy

Miłości świat! — — Powtarzasz, jak zak,
Słowa, któremi mówić ci kazano.
Rzuc okiem w świat — i mów, gdzie w nim znać
Dzielo miłości?... Od błękitny h chmur,
Do głębi ziemi — wszędy wojna wrze.
Co żyje, walczy — siłą, zdradą podłą, —
Wzajem się szarpie, rozdziera i zrę. —
Co bądź istnieja, istnieje tylko bojem. —

Wątkiem jestestwa jest nienawiść wieczna.
I przeczę światem miłości zwać śmiesz
Świat nienawiści?

Lesław

W słowach twoich gore
Okropna prawda! A jednak, prócz tej
Miłości, którą w sercu mojem mam,
Ileż — o ileż w świecie tym jej znam!..

Nieznajomy

Miłość! — O, jest! — Bez niej światby już
Od wieków w martwą zamienił się bryłę. —
Jest miłość siebie — i swoich — i płci
Odmiennej skłonność płomienista. Jest! —
Ona, jak napój z winnych gron ciśnięty,
Rzucona w życie, by pijanym szaleem
Zacięła zmysły i duszy nie dała
Czasu, rozważną spojrzeć wokoło myślą.
O, gdybyż nie ten gorączkowy szal,
Ktoreżby żywe serce nie struchlało
Przed okropnością istnienia, — przed sobą!
Któż potępiony chciałby rodzić plód?...
Drapieżne bestje szpony zbroczonemi
Pierśny kosmatą rozdały z rozpęczy,
Szalenstwo ludzki wyniotłoby ród. —
Chwilą jedyna, wolna od szalonych
Chuci, ostatnią byłaby stworzenia;
I panowanie śmierci wraz z tą chwilą
Na wiekby wieków przepadało. —

Lesław

Więc tylko swego niepoznanie bytu
Rozkoszy bytu używać dozwala. —
Zaiste, smutny, hanbiący to los! —
Niech, jak chce, straszne przeznaczenie będzie,
Jakie bądź każni zdolna na nas zwalić
Świadomość, w mękach wznosi ona ducha;
Chroniąc od cierpię, poniża ślepotą. —
I kto bądź jesteś, dzięki ci, żeś mgłą,
Tajnie stworzenia kryjącą mi zwiat.
A choć przed słów twych piekielną jasnością,

Wszystkie radości uciekły niezwrótnie, —
Dzięki ci przecież! —

B) Do Liszta

(1843).

Cześć ci! władco, mocarzu
Nad harmonji państwem tajemniczem!
Na burzliwych chmur ołtarzu, —
Z płynącym błyskawicą zapału obliczem...

* * *

Jakiż to dźwięk — rozuzdany, szalony?...
Nie! struny nigdy brzmieć niezdolne tak!..
Odgadłem cię, czarnoksiężniku!
To chór szatanów, czarami zamknięty,
Wstał na strunach na twój znak
I wyje posepny swój śpiew!..
Piekło całe w tym niesformym ich krzyku, —
Każdy ton potępienia brzmi echem.
Jękiem męczarni, rozpęczy śmiech-m,
lakrami ognia parzy, gotuje w żyłach krew...
Ha! czy słyszycie?... Wieber dziko wrzasł —
Czarnemi nocy otoczono strasydły.
Szalan burzy nad ziemią ciężkimi zwiast skrzydły.
Słyszycie dębów druzgotanych trzask?
Szum olbrzymich jodeł?... Ach!
Otoż grom nad głową mi trzasł...
Noe — zgiełk — zamęt — blask —
Zgroza — strach!..

I patrze! Przez gestwiny, piorunami podarte,
Wyniosłych puszczy drzew, w akordów koronie,
Oleń stary król wychyla białe skronie.
I pieśnią cudowną eolskich harf brzmi —
Groźba grzmi —
I szeroko ramiona wyciąga rozwarte,
Serce ciśnie w ziębią e swe dotnie...
Trwoga — szat — zgroza — pijana zgrają
Po czaszce, po sercu pływają.
Wiehrem tonów duch porwany,
Niby dziki rumak w ślepiach,

Wirowym pędem gna przez mrok zamętu.
I naprzemiany:
To raz radby na wszystkie jednym gromem cisnąć,
Strzaskać do szczytu,
I rozśmieć się na ziemi strzaskanych czerepach.
To znów, radby świat cały do serca przycisnąć —
Ale tak silnie, że granitby pęknął,
Tak ogniście, że diamentby zmiękł...

Cześć ci! ogniem piekła zięjącej,
Burzą, trwogą, grozą grzmiącej,
Szalony i dziki
Szatanie muzyki!...

A to? Czyliż srope nieba zarwał się przejrzysty,
I gwiazd jasnych deszcz złościły
Dźwiękami srebrnymi
Opada do ziemi?...

To rój aniołów, na skrzydłach ze zórz
Niebieskich, w wieńcach z niebieskich róż,
Schodzi na ziemię barwną wstęgą tęczy
I miłość pieśnią dźwięczy.
A po złotych skrzydła ich drabinie
Duch ku górze wstępuje — i na krańcach świata,
W nieogarnionej wieczności krainie,
W wiekistej harmonji koło się zaplata.
Aż wszystkie, wszystkich światów niezliczone burze,
I wszystkie dźwięk rozkoszy w cały świat rzucony,
Obejmą go i spleczą swojami ramiony
Aż cały ulotnie
Miłością w boskiej naturze
I cały życia świat tchnie w jego tonie...

Cześć ci! z świętą uczucia wstęgą koło skroni,
Z promieniem niesmiertelnej miłości na czele,
Boski aniele
Niebieskiej harmonji!...

A gdy z pod ręk twych potopem wylewa
Czarodziejskich tonów deszcz,

To widno, jak ich burzą łono twe nabrzmiewa
I po lieu natchnienia jak przebiega dreszcz.
Widać, jak każde uczucie
W sercu wieszczą żar wprzód nieci —
Z ócz jego świeci —
Aż w uskrzydłonej czarodziejskiej nucei
Wielono wzleci.

Ty nie samem mówisz brzmieniem —
Pieśń dogrywasz ócz płomieniem —
Trzęsiesz serca twojem drżeniem —
Wiejeż w dusze twojem tchnieniem.
Cześć ci! namiętych uczuć potępieńcze!
Miłość tobie! bracie zapaleńcze!

C) Anioł niszczyciel.

Moje tchnienie nie woń,
Moje gwiazdy mi skroń
Jasniejącem obwiodły kołem
Moją oddech, siarczysty —
Moją wieniec, ognisty —
A przecież jam jest aniołem.

Jestem anioł, co leci,
W pieluchach mdłe dzieci
Bajskimi snami koleba;
Moje miłość, zgodę,
Wiąże serca młode
I dusze unosi do nieba. —

Jam anioł-niszczyciel,
Jam anioł-czyściciel, —
Jam złego mściwiel i wróg!...
Wale, gdy czas nadchodzi,
Wam świat się odrodzi,
Na ziemię śle Bóg!

Wzrost noszę w prawicy,
Pachodnię w lewicy,
W gromach oblatam świat;
Na imię mi: biada!
Bawerę, zgroza, zagłada
Biegą mi ślad wślada.

Ja tchnę w piersi ludzi —
W piśniach żar się zbudzi,
A ręce im całej krwią ściekną:
I będą się żarli,
I będą się darli,
Jak wilcy, gdy zgłodni się wściekną.

Ja kędy przelęcę,
Skier rżnny deszcz mięcę —
Skry to nieczem niezgaszone!
Aż wszystko wypalą
I to tylko ocala,
Co takie niebieskie, jak ona.

Pychy dzieci wszeteczne!
W głupstwie swoim bezpieczne.
Oto przyszedł wasz czas.
Wasze własne na głowę
Zamki wam marmurowe
Runą i pogrzebią was.

I władczyni wnet nowa,
Okropności królowa,
Gruz ze stalle waszych zasiędzie.
Z pośród cizy, grobowa
Szydersko z ruin sowa
Z potęgi się waszej śmiać będzie.

Hej! ludzie! ja lece,
Ogień wszędy miocę;
Bo, by się przyjął siew nowy,
By wyciszyć pole,
By zniszczyć kąkolę, —
Wypłenić plon trzeba niezdrowy.

Nie drżycie, nie knijcie,
Głów waszych nie rwijcie,
Że spłoną wam pola i włości;
Za krótki strach, głód,
Wy, i cały wasz ród,
Lichwę odbierzecie w przy-
szłości.

Hej! burze wy! — gromy!
Grady! wichrze lakomy!
Dalej za mną wślad!..
Hej ognie i wody!
Mory, wojny, niezgody!
Za mną na świat!..

Ja anioł-niszczyciel!
Ja anioł burzyciel!
Anioł zbawiciel!..

D) Wieża siedmiu wodzów

(1848).

(„Wieża siedmiu wodzów, pieśń z podania”. Poznań, 1850.)

Siedmiu wodzów, dokonawszy dzielnych czynów, postanawia połozyc się w mogily, ale przedtem wzięcie pomnik niepożyty, któryby aż „o białki nieba się oparł”. Zaczęto więc budować wieżę, ale co w dzień zmurawano, to w nocy zapadało się w ziemię. Aż wreszcie wodzowie, oznajmivszy, że za lat tysiąc znou się pojawią, pożegnali družynę i wstąpili na zrebry zapadłej w ziemie wieży; wówczas wzniosła się ona w górę aż do niebios. Do dziś istnieje ta wieża, ale jest niewidzialna, tylko nad nią, na niebiosach, błyszczą siedm gwiazd; są to hełmy stojących na zrebkach wodzów.

Podajemy wyjątki na podstawie tekstu wyd. lipskiego „Poezji” (1860).

.....
I wnet tajniki lasów zielonych
Zawrzały rogów ohochem granim,
Wesołem łowców nawoływaniem,
Hukiem toporów i drzew walonych...
Aż o południu zgiełkliwą zgrają,
I ci i owi w obóz wracają.

Ci dziwne tury, czarną posoką
Znaczące droge, za rogi wloką.
Owi, splełane lipiem i żyki,
Żywo prowadzą odporne dziki,
Lub, na wędzonych między gołonie

Drzewcach, dźwigają zwisłe jelenie.
Tamci zaś sosny, z smolnym korzeniem
Wydarte, silnem ciągną ramieniem;
Lub dzikie bared, z całemi kłody
Wycięte, niecsą na wielkie gody.

I wnet ogromne wnoszą się stopy, —
Dymy słupami biją w niebiosy.
Krwawe mięsiwa, w ćwierci zrabane,
Skwierczą, na twarde drzewca nadziane..
Aż o wieczorze legły spieczone
Na polnych głazów stoły omszone.

I poza stoły, gwarząc wesoło,
Siadła družyna w szerokie koto. —
W środku zasiadli siedmi wodzowie, —
Stareowie wiekiem, licem młodzieńcem, —
Złociste hełmy mając na głowie,
Na hełmach z dębu zielone wieńce;
Po jednej stronie miecze przejrzyste,
Z drugiej zwieszzone gęśli srebrzyste.
I wespół pieśni, śród gęśli dźwięku,
Róg pełny poszedł z ręku do ręku..

A naokoło, ogniem zrzuconym,
Ploną szalasy wieńcem czerwonym
I smolne stopy łuczyna gorzą.
Niebo się krzawą oblało żoną
I biała Wieża cała rumiana,
Jako gdy jutrznia wstaje z niej zrana.

Z głębin topieli straszne wodniki,
Lby wyrzurywszy wrok toczą dziki,
Dzikie z sobą gwarzą oś krzyki...
Z drzew wypłoszone jasnością sowy
Nad białaduków tłąką się głowiy...
A z poza dymu, z poza płomieni,
Z pośrodku puszczy tajemnych cieni,
Groźne lesniki, kołne-dziewice,
Przypołudnice, przywieszczernice —
Wszystkie puszcz dzwiy, zbiegłszy się zgrają,
Białadzie męzów się przyglądają..

Wtem z za drzew beru, milcząc, wspaniały
Wszedł pełny księżyc, jak srebro biały.
Natenczas wodze z siedzenia wstali,

I znak milczenia skiniemien dali:
 A więc powstała drużyna cała
 I cicho słowa wodzów czekała.

Oni zaś siedem, białych jak śnieg
 Czar napelnivszy miodem po brzeg,
 Za srebrne gęśli dłońmi ujęli
 I bijąc w struny, pieśń pieć poczęli.

.....

I wpośród zgielku, wśród uniesienia
 Głośnych okrzyków, wśród pieśni pienia,
 Wśród dźwięku gęśli i grania trąb —
 Wodzowie z miejsca ruszą się przodem,
 Drużyna długim wiaład korowodem.
 Szli, kędy Wisły największa głęb, —
 Kędy z pośrodku białego piasku,
 Przy smolnych ognisk czerwonym blasku,
 Szerokim kołem zapadłej wieży
 Zrąb szarych głazów zębem się jeży.

I na sterczącej ze ziemi ścianie
 Siedmioro wodzów, wstąpiwszy, stanie.
 Ze złocistemi hełmy na skroniach,
 Na hełmach wieńce mając dębowe,
 U boków jasne miecze stalowe,
 Srebrzyste gęśli trzymając w dłoniach.
 Cali w śnieżystej ubrani bieli, —
 Miesiąca blaskiem wpoł osrebrzeni,
 Napoły ognisk tuną rumieni,
 Na zrębie głazów w półkrąg stanęli.

I wraz uderzą w gęśli srebrzyste,
 Z pełnej o struny uderzą mocy;
 Dźwięki potężne i uroczyste
 Zabrzmią nawskroś milczenia nocy.
 I wraz zanucą, gęślom we wtór,
 Pieśń uroczystą we zgodny zбір,
 Niepojętemi jakiemis słowy,
 Jakiejś nieznannej, nieziemskiej mowy.
 Lecz snadź ją znają siły tajemne,
 Snadź ją pojęły potężne duchy,

Zarządzające państwa podziemie...
 Z głębi otchłani huk słychać głuchy,
 Jak odgłos gromów ciągnących zdala,
 I dziwnych głosów gwar pomięszany...
 Tajemną mocą wyparta fala
 Wiślana rośnie w groźne bałwany...
 Ziemia się chwieje, i grzmi i wzdyma...
 I wpośród grzmienia, wśród ziemi drżenia,
 Przed struchlałemi męzów oczyma,
 Z głębi otchłani naraz widocznie,
 Obrzymia wieża wznosić się pocznie.

I ponad głowy zdziwionej thuszory
 Ogromnym słupem w górę się dźwiga.
 Już szczytem drzewa minęła puszczy
 I ku gwieździstym niebiosom śmiga,
 Już w wysokości dalekim mroku
 Ścigającemu gubi się oku;
 Jeno na niebie wykrzaczoną długą
 Czarnego cienia znaczy się smugą.

Tylko z jej szczytu w jasne półkole,
 Złociste hełmy na wodzów czole
 Siedmiorgiem krągów błyszczących gorą,
 Niby miesiąc pełnych siedmioro.
 Aż coraz niższe, coraz to wyżej,
 Coraz to dalej świećąc od ziemi,
 Coraz to niebiesko gwieździstych bliżej, —
 Nareszcie siednią gwiazdy drobnemi,
 Pomiedzy gwiazdy staną drugiemmi...

Naraz ustawa podziemna wrzawa,
 Ustawa grzanie i ziemi drzenie.
 I obrzym-wieża w grzęzym ogromie,
 Z czołem opartem o nieba stropy,
 Z wrosłemi w piaski wilgotne stopy,
 Staje młęcząc i nieruchomie.
 Tylko nurt Wisły, nagie czołniony
 W łoże swe, głucho kipi spieniony.
 Tylko z środ cisz, gęśli i pienia
 Płyną z wysoka ostatnie brzmienia,
 Zmieszane w ledwie słyszalny dźwięk,
 Jak srebrny muszek wiosenny brzęk.
 Lub szmer kwitnącej trawy na łące,
 Gdy ją rozwija słońce wchodzące...

Ze przechylonym ku górze czołem,
Długo milczącym u wieży kołem,
Dziwem spełnionym oczarowana,
Drużyna męży stała zebrana.
Aż z zadziwienia snu ococeła,
Ku górze silne wznosząc ramiona,
Raz jeszcze, z piersi pełności wiernej,
Ku wodzom okrzyk wzniesie niezmierny.

Zaś szli milczący, skłoniwszy głowę,
Gdzie ich mogiły zwały gotowe.
I każdy nad swój zaszedłszy grób,
Kładł się spokojnie w piaszczysty żłób;
Na szary kamień skroń siałą wsparł
I oczy na sen wiekowy zwardł...

Wtem z głębi ciemnych powietrznych szlaków
Słychać śpiew jakiś nad wyraz rzewny.
Coraz to głośniejszy, coraz to bliżej, —
Coraz wyraźniej, coraz brzmi niżej;
Aż wreszcie widny łabędziach ptaków
Ciągający zdala długi sznur śpiewny.
Nad Wisłą, białej podobne chmurze,
Stado wędrowne zawisa w górze;
I z cicha szumiąc nieruchomemi
Lotami skrzydeł rozwiniętemi,
Roniąc łabędzi przedśmiertny żal,
Zwolna opada obłok ten biały
Nad rzekę lekko dyszące walty;
Piersią wilgotnych dotyka fal...
I z cichym pluskiem, upadłszy, tonie,
Z pieśnią zarazem, w mętnej ich łonie...

Na brzeg ogłuchły przyleciał wiatr,
Mroźny wysłaniec od śnieżnych Tatr,
Trzęsie drzewami, liść zżółkły rwie,
Ołbrzymie piasku tumany dmie:
Aż zwiędłym liściem i piaskiem spoty
Zawieje grobów otwarte doły;
Aże ostatniej szczęty biesiady
I wszystkie stopy człowieczej ślady
Ruchomych piasków zaspą przywali —
I z hukiem w puszcze odleci dalej...

Na uroczysku pusto zostało,
Jakby się nigdy nie tu nie działo. —

Tylko nad brzegiem kamienna, szara,
Z wrosłemi w piaski wilgotne stopy,
Z czołem opartem o nieba stropy,
Ołbrzymia wieża stoi jak mara.
Ale ezar na nią taki rzewony,
Ze jej nie dojrzy człowiek wcielony;
Ni jej śmiertelnem dojrzy spojrzeniem,
Ni jej śmiertelnem skala dotknięciem.

Tylko w pogodne dni, nocną porą,
Na głowach wodzów hełmów siedmioro
Siedmią gwiazd drobnych miga z jej szczytu,
W pośród gwiazd drugich, z nieba błękitu.
Tylko czasami z wyżyn podniebnych
Czarowne echo gęśli ich srebrnych,
Zmieszane w leświe słyszalny dźwięk, —
Jak srebrny muszek wiosennych brzęk,
Lub szmer kwitnącej trawy na łące
Gdy ją rozwija słońce wschodzące, —
Zaleci w pośród północnej ciszy.
A człowiek, co te dźwięki posłyszysz,
Oczarowany, drżący jak listek,
Staje zdziwiony; — serce i ucho
Poi tą z niebios muzyką głuchą —
A potem marzy, przez wiek swój wszystkie,
O wiekach dawnych, o krwawych bojach,
O wielkich wojach, o czynach sławnych...

Leżę gdy się tysiąc wypełni lat,
Gdy zło tak cały owaładnie świat,
I wszystkie serca ludzkie nie zbędzie,
Ze już dobrego jasnemu Bogu
Ni jeden wreszcie człowiek nie zbędzie
Do boju przeciw czarnemu wrogowi;
Z niebieskiej wieży, północną porą,
Zstąpi na ziemię wodzów siedmioro.
W nieśmiertelności jasnym odbłyśku
Promienni, staną na uroczysku —
Ze złocistemi hełmy na skroniach,
Na głowach wieńce mając dębowe,
U boków jasne miecze stalowe,
Gęśli srebrzyste trzymające w dłoniach,
I bijąc w struny, gęślom we wtór
Pieśń wieszczą w zgodny zamec zbór.

A na to śpiący wojacy w grobie
Zbudzą się, sami otworzą sobie
Mogły swoje, i odmłodzeni,
O kruczyczych włosach, licem rumieni
Wstaną; u boków z odmłodzonemi,
Jak sami, mieczmi przezroczytymi.

I wślad za wodzmi pójdą swojemi
Pode słonecznym proporcem Boga,
Wznosić cześć Jego świętą na ziemi;
Walił ołtarze czarnego wroga.
Siedmiu rzek wielkich przebrodzą łoża,
O dwa niezmiernie oprą się morza;
Siedm lat ze ziemi bój będą wieść;
W stu krwawych bitwach aż ich powalą.
Wreszcie zwycięstwa stopy zapalą,
Upadnie złego władztwo i cześć!
Zwycięsko wionie chorągiew boża!
Nad ziemią wielką wśród dwojga mórz,
Nad wszystkim słowa państwa dalekiem,
By więcej nigdy nie upaść już,
I światu stamtąd świecić wiek wiekiem.

I po brzeg obu mórz, ziemia święta,
Kości walecznych sprawiona cała,
Krwia bohaterów wkosro przesłanknięta,
Zabrzmie radością... i będzie chwala!
Wodzom i dzielnej drużynie chwala!
Chwała tej ziemi, co ich wydała...
I pieśni, co to przepowiadała. —

E) Na grobie Juliusza Słowackiego.

Kłatwy istnienia pęty żelaznemi,
Orle niebieski! do klutki skowany,
Krwawiąc pierś własną twardemi kajdany,
Z krzykiem rozpaczy rwałeś się od ziemi.
Aż bezustannem szamotaniem ducha
Stargane, pękły ogniwa łańcucha —
I ty, na trupie postawiwszy nogę,
Odszedłeś w duchów tajemniczą drogę.

Gdzieś, — przez mierzące wieczności przestworze —
Kroczyysz, stąpając po gwiazdach błyszczących.

Jak pątnik górskich rzek wezbrane łoża
Po głazach z głębi przebywa sterzących.
Toż, chociaż w sercu smutno mi po tobie,
Dziwnie spokojny stoję na twym grobie;
Tak pewien jestem, że jeśli ta droga
Ma koniec, dowieść musi cię do Boga.

Wszakże pod kształty jak będą promiennemi,
Drogę ci ducha spełnić się dostało, —
Gdziekolwiek pójdziesz, wiem, przez wieczność cała,
Smętny że będziesz zwracać wzrok ku ziemi.
I wszystko niebiosa weseli tej twojej
Wielkiej boleści wiem, że nie ukoi,
Aż nie zobaczysz: że spełnienie wzięło
Na ziemi święte odkupienia dzieło.

Więc, jeżeli cię zdradziecko nie zwiodły
Zycia twojego winra i nadzieje;
Jeżeli mają władzę duchów modły
Na losy ziemi, na ludów koleje;
Módl się o jedno! którąś był natchniony,
Niech Bóg rozdzieli miłość na miliony —
A odkupionej siłą tej miłości
Drogięj twojej ziemi błysnie dzień wolności.

1855.

WOLSKI WŁODZIMIERZ.

(1824—1882).

Jednym z najbardziej, obok Zmorskiego, typowych przedstawicieli „cyganerii warszawskiej” był rówieśnik Zmorskiego, Włodzimierz Wolski. Włodzimierz Dionizy Wolski, syn Hipolita, majora wojsk polskich, i Józefy z Młochowskich, urodził się w Serocku, w Pułtuskim (gdzie podówczas stał pułk jego ojca), d. 9 października 1824 r.). Matkę utracił w piątym roku życia, ojca w dwunastym; po śmierci rodziców; wychowaniem Wolskiego zajmował się opiekun, u którego był złożony kapitałk po ojcu na edukację i obowiązku swego wywiązał się sumiennie; umieszczony najprzód w pensjonacie francuskim, a następnie w niemieckim, miał Wolski możność poznania gruntownego dwu języków obcych. Mając lat 16 ukończył z odznaczeniem gimnazjum, ale dalej, wycie kształcić się już nie mógł, nie było podówczas w Warszawie żadnego wyższego zakładu naukowego. Jeden z biografów utrzymuje, że po rodzicach odziedziczył dość znaczny na owe czasy kapitałk, który jednak po dojeździe do pełnoletności w krótkim czasie strwoił na życie wielkopanśkie; odąd żył już po cygańsku. Inny biograf (Niewiarowski) wspomina tajemniczo o pewnym epizodzie z lat młodzieńczych poety, że mianowicie, nim wstąpił w szranki hierackie, musiał odbyć „kilkomiesięczne rozkoleje w pewnem dość ciemnem miejscu”.

Na arenie piśmienniczej ukazał się Wolski, jak wszyscy „cyganie”, bardzo wczesnie; już bowiem w roku 1842, gdy miał lat 17, umieścił w „Bibliotece Warszawskiej” przekład noweli Hoffmanna („Don Juan”), ulubionego wówczas u nas fantastyka niemieckiego. Niebawem przyłączył się Wolski do kółka „cyganów”, któremu przewodził Filleborn, i w r. 1843 dał się już po-

masz jako twórca samodzielny; data ta widocznie stała się dlań świętą, gdyż po latach (1859), wydając zbiór poezji swoich, poświęcił je Wolski „przyjaciółom i towarzyszą z 1843 roku”. W roku tym mianowicie ukazały się pierwsze jego poezje w słynnej „Jaskółce” i w „Przeglądzie Naukowym”. W tamtej umieścił kilka mniejszych utworów („Zadumka”, „Noli me tangere”, „Celja” i powiastka „Skrzypee”), w „Przeglądzie”, obok kilku liryków, poemat, który rozgłosił jego imię, jako niepospolitego poety. Był to „Ojciec Hilary”, powieść kapłana z grzechów całego żywota; wpływ „Gaiura” Byrona nie po raz pierwszy w nim się uwydatniał; — poprzedził go „Mnich” Słowackiego, poprzedził ks. Roman Mickiewicza. Przyjęła młodzież ówczesna z entuzjazmem; odrazu uznano go za utwór programowy całej grupy, t. j. „cyganerii”. Wyraził w nim Wolski dobitnie, a nawet jaskrawo, tendencje społeczne tej młodzieży, jej gorący demokratyzm. Jest to utwór prawdziwie młodzieńczy, niedojrzały pod względem ekspresji, ale z talentem napisany. W „Ojcu Hilarym”, jak w społeczeństwach mu głównych również wierszach Wolskiego „Zapał”, „Liszt”, „Fantazja wieczorna”, „Genjusz”, („Duch”), odbiły się doskonale, z jednej strony namiętne, burzliwe usposobienie ówczesne poety, z drugiej gorączkowe porwy i marzenia całej tej szlachetnej, ale nierównoważonej młodzieży, w której gronie Wolski się obracał. W kilkanaście lat później, w przedmowie do zbiorowego wydania swych „Poezji” (1859) Wolski krytycznie już spoglądał na te stwory, ale skupił je razem pod nazwą „Początkowych poezji”, „stworzonych jeszcze przed dwudziestym rokiem życia”, nie w nich jednak prócz kilku wyrazów nie zmienił, „żeby (jak się tłumaczy w przedmowie) nie zacierał śladów tej wrażliwości, nie tamować żadnego, gwałtownego popiechu myśli, nie osłabiać jaskrawego koloru i wszystkich innych charakterystycznych niedokładności młodzieńczego utworu”.

„Ojciec Hilary” ukazywał się w tym samym czasie, kiedy Kraszewski rozpoczynał cykl powieści ludowych („Ulana”, „Historja Huski” 1843), w których tak wyownie występował w obronie podwierzanego chłopca. W ślady Kraszewskiego i Wolskiego później niebawem Żeligowski („Jordan” 1846), a wszystkie podejmują i rozwijają dalej myśl demokratyczną, rzucaną już przed rokiem 1840 przez wielkich romantyków (Mickiewicza w „Dziadach” II i „Bieszczadzkiego w „Zamku Kanowskiem”).

W późniejszych swych utworach, na ten sam temat nieporadnego stosunku panów do chłopów osnutych, Wolski, dojrzałyśszy dobowo, nie wyraża już swego demokratyzmu w sposób tak jastrząży, jak w „Ojcu Hilarym”; poematy te to: „Polska”, „zaczynająca niby myśl, rzucaną w „Ojcu Hilarym”, współczesna mu jest względem pomysłu, pod względem obrobienia znacznie późniejsza i spokojniejsza” (Wolski w przedmowie), i „Halka”, „pa-

¹⁾ Inne źródła podają jako miejsce urodzenia Pułtusk, a jako datę rok 1825. Ta data wyminiałaby z wiadomości, podanej przez samego poe-
 ta w przysięgu do powiastki „Korepetytor”, że napisał ją w 19 roku życia
 w r. 1844.

niałka z tejże samej epoki młodzieńczej", w trzy czy cztery dni napisana; pierwotnie miała być poematem jakby odpowiednikiem „Ojca Hilarego”, ale zamiast poematu napisał libretto dla opery Moniuszki, do którego treść zacierpnął podobno z jednej ze „Starych gawęd” Wójcickiego. Wolski z zadowoleniem podkreśla, że jego „zdnie libretto” nie mogąc rościć prawa do żadnej wyższej wartości artystycznej, dokazał jednak swojego. Skupiając w siłki taki dramatyczny tryty główne żywioły muzyki rodzinnej, kościelnej, szlacheckiej i ludowej, zdołał natchnąć naszego Moniuszkę do muzyki“.

Wolski, choć cygan, nie unikał, jak Zmorski, ówczesnych wykwintnych salonów literackich (Nakwaskiej, Luszczewskich), ale najchętniej przesiadywał w domu Wilkońskich, gdzie zbierało się kilka literatów, a między nimi i cyganeria (Dziękowski, Wolski, Niewiarowski, Kenig, Miniszewski); kółko to przeważało się „cechem głupców” i miało swój organ, redagowany przez Wilkońskiego, — „Dzwon Literacki”; pisał do niego i Wolski (od 1846).

Na wieść o śmierci Chopina Wolski utworzył fantazję p. t. „Fryderyk Chopin” (1849) (Bibl. Warsz. 1850, II), najdoskonalszy niewątpliwie pod względem artystycznym utwór swój poetycki, wrażliwy na muzykę, Wolski niejednokrotnie próbował ilustrować słownymi pomysły dźwiękowe: jedną z pierwiocin jego poetyckich była pełna ognia fantazja p. t. „Liszt”, pod wrażeniem koncertów tego mistrza w r. 1843 w Warszawie utworzona; do tej kategorii utworów należy też „Ostatnia myśl Webera”. Odwrotnie, liryki Wolskiego niejednokrotnie natchnęły kompozytora, który tłumaczył je na język tonów (wśród nich Dobrzyńskiego, Komorowskiego, Moniuszki); ułożył też libretta do dwu oper Moniuszki („Halka”, „Hrabina”). W fantazji „Fryd. Chopin” charakteryzuje Wolski poezję tonów twórcy nokturnów i różne jej rodzaje, które mu nasuwają w wyobraźni różne obrazy; jak dalece tego rodzaju „tłumaczenia”, czyli szukanie treści konkretnej w utworach muzycznych, jest dowolne, dowodem tłumaczenia marsza pogrzebowego; dźwięki jego przejmujące nasuwają inne całkiem obrazy drugimi tłumaczowi — Ujejskiemu. Ale jako fantazja, jako poezja, jest poemat Wolskiego utworem pięknym; odczuł w nim poeta głęboko właściwy charakter muzyki Chopina, tego „mroku śpiewaka”, „który kiedy się rozśmiejże, to jak za pokutę, a kiedy zaśpiewa, to na smutną nutę“.

Ogłosiwszy poemat w rodzaju gawędy, udatny pod względem formy, „powiastkę”, p. t. „Wielki pan” (1852), Wolski w dziesięciolecie po r. 1850 oddał się już wyczerpie niemał twórczości powieściowej. Zaczął od mniejszych powiastek i noweli. W pierwszych próbach, współczesnych jeszcze pierwszym porywom poetyckim z przed 20-go roku życia, szedł Wolski w ślady fantastyka Hoffmanna (są to „fantazje”: „Skrypcze” z r. 1843 i „Dokończ-

nie powieści” („Korepetytor” z r. 1844; Hoffmanna był w tych latach zapalonym wielbicielem, jak całe ówczesne również mi pokolenie; pierwszym utworem, który oddał do druku, był, jak widać, przekład jednej z powiastek romantyka niemieckiego. Kilka jego szkiców powieściowych i opowiadań ukazały się następnie w czasopiśmie, jeszcze przed r. 1850, jak „Półwiata, półcenie” napis. w r. 1844), jak „Kubus Kuluski i hrabianka Józia“.

Po r. 1850, oprócz szeregu mniejszych „powieści i opowiadań”, ogłoszonych w dwu serjach (1851—58), z których najlepsze są „Czarna wstążka” i „La Kaczuczka”, napisał Wolski kilka powieści większych, jak „Uśmiech losu” (1856), „Balakharz” (1858) i „Domek przy ulicy Głębokiej” (1859). „Domek przy ul. Głębokiej” jest jego najlepszym utworem powieściowym, pisany pod wpływem Dickensa. Jest to pierwsza powieść nasza, poświęcona odzwierciedleniu życia mieszczan naszych, sfer ziemianiejszych; wprawdzie wyprzedził Wolskiego już pod pewnym względem Korzeniowski w „Krewnych”, ale uczynił to epizodycznie tylko; Wolski, współcześnie niemal z Romanowskim, twórcą pierwszego poematu w naszej literaturze, osnutego na tle życia mieszczańskiego, dał nam obraz na szerszą skalę i realistycznie malowany z życia naszych rzemieślników. W przedmowie sam znaczenie pod tym względem swojej powieści podkreśla: wprowadził do niej „kilka tygodni z warstwy niższej mieszczaństwa warszawskiego, której charakterystyczne cechy znikają coraz bardziej, oraz kilka postaci, brnących się w niższych sferach miejskiego mrowiska” — „A chociaż linii powieściopisarze brali już przede mną z tejże samej warstwy aktorów do swoich kompozycji, nie naznaczając im wprawdzie ról tak głównych i szeregówłowych.” — „W zachodniej Europie, gdzie stan miejski pracowity linie ma, niż u nas, znaczenie, utwory, w których on głównie występuje, coraz są licześniejsze, a między innymi olbrzymi talent Dickensa utworzył już tyle dzieł znakomitych w tym kierunku. U nas wywołanie takich postaci będzie zawsze pewnym rodzajem odrębności i nowości, bo choć nawykliśmy i widzimy, tak na obrazkach, jak w powieściach — chałę barwą, malowniczo strój chłopka, śpiew dziewczuchy, idącej z dzbanem po wodę i t. p., — jednak łoskot i warkot warstwu, sprawiane ręce od młota lub raszpli, finansowe zabiegi jakiegoś państwowego kapitalisty, słowem niższe objawy miejskiego życia, wystawiają się nam zawsze bledą w powieści, choćby najbardziej wspaniale, czemś nienazwaną, jakby cudzoziemskim.” — Udało się Wolskiemu uchwycić kilka typów z warstwy mieszczańskiej Warszawy i namalować udatnie kilka obrazków rodzajowych z życia rzemieślników naszych.

Z prozy życia codziennego wyrwały Wolskiemu wypadki lat 1861—63 i natchnęły go do stworzenia kilku pieśni, które zyskały wówczas wielką w kraju popularność, jak „Cielne oko, pewna dłoń”,

„Za ojców, braci, kości bielejące i inne. Wyszyły one w r. 1863 z nutami w Lipsku p. n. „Śpiewy powstańcze”. Próba w kierunku twórczości dramatycznej, pod postacią komediji: „We dworku”, nie wykazała w Wolskim nerwu scenicznego. Był on przedewszystkiem lirycznym; takim jest i w poematach swoich, w założeniach epicznych; brakło mu też wyobraźni twórczej, plastycznej.

Po r. 1863 Wolski znalazł się zagranicą; osiadł w Belgji. To, co ogłosił w ostatnich kilkunastu latach swego życia, ma już cechy upadającego talentu, — zarówno „Promyki”, nowy zbiór poezji lirycznych, jak poemacie „Mosiek”, na wspomnieniach szkolnych osnuty, jak „Fraszka sceniczna” „Mam dwa domy”. Przeszedł już zdrowy, jak pisał, wreszcie ugrzązł w prozie wierszowanej, w wierszykach, drukowanych pod pseudonimem *Agrykoli* w „Kurjerze Warszawskim” w r. 1880. W ostatnich latach utrzymywał się Wolski z pensji miesięcznej, którą mu wypłacał za współpracownictwo jeden z autorów belgijskich, Maurycy hr. du Chastel. Zmógł go wreszcie choroba piersiowa. Zmarł w Brukseli, w szpitalu św. Piotra, w którym był umieszczony staraniem przybywających tam rodaków, d. 6 sierpnia 1882 r. Pożegnał go w imieniu Henryk Merzbach.

BIBLIOGRAFJA.

A) Utwory Wolskiego osobno wydane: „Halka, opera w 2 aktach” (Wilno, 1847); „Halka”, op. w 4 aktach, muzyka St. Moniuszki (Warszawa, 1857, kilka wydań; przedłady czeski, rosyjski i włoski). — „Wielki pan”, powiastka (Warsz. 1852). — „Opowiadania i powieści” („Czarna wstążka”, „La Kaczuca”), Wilno, 1852. — „Opowiadania i powieści. Serja druga („Korepetytor”, „Dobry pijaczek”, „Po północy”, „Pan Zreniczka”, „Ranne odwiedziny”, „Na stopu”). Wilno, 1858. — „Uśmiech losu”, powieść, 3 tomy, Warsz. 1856 (oddruk z „Dziennika Warszawskiego”). — „Domel przy ulicy Głębokiej”, 3 tomy, Warsz. 1859 (druk. przedtem w „Gazecie Codziennej”). — „Bakalarz”, zdarzenie w powieści w 2 częściach (Warsz. 1858). — „Poezje”, 2 tomy, Wilno, 1859. — Mendelson Bartoldi: „Paweł”, oratorjum. Przekład W. W. (Warsz. 1859). — „Hrabina”, opera w 3 aktach, muz. St. Moniuszki, (Warsz. 1860). — „We dworku”. Sceniczny utwór w jednym akcie. Warsz. 1861. — „Śpiew towarzyszyw polskich”. Metz (Warsz. 1861) (nuty z tekstem). — „Głos z Paryża i Genai” (Paryż, 1861). — „Śpiewy powstańcze”. Zeszyt pierwszy. (Paryż, 1863, z nutami) (zawierają: „Przedśpiew, Śpiew towarzyszyw, Marsz 4-go piętra, Modlitwa, Marsz biedaków warszawskich, Śpiewka strzelców, Marsz żuawów, Marsz kosiarzy, Marsz powstańców). — „Promyki”. Nowe poezje

liżyczne (Bruksela 1869). — „Mam dwa domy”. Fraszka sceniczna w 3 aktach. (Odb. z Tygod. Wielkop.). Poznań, 1873. — (Libretto do „Verbum nobile”, op. Moniuszki, nie jest utworem Wolskiego, jak mylnie podaje Estreicher w Bibliografji, lecz J. Checińskiego.) — „Wzrost Wolskiego do Teofila Lenartowicza z r. 1857 podał L. Wajet w Kurjerze Warszaw. r. 1903, nr. 34. — W czasopiśmiech i wydawnictwach zbiorowych warszawskich (w „Jaskółce” z r. 1843, w „Snopku Nadwiślańskim” z r. 1844 i 1845, w „Bibliotece Warszawskiej” z l. 1842—56, w „Przeglądzie Naukowym” z r. 1843 i r. 1845), oprócz wierszy i poematów, zebranych w dwutomowym wyd. wileńskim „Poezji” z r. 1859, ogłosił następujące utwory powieściowe i artykuly, nie wydane oddzielnie: w „Jaskółce” 1843: „Skrzypce”, powiastka; w „Snopku Nadwiślańskim” 1845: „Opowiadania przy kominku”; w „Dziewonie Literackim” z r. 1846: „Półświatła, półcienie eryli kilku ludzi. Szkice ledwo zakończone”, „Pan Pasożycki, redaktor in spe. Wyjątek z 5 rozdziału powieści p. t. Przejście, „Dominek Magnuszewski i jego pisma”; w „Albumie Warszawskim” 1845: „Dokończenie powieści”; w „Gazecie Codziennej” 1848: „Kubuś Kulaski i hrabianka Józia”; w „Przeglądzie Naukowym” r. 1845: „Ant. Czajkowski i jego poezje”, tłumaczenie, ustępów z „Fausta” Goethego.

B) O Wolskim i jego utworach pisali: Marrené: Grupa poetów z r. 1840, Włodzimierz Wolski. „Przegl. Tygod.” 1878. — Łas: Wl. W. „Wędrowiec” 1900, nr. 40 i nast. — Taż: „Cygania Warszawa”. Warsz. 1905. (Bibl. Dzieł Wybor.). — Al. Półkoźcie (Korowiarowski): Wl. W. „Słowo”, 1882, nr. 32—38. — W. Korowiarowski: Wl. W. „Tygod. Powsz.” 1882. — Kotarbiński: Wl. W. „Kłopoty”, 1882, II. — Wilkoński: Moje wspomnienia o życiu towarz. w Warszawie. — K. Kaszewski: o „Wielkim panu” w „Bibl. Warsz.” 1852; — tenże o „Halce” w „Bibl. Warsz.” 1860, II. — Ślesiechowski: Wl. W. w „Byron i jego wiek”, II. — Józefa Anczyca: Grzech poety tulacza „Tydzien”. (Dod. do „Kur. Lwow.”) 1905 r. — Chmielewski: Hist. liter. pol. t. V, 146—152.

A) Zapał

(1843).

(„Poezje”, Wilno, 1859. Tom I.)

Moje marzenia — to szczyty Tatrow;
A moje myśli — to Wisły fala,
Kiedy szalona krami przewala;
A me uczucia, to poświat wiatrow.

Nie pragnę złotych piasku wybrzeży,
Ni spokojnego zacisza w murach,
Bo ma istota zrodzona w chmurach,
A moje czoło w piorunach leży. —

Patrzę na ziemię, jak na skład prochu,
Na który piorun mój chciałbym zwalić,
Rozżarzyć iskrę, pożar zapalić —
I sztandar szczęścia zatknąć w popłochni!

Jak szara Wisła, kiedy w wściekłości
Szydzi z brzegowisk, obala domy, —
Jabym, ciskając gromy na gromy,
Szydził, zabijał, nie miał litości.

A gdyby w moim niszczącym uścisku,
Gwiazda radości nie chciała zabłyszeć,
Wolałbym wszystko pokruszyć i zniszczyć,
A sam ostatni skonać na zwalisku;

Bo me marzenia, to szczyty Tatrów,
A moje myśli — to Wisły fala,
Kiedy szalona krami przewala,
A me uczucia — to poświst wiatrów.

B) Fantazja wieczorna

(1843).

(„Poezje”. Wilno. 1859, t. I.)

I.

Śmiecie się wiatry z tych wyniosłych domów,
W których śmiech pusty, poła zniewieściałoś,
Wstrząsajcie śmiało szyby kryształowe,
W sercu ich panów zamarała już żalosość.
Oni na puchach pustą kładąc głowę,
Nie słyszają jęków i przekłębta gromów,
Śmiecie się wiatry! I czasem śród balów,
Kiedy z wściekłością huczycie przy chatach,
I tam zahuczecie, i dzika pieśń wasza
Niech błędem widmem przeszłości nastrasza,
W nędznych, lecz samą nędzą świętych szatach,
Z balladą wspomnieć i z elegją żalów.

Ale, nie; oni otulą w obłony
Wyniosłe okna, jęk wiatrów przytłumią,
Bo oni tylko tańców znają tony,
A waszych tonów nigdy nie zrozumią.
Może tam jeden znajdzie się młodzieniec,
Może tam jedna znajdzie się dziewczica,
Co postyszawszy głos widma morderecy,
Pierzechnie im z twarzy chwilowy rumieniec,
Uśmiech wystąpi na podłacie lica,
Uśmiech to straszny, wgardliwy, szyderecy!
Kaźde z nich będzie w innej sali stronie
Pogardy wzrokiem poglądać po gronie,
Co ciagle pijąc, huczając w tan chocezy,
Nie pojmie śmiechu młodych marzycieli,
Lecz coraz szumniej, coraz to weselej,
Pijąc i tańcząc — nawet ich nie zoczy.

2.

Jak dźwięki mazura, gdy nuta ponura
Wesoły akordy zagłaszy,
Jak wiatru muzyka szalona i dzika,
Gdy echo roznieśie jej dźwięki po lesie,
Uczucia szaleją w duszy. —

I uśmiech kłamany, i wzrok rozkochany,
I mowa powabna, słodka,
Niewinność wesoła — nie błędnie u zła
Radości znamienienia, pociechy promieniem,
Oddźwięku w duszy nie spotka.

I świetna biesiada, przyjaciół gromada,
Przy starym, męskim kielichu,
I dawne wspomnienia, i młode marzenia,
Gwarzone ochoczo, — ezarem nie oteczaj,
Nie wywołują uśmiechu. —

Uroczę zwaliska, gdzie słońce przeciska
Mdlejące, tęskne promienie, —
Krańnię dumania, gdzie przeszłość odsłania
Ponure widziadło, jak trumnę rozpadłą
Bez życia łowi spojrzenie. —

I pieśni utudne, co przedtem w tak cudne
Osnuły duszę mą sieć,
Odarte szkielety, bez życia podniety —

Tak powab ich cały, jak grodziec zgorzały
Bez duszy, w duszy mej świeci. —

I czemuż poruszę zwiędzioną już duszę,
Rozżarzę ogień w iskierce?
Hej! wichry, świstajcie, zaszumcie, zagrajcie,
A wtedy zaplonie serce. —

I będzie gorące, jak słońce palące,
Straszne jak księżyc w północy.
Hej! wichry, świstajcie, hej, burze, zagrajcie!
A dusza nabierze mocy.

C) Liszt

(1843).

Fantazja.

(„Poezje“. Wilno. 1859, I.)

Twój ton — to niebo! twój ton — to piekło!
Słońce i księżyc srebrzysty, —
Ty tworząc, hucząc melodią wściekłą,
Obwijasz duszę czarów potęgą,
A serce w pas płomienny.

A gdy się nieba z piekami sprzegą,
Gdy jak Bóg trząsas, pomiatasz niemi —
I krąszes plakać, i krąszes szaleć,
I ziębnąć, płonać, ogniem się palić —

O, wtedy dusza ulata z ziemi
Wyżej od gwiazd i od słońca,
I pragnie w niebie z tonami twemi
Bijać w harmonji bez końca!

Twój ton to chmura! twój ton to grom!

Zabłyśka, huczy i wali.
Dęby i głązy — na złomie złom! —
I chwila ciszy

Z hukami zawiei,
Posłyszysz gdzieś wdali,

Jak promyk nadziei
Piosenkę sieroty...

Znów burza, znów jęki...

Przez niebiosa przestworze,
Jak fale przez morza,
Jak gwiazd srebrzyste zaploty
Bieleją duchy —
I słodki dźwięk,
Lekki jak wietlike puchy,
Miły, jak jaśmin i róża —
Omija gromy, omija burze,
Płynąc przez niebiosa przestworze.

* * *

Twój ton — to uśmiech niemej rozpaczki!
To piosenka więźnia z za kraty,
Kiedy dalekie góry zobaczy,
Dalekie łąki i kwiaty.

Nagle fujara dźwięknie za rzeką
I cicho popłuszcza wody...
On łamie krągę knięcą powieką,
Nucąc piosenkę swobody.

Rodzinne lasy, rodzinne łany,
Rodzinne niebo w piosence...
Ale wtem głucho brzękną kajdany
I biedak załamie ręce. —

Piorun na niebie, piorun na duszy! —
Znów cisza — znów piorun i biada,
Co wszystko łamie i wszystko kruszy —
I z nią na wielki przepada...

Głucho jak po pogrzebie
I na sercu i na niebie.

* * *

Mistrzu, na twoje cudowne zakłęcie
Tysiąc uczuć drzemiących w nicości odmieć
Jak kształt przyobleczony w wielkiej myśli ciało,
W tysiąc dźwięków i w tysiąc tonów się przywdziało.

Martwy klawisz uczuciem i życiem oddycha.
 Bo za czarownem dotknięciem twoj dłoni,
 To się spojrzeńniem aniola uśmiecha,
 To ciche łyzy smutku roni.

Jak Prometeusz ciekasz harmonji iskrami,
 To przestraszasz nas burzą, — to pieścisz rozłogiem.
 Ustrojonym twych cudów tonami, kwiatami! —
 To nas bratasz z szatanem, to nas godzisz z Bogiem!

D) Ojciec Hilary

(1843).

Szkie poetyczny.

(„Poezje”. Wilno, 1859, I)

Jako lilja między cierulem, tak
 przyjaciółka moja między córkami
 Salomon, Pieśń nad pieśniami

..... „Chwast podty,
 Com oszpecił gwiazdziste lilji oblicze!
 A chciałem być powojem — chciałem ja jak dziecię
 Przykryć jasną zasłoną w zgłębieniu tajemnicze,
 Chciałem strzec jej — popieścić — i wznosiłem modły!
 I motyl tak bujałem po krzewie, po kwiecie,
 I patrzałem, tonąłem w jej gwiazdy, w jej lica —
 Ależ z tego motyla... martwa gasienica
 Konała, spoglądając w słońce jej uroku.”
 — „Na Boga! w imię Trójcy! co, ojciec Hilary?!
 Jakże usta spienione, jaka wściekłość w oku!
 Kropidła!... gdzie mój brewjarz?... lekarstwo na czary?”
 — „Cicho, martwy ślimaku! — Precz mi, głupcze stary!
 Lub jeśli chcesz, posłuchaj. — Pamiętaj me słowa
 I martwo na papierze martwa przykuj dłonią!
 Może kiedyś biednego mnicha czczej pamięci,
 Jakaś młoda, szalona, zapalona głowa,
 Jak ja oczarowana srebrnej lilji wonią,
 Nie łyżę, to choć przekleństwo na grobie poświęci”.

Ja chłop niewolnik z imienia i rodu,
 Ojca nie znam, a matka żebrawka zgrzybiała,

Psom pana Podczaszego obiady dawała. —
 Ja, ojcie, miałem urząd piękniejszy, dwojaki:
 Byłem zwierzę, na które panicz strzelał z łuku,
 I jak pies pilnowałem pańskiego ogrodu. —
 Bywało, pan Podczaszy przy biesiadzie jakiej
 Przyzwiał zwierzę do nogi dla zabawy gości;
 Natychmiast mnie sadzami mazali chłopaki,
 I zawodząc w jadalnię śród śmiechów rozpuku,
 Śpiewać mi rozkazano — a wtedy ja dziecię, —
 Ja niewolnik, co ledwie marzyłem o świecie,
 Jutem szalał, gryził ręce i język z wściekłości!
 I posmiewisko ludzi — szczyliłem wzajemnie —
 Wykarmiłem ten zaród nienawiści piekła! —
 Odyby tonący błagał ratunku ode mnie,
 Zda się, że z uśmiechem wtrąciłbym go w przepaść.
 I nieraz, kiedy sroga zaskoczyła zima,
 Czarna głodu martwica pogroziła wściekła,
 Jam to niby weselo spoglądał oczyma,
 By ręki nie wyciągnąć, na kolana nie paść.
 Gdy m podrósł potem nieco — siermięgą odziany,
 Stroniłem od szyderców, — i chleb pobutwały,
 Chociaż łyżami w boleści gorzko był obłany,
 Mile jednak smakował, — bo tak mile ze mną
 Przy biesiadzie żabotne jody rozmawiały
 I tak dobra, spokojna, łagodna chochanka,
 Spoglądając weselo z chmur srebrnego wianka,
 Niebo śmiało się do mnie twarzą tak przyjemną.
 Wkrótce matka umarła!! Własnymi rękoma
 Pogrzebałem jej ciało, krzyżem naznaczyłem —
 I wtedy mi byśnęła myśl cicha, kryjoma,
 Ze gorzyc upodlenia już, już wysączyłem, —
 Ze rzucę te łachmany, — świetne barwy włożę.
 Mówił mi to wzrok dziewcząt, co z zajęciem toną
 W wybladłem mojem licu — ale pięknie moją
 Mówił uśmiech litośny, co na ustach płońał —
 I niejedna szepnęła, lecz może przez żarty:
 „Piękny chłopak ten Danił, chociaż tak obdarty”.

Nagle umarł z hulanki stary pan Podczaszy.
 Nyn jego odziedziczyl nas i liczne włosci, —
 Czynli się ulitował srogiej nędzy naszej —
 Czynli że miał w swej duszy więcej szlachetności —
 Poleszył stan nędzarzy, wspierał; — w każdej porze
 Wolny przystęp do niego miał każdy poddany.
 Mnie przez szczególne względy zatrzymał przy dworze

Może chciał mi zagoić dawne luku rany!
Dość, że mnie kazał uczyć księdzu proboszczowi,
A na jegom usługach resztę trawił czasu.
Nibym to był wesoly, — nibym był szczęśliwy!
Lecz niech wiatry zdradzią — wścieklej zakolyszą
Całem wojskiem szumiącym sosnowego lasu, —
I znów polecą huciec i igrać na niwy, —
Niechaj niebo po burzy popieści się z ciszą,
Nagle na jej spokojność piorunem odpowie, —
Tak mnie przyostre słowo, wzgardliwe spojrenie,
Palilo piekłem w duszy, — krzyk straszny, przeklęty
Wyrwał się jak piorun z piersi przyciąniętej,
Gdym wspomniiał dawną wgardę, dawne poniżenie —
Wtedyś uciekał w lasy, i jak dawniej płacząc
Chciałem wściekłość pokonać, osłodzić, usmieryć —
W sercu tak było próżno! — zapelnić je chciałem,
Choć piorunem, — piorunem, nie bój się uderzyć! —
Choć grzmotem, — błyskawicą, — szalałem, szalałem!!
Ale czegoż pragnąłem i tęskniłem za czem? —
I jakby przesycony nauki mamiłdem,
Jak starzec, sam dla siebie i ludzi obrydłem; —
Ja chłop i dziecko — ale to chwiliwo!
Znów mnie z światłem godziło jedno dobre słowo,
Jeden rozkaz łagodny, — dla mnie było dosyć.
Wtedyśm długo, długo pogardę mógł znieść,
Pókiy szatan w duszy nie rozlitł znów żaru!

E) Fryderyk Szopen

(1849).

Fantazja.

(„Poezje“, Wilno, 1859, II.)

1.

Czy słyszyście z pod dłoni kobiety namiętej
Pieśni jego rozkoszne i dziwne uroki? —
Czy widzicie w jej oczach ten ogień głęboki,
Jakby obłęd pałacy, a jak wiara smętny?
Czućcie, jak w tej nagłej i mistrzowskiej nucie
Nietylko tonów przemoc duszę jej podbiła,
Lecz inne, nowe jakichś powstaje uczucie,
Jak krzywda bolejące, głuche jak mogiła?

2.

A tony się płaczą, jak siecią pajęczą.
Dokoła nas wiążą wrażenia nitkami;
I śmieją się, płaczą, i tęsknią, i dźwięczą.
Drżą w uchu, lśnią w oczach i nikną nad nami,
Lecz w sercu zostają. Uśmiechem prorocтва
Daleką gdzieś palmę wskazują w pustyni:
A potem jak w oczach namiętej mistrzyni
Drżą żalem tęsknoty, wrą bólem siercowa.

3.

... siercowo! — To nie krzyki,
... wskliwszej dźwięki mowy!
... jak odźwięk tej muzyki
... rzewny, pogrobowy.
... siercowo! — To nie krzyki:
... jest prawdy dźwięk niemy! —
... jak odźwięk tej muzyki
... smuty — ale silny.

4.

... cót śpiewać wyrazami?
... muzyka na pamięci,
... wonnei myśl wiencami
... i tak smęci!...
... mazurków wienca zacząć,
... to to wrzeczono balałutne,
... i tak lekkie i dziwaczne,
... i tak smutne, a tak smutne...
... to to dzweczą, co to brata
... z warkocz spłata,
... i z temi piosnki śpiewa,
... i taniec proszą równiennie,
... choć do tańca jest ochota,
... tanecze smutno skłania lice,
... to gdzież tańczyć ma sierota?
... to białym wrtem ktoś jedzie...
... tanecze biegnie, klaszcze w ręce,
... i best zginął na wojence!
... taniec, smutne to mazurki,

Jak ta matka, co dla córki
Na weselo przystrajala

Białą suknię. Lecz martwica
Wnet poczuła — i zatrula
Tęm śmiertelnym córki lica,
Matka białą suknię szyła,
Toteż w białą przystroiła
Córki zwłoki — pochowala —
Śpij, śpij cicho — lijo biała!

5.

Teraz brzmi ów tańca dźwięk,
Co i w czapkach go tańczono:
Co na zwrocie w szablę szczęk,
Pas podjęto, was kręcono!

Już się smują pary tłumne,
Wygolone głowy dumne,
Was sumiasty, lub ze szwedzka,
Ale mina jak szlachecka,

Ze kto nawet u kielicha
Jej nie pozna, to zje licha!
A tu przy nich tanecznicze

Tak rude,
Tak rzewnością tęchnące lice,
Choć w robronach, tak swobodne!

Połoneżów jednak tony
Czasem tworzy dziwaczniejsze!
Mazur smutny, rozżałony,
Te bolesne, pośpejniejsze.
Jakby dworek moźzewiowy,

Niski, stary, pochylony;
 A na ganku od ogrodu
 Siedzi starzec pogarbiony,
 Z szramą podłuż łysej głowy
 Patrzy w krwawy blask zachodu.
 A tam, tam, ku zachodowi,
 Wiejski kościół stoną kryty.
 Dalej ementarz i krzyż whity
 Tu i owdzie. A starcowi
 Czoło marszczy się powoli,
 Gdy zachodu barwy chyże
 Zrumieniły czarne krzyże.
 Jakby mówił: Jam sierota!
 Krzywda losu czeka boli.
 W te-m ementarza proste wrota
 Zawiół syna mego zwłoki, —
 Drugi gdzieś tam w świat szeroki
 Pierzchł i zniknął; zginął trzeci.
 Starzec! krzywdę mam bez dzieci.
 Jeszcze jakby z ust sędziwych
 Wyszło kilka skarg za żywych,
 Ale w niebo spojrział stary
 I zaplaakł — pełen wiary.
 Wtem chłopczyzna z jasnym
 [włosom
 I oczyma niebieskimi
 Wbiegł — i zaczął srebrnym
 [głosem
 Nucić piosnkę. — Starzec z ziemi
 Znowu podniósł wzrok ku
 [niebu, —
 I tak słuchał piosnki wnuka,
 Jak rozrywki to się szuka,
 Kiedy wróci się z pogrzebu.

7.

A słyszy się marsz żałobny?
 Dzwony dźwięczą śpiew przed-
 [grobny
 I karawan z wolna sunie,
 Ten, co go to dają biedzie.
 Na nim trumna, a na trumnie
 Pałasz z czapką w krzyż złożone,

A za trumną nikt nie idzie;
 Niebo szare, zachmurzone. —
 Ani trąba nie uderza
 Wojennego marszu dźwięki,
 Ani matki, braci jęki
 Nie zatęsknią na mogile
 Sieroty — żołnierza. —
 Przecie nagle — ktoś na chwie-
 Wyjrzał z okien pałacowych;
 Jakąś twarz kobiety blada
 Oczu szarych, włosów płowych
 I lza po łzie jej upada.
 Czy sieroctwa współcierpienie
 Znała tego, co chowają?
 Dawnych marzeń, też wspom-
 Dość, że płacze... Dzwony grają

8.

Trzeba pojąć śpiewaka,
 Gdy dla siebie śpiewa,
 I lotem króla ptaka
 Nad te góry i drzewa,
 Nad ludzi skrzydła wzbil!
 A świat pierzecha daleko,
 Jak mgła ranna nad rzeką,
 Jak pył!
 I czasem się zatrzyma
 Gdzieś nad wioską płonącą,
 Dym kłęбами się wzdyma,
 Matki z twarzą cierpiącą
 Do piersi tulą dzieci.
 Płomiem bucha czerwony...
 On w niebieskie swe strony
 Leci.
 Trzeba wpoić się w żalę,
 W młodej duszy rozczary,
 I zrozumieć, że w chwale
 Najpiękniejsza korona,
 Ta, co łzami zroszona
 Ofiary.

11.

Ból, sieroctwo i wiary promieniako
 Przędzę pieśni w żalobnych kwiatów wieńcach zwoje...
 Tworząc postać z tych pieśni, ubrałbym jej czoło
 W gwiazdy wiary, a w oczy wlałbym smutku zdroje.
 Jednakże, by w nich świecił ten blask przenikliwy,
 Ta moc cierpień, uniesień, co uświeca wzrok;
 Usta ubrałbym w uśmiech tęskny i cierpliwy,
 Dniem za nią, przed nią świecił, — a wkoło niej mrok.

12.

Bo to mroku był śpiewak, tak cichy i łzawy,
 Jak od listka akacji drżący cień na ścianie,
 A czasem tak porywy — lecz mało jaskrawy,
 Jak zachodu nad rzeką powolne konanie.
 On swemi marzeniami, on swemi pieśniami
 Wszak o szarej godzinie najmlęj nas pieści;
 On tęsknoty dźwiękami i tęsknoty łzami
 Wypiewał chwilę żalu, męstwa i boleści.
 O! to mroku był śpiewak! Dzień za nim daleki
 Przypominał mu słońca swojego odbyski;
 I ludźt go i niecił, że światłania bliski,
 Lecz mrok wieszczą swojego omroczył na wieki.

F) „Domek przy ulicy Głębokiej”

(1859).

(„Domek przy ulicy Głębokiej”. Warszawa, 1859.)

Wiosnek, synalek wdowy po urzędniku, Gulmańcewiczowej, lokatorki domku przy ulicy Głębokiej, próżniak i wyzykiwacz, batamuci pięknią 17-letnią kowalcówką, Marcysię, córkę gospodarza domku, majstra kowalskiego, Szczepankę, która ostatecznie zaślubiła zamego rzemieślnika. Przez powieść przewijają się różne z życia pochwycione typy; oprócz dodatnich, głównie z warstwy rzemieślniczej: majstra kowalskiego, jego córki, „majstrówny”, właściciela, czeladnika i innych, takie, jak: pretensjonalna „pani kontrolowa”, Barbara z Kalbflejšów Gulmańcewiczowa, jak Jakóbowa, siwutka — jak burak rumianutka babulka, eks-wiwaadjerka, lubiąca „bąbnąć”, jak Kasper M. B. Jabłuszko, pokątny doradca, jak Fidyrykowa, majstrowa owdowiała, właścicielka warsztatu trumaniarskiego, jak „pan porucznik” a właściciel eks-tamburazzo i wiele innych. — Podajemy trzy ustępy, w których autor charakteryzuje głównych bohaterów swej powieści.

.....Niespodzianym tym gościem był gospodarz domku, majster kowalski, Szezezan Szczepaniak, wymyły, wczesany, w długiej granatowej kapocie, białej chustce i kamizelce, z córką panną Marcjanną, całą w bieli. Dźwigiła na tacy opłatk, wódeczkę, śledzie i różne postne przekąski.

— Wielmożna pani Kontrolerowa, a dyc to, mospanie, tak mi radośnie, że pani nami nie pogardziła, jakby mi kie serce miodem posmarował — zawołał Szczepaniak, chwytając jej rękę i wyciskając rozgłośne dwa całusy. Przyjęła je z lukrecjowo litośnym uśmiechem. Cokolwiek milej, ale zawsze litośnie spozrzała na Marcysię, co dotknęła różanemi usteczkami suchych i poźółkłych palców.

— Gwiazdeczka niedlugo zaświeci. Kiedy wielmożna pani pozwoli, połamiemy się opłatkiem dosiego roku — dodał Szczepaniak, oglądając się po schludnem mieszkaniu z gospodarskiem zadowoleniem.

— A za małą godzinę prosimy do nas na dół, przyjdziem po kochaną panią — odezwała się Marcysia.

— Ja to dzisiał trocha niedyspozyt, moja panno Szczepanińska — zaczęła jejmość cedić przez zęby. Marcelek nie pozwolił jej dokończyć i, szepnąwszy kilka słów, wymógł, że się dała udobruchać.

W izdebce, gdzie się odbywały lekcje francuszczyzny, przy stole, osypanym siankiem, wystrojonym w kwiecisty obrus, czerwony, zasiedli do wilji u kowala. Łojowe świeczki płonęły w żelaznych lichtarzach, jađa było aż do zbytku (pod względem ilości gastronomja klas roboczych obfitszą jest od możniejszych), talerze fajansowe, miski w kwiaty, tyłki cynowe, prócz jednej srebrnej dla pani Gulmańcewicz, piwa jak wody. Kowal rumienił się z radości i napoju, a Marcysia głównie z obawy, żeby w czem nie nchybić łaskawej pani, co do nich zajął raczyła. Strywnie jakoś, ceremonjalnie rozpoczęli stukając tyłkami i poruszając szcękami na tej wilji. Gospodarstwo nie

mieli odezwać się pierwsi, Gulmańcewiczowa nie raczyła, Marcelek z wzorowym apetytem zmiatał talerze, zerkaając czasem na Marcysię, zwłaszcza kiedy świeży półmisek przyniosła, bo sama uslugiwała. Paweł przyglądał się jej z wytrwałością godną lepszego losu, gosposia nie zwracała na to uwagi. Wyssiste jego spojzenie tak jednak upoczywje ją ściagało, że skróćte to zoczył Marcelek i jego matka. Wysączala właśnie talerzek lunelku. Skromną buteleczkę tego winka postawiła przed nią przemysłna Marcysia.

— Panno Szczepanińska, masz szczęście, siostrzeniec mój prawie nigdy nie obserwuje nikogo, a wzroku od panny nie odlepia — rzekła z niejakim lekceważeniem do zakłopotanej dziewczynki.

— Musiałeś chyba, Pawle, upatrzeć podobieństwa do kogoś w pannie Marcjannie — wtrącił Marcelek i przesłał necenicy spojzenie uwielbienia tak żywe, jak przed chwilą przyglądał się karpiovi, po którym tylko oście na talerzu zostały.

— Tak jest, podobieństwo!

— Do kogo?

— Nie znalazłcie państwo tej osoby.

— Tośmy się dużo dowiedzieli, jak zwykle od pana Pawła — rzekła jejmość z głośnym uśmiechem, widocznie nakazującą, aby mu zawtórzono.

Jakoż Marcelek, kowal i jego córka natychmiast odezwali się chórem. Pawiovi rumieniec przebiegł po twarzy.

— Czy też ci nie zimno, panie Pawle? Zdaje mi się, że w płaszczu nie przyszedłeś, a pod paltonem nie masz tużurka ani fraka?

— Owszem, ciepło.

— Mama wie przecie, co to za zdrowie żelazne! — wtrącił Marcelek.

— To prawda! ale zawsze trzeba się szanować — dodała po chwili, patrząc jakby litośnie na wytarte paito, pomięty kołnierzyk siostrzenica i zwracając natychmiast oczy na stasowany ubiór jedynaka. Za kierunkiem jej wzroku poszły znowu oczy gospodarza, córeczki i nie mogło im pomicieć się w głosie, skąd siostrzeniec pani Kontrolerowej, brat stryjeczny pana Marcelego, ma taki ubiór i tak jakoś wygląda, że można

było nań patrzeć i rozmawiać śmiało, jakby ze swoim: rzeźmieśnikiem lub rękodzielnikiem, stelmachem, siodlarzem, co najwięcej. Ludzie, odbierający pieniądze od rozmaitych osób za robotę, muszą sądzić o nich koniecznie podług ubioru, a przewija się jednak tylu kupujących, że nie mają czasu zastanawiać się; tylko sobie porównywały w myśli jednych z drugimi. Porównanie mogło tym razem wypaść tylko na korzyść Marcelki. Dla Szczepaniaka wyglądał przynajmniej na panicza, na syna bogatego szlachcica ze wsi, owego summum naleźności na naszej ziemi, a cóż dopiero w oczach córeczki!

Pani Gulmańciewicz, chociaż niedyspozyt, choć się gorzko słodko krzywiła na gościnne zaprosiny Marcysi, jadła jednak wcale niezłe, co się czasem kobietom w jej wieku przytrafia. Nie zaniedbała przytem lunelka, który przecie oddziałal skuteczniej na płynność jej mowy i humorek, ale tylko ona sama mówiła; drudzy z uszanowaniem słuchali. Popłynęły też niezliczone historie o wiljach, o wielkich domach, gdzie była gubernantką, ale o tem nie napomknęła, o wiljach we własnym domu, zaszczyconych obecnością tyłu znakomitych dygnitarzy, o świetnych znajomościach, wykwintnych potrawach, ubiorach i t. p. Nie sympatyzowała niby z tem wszystkim, bo wystawności niby nie lubiła; owszem skromnie, bogoboje życie, to jej cel i marzenie, ale wszystko naumyślnie czy też mimowoli tak nakierowała, żeby dać uczuć, co za ustąpienie łaskawe z jej strony, co za dowód dobrego serca, że przyjęła wilyę u kowala Szczepaniaka, ona, u której kiedyś taki jęgonosć zaledwie śmiałyby stać w przedpokoju. Któryś Francuz powiedział, że niema tak głupiego człowieka, co by nie znalazł głupszego jeszcze od siebie wielbiela. To prawda! Ale niema też człowieka, co by nie potrafił zaimponować drugiemu. Tutaj było to nawet bardzo łatwo, bo tylko przychylnych ujarzmić można zupełnie. Szczepaniak i Marcysia już tych odwiedzin nie pocztytywali za łaskę, ale myśląc o nich z religijną czcią i obawą, nie uważali, jak wzrok i nos dostojnej pani błyszczał coraz żywiej i czepek zaczął się nieco na bakier zesuwać. Wytrawna dwórka spostrzegła jednak wkrótce, że lunelka w butelce zaledwie na parę kieliszków zostało i że sufit zaczął nad nią krążyć bokolwiek.

— Moja panno Szczepańska, czyby nie można lufelka otworzyć albo zakadzić, odór od kapusty strasznie mi działa na nerwy — szepnęła do Marcysi, — ale nie, nie otwierajcie lufelka, będzie cug, a kadzida przysięgam wam z góry, królewskiego kadzida. Odprowadź mię, z łaski swojej, z Marcelkiem, chyba już nie zejde, bo doprawdy, jestem niedyspozyt. Dziękuję bardzo, panie Szczepański. Jak mi będzie lepiej, to bądźcie pewni, że wróce.

— Wielmożna pani Kontrolerowo!

— W naszym wieku trzeba się już szanować, poczciwy majstrze! — dodała z widoczną łaskawością.

— Ach! Jasnie wielmożna pani — odparł jak najpokorniej kowal, kłaniając się po wiejsku do stóp lokatorec. Chociaż mu żal było serdecznie, że odeszła, jakby mu jednak ciężar spadł z piersi i gwałtem prawie zatrzymał Pawła, co chciał wyjść z wujenką.

— Marcysiu! zróbcie no tam z Jakubową arbaty — zawołał do córki, wracającej właśnie z Marcelkiem. W oczkach tak jej coś mile błyskało... nauczyciel sprowadził ją pod rękę ze wschodów. — A harak jest? To dla panów arbaty z harakiem, a ja sobie palnę krupnika.

— I ja krupnik, jeżeli łaska — bąknął Paweł, przyglądając się kolejno Marcysi i bratu.

— Jakiego to krupniku? — skłamał zapytanie Marcell.

— Musiałeś przecie pić gdzie na wsi.

— To zaszkodzi panu Marcelowi, lepiej herbaty!

— Strzeżże mnie Panie! — mademoiselle Marceline, żadnej subiekcji dla mnie, bardzo proszę.

— Nic mu nie będzie, może się napić z nami — dodał Paweł.

— Choroba tam krupnik komu zaszkodzi! A panisko kośbane widać to lubi, oto mi goś, mospanie! — rzekł Szczepaniak, patrząc z koleżeńskim porozumieniem i nieco jednak zdziwiony na Pawła.

V.

Z drugiej izby rozległ się śpiew z kilku głosów złożony, naprzód cichy, potem coraz głośniejszy. Piskliwe i chrapliwe gardło czyich, energicznie wydostające tony, przytłumiało za pełnie dźwięki towarzyszywo.

— Koledzy! ach jak mnie to cieszy, koledzy! Pewno w tamtej izbie ezeladź siedzi przy wilji — zagadnął Paweł.

— A juści! Choroba z tą Jakóbową, huczy jak trąba — zawołał no, żeby gębę zasznurowała.

— A to poco? Owszem, niech śpiewają! Czemu im przeszkadzać — odparł Paweł.

Szczepaniak spojrzawszy jeszcze bardziej zdziwiony.

— Czemuż nie razem z nami przy wilji?

— Albo im tam krzywdzi! Pamięta tam o nich Marcysia i Jakóbową. Nie bójcie się, panowie! Starczy dla nas wszystkich, starczy!

— Czy pan tak lubi, jak śpiewają koledzy? — zapytała, po raz pierwszy Pawła Marcysia, przekonana w duszy, że Paweł nie musi mieć wiele rozumu, albo też podehmiełil sobie nieco.

— Jakto nie lubię kołęd naszych?

— Z mojego brata, trzeba wiedzieć, wielki oryginał — młde Marceline! — szepnęła Marcelka. Na ten wyraz oryginał, uśmiechnęła się nieco panienska, chociaż znaczenia nie rozumiała. Po chwili zagadnęła nauczyciela:

— Co to jest oryginał?

— To taki dobry człowiek, qu'on peut rier de lui — odparł pedagog, dokonczając mimiką wyrażenia.

Panienska uśmiechnęła się znnowu, miała teraz Pawła za człowieka zupełnie głupiego.

— Nie odmówicie nam państwo, jak poprosimy! — zawołał nagle Marcelka.

— O co takiego, o co? — zapytali na wyścigi ojciec i córka.

— Czemu poczciwi ci ludzie siedzą osobno w drugiej izbie? W dzień ten wszyscy powinniśmy być równi. Wszakże to pojatrze św. Szczepan, gdzie każdy sobie pan — mówił żywo,

powtarzając co do joty słowa Pawła, który go o to na ucho poprosił.

— A z duszyć serca, onić przecie zawsze z nami, tego roku przy pani Kontrolerowej nie godziło się. Tylko choroba z tą Jakóbową!

— Chodźmy do nich! — wtrącił Paweł.

— A dyć oni tu wnet przyjdą — odparł Szczepaniak. Kolejąc, podszedł ku drzwiom i zawołał ostro: — Chodźcie tu, chłopaczki, wy małe tatalajstwo wara! Ino wy starsi! Józkie, ruszaj się, Maciuś, żywo, no i wy Jakóbową prędej!

Maciuś, krewniak Szczepaniaka, był to sążnisty chłop. Od chłopaka terminował u majstra i wyzwolił się u niego. Nieco patrzył kluczykiem, twarz miał strasznie ospowatą, cere kółtawą, bez rumieńców, jak wszyscy ludzie pracujący przy ogniu, a choć i ruchy prawdziwie kowalskie, nagle, przyskakujące, jakby zawsze w ręku trzymał obęgi lub młot — i miał uderzyć rozpaloną szynę na kowadle. Pokłonił się gościom śmiało, lecz niezgrabnie — i stanął w kacie, dostając głową prawie do pułapu.

Józkie, ezelandnik stolarski z tego samego domu, faworyt Szczepaniaka, spisywał mu rachunki i utrzymywał ksiązkę siedlunkową. Średniego wzrostu, włosów ciemnych i miękkich, delikatnej cery, rysy tak miał regularne i piękne oczy, że gdyby nie spracowane spore nogi i ubiór niezgrabnie wiszący niepodobna go było na pierwszy rzut oka wziąć za rzemieślnika. Pokłonił się nieśmiało, nieco zgrabnie od Macjusia i zarumienił jak dziewczyna. Po chwili, przyjrawszy się Pawłowi, zbliżył się i całując go pokornie w ramię, zapytał z widoczną radością:

— Czy sobie pan profesor mnie przypomina?

— Poczekajno! A — przypominam, kiedyś dawał lekcje w szkole rzemieślniczej. Józef Sierocki, zdaje mi się. Miałeś zdolności do matematyki i rysunków. Jakże ci idzie?

— A dyć szyje kożuchy, jak może, panie profesorze! — wtrącił Szczepaniak z coraz większym uszanowaniem dla gościa wytarto ubranego.

— Jakto kożuchy?

— A trumny robi, panie profesorze!

— Cóż mnie państwo tak niesłusznie tytułujecie?

— On ma lepszy tytuł, który i ja pewno będę miał wkrótce: pan budowniczy, — wtrącił Marcelek, łowiąc w przelecie spojrzenie uczennicy, promieniejące uwielbieniem.

— A-ność i tanto słuszny tytuł, kiedy oto panisko poczeiwe w szkołach artrymetyki uczyło, bardzo to pięknie młodemu uczyć drugich, mospanie. Józiek galańcie rachuje, a toć to uczeń pana profesora.

— Panie Marcel! jak po francusku pani profesorowa?

— Madame professeuse — cichutko odszepnął.

— To jakoś nieładnie.

— Zupelnie brzydko.

— A pani budowniczoza jak?

— Madame architecture.

— A to pięknie jakoś.

— Zupelnie pięknie.

— A przenajstodsze imię Jezus! Przenajświętsza Panno Sokalska, trzy świece się palą, zgaścież no jedną, panienko! — zawołała, wchodząc nagle, Jakobowa, siviuteńka, czerstwa i jak burak rumieniutka babulka. Niewielkiego wzrostu, ale zato otyła prawie jak ś. p. Andrychiewiczowa, głos miała basowy, chropowaty, watowany czepiec i na szlafroku jupkę wypłowiałemi lisami obszytą, co to czasem noszą stare możniejsze chłopki na wszach, stare mieszczki na prowincji po miasteczkach i u nas niektóre jeszcze przekupki. Obuła męskie buty z podkówkami i stukala niemi aż się szyby trzęsły.

— Oho, widzę, matula jeszcze głowę na karku czuła.

— Aj, nie godzi się tak przed gośćmi kompromityrować mnie, kumie Szczepanie! Delodwi, diwę, ferm la port, prezant arm, uwralaport, mersi, bazar, marsz — rzekła do Marcela, — przykładając po wojskowemu rękę do czoła.

— Skądże jej do głowy przyszły te francuskie wyrazy? — zagadnął Paweł z uśmiechem.

— Krzygnę sobie dzisiaj bąbąęta — odparł kum Szczepan — tylko Raz do roku babinie się zdarza. Niby to pojutrze, widzi panisko, moje imieniny, ale ho — ho ona z pół świata schodziła za wojskiem, była taką karczmarką, jak się to mówi?

— Wiwandjerka.

— Aha! To krewniazczka nieboszezki mojej żonki, wy-

gostowała oto Marcysię, ale choroba gdzie ona nie była. I w Niemczech, i we Francji, i w Ficzpanji. Matulu! byliście w Ficzpanji?

— O pewno, że bylam, to zdaje się we Francji albo też gey Francji. Niechże będzie pochwalony! Niech się dobrodziej nie gniewa, żem pierwę nie przywitała, — ale to człowiek tak się zagawędzi, że i zapomni o świecie — rzekła, zwracając się do Pawła i pocałowała go w ramię.

— Jakobowa myśli, że pan ksiądz — zachichotała Marcysia.

Paweł nie nosił zarostu, włosy miał krótko ostrzyżone, wrostek zadumany i w sobie skupiony, twarz poważną z wyrazem spokoju i uległości, który zawsze prawie cechuje młodszych, świeckich księży, a do tego jeszcze w paltoście czarnym do góry zapiętym, z wąskim wywinętym kołnierzykiem, — i wprawdziej oczy niż Jakobowej mogłyby się pomylić.

— Przenaświętsza Panno Sokalska! Nie gniewaj się je-gomość. Boże mnie skarz, czym w złej myśli powiedziała.

— Nie gniewam się, moja matko! Już mi to nieraz mówi. Ale ponieważ taki podobny jestem do duchownej osoby, wyobraźcie sobie, że to was ksiądz prosi: dokończcie no koledy, oście w tamtej izbie zawadzili.

— Przenajstodsze imię Jezu, czybym też śmiała?

— Pójdziemy i tak na pasterkę do franciszkańów, koledę się naspiwamy — wtrąciła Marcysia.

— A Przenajświętsza Panno! Kłoby tam mógł wyjść na taką zawieruchę. Taki wichur, że ciskałszy jabłko, niewiadomo, stałby pies zaszczekał, ^o choć tam po Bogu a prawdzie Marcełna tych czarów nie potrzebuje.

— Co to wam szkodzi, Jakobowo, zaśpiewajcie; będziemy was wszyscy wtórowali — zawołał śmiejąc się Marcelek i obęąc odwrócić uwagę przytomych od Marcysi, która widocznie zmieszala się i zarumieniła.

— Bien! très bon! en avant! marche! Zaśpiewajcie! Kiedy państwo tak lubicie koledy, to jużci niech paniienka szczyyna!

^o Zwyczaj podczas wilji, tak jak topienie ołowiu i wosku w wilję ze Andrzeja. Dziewczyzna nagryza jabłko i cisła, potem słucha, z której strony pies zaszczeka, stamtąd ona przybje kołhanek i mąż przyszedł.

Po usilnych prośbach Pawła, jakoś nie wywierających wielkiego wrażenia, rozkazie ojca i naleganiu Marcelka najskuteczniejszem, Marcysia powstydzila się, nawzdragata i nareszcie rozpoczęła głosem piskliwym, ale bardzo wysokim

Anioł pasterzom mówił,
Chrystus się nam narodził
W Betleem...

Po tej kołędzie, której wszyscy wtórowali dosyć zgodnie nawet chłopaczki, kowalczyki z drugiej izby, i tylko jeden chropowaty głos Jakóbowej brózdził czasami, kum Szczepan zaintonował: „W łobie leży;” — potem Józiek pieśń Karpińskiego, którą już lud w wielu miejscach śpiewa: „Bóg się rodzi, moc truchleje” — nareszcie na zakończenie Paweł wygłosił „Święty Boże! święty mocny!”

Po tych śpiewach, a zwłaszcza po ostatnim, co nietylko dla tak zwanego ludu wiejskiego i miejskiego, u którego wiara i pobożność jest prawdziwą potrzebą serca, — ale dla wszystkich nas ma urok rzewny i swobodny zarazem, niewidzialne jakby technienie powiało po biesiadującej gromadce, porozumieli się, zbratali. Zwykle tak bywa, gdy myśl jaka, uczynek lub nawet chwilowe uczucie zjednoczą ludzi rozmaitych położeni, odcienie towarzyskie nie znikają, owszem uwłaściwiają się: każdy mniej więcej poczuje się sobą, lecz uzna i odda słuszność drugiemu.

Macius już nie tak niezgrabnie zasiadł do stołika, Józiek ośmielił się parę słów do Marcysi przemówić, nawet w niezna czących oczach Marcelka, zaledwie może nieco filuternych, błysnął promyk szerszy i otwartzszy. Jakóbowa wniosła triumfalnie krupnik.

— A nie zapomnieliście tam, matko, dać krówce i komkom siana i owsa z pod stołu z tamtej izby, boście przecie nasypali?

— Bogać tam zapomniałam. Z Maciusiem nasypaliśmy i dał, kumie Szczepanie! Najedzą się, najedzą bestyjki i przemówią ludzkim głosem o północku. ¹⁾

¹⁾ Znany przesąd ludowy, że bydelko w wilgę o północy ludzkim głosem się odzywa.

— Poczeiwe panisko to to widać i po Bogu i po ludziom. Bóg zapłać, panie profesorze, a choroba... budowniczy! Proszę do nas jak najęściej, kiedy taska... oto może jutro wrócił się kum Szczepan do Pawła.

— Przepraszam, majsterku poczeiwy, nie mogę jutro.

— Nie bójcie się, państwo, starczy dla nas wszystkich, starczy, będzie indyk pieczony. Toć to brat pański, to nasz dobrodziej. Poczeiwy, oto przestaje zapanbrat z prostymi ludźmi, a co uczony, to uczony! Marcysia po francusku tak już perle — perle.

— Po francusku? — zagadnął zdziwiony Paweł, któremu Marcel mówił, że ja tylko uczył pisać i czytać.

Albo to panisko nie wie?! Tak, tak i dzień w dzień na łokci mało dwie godziny siedzi.

Paweł zadumał się i na chwilę nie spuszczał oka z Marcysi i kuzynka.

WILKOŃSKI AUGUST (1805 † 1852)

WILKOŃSKA Z LAUCZÓW PAULINA (1815 † 1875)

Ulubiony niegdys, a i dziś jeszcze nie zapomniany ramotkarski, jeden z najbardziej typowych humorystów polskich ubiegłego stulecia, „chirurg filozofii”, „kawaler krzyża naturalnego”, „Lysine Chudeusz”, „literat od ciemnej gwiazdy”, „członek akademii pancanowskiej”, „kawaler wielkiej gwiazdy szlachetwa” i jak tam jeszcze siebie nazywał ten pisarz, co pod formą lekką, pustą, często rubaszną szerzył szczytne ideały miłości ojczyzny i bliźniego, nie miał August Wilkoński, mimo pozorów bez troski i jowialności, jak to nieraz z humorystami bywa, wesołego życia. Ten, który bawił i śmieszył innych, częściej bywał pod wozem, niż na wozie, życie nie słało mu się po rózach, lecz szło, jak po grudzie, grząc raz po raz wykołojeniem na kamieniach i wybojach polskiego bytowania politycznego i literackiej biedy.

Urodził się Wilkoński w dn. 28 sierpnia 1805 roku w Kąkolewie pod Lesznem w Wielkopolsce. Uczył się zrazu w domu, potem w gimnazjum w Poznaniu, a od r. 1826 do 1828 uczęszczał na uniwersytet wrocławski. Chociaż wykształcenie odebrał niemieckie, do filozofii niemieckiej przekonał się nigdy nie mógł, a i polskim heglizmem, gdzie mógł, łatwo przysypiał. Zaledwie w sześć lat młodzieńcze, zaczyna się burzliwy okres jego życia, zaczynają się tarapaty, przepawy z policją i sądami. W r. 1828 ująwszy się za swoim przyjacielem, T. Koszutskim, wyzwał i ciężko zranil w pojedynku oficera pruskiego, za co wytoczono mu proces karny. Jeszcze nie ukończyła się sprawa, a już widzimy przyszłego humorystę na innym, szerszym polu walki: w r. 1831 wstępuje do wojska polskiego. O udziale swoim w kampanji tego roku tak sam opowiada: „Pod Grochowem niósł chorągwie z napisem: „za waszą i naszą wolność”, pod W. Dębem zabrał, pod Igłaniami zagwoździł działą, pod Ostrołęką, ciężko ranny, dostał się do niewoli, z której uszedł, iżby na okopach Woli spaść ogień morderczy”. Pod Igłaniami dostał kulę w nogę, przy kościele wolskim otrzymał postrzał w głowę i powtórnie dostał się do niewoli

której, jako tako uleczony, z nie wyjętą kulą w głowie, którą odpuszcza po trzech latach usunięto, wyędzinały, uszedł z Królestwa z strony rodzinnej. Teraz spotyka go uśmiech losu. Pewnego razu w hotelu *Pod złotą kulą* w Poznaniu grono wesołej młodzieży Wilkońskim na czele zabawiło się wesoło głośną deklamacją, przemową, naruszając spokój rezydujących w sąsiednim numerze pana pań. Dowiedziawszy się o tem, Wilkoński pobiegł przeprosić pana pań za halas. Stąd wywiązała się znajomość: była to pani Łauczowa, wdowa po Karolu Łauczu, naddzierżawcy dóbr rządkowych swarzędzkich pod Poznaniem, z 16-letnią córką Pauliną, nowoczesną inteligentną i uzdolnioną, choć nie posiadającą wyższego wykształcenia, jakiego nie mogły jej dać ni lekтура i wykładanie domowe, ni pensja w Poznaniu. W dwa tygodnie potem August był już z wizytą u pani Łauczowej na wsi o milę od Łoszanina, a wkrótce zaręczył się z Pauliną, mimo oporu jego rodziny, której nie dogadzał nazbyt młody wiek narzeczonej.

Tymczasem groził Wilkońskiemu dawny proces o pojedynek, który o uczestnictwo w r. 1831: otrzymał wyrok surowy, na 12 lat twierdzy. Poślubiwszy Paulinę, spędza z nią miodowe miesiące w więzieniu. Po czterech latach dopiero uzyskał Wilkoński uwolnienie i udał się z żoną na wędrownkę po zagranicę. Ta podróż to chwila narodzin twórczości Wilkońskiej. „Tęsknota do domu rodzinnych — jak sama mówi — spowodowała, żem się w obojętnie wzięła do pióra. Nie mając towarzystwa, stworzyłam w sobie w wyobraźni i przenosiłam te postacie i obrazy na papier. Pisałam na każdym nocelegu, na każdym popasie — i tak się ukleiła pierwsza powieść moja, „Helena”. August spoglądał na mnie z uśmiechem: czytywałam mu moje rojenia i był zadowolony, żem znalazła lekarstwo na chorobę tęsknoty”. August był zawsze dumny z talentu swej kochanej „Puchny”, jak ją pieszczołiście nazywał, a potem, podczas pobytu w Warszawie, zabiegał o zamieszczanie jej utworów w pismach i wydawnictwach zbiorowych, przesyłał jej ksiązki w upomniku swym dostojnym przyrodzonym, np. Kraszewskiemu; ona zaś nawzajem słała mu do drukowania i łagodnością ciężkie nieraz chwile życia. Ale do drukowania przez młodzieńcką literatkę nie zaraz jeszcze przyszło, a „Helena” wraz z drugą powieścią, „Wróżką”, ukazała się dopiero w r. 1855 w Lublinie.

Około r. 1835 Wilkoński przybywają do Królestwa, jakis czas mieszczą u braterstwa, Klemensostwa Wilkońskich, w Górznie u wuja Zadolskiego we wsi Bąkowcu; potem August bierze w dzierżawę należącą do dóbr sieciechowskich wieś Garbatkę w Bandomierskiem, pod Czarnolasem, a potem wieś Tyniec, o dwie mile od Radomia. I tak mając im cztery lata. Gospodarstwo szło mu jak kulawo, jako że Wilkoński, człowiek wesoły i towarzyski, wspaniałej jeździł po sąsiedztwach i przyjmował gości, zbierając wzorki

do przyszłych swych rametek, niż pilnował gumna i spiechlersa pani Paulina zaś czas, zbywający od obowiązków życia towarzyskiego, poświęcała lekturze powieści George Sand, „czarowne pióro nakreślonych”, i romansów angielskich, których ton sentymentalny przypadał jej do smaku. Tak oboje przygotowywali się do przyszłego zawodu literackiego. Jako rys dodatni August należał zaznaczyć jego serdeczny stosunek do chłopów, który był ojcem i opiekunem, dając wrót okolicznej szlachcie. A dzięki dziawczy się o ciężkim położeniu materialnym swego dawnego nauczyciela, J. F. Królikowskiego, autora „Prozdy polskiej”, W. Koński pojechał po niego do Warszawy, wyszukał go i zabrał z sobą do Garbaltu, gdzie stary profesor bawił przez trzy kwartały. On to podobno zachęcił Paulinę do wytrwania w elementy piśmiennictwu: jak świadczy Wójcicki, „czytała mu pierwszy swój utwór, „Hełena”, a on zachęcał ją, by na nie domowego typu osnuwała utwory, i widząc ją zajęłą obowiązkami gospodyni białoszyjącej czepceczek, siadał i z uśmiechem pytał, którą bohaterkę lub bohatera ma na myśli.

W roku 1840 widzimy już oboje Wilkońskich w Warszawie i oddaj zaczyna się nowy okres w ich życiu, poświęconem od tej chwili wyłącznie pracy literackiej. Kierunek myśli i pojęć zbliżyli August do umiarkowania postępowej „Biblioteki Warszawskiej”, którą właśnie zakładał w r. 1841 Antoni Józef Szabrański, późniejszy tłumacz „Pieśni o Nibelungach”. W tym pierwszym właśnie roczniku nowego miesięcznika znalazła się słynna ramotka, pierwszy z ich długiego szeregu, „Wspomnienie szkolne”, a za nią pozostała, budząc przeważnie zajęcie i jedyną swemu autorowi respektującą famę pierwszego w kraju humanisty. Kiedy w r. 1844 objęła redakcję „Biblioteki” przyjaciel Wilkońskich, K. Wl. Wójcicki, ramotek zaczęło ukazywać się w ten piśmie coraz więcej. Jednocześnie bierze chrzest druku i pani Paulina: pierwszą jej powieścią, p. t. „Zastana księżniczki Elzy Radziwiłłówny”, drukuje wydawany pod redakcją Pauliny Krakówcei i wypełniony wtyczkami utworami piór kobiecych „Pierwiosnek”, drugą, „Rozyne” — „Biblioteka Warszawska”, dwie następne, „Ucieczka” i „Anne” — „Echo”, C. Chojeckiego, dodatek literacki przy „Gazecie Warszawskiej”. W r. 1841 ukażal się pierwszy zbiorek jej powiastek, p. t. „Wiosna i miasto”, w następnym roku — dwutomowy zbiorek „Powieści i osobno, „Hanna z Grzymałowa” i „Natalia”; po nich przyszły nowa powieści i opowiadania, przyjmowane przez krytyków dość chłodno, ale dobrze odzwierciedlające nastroje i pojęcia dawnej kół umiarkowania postępowej między rokiem 1840 a 1848: to więc występowała Paulina przeciw przesadom kastowym, broniła godności ludzkiej przeciw konwenansom świata, pragnęła względności dla chłopów w postaci ożyszczowania i zaradczą opiekę ze strony dworu, ochronki, szpitala, szkółki wiejskiej i t. d. Umie-

niając jej stanowisko w sprawie emancypacji kobiet nie dozwolono jej zbliżyć się do grona entuzjastów i entuzjastek, z których „wspomniaciami” nie sympatyzowała. Pierwszy cykl „Ramoł i ramotek” Wilkońskich, w czterech tomach, i jedyny przytem za życia życia, wyszedł w r. 1845—6 w Warszawie, złożony z utworów drukowanych w „Bibliotece Warszawskiej”, której kierunkiem bliżej mu zrazu dogadzał. Nienawidził wprawdzie „ukraińskich nauk katolickich”, w rodzaju Grabowskiego, Rzewuskiego, Matuszewskiego, „rystokratów, jezuitów ukraińskich”, którzy „podług rodowych przyczyn enych wieki średnie, przez ludzką ślepotę, z wyobrażeniem feudalizmu, barbarzyństwa i elementy tyranii a niegodnie wskresić usiłują”, i „hanlebných zasad” wstecznych pani Ziemeckiej, z której w listach drwi niemiłosiernie, ale i wybitnie owocną warszawską lewicę literacką, cyganerie: Skimborowicza i „rydakami” Zmorskiego, których nazywa „trutniami”, „hulajdą” „błaga Szabrańskiego”, za to, iż ośmielił się krytykować „Bibliotekę” „błaga Szabrańskiego, by mu utworzył tany dla ostrej polemiki i gniewa się na „cygańskie paszkwile”. Ale już pod koniec listy i ostygł dla „bibliotekarzy”, gotów był wejść w porozumienie z „Przeglądem naukowym” Skimborowicza, a o jego głównym słarze, gorącym demokracie, Edwardzie Dembowskim, wyrażał się jako „najszlachetniejszych z współczesnych”. Czas, który od zajęć literackich, pochłaniał Wilkońskim, jak niegdyś od swego życia towarzyskiego. Pani Paulina w ciekawych niezmiernie „listach wspomniacich o życiu towarzyskim w Warszawie” (Warszawa, 1871), daje wymowny obraz tego wiru zabaw towarzyskich, zebrań, przyjęć w salonach literackich, w którym znalazł się oboje małżonkowie w Warszawie. Piątki u pani Karpowicz z Lipnickich Łowickiej, niedzielni u Niny Luszczeńskiej z produkcyjami utalentowanej improvisatorki, młodziczki Deotymy, wczasy u Kazimierzostwa Wójcickich, niedziele u państwa W. A. Wójcickich, wreszcie przyjęcia u nas” niemało zabierały drogiego czasu. Zato poznali całą owocną literacką Warszawę. Wprawdzie, co zaliczono się do inteligencji stołecznej, przewija się w tych wspomnieniach: J. I. Kraszewski, H. Rzewuski, A. Szabrański, K. Wl. Wójcicki, W. A. Maciejowski, J. D. Minasowicz, M. Bakula, F. S. Dmochowski, O. Kolberg, J. Kremer, H. Lewestam, J. Czajkowski, Karol Baliński, A. Muzekowski, St. Jachowicz, Fryzyski, J. Paszkowski, Dominik Szulc, Al. Niewiarowski, Antoni Lipiński, J. B. Dziekoński, Romuald Podberski, Hipolit Kucharski, Edward Dembowski, Dominik Magnuszewski, Edm. Dembowski, Edward Żeligowski, Cyprjan i Ludwik Norwidowie, Teofil Matuszewicz, Roman Zmorski, S. Filieborn, Narcyza Zmichowska, Władysław Wolski, Kornel Ujejski, Deotyma, Felicjan Faleński, Jan Pflug, Wacław Szymanowski, artyści, ziemianie, dawni urzędnicy, dawni wojskowi, cały ten długi szereg postaci, reprezentu-

jących najróżniejsze obozy polityczne, społeczne i t. d., spotykano w tych „Wspomnieniach”.

Znajdując sympatię i uznanie w licznych kręgach czytelniczych, szczerze i wesoło bawiących się coraz to nowymi ramotkami, sam szerzej nie mógł nie mieć kłopoty. Wiecznie potrzebujący grosza, nie umiający stosować normy wydatków do nieregularnych zresztą dochodów literackich i zapomóg, jakie otrzymywał od redakcji, wpadł Wilkoński w szpony lichwiarzy żydowskich. Często nie było wprost na obiad i nieszczęsny ramotkarz zmuszony był pisać drwiąco-lżawie supliki do redaktorów o pożyczkę lub zaliczkę, lub w rozmiarach — rubla czy „pięciu złotych”. Gorzej jeszcze bywało, że Wilkoński krył się pod obcym nazwiskiem w Hotelu Saskim, by nie paść ofiarą wierzycieli, którzyby go chętnie na Leszno zobaczyli w więzieniu dla niewypłacalnych dłużników na Lesznie. Plany wydawania własnego czasopisma narazie zawiodły: w r. 1844 zamierzał wydawać Wilkoński dwa tygodniki ilustrowane, z których jeden miał być „Upiór Literacki” i „Dziennik dla kobiet”; zawsza nie katurami, mówił stałe współpracownictwo znanego sobie wówczas w literaturze z korespondencji Kraszewskiego, poprosił Cyprjana Norwida o wstęp do tytułową, przygotował do druku kilka numerów, ale ostatecznie władze przypomniły sobie jego udział w powstaniu, jego polityczne dynek i odmówiono mu koncesji. Tymczasem, by zaspokoić swój potrzebę swobodnego, nie pod cenzurą, wypowiadania swych myśli, zgromadził on w Wilkońskich, zawiązał na Lesznie grupę literatów, bawiących u Wilkońskich, zawiązał do stowarzyszenia dawnych wolnomularzy i „szubrawów” wileńskich, stowarzyszenia p. n. „cechu głupców”, którego Wilkoński był prezesem, ze stałym i uczonym „nagłupszego”: na zebrania przynoszono hasła, reski, anegdoty i t. p., które odczytywano wspólnie. Ale w r. 1849 w obawie rewizji, zniszczono całe to cenne niewątpliwie archiwum. Z tych zebrani wyłonił się „Dzwon Literacki”, redagowane przez Wilkońskiego wydawnictwo perjodyczne, którego w okresie 1846—1849 wyszło 6 tomów (oddział pierwszy zawierał cztery tomy, oddział drugi — z zamierzonych czterech — tylko dwa). Najbliższymi współpracownikami Wilkońskich w redagowaniu „Dzwonu” byli J. B. Dziekoński, T. Lenartowicz, Wł. Wójcicki, J. Kenig, Walenty Zakrzewski, A. Niewiarowski, Józef Cwielonkiewicz, H. Lewestam, Ludwik Zejsner, Józef Paszkowski, Wł. Maciejowski, Piotr Dubrowski, prof. Jastrzębowski, Wł. Dębowski, Karol Bachman, Oskar Kolberg, Feliks Zochowski, dr. Dębski, rzeźnik, Julian Bartoszewicz, Kar. Baliński, Michał Muczkowski, Seweryna Pruszkowa, honorowi redaktorowie: K. Wł. Wójcik, Karol Witte, Antoni Lesznoński i inni. Ci też autorowie współpracowali swymi pracami naukowymi, literackimi, sprawozdawczymi i t. p. z zeszytami „Dzwonu Literackiego”. Sam Wilkoński zamieścił tu, poza kilkunastu ramotek, kilka sprawozdań, a raczej notatek o ukazujących się świeżo wydawnictwach (m. inn. o „Kolekacji” Kras-

zewskiego, o „Jordanie” Sowy Żeligowskiego, pani Paulina — kilka obrazków i opowiadań. W końcu drugiego tomu drugiego oddziału „Dzwonu” czytamy następujące zawiadomienie od redakcji: „Z powodu nieprzewidzianych okoliczności” oddział drugi zawierał jedynie tylko 2, a nie 4 tomy.

To „nieprzewidziane okoliczności” to druga przełomowa chwila w życiu naszego humorysty. Niedość mu było biedy literackiej; niedość niechęci towarzyszów po piórze (Kraszewski np., którego Wilkoński poznał wreszcie osobiście podczas jego pobytu w Warszawie w r. 1847 i któremu poświęcił popularną tamotkę p. n. „Kraszewski w Warszawie”, miał do niego ukryty żal za niechęć pochlebne recenzje w „Dzwonie”); niedość żywej nieprzyjemności tych, którzy byli osmieszeni lub bali się być osmieszonymi w ramotkach: tak np. w r. 1844 Wilkoński zażądał od redaktora „Biblioteki Warszawskiej”, Wójcickiego, zwrotu rękopisu jednej z ramotek, pisząc przytem w liście, co następuje: „Dość już mam nieprzyjaciół i nie chcę liżnej rodziny Durniewskich przeciw sobie wywoływać. Po napisaniu artykułu o Oslikowskich i odebrałem od nich mam jeszcze na pamiętkę arkuszone bezimienne paszkwile! Niechajby się teraz Durniewscy z Oslikowskimi połączyli, mógłbym napisać w jakowe nieszczęście, bo *ne Hercules contra plures*. Proszę więc, zwróć ową ramotę — napisz inną o Hotentotach”. Trzeba było nowej sprawy politycznej i nowego uwięzienia, by tem więcej pogłębić nieszczęsnego ramotkarza.

Wilkoński, nie sprzyjający krąco wymiarami dążeniami społecznymi i państwowym, chociaż pełen szacunku dla Edwarda Dembowskiego, nie był od działań konspiracyjnych. Aresztowanie jego było wprawdzie dziełem przypadku. W r. 1848 przybyła do niego pod obcym nazwiskiem niejaką Józefą Majchrowieczówną, trochę awanturnicą, trochę manjaczka. Podawała się za wdowę po oficerze rabacji 1846 r., kaszała się wozić to do Suwałk, to do Siedlec, a kiedy ją potem, przyrzucając po Królestwie bez widocznego celu, aresztowano, powieściła, że przywoła Wilkońskiemu do Warszawy proklamację ogłoszoną we Lwowie spisowką, Teofila Wiśniewskiego, wydaną po jego śmierci przez jego przyjaciół, a także listy od emigrantów-rewolucjonistów. Aresztowano Wilkońskiego w dn. 28 września na rozkaz oberpoliemajstra Abramowicza, a na Nowy Rok przesłano z Ratusza do Cytadeli. A chociaż nie znaleziono żadnych powagólnie dowodów na poparcie kłamliwego oskarżenia Majchrowieczówny, Wilkoński przesiedział kilka długich miesięcy w twierdzy warszawskiej, zanim otrzymał wyrok, skazujący go na rok więzienia w Zamościu, gdzie pozbawienie jego znaczenie się polepszyło: wychodził na całe dnie do wynajętego umyślnie przez żonę mieszkania, mógł sprawować sobie i czytać książki i t. d. Ciężkie chwile przechodziła Paulina w tym okresie przełomowym ich wspólnego życia: niepokój o losy męża, audjencje u dostojników mo-

skiewskich, krótkie chwile urzędowych widzeń z Augustem w więzieniu — oto co wypełniało jej dzień. Przemroczyła się ciężko na zapalenie płuc i tyfus i ledwo powróciła do zdrowia. Kiedy „Dzwon Literacki” przez uwieszenie Wilkońskiego został zawieszony, a „Przegląd Naukowy” również przestał wychodzić, bo Hipolit Skimborowicz też siedział w cytadeli, namawiano Wilkońską, by dla ożywienia stłumionego ruchu literackiego podjęła jakie wydawnictwo zbiorowe: rozpisala listy do znanych literatów i zaczęła gromadzić materiały do „Wiązanki”, która wyszła jednak dopiero znacznie później, w r. 1858, w Poznaniu (w 2 tomach).

Od powrotu w r. 1850 z Zamościa do Warszawy Wilkońska bardzo się zmieniła, tak pod względem fizycznym, jak i duchowym: straciła na humorze, przestała już pisać, a i pojęcia jego i przekonania polityczne przesunęły się znacznie w kierunku konserwatywnym. Dowodem tego objęcie przez Wilkońskiego redakcji stworzonego przez Rzewuskiego „Dziennika Warszawskiego”. Wilkońska zgodziła się na propozycję autora „Listopada”, ale pod warunkiem, że sam dobierze sobie współpracowników. Powołał więc do redakcji: Juliana Bartoszewicza, Walentego Zakrzewskiego, Wacława Szymanowskiego, Henryka Lewestama, Wagnera, a na sekretarza — Konstantego Walińskiego. Posiedzenia odbywały się u Wilkońskich w niedzielę; przychodzili na nie: Korzeniowski, Wójcicki i inni. Mimo zmiany przekozań nie zapanowała jednak nigdy zupełna harmonia między Wilkońskimi a Rzewuskim: Wilkońska zamieszczała w „Dzienniku” zaledwie jedną ramięt i wyrażała głośno niezadowolone z powodu artykułu Rzewuskiego „O religii i cywilizacji”. Wtem, bez widocznego powodu, otrzymał Wilkoński w r. 1851 rozkaz opuszczenia Warszawy i Królestwa w ciągu 24 godzin. Starania przyjaciół u ks. Paszkiewicza tyle sprawiły, że uzyskano sześciomiesięczną zwłokę dla załatwienia spraw osobistych. Mówiono powszechnie, że Rzewuski mógłby wszystko odrobić, ale nie chciał; powtarzano nawet słowa oberpolmeistra Abramowicza: „To Rzewuski wam zrobił!”. Ile w tem jednak prawdy, trudno zbadać.

Z wyjazdem z Warszawy kończy się literacka działalność Wilkońskiej. Działalność ta zanyma się w czterech tomach „Ramięt i ramięt”, wydanych w r. 1845 i 1846 w Warszawie (następne wydania, wydaniejsze, wyszły już po śmierci autora w 5 tomach w r. 1861—2 w Poznaniu, z życiorysem pióra K. Wł. Wójcickiego, oraz w r. 1872—3 w Warszawie, również w 5 tomach, z biografią Wilkońskiej, skreśloną przez W. Szymanowskiego). Na czele tomu I Wilkońska położyła wymowne motto: „W uśmiechu każdym zaparem siebie, zaparem rózecy, com ją wciąż pił; raz tylko jeden na mojem niebie promyk radości jasno się śnił”. Tom III poprzedza żarliwła dedykacja: „Wiele uczynemu Jankłowi Magenfish, wspierającemu piśmiennictwo krajowe, w dowód wła-

mojej wdzięczności ten drugi oddział Ramięt i ramięt literackich przypisuję”. W ramiętach swych Wilkońska krytykuje przedewszystkiem wady i ułomności szlachty: pijaństwo, obżarstwo, karcierstwo, ciemnotę umysłową (nie można namówić nikogo z obywateli na zapnumerowanie za 20 złp. cennego dzieła historycznego), wysoki chłopot, gorzelnie i propinacje, bezmyślną rozrutność przeselerających się w Warszawie panieów, łowców posagowych, ale wychowanie młodzieży przez guwernerów-Francuzów, dziewcząt przez rozliczne panny Chourgotte, wszystkie to przyrwy i śmiechowości, szeroko rozgałęzione wśród rodzin Durniewskich, Oslińskich, Bieczykowskich, Cielątkowskich i t. p. Niemniej wyszydza burakiewiczów, co, z ekonomów, kowali i gorzelniarzy dorwawszy się majątków, puszą się i dną swem udaniem szlachectwem Kukawka-Kukasieńskich i Kafarek-Kafarkowskich. Na gruncie warszawskim śmieszko po pretensjonalności salonów literackich, szermowanie zła zrozumianiem terminami filozofji niemieckiej, fałszywie pojęta emancypacja i grafomanstwo, które nazywa to „kolowaczną literacką”, „to wściekłą literacką”, to znow „młdościami literackimi”. Jego ideałem jest serdeczny, ojcowski, patriarchalny stosunek dworu do chaty: zakładanie po powiatach stowarzyszeń agronomicznych, po wsiach — szkółek, ochron, bibliotek, pomoc gospodźka w razie potrzeby oto cel jego marzeń demokratycznych. O potrzebie uwolnienia i uwłaszczenia chłopca nie wspomina nigdy. Wprowadza wprawdzie w kilku ramiętach szlachetne powieści ludowe, ale te przedewszystkiem wychodzą ze swojej sfery, a potem są tak blade, że nie mogą budzić wiary w swoją prawdziwość. W ramiętach występuje Wilkońska, jako demokratka umiarowana, pragnąca poprawienia doli ludu, bez przewrotu atoli społecznoego, jako satyryk, śmiało kareący wady najmłodniejszej klasy narodu, jako humorysta, na dzisiejsze wymagania może być za nudny i za rubaszny, ale w owe czasy najprzedziejszy i najchętniej słuchany. W tej wesołości bez troski, jaka promienieje z ramięt, trudno dopatrzeć się owej „gorczy”, której życie nie szczędziło ramiętkowi, i dopiero biografia ukazuje nam odwrotną stronę tego dziwnego żywotu.

Z chwilą opuszczenia Warszawy Wilkoński już był złamany na duchu i na ciele. Śmierć ukochanego brata Klemensa, zgasłego w dniu 4 lutego 1851, którą August odczuł boleśnie i gorzko opłakał, dokonała rzeszy. Nie na wiele się przydał wyjazd do Karlsruhe, ani też powrót do stron rodzinnych do Siekierki pod Warszawą. Były zamierzenia wydawania nowego cyklu „Pokrzyw Literackich”, niby dalszego ciągu ramięt; zostały ukończone dwie, zaczęte w Warszawie pokrzywki: „Kubuś się przeciera” i o „Domokowiczach”. Ale życie już gasta. Dobily nieszczonego humorystę nikczemne potwarze, które nie oszczędzily żołnierza z pod

Igań i Ostrołęki i dwukrotnego więzienia. Na kilka miesięcy przed zgonem, dn. 23 sierpnia 1851 r., pisze on z Siederek do Wójcickiego: „Wszystkich naszych łaskawych przyjaciół i życzliwych najwładziejczajszem sercem pozdrawiam; a dla tych, którzy może niegrzecznie wspominają, się przebaczenie, mojemu sercu właściwie, wychodząc z owej chrześcijańskiej zasady: „Przebacz im, Panie, bo Augusta nie poznali i oszdzili z pozoru, z ciasnych okoliczności, a nie z serca, które przedewszystkiem zawsze pragnęło i pragnie szczęścia bliźnich”. Do gorączki nerwowej, wywołanej cierpieniami moralnymi, przyłączyły się zapalenie płuc i febra i spowodowały zgon dn. 4 lutego 1852, w pierwszą rocznicę śmierci brata Klimenta. Spowiadał Wilkońskiego na śmiertelnem łożu ks. Lobodzki, skazany w r. 1848 w Berlinie na śmierć za udział w ruchu wolnościowym. Pochowany w tychże Siederkach. Nikt nie chciał wierzyć w śmierć ulubionego humorysty; wszyscy myśleli, że czeka on w ten sposób tematu do nowej ramoty. Tak w tem życiu dawaczenie spłatali się złoty humor z goryczą smutku i niedoli.

Paulina przeżyła swego męża o lat 23. Pisała dużo i chętnie była czytowana, zwłaszcza przez kobiety. Ale na utworach jej po r. 1850 znać ślad ogólnej reakcji w kraju: autorka, jak świadczy Chmielowski, rozmyślała się w „posagowo pięknych w swej starości miniaturowych Mohortach”, w „ideałach znacznych, rozsądnych, serdecznych matron”, podkreślała „kontrast pomiędzy hulawczem, bezmyślnym życiem płochej Warszawy za czasów pruskich, a pełnym cnót patriarcalnych żywotem na prowincji”. Zjawiają się tu rozumnych arystokratów, dobrych dziedziców, kobiety nie marzące o emancypacji pod jakimkolwiek względem, ale są biernie i niezgrywane. Ciekawy jest z tego okresu „Obrazek poznański” (1871) jeden z pierwszych w beletryście polskiej glos, ostrzegający przed zgubnymi skutkami germanizacji i utraty ziemi w Poznaniu. Poniosłszy znaczne straty majątkowe, musi utrzymywać się w ciężkich ostatnich dziesięciu lat życia z pióra, pisze więc dużo, bezbarwnie i rozwlekłe, tłumaczy z obcych języków i t. p.; na krótko np. przed śmiercią, z gramatyką angielską i słownikiem w rękę, bierze się do przekładu „Chaty wuja Toma” i jakiegoś romansu angielskiego. W poglądach jej w ostatnich latach życia zachodzi pod wpływem budzącego się po r. 1855 ruchu umysłowego w Kołostwie korzystna zmiana: tak np. w pojęciach swoich o emancypacji kobiet powraca Wilkońska do swego *credo* z przed r. 1850. Zmarła dn. 9 czerwca 1875 r. w Poznaniu.

BIBLIOGRAFJA.

A) Utwory Wilkońskiego: Pierwsze wydanie „Ramat i ramotek literackich”, w czterech tomach, wyszło jeszcze za życia autora, w r. 1845—1846, w Warszawie; drugie — po jego śmierci, w 5 tomach, w r. 1861—1862, w Poznaniu, z życiorysem autora, skreślonym przez K. Wł. Wójcickiego; trzecie, też w 5 tomach, w Warszawie, z życiorysem autora, przez W. Szymanowskiego, w r. 1872—1873. Później poszczególne ramoty, jako też i wybory ich były niejednokrotnie przedrukowywane w różnych wydaniach popularnych („Biblioteka Powszechna”, „Biblioteka Uniwersytecka Ludowych”, „Książki dla wszystkich” i t. d.).

B) Utwory Wilkońskiej: „Wies i miasto”, obrazy i powieści, 2 tomy, Warszawa, 1841; „Hanna z Grzymałowa” i „Natalja”, Warszawa, 1842; „Powieści”, 2 tomy, Warszawa, 1842 (Hanna, Natalja, Zgłiszca, Chłopka, Anna i inne); „Za późno! i jeszcze dość wczesnie”, 2 powieści, 3 tomy, Warsz., 1846; „Poranki i wieczory, obrazy, szkice i powieści”, Warsz., 1847; „Tak się dzieje”, powieść, 2 tomy, Wilno, 1848; „Godzina rozrywki”, zbiór powieści, 2 tomy w jednym, Warsz., 1849 (I — Marja Wrzostkówna, powieść, Skutki wychowania, powieść; II Ildotka, Białe róże, Po namyśle, Stracone złudzenia, Córka leśnika, Gawęda pani Sierżuchalnej, Dwa ustępy z życia nieznanego wieszcza); „Wawrzyna”, powieść, Warsz., 1851; „Helena” i „Wróżka”, powieści, Lublin, 1855; „Różni ludzie”, powieść, Warsz., 1855, 2 tomy; „Snopek literacki”, dzieło zbiorowe, Poznań, 1857; „Obrazek poznański”, Lipsk, 1857; „Irena”, powieść, Poznań, 1857; „Pani Podkomorzyni”, powieść, Poznań, 1857; „Pisma”, w dziewięciu tomach, Poznań, 1858—1863, (I Pan Wojski, II—III Fata morgana, IV—VI — Skalkiwe; VII. Na pograniczu, VII—X — Kazimira); „Powieści, w 2 tomach, Warsz., 1869; „Mrowin i Troc”, powieść, 2 tomy, Warsz., 1863; „Gałązka sternaowa”, powieść, 1866; „Dziedziczka Czarnolic”, powieść, Lwów, 1867; „Dziedziczka Jadłowca”, powieść, 2 tomy, Warsz., 1867; „Dziedzic Orłowa”, powieść, Toruń, 1868; „Wnuk, czyli precz z przesądem”, powieść, Toruń, 1868; „Kilka pereł, szkice, Toruń, 1869; „Macocho”, powieść, Warsz., 1869; „Dziś”, powieściastka, Poznań, 1870; „Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie, Poznań, 1871; „Za posagiem”, powieść, Lwów, 1871; „Opactwo grodzieckie”, powieść, Lwów, 1872; „Obrazek święty”, komedycja w I akcie, Lwów, 1872; „Na dwóch krańcach”, powieść, Lwów 1873; „Powołanie”, powieść, Lwów, 1874; „Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem na prowincji w Kongresówce”, Poznań, 1875; „Na teraz”, powieść, Lwów, 1876.

C) O Wilkońskiej pisali: 1) Wójcicki K. Wł. August Wilkoński („Biblioteka Warszawska”, 1857, toż przy wydaniu „Ramat i ramotek” z r. 1862); 2) Szymanowski W. Życiorys

A. Wilkońskiego (przy wydaniu „Ramol” z r. 1873); 3) Gawałewicz M. Au. Wi. („Sylwetki i szkice literackie”, Kraków, 1888); 4) Bartoszewicz K.: Wilkoński i Kraszewski („Przegląd Literacki”, 1897); 5) Kraszewski Kaj.: Wspomnienia o Auguste Wilkońskim („Humoreski”, Warszawa, 1909); 6) Wilkońska P. Moje wspomnienia (p. wyżej), Listy Wilkońskiego do Kraszewskiego w „Przeglądzie Literackim” z r. 1897 i w „Echu Artystyczno-literackim” z r. 1913, zeszyt 11—12.

D) O Wilkońskiej pisali: 1) Korotyński W.: Paulina Wilkońska („Tygodnik Ilustrowany, 1875); Chmielowski P. Literatka polska z przed pół wieku („Tygodnik Ilustrowany”, 1894, t. I); Lewestam F. H.: Paulina z Lauców Wilkońska („Kłosy”, 1875).

A) „Ramoty i ramotki” A. Wilkońskiego.

(1861—2)

a) Nadzwyczaj rzadka w kraju naszym osobliwość.

(Ramoty i ramotki wyd. Wł. Wojciekiego, Poznań, 1861/2 t., V, str. 47—65)

W miesiącu maju bieżącego roku 1847 odwiedziłem znanego obywatela w powiecie Stanisławskim nad rzeczką Liwcem. Uprzejmość i szcera gościnność, widok porządku i ład u w gumnach, we wsi i na polu miłe zbudziły uczucie.

Cały ranek spędziłem na oglądaniu inwentarzy, zasiewów, nowych budowli i na przyjemnej pogadance. Około południa zaczęli się zjeżdżać sąsiedzi i sąsiadki, był to dzień rocznicy urodzin, w prawdziwym znaczeniu tych wyrazów, czcigodnej matki obywatelki, gospodyni tego domu. Z każdą chwilą zwiększało się nasze towarzystwo i przy drugim śniadaniu naliczyłem osób trzydzieści.

— Któż jest ta pani w atlasowej sukni?...

— Pani S... wdowa, dziedziczka Jągnięcej Woli.

— A ten jegomość łysy?...

— Dzierżawca z Pestkowa.

— A ten wysoki tłusty pan z nosem czerwonym, który konfitury łyżką stołową uprząta?

— To jest dziedzie Lisiego Krza, obywatel bardzo majątny...

— A ta panna mocno usznurowana, czyjaż to córeczka?...

— To jest córka tej pani, która się w zwierciadle przegląda.

— A ta druga panienka?..

— To jest córka pułkownika K..., który tak starannie zapospolczył Wyzwoloną Jerozolimę Torquata Tassa.

— Pogodnie i szlachetnie jest jej ócz spojrzenie.

— Innem być nie może, bo pogodną i najszlachetniejszą jest jej dusza, a oczą są wiernemu duszy zwierciadłem. W majątku swoich rodziców otworzyła szkółkę wiejską i w tej szkółce jest od lat kilku pilną i najgorliwszą nauczycielką. Z jej ust się posłyszysz terminologii filozoficznej, pomimo że jej naukowe ukształcenie wysokiego doszło stopnia; ale to naukowe ukształcenie skierowała nie do słów, uczenie, górnio brzmiących, lecz do najszlachetniejszego na ziemi czynu, do umiłowania ludu wiejskiego, do hodowania młodych laterośli w chrześcijańskim ogrodku, jej wolą stworzonym.

— To jest nadzwyczaj rzadka, a bez zaprzeczenia najnaukamitsza i najszlachetniejsza w kraju naszym osobliwość.

Wy wszystkie pseudopostępowe, do urojonej, do niezrozumianej emancypacji wzdychające pseudofilozofki, okryjcie się rumieńcem wstydu przed tym przeczystym wzorem chrześcijańskiej dziewicy.

Tem krótkim wspomnieniem składając publiczną część Ładwice, nauczyciele szkółki wiejskiej, pytam nawiasem (bardzo lubię nawiasy) tego wysokiego tłustego pana z czerwonym nosem, który stołową łyżką konfitury zajada, po zł. 60 sukno angielskie kupuje, batysem nos uciera, wyłącznie paryskie czyta romanse, przez złote okulary świat ogląda, a na niewdzięczność ludu wiejskiego utyskuje, jakżeż po dziś dzień wywiązałeś się, uprzywilejowany panie, z duchowego obowiązku względem ludu wiejskiego? He? gadajże przecież!

— Moi ludzie nie pomarli z głodu i na kark im nie cieciez.

— Dla zwierząt pasza i obora wystarczają; człowiekowi, bliźniemu nie uchylajmy praw najwyższych, praw Boskich.

b) Co znaczy, gdy młodzieniec jest dobrze, gdy jest bardzo dobrze i gdy jest skończony.

Wiadomość, w lepszych, ale w nie najlepszych towarzystwach schwycona i stylem grubiańskim *) opisana przez Au. Wl. ch. fil.

(Ramoty i Ramotki, wyd. K. Wł. Wójcickiego, Poznań, 1861-2, tom V, str. 59—60.)

Bywając niekiedy w lepszych towarzystwach, słyszałem starsze i młode panie powtarzające: „Staś jest dobrze“, „Alfred bardzo dobrze“, i przyznają się, że im sobie dziwaczne, a dla pań nienajkorzystniejsze czynił domysły; „skończony“ zaś Emiljan tak wielką we mnie wzbudził ciekawość, że z narażeniem przyzwoitości zapytałem szesnastoletniej dziewczynki: „Skąd pani wiesz, że pan Emiljan jest skończony?“... Szesnastoletnia Wincencja, spojrzawszy na mnie z zadziwieniem, bardzo dowcipnie odpowiedzieć raczyła: „Pan jesteś nie skończony, gdy się pytasz, co znaczy skończony“, i panna Wincencja umilkła, a ja miałem piekło w ustach ze wstydu i z radości, bo, o ilem się upokorzył wyższością wiedzy szesnastoletniej dziewczynki, o tylem się szczerze ucieszył, że nie jestem skończony. Podług moich prostych wyobrażeń w życiu ludzkiem niemasz nie okropniejszego, jak być skończonym; ja przynajmniej pragnąłbym być w całej mojej ziemskiej wędrówce — zawsze i zawsze nie skończonym!...

Nieskończoność to życie! skończoność to grób otwarty to śmierć z kosą i łopatą! — Brum! aż mi zimno, gdy pomyszę, że panie, że moi przyjaciele, że świat prawdomoły z litością albo z szyderczym uśmiechem wyrzeknie: „Au. Wl. jest skończony!“

O ty mój opiekunicy duchu! który mnie szlakiem nieskończoności prowadziłeś aż do tej chwili, nie pozwól, abym za

*) Najznakomitsi recenzenci vel krytycy sędziowie piśmiennictwa w różnych częściach kraju naszego zgodzili się na to, że w moich Ramotach i ramotkach jest szorstkość, ale nie objawili wysokiego zdania, czyli ten zarzut dotyczył myśli czy wyrazów?.. a to jednakże różnica niemiała. Rozsądnie postąpiła ustatu krytyka salonowa, wyrzekłszy, że ramotki są pisane stylem grubiańskim; gdy zaś zdanie salonów jest niewątpliwie i niemylnie, więc też wiem z pewnością, że mam styl grubiański (Przyp. Aut.)

mojego był skończony!.. Ja pragnę żyć jeszcze dla tej miłości, którą całym sercem ukochałem, dla siostr i braci, dla bliźnich, dla tych cudnych nieba błękitów, na których zapisane są „wiarą! nadzieją! miłości!“ — dla tego słońca, którego jurzeńki codziennie z korną Bogu wdzięcznością wyglądam; dla tych niewojewskich, na których wszystkie moje myśli i wszystkie uczucia w jedno zestrzeliłem ognisko; dla Dzwonu mojego, dla samotek, dla salonów, dla moich wierzyteli i — dla was, czarobrowe i jasnowłose miłujące się kotezki, dla wszyskiego pragnę i choć być nieskończony!.. Jam tego w moim grubiańskim stylu wyrazić, wystawić niezdolny;.. ale trudna rada, obrażać głową muru nie przebiję, więc wracam do porządku.

Bynajmniej odpowiedzią panny Wincencji nie objaśniony, poszedłem rozmyślać, następnie przez rok cały śledzić i wybaływać: jacy to młodzieńcy są skończeni, którzy są dobrze, a którzy bardzo dobrze. Com zbadał i wysledził, szczerze opowiem.

Jeżeli zobaczysz wyrostka, który po przymusowem przedkwienu nauk gimnazjalnych, częstokroć nawet nie skończonych, albo — co gorsza — z pod stempla guwernerów francuskich na Boży świat wychodząc, żadnego nie obiera zawodu pożytecznego dla kraju, ale natomiast z pośpiechem ustroi się w osobliwe sukienki najświeższej mody paryskiej, wstosy żełazkiem przypieka, ciasno nosi rękawiczki, przytem umie na pamięć kilka grzeczności francuskich, tańczy polkę z zadziwieniem pięty, nie zmyli się w kontredansie i rażącej nieprzyzwoitości nie popelni, pleć piękna zawyrokuję w salonach: „On jest dobrze“, a ludzie rozsądni powiedzą: „To próżniak“, a ludzie naukowi mrukną pod nosem: „To głupiec“...

Jeżeli zobaczysz taliego próżniaka i głupca barczystem, silnie zbudowanym, śmiałym w salonach i stanowczo rozprawiającym o kilku powieściopisarzach francuskich, pleć piękna zapewni cię, że ten pan jest bardzo dobrze.

A jeżeli ów bardzo dobrze napisał kilkanaście rymów w imionniku, jeżeli był zagranicą, widział Wezuwjuś! Neapol, Rzym, Paryż i Szwajcaryę; jeździł statkiem parowym na Renie i chociaż przez pół roku słucał w Berlinie wykładu filozofii, która w chwilach uczuciowych po salonach ogłasza, i gęsi.

i gąski, i lwice hurmem krzykną: „Skończony młodzieniec!”
 A przecież to tylko bałwan, który zagranicą utracił, albo nadwergzył zdrowie i majątek, bałwan, który niczem się do powszechnego dobra nie przyczyni, który się nadyma pokre-
 wieństwem z rodzinami imion sławnych, który w najdroższych hotelach i restauracjach resztki ojcowizny marnuje i skryta
 zagina parole — na panny milionowego posagu.

O pracowitym chłopku albo rzemieślniku, o obywatelu
 który szczerze stara się moralny stan ludu wiejskiego pod-
 wyższyć, a rolnictwo ulepszyć; o znacnym kapłanie religii
 o dzielnym wojowniku, o biegłych doktorach medycyny, o pocie-
 wych literatach, o gorliwych i sumiennych urzędnikach, o zda-
 nych profesorach nie usłyszysz, że są dobrze, bardzo dobrze
 albo że są skończeni. Te przydomki należą się wyłącznie
 młodym paniczom salonowym, pasorzytom, bezużytecznym
 trutniom społeczeństwa... owym hotelowym dobrodziejom,
 owym filarom restauracji francuskich, owym gospodarzom
 pikników — i t. d. i t. d. *)

Każdy ojciec, o którego synach mówią, że są dobrze,
 bardzo dobrze albo skończeni, srodze rumienić się winien,
 bo przez zły kierunek wychowania swoich gagatków liczą-
 darmojadów powiększył, krzywdę krajowi wyrządził.

B. „Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie” P. Wilkońskiej (1871).

Dnia drugiego marca było dość liczne grono u pani * u
 herbacie.

Nikt nie postyszał, że car jest chory. Wtem przybyła
 pani ** i opowiada:

— Coś się dzieje dziwnego. Jenerał Igelström, który ze
 mną w jednym mieszka domu, jeździł trzy czy cztery razy do

*) Jeseliś w ezamarze, w ubogiej kapciee albo wo fraku nieco dawnie-
 szej mody i gładko po francusku nie papiesz, bez względu na twój charakter
 i na twoje zasługi skończeni nazwą cię „mauvais genre”; a znów zyskasz
 u nich nazwę „comme il faut”, jeseliś w modnym ubrańku kosztowne i nie-
 odbył bachanalije w jednym z tych ogrodów, w których skończeni dziewczyny
 namiętch sercami panują... Niestety! mamy obecnie wiele skończonej młodzie-
 (Przyp. Aut.)

zanku, przez księcia wezwany. Za każdym razem z chmurniej-
 szą powracał twarzą — i cicho rozmawiał z żoną, jak służba
 odpowiadała po domu. Przybywali do niego wyżsi oficerowie
 i zamykał się z nimi w osobnym pokoju. A gdy raz ostatni
 wrócił z zamku, pod wieczór, jenerałowa rozplakała się głośno.

— Wielka przegrana na wschodzie.

— Cesarzowa umarła.

— Rewolucja pałacowa... — i tym podobne czyniono
 domysły.

Wtem nadszedł gość nowy i opowiedział, że kasę teatralną
 i teatr zamknięto nagle, gdy widzowie poczęli się schodzić.

— Niezawodnie cesarzowa umarła!

— Mówią, że car... — wyrzekł nowo przybyły z licha, bo
 że groźna była nowina!

— Niepodobna!

— Przecież nie chorował!

— Powozy generałów uganiają się po ulicach.

— Wezmę sanki — odezwał się pan Ludwik — pojedę
 do Loursa, wbiegnę do resursy, to przecie dowiem się czegoś.

Wyszedł — i niebawem postyszeliliśmy oddalający się
 dźwięk sanek.

Urywała się rozmowa. Zapomniano o literaturze — o mu-
 zyce — bo jedną tylko nas wszystkich myśl zajmowała.
 W trzy kwadransie niespełna pan Ludwik powrócił.

— A co?

— Co? co? — pytano skwapliwie.

— Car Mikołaj umarł. — Zdumienie owało wszystkich
 — i przez sekund kilkanaście głuche potrwało milczenie. Po-
 tem ozwały się głosy:

— Żartujesz chyba!

— Niepodobna!

— Nadeszła telegraficzna wiadomość przed trzema godzi-
 nami — powiedział pan Ludwik poważnie — umarł!

— A poprzednio telegraf po trzy razy przynosił wiado-
 mość, że chory — że bardzo chory — że jest niebezpie-
 czeństwo życia. Ale to wszystko dzisiaj dopiero.

Ni które rozjaśniły się twarze. Drugie wyraz szczególnej

przesłonił powagi. Splotły się dłonie — potrząsano głowami.
A inni znów pełniejszą odetchnęli piersią.

• I Polska niby swobodniej odetchnąć mogła!...

Rozeszliśmy się po godzinie pierwszej z północy. Na ulicach było pusto — cicho — tylko śnieg zmarzły pod stopami skrzypiał.

— Twierdzą, że dusza, opuściwszy ciało, błąka się czasem pewien wśród świata pokutnie, w miejscach nie dopełnionych obowiązków — grzechu — winy — występku — zbrodni... — wymówił mi do pana, podającego mi rękę. — Zatem duch cara Mikołaja snuje się teraz może wśród tego grodu lez i ofiar krwawych...

Spojrzałam na cienie długie, niby ciemne tworzące postacie, pociągana w rozmarzeniu chwilowem fantasmagoryjnym widzeniem.

— Duch jego, zaprawdę, mógłby tu pobłąkać... — odrzekł mój towarzysz.

Wtem, gdyśmy z ulicy Wareckiej w Nowy Świat skręcając — nadchodził oficer rosyjski, wysoki, w szarym płaszczu, stuk jego stopy rozlegał się z głuchym odgłosem wśród pustej ulicy.

— Może to on?! — podszeptał pan z półśmiechem.

— Chi la so? Któż to wie? Potrzebaby zagadać do niego.

— Mam szczerą ochotę. Zapytam o godzinę...

Oficer nas minął, a zdawało się, że był bardzo blady.

— Ale cóż też nie wydaje się czasem!

Jeden ze znajomych moich również o późnej godzinie powracał do domu. Przechodząc obok mieszkania przyjaciela, mieszkającego na piętrze, zobaczył światło w dwóch oknach, znać pracował jeszcze. Domyślił się, że nie wychodził może — że nikt mu dotąd ważnej nowiny nie udzielił — i zastukał we drzwi. Przyjaciel okno otworzył i zapytał:

— Kto tam?

— Stacho. Czy wiesz?

— Nie wiem.

— *Dead! Dead!*

— *Dead! She?*

— *He!* — Dobranoc!

— Dobranoc!

Jeden pobiegł dalej.

Drugi okno zamknął. — Światło z dwóch okien aż niemal na rana biło na plac bankowy. Znajomy mój wszelako już nie wyszedł do pióra — tylko pokój chyżą przebiegał stopą — różnemi gnany myślami.

Nazajutrz rano — dwóch stróżów przed kamienicą, w której mieszkałam, umiatając chodniki, tak powitali się, przebiegając język rosyjski:

— Wot Mikołajuszka pomir!

— Je Boh! haraszo!

Okolo południa przyszedł do nas Apolinary Zagórski, smutny, ponury.

— Umarł! — wymówił, rzucając się, jakby wysiłony, na ławo, bo zawsze był słaby hardzo.

— Śmierć ta będzie wielkiej doniosłości — odrzekł ktoś z obecnych.

— Chciał umierać... i umarł!

Pan Apolinary niby więcej pobladł jeszcze.

— Byłem sam. Położyłem się wcześniej, zasnąłem. Wtem budzę się nagle... I jak gdybym głos posłyszał ponury: *Umarł! A umarł w grzechu!* — Senne znów owładło mnie uczucie. Lecz głos ten powtarzał się ciągle. — Rano dowiedziałem się, kto umarł. — Umarł w grzechu! Módlmy się za jego duszę! Módcie się, panie! — powstał po chwili i wyszedł.

Był to zapewne szczyt najszlachetniejszego, najreligijniejszego uczucia — miłość ewangeliczna, najwyższa miłość chrześcijańska, ażeby modlić się za wrogielę ciemiężcą Polski! I myślać taka mogła się zrodzić tylko w przeczystej duszy Polaka katolika.

Jedni nazwali to chorobliwością. Drudzy ramionami ruszyli... — Na mnie wszelako Apolinary Zagórski wyrazami swymi: „Umarł w grzechu! Módlmy się za jego duszę!“ — nie zrobił wrażenie — i pamięć tej chwili nie zatartą pozostała.

Opracował H. GALLE.

SCHMITT HENRYK.

(1817—1883).

Syn Wirtemberczyka, przybyłego do Galicji za Józefa II, pryncypa polski, bojownik o lepszą przyszłość ojczyzny, a po noccejsze gorliwy badacz dziejów politycznych Polski, urodził się w Łwowie 5 lipca 1817 r., jako syn Pawła, kupca lwowskiego i Katarzyny z Orzechowskich. Od najmłodszych lat okazywał silną wolę i poważne upodobania. Opowieści babki z świętej przeszłości, wnioskając w wrażliwą duszę dziecka, budziły umiłowanie nieszczęśliwej ojczyzny. Około dziesiątego roku życia utracił ojca. Ojczym (gdzie matka wkrótce zamała) był przeciwny w syłaniu chłopca do szkoły. Za cichą zgodą matki opuścił w domu ojczyma, znajdując oparcie bądź u krewnych, bądź też u kolegów.

ukończywszy w r. 1835 studia w akademickim gimnazjum pod prefektem Lewickim, wstąpił na dwuletni kurs filozoficzny przy tymże zakładzie. Szkolny system ówczesny, zmierzający do germanizowania młodzieży, pobudzał ją często do przeciwdziałania przez tworzenie kółek, zajmujących się pracą nad literaturą ojczystą. W takich kółkach Schmitt nawiązał stosunki z młodzieżą obojętną, usposobioną patriotycznie i demokratycznie. Był to właśnie okres tajnych stowarzyszeń i spisków, które, poczynając od r. 1833, ciągle mnożyły się, i mimo prześladowań policji szły dalej się pod coraz to inną nazwą jak: „Stowarzyszenie Ludu Polskiego”, „Młoda Sarmacja” z przygotowawczą szkołą „Synów Ojczyzny”, „Ogólna Konfederacja Ludu Polskiego” i t. p.

Schmitt należał do grupy lwowskiej „Synów Ojczyzny”. Uczestnicząc w zebraniach, nie zaniedbywał poważnej pracy nad nauką. Śród kolegów przodował gorliwością w zdobywaniu wiedzy, zwłaszcza w zakresie dziejów ojczystych i literatury. Oddawał się także tem fizyce i matematyce. Prócz języków starożytnych poznał także łaciski i angielski. W ten sposób przemiął na dwuletni kurs filozoficzny. Po krótkim pobytku na uniwersytecie lwowskim—w r. 1836

przeniósł się w Tarnowskie, gdzie znalazł opiekuna i przyjaciela w Franciszku hr. Wiesińskim, odgrywającym rolę wybitną w stowarzyszeniu „Młodej Sarmacji”. Udzielanie lekcyj i praktyka gospodarstwa w dobrach Wiesińskiego dawały mu utrzymanie, a sam wolno obracał na propagandę patriotyczną.

Wykrycie spisku wojskowego naprowadziło na ślady stowarzyszenia cywilnych, skutkiem czego Schmitt został aresztowany w r. 1841. Cztery lata trwało śledztwo. Dnia 21 stycznia 1845 r. ogłoszono wyrok śmierci na 51 oskarżonych. W tej liczbie był i Schmitt. Wkrótce skazanym zamieniono karę śmierci na dożywocie lub terminowe więzienie. Schmitt należał do ostatniej kategorii, a tu też po zakończeniu czasu, przebytego w areszcie śledczym, został uwolniony na wolność.

Praca spiskowa mimo to nie ustawała. Schmitt zaledwo opuścił więzienie, rozpoczął zaraz działalność spiskową w związku z Kolem, któremu przewodzili: Teofil Wiśniowski, Edward Dembowski i inni. Punkt oparcia znalazł teraz u Ryszarda Hermana w Rzepniewie, pod Miłatynem, jako nauczyciel i rządca dóbr. Schmitt zapoznał się z Leokadją Mitraszewską, którą później poślubił.

W styczniu r. 1846 rozpoczęła się akcja rewolucyjna. Ustawiono w Krakowie Rząd Narodowy, a dzień 21 lutego wyznaczono na termin wybuchu w Poznańskim i Galicji. Rząd pruski stał przez uwieszenie Mierosławskiego i głównych przywódców zapowiedział odłożenie terminu rewolucji.

Więsień o tem postanowieniu nie zdołała się jeszcze rozejść, gdy prowokacja rządowa poczęła działać w Galicji, rzucając masę niebezpieczeństwa na dwory szlacheckie. Tymczasem w Brzeżańskim stał pod Narajowem oddział 60 ludzi z Teofilem Wiśniowskim na czele i Henrykiem Schmittem w szeregu. Zdrańca żyda karczmarza odwiezła plan rozbrojenia szwadronu huzarów, zapowiedziane skoncentrowanie oddziałów powstańczych pod Brzeżanami zawiodła, a ataku na miasto trzeba było zrezygnować, a gdy wreszcie masły przerażające wieści z zachodniej Galicji, uchwalono zaniechanie dalszej akcji i oddział rozpuścić. Jeden Schmitt do końca się temu sprzeciwiał.

Scigany przez policję, zamierzał przedostać się do Moldawii. Przez pewien czas ukrywał się w dobrach Piotra Nawratła, gdzie przebywał także Wiśniowski, wydany w ręce policji przez chłopów, Schmitt uratował się i opuściwszy niepewne ukrycie, ruszył do Moldawii. Podczas przeprawy przez Bukowinę, 9 maja r. 1846 wpadł w ręce mandatariusza, Wołoszyna Wroblewicza. Przywieziony do Lwowa, znalazł się w murach znanych mu dobrze „Małych koszar”.

Podczas śledztwa, przyznając się do zarzucanych mu czynów, gorąco bronił nieprzedawnionych praw narodu do samostannego

W sierpniu r. 1846 po ukończeniu śledztwa ogłoszono wyrok skazujący Schmitta po raz wtóry na śmierć. Wyrok ten z aktami sprawy przesłano do Wiednia, skąd wreszcie przyszła decyzja, zamieniająca karę śmierci na 20-letnie więzienie w Spielbergu.

Umieszczonej w jednej z kazań twierdzy, musiał zajmować się robeniem pończoch. Gdy wkrótce nastąpiły pewne złagodzenia w rygorze więziennym, osadzeni tam Polacy utworzyli „Rzeszę” — pospolitą Građorską — celem wzajemnego kształcenia się i politycznego spędzania czasu. Schmitt pełnił urząd marszałka i był i prowadził wykłady historii i geografii. Wtedy to zaczął odzwiercać swe wewnętrzne przeżycia w utworach poetycznych. Przedtem już, około 1845 r., napisał większy poemat p. t. „Zdzisław”, w którym zobrazował w bohaterach: Zdzisława i Helenie miłość krajową, tak, jak ją sam pojmował w utworach poetycznych (Sowa, Wigień, Lebrak, Sąd w piekło. Powstaniem bracia, Waclaw czyli powstanie w r. 1846 i t. p.). Część tych prac pozostała w rękopisie, część wyszła z druku, mianowicie opis więzienia we Lwowie i Spielbergu, oraz sonety.

Wypadki r. 1848 przyniosły amnestję. W dniu 23 marca katedra Spielbergu stała się otwartą; Schmitt podjął do Lwowa. Zaraz po przybyciu nawiązał przerwane stosunki z patriotami i wziął się do roboty. Przygotowywał w Brodzkiem, Sokalskiem i Żółkiewskiem wyборы do sejmiku ustawodawczego, organizował Rady Obwodowe, Towarzystwa Braci, mające na celu szerzenie oświaty ludowej, wreszcie Towarzystwa Prywatnych Urzędników. Środki do życia zdobywał naucejczelstwem, a występując jako publicysta, wkraczał w dziedzinę, która obok badań historycznych — najbardziej odpowiedzialnego uzdolnieniem.

Z pomocą szybko zerwał, żałony niepowodzeniem tragedji, piętnującej ówczesne stosunki społeczne. To też stopniowo gotował się z myślą oddania się pracy dziejoparskiej. Październikowa reakcja wiedeńska r. 1848 odbiła się echem dział na gruncie lwowskim. Jakkolwiek Schmitt nie brał czynnego udziału w wypadkach listopadowych stolicy, jednak zaledwie uniknął więzienia, a prztem stracił prawo do badań naukowych po archiwum. W r. 1849 ożenił się i otrzymał niebawem posiadłość biblioteczną przy księgozbiorze Pawlikowskich we Lwowie, lecz policja nie pozwoliła mu przemieszkiwać w tem miesiącu. Hrabina Dzieduszycka ofiarowała mu miejsce pełnomocnika rodzinnych majątków w Poznaniu. Rząd pruski jednak odmówił mu prawa pobytu, jako politycznie podejrzanego. Zmuszony zarabiał na chleb udzielaniem lekcji prywatnych, oddał się jednocześnie pracy dziennikarskiej, pisywał artykuły wstępne, feljtony, korespondencje do polskich i niemieckich czasopism. Zasiłki piórem „Dziennik Literacki” lwowski,

ski, „Czas”, „Gazetę Warszawską”, pisma poznańskie, zapraszany był do objęcia redakcji „Gazety Codziennej” w Warszawie.

Reformaszkół w Królestwie Polskiem obudziła nadzieję Schmitta na pozyskanie katedry historii w Szkole Głównej. Odbiwał wtedy podróż naukową zagranicą. Tam doszły go wieści o przygotowaniach do powstania i zamachach w Warszawie. Odgłosy te mocno go zaniepokoiły, był bowiem zdania, że potrzeba dłuższego spokoju, aby się zorganizować, a tu „ciągle przeszłość, ciągła gotówka w narodzie, a osobliwie nieprzyjazne prądom organicznym, w których żaden zamysł udać się nie może”. Ostatecznie jednak, obaw przedwiny chwyłtany za broń, wobec dokonanego faktu — ofiarował swe usługi walczącym. Wrócił do Lwowa i pozostał w ciągłej styczności z komisarzami Rządu Narodowego. Zs artykuł p. t.

„Kilka uwag co do sposobu prowadzenia dzisiejszej wojny w Polsce” wyłożone mu proces. Skazany na rok więzienia, wyjechał do Brezna, a następnie do Paryża. Już przedtem nawiązał stosunki z Kraszewskim i Gillarem, wydającym w Bondinkonie dziennik polityczny „Ojczyzna”, i w nim teraz ogłaszał rozprawę w obronie środków, używanych dotąd dla oswobodzenia Polski. W Paryżu obok prac archiwalnych zajął się uskuteniczeniem projektu, mającego zarządzić oplakany stosunkom emigracyjnym przez skupienie w jedno ciało różnych politycznie żywiołów.

W sierpniu r. 1865 objął amnestją, powrócił do Lwowa i podjął na nowo prace historyczne, rozpoczęte poprzednio. Pozostałe prace Schmitta nad historją przypadał na czas, gdy Lwów stał się głównym ogniskiem badań dziejowych, dzięki takim pracownikom, jak Szajnocha i Bielowski. Najważniejszym przewodnikiem i wzorem dla badawców był dotychczas Joachim Lelewel, którego żarliwy demokratyzm i republikańizm stwarzał z materiału dziejowego wspaniałe często, ale fałszywe obrazy, zbliżone do przesiąkniętych doktrynerstw traktatów politycznych. To też Henryk Schmitt znalazł w nim swego mistrza i doradcę. Stąd to cały pierwszy okres działalności historycznej Schmitta, przepłaconej wydawaniem broszur politycznych, nosi na sobie cechy wpływu teoryj demokratycznych.

Praca Schmitta aż do r. 1863 zmierzala ku przygotowaniu, na wzorem Jędrzeja Moraczewskiego, całości dziejów Polski. Podobnie, jak Moraczewski, planu swego wykonać nie zdołał. Systematyczny zarys dziejów Polski doprowadził zaledwie do r. 1891. Dalej posunąć się nie mógł dla braku materiałów i opracowań monograficznych. Wobec tego Schmitt zabrał się do pracy w tym kierunku. Podjął wydawnictwo materiałów do dziejów bezkrólewnia po Augustie III, a w r. 1892 przedsięwziął podróż naukową dla zbliżenia rozrzuconych po kraju i zagranicą księgozbiorów i archiwów. Zwiedził Wrocław, Poznań, Berlin, Kolonję, Alkwiżgran, Brukselę, Londyn i Paryż, gdzie przez trzy miesiące skrupie-

gromadził materiały. W r. 1864 po raz drugi, tym razem przymusowo, udał się do Paryża. Wtedy powstają „Dzieje Polski od jej początków aż do dni naszych”, oraz prace z czasów ostatnich lat istnienia Rzeczypospolitej, szczególnie panowania Stanisława Augusta. Wcześniej nieco wyszła jego monografia o rokoczu Zembrzowskiego. Miała ona rehabilitować pamięć przywódcy rokoca przez samo zestawienie surowego materiału źródłowego, obfite przez Schmitta zebrane; w rzeczywistości też zgodnie z ideą Lelewela o demokracji szlacheckiej podniosła Zembrzowskiego do znaczenia reformatora Rzeczypospolitej, wyrastającego swemi poglądami na wiek. Praca ta jest wyrazem historyzoficznych poglądów Schmitta, wyłożonych później w syntetyzującej rozwój dziejów Polski rozprawie: „Narodowość i jej początki”. Ogłoszona przez Schmitta apologia Kołłątaja dała powód Lelewelowi do bardzo pochlebnej oceny. „Jak Chodźko — pisał on — podniósł Dąbrowskiego bez zarzutu, jak Julian Bartoszewicz obmył z krusza Naruszewicza, tak Henryk Schmitt dał poznać Kołłątaja”. Po powrocie do Lwowa w r. 1865 Sch. poświęcił się głównie dziejom XVIII i XIX wieku, „wyszukując materiały, jakie zdołał zgromadzić. Prace jego z tego zakresu wartości swej nie utracił, zawierają bowiem bardzo wiele materiału źródłowego, nieznanego skądinąd. W r. 1867 przybył Sch. do Krakowa w celu założenia dziennika w duchu narodowym i wtedy wysunął swą kandydaturę na opróżnioną wówczas katedrę historii. Młodzież akademicka zamierzała zbiorowym aktem poprzeć jego starania, polityczne wszakże względy, jak twierdzi Libelt, przewałyły szaleć na korzyść Saajskiego. Sch. natomiast uzyskał pozwolenie na publiczne wykłady porobiorowej historii polskiej w sali ratuszowej Lwowa, odbywane przez rok cały z wielkiem powodzeniem. Przez kilka lat miewał odczyty o historii polskiej w najrozmaitszych miejscowościach Galicji. W r. 1870 został powołany na członka Rady Szkolnej Królewskiej, w której zdobył sobie znaczny wpływ, pracując przedewszystkiem nad organizacją oświaty ludowej. Praca społeczna pochłaniała go coraz bardziej; nie usunął się od zajęć w różnych targowistwach, reprezentował je na rozmaitych uroczystościach narodowych, czy to przy otwarciu Muzeum w Rapperswyłu, czy grobów zasłużonych na Skalec, czy też podczas pogrzebu odwołanego szczęśliwie Kazimierza W. w Krakowie; projektował programy polityczne oraz zasiłał artykułami pisma, w których posądzaniem zagadnień życia bieżącego obznajmiał czytelników z postępem nauk historycznych.

W działalności publicystycznej ostro zwłaszcza stał się w stańczykami. Polemizując z ich dążeniami, twierdził, że każdy Polak, począwszy od Kołłątaja, Potockiego i Kościuszki, pojmuje potrzebę i wagę prac organicznych, lecz nie widząc prawdziwego podobieństwa, ażeby wśród danych okoliczności prace te owoc-

wać mogły, chciał zdobyć pomyslniejsze dla działania warunki. Przy okazji sprawy konfederacji 1877 roku uderzał na reakcję lewoskowską, odwracając ogół od dawnych ideałów, i podnosił ruch szerszy za dowód niezbity, żeśmy przynajmniej narodowej jeszcze nie ulegli śmierci.

Rozległa praca społeczna i publicystyczna Schmitta znacznie wpłynęła na zmniejszenie zakresu jego badań historycznych. Wyśladując w ostatnim dziesięcioleciu jego życia prace historyczne mają charakter okolicznościowy, jubileuszowy, a więc popularny. Poważniejszą natomiast jest jego działalność polemiczna, wyrażona przeciw szkole historycznej krakowskiej. Tendencja jej sprzeczną z dążnościami lewoskowskimi, którym hołdował Schmitt, mającą zamiar zrezygnacji z dotychczasowych polskich ideałów politycznych, musiała wywołać reakcję z jego strony. Rozmowanie, zwalające katastrofę na samą Polskę wyłączać, uważa za cyniczne i niedorzeczne. Identyfikując pojęcia znanego renegata Walewskiego z hasłami szkoły krakowskiej, twierdzi, że „dzieła tego historyka to jeden paszkwil na naród polski, jakiego dotąd nikt z naszych wrogów nie odważył się napisać”. Broni zarzecz dawniejszych historyków i podnosi, że pracowali nie gorzej od dzisiejszych, ale pracowali z miłością, szczyli ją i budzili, a gdyby nie oni, jużby może nie było dla kogo pisać. Nowa szkoła historyków — przypuszcza on — utworzy z przeszłości ożyjszej dla nas i dusz naszych straszne pustkowia. Pracą o „Dziejach Polski” Biehrzyńskiego zamknął Schmitt tę zaciętą walkę, w której z obu stron padły ostre posieki.

Zmarł Schmitt dnia 16 października r. 1883 w Lwowie. Żał powszechny towarzyszył mu do grobu. Ceniono w nim głównie człowieka, umiejącego z wyrwałością pracować i walczyć w imię wyznawanych haseł. Zasługi jego dziejopisarstwo dziś należy znacznie zredukować. Ozytanie szerokie, przy rzutkości, pracy niezmordowanej i znajomości faktów cechują prace Schmitta; zbywało mu natomiast na metodzie i bezstronności przedmiotowej w przedstawieniu i sądach. O dziełach swych z przed r. 1863 sam powiada, że chodziło w nich głównie o ducha dziejów i wyjaśnienie tego, co w fałszywym przedstawiono świetle; prace z okresu drugiego są spokojniejsze, tendencji wszakże nie pozabawione.

Patryota-polityk górował w nim nad badaczem-historkiem.

BIBLIOGRAFJA.

I. Pisma Henryka Schmitta, „Sonety... przez łwowianina więźnia stanu z Spielberga”, Kraków, 1848. „Sonety”. Lwów, nakł. Jabłońskiego, 1848. „Materiały do dziejów bezkrólewia po śmierci

Augusta III", 2 tomy, Lwów 1857. "Rys dziejów narodu polskiego od najdawniejszych czasów znanych do roku 1763", 3 tomy, Lwów, 1855—1860 (nieukończony, dochodzi do roku 1391). "Rokosz Zebrzydowski według źródeł rękopiśmiennych", Lwów, 1859 (przedruk z "Dziennika Literackiego", 1857, Nr. 123—144). "Rola oka na projekt bezwarunkowego równoprawienia żydów, a oraz odpowiedź na zarzuty, z którymi dzisiejsi ich obrońcy przeciw narodowi polskiemu występują", Lwów, 1859. "Pogład, na żywe i pisma ks. Hugona Kollajtaja, podkanclerzego koronnego", Lwów, 1860 (przedruk z "Dziennika Literackiego"). "Dzieje narodu polskiego od najdawniejszych do najnowszych czasów krótko i związle opowiedziane", Lwów, 1861—1863. "Kilka słów bezstronnych w sprawie ruskiej", Lwów, 1861. "Narodowość polska, jej podstawa, rozwój dziejowy i zbrocenia, a oraz stosunek do chwili obecnej", Lwów, 1862. "Uwagi nad projektem statutu dla miasta Lwowa", Lwów, 1863. "Uwagi, wywołane przez broszurę pod napisem: Kilka słów z powodu odezwy księcia Adama Sapiehy", Bendlikon, 1864. "Kilka uwag w sprawie rokосу Zebrzydowskiego", Poznań, 1865 (przedruk z Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, tom III). "Uwagi bezstronne niewyborcy do panów wyborców w sprawie wyborów poselskich" — (dodatek do "Dziennika Lwowskiego"), Lwów, 1867. "Dwa posiedzenia Sejmu galicyjskiego z d. 1 i 2 marca 1867", Lwów, 1867. "Dzieje Polski XVIII i XIX w., osnowane przeważnie na niewydanych dotąd źródłach" (jako tom drugi dzieła: "Dzieje narodu polskiego" etc.), 3 tomy, Kraków 1866—1867. "Dzieje porobiorowe Polski (r. 1793 do 1832)", Lwów 1868. (Dziejów narodu polskiego tom IV.) "Dzieje Polski od jej początków aż do dni naszych", Lwów, 1869. "Panowanie Stanisława Augusta", Lwów, 1869—1870. "Unja Litwy z Koroną, dokonała na Sejmie Lubelskim 1568—1569. Szkic dziejowy", Lwów, 1869. "O ustroju głównie społeczno-politycznym Rplnej polskiej", Lwów, 1869. "Kilka uwag w sprawie ulepszenia szkół ludowych w kraju naszym", Lwów, 1872. "W stuletnią rocznicę pierwszego podziału Polski. Szkic historyczny dziejów 80-letniego panowania Stanisława Augusta, ostatniego króla polskiego", Kraków, 1872. "Ksiądz Hugo Kollajtaj i jego przesładowcy. Szkic biograficzno-krytyczny", Lwów, 1873. "Kilka myśli na czasie w sprawach publicznych", Lwów, 1877. "Rozbiór krytyczny pomysłów historyjofizycznych i odkryć dziejowych przez Ant. Walewskiego", Lwów, 1875. "Rozbiór dzieła p. t. Dzieje Polski w zarysie przez Michała Bobrzyńskiego", Kraków, 1882. "Źródła, odnoszące się do pierwszego okresu panowania Stanisława Augusta po rok 1773", Lwów, 1884. "Historia polskawa naroda perewoit z polskawo im. Szrejzer", 3 tomy, Petersburg, 1864—1867. "Einige Worte über den neuerlichen Vorschlag der unbedingten Gleichberechtigung der Juden etc. Aus dem Polnischen von... ski", Lwów, 1860. Drobne artykuły

historyczne głównie w lwowskim "Dzienniku Literackim" z lat 1858—1870 i w "Gazecie Warszawskiej" przed rokiem 1861.

II. Pisma o Henryku Schmiecie. Walenty Cwik, "Henryk Schmitt, zyciorys, spisany na podstawie dokumentów i korespondencji", Lwów, 1888 (przedruk z "Dziennika Polskiego", 1888). Notaty biograficzne: "Ateneum", 1883, IV; "Przegład Powszechny", 1889, XXII; "Biblioteka Warszawska", 1883, IV. Recenzje jego prac: "Dziennik Poznański", nr. 55, 250, 290, 293 z r. 1867; nr. 1—4, 11—14, 18—114 z r. 1868 i nr. 19 z r. 1870; "Przegład Polski", 1869—70, t. IV, 1871—72, t. III, 1877—78, t. III; "Czas" krakowski nr. 58 z r. 1854; "Nowiny" lwowskie nr. 68 z r. 1854, oraz "Sybels Hist. Ztschr." w tomach XVIII, XXV i XXIX.

A) Rokosz Zebrzydowski.

(Lwów 1858, w drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich; str. XXVII, 594 i dodatek 104 str.; nakładem autora.)

(Str. 74—78.)

Każdy ruch jest następstwem pewnych idei, a odbywa się pod wodzą jednego lub kilku ludzi, którzy, będąc wyobraźniacami jego, przyjmują tem samem, chcąc nie chcąc, całą odpowiedzialność za wszystko i wszystkich na siebie, szerególniej w obliczu dziejów i potomności. I stusznaz. Jak bowiem zaszczyt i sława w razie powrodenia opromienia ich imię, gdy imiona podrzędnych współdziałaczy nikną bez śladu i wspomnienia, tak uderzają na nich znów wszyscy niełitościwie i szarpiają ich najsrożej, jeżeli zamierzonego nie dopięli celu. Wiekie czasem całe przywiązana w ostatnim przypadku do ich imienia niestawa, a nieobeznany nawet dokładnie z biegiem sprawy, której byli przewodcami, miota na nich najcięższe obelgi i obarczanie ich bezmyślnie kławatą potępienia, gdy współcześni przeciwnicy, podsuwając im z rozmysłem najgorsze chęci, cele i zamiary, piętnem hańby i zbrodni ich cechują.

Taki los spotkał i Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewodę krakowskiego, który, widząc najwyższą niechęć i obrażenie przeciw królowi, a przeświadczywszy moralnie o nieprawem i niestosownem postępowaniu tegoż, przyłączył się do współobywateli, występujących w obronie praw, swobod i całości Rzeczypospolitej i stanął na ich czele, gdy go do tego wezwali...

Mikołaj Zebrzydowski, pan z rodu już swego możny, celował przytem wielkimi przymiotami osobistemi. Jako wojownik odznaczał się odwagą i nieustraszoną nawet między swymi rodakami, czego złożył dowody pod Bieczyną, będąc wówczas starostą krakowskim. Zygmunt zamianował go też niebawem wojewodą lubelskim i dał mu następnie wielkie marszałkowno koronne; lecz Zebrzydowski, nie umiejący pochlebiać i zniechęcony przeciw królowi, który nie lubił prawych doradców, zamienił ten urząd na dostojniejszą wojewody krakowskiego. Zawsze śmiały w radzie i zdaniu, był dumny jak każdy republikanin i równie też ambitny. Gdyby chciał być podobnie innym pochlebiać Zygmuntowi i znosić jego widzimsię, mógł się spodziewać największych task z jego strony i wielu dochodnych starostw. Lecz pochlebstwo nie zgadzało się z jego charakterem, a przeciwiwna nie dowiódł nikt z najcięższych nawet jego nieprzyjaciół. Nie był to człowiek pospolity, a dumi jego nie łechtaly zwykle podniety, jakby w nas chcieli wzmówić jego nieprzyjaciela, ponieważ wypadki świadczy inaczej.

Do cech charakteru Zebrzydowskiego należała i pobożność głęboka, spowinowacona z ludzkością, a daleka od owej żarliwości religijnej, co gotowa przesładować każdego, który jest innego zdania w wierze. Dowodem pobożności jest przystąpienie jego do bractwa miłosierdzia, założonego przez Skargę w Krakowie, i fundacja t. zw. skrzyńki św. Mikołaja, przeznaczonej na wyposażenie biednych dziewcząt. Ze zaś pobożność prawdziwą umiał kojarzyć z wyrozumiałością na odmienne drugich przekonania w wierze, dowiedzie nam rokosz, w którym wielu inowierców znaczny miało udział. Lecz im szczerzej był pobożnym, tem bardziej poczuwał się do sumiennego pełnienia obowiązku senatora, który obejmując, zaprzysiął, „ze wedle sumienia radzić będzie królowi, co pożyteczne uzna Rzeczpospolitę, a ostrzeże go zawsze, gdyby spostrzegł co szkodliwego dobru powszechnemu lub zagrażającego prawom i swobodom narodu“. Ostrzegał też istotnie króla, lecz gdy rady swe widział wzgardzone, złożył naprzód, jak mówiliśmy, wielkie marszałkowno, a później chciał i godności zrzec się wojewody.

Ze był prawym człowiekiem i dobrym obywatelem, świad-

czy między innemi i przyjaźń ścisła, jaką go obdarzał Zamojski do zgonu swego. Gdyby bowiem miał ten wielki być wątpił o nieskazitelnosci jego charakteru, nie byłby pewnie uierając zamianował go jednym z opiekunów małoletniego syna swego, Tomasza, czem pomnożył o wiele wpływ jego w kraju. Zdaje się nawet, że zestarzały i bliski grobu hetman i kenderz częste z nim miewał poufne narady, jakby Rzeczpospolita zabezpieczyć, lepsze w niej porządki zaprowadzić, a króla od nadużywania władzy odwieść można, ponieważ w rokosz przebiega się niejedno ze zań Zamojskiego.

Lecz przypatrzmy się i odwrotnej stronie charakteru Zebrzydowskiego, aby i jego, i to, co działał, ten sumiennie i bezstronnie osądzić. Dumny i nieugięty, a przytem sam ostrego zdania, unosił się nadto daleko w swem zdaniu, czem sobie naraził króla i część senatu; gdy zaś sam jakiejś doświadczył urazy, nie przebaczał jej łatwo. Wytrwały wprawdzie w przedsięwzięciu, wahał się przeciw zwykłe w obraniu odpowiednich środków, a lubił się chwycić nawet półśrodków. Z tego też względu puszczał najgłośniejsze czasem sprawy w odwołkę, aby tylko za śpiesznie nie działał. Skryty i nieufny, osłaniał i to nawet tajemniczością, co na razie jawnie i dobitnie wypowiedzieć należało. Tak wahaniami swymi przedwzrostem broń na siebie i osłabiał rokosz. Nieufność jego odejmowała wielkiej części szlachty, która się zbiegła na rokosz, zaufanie bezwarunkowe w sprawę podjętą, czem zwykle najpotężniejsze upadają stronnicwa. W całym jego postępowaniu było coś zagadkowego, a z tego korzystała właśnie strona przeciwna i oczerniała go na podstawie pozornej niby słuszności, jako podstępnej intryganta, choć wiedziała z pewnością, że nim nie był. Wiedzieli o tem wszyscy niemal współcześni i nie uwierzyli takiej potwarzy, a dopiero później wystąpili najjaśniej przeciw niemu niektórzy z pisarzy naszych, opierając się na oskarżeniach Łubińskiego.

(Str. 593—594).

Zwyciężono rokosz, zmuszono ich do szukania łaski i przebaczenia, a na wszystkie szczyrby w prawach wydano

jako leczący balsam ową wolną elekeję, która nie opisana ścieśle ustawami, potęgę ojczyzny tylko osłabiała. Rokoszani nazwano buntownikami dlatego, że nadzwyczajnych chwycili się środków do ratowania zachwianej potęgi narodu, lecz jakże dziś nazywać tych, co przeszkodzili zbawiennej naprawie w żądaniach rokoszu ciągle wyrażanej, który między innymi domagał się i tego, aby spisać ustawy, obowiązujące w czasie bezkrólowia i przy wyborze króla? Jakże dziś sądzić tych, co nie dopuścili i wielu innych zbawienych odmian w urzędzeniu ojczyzny, jak np., aby sejmj porządnie się odprawowały i nie były zjazdem tylko, gdzie prywatnicy popierali korzyści własne? Tak jest, magnaci pokonali rokosz, obezwładnili usiłowania prawych obywateli, których w dodatku jeszcze mianem buntowników napiętnowali, a podkopawszy potęgę narodu, zawładnęli Rplą, którą najprzód w odmet nierządu, a następnie do upadku przywieśli. Jeżeli zatem na kim klątwa potomności ciężęj powinna, to niewątpliwie na nich, a nie na rokosz i Zebrydowskim, którzy chcieli ojczyznę ratować.

B) Narodowość polska, jej podstawy, rozwój dziejowy przeobrażenia i zbroczenia, a oraz stosunek do chwili obecnej.

(Lwów 1892, druk Winiarski; 88 str.).

(Str. 58—63).

Idea narodowości polskiej, jako idea czysto słowiańska, rozwijała się nieustannie w Polsce, a mimo zbroczeń nie straciła nigdy swych znamion pierwotnych kalkowicie. Gdy społeczność pierwotna wskutek zbiegu okoliczności swe gminowładztwo pod rządem książąt nieograniczenie władających urosła i z sąsiedztwa wiele z jej naturą niezgodnych przyjmowała urzędzeń, zesłała tem samem z drogi swego powołania, a zbłąkana na manowcach feudalizmu, była bliską zagłady za takie sprzeniewierzenie się swej idei narodowej. Z tej toni wyrwał ją Władysław Łokietek zwrotem częściowym ku zasadom pierwotnym, które stan rycerski czyli ziemianie jako podaniem

przodków uświęcone sobie przyswoili i w życie wprowadzać zaczęli. Po dwuwiekowych blisko wysileniach urządzili znów społeczność ojezystą na podstawie tych zasad, lecz, zacieśniając je do urzędzeń społecznych swego tylko stanu, utworzyli Rzeczpospolitą szlachecko-gminowładną. Jak zaś pierwotne gminy słowiańsko-polskie wolność osobistą i równość obywatelską nad wszystko stawiali, a nigdy do podbijania drugih się nie zabierały, tak spostrzegamy również to samo w Rzeczpospolitej polskiej wieków późniejszych. Do wojen rozpoczętych nie był stan rycerski, choć sławny ze swej dzielności, nigdy skłonnym. Rzeczpospolita wzrastała dobrowolnym przyłączaniem się sąsiadów, którym zaraz w zupełności dozwalała używać tych samych praw i swobód, jakie już dla siebie zdobyła. Przyznając im w dodatku autonomię prowincjonalną, nie podkopywała systematycznie ich odrębności miejscowej. Jeżeli zaś współdziałał w prawach i swobodach zbliżał ludzi różnego pochodzenia do siebie i powoli różnice zacierał, nie można z tego wyprowadzać zarzutu, że z zasad narodowości polskiej wynikało rozmyślne podkopywanie innych narodowości. Taką z zasad wynikającą chęć wynaradawiania tkwi jedynie w charakterze narodów germańskich, które, wiedzione gorącą żądzą władania, radzi grabią ziemię sąsiadów, a następnie narzucają im przemocą swój język i ustawy, a w dodatku wyzyskują ich, jako podwładnych. Polska przeciwieństwo udzielała swych praw i swobód nowo przybywającym częściom Rzeczpospolitej, które na tej równości zyskiwały, a odrębność ich miejscową warowała autonomią prowincjonalną o tyle, o ile tylko było można. Jeżeli później polskość wygrywała wszędzie w Rzeczypospolitej, zawdzięcza to wyłącznie owej sile przyciągającej, która tkwi w jej idei narodowej, ponieważ nie narzucała jej nigdzie przemocą. Czyż i dziś, chociaż sama w ucisku, nie upodabnia znacznej części napływowych żywiołów? Cóż skłoniło potomstwo wielu cudzoziemców, którzy w kraju polskim za rządów dopiero obcych osiedli, do przyjmowania narodowości polskiej mimo przesładowań, na jakie była narażoną?

Nie ulega wątpliwości, że zbroczenie u nas z drogi rozwoju narodowego było w wieku XVIII największe. Nikt przecież nie zdoła znów zaprzeczyć, że naród nasz, obdarzony taką

żywnością, byłby prędzej lub później sam przez się poznane w całej rozciągłości. Nie brakło nawet światlejszych obywateli, którzy, przewidując zgubne następstwa nierządu możnowładczego, podawali rozmaite sposoby wyjścia z tak niebezpiecznego położenia... Lecz gdy jedni chcieli naprawę uskutecznić na podstawie narodowej, czyli w duchu ziemiańskiego gminowładztwa, dążyli drudzy wprost do utworzenia silnej monarchji... Ludzie, przewodniczący nowemu ruchowi, widzieli skutki złego, lecz nie zbadali należycie przyczyn. Obalając obcei teorjami, nie wniknęli głębiej w ducha rządzeń ojcystych, a miasto je oczyścić i sprowadzić do pierwotnych zasad społecznych, od których na nieszczęście odbiegły, zaczęli krawać nowe, z usposobieniami narodowymi niezgodne. Tem spowodowali zamiast zwrotu na drogę właściwą nowe zбочzenia, uwydatnione najlepiej w ustawie rządowej 3 maja 1791 roku. Chęci twórców tej ustawy były najpoczciwsze, lecz dzieło ich musiało runąć wraz z ojczyzną, ponieważ nie oparli go na podstawie czysto narodowej. Część wielka ziemian oświadczyła się za przewodztwem kilku możnowładców przeciw nowej ustawie, która zmieniła ich Rzeczpospolitą w monarchję dziedziczną, a inne warstwy społeczne, albo za ciemne, by zrozumieć doniosłość nowych praw, im przyznanych, albo za mało uwzględnione w samej ustawie, nie poczwały się do obowiązku walczenia na śmierć albo życie z dwoma naraz nieprzyjaciółmi.

Wkrótce nastąpił drugi podział kraju, a powstanie narodowe pod Kościuszką sprowadziło trzeci, którym Polskę wymazano z rządu mocarstw europejskich. Lecz utrata samostanności politycznej nie może narodom odbierać żywotności, jeżeli ją mają same w sobie. Polska narodowość zmeżniała po utracie niepodległości, chociaż z początku ciężkie zwątpienie ogarnęło umysły po ciosie tak strasznym. Ocknięcie się nastąpiło bardzo prędko. Myśl narodowa wytyczała całą usilność swą w jednym głównie kierunku, którego ostatecznym celem jest odzyskanie niepodległości ojczyzny, a mimo najszczytniejszych poświęceń i ofiar niezliczonych nie mogła go dopiąć. Rozdrażnienie gorączkowe, towarzyszące temu skierowaniu myśli narodowej ku jednemu celowi, nie dozwalało głębszego wnikania w przyczyny największego z nieszczęść publicznych. Wyob-

lenia w tej mierze twórców ustawy rządowej 3 maja i powstania w r. 1794 przeszły, jak spuścizna, na ich następców w pracy około odbudowania ojczyzny. Potępiono wszystko w czambuł, co przypominało dawną Rzeczpospolitą, zwałając na jej zasady społeczne, co było złego w rządzeniach, odbiegających właśnie od tych zasad. Zwolennicy Rzeczpospolitej, oplamieni spiskiem targowickim, nie śmieli wystąpić w jej obronę, a tak wyrobiło się przekonanie, że Polska w swem odrodzeniu na całkiem inną drogę musi iść. Krzewicielami tej teorii byli ludzie, zajęci podnoszeniem oświaty w kraju, gdy inni znów pod sztandarem francuskim walczyli we wszystkich stronach świata, uwodząc się błogą nadzieją, że wysługą krwawą spowodują rząd francuski do odbudowania ich ojczyzny. I pierwsi i drudzy przesiąkali teorjami obcemi, a chociaż z największem poświęceniem pracowali w sprawie narodowej i chcieli w szerszej jej powodzenia, sprowadzali ją przecież z drogi właściwej, a tem właśnie uniemożliwiali sami jej zwycięstwo.

Wnie utwory, wierszem i prozą, szerzące idee i dążenia tego
wierszystwa. W wierszowanej przemowie, wygłoszonej na jednym
zebrań, tak określił te dążenia:

Wnie zbrojni dzielnej saliry orężem,
Gardząc zdradziecstwa i chytryści wężem,
Zniszczym przekupstwa poczwary
I próżności mary.

Niech odład miłość nieskalanej sławy
Podnosi umysł niczem nieugięty,
Wszak obywatel enoillwy i prawy
Jej świętym ogniem winien być przejęty.

On to najsilniej zajmował przed wieki
Wielkie Rzymiany, jeszcze większe Greki,
Nim pałał Macjusz, Arystyd, Katony
I dzielnie Scypjony.

Gdzież nie zawiedzie ten zapal szlachetny?
Przezeń to wyższy nad samego siebie
I samym sobą geniusz tylko świętym,
Żyje na ziemi, nie umiera w niebie!

Tym zasadom pozostał Baliński wierny przez całe życie;
stały się one w jego różnorodnej, troską o dobro społeczne na-
stawianej działalności.

W r. 1820 zostaje pracownikiem Komisji Sądowej Edukacyjnej
wileńskiej i pełni te obowiązki aż do jej zwinienia w r. 1833.
W tym czasie poślubia córkę Jędrzeja Śniadeckiego. Gdy po r. 1831
zapada się na nowo budzić życie umysłowe w Wilnie, Baliński
raz z młodszym od niego o lat 18 Kraszewskim biorą czynny
udział w zasilaniu noworocznika „Znicza”, ukazującego się od r. 1834.
Wówczas współcześnie biorą się też do pracy nad historią Wilna.
Baliński pomieszcza w „Zniczu”, a następnie wydaje oddzielnie „Opis
statystyczne miasta Wilna” (1835 r.), a w następnym roku
„Historie miasta Wilna” (Wilno 1836 r.). Kraszewski swą historję
Wilna (do r. 1750) ogłosił dopiero w latach 1840—1842 (3 tomy).

W r. 1837 przenosi się Baliński do Warszawy, gdzie otrzy-
muje urząd komisarza do nadzoru nad handlem księgarskim i zo-
sta członkiem Komitetu Egzaminacyjnego dla kandydatów na
ucznieli. Prezesem tego komitetu był Leopold Sumiński, jedno-
cześnie zajmujący stanowisko dyrektora kursów dodatkowych, istnie-
jących od 1837 do 1842 r. Jednocześnie rozwija Baliński w War-
szawie rozpoczętą już w Wilnie działalność literacko-naukową
w swym „Pamiętniku”, wspominając wybitniejszych gości

BALIŃSKI MICHAŁ.

(1794—1864.)

Zasłużony pracownik na polu naukowym, oświatowym i spo-
łecznym, jeden z wybitniejszych przedstawicieli i działaczy roz-
kwitu życia duchowego na Litwie pod wpływem Uniwersytetu wileń-
skiego, urodził się 14 sierpnia 1794 r. w Terespolu, majątku
rodziców, w dawnym województwie wileńskim, z ojca Ignacego
cześnika inflanckiego, komisarza cywilno-wojskowego, matki Anny
Korsakówny. Nauki gimnazjalne i uniwersyteckie pobierał w Wilnie.
W r. 1813 otrzymał stopień kandydata, a w r. 1815 magistra filo-
zofii. Pierwszą podobno pracą, ogłoszoną drukiem bezimiennie
w „Tygodniku Wileńskim” z r. 1816, jest przekład jednego roz-
działu p. t. „Statystyka” wydanej w Londynie r. 1814 książeczki
„O pomysłowości, potędze i źródłach środków państwa W. Brytanji”.
W wszystkich czterech częściach świata”. Następnie w „Dzienniku
Wileńskim” z r. 1816 ukazuje się obszerna, na kilka ciągów roz-
łożona kompilacyjna praca, — wskazująca poważny kierunek
zainteresowania się młodego umysłu — p. t. „Obraz państwa
Wielkiej Brytanji, wystawiający w krótkości główniejsze szczegóły
dla poznania niniejszego stanu”. Na czelu pracy motto angielskie
z Otella.

Za podstawę służyły młodemu autorowi dzieła: Smoleń-
Henry’ego, Gordona, Orntwella, Colquhouna, Gregoire’a, Humsa,
Venderburna. Pierwsza część obejmuje zarys dziejów Anglii,
druga statystyczno-kulturalny obraz, trzecia rozwój konstytucji
angielskiej.

Przed Balińskim ogłosił ks. Jodłowski, pijar, obszerną „Historję
angielską” (Warszawa 1789—91, w trzech tomach, str. 400,
509 i 697), po Balińskim jednak nikt nie podjął dotąd pracy po-
dobnej. Wiąwszy udział w towarzystwie „szubrawców”, w której
otrzymał miano „Auszlawisa, strażnika porządku, piastującego ka-
patę”, pomieszczał w pismach wileńskich: Dzienniku i Tygodniku

głównych zebrań poniedziałkowych, odbywających się w domu rodziców od r. 1834, określa Balińskiego słowami: „Złoty humor, szacowny pisarz, uroczysty towarzysz zabawy, zabawę po kilku latach powrócił na Litwę i zostawił po sobie niesamoploną próżnię”. W ciągu dziesięcioletniego pobytu w Warszawie wydał wiele poważnych prac. Poetzelt rozpoczyna „Pamiętniki o łowej Barbarze” (Warsz. 1837—40, 2 tomy), z kolei idą dawno pewnie już przygotowane zbiorowe wydania pisma Jana Śniadeckiego (Warszawa i Lipsk 1839, 7 tom.) i Jędrzeja Śniadeckiego (Warszawa i Lipsk 1840 r., 6 tom.), „Pisma historyczne” (Warsz. 1843, 4 tomy ponowne wyd. Pamiętników o król. Barbarze i zbiór rozpraw z kresu dziejów Polski), „Historja polska” (Warsz. 1844, zarys polary), „Piełgrzynka do Jasnej Góry w Częstochowie, odbyta w październiku XIX wieku” (Warsz. 1846). Przyjąwszy udział w założeniu „Biblioteki Warszawskiej”, uchwalonem na zebraniu w dniu 11 września r. 1840, pomieszczał w tem czasopiśmie sprawozdania narodne, jak np.: „Andrzej Wolan, szkic biograficzny z rebusami litewskiej”, „Wspomnienie z jednego dnia wędrówki po Litwie”, „Spytko z Melsztyna i ród jego”, „Zgon Żółkiewskiego pod Cezarem Podjął wraz z Tymoteuszem Lipińskim rozpoczęte w r. 1830 wielkie wydawnictwo: „Starożytna Polska pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym” (Warszawa 1841—43, 3 tomy, drugie wydanie — uzupełnione przez F. Martynowskiego 1885 r. 4 tomy). W dziele tem, odwarżającym podziały polski Rzeczypospolitej za Stanisława Augusta i przedstawiającem 10 miast i prowincyj do r. 1794, Baliński opracował tom trzeci, obejmujący Litwę. Z okresu pobytu w Warszawie pochodzą też jego niejsze opracowania: „Bożogroby” w „Pamiętniku Relig. i Moraln. (t. XXII) i „Fundacja zakonu i kościoła O. Kapucynów w Warszawie” w noworoczniku: „Alleluja” na rok 1840. W r. 1840 otrzymał służbę rządową i wraca na Litwę, gdzie pełni po dwuletniu z wyborów, obowiązki honorowego kuratora gimnazjum i dworskiego szlacheckiego w Wilnie, tudzież wiceprezesa Komisji Archeologicznej wileńskiej. W tym drugim okresie działalności swej Baliński przeszedł naprzód „Studja historyczne” (pomieszczone tu: Paproć, 1840), „Spytko z Melsztyna i Dopelnienia do Pamiętników o łowej Barbarze, Wilno 1856), następnie przekład łacińskiej pracy Wassenberga („Carcer Gallicus” p. t. „Więzienie Jana Karola w Francji” (Wilno 1858), dalej: „Pamiętniki historyczne, do objaśnienia spraw publicznych w Polsce przysługujące” (Wilno 1859), mieszczą się tu pamiętniki Cedrowskiego i Obuchowiczów), „Zapiski akademja wileńska, próba jej historii od założenia r. 1829 do ostatniego jej przekształcenia w r. 1803 (Petersburg 1860, 2 str. XII i 609. Przedstawiona tu głównie działalność Poczta. Najznakomitszą pracą Balińskiego, która ukazała się już po jego zgonie, są: „Pamiętniki o Janie Śniadeckim” (Wilno 1865 r., 1 tom.)

to ostatnia książka naukowa polska, jaka wyszła w Wilnie i ukuli stłumienia życia umysłowego i pracy kulturalnej pod naszym systemem murawjewskim. Baliński zmarł w Wilnie r. 1864. W powyższych dziełach ogłosił on na obcych opracowaniach opartą historję Irlandji” (1858), przedstawiającą — z myślą pokrzepienia — przykładem ziomków — dzieje wielkiego męczeństwa i ostatniego odrodzenia narodowego tego nieszczęśliwego ludu. Drobniejsza opracowania pomieszczał też Baliński w „Encyklopedji Wielkiej” Orgelbranda, tudzież w „Gazecie Warszawskiej” korespondencje p. t. „Listy z nad brzegów Kromy”. Próż tego ogłosił następnie drobniejsze opracowania: „Dwuobce obłożenie Wilna w w. XIV” (Dzien. Wileń. 1829), „Rys Jana Śniadeckiego” (Dzien. Wil. 1830 i osobno), „Żywot naukowy i uczony Jana Śniadeckiego” (Warszawa 1839), „Wspomnienie o Jędrzeju Śniadeckim” (Magazyn Powsz. 1838 i Tyg. Poznański 1838), „Żywot Jędrzeja Śniadeckiego” (z popiersiem), „Jan Śniadecki w latach 1778—1781” (Więz. i rozstrz. nauk t. XI), „Król Jan III jako geograf” (Wieniec Łachowicza — Warsz. 1858), „Krew na Litwie” (Niezapomniany Korwella 1842), „Jan Potocki” (Wizer. i roztr. nauk. t. VI, nr. 1), „Poezobut” (Teki Wileńska, nr. 5). O księgozbiore Balińskiego podał wiadomości A. E. Koźnian w „Wyciągach piotr.”

Widzimy więc, główną zasługę Balińskiego stanowi praca o przeszłości Litwy i jej życiu duchowem, skupiającem się w Wilnie. Zarówno poszukiwania, tyjące się losów Barbary, jak i Litwy w „Starożytnej Polsce”, jak „Dzieje Wilna” i jego domni, a wreszcie działalność dwu świętych przedstawicieli Uniwersytetu wileńskiego — braci Śniadeckich — oto najwazniejsze dzieła, odbijające poważną, chrześcijańską i polską duszę naukową, który mimo braku wyższych uzołnień naukowych i literackich oddał sumienniem i zącą dążnością napiętnowanem pracą i wydawnictwami poważną usługę nauce polskiej.

WSKAZÓWKA BIBLIOGRAFICZNA.

Wydawnictwa pośmiertnych, zbiorowych czy też przedruków oddzielnych prac B. nie było. Jedynie tylko „Starożytna Polska” ukazała się w ponownem wydaniu (Warszawa, 1885) z dopełnieniami Marcelego. Biografij specjalnych i prac, odnoszących się do działalności B., niema. Treściwe zyciorysy pomieszcil: P. Chmielowski w „Wielkiej Encykloped. Ilustr.”, Ernest Szwiaowski w „Złotej Litwy” i J. Bielński w dziele „Uniwersytet wileński”.

Jan Śniadecki i Tadeusz Czacki

(Studja historyczne, Wilno 1856).

Oba te imiona tkwią w pamięci wszystkich, którzy będą świadkami w początkach XIX wieku znakomitych usiłowań tego potężnego umysłu i serca mężów, w celu rozkwieszenia światła w ziemiach dawnej Polski; tkwią w pamięci ich następców, używających dzisiaj dobroczynnego na swe umysły wpływu nauk i wychowania przez nich rozwiniętego.

Śniadecki i Czacki, powołani wolą wspaniałomyślnego władcy, za natchnieniem żarliwego o pomyślność swoich słowików ministra, dopełnili święcie i z całym wylaniem się do dobra publicznego zacnych dusz swoich — obowiązków, przyjętych na siebie. Ale obadwaj, odmienną koleją przebywając lata młodości swojej, różnego zupełnie hartu odebrawszy wychowanie, na niejednostajnym polu kształcenia i niejednostajnie też działali i niejednostajnym połu kształcenia i niejednostajnie też działali i niejednostajnie drogami dążyli do tychże samych chwalebnych, tychże samych obywatelskich celów. Jan Śniadecki, walcząc z losem od pierwszej młodości, sam sobie wniósł wszystko, twardo wychowany, wykształcił w sobie charakter niezmiernie niezgięty, z uporem i cierpliwością nieraz prawa broniący. Surowej dokładności naukom oddany, pomimo swej żywości wyobraźni swej, jaką z natury odebrał, wszystkie najczystszej, nietylko pomysły naukowe, ale i czyny ludzkie w klubach matematycznej ścisłości zawierał. Równie w naukach, jak na drodze urzędowania nie znalazł żadnych manowców, żadnej dyplomacji, szedł drogą wielką prosto, broniąc do upadku swego pochodu przeciwko tym, którzy mu stawali na drodze. Obrona ta stawała się nieraz uporem, nawet swarliwością, gdy raz się mocno przekonał, że zamiary jego trafią do pożądanego celu! Stąd i z chęcią widzenia w drugich tejże samej surowej prostoty w pełnieniu przyjętych obowiązków powołał owa skłonność naglięcia wszystkich do swojego mniemania, ów jakoby despotyzm, który mu zarzucano, kiedy należało do spraw publicznych wychowania narodowego.

Czacki, w dostatkach zrodzony, zaraz od poranku życia już ma wielką zasługę, że sam z własnej dobrej woli poświęcił się na pole mozolnej pracy, poświęca wszystkie swe sily i zdol-

ności naukom i służbie publicznej. Prawy i czciogodny mąż, ale od młodości w kształceniu się nawet umysłowo więcej za skłonnością i wolą swą idący, niż za pewnemi przepisami, ładnemi szrankami publicznych szkół nie ujęty; co do fortuny nie chudobę oszczędzać i mierzyć, ale bogatemi dochody szafować przeznaczony; inaczej zupełnie od towarzyszy swych prac i zasług usposobiony, wystąpił na widownię publicznych działań. Nie miał on zatem ścisłości tej i nawet porządku, których się wymaga po człowieku, zwłaszcza publicznym. Sprawy też domowe Czacki zaniedbał więcej, niż należało. Obok poświęcania się sprawie powszechnej, i przedwczasnie osuszył źródło hojności swojej.

Entuzjasta z przyrodzenia, gorącą duszą, a gorętszym jeszcze umysłem obdarzony, wszystko brał ognisto, wiele w żywych kolorach widział, tam nawet, gdzie z zimną rozważą działac, i tam, gdzie patrzeć własnym wzrokiem, nie zaś powiększającym szkłem należało! Czacki w urzędowaniu, w sprawach publicznych mniej zważał na ścisłość form, na dokładność w wykonaniu; w pismach swych nie miał gładkości, prostoty języka, ani jasności wykładu; ogromem wiadomości zastępował styk i precyzję myśli. Stąd żywe nieraz spory między nim, a Janem Śniadeckim o tenże sam cel chwalebny, do którego dążyli, stąd owa różnica w sposobie pisania jednego i drugiego! Czacki nie pojmował Śniadeckiego, jak można być tyle wymagającym w pilnowaniu się prawideł raz ustanowionych, i upór jego przypisywał nieraz zarozumiałości, a nawet oskarżał go o zawiść. Śniadecki, nie chcąc nie a nie folgować wybujałym nieraz widokom Czackiego, zagradzał mu czasami drogę do użytecznych, choć mniej legalnych działań. Oba szczerze i serdecznie sobie życzliwi, nawet przyjaźnią ścisłą połączeni: Czacki zachwycony zawsze nauką, wymową i gorliwością o wychowanie publiczne Śniadeckiego; ten znowu wielbiący z najgłębszego przekonania ogrom erudycji, pracowitości, czynności i poświęcenia się dla oświecenia młodzieży w Czackim; — oba, powiadam, tak słusznie cenili siebie umiemy, zawzięcie jednak stawali nieraz przeciw sobie, gromiąc jeden drugiego w dziełach swego urzędowania.

I.

Pierwsze ich związki, czysto literackie, na wzajemnem poważaniu oparte, były spokojne, obu ich umysł mocno zajmujące. Zabranie znajomości między Czackim a Śniadeckim jeszcze roku 1790 w Warszawie u Kołłątaja zrodziło pierwszy między nimi bliższy stosunek. Oba równie zajęci publicznem, przedsięwzięli wykonać rozmiar trygonometryczny całego kraju polskiego, Czacki, otrzymując zezwolenia na to rządowe i obmyślając fundusze, Śniadecki, obracając pracę swą i naukę do skutecznienia tak pięknego zamiaru. Zniweczyły go wprawdzie wypadki krajowe, ale między twórcami jego został na zawsze pewien pociąg i społeczeńcie, które niebawnie w ścisłą przyjaźń się zmieniły. Kiedy straszna katastrofa kraju przemieła, dozwalając rozpierzchnionym jego mieszkańcom odbudowywać cząstkowie przynajmniej zniszczone ich siedliska, Czacki, coraz większem uwielbieniem przejęty dla nauki i czynów Śniadeckiego, odnowił przerwane burzą stosunki. Od roku 1802 zaczyna się znowu między nimi czynna korespondencja. Czacki powtarza nieraz, że największe czuje ukontentowanie, kiedy list od Śniadeckiego odbiera. Jest to zawsze, pisze on, odezwa przyjaciela, którego umiem szanować i kochać. Utworzone w r. 1800 Towarzystwo Przyjaciół Nauk postanowiło naprzód powrócić sławę i dzieła Kopernika narodowi polskiemu, do którego słuszenie należały. Czacki był pierwszym z celniejszych grona tego współpracownikami, który, uznając w Janie Śniadeckim odznaczającego się w Europie astronoma, a pierwszego w Polsce matematyka, pośpieszył go zaszczytnymi pismami wezwać do odnowienia pamięci i zasług Kopernika. Kiedy Jan Śniadecki, dokonawszy swojej pracy, przestał ją Towarzystwu Przyjaciół Nauk, Czacki z uniesieniem ją przyjmując, tak się odezwał do autora, z Warszawy 13 września 1802 roku: „Już tedy odebrałmy twoje dzieło. Kobiety i mężczyźni, uczeni i uczący się chcą, równą czcią dla Kopernika i dla ciebie są zajęci. Jednymyślnie mówią, że nic równego w takiej materji i z tą wymową nie napisano. Wschód nieśmiertelności z księgi O obrótach, ze zgonem pisarza złączony, jenealogja rozumu, obrona Alfonsa, stały się objektem entu-

zjazmu. Jutro czytamy w zgromadzeniu, bo się oprzeć nie mogą ostrości kolegów, którzy wyprzedzać zdają się w chęci czytania i admiringowania. Wszyscy wolają o przekład francuski. Pytam się ciebie, szanowny przyjacielu, czybys nie pozwolił, aby Linowski przetłumaczył pod twoimi oczyma. Wszyscy go proszą będziemy. On jest Polakiem, on nie odmówi tej narodowej słaby. Będiesz na to patrzył, będziesz sądził moe wyrazów własnych.

Gdybys zaś nie chciał poruczyć tej pracy Linowskiemu, to już tutaj będzie przekład, ale kto odpowie za kalectwo wyobrażeń? — Przyłączam list do Linowskiego. Racz go oddać, jeśli pozwolisz, aby on tłumaczył. Kopczyński prosi tylko, aby pamięć nie była in plurali: całe zaś dzieło, jako najpiękniejszy nawet płód gramatycznych prawideł adoruje. — Ja cię proszę: 1-mo — o wymazanie mojej pochwały. Na nią nie zasłużyłem, i może ona być wtenczas, kiedy mówisz o Koperniku, kiedy ty mówisz o nim? Chcesz między sobą i mną szanować ostateczność, jaką dowiodłeś między wielkością sławy księgi Kopernika, a zgonem człowieka. 2-do — Miasto Toruń nazwałes anzeatycznym. Te nigdy niem nie było. Pozwól, aby był wyraz zamiast anzeatyczny, handlowy. 3-o — Wszędzie piszesz Fruenburg. Zawsze nazywa się Frauenburg, bo to nazwisko jest z dwóch słów Frauen-Burg od N. Panny: Liebè Frau, pod której imieniem katedra jest fundowana. Kiedy ten list kończę, zgromadzenia naszego członki, przysłuchani osam, odmieniają projekt tłumaczenia (pochwały Kopernika) w tym sposobie. Jest tu P. Tegoborski, człowiek najlepiej po rozumku piszący. Był on szefem zagranicznego departamentu ekspedycji. Polećmi jemu tłumaczenie, Mostowski je przejrzy. Tobie pierwsze arkusze posłemy. Jeśli uznasz je za dobrze tłumaczone, będzie się drukować. Pierwsze to będzie dzieło w drukarni Mostowskiego; i chemy je rozesała na cały świat oszony. Ahyim ci dał krótki obraz ukontentowania, które twe dzieło zrobiło, dość powiedzić, że dziś o godzinie 10-tej jest mi oddane, a do godziny 9-tej w wieczór, o której piszę, jeźnascie razy jest przeczytane. Ścisam cię serdecznie. Dumny jestem z twojej przyjaźni. Molski uprzeda mnie w przysłaniu

ci jednego listu Kopernika. Niesie on ci tę pamiątkę w hołdzie. Moja żona najpiękniej kłania, i równie, jak obywatelka dziękuje."

Czacki z podobnymże zapalem witał w następnym, 1803 roku Jęografją matematyczną, którą Jan Śniadecki wypracowawszy, przesał Towarzystwu Przyjaciół Nauk; kłopot się o dobre przekłady pochwały Kopernika na francuski i włoski języki, tak jakby był jej autorem; nakoniec uderzony nauką i doświadczeniem Śniadeckiego w sprawach publicznej instrukcji, rozmyślał nad środkiem sprowadzenia go do Litwy i postawienia na czele uniwersytetu i szkół tamtejszych. Tymczasem, zbierając nauczycieli do gimnazjów na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, swojemu dozorowi powierzonych, wybór i polecenie ich oddawał co chwila zdaniu swego przyjaciela. Śniadecki odpłacał mu szczeremi i dojrzałemi radami, a uwielbienie i życzliwość swa dla Czackiego za każdą zręcznością okazywał publicznie.

Opracował BRONISŁAW CHLEBOWSKI (w r. 1914).

MALINOWSKI MIKOŁAJ.

(1799—1865.)

Historyk, w latach młodych w bliskich z Mickiewiczem stosunkach pozostający filareta, urodził się 6 (18) grudnia 1799 r. w Machnówce (w gub. kijowskiej). Nauki początkowe pobierał w Niemirowie i w bazylianów w Barze, gimnazjalnie odbył w Winnicy, poczem w r. 1819 wstąpił do uniwersytetu w Wilnie. Studiował na wydziale literackim języki i literatury starożytne; był ulubionym uczniem Grodecka, z zachęty jego napisał dwie rozprawy seminaryjne: o filozofii stoickiej i o duchu mowy poetycznej Homera. Należał do Związku Filaretów i przewodniczył (po Czezoście i Kowalewskim) w gronie błękitnem, t. j. literackim, do którego był przyjęty wraz z Odyńcem d. 1 listopada 1820 r. Z L. Rogalskim i Odyńcem redagował czas jakiś (1823—24) założone (w r. 1820) przez K. Kontryma „Dzieje Dobroczynności Krajowej i Zagranicznej”. Dostarczał Lelewelowi wiadomości bibliograficznych do jego „Bibliograficznych ksiąg dwojga” (1823—26). Wydał wzorowo „Jeruzolimę wywołaną” Tassa w przekładzie Piotra Kocharowskiego, poprzedzwszy ją studjum wstępem. Obok literackiej, oddawał się pracy społecznej i zarobkowej; więc zajmował stanowisko sekretarza Izby Pożytkowej i sekretarza komitetu egzaminacyjnego przy Towarzystwie dla Wspierania Ubogich Uczniów Uniwersytetu, dawał lekcje jako nauczyciel prywatny.

Zamieszany w procesie Filaretów, kilka miesięcy, od 1 listopada 1823 r. do kwietnia 1824, przesiedział w więzieniu (u Bernardynów). Dzięki jakimś wpływom kara, która tak sroko dotknęła wielu Filaretów, ominęła go; z Litwy nie został wygnany; ale w parę lat potem, w r. 1827 (w sierpniu) udał się dobrowolnie do Petersburga, dokąd go ściągnęły z jednej strony widoki zostania nauczycielem cesarszewicza, z drugiej możność studjowania źródeł do historii polskiej w Bibliotece Zahaskich, do stolicy nadniewskiej przewiezionej. Spotkał się w Petersburgu w r. 1827 z Mickiewiczem. Od 24 listopada (6 grud.) 1827 do 4 (16) kwietnia roku następnego spisywał Malinowski pamiętnik swego tu pobytu

w języku łacińskim i umieścił w nim m. i. opis owego wieczoru grudniowego (24 grudnia 1827), w którym Mickiewicz improwizował, na dany mu przez niego temat, tragedję o Samuelu Zborowskim; dał jej też szczegółowe streszczenie. Powróciłszy do Wilna w końcu roku 1828, ożenił się z siostrą dr. med. Ferdynanda Gatta i został zrazu sekretarzem, a następnie prokuratorem t. zw. Komisji Radziwiłłowskiej. Za pomysłone dla ks. Włggensteinów (episkobierców Radziwiłłów) przeprowadzenie pewnej sprawy majątkowej z Tysskiewiczami otrzymał fojwark w dożywocie. Praca Malinowskiego w Komisji trwała do r. 1840.

Obok zajęć archiwalnych oddał się teraz Malinowski w Wilnie poważnej pracy na polu dziejznawstwa. W przedzjęciu lat dwudziestu (1844—64) wydał cały szereg źródeł i prac historycznych, a więc: „Źródła do dziejów polskich”, Wapowskiiego „Dzieje Korony Polskiej” i W. Ks. Litewskiego” w przekładzie polskim, „Pamiętnik kowskiego „Kronikę” i inne pisma; Comendoniiego „Pamiętnik o dawnej Polsce”, Bużeńskiego „Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich”, tom I-szy „Pamiętników Wileńskiej Archeologicznej Komisji” (której był czynnym członkiem) do spółki z A. Kirkorem, Stanisława Łaskiego „Prace naukowe i dyplomatyczne, wraz z dziełami hetmana Tarnowskiego i inne. Wszystkie te wydawnictwa poprzedził źródłowski i wyczerpujący rozprawi historycznymi i przydział źródłowski i wyczerpujący rozprawi historycznymi i przydział piskami. Z Odyńcem, Ignacym Chodźką i innymi wziął udział w wydanych z inicjatywą Kirkora lojalnym „Albumie Wileńskim”, w poświęconym cesarzowi Aleksandrowi II, z okazji pobytu jego w Wilnie w r. 1858, za co zgromolony został wraz z innymi przez Kłaczkę („Odstępy” 1860) i Ujejskiego („Listy z pod Lwowa”, 1860). Pomieszczał artykuły w Dzienniku Wileńskim, Tygodniku Petersburskim (1830—35); w Tece Wileńskiej Kirkora (1857—58), w Kurjerze Wileńskim (wstępne artykuły polityczne). W rękopiśmie (z l. 1840—41) pozostawił „Historję Angielionów na Węgrzech”, którą uważał za główną pracę swoją. Pod koniec życia ościenniał, dyktował w r. 1864, „wsród największego srożenia się rządów Marawajwa”, wspomnienia swoje, wydane przed kilku laty przez J. Tretiaika.

Zmarł 17 (29) czerwca 1865 r. w Wilnie.

BIBLIOGRAFIJA.

A. Pisma Malinowskiego. Wydał: „Goffred albo Jerozalem Wyzwolona Torquata Tassa. Przekładania Piotra Kochanowskiego, sekretarza Jego K. M.” 2 tomy. Wilno 1826. Wydanie sporządzone na podstawie pierwszego z r. 1818. „Przedmowa” (III—CVII) nie podpisana zawiera życiorys Tassa, ocenę poemata

i przekładu polskiego oraz dodany słowniczek archaizmów. — „Kronika...” Strykowskiiego, wraz z dziełami jego pomniejszych, przedrukowana z wydań pierwotnych, którę Malinowski poprzedził „Wiadomością o życiu i pismach Strykowskiiego. Warszawa, 1846. — „Źródła do dziejów Polski”, 2 tomy. Wilno, 1843—44. Wydał je wespół z Aleksandrem Przedzjęckim i Michałem Grabowskim, których udział polegał na dostarczaniu mu materiałów. — „Pamiętniki o dawnej Polsce”, 2 tomy. Wilno, 1847—51, przełożone wraz z Józefem Krzeczowskiem; zawierają listy Comendoniiego, ze wstępem historycznym M-go. — St. Bużeńskiego „Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich”, 5 tomów. Wilno, 1852—60, w przekładzie Szyszyk. — Wapowskiiego „Dzieje Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego” przełożył Mal. 3 tomy. Wilno 1846—49. — Stanisława Łaskiego wojewody sieradzkiego Prace naukowe i dyplomatyczne. z dodatkiem dzieł Jana Tarnowskiego... Wilno, 1864 (zawiera m. i. przedruk z pierwodruku „Consilium rationis bellicae”) z obszerną rozprawą wstępną. — W „Herbarzu starodawnej szlachty Wilczyńskiego (Paryż, 1860) umieścił M. redowody kilku rodzin litewskich. — Z A. Kirkorem wydał „Pamiętniki Wileńskiej Archeologicznej Komisji”, tom I (Wilno, 1858, po pol. i ros.) — W „Albumie Wileńskim” (Wilno, 1858) pomiescił artykuły po francusku o Litwie p. t. „La Lithuanie depuis l'avènement au trône de Sa Majesté l'Empereur Alexandre II”. — Artykuły drukował w Dzienniku Wileńskim, (tu pierwszy art. „Wiadomość historyczna o szkole aleksandryjskiej” (1821), w „Dziejach Dobroczynności Krajowej i Zagranicznej” (1823—24), Tygodniku Petersburskim (1830—1835), Tece Wileńskiej (1857—58), Kurjerze Wileńskim (1840—63). — Dziennik łaciński Malinowskiego, pisany w Petersburgu w 1827—28, przechowuje się w rękopiśmie, niegdys Winc. Korotyńskiego, w Bibliotece Krasinich w Warszawie; wyjątki z niego w przekładzie polskim ogłoszono: a) p. t. „Ustęp z pamiętników M. Malinowa”, w „Korespondencji Ad. Mickiewicza”, tom IV. Paryż, 1885; przedtem w „Kronice Rodzinnej” 1875, z opuszczeniami cenzuralnymi; b) inny urywek w książce zbiorowej „Sami sobie”, Warsz. 1900; całość w oryginalnym łacińskim wydał M. Kridl w tomie I „Prac Komisji do Badań nad Historją Literatury i Oświaty”. Warszawa, 1914 (wydawn. Towarz. Nauk. Warsz.); toż w przekł. polskim wydał i wstępem opatrzył M. Kridl, p. t. „Dziennik Mikołaja Malinowskiego”. Wilno, 1914. — „Książka wspomnień”, wydał Józef Tretiaik. Kraków. 1907 (z rękop. Bibl. Akademii Umiejętności.) — Listy: do Lelewela, dwa z Petersburga z r. 1827 w „Koresp. Mickiewicza” tom III (str. 38) i z r. 1828 w Bibl. Warsz. 1876, I; wyjątki z 15 listów do Lelewela (o Mickiewiczu) z l. 1824—28 w Pamiętniku Mickiew. I (1887); list do H. Rzewuskiego z r. 1842 w „Książce Pamiątk. Mickiewicza” (1898); list do Konst. Rdultowskiego z r. 1845 w Kurjerze Warsz. z r. 1902, z d. 2

listopada. — Za objaśnienia historyczne, dodane do przekładu Klem. Janickiego (1851), Kondratowicz dedykował Malinowskiemu swą pracę, „w dowódzie czci i wdzięczności”. — Rękopis „Historji Jagiellońów na Węgrzech” („Panowanie Jagiellończyków w Węgrzech”) przechowuje się w bibliotece, po J. I. Kraszewskim pozostałej; rękopis studjum o Januszu Radziwiłłowskiej* (ustęp od r. 1764 do r. 1804) druk. w Kółku Domowem 1866.

B) O Malinowskim pisali: W. Korotyński: „Wspomnienie o Mik. Malin.” Kółko Domowe, 1865. — Tenże we wstępie do „Ustępu z pamiętników Malinowskiego”. Kron. Rodz. 1875. — F. M. Sobieszczkański w Encykl. Orgelbr. — Odyńiec w „Wspomnieniach z przeszłości”. Warszawa, 1884 (str. 111—116). — Wł. Mickiewicz w Żywocie Ad. Mickiewicza, tom I. — Uziębło w Kur. Codzien. 1899 z 24 lipca. — L. S. Korotyński: „Urywek z pamiętnika Mik. Malinowskiego”. Sami sobie. Książka zbior. Warsz. 1900. — E. Chw. w W. Enc. Powsz. Ilustr. — Kraushar: Z archiwum b. Trzeciego Wydziału w Petersburgu. Przegl. Histor. 1906 (o liście Mal-go do Kspra Żelwiera, w którym opisał ucztę dla Mickiewicza z d. 24 grudnia 1827; por. Księgi wspomnień str. 76—81). — Wł. K.: List Filaretów. Kurjer Warsz. 1906, nr. 326. — Tretiak we wstępie do „Księgi wspomnień”. Kraków, 1907. — J. Bieliński: Uniwersytet wileński, III. — Chmielowski: Ad. Mickiewicz I, 405 (wyd. 1886). — M. Kridl: we wstępie do Dziennika łacińskiego. Prace Komisji do Badań nad Historją Literatury i Oświaty. (Tow. Nauk. Warsz.), Warsz. 1914.

A) Z listów do Lelewela

(1827—28).

Z Lelewelom korespondował Malinowski w l. 1824—1828. Oprócz dwu listów, które podajemy, ogłoszono wyjątki z 15 listów. W tych dwu listach z r. 1827 i 1828 opowiada Malinowski o improwizacjach Mickiewicza w Petersburgu w r. 1827. W drugim liście, z d. 19/III 1828, i w pamiętniku łacińskim, wspólnie przez Malinowskiego w Petersburgu spisywanym, miści się jedyna znana relacja o improwizacji Mickiewicza o Samuślu Zborowskim. Szczegółowsze streszczenie improwizowanej przez Mickiewicza tragedji o Sam. Zborowskim, podane przez Malinowskiego w r. 1804 w „Wspomnieniach”, mniej jest wiarogodne, nietylko dlatego, że nie zgadza się w szczegółach z pierwszą relacją, ale że spisane zostało nie bezpośrednio pod wrażeniem tej improwizacji, lecz w kilkadziesiąt lat później.

Tekst listu Malinowskiego do Lelewela z r. 1827 wzięliśmy z „Korespondencji Ad. Mickiewicza”, tom III, 38; tekst drugiego, z r. 1828, z opuszczeniem dłuższego ustępu o improwizacji na temat: Samuel Zborowski, — z Biblijeki Warszawskiej 1876, t. I, 411—417.

Petersburg d. 28 grudnia 1827 r. (9 stycznia 1828).

...Od trzech przeszło tygodni przybyli tu Adam Mickiewicz i Franciszek Małewski z Moskwy, w orszaku księcia jeźdźca-gubernatora moskiewskiego. Małewski może w Petersburgu zostać, a Mickiewicz za kilka dni nas opuści i nazad do Moskwy wróci. Po tylu latach niewiedzenia się, po tylu zobopólnie doznanych nieszczęściach, z braterskim uczuciem rozrzewnienia witaliśmy siebie nawzajem. Mickiewicz zewnętrznie cokolwiek odmienił się, zapuścił bakenbardy, to go poważniejszym czyni. Cera zdrowsza, nieco zmężniał, odmienił się, ale na swoją korzyść. W towarzystwie nie jest, jak dawniej, ekscytywny, i owszem, bardzo swobodny i ujmujący. Tych nawet, którzy mniej mają prawa być ze strony jego z uprzedzeniem traktowani, bardzo uprzejmie przyjmuje. Talent jego dojrzał, rozmowa zasłona i tem, co widział, i co czytał, nosi nadto piętno jego bogatej imaginacji. Lubi teraz mówić dużo, jego głos często sam tylko słychać w zgomadzeniu, i każdy skwapliwie ucisza się, aby go słuchał. Prawdziwie napęłała mię uczucie dumy, że byłem kolegą Mickiewicza i że jestem jego przyjacielem. Przybycie jego do Petersburga sprawiło niesłychaną sensację. Rosjanie i Polacy prześcigają się w okazywaniu mu poszanowania. Prowadzimy życie prawdziwie karnawałowe, jedne obiady, aż za północ przeciągające się, szybko idą po drugich, a i tak zaprosin wszystkich przyjmować nie może. Pozostaje mu tylko trudność wyboru. Mickiewicz talent improwizacji doprowadził do zadziwiającego stopnia doskonałości. Gdy czuje się w werwie, dosyć jest zagrać na fortepianie znaną jakąś piosnkę, natychmiast improwizuje, i to z taką gwałtownością, tak nagle, że zdaje się, iż duch jakiś go dręczy, by co prędzej pozbyć się uczuć serca. Jużem go kilkanaście razy słyszał. Pisać niezmiernie trudno, bo żadne pióro nie poświegnie szybkości poety, i przytem nie pozwala on, aby pisać, bo mówi, że to w nim zapal niszczy, gdy piszących widzi. Przynajmniej co wieczór pilnie spisywałem treść każdej jego improwizacji; niech te niezgrabne rysy przedziwnych malowideł przynajmniej w trwałej pamięci zostaną. Mickiewicz przy-

jechał tu jużto dla towarzystwa Franciszka¹⁾, już dla osobi-
stego postarania się o pozwolenie wydawania pisma peri-
odycznego, pod tytułem *Iris*, w Moskwie, w języku polskim.
Miało być to pismo poświęcone literaturze, filozofii, poezji.
Z wielkim żalem naszym, minister nie pozwolił; żadnej nawet
przyczyny nie dał. Przywiózł także z sobą rękopism swego
nowego poematu Wallenrod. Czytałem go zupełnie wnie-
sę; ale, im częściej wyczytuję się, tem coraz obfitsze piękności
widzę. Nie jeszcze podobnego w poezji polskiej niema; śmie-
rokować, że uwłaczający sławie Adama będą musieli umilknąć,
albo niesforne wrzaski we wstrętem odrzucone zostaną. Poemat
ten ma przeszło 2000 wierszy, autor też próbę uczynił, wpe-
rowadzając w narrację heksametr; nie wiem, jak tę nowość tam
przyjmą; mnie, oswojonemu z miarą dawnych, mile do ucha
wpada. Ale tendencja poematu jest górna i zacna. W każdym
narodzie i wieku podobać się będzie. Tu dla nadchodzących
świąt i niezgrabnego druku, nie mógł drukować; za powrotem
więc do Moskwy, zapewne w końcu przyszłego miesiąca z pol-
prasy wyjdzie.

Mikołaj Malinowski.

b)

7 (19 marca 1828 r. S. Petersburg.

W ostatnią sobotę list pański otrzymałem, śpieszę na-
tychmiast z odpowiedzią. W samej rzeczy nie należało mi ca-
kać, dopki nie będę proszony o udzielenie obszerniejszego
opisania improwizacji Adamowych, lecz nie wiem sam, dła-
czem to uczynił. Opieszalność w pisaniu nie może być przyczyną
tego, ponieważ nie znam chwil przyjemniejszych nad te, które
poświęćm rozmowie z moim zacnym i łaskawym przyjacielem.
Chcę dzisiaj wynagrodzić to opuszczenie, ale ostrzegam za-
wczasu, że wierszy samych przysłać nie mogę. Mickiewicz
improwizował tu otoczony zazwyczaj tłumem słuchaczyw, nie
było nikogo, który chciał pozabawić się przyjemności patrze-
nia na mówiącego poetę, a jeżeli w godzinach uroczystych, jak
np. wtenczas, kiedy improwizował tragedję, znaleźli się tacy,

¹⁾ Malewskiego. (Przyp. Red.)

kórzy pisać chcieli, nie zdolali uczynić tego dosyć ostrożnie;
postrzegł się Adam i wyraźnie oświadczył, że szelest pióra
szczy w nim złudzenia poetyckie. Nie miałem więc innego
sposobu, tylko, powróciwszy do domu, zapisywać to, com so-
bie ogólnego mógł przypomnieć; ale powracałem najczęściej
z biesiadą o godzinie 2-jej lub 3-jej po północy, zażony, senny;
nie wiem, czy co godnego czytania w moim dzienniku zanote-
wałem, postarałem się jednakże uczynić zadość rozkazowi pań-
skiemu, ile ze mnie będzie. Pierwszy raz tu słyzałem improwi-
zującego Adama d. 16 grudnia. Uległ poeta prósbom wszyst-
kich obecnych, ale w uskuteczzeniu znalazły się przeszkody.
Przywykł Mickiewicz improwizować zawsze przy fortepianie,
tylczasem instrumentu nie było, sprowadzać zdawało się za późno;
wynaleziono gdzieś cza k an i przy jego odgłosie śpiewał Adam
kilkanaście zwrotek wesolych, żartując z różnicy czasów obec-
nego i przeszłego, kiedy śród dziewic i śród towarzyszyw mó-
wił przychodziło, wtenczas, kiedy i rymu brakło, podsuwał go
którykolwiek z oswojonych z sercem poety, z rozumiejących
jego język i t. d.; teraz śpiewać trudno, pierwszy raz niektó-
rych widzi, lęka się znaleźć romantyków, którzy bez sądu, bez
autosierdza wołają na niego crucifige. Woli więc być poetą
na zawołanie, chce śpiewać na urząd, bo tacy lepiej od tan-
detych wychodzą. Prosił więc, aby mu podana była treść
pieśni. Józef Oleszkiewicz, malarz, człowiek zacny, ale na nie-
szczęście mistycyzmem zarazyony, podał psalmodję stwo-
rzenia. Po tytuł przykładach wielkich i małych poetów, któ-
rzy lub zaczęli lub kończyli swój zawód na śpiewaniu chwaly
Stworzyciela, nie spodziewałem się nic nowego usłyszeć; ale
jak przyjemnie zostałem przerażony, kiedy poeta wystawił
Boga w zamieszaniu i w zamęcie wszechrzeczy, rozdzielają-
cego chaos, i w jednej ręce światło, w drugiej obejmującego
ciemności.

Nie mogę się odżalować, że m tych kilkunastu wierszy
nie schwylił i że ich nikt nie pamiętał. Mógłby wytrzymać
porównanie, a może wziąć pierwszeństwo nad wspaniałym obra-
sem Boga, który na wiatrach nieograniczoną przestrzeń prze-
latuje, którego gromy i błyskawice są posłami, a który Ko-
shanowski tak godnie wytłumaczył (w Psalmach Dawida).

Przytomny Bułharyn prosił o pochwałę wolonterów naszych. Wyprawa hiszpańska dziwnie wystawiona w kilkudziesięciu zwrotkach była. Nakoniec pieści do gospodarzy za gościnie przyjęcie skończyła improwizację dzisiejszą.

Dnia 22 byliśmy u zacnego młodzieńca Postumjusza Prószyńskiego, gdzie Orłowski swoim sposobem improwizował w mgiełniu oka, prawdziwe dzieła sztuki zapomocą kredy tworząc. Oleszkiewicz nawracał, a Adam ich obydwóch pochwałę śpiewał. Miejsce, gdzie o sztukach, jak o siostrach jednej matki, o ich wzajemnej miłości i słodkim rodzinnym związku, o ich wielkiem przeznaczeniu mówił, dziwnie piękności. Tę improwizację zanotował Prószyński, ale hrabina Chodkiewiczowa zabrała z sobą i tak niespodziewanie, że nie miano czasu skopjować.

.....

...Dnia 27 Bułharyn dał obiad dla Adama, znajdowali się na nim: Orłowski, Sapieha, Sękowski, Linowski, Łęski, Jelski, Chodźko, Malewski i t. d. Cały obiad zszedł na kłótni z Sękowskim, który niesłychanym sposobem z nieprzebaczoną zachwalnością rzucił się na to wszystko, cokolwiek ludzie zaczęli szanować zwykli, a lubo Sękowski bardzo jest mowny, lubo nad dowodami swojemi już oddawna pracuje, często paradoksa swoje powtarza, wielką liczbę fałszywych lub poprzekręcanych faktów ma na zawołanie, nie zdołał jednak oprzeć się Mickiewiczowi, który go kompletnie pobił.

Po stole proszono Adama o improwizację. Sękowski, chcąc się pomścić, dał mu przedmiot bardzo klasyczny: Wyprawę kapitana Parry do bieguna północnego i sam mi do ucha szeptał, że ciekawy jest, jak się poeta pokaże. Adam opisał, jak Anglikom znane były okropne strony oceanu Lodowatego, jak uczeni spodziewali się rozszerzenia wiadomości, a kupcy nowego źródła zysków z odkrycia dróg, dotąd niedostępnych, jak używano ochotników do tego przedsięwzięcia i jak powstał jeden tylko Parry. Opisanie przez poetę budowli okrętu jest świadectwem dostatecznem, jak Mickiewicz zwraca na wszystko uwagę, co ze sztuką jego ma związek. Sam Sękowski przy-

klasnąć musiał. Ale już okręt puszczony przeszedł za granicę naszą, niesłychane trudności pokonywać, prace ponosić, niedostatków doznawać musieli żeglarze. Parry dzieli z nimi wszystkie niewczas, ale kiedy inni upadają na sercu, on jeden wszystkim dodaje odwagi; majtkowie grożą buntem, już wpadli do izby kapitana: ten niewzruszony, spokojny, wychodzi przeciwko nim i, wytrąciwszy pistolet z rąk pierwszego zachwalca, nakazuje milczenie i głos zabiera. Wiele o stawie Anglików w żeglarstwie, o ich wytrwałości mówił, nakoniec, podziśsiłszy oczy do nieba, ujrzał orła; zwraca uwagę swoich słuchaczy na królewskiego ptaka i mówi, że ten orzeł, którego nad głowami waszemi widzicie, przyleciał tu z nad brzegów Białej-Wody. Naród, co u brzegów tej rzeki mieszka, w okropniejszej od obecnej chwili nie stracił podłe — tak jak wy — serca i wielkich rzeczy dokazał sławą przewag swoich na trzech częściach ziemi, na obydwóch półkulach świata, dla potomności zapisiał, a wyż ludzie jeszcze wolni, z tego przykładu korzystać nie chcecie?

Dalej są skutki tej mowy: wytrwałość i posłuszeństwo przykładne i powrót, wtemczas dopiero przedsięwzięty, kiedy natura odmówiła swej pomocy.

Żałuję nieskończenie, że te blade bez życia parafrazy piszę. Nigdy nie żałowałem tyle, żem się stenografji nie uczył, jak słuchając Adama. Rozmowa jego nawet zaczęła przybierać cechę improwizacji, tak jest świetna, tak obfiata w myśli własne, oryginalne. Z serca winszuję literaturze, że posiada takiego olbrzyma.

Serdecznie dziękuję za łaskawą pamięć o mnie, nie wiem, czy mi wypadnie przenieść się do Warszawy, zależeć to będzie od skutku moich antreprzyz petersburskich. W tych dniach spodziewam się otrzymać pozwolenie wydawania tygodnika przy pomocy Malewskiego, Mickiewicza i niektórych innych. Upraszam pana najzupełniej o ozdobienie tego nowego pisma rozbiorem którego z nieegzaminowanych dotąd dzieł historycznych. Najlepiej gdyby można wziąć pod uwagę pisma Albertrandego wydane przez Żegotę, a nawet Władysława IV pana Kwiatkowskiego; zresztą spuszczam się na światły wybór pański, bo o skutku mej prośby, ufny w dobroć, nie wątpię. Najle-

piej jednak byłoby, z powodu tłumaczenia Karamzina, dać całą recenzję jego Historji; teraz pewnoby można ją wydrukować *mutatis mutandis*.

Na inne szczegóły listu pańskiego odpowiem w przyszłą środę, bo ten już i tak długi. Powtarzam prośbę o książkę, którą posłałem dnia 22 lutego. Teraz posyłam pieniądze na prenumeratę „Gazety Polskiej”. Racz pan to zrobić, abym mógł ją odebrać przez kancelarję Królestwa, rozumiejąc, że Hlebowicz to ułatwi.

Bulharyn, który ma córkę i żonę, włożył na mnie usługę sprowadzenia dla nich trzewików. Prawdziwie wstydy udawać się do pana z taką prośbą, ale nie odmawiaj pan tego podług przyłączonych tu miar i żądań tych dam. Racz pan kupić trzewiki i przesać pod moim adresem do kancelarji pańskiej. Damy nasze chciały wystąpić w trzewikach warszawskich na Wielkanoc, rozumiem, że właśnie w czas otrzymać je będą mogły.

Do pana Niemcewicza napiszę we środę, bo dzisiaj już mało czasu, a nie umiem pisać innego dnia, jak wtenczas, kiedy mam list wyprawić.

Polecam się łaskawej pamięci
Mikołaj.

Jest tu Adolf Januskiewicz, dla interesów, prosił, abym go przypomniiał pamięci pańskiej.

B) Z „Księgi wspomnień”

(1864).

(„Mikołaja Malinowskiego Księga wspomnień”. W Krakowie, 1907).

Wspomnienia swoje polskie dyktował Malinowski pod koniec życia, w r. 1864. O lat kilkadziesiąt wcześniej, w r. 1827, w Petersburgu, zmarł Malinowski spisując pamiętnik w języku łacińskim, ale doprowadził go tylko do kwietnia r. 1828. Wspomnienia Malinowskiego polskie spisano z usię jego w formie luźnie powiązanych z sobą opowiadań. Podajemy wspomnienie z czasów sprawy filareckiej, w którym Mal. maluje obraz życia w zięnię.

(Str. 35—38.)

...Adam Mickiewicz, po ciężkiej chorobie, przebył w Kownie, otrzymał od uniwersytetu pozwolenie zamieszkania

w Wilnie, gdzie mógł mieć łatwiejszą pomoc lekarską. Uniwersytet z ojcowską wyrozumiałością zostawił mu pensję nauczyelską, jaką pobierał w Kownie, i przeznaczył dnia po wyzdrowieniu wyższą pensję w swoim gronie. Ale skoro komisja, ustanowiona przez Nowosiłcowa, znalazła w listach Filaretów, natychmiast jak i inni został zamknięty w klasztorze Bazylianów, zamienionym na więzienie. Śledztwo ciągnęło się leniwie, jesień nadchodziła, trzeba było urządzić na zimę klasztor: bernardyński, pijarski, dominikański, franciszkański i misjonarski. Profesorem dowiadawali się co rana o tem, że po kilku ich najlepszych, albo dawniejszych, albo teraźniejszych uczniów w nocy zabierano.

Na jednej lekcji zacytował Grodeck, tłumacząc mowę Demostenesa za Ktezyfonom, doszedł do pysznego ustępu, w którym mówca opowiada okropności tej nocy, w której Filip Macedoński wtargnął do Aten i najzasłużeńszych obywateli rzeźpospolitej do więzienia powtarzać rozkazał. Wymawiając słowa — „noc była” — zalał się łzami, bo właśnie przeszłej nocy uwięziono: Mickiewicza, Kowalewskiego, Aleksandra Chodźkę, Jędrzejewskiego, Wiernikowskiego i jeszcze kilku innych. Ale nadzedł dzień pierwszy listopada; wieczorem, około godziny 10, najświętszą liczbę pochwytano po domach. Wówczas i Malinowski był wzięty i odprowadzony do klasztoru Bernardynów. Cella była nadzwyczaj mała, ćwierć jej zajmował jeszcze ogromny piec ceglany; widać, że dawno nie była zamieszkaną, gdyż była nadzwyczaj brudną. Wydała się Malinowskiemu okropną. W rozruchu zabierania osoby i poscieli trudno było pomyśleć o wzięciu z sobą jakiej książki. Co więzienie okropnem czyniło, to, że z początku każdemu więźniowi dodawany był żołnierz, który z nim razem w tej celi musiał się mieścić. W kilka dni jednak to się zmieniło i już żołnierze na korytarzu straż odbywali. Ze zaś każdy po pięć cel miał pod dozorem, stanowiło to pęk kluczków, któremi ciągle po korytarzu jak kajdanami brzękałi. Pod względem wygod nie było niedostatku, bo mieszkańcy wileńscy dali wówczas dowody wzorowej ładkości. Właściciele domów zamożniejszych pospisywali więźniów po klasztorach i komu do którego klasztoru było bliżej, jeżeli Filareta bliższe związki pokrewieństwa lub przyjaźni

z kim nie łączyły, przyjęli na siebie obowiązek pamiętania o wygodach stołu i bielizny. Uwięzieni u Bernardynów obaptani byli przysmakami od panien święto-michalskich. Na usłudze, zamieszoną do odwiedzających urzędników, a mianowicie do poczciwego policmajstra Szykowa, każdy dostał po kilka książek, sprowadzonych z domu, albo dostarczonych przez księgarza Józefa Zawadzkiego, który okazywał w tej mierze najszczerzą uczynność. Ale ponieważ odmiana mogła tylko następować przez ręce Szykowa, szło to bardzo leniwo, tak, że często po tygodniu i więcej nie było co do czytania. Jednego wieczoru w początkach grudnia (1823) Malinowski zgasł świecę i zatopił się w myślach. Wtem coś zleka poczęło udzielać się o danie sobie przytulku. Malinowski otworzył połowę okna. Długa żerdź wsunęła się do celi; ujawszy ją pociekiem, więzień poczuł, że koniec obwinęty był papierem. Skoro go zdjął, żerdź cofnęła się nazad. Rozniecił ogień i znalazł kilka słów, napisanych ółwkiem przez Aleksandra Berrowskiego, młodszego brata profesora Leona, z którym Malinowski ścisłe był sprzyjałniony. Śliczny to był chłopiec ten Aleksander. A taki serdeczny, taki miły i usłużny, że równego mu znaleźć było trudno. W papierze, którym żerdź była okryta, znalazł się mały kawałeczek ółwka i przestroga, że jeśli przyjdzie co odpisać, należy w okno zapukać, a żerdź odpowiedź przyjmie. Donosił też razem, że jako uczeń skarbowy medycyny mieszka bezpłatnie w klasztorze Bernardynów, na dole, tuż pod Malinowskim, i że co nocy, nim księżyc wejdzie, będzie mógł tą drogą komunikować się z sąsiadem. Malinowski prosił, aby Aleksander poszedł nazajutrz do przyszłej jego żony i poprosił ją o uszycie sporej torbecki z grubego płótna, aby w nią włożyła kłębek szpagatu, parę ółwków, scyzoryk i z pół libry papieru. Tegoż dnia wieczorem usłużna żerdź to wszystko podała. Od tej pory korespondencja szła najregularniej; tą drogą dostały się wszystkie żądane książki, listy, nowy zapas papieru i drobniejsze sprzężki. Koleżdy Malinowskiego, może pozbawieni tego środka, mogącego im skrócić czas i oświecić samotność więzienia, nie zważając na zimno, otwierali okna i leżąc na nich rozmawiali z sobą. Komendant miasta,

obchodząc strażę, postrzegł to, doniósł, kazano popieczętować okna. Kilka dni przerwała się wszelka komunikacja. Szyzkow, z obowiązku odwiedzając więźniów, wszedł do celi Malinowskiego, który żalił mu się, że powietrze było nieznosne w tak ciasnem zamknięciu, którego przez odemknięcie okna odwieżyć było niepodobna. Szyzkow z usmiechem odpowiedział, że na to jest sposób wybieć niby przypadkiem szybę, a nim nowe szkło wstawią, można celę przewietrzyć, aby zaś nie było zimno, zatkać otwór poduszka. Malinowski zapytał: „czy tak?“ uderzył w szybę, która wyleciała z brzękiem. Ledwie na trzeci dzień zastąpiono szkło rozbite nowem, a tymczasem żerdź znowu ukazała się przed otworem i Malinowski mógł napisać, żeby mu przystano kawałek laku i strunę fortepianową. Odtąd co wieczór, kiedy miał skomunikować się z poczciwym Aleksandrem, nagrzewał strunę nad świecą, potem pociągał ją pod pieczęć policyjną, która odstawała od drzewa, bez najmniejszego naruszenia. Za danym znakiem żerdź zjawiała się i korespondencja szła regularnie na nowo. Malinowski nie doznawał już niedostatku w książkach. Przywykł do swego położenia, nawet to ciągle odosobnienie poczynało nabierać jakiegoś smutnego powabu. Dla ruchu żądał od żołnierza, aby za dane mu pieniądze kupił szcزتkę i odzień najczyściej wymiał swoją celę. Sprowadzonymi w worku szeterkami pył ścierał i cela nabrała nawet pewnego rodzaju elegancji. Przeczytał w więzieniu wszystkie dzieła Cyserona i Ksenofonta, Historję literatury włoskiej przez Ginguędy, historję rzeszypolskich włoskich Sismondi, prócz kilkunastu romansów Waltera Scotta. Dni upływały jednostajnie, ale mile. Często, zaczytawszy się głęboko w noc, usypiał po północy. O godzinie 4-ej żelazna grzechotka budziła Bernardynów do chóru, budził się i Malinowski, ale wnet przy jednostajnym śpiewie zakonników, przy poważnym, a tłumionym głosie organów znowu usypiał i, kołysany tą harmonją, nie pamiętał, aby kiedykolwiek przedtem i później tak słodkiego snu używał. Czasami, kiedy kapral był katolik, niektórzy z bernardynów zachodzili do celi choć na krótką pogadankę, Malinowski raz tylko wzywany był na komisję i wracał w czasie takiej zamieci śnieżowej, że światła nie było widać. Przechodząc mimo

księgarni Zawadzkiego, chciał do niego wejść i podziękować mu za obсылanie siebie książkami. Żołnierz zgodził się na to, a obdarzony przez Zawadzkiego rublem, zapytał: czy jeszcze dokąd zająć nie miał więzień ochoty? Zwrócił więc na prawo i wstąpił do domu Guttów. Sama pani Guttowa (w młodości była cudnie piękna), złotego serca kobieta, była właśnie na dole swego mieszkania w spiżarni. Malinowski wbiegł, aby jej ręce ucałować. Niespodziany widok człowieka, którego jak syna kochała, sprawił, że z radości zemdląca. Zbiegła i bogdanka Malinowskiego. Widzenie się im niespodzianse, tem miłsze, dodało Malinowskiemu odwagi do znoszenia swej doli. Ciągnęły się tak dni i miesiące, aż dopiero w Wielki Czwartek w kwietniu (w r. 1824) został uwolnionym. Nazajutrz poszedł odwiedzić znajomych. Naprzeciw księgarni Zawadzkiego zdybał się z Gołuchowskim, który, serdecznie ściskając go, powiedział „Toż dziś tylko Barabaszów uwalniam!”. Malinowski odrzekł, że był już uwolniony wczoraj na Wieczercę Pańską. Idąc w dół ulicą Biskupią, ujrzał idących naprzeciw siebie państwa Tycjusów. Miła i śliczna wówczas pani Tycjus tak się ucieszyła widokiem znajomego sobie i sprzyjawnego z domem Filareta, że zapomniawszy się, że to było w dzień biały i na ulicy, rzuciła mu się na szyję. Za przybyciem do Groddecka starzec ze współczuciem rozpytywał go o szczegóły więzienia. A kiedy mu Malinowski powiedział, że całego Cycerona przeczytał od deski do deski, a znakomitsze mowy i Tuskulanki po kilka razy, uszczęśliwiony Groddeck uściśnął go jak syna....

Opracował G. KOR BUT.

LUDWIK KONDRATOWICZ

(Władysław Syrokomla)

(1823—1862).

Serdeczny lirnik wioskowy, popularny raczej przez wspomnienie, niż przez bezpośrednie oddziaływanie na czytelników współczesnych, był ongi najrozgłośniejszym i najbardziej kochanym przez swą wiek rzeszę śpiewakiem, zwłaszcza w rodzinnym swym, nadziesiemskim kraju. Ołbrzymią jednak popularność i uwielbienie słuchaczy poezja S. zawdzięczała nie podniosłości i górnoci natchnień lub rozległości pomysłów — nie może się w tym względzie mierzyć z poezją wieszczą — ani nawet strojności i świetności swej stawy — skromnej jej sukienki powstydziłby się dziś każdy, mierny nawet poeta. Ale pieśń ta była taką, jakiej łaknęła cizba słuchaczy lirnika, był w niej bowiem rzewny rytm, do którego łatwo dostrajały się serca.

Tam, daleko, na obcej ziemi, świetnie się rozwijała poezja mistrzów. Lecz ich głosy zaledwie dochodziły do kraju, do kresów białeńskich zwłaszcza. Tu powstawała odrębna literatura, tu zrodziła się falanga pisarzy, których gwiazdy kolejno jaśniały i gasły, tu nie miało się odbywały głosy śpiewaków. Tam, poza granicami kraju pieśń wzbudzała płaczem ogromnym i rozżaleniem, ale były w niej i gromy przyszłości. Tu — na tej ziemi, która wypięstowała wielkiego wieszca narodowego, uczucie narodowe skurczyło się w sobie, przypało nisko do ziemi, chciało trwać, byle trwać tylko. Więc przygleno do wszystkiego, co technolo swojskością, co osłoniło czcigi religijną rodzinę i jej cnoty, co aureolą otoczyło przekazane przez przeszłość dziedzictwo, bądź w obyczaju, bądź we wspomnieniach chwaly. Z dążeńsi takich zrodził się w znacznej mierze nasz romantyzm, lecz sięgnął natychmiast głęboko i rozwiązał loty podniebne. Już w młodości ukrywał w sobie rozmach bojowy, ożywała go nadzieja zduszenia w kolebce hydry, poruszenia ziemi z posad. Po doznanych jednak wstrząsaniach w nastroju ogółu przeważały musiał pierwiastek bierności, zwłaszcza że

życie zbiorowe zaniknąć musiało, w literaturze zaś wskutek bezwzględności represyj nie mógł się ujawniać żaden postęp, żadna śmiała myśl. W takiej chwili i w takich warunkach dał się słyszeć cichy i drżący głos lirnika. I wnet ujął serca uczuciem rzewnym, szerokością natchnienia, swojskością tematów, prostotą ich traktowania, gorącym umiłowaniem pucyzny narodowej. Jakkolwiek przecież moenami węzłami związana z tem, co w dniu bieżącym z przeszłości płynęło i do zachowania skarbów zdobytych zmierzała, poezja S. wybiegała również tęsknotą swą i ideałami w przyszłość. W studjum swem o dziełach Ign. Chodźki poeta, mimo ogólnego panegirycznego tonu, nie może powstrzymać się od spostrzeżenia, że „główna ich (dzieł Chodźki) wada jest ta, że zbyt ponętnie malując zachód słońca, odwracają naszą uwagę, która za młodej jutrzni skupić się powinna”. Szczery demokratyzm poety, chociaż przeważnie uczuciowej tylko natury, nie oparty o twarde grunty przekonań, jest niewątpliwie owym elementem jutra, którego mu brakło w utworach Chodźki. Ta dążność demokratyczna wydała taki skutek, że ukochanie przez poetę przeszłości dziejowej nie było bezkrytyczne, dostrzegł bowiem w niej strony, które wybaczyć można, ale których niepodobna oteaczać aureolą. Z dążności tej również pochodziło, że kołyszając i kojąc znużone dusze miękkością swej pieśni, potrafił jednak często o strony, drżące w sercach młodzieży, tęsknie wyglądającej świtu nowej zory. Takie oto okoliczności sprawiły, że pieśń poety i jego osoba oteczono były miłością i uwielbieniem.

Pseudonim „Władysław Syrokomla” (jedno z imion chrześcijańskich poety i nazwa herbu) przesłonił niemal zupełnie właściwe nazwisko lirnika — Ludwik Kondratowicz. Urodził się K. w dniu 17/29 września 1823 r. w wsi Smolhowie, gub. mińskiej, pow. bobrujskim z ojca Aleksandra i matki Wiktorji ze Złotkowskich. Ojciec, szlachciec ubogi, niegdyś komornik (geometra), był niezasobnym dzierżawcą niewielkich folwarków. Wkrótce po urodzeniu się syna przeniósł się do pobliskich Jaśkowiec, z któremi związane były pierwsze mgliste wspomnienia poety o rodzinnym Pałesiu. Od trzeciego jednak roku życia widzimy już małego Ludwika w nadniemeńskiej okolicy, kędy upłynął młodość jego dzieciństwa i młodość (Kudinowicz pod Nieswieżem). Życie upływało chłopcu w najbardziej pofoltem obcowaniu z przyrodą i ludnością wiejską.

Rodzina dała przysłemu poecie religijność i zamiłowanie do książki. Ojciec bowiem Ludwika, wychowanie szkół pijarskich, był owolwiekiem wykształconym i lubił bawić się piórkiem.

W szóstym roku życia był już Ludwik namiętnym czytelnikiem. W r. 1833 oddano go do powiatowej szkoły ks. Dominikanów w Nieswieżu, jak się zdaje, do klasy drugiej. Według Wina, Kocotyńskiego pobyt Ludwika w niej trwał od 5-go września 1833 r. do 30 listopada 1835 r. W tym właśnie roku szkołę sko-

szowano, jak o tem świadczy pod w dziele p. t. „Wędrówki po moich niegdyś okolicach”. Gdzie indziej (podobno w Nowogródku u dominikanów w szkole uniemiernielnionej przez pobyt Adama) skończył klasę piątą (w r. 1837). Przez jakiś czas pomaga ojcu w gospodarstwie w Marchaczewszczyźnie, należącej do kompleksu dóbr ks. Wittgensteina (poradziwiłłowskich).

W jesieni 1840 ojciec oddaje młodego chłopca do biura Zarządu Ordynacji Radziwiłłowskiej w Nieswieżu. Okoliczność ta miała doniosłe znaczenie dla przyszłego poety, młodzieńciew wszedł bowiem w środowisko ludzi inteligentnych, i to stanowiło dlań podjęcie do uzupełnienia luk swojej wykształcenia. Pełnomocnik ks. Wittgensteina, Adolf Dobrowolski, utrzymywał w Nieswieżu życie towarzyskie i umysłowe, oteając się wychowancami uniwersytetu dorpackiego i charkowskiego. „W tej epoce — mówi o sobie poeta — począłem stale czytywać książki polskie i francuskie i oznajmiać się systematycznie z biegiem tych literatur”. Studjował również literaturę staropolską. W pracy biurowej wypadło mu nieraz wertować dokumenty archiwalne, co pozwalało mu zaznajamiać się z rysami obyczajów minionych epok. Budziło się zamiłowanie do wpatrywania się w zamierzchłe czasy, gromadził się materiał, którym poeta rozporządzać będzie w swej twórczości w kierunku historycznym. Poza pracą samokształcenia i zajęciami biurowymi pochłaniało młodzieńca życie towarzyskie i „uczuciowe”, które dostarczało pierwszych pobudek do próbowania sił na polu poezji. Za przykładem starszego kolegi, Michała Kątkowskiego, autora satyr obyczajowych p. t. „Gawędy z Ambroziewiczem”, pisuje K. wiersze okolicznościowe, dowcipne żarciki, oparte na śmiesznościach kolegów lub znajomych, żartobliwe trawestacje i t. p. Naogół biorąc, czasy nieswieżskie (od r. 1840—1844) należy uważać za przygotowawczy okres samodzielnego życia poety. Skończył się on z chwilą, gdy K. staje na kobiercu ślubnym z 16 letnią Pauliną Mitraszewską w dn. 16 kw. 1844.

Zapewne względem p. Ad. Dobrowolskiego, krewnego i opiekuna p. Pauliny, zawiądzęca poeta możliwość zagospodarowania się w Zalużu nad Niemnem, w pobliżu Nieswieża. Odstąpił synowi dzierżawę p. Aleksander, przenosząc się do pobliskiej Tulonki. Oba te folwarczki należały do masy dóbr poradziwiłłowskich.

Kulawo szła gospodarka, bo poeta jej nie lubił, a konieczność korzystania z pracy pańszczyźnianej wstrętną mu była. Szczęśliwie to jednak były samotne lata w Zalużu. Tu się rozpoczęła praca literacka, rozpoczęła się i wzniosła do wyżyn dostępnych sobie twórczość. Tu obcował długo bądz z twórcami własnej wyobraźni, bądz z postaciami z przeszłości przez usilne wpatrywanie się w nią wywołanemi. Wskazując swój stół, swoją szafkę biblioteczną, poeta z uniesieniem wołał: „zguba moja, szczęście moje”.

Gdy nie pracował przy biurku, szukał S. wytchnienia wśród ludzi, u najbliższych sąsiadów, chętnie też garnąc do siebie ubogą besę kapłową, której myśli, uczucia i dółę w twory swe zamykał. Twórczość oryginalna poety u zakroju poważniejszym nad okolicznościowe wierszyki, ktorými zresztą Syrokomla spyal na wesele strony do końca życia, rozpoczyna się sonetami „Wspomnienia z Nieświeża” w r. 1844. Współcześnie (w kwietniu) rzucił na papier kilkanaście zwrotek własnej gawędy p. t. „Pocztyljoa”, drukowanej w „Atheneum” Kraszewskiego (1844 r. t. 6, str. 205—8; podpis N. N.). Była to chwila pierwszego (beziemiennego jeszcze) wystąpienia na widownię. Księgarskie ogłoszenie zakwalifikowało „Pocztyljoa” jako „sliczny wierszyk”. Pochwała ta wypełniła serce S. radością i wznieciła w nim ufność w swe powołanie poetyckie. Odtd zaczyna mniemać, iż w piosnce swej przetrwa chwilką dzień śmiertci i pogrzebu. Narazie przecież twórczość oryginalna nie uczyniła imienia Syrokomla znanem. Parę wierszyków mniejszej wagi umieszcza w r. 1845 pismo zbiorowe „Ondyna Druskienickich Źródeł”. W następnych latach paru „Atheneum” i „Gwiazda” Zenona Fisza drukuje inne wierszowane i prozaiczne utwory. Wszedł S. do rzeczywospolnej literackiej inna droga, przez dokonanie przekładów poetów polsko-lacińskich, których pierwszy tomik został ogłoszony przez autora własnym nakładem w r. 1848 (Janicki).

Według pierwotnego pomysłu S-i, ogłoszonego w „Tygodniku Petersb.” w r. 1846, przekłady miały być dokonane pracą zbiorową. tłumaczenia Syrokomla udostępniły czytelnikowi polskiemu nieznanie przedtem skarby literatury. Dalsze tomiki przekładów (6 tomów), ukazywały się nakł. Zawadzkiego od r. 1850 do 1852.

Praca nad przekładami zdecydowała o losie pieśniarza. Imię jego stało się znanem, wydawcy zgłaszają się do niego z propozycjami, redakcje chętnie umieszczają jego utwory. Gdy spostrzeżono, iż „poetyczne Złotece chleba nie daje”, a zawsze jakoś tak się układają, że obowiązki rosną, lecz wydatków swych poeta nie umiał zastosować do posiadanych lub spodziewanych zasobów, wówczas S. nie pomyśli o zaradzeniu biedzie — intensywniejszemi zabiegami kolo roli — o nią miała się już kłopotać pani Paulina — lecz szukać będzie zarobków literackich, acz te były, przynajmniej w pierwszej dobie, nadzwyczaj liuche. Z takich pobudek wypłynęło popularne (za Wiszniewskiem) opracowanie Dziełohy literatury (od r. 1850), z takich również inne prace wydawnicze historyczno-geograficzne i tłumaczenia, których wykaz podaje bibliografia. Ściany skromnego dworku w Załuczu ogładaly też powstanie szeregu gawęd, które rozślały niebawem imię poety („Kradzione”, „Dyrfereja”, „Lalka”) i były świadkami, jak się zarysowywał pierwszy pomysł znakomitego „Ułasa” (Czortowy Bród), wśród nich się zrodziło arcydzieło S-i Urodzony Jan Dęboróg z jego

pełnym grozy i zału epilogiem, Hetmanem polnym, one wszędzie słyszaly jedną z najpiękniejszych i najrzewniejszych pieśni S-i, Lirnika wioskowego. Nie o te ściany przecież oderzeto echo sławy pieśniarza.

Pierwszy tom Literatury ukazał się w r. 1851; w r. 1853 wyszedł 1-szy tom „Gawęd i rymów ulotnych”; w końcu tegoż roku (z datą 1854) Ur. Jan Dęboróg. Imię S-i stało się bardzo głośnie nie tylko na Litwie, lecz i w całym kraju. W tym czasie widzimy S. najpierw w Wilnie (koniec roku 1852 i początek następnego), od kwietnia zaś 1853 w Borejkowszczyźnie, w pobliżu Wilna, na trakcie, prowadzącym do Mińska. Poeta z usposobienia samotnikiem nie był, natura i książki wystarczyły mu nie mogły, w zajęcia rolnicze serca nie wkładał, a rozszerzającym się stosunkom literackim nie czyniły zadość krótkie wyceleki do Wilna i w dalsze okolice Załucza. W dodatku boleśnie go zranił los, zabierając mu dwoje dzieci, które spoczęły na cmentarzu w Stolicach. I oto w rocznicę swych urodzin w dn. 17/29 września 1851 r. poeta opuścił na zawsze „swoje niegdysz okolice”. W Wilno 1853 r.). Jak się zdaje, poeta miał widoki otrzymania stałej posady w Komisji Archeograficznej, stworzonej przez Eustachego Tyszkiewicza. Tymczasem sprawa legalizacji instytucji wciąż się odwlekala, był rodziny trudno było oprzeć wyłącznie na pracy literackiej — dopiero za lat kilka S. otrzymałwac będzie bardzo wysokie honorarja — wypadło obejrzeć się za dzierżawą. I oto Borejkowszczyzna już do końca życia pozostanie przytułkiem dla rodziny poety i punktem oparcia dla niego samego, gdyż Wilno odwiedzał często i na miesiące całe nieraz opuszczal wieś. Narazie przecież schronienie się do Borejkowszczyzny miało dla poety moralnie kojące znaczenie, bo w Wilnie nie czuł się dobrze. W stolicy prowincji litewskiej zwalczał się dwa obozy, konserwatywny i postępowy, z ktorých każdy szukał sankcji swego kierunku w chrześcijaństwie, tak lub inaczej pojmowanem. Poeta z obozem tradycji łączyło ukołebanie przeszłości i przywiązanie do pewnych ustalonych norm życia religijnego, moralnego, obywatelowego. Skądinąd szczerze, trwale i głębokie sympatje demokratyczne, harmonizujące z całą organizacją psychiczną poety, kazaly mu odczuwać duchowe pokrewieństwo z falangą młodych. Nie będąc z usposobienia bojownikiem, nie doświadczając konieczności wewnętrznej zajęcia zdecydowanego stanowiska, ceniąc nade wszystko osobiste zajęcie jednostek, poeta, już otoczony powszechnem uznaniem, zamierzył pogodzić zwalśniych. Próba ta odlegnęła na S. tylko przykrości z obu stron, co nad wyraz dotknęło szukową jego naturę, zniechęciło go do ludzi i na długie miesiące wtrąciło w apatię. Dopiero większa cisza i sprzyjające twórczości poety jesienne miesiące potrafiły zatrzeć ślały przykrych

kolejne zmiany gorączkowego napięcia woli i zupełnej prostracji bolesne odczucie kłątwy ze strony społeczeństwa, zrujnowały system nerwowy, podkopując wiatły organizm, niszczonej przez nie umiarkowanie poety. Lubił on bowiem zabawić się wesoło w dobie towarzyskiej, powtarzało się to może za często. Obecnie w swem rozpacziwem położeniu oddał się zupełnie smutnemu nałogowi. Nie pomogły więc wody w Druskińskach (1859) i Birsztanach (1860). Gdy ostry ból minął, nie minęły skutki wstrząśnienia.

Poeta nigdy nie odznaczał się skrupulatnem leczeniem się ze zdrowiem. Obecnie, gdy ze zgnęanej głowy i zbolatego serca widać trzeba było wysunąć szereg wierszy, by opędzić się długim i zapewnił sobie i rodzinie chleb, a głowa i ręka odmawiały posłuszeństwa, do domu poety wraz z chorobami zawitał niedostatek, nawet niedza, mimo ratunku, z którym śpieszyli w najkrytyczniejszych nieraz chwilach przyjaciele. Nałóg pracy, konieczność zdobywania środków materialnych sprawy, że dorobek literacki w latach 1858 i 1859 jest wciąż jeszcze znaczny: „Marcin Studzieski”, „Wyrok Jana Kazimierza”, „Wiejszy politycy”, zbiorok „Natura wilka wyciąga z lasu”. Z okolicznościami chwili związane są, jak wspominaliśmy, „Stella Fornarina”, „Możnowładcy”, i „Wrażenia pielgrzyma” (echo podróży z r. 1858). Prawdziwie szczęśliwym czuł się jednak poeta dopiero wtedy, gdy od posepnego dnia dzisiejszego cofał się ku dziecięcym swym latom („Lata szkolne Deboroga”).

W ostatnie epoce życia, kiedy w sercu przetlało wprawdzie gorące uczucie, zostawiając popioły, lecz kiedy natomiast choroba i zmęczenie chwytają go w swe szpony, pieśń S-i nabiera obcych sobie dotąd głębokich tonów; w jej głosie czuć majestat bólu i rezygnacji. Z tkliwego gawędziarza, jakim był dotychczas, S. staje się lirycznym. W tym czasie wyrzucha z piersi swej grzmące: „Waty mi Wilko, nie chęć być Litwinem i hańba mojej herbowej pieczęci”, na widok kajdani, wkładanych na lud („Wyzwolenie włościan” 1859). W tym czasie opiewa „Śmierć słowika” (1859), próżno pragnącego z swej drucianej kłatki zgłuszyć pieśnią okrutne, hańcące po bruku wozy.

W chwilach ostatecznego zgnękania wyśpiewał prośbę o śmierć („Cupio dissolvi”, 1861 r.); miał jednak mgnienia ufnej wiary w przyszłość „Przebudzenie” (1861). W różnych utamkach zaś dojrzała pewność ręki, lecz znów także, że stan fizyczny nie pozwoli już na szerszy oddech.

W końcu marca 1861 r. S., szukając ratunku, po raz ostatni odwiedza Warszawę. Zbliżające się wypadki odbiły się na jego lesie. W powrocie podejmowano go owacyjnie w wielu miejscach, co przybrało cechę demonstracji. S-i groziło zesłanie, lecz wskutek starań dr. Thiłsa u gen. gubernatora Nazimowa uwolniono poetę z wię-

nienia, i sprawa skończyła się internowaniem poety w Borejkowoszerzyźnie. Napisał tam jeszcze „Owidjusza na Polesiu” i „Melodie z domu obłąkanych”. Stąd posyłał artykuły do „Kurjera Wileńskiego”. Na początku 1862 r. pozwolono mu przenieść się do Wilna. Tu zgasił w dn. 15 września.

Na treści utworów Syrokomi odbiły się niejednokrotnie losy słowika, na ich kolorystyce zaś odcisnęły ślady wewnętrzne usposobienie poety. Natura to była miękka, mało skłupiona w sobie, łatwo rozpraszająca się, potrzebująca często podnieć zewnętrznych gwaru, wesołych głosów ludzkich; natura rozkwitająca wśród atmosfery sympatii, serdecznych uśmiechów i gorących uścisków dłoni. Szczęśliwe i płodne były lata samotne w Żaluciu, ale w końcu zużyły poetę, i gwałtownie na niepewne losy zdał łódź swoją. Podobnie tej nagle decyzje świadczyły o pewnej kapryśności usposobienia, dla którego jednostajność była nieznośna, lecz nie w elementach woli, któryby panować mogła nad okolicznościami i własnymi zachęciami poety.

Dlatego okoliczności nieraz zwyciężały, spotykając się ze zbyt małą opornością; ze źródła tego pochodzi uleganie wpływom towarzyskim, pewien bezład w sprawach życiowych i w końcu poddanie się smutnemu nałogowi.

Uporczywa praca samouka sprawiła, że pieśniarz stanął wśród przednich szeregów inteligencji prowincji litewskiej. Zapewne, nie mogła ona zastąpić w zupełności systematycznego wykształcenia, stąd prace literackie S-i posiadają cechę kompilacji, nie pozabawione braków filologicznych i historycznych, co ściągano na poetę dotkliwie wspomnienia znawców. Brak jednak erudycyjne, jako fakt zewnętrzny, nie mogły oczywiście decydująco wpływać na znaczenie pieśni ani obniżać stanowiska umysłowego poety. Była przecież organiczna przyczyna, w zaznaczonym kierunku oddziaływała. W usposobieniu umysłu S-i nie dostrzegamy ujednolicienia do abstrakcji, do refleksji. Dlatego niezawse umiał zachować swą samoistość wobec przeważającej opinii, choćby ta pozostawała w sprzeczności z głębszymi sympatjami i dążeniami poety, stąd płynnie uleganie tradycyjnym poglądom, nieumiejętność zdobycia się na koncepcje głębsze lub oryginalne w zakresie wywodów historycznych, bądź społecznych, stąd nieraz pewna polowiczność i chwytliwość stanowiska, co było przesądzone znamięnieniem epoki (np. w sprawie włościańskiej, w sprawie sporu między reakcją a postępem, w stosunku do religii i t. p.). Nałóg samouctwa i pewna z natury otrzymana powolność w procesie myślenia sprawiły, że ilekroć wypadło mu stanąć wobec nowych zagadnień, o które się toczyła walka, co do których trzeba było zająć natychmiast określone bezwzględne stanowisko, tyle razy czuł się nieszczerliwym i niezadowolony do decyzji i wyboru. Z tą nieśmiałością umysłową harmonizowała nieśmiałość uczuciowa w stosunku do ludzi, ujawniająca się nazewnątrz pozornym chłodem,

niekiedy opryskliwością i maskującą w ten sposób zarówno towarzyskie usposobienie poety, jak jego miękka, spragniona przyjaźń natury. Czuł się dobrze tylko wśród ludzi bliskich, okazujących mu współczucie, i szczęśliwym był wśród natur szczyrzych i skromnych jak swe.

Owa miękkość i szerokość wewnętrzna odbija się w sercu mentalnym nieco kolorycie jego poezji. Cechy te nie miały jednak znaczenia wyłącznie biernego. S. nietyko pożałował sympatyj ludzkich, lecz i sam bliższym dawał serce. Z tego gruntu uczuciowego powstało właśnie wyraźne demokratyczne kierunek poezji S-i. Zasadniczy typ jego utworów — to *gawęda*. Twórcą nazwy i rodzajów jej w Pol. czy też — jak utrzymuje właśnie autor „Pieśni Janusza” K. Wł. Wójcicki. Gawęda jednak S-i wywodzi się bezpośrednio z riekiewiozowskiej ballady; bierze na się pierwotnie znamiona fantastyczno-ponury nastroj („Pocztyljon”, „Trzy gwiazdki”) i zachowuje do końca ukryty pierwiastek cudowności w nieublagany i straszny spłocie zupełnie zwykłych napozór, przypadkowych zdarzeń. Typowemi są pod tym względem „Pocztyljon”, *gawęda gaimna*, i „Hetman polny”, *gawęda starożytniejska*. Ulubiony też przez poetę rodzaj jest z jednej strony objawem romantyzmu oddziaływan na lirnika litewskiego, skądinąd jednak dowodzi, że w pieśni jego romantyzm obniża swój lot, zastosowuje się do warunków dziennej, powszednich wymogów życia. Wyrok przeznaczony staje się tu moralnie, luźna zaś, pełna forma opowiadania najbardziej była zdalna do tego, by zamknąć w sobie główną treść natchnień S-i, obrazy z życia natur prostych, nieskomplikowanych, ich język, myśli, uczucia, przyzwyczajenia, ich troski i uciechy, ich wyobrażenia, przesady, wiary, do tego, by ukazać nam je w chwilach wezbrania rześkiej energii i w innych — smutnej bezradności. Bracia w kapocie — uboga szlachta zaściankowa, z której sam poeta pochodził, i bracia w siermiędze — gromada wieiskowa, nad którą się litował, oto są jego bohaterowie.

Występują tu oni nie jako szereg jednostek — o indywidualnych rysach na tle swego pochodzenia, swych prac, współnych cech obyczaju, lecz raczej jako przedstawiciele swej warstwy społecznej i w stosunku do klas innych, uosabiające typowe, zasadnicze znamiona swego stanu. Zależało to od właściwości wyobraźni poety, która chwylała najbardziej zasadnicze elementy charakteru i stosunków, korystając jeno niekiedy z najłatwiej wpadających w oczy, zewnętrznych przejawów oznak wyodrębniających, osobliwych. Ale owa typowość określa jednocześnie społeczną wartość pieśni lirnika, decydując o stosunku do niej słuchaczy. U bogi szlachcie czuł w tej pieśni więcej, niż sympatję dla siebie, zaś swe ubywatelnie, rozpoznawał w sobie pewną siłę, wyzwalał się od kaprysów, opieki i przewodnictwa swej starszej braci. Własną pracą i głową miał dla siebie zdobywać przyszłość i służyć ojczyźnie. Zaczynał czuć swą wartość, poeta podniósł jego cnoty rodzinne

pobożność, przywiązanie do ziemi, prostotę, skromność, ale skądinąd z upodobaniem kreślił jego dumę, szereg, poczucie niezależności... Prawda, nieraz brat w kapocie nie umiał upomnieć się o swoje krzywdy, gdyż próżno już chwycił za szabły u lewego boku. Zostawały mu przynajmniej historyczne wspomnienia. W wywodach swych historjograficznych S. nie był oryginalnym. Nieraz daje się stwierdzić zależność jego od poglądów pisarzy staropolskich. W pewnych okolicznościach jednak samodzielności odmówić mu niepodobna, wtedy mianowicie, gdy swe sympatje w teraźniejszości na przeszłość przenosi i w odpowiednim świetle je ukazuje. Według niego w najkrytyczniejszych dla ojczyzny czasach jeden tylko stan nigdy jej nie zdradził, za przewodem panów nie poszedł, ofiarą mienia i krwi ją ratując; — to biedny mieszkarnie szciankowej chaty. Niekiedy poeta mówi: tylko „mieszczanie i szlachta ubodzy”. Trzeba pamiętać, że z taką syntezą S. występował w chwili, kiedy H. Rzewuski z całkiem odmiennego punktu widzenia przeszłość malował.

Imnym jest stosunek S-i do chłopca; nie wprowadza nas już tu poeta do udzielnego, dla siebie istniejącego świata. Wieszniak zawsze występuje tylko w pewnym stosunku do swego pana. Jeżeli nie mówi tego bezpośrednio obraz, nie każe o tem zapominać uczucie poety, w obraz włożone. Wyczuwała to współczesna S-i krytyka zachowawcza, karząc poetę za to, iż każe chłopcom marzyć o innym, lepszym świecie, gdzie „kmiotkowie sami, gdzie ani dworu, ni gospody (karczym) niema”. Bo też istotnie pieśń S-i stała się nieustającym protestem przeciw krzywdzie, której ofiarą padła ciżba wieszniacza; nie dawała zasługi sumieniu społecznemu i w tem spoczywała jej wielka zasługa. Niekiedy gorące współczucie dla upodlegzonych krzywdy utożsamia S-i w bolesny, gorzki sarkazm, wywołując rzadkie u niego objawy satyry. Najczęściej była to niezamieszana, cicha, niemniej nigdy nie milknąca „do braci próba za braciem”. Wiele występował idealnie postacią ks. Definitora (w „Deborogu”), ks. Dominika Podolca (w „Spowiedzi Korsaka”), który własnym przykładem starając się wpiąć w serce ludzkie zasady miłości bliźniego. Wiele maluje niedole wieszniaka, zwłaszcza ponieważ jego gnośności ludzkiej. Stara się przekonać swoich czytelników, że wieszniak, mimo swego upodlegzenia, doznaje tych wszystkich uczuć, co i człowiek na wyższych stopniach drabiny społecznej stojący; z szczególnością zaś upodobaniem kreślił obrazy, w których się uwidoczniła w wieszniaku uczucie bezinteresowne ofiarności dla sprawy ogólnej lub przynajmniej przywiązanie i wierność dla tych, którzy mu zbyt często płacą niedzięknością. Chłop umie kochać i tęsknić, wogóle zdolny jest do uczuć trwałych, głębokich i szlachetnych, mimo że szlachcie widzi w nim istotę niższą. W taki sposób poeta stara się rozzerwnić swoich słuchaczy. W zagłębieniach tych mniej już dba o prawdę realną, wskutek tego

skim obrazem S-i nie można oszczędzić zarzutu czułościwej idealizacji.

Wszystko to, co powiedzieliśmy o charakterze poezji S-i, jako orędowniczej wieściarce cizby, wyrasta z gruntu uczuciowego i w zakresie uczuciowym przeważnie pozostaje. Program społeczny lirnik nasz nie stwarza. Daje niejako sankcję istniającym stosunkom, iż „szlachcica ma lud boży dzierżyć pod władzą”, wymaga jedynie od szlachcica uznania ludzkiej godności w podwładnym i opieki moralnej i materialnej dla niego. Jedyny niemiły argument rozumowy, który mu służył za narzędzie walki z niepewną rzeczywistością, zapożyczył z literatury staropolskiej, mianowicie z Klonowicza, którego postać z wielką sympatją w jednym z poematów wystawił: Chrystus stał się człowiekiem, by zrównać tłum i bogaczy, wszystkich jednak braćmi uczynił. — Dopiero gdy wypadki historyczne przekazywały szale, S. bez wahania, z radością i uniesieniem przykładał ich wyrokowi, iż odąd włóściana ma być wolałym człowiekiem i własną, ciężkim trudem okupioną ziemię posiadać.

Zaznaczone powyżej chwytanie i utrwalanie najbardziej powszechnych i zasadniczych rysów jest stałym znamięm wyobraźni i twórczości S-i. W tych wypadkach, kiedy rodzaj utworu i pomysł wymaga właśnie rozwinięcia ogólnego stosunku lub pojedynczego rysu, tam właściwość ta, ogrzana sercem poety, wydaje wartości trwale. W innych jednak warunkach prowadzi do wyników umiemych. Tak dramaty S-i (zarówno współczesne jak historyczne) wskutek braku indywidualizacji charakterów i uśrednionego ogólnikowości i deklamacyjności. Również poematy historyczne znamięnie brak indywidualizacji epok i wyodrębnionych na ile czasu postaci. Uwaga ta stosuje się i do Margiera, który w założeniu miał być bohaterem eposem Litwy. Obrona zamku Pullen, Margier, pomyślany został jako postać głęboko tragiczna, nietyko bowiem upada broniona przez niego warownia, zagrożona została starożytna, pogańska Litwa w swem istnieniu, w swych bogach, obyczajach, ziemi, w synach swych, ale jednakże w serce wodzi godzi okrutny cios, ukochane bowiem dzieło jego, piękna, czysta i dobra Egle oddaje się Krzyżakowi, przez nią ginie zamek, jego obrońcy, przez nią zboczeszone są ołtarze bogów. Czytelnik pozostaje chłodnym, utworowi brak bowiem starożytnego technienia epickiego, natomiast panuje tu konwencjonalny retoryczny ton.

Ujemne wrażenie zaznaczonych stron poezji wzrasta części wskutek powtarzania się pomysłów, braku urozmaicenia sytuacji. Przypisać to należy w pewnej mierze właśnie temu, że umysł S-i chwytając przeszłość i teraźniejszość w pewnych ogólnych, stałych rysach. Zawinił jednak nieraz i zbyt niuansowy pośpiech w pracy, ów program zewnętrzny, który nakazywał pisać a pisać, mimo chorob

przygnębienia, a i rozproszonego czasu. Nie dziw, że w takich warunkach wyobraźnia, z natury niezbyt lotna, nie mogła nieśmiało zdobywać się na większe wysiłki. Ratowała poetę niezwyczajna łatwość wypowiedzenia się, co jednak niekorzystnie odbiło się na zaniedbanu stylowym. I okoliczności, i sama natura poety, nazbyt ruchliwa, nie pozwoliły mu wyzyskać posiadanych zasobów. Brak skupienia, pochodzący zarówno z przyczyn zewnętrznych, jak i organicznych, wydaje ten rezultat, że liryka S-i jest przeważnie okolicznościowa i rzadko posiada głębsze akcenty. Nie umiał i nie potrzebował zwykle schodzić w głębinę dusz swych bohaterów — ich proste dusze i serca leżały na dłoni, — i nie umiał i nie chciał schodzić w głębinę własnej. Przyrodę kocha, zna i rozumie, a jednak nie odgrywa ona w jego pieśni samodzielnego znaczenia, przesłania mu ją zawsze człowiek, tej przyrody daleką; jest mu ona tylko tłem. Zresztą S. umie i lubi marzyć. Ale dla jego usposobienia ruchliwego, lecz bynajmniej nie czynnego, stał jeden zda się rodzaj marzycielstwa: idealizacja przeżytych w przeszłość odsuniętych, idealizacja minionej chwili. Dopiero po wstrząśnieniach bolesnych, po długich, samotnie z sobą przeżytych godzinach, już na schyłku życia, obnażają się głębsze pokłady duszy, powstaje liryka „Melodji z domu obłąkanych”, „Cupio dissolvi”.

Nie był S. poetą wielkim, mimo uwielbienia, któremu go współczesni darzyli, nie był orłem, ani słowikiem, ani feniksem, był skowronkiem, szarą piaszyną pól. Znalazł przecież własny, oryginalny ton. Jak wielu poetów romantycznych, chce być śpiewakiem duszy ludu i jego doli. Nie staje się jednak bżawym lirnikiem, wywołującym ubłogostawienia i zachwycającym poetykę wiochen i pacholąt, jak Lenartowicz. Włożył w struny swych lir z czarołudejskiego drewna swe serce współczujące, odczuł niedolę pokrzywdzonych — i oto pieśń jego zabrzmiła nieustającą skargą. I jak inni, chce być śpiewakiem rodzinnego zakątka, jest Litwinem, jak Mickiewicz, jak był Zaleski Kozakiem, Gostawski piewca Podola i t. p. Więcej wola: „Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta!”. Dopiero przez miłość tej szczerzej, bliższej ojczyzny staje się wyznawcą ideału ogólno narodowego.

Ideał ów nasiąka barwami staroszlacheckimi, jak u wielu współczesnych, jak u Pola np. Mimo to poeta zachowuje swoją osmoitność. Gdy u Pola nawet w Pieśniach z Janusza wyrażać się daje idealizacja Polski konfederackiej i jej wszelkimi trybutami i zarysowuje się przed nami ideał patriarchalnego stosunku ojca do dzieci, pana do czeladzi, możnych do uboższej plebi, świat Syr-i posiada barwy nowocześniejsze; idealizuje on raczej „biednego mieszkańca zaciąnkowej chaty”, żałuje, że przeszłość nie oparła się na żywołach, u podwalin gruntu narodowego zowiących. Chociaż cichy, skromny i nieśmiały, chociaż bohaterami swymi uczynił ludzi cichych, skromnych i nieśmiałych, nie uświę-

cał nigdy zasady małości i umiarkowania, jak ten, co wyrzekł: „a co małe, to i całe”.

Nie do wszystkich, do wielu jednak utworów lirnika wiośnego można powracać często z upodobaniem, z rozkoszą nawet, mimo że nie szukamy w nich ani podniebnych lotów, ani praprychu. Twórca ich nie powinien być zapomniany, w pieśniach jego bowiem żyje miłość ziemi rodzinnej i jej mieszkańców, miłość człowieka i szacunek jego godności ludzkiej.

BIBLIOGRAFJA.

A) Pisma. Zbiorowe wydanie p. t. „Poezje Ludwika Komarłowicza (Władysława Syrokomi)” w 10 tom. Warszawa 1872, opracowane przez Wincentego Korotyńskiego i zapatrzone przez niego w cenne komentarze i wskazówki bibliograficzne. Wydanie to obecnie wymaga rewizji i uzupełnień. Poza wydaniem został „Sen wieszca” Wilno 1854, opera do muzyki Moniuszki, przerobiona przez S. z tekstu francuskiego Bosier i de Leuven. Trudności zgromadzone rozproszonego w pismach lub ukrywającego się w rękopisach materiału, niekiedy widlegi cenzuralne spowodały, że do zbioru nie weszła spora wżazanka drobniejszych utworów. Obecnie p. W. Korotyński przygotowuje do druku tom dodatkowy „Poezji”, który ma zawrzeć utwory wierszowane, z różnych powodów w wydaniu z r. 1872 pominięte. W r. 1914 ogłosił „Podróż Swojaka po swojszczyźnie” Warsz. W dalszym ciągu ma się ukazać, w opracowaniu p. Wł. Korotyńskiego tom, zawierający drobniejsze dzieła prozą i artykuły S-i, wydanie bowiem zbiorowe nie objęło ani powieści S-i (np. „Rywale” wraz z dalszym jej ciągiem, „Stary kawaler”, Athen. 1846f. Vi in), ani prac prozacyjnych, które dają się ułożyć w trzy szeregi: a) prace historyczno-geograficzne, b) wydawnictwa materiałów historycznych i przekłady, c) studia literackie i dziennikarskie artykuły. Do pierwszej kategorii należą: 1) Wiadomość o Nieświeżu, druk. w III tom. „Starożytnej Polski” M. Balińskiego, Warsz. 1846. 2) „Wędrowki po moich niegdysz okolicach” Wilno 1853. 3) Barbara Radziwiłłówna w r. 1853 do jakiegos rosyjskiego wydawnictwa „Ozerki”. 4) Mińsk „Teki Wileńska” t. II, Wilno 1857. 5) Wycieczki po Litwie w promieniach od Wilna, 2 t. Wilno 1857 i 1860. 6) Dziennik podróży po Litwie i Żmudzi, Wilno 1858. 7) Niemen od źródeł do ujścia, Wilno 1861. Do kategorii drugiej zaliczyć można: 1) P. Duplessis: Poszukiwanie złotą, wspomnienie podróży odbytej po Kalifornji, Wilno 1850. 2) J. Franc. Poujoulat: Hist. rewolucji francuskiej 2 t., Wilno 1851 (przeład i komentarze). 3) Korespondencja Sarbiewskiego z bisk. Lubiańskim (5-ty tom „Przekładów” poetów polsko-

lasi, Wilno 1851). 4) Wydanie przełożonego przez Dobrowolskiego dzieła G. Fr. Coyer „Dzieje Jana Sobieskiego” 2 t., Wilno 1852. 5) Kromer, Polska, Wilno 1853. 6) Dwie koronacje Sasów, Wilno 1854. 7) Pamiętniki Solikowskiego i Jakóba Sobieskiego w t. I. „Dziejopisów Krajowych” J. M. Fredry, J. Łasickiego i L. Goreckiego w t. VIII. Petersb. i Mohylów 1854—57 i osobno. 7) Przyzniki do historii domowej w Polsce, Wilno 1858. Wreszcie w dziale znacim mamy 1) Dzieje literatury w Polsce 2 t., Wilno 1851—4. 2) Życie i pisma Ignacego Chodźki, Wilno 1861. Nadto 3) artykuły w Bibl. Warszaw. 1851, 1852, 4) W. Gazele Warsz. 1852. 5) St. Roszłowski, wspomn. pośmiertne, Wilno 1855. 6) Wspomnienie o J. Moszyńskim w Kur. Wileńsk. 1857. 7) O zbiorze Korotyńskiego, Gazeta Warsz. 1857. 8) Artykuły w Kur. Wileńsk. 1858 Nr. 88, 1859 Nr. 77 i 88 i 1860 n. Nr. 9. 9) Zarys życia J. B. Rychtera, poprzedzający książkę J. B. Rychtera „O imie towarzyn Wileńskim”, Wilno i Witebsk 1859. 10) Korespondencje do Tyg. II. 1861 i 1862 r. 11) Przegląd miejscowy i Przegląd literacki w Kur. Wileńsk. 1861 i 1862. 12) Dwa artykuły podane w Kurjerze Niedzieli. 1897 Nr. 18. W rękopisie pozostają: 1) Moje pamiętniki literackie. 2) Daniel Mikołaj z Łęczycy, studjum histor. 3) Młodość Salomona z Majmona. 4) Kanwa do historii archeologii w Polsce. Listy i wspomnienia S-i o sobie bądź się ukrywają w rękopisach, bądź są drukowane w studjach o pocię i pamiętnikach współczesnych.

B) Literatura, dotycząca S-i. Wykaz bibliograficzny współczesnych o pocię główek (1847—1862) musi być ułankowo wskutek braku spisów treści, obejmujących większe okresy istnienia znanopism. 1) Kraszewski w Athen 1847. I, s. 204. 2) M. Grabowski w Tyg. Petersb. 1847 Nr. 33. 3) Lisowski Bib. Warsz. 1850. I, s. 365 i 1851. I, s. 576, III, s. 551. 4) Kraszewski w Gaz. Warsz. 1851 i 1852 późn. Wyb. pism Warsz. 1894 t. X, s. 535, 720, 723 i n. 5) A. Nowosielski Dzień. Warsz. 1852. Nr. 86—88 i 1853 Nr. 206. 6) A. Tyszyński Bib. Warsz. 1855. II, s. 380, później Pisma, Krak. 1904 t. I, s. 190 i n. 7) Kraszewski Gaz. Warsz. 1855 i Wyb. pism. X, s. 842 i n. 8) L. Siemiński, Czas 1856 i „Kilka rysów” Warsz. 1859 t. I, s. 308. 9) K. Wójcicki Bib. Warsz. 1858. I, s. 455. 10) K. Kaszewski Bib. Warsz. 1858. IV, s. 760 i 483. 11) Kur. Wileńsk. 1858. Nr. 10 i 35 i 1859 Nr. 86. 12) Prosper Gromadzki. Pisma urywkowe. Kijów, 1858. 12) St. Budziński Bibl. Warsz. 1859. III, 176. 13) K. Kaszewski, tamże III, s. 701 i IV, 542, 562. 14) Recenzje Bib. Warsz. 1859. I, IV. 15) F. Lewestam „Obraz ruchu” Warsz. 1859 s. 56 i 189. 16) W. Przybylski Kur. Wil. 1861 Nr. 38. 17) O śmierci S-i Kur. Wil. 1862. Nr. 69, 70, 71. 18) Fr. Lewestam Tyg. Ilustr. 1862. VI. 141 i 170. 19) Gazeta Polska 1862. Nr. 212. 20) Ad. Pług Bib. Warsz. 1862. IV. 467. 21) Kraszewski, słowo

wstępne do „Poezji ostatn. godziny” S-i Wilno 1862. 22) Rodziewicz Przegł. Europ. 1862. 23) Faleński Bib. Warsz. 1863. I. 361. Rozpoczyna szereg biografii, studjów i przyczynków 1) książka Kraszewskiego (Przegł. Europ. 1862 i osobno Warsz. 1863 późn. Wyb. pism X). 2) K. Strasburger Opiek. Domowy 1866 Nr. 18. 3) W. Korotyński. Urywek z pamiętn. Gaz. Warsz. 1870. 4) P. Wilkoński Moje wspomn. o życiu towarz. w Warsz. Pozn. 1871 i w B. Dz. Wyb. Warsz. 1907 t. III. 5) W. Korotyński, Przedmowa i komentarze w zbiorowym wydaniu „Poezji S-i” Warsz. 1872. 6) A. Tyszyński, S. i jego poezje, B. Warsz. 1872 i „Wizerunki polskie” Warsz. 1875. 7) W. Korotyński Tyg. Il. 1874, XIII, s. 35. 8) Spasowicz, Nowe studjum nad S. Aten. 1876, później Studja nie z natury Wil. 1881 i w Bib. Mrówki Lw. 1881, w I t. „Pism” Petersb. 1892 i Warsz. 1898. 9) Recenzja studjum Spasowicza Tad. Zuliński „Nowe studjum” i t. d. Lwów 1877. 10) H. Blumenstock Dioskuren Wied. 1877. 11) J. Horain, Gazeta Lwow. i Gazeta Pol. 1880 i osobno, „Z życia poety” Lwów 1886. 12) W. Z. Kościalkowska W. S. Wilno 1881. 13) S. Tomkiewicz, Przyczynek do biografii S. Tyg. Il. 1882. Nr. 315—8. 14) Z. Librowicz, Stara Polska, historia niewydanego dzieła. Krak. 1883. 15) W. Korotyński. Obrazy z pobrzuca Niemna. Tygodn. Pow. 1884. 16) A. H. Kirkor. Wspomnienia wileńskie, Kraj (petersb.) 1884. 17) Cz. Pieniążek, S. Wobec rozwoju poezji ostatn. okresu. Krak. 1885. 18) Fr. Szymański, S. i jego poezje Tyg. Il. 1887. Nr. 245—57. 19) Z. Librowicz Kłótnia o Deboroga. Przegł. lit. Kraju. 1890. Nr. 49—51. 20) F. R. Gawroński Lirnik wioskowy, Echo Muz. i Teatr. 1891. Nr. 381, 384. 21) Wł. Korotyński Syrokomla o sobie. Warsz. 1896. 22) Książka jubileusz. Kur. Warsz. 1896 i Sprawozd. w Kraju, dział liter. 1896. Nr. 6. 23) W. Gomułicki Kondratowicz czy Kondratt Kur. Niedz. 1897. Nr. 29. 24) Bies. Liter. 1897. Nr. 44. 25) Tyg. Il. 1897. Nr. 41. 26) Listy z Zaluca, w książce pamięt. ku uczczeniu. setn. roczn. ur. A. Mick. Warsz. 1898. 27) L. Uziębło książka zbior. „Prawda”, Lwów, Warsz. 1899, str. 465. 28) F. R. Gawroński w „Alb. zasl. Pol”. T. I. Warsz. 1901. 29) St. Zdziański. Pierwiastek ludowy. Warsz. 1901, str. 382—99. 30) T. Pini. S. i jego utwory, Lwów 1901. 31) A. Drogozewski W. S. B. Wr. 904 i osob. Warsz. 905. 32) A. S. Autorowie mało czytani. Tyg. Mód i P. 1905. 33) Artykuły z r. 1906: Kur. Warsz. Nr. 6 i 42, Kur. Litew. Nr. 249, i dod. „Ruch Literacki” Nr. 2, 74. Słowo Polskie Nr. 176, 178, Lud Nr. 286—70. 34) N. Galle, wstępy i zbiory w „Urodzony J. Deboróg” Warsz. 1907 i Wybór pism S-i Warsz. 1913 (Bibl. Nar. i Ks. dł. Wazyst.). 35) A. Grabowski, Wspomnienia Krak. 1909, t. 2. 59. 36) „Pamięci S.”, Litwa i Ruś 1912 t. III, z. 2 (artykuły Wierzyńskiego, J. Obsta, W. Z. Kościalkowskiej, L. Uziębły i in.). 37) Artykuły z r. 1912. Straż Polska, Lit. i Sztuka, Kur. Warsz., Kur. Litew., Kurjer Wil., Gazeta Lwowska, Tyg. Il., Now. Gazeta,

Przegł. Wil. i in. Fr. Bielak: Wstęp do S-i „Wyboru poezji” Bibl. Narod. Nr. 54 Wil. 1922. W literaturze rosyjsk. S. Szaszko w przeprowadza paralele między S. a Szewczenką, Dzieło 1880 z. 3.

Dyferencja. Gawęda zaściankowa.

(1846 r.).

(Poezje. Warszawa 1872. T. 1.).

(Str. 23—24).

I.

Starzy szlachta tam pod miedzą
Na naradzie ważnej siedzą,
A wokoło młodziej wrząca
Tysiąc gniewnych słów wytrąca,
Lud się na dwie strony dzieli,
Byszeżą ostrza karabelli.

Pan komornik z sznurem sława;
Woźny wznosi papier w górę,
Słowem jakimś tu rozprawa,
I de hajda — i de jure.
At mospanie, któż i kiedy
Przywileje szlachty czuły?
To jest zatarg między braćmi
Przy podziale swojej schedy.
A u szlachty także chucie:
Ze gdzie sprawa, tam i wrzawa,
A gdzie wrzawa, tam i bitwa,
Potem kończą na statucie,
Potem kiełkich i modlitwa,
Szlachcic poczciw — bo ma duszę,
A wraskliwy — bo szlachetny,
Urodzony — nie sławetny,
I niestraszne mu ratuże!
Proces w sądzie — to nie boli,
A zabawka niezła wcale;
Więc brat z bratem przy podziale
Zabijacko się warcholi.

Stefan i Marcin dzieląc się spadkiem po ojcu. Komornik akoby był swą pracą, podzielił ziemię równo; własność mylnia i zatoki przyznał wspólnie obu braciom i apytuje, czy zgoda na podział.

(Str. 25—7).

Stefan krzyknął: „Niemasz zgody!
 Bo mi krzywdą w oczy kole,
 U mnie piasek — a tu pole,
 Że choć zaraz siej ogrody!
 Morg pod lasem... tak daleko...
 Co ja zrobię z tym kawalkiem?
 Wezmę raczej morg nad rzeką
 I zatoka do mnie całkiem!...”

„O! zatoka za głęboka!“
 Krzyknął Marcin — „Panie bracie!
 Weześnie siatkę zapuszczacie,
 Nie dam ryby ani oka!
 Morg mój, mości dobrodzieje,
 Co nad rzeczką, tam pod drogą.
 Nie pytając u nikogo,
 Sam zaorzę i zasieję.
 Bo pomiarem”...

— „Co mi pomiar?
 Kto się krzywdzić mię ośmieli,
 W kłindze mojej karabeli
 Słusznej kary znajdzie domiar“.
 — „Panie woźny!...”

— „Woźny płazem!
 A mierniczy — w łeb żelazem!
 Niema pana dla Stefana —
 Zaraz wszystkich stąd wypłoszę!
 Morg nad rzeką i toń rybna
 Moje!...”

— „Moje, rzecz niechybna!...”
 „Ja zasieję”.

— „A ja skoszę!”
 — „No bratuniu, to za śmiało!
 A czy znasz ty moją rękę?”
 — „A czy znasz ty, świszczypało,
 Moją szablę damascenkę?”
 — „Za mną szlachta!”

— „Bij, kto sprzyja!!”
 Szlachta w dwie się strony ścisła,
 Walka w zabój... aż krew tryska...
 Pan komornik wiechę zwija,
 Woźny pozwem broni duszę,
 Papier, wiecha w zawierusze
 Popękaly się od kija.

Aż skrwawiona, zapocona,
 Porąbana, zadyszana,
 Ta i owa padła strona,
 Wypoczywać na murawie;
 Jeszcze w jęku i we wrzawie
 Słychać głosy: — „To Stefana...”
 — „To Marcina... morg przy drodze...”
 — „Morg nad rzeką i zatoką...”
 — „I okopię i ogrodzę...”
 — „Nie doczekasz! nie pozwolę!
 Będę bronil moje pole,
 Jak żrenicę mego oka!”
 — „Nie o pole, nie o szkodę,
 Lecz tu idzie o bezprawie”.
 — „A ja mówię i dowiodę,
 Że na swoim rzecz postawię”.
 — „Ciężko skurzę upór bratni...”
 — „Wara leść mi w moją grzędę!...”
 — „Krwinią szusznosci bronić będę,
 Do kropelki, do ostatniej!”

Stary p. Ambroży powaga i energią swą spór uśmierzył i przelotyl, że
 sporne zagony staną się przyczyną wiecznych waśni i ruiny obu stron; na-
 leły więc oba morgi i toń rybna dać Bogu na chwałę. I zgoda stanęła.

(Str. 29—30).

III.

Oto sto lat już się zaczyna,
 Jak braterskie kości spolem,
 Gniją w ziemi pod kościołem,
 A mogiły ani znaemo.
 Ale ród ich gęsty w Litwie,
 I poczciwy i zamożny,
 Bo co miesiąc głos pobożny
 W mszalnej wzmienia ich modlitwie.
 A na morgach w psennym plonie
 Pleban piękne żął owoce,
 Stawił kopy na zagonie,
 Łowił rybkę na zatoce...

Teraz słyszę inne dzieje,
 Któs już inny morgi trzyma,
 I pszeniczkę inny sieje,
 I za zmarłych mszy już niema.
 Słyszał nawet dzwonnik głuchy
 Z pod grobowca u parkana,

Jakieś krzyki i rozruchy —
Spór Marcina i Stefana.

B) Urodzony Jan Dębora.

Dzieje jego rodu, głowy i serca, przez niego samego
opowiadane.

(1847 — 1851 r.).

(Poezje, Warszawa 1872, t. 1).

(Str. 65—70).

Przedśpiewek do litewskiego czytelnika.

Ziemio matka, Litwo moja żyjąca,
Złotym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!
Niepokażne na oko dzikie twe zacisze,
Nie tak jak u Auzonców i Helwetów słyszę,
Gdzie pola, jak raj ziemski, jako świata dziwo,
Gdzie lasy zarastają mirtem i oliwą,
Gdzie góry od Ponarskich wyższe tysiąc razy,
Takie cudne co chwila stawią krajobrazy,
Takie rzeki, kaskady i jeziora tworzą,
Że je Włosi malują i na dziw rozwozą
Po litewskich jarmarkach, gdzie je naród chwytają...
Ty nie dojdiesz tej stawy, Litwo rodowita!
Twoja ziemia pospęna, twe niebo bez blasku,
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieź w obrazku.
Nie spada w katarakty twoja woda śnana,
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina,
Z nieociosanych bierwion klecone twe domy,
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziezy,
Rzekłbyś, patrząc na niego, że do trzech nie zliczy.

A jednak do twej treści gły zajrzeć głęboko,
Litwo! tyś więcej warta, niż zda się na oko:
Pieszczoła Oceanu, dziwowisko świata,
Z twych sosen wyciosana brytańska fregata;
Sierniętny syn twych wiosek poto ziemie kopie,
Aby godnie się było pięknej Europie;
Nie zląkł się prosty szlachcic, karmiony twem żytem,
Ani Turków pod Wiedniem, ni skał pod Madrytem.

Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,
Nie straszny dla żeglarsza i spokojny niby,

Pozwała siebie łodziom deptać całe lato,
Zimą da się w ciemnicę zakuć lodowatą;
Nie stawi groźno czoła — nie rwie się, nie ryczy,
Taki zda się pokorny, taki niewolniczy!
O! nie wierz tej pokorze — i patrz, kiedy laska,
Gdy się na wiosnę wzburzy i łody potrząska,
Biada! oknął się olbrzym — wie, kto go zniewata:
Gruchoce dom rybaka i statek żeglarsza,
Falą zalewa błonie, echem grzmi po borze,
A gdyby jeszcze chwila — świat zniszczyłby może.
Lecz gniew jego przekipił, już krzywd zapomina...
O! tak samo jak Niemen i serce Litwina.
Tu, gdzie niebo pospęne, gdzie chłodnawe klima,
Zda się, żadna namiętność wrząca nie wytrzyma,
Zda się, ludzie drzemali, a całe ich życie
Uplywało powoli i nierozmaicie,

Tak Litwin niepoieczny, tak zwiesił coś głowę,
Ho! ho! zapytał dziejów, zbierz wieści domowe,
I co mędrzec zapisał, i co prządka gwarzy,
A poznasz, jak na zimnej i spokojnej twarzy
Odkryć gorącą myśli tajemnicze piętno...

Ej, bolesno, bolesno! — Czemuż to mój Boże,
Lirników i gęslarzów miało Zaporozę?
Czemu na naszych polach nie zjawia się tacy,
Jak bardy kaledońscy, jak greccy żebracy,
Co to każdą pamiętkę w rodzinnym zakresie
Zaraz w pieśnię ułoży i na świat rozniesie?...
Nas Pan Bóg nie obdarzył talentem śpiewaczym:
My domowe pamiętki kamieniami znaczym.
Co ten kamień?? — zaginie, jako ziemia marna,
Zarośnie mchem zgrzybiałym lub pójdzie na żarna,
A podanie zginęło. — Ejże, jako żywo!
Lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo:
Opiewać nasze krzyże, kurhany i groby,
Od czasów mendogowych do dzisiejszej doby,
Od baszty w krewskim zamku, gdzie legł Klejstut stary,
Aż do krzyża nad brzegiem Prypeci lub Szczyary,
Co wzniosła po topielcu wioskowa gromada
I dołąd o tym krzyżu cuda rozpowiada.
Ej, każda taka powieść dla piewcy ciekawa!
Z każdej ludziami nauka, płacz albo zabawa;
A pamiętka i pieśnia, przywiązana do niej,
Zawsze duszy litewskiej choć cząstkę odsłoni.

Otoż podanie z jednej litewskiej mogiły
 Składam dzisiaj w twe ręce, czytelniku miły,
 Choć kształtem rymowanym oblokłem to dzieło,
 Nie się gwoli końcówce prawdzie nie ujęło.
 Prawdziwa, w rytmotwórcze koncepta uboga,
 Powieści urodzonego Jana Dębora:
 O rotmistrzu pancernym i jego mogile,
 I jako się upiorem białkał przez lat tyle;
 O starym Dęborogów z Brochwiczami sporze
 I o zgodzie serdecznej, — o definiatorze,
 O świętych jego cnotach, nauce i pracy,
 (Czemuz częściej kapłani nie bywają tacy?),
 Słowem, całą gawędę z upłynionej chwili,
 Jako niżej ujrzycie, czytelnicy miłi,
 Powiadał mi obszernie i w niedawnym czasie
 Urodzony Dęboróg, kiedy na popasie
 Poznałem go raz pierwszy. — Zda się, człek statysta,
 Z oczu widać szlachetność, mina zawieszista,
 A dziś już obywatel, małżonek i ojciec.
 Ale czy prawdę mówił — skąd ja mogę dociec?
 Więc, nie chcąc odpowiedzi brać na własną głowę,
 Zem coś zmyślił lub dodał w powieści osnowę,
 A pragnę w całym kształcie oddać tę gawędę,
 Własnymi jego słowy opowiadać będę.

Urodzony Jan Dęboróg.

I.

Pod niegminną i niepodłą
 Urodził się gwiazda:
 Herb Dęboróg nasze godło,
 Stary Połeś nasze gniazdo.
 Z dziadów, z ojców w naszym rodzie
 Zawsze były łaski Boże;
 Szlachta drobna, lecz zasobna,
 Krzywo pisze, prosto orze,
 Procesuje, strzeże kopców,
 Lasy pali, Boga chwali
 I hoduje walnych chłopców.
 W naszym rodzie, jak w ogrodzie,
 Pełno główek, jak makówek;
 Znąją ludzie każdą głowę;
 I urzędów mamy dosyć,

Ale cóż się z nich wynisic,
 Kiedy wszystko powiatowe?
 Każdy urząd, chociaż ludzki,
 Ani grzmiący, ani groźny,
 Rotmistrz lidzki lub obózny,
 Albo czesnik nowogródzki;
 Herb się naszej parenteli
 Ani razu nie doporał,
 By po mleczu lub kądzieli
 Wziął buławę lub pastorał,
 Albo mitrę; naszej tarczy
 Taki Lu x u s nie obarczy.
 Prosto sobie herb dziadowski,
 Przy nim sztandar i armata,
 Helm lub czapeczka rogata,
 Albo biret proboszczowski,
 Ot i basta.

Dzieje rodu Dęborogów starożytnie, ale niepewne. Najslawniejszym przodkiem był rotmistrz pancerny, który, walcząc na Ukrainie z hajdamakami i Tatarami, poległ, ugodzony w czoło, a przed śmiercią kazał się pochować na miedzy, „gdzie z sąsiadami grunt graniczny”. Ale ów grób rodzicielski zda się na wieki dworci sąsiadzi i nawet niczła przepowieść, że dopóki świata, nigdy się z Brochwiczami Dęboróg nie zbrata. Gwarono było w gościnnym dworku szlachcica, ojca naszego bohatera, sypał wesół dykteryki o trockim wojwodzie, przy którym zamłodu chleba kociowała, tylko zachmurzał się na wspomnienie grobu rotmistrza. Gdy syn podrósł, ojciec oddał go na naukę do ks. definiatora, choć był przeświadczony, że wraz z jezuitami, Alwarem i różną wszystko zginęło: mądrość, moralność i wiekopomne czyny przodków.

(Str. 75—9.)

O miłą w wiosce był dom plebana:
 Mała świetlica w ziemię schowana,
 Krzyżek się wznosił na faćyjacie,
 I człowiek Boży mieszkał w tej chacie.
 Ksiądz definiator, święty, wymowny,
 Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,
 Przybył z klasztoru w wioskowe proggi
 I wziął w opiekę kościół ubogi,
 Wziął półtłocz gruntu — i na tej ziemi
 Pracował równo z owieczki swemi.
 Czy raz, bywało, widzieć się zdarza,
 Jak święty starzec w porannej porze,
 Czytając hymny z kart brewiarza,
 Bronuje zagon lub sieje zboże!

Dwa chromiące kościelne dziady —
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kółków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywiezie drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc, pacierz łaciński śpiewa.
Gdy cheez mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie-przyjmie — uchyli głowę:
— „Za dobre checi zapłać ci Chryste,
Masz waszeć, bratku, prace domowe,
Ja sam chcę orać pole ojezyste!“
I tak, modlitwą szepcząc pobożnie,
Sam sobie zorze, zaszaje, poźnie.

Na jego sznurach najlepiej rodzi,
Jego przekosów nie znosi woda;
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego żywota
Jakby wyrocznij mieli kmiotkowie:
Drożynna, pomór, pogoda, słońca —
Ksiądz definitor zawsze przepowie.
I cóż dziwnego? — wszak jego oko
Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
Myślami w niebo wsiąknął głęboko,
Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;
Może mu nawet w samotnej celi
I święci Pańscy coś poszepnęli.
Kiedy śpiew starca zdradzał w kościele,
Jakos cię zawsze skrucza ogarnie.
Rzekłbys: apostoł — kiedy w niedzielę
Prostemi słowy uczył owczarnię,
Kiedy tłumaczył ze świętej księgi:
„Jak to pokorny Zbawiciel świata
Sklada majestat Bożej potęgi
I w ciele ludzkim z człkiem się brata,
Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
Między grzeszniki siada do stołu,
I daje Siebie przybić do krzyża,
I składa ciało w człowieczym grobie.
Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
By nas uzacnił, podniósł ku Sobie;
A u nas, szlachcic — jasne wielmożę,
Rad, że mu herby dała ojezyczna,
Bóg został człkiem, a on nie może,

Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
Hańba z rólnikiem sładać do stołu.
Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
Za jeden puchar starego wina
Głodna i chłodna chłopska rodzina
Na rokby miała chleba i soli.
Za jedno słówko w najmniejszej rzeczy
Pany się wasnią, idą na noże;
Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
Bo nie dla niego honor człowieczy!“

Tak to, bywało, głośno i śmieło
Ksiądz definitor gadał w kościele.
Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
Żadna nienawiść lub dzikość sroga:
W oczach — do braci próba za braćmi,
Albo za ludźmi próba do Boga.
Ani przeklina, ani się dąsa,
Leez z płaczem przyszłość stawia przed oczyma.
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
Leez do spowiedzi hurmem się tłoczy.
A spowiedź jego — wieczna nauka!
Nim rozgrzeszenia krzyżyk nakreśli,
Nim w trybunale krátkę zapuka,
Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli,
I tak przekona, i tak poruszy,
Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
Że, choćby grzesznik miał skałę w duszy,
Łzami z pod serca trzykroć się zleje.
A po spowiedzi długo, ach! długo
Będzie spokojne sumienie twoje,
Będziesz skwapliwy z bratnią usługą,
Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;
Wesołe serce... oeh! popamięta,
Że w niem złożona Hostyja święta!
Kiedy wieczorna szarzeję pora,
On pieszo zwiadał pobliskie domy,
Zdala poznałś definitora
Po kapeluszu z zielonej stomy.
Za cieniem wzniośle świętej postawy
Szło zawsze wiernie, pieszczące psisko,
Jak owca, biały i kędzierzawy,
Pamiętam, *Serens* jego nazwisko.
A ksiądz czezołką kroki podjera,
Idzie powoli i kwiatki zbiera.

On i w pałacu, i w prostej chacie
 Pomagał, radził, krzepił na duchu;
 Z panem i z chłopem za-panie-bracie,
 Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

Trudno się było cjen odważyć na prośbę, ks. definitor bowiem zdawał się upominać, by wdowie po Brochwiezu oddał grunta do rzeki, przodkowie bowiem Dębora pono skrzywdzili swych sąsiadów; szlachcic nie słuchał, bo musi dzieciom przekazać grunta po miedze, gdzie grunt rolnistrzowy, od zatargów dłaśniała dawność ziemiaka mięła, nie on krzywdził, nie on wynagrodzi, ustąpić wreszcie honor szlachecki nie pozwala. Rozważając to wszystko, szuka rady w kabale, wypadło dobrze: „idźmy w imię Boże”.

(Str. 81—82).

VI.

Ksiądz definitor prośby wysłuchał wesoło,
 Ścisnął ojca, mnie ścisnął, ucałował w czoło
 I rzekł: „Zostań tu chłopcze, ucz się w imię Boże!
 Wszystką miłością w sercu, chlebem, co w komorze,
 I nauką, co w głowie — choć jej tak niewiele,
 Co Bóg dał, wszystkim chętnie z tobą się podzielę!
 Tylko, że widzi waszność — rzekł do ojca dalej!
 Ja, stary, mam narowy, a szlachcice mali
 Zwykle przynoszą z domu dwa początki liche,
 Bo dwa grzechy śmiertelne: leniwość i pychę;
 A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,
 Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,
 Czy kto ma herb, czy nie ma — braciaśmy poprostu,
 Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chrostu,
 Chłopyśmy i parobki przed Bożem obliczem!
 Nikt cię tutaj nie będzie nazywał paniczem,
 Jeś będziesz razem z mną, z nami czeladź jada,
 W zakrystyi wyręczać kulawego dziada,
 Na polu mnie się w pracy nieraz dopomoże:
 Ja będę żął, ty w snopy związywał mi zboże;
 A żeby się nie nudzić, to na pole ruszym
 Z gramatyką łacińską i Wirgiliuszem,
 Z konwią mleka i z chlebem. Toż to będzie cudnie,
 Siadysz pod kopą żyta we znajne południe,
 Posilając się sobie, póki skwaru chwila,
Titire! tu patule... tłumaczył z Wirgila!
 Bo sielanki najlepiej w polu się wydadzą,
 A szlachcic, co ma dźierać lud Boży pod władzą,

Gdy sam pozna w rolnictwie i róże, i osty,
 Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty;
 A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
 Równiejsze będą skiby..

Ojciec się zadąsał na myśl o takiej poniewierce herbownego dziecka pospołu z chamami, uległ jednak wkłocą namowom. Nauka chłopca, przeplatana pracami wiejskimi, poszła rażą.

(Str. 88—91).

X.

Niekiedy w nocy, gdy maj się pocznie,
 Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni,
 Z wiejskimi chłopcy, z tabunem koni,
 Lecim na nocleg, śpiewając skocznie.

Aż za wioskę, aż za zboże,
 Na wygonie lub ugorze,

Konie w paszę z rąk,
 I już chłopcy w jednej chwili
 Stosy chróstu naznosili

I zasiedli w krąg;
 I ziemiaki w żarze pieką,
 Płomiień bucha — ej daleko

Widać ogień nasz!
 Co tam śmiechu, co tam wrzasku!
 Ktoś upiorem straszy z lasku,
 O to ani dbasz.

Choć kto w dzień się namozoli,
 Choć drugiego serece boli,
 To najmniejsza rzecz.

Bo, gdy ludno, pusto, gwarnie,
 Smutek duszy nie ogarnie,
 Wszelka bojaźń precz.

Na rosnej trawie rozścielamy suknie,
 Zjemy ziemiaki i chleba po kęsie,
 I chór: „Dobranoc, o Jezu!” już huknie,
 Tak, aż się echo w olszniaku zatrząśnie.

I daleko po równinie
 Świętej pieśni echo płynie.
 Czasem słowik wtór nam poda,
 W sercu rzewności tak głęboka,
 Ani ujrzyć, gdy ci z oka
 Lzy poleją się, jak woda.

Człowiek rzeźwiejszy po świętej pieśni
Do nowych śmiechów, do pogadank;
We wsi już kury pieją poranek,
A o spoczynku żaden z nas nie śni.
Bo jakże usnąć w majowe noce?
Tu konie zarzą, tu ogień błysnie,
A tutaj ptactwo, jak naumyślnie,
Na tysiąc tonów piosnkę szczebiocze.
Chróst na stosie, ogień bucha,
Księżyce świeci, a gromada
Pieśni, gadki opowiada,
Gadek, pieśni bacznie słucha.
Miłośz w kółko sięgać na ziemię!
Gwarzyć w ptactwa słodkiej wrzawie!
Jeden, drugi niby zdrzemnie,
Miłośz drzemać na murawie!
Ptactwo milknie pokolei,
Ogień zwolna gasnąć zaczyna,
A nam sen powieki klei,
Ale czujnie, ale bacznie!
Každy słyszy jako żywo,
Czy koń parsznie, czy podskoczycy,
Brzęknie trenzła, wstrząśnie grzywa,
Albo zarzą na uboczy.

Po chwilec orzemki oko się przetrze,
Blisko poranek, znać już po wietrze,
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
Po głosie drozda i przepióreczki,
I koń już częściej stukną w kopyta,
Zroszoną trawę pospieszniej chwytą.
Cyt! już i słowik strzela piosenką,
Juz i skowronek wita się z dzionkiem;
My za słowikiem i za skowronkiem
Nucim: „Zawitaj, ranna Jutrzenko!”

Ot i szaro, ot i dnieje,
Ot i gaśnie blask księżycy,
Ot i zorza, jak dziewczica
Miłą barwą rumienieje;
Ot i we wsi ruch niedzielny,
Kogut głosi czas świtania;
Ranny ptaszek, dziad kościelny
Na pacierze już wydzwaniania.
Jakże pięknie dzwon daleki
W mgłach porannych się rozpyliwał!
Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
Z oczu resztę snu obmywa!

Słońce ognistym było promieniem,
Oblało ziemię światłem i cieniem,
A niebo w złocie, w różach, w błękicie,
Ziemia w zieloności strojna wesola,
A człowiek wtedy, patrząc wokoło,
Stałby, jak wryty, przez całe życie.
Z pacierzem w duszy, łzami zalany,
Aniby sobie przypomniał kiedy,
Ze gdzie jest ziemia i ziemskie biedy.
Ze on nie więcej — zlepek gliniany.

Hej! do domu czas już pewnie:
Konie syte nocą paszą,
My weseli, hukniem śpiewnie
I porzucim łakę naszą.
I, wtórując trąbką z rogu,
Na wyszćgi, hej przez rowy!
Ot i nocleg nasz majowy,
Śpieszny oddać chwałę Bogu.

Pod wpływem nauk starca wchodzi do sereu chłopięcego miłość Boga i ludzi, budzą się marzenia bohaterskie, gorące przywiązanie do ziemi ojczystej. Czynił też postępy w łacinie, mimo że brakło Alwara i dyscypliny. Ojciec przecież ze smutkiem uważał, że szlachectwo syna na nie się rozszasta, a teraz z Deborogiem wśród chłopstwa wytarło, co kapelaż żydowski tyle będzie warte. Oddał tedy syna do szkoły w mieście. Z płuczem żegnał chłopiec swego mistrza, lecz i w szkole dobrze mu było.

(Str. 98—100).

XIV.

Gdzie wy, jasne dni moje, moje szkolne czasy,
Kiedy sereu dzieciłme z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszków i do murów klasy
Przygłło, przyrosło na glucho?!

Gdzie wy, drobne, a wzniosłe mojej pychy cele,
By zrównać i prześcignąć napierwszych w nauce?
Gdzie owo wśród igraszek serdeczne wesela,
Kiedy piłkę wysoko... wysoko wyrzuce?
Kiedy w gronie swawolnym po równinach leczę,
By schwytać wyrzuczoną albo odbić w górze?
Gdzie pobożność i wiara w najwyższej opiece,
Gdy się modlę w kaplicy, albo do maszy służę?
Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach siemienniało,
Bóg to wie — krew po sereu silniza się powoli,
Serece wlewu wymaga, a wrażeń tak mało,
Dobre niebardzo cieszy, zle niebardzo boli.

Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach miota,
 A książka ich objaśnić, zwałczyć nie pomoże,
 Zapłacziesz: gdzie jest owa dziecinna prostota?
 Gdzie wiara w twoją mądrość, książę profesorze?
 Wiara, z jaką słuchałem na szkolnej ławicy,
 Kiedy ksiądz Matematyk zadanie rozbiłera
 Lub kiedy ksiądz Łacina, mistrz na kazalnicy,
 W błoto strąca Buffona, Russa i Wollera?
 Lub kiedy najdziwniejszą zagadkę przyrody
 Ksiądz Fizyk wnet objaśnił, przez pływy i gazy?
 Przysiągłbyś, że to prawda, wychowałem młody!
 Że Pan Bóg księdzowskimi przemawia wyrazy.
 Dziś, gdy człowiek sam nie wie, choć uslinie bada,
 Co jest białe, co czarne? co prosto? co krzywo?
 Jako chmiel bez podpory, na ziemię upada,
 Aż zginie, przygłuszony ostem i pokrzywą.
 Gdy ludzkość bolejącą zgodzić się nie może,
 Co jest fałsz, a co prawda? co szpetne, co piękne?
 Czekaj załamuje ręce: O Boże mój, Boże!
 Co mi trzeba podeptać, a przed czem uklęknąć?
 Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,
 Kiedy wierzyłem w przyszłość płomienistą duszą,
 Że, choć nauka trudna, choć praca mozolna,
 Lecz cele nasze wielkie i spełnić się muszą!
 A tu młodzież ochocha bada, czyta, pisze,
 Złote były nauki wydobycia, czyta, pisze,
 Jeno spojrzysz na siebie i na towarzysze
 I pomyślisz: „Doprawdy, będziemy wielcy ludzie!”
 Jeden — dziecic pobozny, z zapalem na twarzy,
 Będzie doktor kościelny — tak pismo przekaże;
 Drągi biegły w rachunku, o przyrodzie marzy,
 Przejdzie z czasem Newtona, dojrzy Kopernika;
 To będzie Archimedes, cześć! dalszej ziemi,
 On kwadraturę koła zgłębi i rozwiąże;
 Inszy słynie na ławach wierszyki zręcznemi,
 Będzie nowy Krasicki, rymotwórców książę.
 Gdzie wy teraz jesteście, towarzysze moi?
 Cicho o was na świecie! bo świat ciężka proba!
 Żal się Boże, bywało, co ksiądz prefekt roi,
 Że przybędzie krajowi światło i ozdoba.
 Spotkasz czasem którego — spojrzysz na oblicze;
 Nie on, nie on szlachetne spodziewania ziści!
 Porwany w namiętności koło tajemnicze,
 Oddał przyszłość za marne obecne korzyści!
 Zszargały mu oblicze nałogi lub nędza,
 Ów, co miał drogę słońca odmienić na niebie,

Ów, co miał zostać wieszczem — w śnie życie przepędza,
 Chodzi mrówczemi drogi — i kontent sam z siebie.
 A toż, bywało, o nim ksiądz Retoryk szepe,
 Że ów chłopiec rozwija olbrzymie talenta,
 Że Pan Bóg wielkich ludzi naznacza w kolebce,
 Że Cezar dzieckiem jaśniał nad rzymskie chłopięta.
 A ów teraz bohater poluje na zwierzca,
 Miłość go rozbydłęca, kielich z nóg obala,
 Pan wioski — srogie chłosty wieśniakom wymierza,
 Albo drzemie po uciecie Helijogabala.

Do ukończeniu szkół młody Dębóróg ku ucieczce ojca oddał się namietnie polowaniu. Raz o zmaroku zmylił drogę i zakazane sobie progi Brochwiczewego dworka. Odtąd często tam zaglądał, bo podziwiała go młodzieńca Zosia. Lecz matka w końcu połobyla swe serce w obawie, że miłość młodych może być zrozumiana przez ludzi jako intrzyga ze strony Brochwiczów. Gdy zrozpaczony Jasz powracał do domu, ukazało się mu straszne widmo rolnistwa z raną na czole, wołające grobowym głosem: *reddo, quod debes*!). Młody legł na łożo, powalony gęzięką. Gdy ojciec się dowiedział o tem, co zaszło, wielce poruszony opowiedział ks. definityorowi, że i jemu w różnych życia chwilach to widmo się ukazywało z wezwaniem do spłacenia długu. Z opowiadanego przez definityora snu, z rozmowy dalszej dowiadujemy się, że w dawne lata rolnistrz w czasie nieobecności sąsiada kopce przemił, grunta zarał, lamus zaś, w którym się szlachetkie dokumenty Brochwicza przechowywały, spalił. Bogaty, wobec sądów sprawę wygrał. Nagrodno przed śmiercią upominał syna, by zagrąbione grunty zwrócił, ciało jego przy dalszej granicy pogrzebał... Synu przy nowych kopcach ciało ojca pochował. Nienawistę ojców dziedziestwa spadała na ich potomków aż do dzisiejszego pokolenia. Poruszone sumienie, twoga o życie syna-dziedzica, namowy definityora sprawiły, że stary Dębóróg dął przyzwolenie na pokolenie się syna z Zosią i zakończenie w ten sposób starej waśni i wynagrodzenie krzywdy

(Str. 139—142).

Epilogos do drugiego wydania.

Kiedyś przed dwoma laty (toć niedawne czasy)
 Oddawał Dęborega pod drukarskie prasy,
 Nie tuszyłem, że pismu poszczęści się w świecie,
 Że je tak dobrem sercem łaskawie przyjmiecie.
 Dziś, kiedy rozrzewniony, jak na dłoni, baczę,
 Że warto dla was śpiewać, litewscy słuchacze!
 Że można choć niekulturalnie złożonemi rymy
 Zagrać na waszych sercach, kreść kraj rodzimy,
 Rumieniec zawstydzenia do twarzy mi bije,
 Żem tak mało ulepszył drugą edycję.

) Oddaj, coś wienem.

Może przynajmniej z łaski posłuchać zechcecie,
Co się z Dęborogami stało przez dwulecie.

Stary Dęboróg umarł ku powszechnej szkodzie,
Gwarząc jakąś powiastkę o trockim wojewdzie;
Ale, proszę aspasa, jako człowiek święty,
Oczyszczony pokutą, wzmoconion Sakramenty,
Gdzieś na łonie swych przodków, wśród herbowej rzeszy,
Ze trockim wojewodą pospoła się cieszy,
Bo tam już stary Brochwicz, niegdyś wódz pancerny,
Wymodlił mu w niebiosach dekret miłosierny,
I obaj, z wyżyn patrząc na litewską stronę,
Błogosławia swych herbów tarcze skojarzone.
Dąb, godło Dęborogów, jest ozdobą lasa,
Jeleni w herbie Brochwicza posuwisto hasa
I troje małych wnuków, nowe pokolenie,
Rośnie krzepkie, jak dęby, zwinnie, jak jelenie.

Lecz może pamiętacie, że Dęboróg stary
Miał swoje uprzedzenia, miał dawne przywary;
Naprzykład, wierzył mocno w katechizm jedyny,
Ze szlachcie stworzon z inszej, a chłop z inszej gliny.
Przebaczmy starej głowie — przebaczymy tem szczerzej,
Ze dziś po jego śmierci nikt temu nie wierzy.
Szlachta na całej Litwie jest bracią swiej włości,
Ochrania ją od głodu, od zimna srogości;
W wioskach, słyszę, dostatek, wypieniono chwasty,
Zakwitnął bujnym kwieciami nasz wiek dziesiętnasty;
Obruszać się na szlachtę nie miałby sposobu
Nawet ksiądz definitor, gdyby powstał z grobu.

Och! bo już upłynęła druga wiosna pono,
Jak grób jego porasta darnińa zieloną,
Młodzi Dęborogowie i naród zdaleka
Odwiedzają mogiłę świętego człowieka.
O nim serdeczna pamięć lży im sączy z oka;
A jego miłość bratnia i wiara głęboka,
A przykład jego cnoty nie zaginał marnie,
Bo długo jeszcze będzie umacniał owezarnie,
Była to w swoje czasy postać nader rzadka;
Lecz dzisiaj Kościół święty, prawowiernych matka,
Liczy garstkę pasterzów sporą a przykłądną,
Co własne swoje dusze za owezarnie kładną,
Co pracują na polu, znoją się w kościele,
Dziela z smutnym smutek, z wesołym wesele,
Z ubogim chleb powszedni, a z każdym chleb ducha,
A lud Boży przykłądnie ich nauki słucha,
Z ich serca, jak ze źródła, czerpiąc dobre wzory
Dostojnego ubóstwa i świętej pokory.

Grób po grobie poehłania czyjeś stare kości.
Zapadaj, dawny wieku, na łono przeszłości;
Ty zaś, strojna w barwę różową, tęczową,
Młoda jutrznie postępu, świtaj nad mą głową!
A gdy już twoje słońce u południa stanie
I oświeci grobowej ciemności otchłanie,
Gdy promienni twem światłem zajrzym do podziemi,
Niechaj się nie zawstydzim przed ojcy naszymi.
Bo biada naszej głowie i twym blaskom biada,
Jeśli stanie przed nami postać prapradziada
I głosem uroczytym zagrobowej mary
Rzecz: „Redde, quod debes, pla cie dług wasz stary!..”
Spuściłiśmy prostacy naszą piękną stronę
Na wasze ręce silne, na głowy uczone,
Od zgonu waszych przodków do dzisiejszej chwili,
Obliczyć, coście wzięli, coście przymnożyli?
Musiał być w wasze czasy, które postep budzi,
I więcej kwiatów w polu, i enót w sercach ludzi;
Lubiliśmy procesa i pieniacze matnie,
U was pewnie zakwitło miłowanie bratnie
Równych synów ludzkości, odkupionych z krzyża,
U was pycha herbowa pewno nie poniża;
Porzuciłiście puhar, co ku złemu kusiał,
Z trzęwych piersi modlitwa gorętsza być musiał;
A skoro Bóg nagradza enotę zasłużoną,
Toć i wasze niebiosy błękitniejsze pono..”

Och! boleśno postyszyć taki głos z mogiły:
Jeszcze nasze zasiewy kłósów nie puszczy,
A choć, zda się, dokoła zielone przestworza,
Po trawce nie rozeznac kąkolu od zboża,
A pieśniarz, co gotuje piosenkę do żniwa,
Przebaczcie, że niepewnym tonem pobrzakiwa:
Bo nie zgadnie, do jakiej nastroił się nuty,
Czy tworzyć pieśń wesela, czy żalu wyrzuty.

C) Hetman polny.

Gawęda starożołnierska.

(1851).

(Tamże I, str. 193—4).

„Bo gdy doma lwami okrutnem
dziecie, w potrzebie staniecie się jako
rzeź owcami”.

P. Skarga.

I.

Poza pagórkem, gdzie wioska stara,
Wojsko kwarciane czeka Tatara;
Bo jak ze szpiegów zrozumieć snadnie,
Hordzie w tych miejscach nocleg wypadnie.
„Hej! gdy zawita dzicz hajdamacka,
Z poza pagórka wypaść zmienacka!
I broniąc niskie strzechy wioskowe,
Krymskich bandytów pobić na głowę!¹⁴
Tak już uradził plan całej sprawy
Wielmożny hetman polnej buławy.

II.

Lecz zabezpieczon w stalowej zbroi,
Nie zawždy rycerz Boga się boi.
Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza
Oto po wiosce zagon rozpuszczą:
Rabuje bratnie chaty, śpichlerze,
Robocze woły rznie na wieczorze,
Znieważa kraśne dziewy wieśniacze
I jeszcze bije, gdy kto zapłacze.
Jeno się śmieje z płaczków i wrzawy
Wielmożny hetman polnej buławy.

III.

A wtem pod wioskę nocną zaiszą
Naszli Tatarzy i jęki słyszą:
„Ej, niemasz Boga jak Allah w niebie!”
Po bisurmańsku rzekli do siebie;
„Snadź tu już goszczą nasi Tatarzy,
Sulejman-Murza od przedniej straży.

Niechże rabują, niech się ochocą,
Nam tu zajeżdzać już niema poco;
Dziś spalim zamek, gdzie wróg nasz krwawy,
Wielmożny hetman polnej buławy”.

IV.

Na wiosce hula szlachta pancerna,
Na niebie gore luna obszerna;
Hetman na niebo spojrział z oddali:
„Na koń, rycerstwo! mój dwór się pali!”
Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,
Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze:
Zamek spalony, służba wyrznięta,
Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta;
Na zgłiszczach domu modli się żławy
Wielmożny hetman polnej buławy.

D) Lalka.

Gawęda dziecienna.

(1851).

(Tamże, str. 190—192).

Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy,
Ładnie mi się ukloni i uszko nachyli,
A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy,
Jak mi rodzice mówili.

W święto — mama mię w nową sukienkę ubierze
I różową przepaskę zawiąże u czoła;
Ja wtedy umieć będę francuskie paerze,
I pojedziem do kościoła.

Toż to się dziwić będzie prostaków gromada!
Bo nie przy nich pisane zagraniczne słowa;
Mnie się głośno po polsku modlić nie wypada:
Czy to ja chłopka wioskowa?!

Lecz cichutko... po polsku... poproszę w kościele:
Niech mi Bozia da rosnąć i wyładnieć przedzej,
A dla mamy i papy... niech da wiele — wiele
Zółtych i białych pieiędzdy!...

Oni tak lubią grosze, tak modlą się szcerze,
Dają na mszę dwa złote, catują obrazy,

A Pan Bóg taki dobry, że co dasz w ofierze,
To, słyszę, odda w sto razy.
Więc oni coraz hojniej Panu Bogu służą,
A Pan Bóg więcej płaci za ich chęć pobożną;
To zbierze się pieniądze tak dużo... tak dużo...
Ze i przeliczyć nie można.
Lalko! Jaka ty śmieszna!... nie rozumiesz zgola:
Pytasz, czy to Bóg-przyjdzie we własnej postaci,
Albo przyśle z pieniędzmi swojego aniola,
Co za pobożność zapłaci?
Gdzie tam! — jak mówi mama — z Opatrzności Boskiej!
Przyjedzie Żyd brodaty, da groszów, i dosyć...
Za pieniądze kupimy chłopów cztery wioski,
Co będą nam żąć i kosić.
Ty tylko tego nie wiesz, że my — to panowie,
A jeszcze jest lud inшы, chłopami nazwany,
Którym Pan Bóg z niebiosów przysłał surowie,
By pracowali na pany.
Brutne, brzydkie, pijane, często jak nędzarze,
W poszarpanych siermięgach, ledwie włóczą ducha,
Lecz sami sobie winni: to Bozia ich karze,
Ze chłopstwo papy nie słucha.
Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
A chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi;
Doprawdy, że aż szkoda... Skąd taka różnica?
Niegreczni muszą być chlopi!..
Ot i wieczora... gdy papa zasnął po obiedzie,
Pytam się, czy to pięknie, i jaka potrzeba?
Wesali, zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie:
„Chleba, panoczek! daj chleba!”
Więc kazano ich obić... i słusznie obić;
Już ja, kiedy wyrosną i mieć będą zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie potożę.
Bo proszę, jak tu zasnąć, kiedy naród błądzi
I do drzwi i do okien ciśnie się z pokorą?
Nie nakarmić ich chlebem, to przysną się dziady,
Jeszcze do torby zabiorą.
Lub co gorsza, w obrazku Pan Jezus się dowie,
Co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie...
Lalko! zmówny palcierze o chleb i o zdrowie
Chłopom, i papie, i mamie.

Lirnik wioskowy.

Sielanka.

(1852).

(Tamże, t. 6, str. 242—246).

I.

Liro ty moja śpiewna i z czarodziejskiego drewna
Snaśd ciebie wyrobiono!
Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,
Zaraz mi kipi tono.
Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano,
I smutno i wesoło;
Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty
Przechodzę całe sioto!
Z tobą się nie napięczę: i dzień, i noc, i jeszcze...
Jeszcze grabym bez końca;
Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladej twarzy
Uderza krew gorąca.
Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
Przecie tonów nie zniżę;
Nie żałuję mej głowy, wszak ja, lirnik wioskowy,
Skonom, grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna,
Niebezpieczes narzędzie!
Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie,
Wiecznie pamiętać będzie!
Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kołchać chce się,
I tęsknota ogarnie.
Tyś pokaraniem Bożem! z tobą, jak z ostrym nożem,
Nie żartować bezkarnie.
Bo noże ciato bodą, a piosnka duszę młoda
Jakby ostrzem przenika;
A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da,
Co tam w duszy lirnika!
Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
Ze mnie tak chętna bodzie:
Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,
Dobrym ludziom w gospodzie;
Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki owina,
Niech ją dźwiękiem otoczą.

Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
Czy się bawi ochocho.
Patrzcie na dziewę moją! przy niej chłopcy się roją...
Śmieszne, śmieszne ludziska!
Jeden wąsem się chwali, drugi mieczem ze stali,
Trzeci srebrem polyska.
Mnie Bóg więcej przeznacza: znam, co hardość śpiewacza!
Ja przed nikim nie żnię,
Ani pieśni, ni głowy — hardy lirnik wioskowy.
Skonam, grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Ludzie łzami mię poją!
Tyś dla mnie ulgą Bożą, a gdy mnie w grób położą,
Ty będziesz chlubą moją.
Ej, rozgłośnie, rozgłośnie twoje echo urośnie!
Zolbrzymięją me słowa,
Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
Do samego Kijowa.
Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
Ciekawie zakałata:
„Przyszliśny patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
Lirnik głośny u świata”.
Wtedy z całego siola ciekawość lud wywoła,
I będą czynić wnioiski,
Szeptać, ściskając plecy: „Skąd ci ludzie dalecy
Znają pieśni tej wioski?”
Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczęcę, niewiasta,
Przed ludźmi cudzej ziemi
Westchnieniem i gawędą sławić lirnika będą,
Co śpiewał i żył z niemi.
I powiodą przybywszy do cmentarnej zaosyzy,
Gdzie przy sośnie trzy krzyże;
I rzekną, wznosząc głowy: „Tu nasz lirnik wioskowy,
Skonał, grając na lirze”.

F) Dedykacja gawęd gminnych

Litwinom.

(1852).

(Tamże, t. 6, str. 247—249).

O bracia moi z nad Wilji, z nad Niemna!
Gdy wam swojaeka gawędka przyjemna,
Zasiądźcie w kółko — a ja wam pogwarzę.
Stukniemy w czarki, rozweselim twarze,
A może prawda wynurzy się na dnie,
Albo się chwilką smutkowi wykradnie.
Ja czasem wierszyk skłeciwszy naprędce
Lubię się wylać w niewinnej gawędce,
A wy niekiedy serdecznie i czule
Dajecie ucho sielskiemu gadule;
Będziem wzajemnie radzi — tak mi właśnie!
Niechże kto teraz drzwi na klucz zatrzśnie,
Aby snadź jaki panek, czy półpanek
Nie przyszedł wyśmiać naszych pogadańek.
U nas, wiadomo, domowa czeladka,
Wiersz od siekiery, robota niegładka,
A słuchacz, patrząc w serce gospodarza,
Wdzięczny z przyjęcia, czem Pan Bóg obdarza.
Łatwiej to z wami wywinąć się księdze!
Bracia w kapocie i bracia w siemniędze!
Gmin nieuczony łatwiej się pozwoli
Podkraść, wysłuchać, czy mu serce boli,
Czy własna wina, czy boża nielaska,
Czy błoga radość po sercu poglaska.
Oblicze gminu błędnie, to się ploni,
Pierś przezroczysta — widno jak na dłoni;
Na sercu grają uczucia otwarte!
Łatwoż je schwyć i przeniść na kartę,
A potem w kółku tych samych słuchaczy,
Któż niedołężnej piosnce nie przebaczy?
Kto zechce śpiewek niecwać dziadowski
Z myśli do myśli, ze zgłoski do zgłoski?
Z jasnymi pany nie tak idzie składnie:
Któż ich oblicza, ich serca odgadnie?
Jak dla nich śpiewać? kiedy mają narów,
Ze za swój pieniąż chcą dobrych towarów?
Dla nich się książki w pożyczystich szatach
Robią w Paryżu w najpierwszych warsztatach,

Gdzież nam dościsnąć? Nierówna gonitwa,
 Co insza Paryż, a co insza Litwa.
 Kogo zamorskie pachnidło przynęci,
 Cóż mu aromat naszych sianocięci?
 Po śpiewie oper jak nudną są rzeczą
 Ranne skowronki, co na Litwie skrzeczą!
 Nie żal mi serca i nie żal mi głowy,
 Dla ciebie śpiewam, gminu szaraczkowy!
 O tobie śpiewam i z tobą zespołem
 Nadzieje, radość i smutki i bole;
 Twojem powietrzem orzeźwię oblicze,
 Od twóich płaszcząt wyrazu pożycze.
 Niech się myśl moja z pod serca wygwarzy
 Nutą żniwiarską, w takt brzęku kosarzy.
 Gdzie chata słomą lub darnią pokryta,
 Serdeczny Litwin niech piosenkę przeczyta,
 A gdy swojaka dopatrzysz się we mnie,
 Zgrzeszyłbym mówiąc, żeś śpiewał daremnie.

G) Stare wrota.

(1856).

Wątek „Starych wrot”, jak zwykle w poematach historycznych S—i, jest bardzo szczerzy, utworzył się przeciw roszarom, gdyż poeta lubi wprowadzać wiele drobnych ryson, charakteryzujących postaci lub epokę, chętnie wdaje się w dygresje liryczne, refleksyjne, historyzoficzne, nie umiając się zaś skupiać, bywa zbyt drobiazgowym lub wpada w ton deklamatorski. Skargę przez lat kilkanaście wozził woźnica królewski, szlachcic Szeliga, z którym nieraz kuznedzielnia ponownie gwarzył, zasięgając nieraz od niego wiadomości, gdzie jaka niedola czeka na otarcie łez. Szeliga zamodu opuścił swój dworek szlachecki, wsiadając się klamki pańskiej, ale taska pańska na pstrym koniu jędził. I oto obecnie musi się ponieierać. Skarga nieznaemie pozy-skał ufność skrytego Litwina, przejął jego serce i, by mu zapewnić spo-kojną i szczęśliwą starość, wyjednał u króla dla woźnicy skromną donację. Szeliga powrócił do rodzinnych stron i dworek ojcowski odкупił.

(Tamże, t. IV, str. 5—6).

Onego czasu zakon Jezusowy
 Był panem serca i królewskiej głowy.
 Próżno Zamojski zżyma się na sejmie,
Pocła conventa że monarcha targa,
 Król jezuitom serca nie odejmie,
 Bo jego serca pilnował Piotr Skarga.

Święty Piotr Skarga! wśród synów Loyoli
 Wyrósł, zestarzał, — i wierzył w ich enotę,
 Grzmiał z kazalnicy w słowa szerozelote,
 Żył i pracował zakonowi gwoli.
 W ręce obłudy dał się nieobłudnie,
 I w piersiach uczuń niezgiebłąną studnię.
 I męską wolę, i rozum siły
 Złożył Piotr Skarga na starszynny ręce.
 Już posiwiaty, już k ziemi pochylty,
 Przechował w duszy wierzenia dzieciece.
 Z wesolą twarzą, w pokornej postaci
 Kwapił się spełnić swych starszych rozkazy
 W świętych żrenicach sam nie mając skazy,
 Nie mógł jej dojrzeć na sercu swych braci.

Czy w Sandomierzu, gdy szlachta zebrana
 Na jezuitów wykrzykuje *neto*,
 Czy trzeba wślydzić błędy Aryjana.
 Albo się ścierać z uczonym Helwetą,
 Czyto rycerstwo na koni się sadowi,
 Czy idzie z wojny z bogatym obłowem,
 Czy rokoszanin zagraża królowi —
 Staje Piotr Skarga z piórem i ze słowem.
 On broni świętych tajemnie iltarzy,
 Zastania kościół od błędnej szarańczy,
 W bitnych pancerzach odwagę rozzarzy,
 W togach senatu szepczy duch poddanczy.
 Dwoi się Skarga, i kędyż go niema,
 Gdzie wola kościół lub ziemia rodzima?

(Str. 18—19.)

Ojciec Szeligi był szlachcic ubogi,
 Mieszkał pod Wilnem na Litwie głębokiej;
 Miał włokę gruntu i lasu trzy włoki,
 Orał, polował i rąbał się z wrogi.
 A jak wiadomo — w Jagiellońskie lata
 Mniej było szlachty na żoldzie magnata;
 Czy sejm, czy sejmik, czy rycerskie koło,
 Szlachta chowała zbożne obycaje,
 I częściej panom stawi harde czoło,
 Niżli im swoje sumienie przedaje.
 Bywało wtedy u szlachty i braciej
 Ubożej w domach, lecz w sercach bogaciej.
 Swoboda była nie słowem, lecz faktem,
 Bo jej musiano strzec nie po pijanu.

Jeśli kto ziemię trzymał za kontraktem,
To jeno groszem opłacał się panu;
Wyplacał czynsze po niedrogiej cenie
Na święty Marcin lub na święty Jerzy;
Lecz miał swobodne ramie i sumienie,
Bo to oboje do kraju należy.
Rzadko kto służył w nadwornej chorągwi
U kasztelana albo wojewody;
Doma syono i piwa i miody,
Nie zaglądając do magnackiej stągwi.

Nie błogosławił też ojciec synowi, gdy młody Szeliga jechał do dworu i barwy
dzwisał, „bo w niebieszech pono nad głową szlachty, za grzechy jej pychy,
już służebnictwa kłatwą wyrzeczono”. Dzięki jednak Skardze na starość przy-
najmniej zakosztował spokoju i niezależności i miał szczęście witać u siebie
świętobliwego kapłana.

(Str. 30—31.)

Wyrocznia króla a Polski ozdoba,
Filar potężnej jezuitów rzeszy,
Skarga serdecznie z Szeligą się cieszy,
W szlacheckim domku szańdź wiele spodobal
Świętą był wieczór i pelen radości,
Z dawnym woźnicą co przepędził społem!
A gdy wieczerać siadł za jego stołem,
Niech mu kasztelan krakowski zazdrości!
Bo się senator żaden nie poszczyli,
Ze kiedy Skargę przyjmował w goście, nie,
By święte usta umoczył w węgrynie,
Choć go prosił męte znakomici.
A tu bez próby, bez żadnej odmowy,
Przy plastrze miodu i przy misie mleka,
Nie upokorzył biednego człowieka,
Wypił z nim miodu pułarek cynowy,
A po wieczerzy, kiedy się krzątano,
Zasłać mu łoże jak najmłodszej zda się,
Pod siwą głowę on sam posłał dla się
Ostre i twarde z błot litewskich siano.
Wszystkich domowych pobłogosławiwszy,
Kłęknał gdzie zimna ceglana cynowa,
W gorących modłach błogosławił Boga,
Że dzisiaj reszał dzień mu najszczęśliwszy.
Za cieraie życia, co musim przenościć,
Za ół codzienny, co nam serce targa,
Jednej nagrody byłoby już dosyć:

Przyśnić sen taki, jak miał ojciec Skarga.
Bo okiem duszy musiał widzieć żywo
Bóstwo promienne, a ludzkość szczęśliwą.

Błogosławiąc domostwu Szeligi, zaklął stare wrota jego, by nie wpuszczały
złych ludzi do poczciwego domu, by spadły na głowę temu, kto chciałby
przez nie wkroczyć z myślą zdradną. Syn jednak dawnego woźnicy królów-
skiego, Krzysztof Szeliga, wzgardził skromną dolą, na birtańskim dworze
rosnie w laski Radziwiłłów „i przy tureckim stanąłby sztabdarze, jeżeli
książę koniuszy rozkaże”.

(Str. 46—48.)

Przeszłości święta! pokój ci niech będzie
W twym wiekuiystym, w twoim sennym grobie!
Coś nagrzeszyła w niebaczym obłądzie,
Niech Bóg udzieli przebaczenia tobie,
A twoim cnotom Swą łaską przyczyni
Plennego wzrostu, co ma ziarno w roli,
W naszych łm serech krzewić się dozwoli!..
Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni:
Nie dla zgorzenia, ale dla poprawy,
Pozwól w twój obraz przypatrzeć się mgławcy —
I nie poczytąj nas za świętokradce,
Nie miej za winnych synowskiej obrazy,
Jeśli się zdala przypatrują matce,
Na jej obliczu odkryjemy skazy.
My dobrze serce naszej matki znamy:
Ona tam w niebie jedną żądze żywi,
By jej synowie byli od niej samej
Bardziej cnotliwi i bardziej szczęśliwi.
Nam dla przestrogi ona sama powie,
Co narobiła, kiedy była młoda,
Niewiele grzechów liczy na swej głowie,
Grzech jej najcięższy miał imię — Swoboda.
Nie ta swoboda, którą ma od Boga
I myśli człowieka i niebieski płaszek,
Co nie dla maranych stworzona igraszek,
Co wie, skąd idzie i dokąd jej droga,
Piłnując krągu jak słońca na niebie,
Ciepło i światło sieje wokół siebie,
I zna to dobrze, że gdyby w zakresie
Śmiała przekroczyć choć na jeden atom,
To zamiast szczęścia, które daje światom,
Straszliwe światu skończenie przyniesie.

Córka zniszczenia jest inna swoboda,
 Czynem ni słowem i karby nie ujęta,
 Do której hasło najpierwszy ten poda,
 Kto chce narzucić niewolnicze pęta,
 Co aby snadniej zholdować lud boży,
 Sam się poniży, sam się upokorzy.
 Na nim się wesprzesz jakby na opoche,
 A on się śmieje w głębi swego ducha,
 On weźmie pierwsze swawoli owoce,
 A karę błędu — ten, kto go ustucha.
 Tak niegdyś w Polsce, miłościwe pany
 Mówity szlachcice: — „Co to nasze prawa?
 Ten król choć przez nas swobodnie obrany,
 Na naszą wolność nieżyczył się zdawa.
 Nasze statuta, choć własne pisanie,
 Niedobrze plużą braterskiej swobodzie:
 Wszakemyś szlachta — a szlachcic, mospanie,
 Choć na zagrodzie, równie/wojewodzie.
 Hej! kogo losy krajowe obehodzą,
 Do mnie niech śpieszy! co żywiej a sporzej!
 Stanę na czele, a pod moją wodzą,
 Król się poniży, prawo upokorzy!
 Nic nie zważajcie, żem ja wojewoda,
 A baczcie we mnie szlachcica i brata:
 Mam chleb i wino, co to ust nie szkoda,
 Przyjmę was chętnie, czem chata bogata!⁴
 A ślepa szlachta, krzyżąc wniebogłosy
 Na ucisk tronu i niesłuszność prawa,
 Pod sztandarami wojewody stawia
 I z jego gwiazdą połączy swe losy,
 Z jego zachęceniem łączy swoje modły,
 Z jego orężem swe szable ohoceze, —
 Już się za kruszec zaprzędaje podły,
 Za słągiew miodu, za gruntu półwłocze.
 A do pańskiego rydwanu przykuta,
 Już zapomniawszy, co wolność prawdziwa,
 Śni jeszcze szlachta, że swobód używa,
 Obiera króla i pisze statuta.
 Senne rojenia! — niedorzeczne chęci!
 Pomiedzy kilku władza się rozdziela;
 Potężnych domów maozdy są kłienai,
 Lecz trudno w kraju o obywatela.

(Str. 54—8.)

Jak w owe czasy — nim w Polskę strzelili
 Cztery pioruny, ze czterech stron świata,
 Pan porozdawał, pogmatwał jej siły,
 Z gościńca przodków odbiegał Sarmata.
 Bezrząd na wszystkim swoją pieczęć kładzie,
 Nosi jej cechę już Rzeczpospolita;
 A niegdyś baczny na wszystko Lechita
 Stał się porządnym — jedynie w bezładzie.
 Panowie radni oblegają króla
 I za starostwo przedają swe wota;
 Szlachta na sejmie po gospodach hula,
 Pijanem słowem na wszystko się miota,
 Rzuca na króla i na senat zakal,
 Każdą myśl jego zabija w jutrzence.
 Och! często, często boleśniej zapłakał,
 Często załamał Jan Kazimierz ręce —
 I tęskne myśli posyłał za morze,
 Gdzie tron ojcowski posiadał mu kto inny,
 Gdzie lud monarchom postuszny, powinny,
 Gdzie król poddanych uszczęśliwiać może.
 A tutaj... tutaj gdzież jest tronu władza?
 Naród do szczęścia sam sobie przeskładza.
 Tu groźna północ od Szwedów i Rusi
 Dwoma chmurami zdaleka się rozry;
 Tutaj Chmielnicki, prawdziwy bież boży,
 Kraj naddnieprowsy oderwać się kusi,
 Krwią łaską spłuskał ukraińskie stepy,
 A niema środków postawić mu czoła:
 Sejm tylko jeden uczynił to zdoła,
 Ale sejm polski, gwarliwy a ślepy,
 Gdzie dola kraju, gdzie obrona dżiatek,
 On się targuje z królem o podatki,
 Jęczą na nędzę i szlachta i pany.

(Str. 56—7.)

A patrz po kraju, kędy gromsz się trwoni
 Za jedną szczyptę zamorskiego ziela!
 Co służy co potraw! co psów, a co koni!
 Jak tryska wino! jak huczy kapela!
 Patrz ile kanak z diamentu warły
 W stroju męzczyzny, białogłowy, dzieka!
 Jakie sobole, tygrysy, lamparty!
 Rzeczpospolita zbytkuje szlachecka.

Za dwie wieczery nadwornej szarańczy
 Można uzbroić chorągiew husarzy;
 Lecz szlachta szumi, o swobodach garzary,
 Na grobie kraju śmieje się i tańczy;
 Ani chce wiedzieć, że tu wnet naskoeczy
 Groźny Chmielnicki, Szwed albo Rakoczy.
 Gdy się na głowę zwała Siedmiogrodzie,
 Kozak i Rusin gdy do walki zowie,
 Na walach fortec jaśni starostowie,
 Sięją warzywa jak gdyby w ogrodzie,
 Mur z bastyonem rozbijając stary,
 Budują z niego śpiczrze i browary.
 Rzadko gdzie w domu szlachca-rycoerza
 Był koń, zbroica lub miecz wpgotowiu;
 Żołnierz koronny, zbyt folgując zdrowiu,
 Włóki z sobą łożka i pościelenie z pierza,
 Na wież obronnych niedawne zwałiska
 Wspina się koza i ogryza zwaliska
 Na straży żołnierz dziesiąty, dwunasty,
 Bo reszta hula albo lud uciska.

.....

Bolesć rwie serce, gdy musimy w pieśni
 Wspomnieć te czasy, kreślić te obrazy.
 Patrząc na Polskę płakali współczesni:
 „Piękna ziemco! zgubionaś się razy!
 Świetna wśród bitew, nieszczęśliwa doma,
 Nie drżysz przed Szwedem ani Zaporozem,
 Lecz sama własnym zabijasz się nożem,
 Grób sobie kopasz własnemi rękoma!
 Nie winię obcych, że z chciwym zapalem
 Biegają ku tobie, czując twe niezdrowie;
 Tylko narzędziem Pańskiem są krutkowie,
 Co leczą martwem nasyć się chcą.
 Nie oni zgonu twojego przyczyną:
 Kraje przez siebie, nie przez obcych giną.”

Zdrada wprowadziła do Polski Szweda, ten zalał cały kraj.

(Str. 58—60.)

Uszedł król polski ze swojej stolicy,
 Coraz po kraju tułając się dalej,

Pierzchli koronni niegdys pochlebnicy,
 Co jeno łaski u tronu szukali.
 Opuszczał króla silny i bogaty,
 Szedł i Szwedowi swą przychylność kłamał.
 Biedny mieszkaniec zaściankowej chaty
 Spojrzał dokoła — i ręce załamał;
 A oby pychy podszeptom zdradzieckim,
 Przysiągł nie zdradzić króla i swej ziemi —
 Naostrzył brzeszczoł rękami chrobremi
 I szedł do swoich łącząc się z Czarnieckim.

.....

Rus gości w Wilnie, Chmielnicki we Lwowie,
 Szwed zajął Poznań, Warszawę i Kraków;
 Już wszystkie grody stołeczne Polaków
 W rękach zdobywców jak nędzne pustkowia.
 Trzy wielkie wichry w całej swojej sile
 Kiedy na jedną budowę gruchnęły,
 Zda się dziedziń Pałata i Jagielly
 Będzie na troje rozdarta za chwilę.
 Niemasz wyboru dla prawego męża,
 Jeno polegnać pod domowem zgłiszczem;
 Lecz mądry mówią: — „Może coś uszczęsem,
 Pójdźmy nie kłaniać temu, co zwycięża”.

X.

Książę Radziwiłł, litewski koniuszy,
 Dawno szwedziemu kłania się królowi;
 Jego klienci na wszystko gotowi
 Na stronę szwedzką przeszli z całej duszy.
 Tylko gdzie niegdzie trzyma się na wodzy
 Kupa mieszczanów lub szlachta ubodzy.
 Pomimo pochlebstw, pomimo popochu,
 Gdzieś garstka z garstką jeszcze się sprzymierza,
 Ostatni szeląg, ostatnią garść prochu
 Niesie za sprawę Jana Kazimierza,
 Ostatnie taktki bolejącej piersi
 Składa w modlitwę za Rzeczpospolitą.

Odrzuciło się szczepię od wrogów i zdrajców. Krzysztof Szeliga, teraz już pan mołny, zapadło swą dolę skojarzył z losem ks. Bogusława i musiał z kraju uchodzić. Zjeżdża jednak w rodzinne strony, by tam zjednywać stronników dla Szweda. Oś czterokonnej wspaniałej karocy z trudnością się przeciska przez stare wrota, które według zaklęcia Skarżi opadły całym ciężarem dębowego dachu na zbrońniczą głowę.

Ułaz.

Sielanka bojowa z błot poleskich

(1857).

Część pierwsza.

(Tamże t. 3, str. 252—3).

I.

Smutny kraju Polesia! znajomym mi nieco;
 Mglisto twoje wspomnienia z dzieciństwa mi świecą:
 Snują mi się niekiedy, jakby senne mary,
 Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary,
 Lasy ciemne i gęste, jak gdyby jaskinie,
 Rzeka, co między łożą a sitowiem płynie,
 Uprzykrzonych owadów družyna skrzydłata
 I zielony motylek, co nad wodą lata,
 I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana
 Ostрым krzykiem żórawia, klekotem bociana,
 Albo pluchaniem czółna po spokojnej fali,
 Kiedy rybak z wężerzem przemknie się woddali.

Tajemny jakiś urok w mych oczach owieja
 Żółte Polesia piaski i ponure drzewa,
 Czarne podarte chatki na piasku lub mszarze¹⁾,
 Stomą kryte cerkiewki i wiejskie cmentarze,
 Ozdobione jedliną lub sosną pochyłą,
 Gdzie sterczy mała chatka nad każdą mogiłą,
 Gdzie w spokojnej mogile pomieształ się spoletem
 Stary popiół pradiada z prawnuka popiołem.

Tu zesłonieli lasem i oblani wodą,
 Z pokoleń w pokolenia ludzie wiek swój wiodą;
 Żaden nowy obyczaj, żaden wymysł świeży
 Nie przemienił ich mowy, ni kształtów odzieży;
 Żaden nowy duch wieku nie przyłożył ręki,
 By zmienić bicie serca albo takt piosenki.
 Jak przed wieki nosili słowiańskie narody,
 Takie noszą sukmany, takie same brody,
 Takie same siekiery, któremi dąb walą,
 Takie same cerkiewki, w których Boga chwala.

¹⁾ Mszar — miejsce niskie, zarosłe sośniną i mchem.

Tak samo ich posila miód, jagła i ryba:
 Nie tutaj nie przybyło — trochę nędzy chyba.

Czasem nową piosenkę żniwiarka ukleci,
 Ojciec nowe podanie opowie dla dzieci,
 Co mu ze starych wspomnień po głowie się kręci,
 Co się działo w tej wiosce za jego pamięci.
 Drobnie wspomnienia wioski lub pańskiego dworu
 Dają na wieczornicach trzód do rozhoworu.
 Tam przy smolnem luzawie, w wesotę gawędzie,
 Gdy chłopak wiąże siatkę, dzwiczek kądziel przedzie,
 Gdy bajki pradiadziowskie poczną bajać starzy,
 Serce się rozkołysa i głowa rozmarzy,
 Ze zapomnieć tych bahań niema żadnej mocy:
 Będiesz myślał dni kilka i śnił kilka nocy,
 Powieść smutną czy straszną nie przestaniesz marzyć,
 Musisz ją złożyć z serca — drugiemu wygwarzyć.

Taką powieść słyszałem pomiędzy innymi
 Z czasów jeszcze Francuza na tutejszej ziemi
 Nie wszystkim w niej spamiętał — więc przebaczoie, proszę.
 Jeżeli nie dość wiernie na kartę przynoszę,
 Nie wiem nawet, czy prawda? Sami doświadczycie,
 Gdy wam w piersiach zadzwoni gwałtowniejsze bicie,
 Gdy niechęć poczujesz, jak iza oko znywa,
 To już i cała powieść musi być prawdziwa.

Do chaty strzelca Ułaza na skraju lasu u długiej grobli poprzez trzęsawisko
 weszło kilkoro szlachty w późny jesienny wieczór.

(Str. 256—60.)

IV.

Lecz drzwi się otworzyły i do chaty wpada
 Ludzi zbrojnych strzelbami niemala gromada.
 Ułaz poznał ich wszystkich — i sam był im znany:
 To z okolicznych dworów dzierzawce i pany,
 Gromada ekonomów i dworskich pisarzy,
 I szlachty zaścianiowej poznał kilka twarzy.
 — „Co oni tutaj robią po nocy i z bronią?
 Czy polują na wilka, albo sarny gonią?
 Lecz w terażniejszą jesień niemasz wilków prawie,
 Nie słychać w okolicy o żadnej obławie.
 Chyba w barciach niedźwiedzia odkryła się psota,
 Albo łos z tamtej strony przemknął się od błota”.

Tak sobie stary Ułas przypuszczenia tworzy
I biedził się w swych myślach, gdzie ich spać położyć?
A bacznie oglądając na ławy domowe,

Pokłonił się w pół pasa i poskrobał w głowę.
— „Dobry wieczór, Ułasie!” — mówił pan przybyły.

A właśnie był to dziedzic, człowiek pełny siły,
Choć już siwego wąsa, co był czarny złodu;
Miał polską taratatkę, podkasaną przodu,
Przez plecy długą sztrzelbę i szpadę za pasem
(Która się po myśliwsku zowie kordelaselem),
A w ręku długi oszczep, jakby szedł na dzika.

Ułas badawczem okiem dziedzica przenika,
Pokłonił się raz, drugi, a potem raz trzeci
I czekał niecierpliwie, co mu pan poleci.

— „Słuchaj, — rzecze — tyś rodem z niedalekiej wioski;

Trafisz pewnie po nocy na Ostrów Czartowski;

Zaprowadź nas do niego, i to zaraz, żwawo!”

Ułas podniósł na pana żrenięcie ciekawę;

Nie wierząc, że pan mówi przy zdrowej pamięci,

Przeżegnał się dwa razy jakoś mimo chęci.

— „Iść na Czartowy Ostrów! a to naco? poco?

Ani dzika, ni wilka nie dopatrzysz nocą;

Zresztą, tam gniazdo wilcze nigdy się nie bierze;

Jeżeli jest, to chyba przy Zgnilem Jezierze.

Dzięki Bogu, znam puszcę!”

— „Nie o wilku mowa.

Ot przedko zjedz wiecezrę, jeżeli gotowa,

A na Czartowy Ostrów prowadź nas i kwita.

Na przypadek i sztrzelba niech będzie nabita!”

Tak mówił groźnym głosem i w stół pięścią grzmota

Stary dworski ekonom Baltazar Kapoła.

Ten był zbrojny w dwie sztrelby, barczysty, choć mąty,

Niósł na plecach sążnistą barylę gorzały,

A przy torbie, co zda się zwierzyna napozór,

Miał trzy spore wedzonki i wołowiy ozór.

Strzelec wokoło popatrzy, ramionami wzruszy:

— „Czy oni poszaleli?” — myśli sobie w duszy —

„Skąd się tutaj wyrwali, jakby kamień z procy?”

Jak żyje, nie słyszałem polowania w nocy!”

Pokłonił się raz jeszcze i przemówił trwożno:

— „Czyż to wielmożnym panom nocowanie!...

Wygód niema... zwyczajnie... nato polowanie!...

Jeden zaśnie na ławie, a drugi na sianie;

A jutro, jak zaświta, ja panów rozbudzę,

I poszukamy wilków przy Popowej Strudze:

Bo na Czartowy Ostrów choćby pędzić kijem,
Zaden wilk nie zabieży, i nie nie zabijem!”.

„Tu potężnie pochwyił za ramię Ułasa
Szlacheć suchy, sążnisty, z wąsami do pasa,
W wielkiej czapce uszatej i kurcie baraniej;
Stuknął trzy razy sztrzelbą, oparł ręce na niej
I z szyderczem spojreniem, które miał w natogu,
Rzecze: — „Ułas, choć stary, a głupi, jak w rogu!
Jemu lata po głowie na wilki obława!

Tu nie sarny, mój bracie, tu ważniejsza sprawa!
Nie dziki, nie niedźwiedzie, lecz grubsza zwierzyna,
Co to się na *k* kończy i na *k* zaczyna,
Co to lata, jak wichur, z piką i nahajem,
Co to wczora szumiął w karczemie 'pod gajem.
Jeszcze się nie domyślasz? och, synu pastuszy!”

— „Cicho, panie Walenty! ściany mają uszy!”

Przerwał mu drugi szlachcie i półgłosem rzecze:

— „Tu grobelka — tam lasek — uważasz, człowiecze...”

Oni idą grobelką; a my siedzim w lesie:

Puk! puk! pięćdziesiąt kroków — toć kulka doniesie.

A z grobelki do lasu jest błoto pod miedzą,

Nim się do nas dopadną — pierwej diabła zjedzą!

Teraz już zrozumiałeś, pośpieszysz z usługą?”

Pan wziął na bok Ułasa, szepłali coś długo;

Strzelec żegnał się krzyżem, był, jak płótno, błądny:

Czasem się głośno słówko wyrwało z narady,

I Ułas znowu szepłał, pokiwawszy głową...

— „Dzieci będą sieroty... pani będzie wdową...”

Już to my w oczeretach — nie bój się jegomości,

I dobytek schowamy, i całą ruchomości,

A w hacie u Wasila, zaraz przy jeziorze,

To i pani z dziatkami pomieścić się może.

Tam szatan nie wytropi — niech tam żyją zdrowi!

Ale dwór stoi pustką... dwór spalił gotowi...”

Wiadomo... czas wojenny... I znów szepeją zeicha.

Tymczasem ktoś ze szlachty dorwał się kielicha,

Albo z myśliwskiej flaszy haust pocigał spory,

Trzeci zapalił lulkę, poszły rozhowory,

Rozprawiano o wojny przyczynach i skutku,

A pan ciągle z Ułasem szepłał pocichutku.

Wreszcie Ułas przed panem uklęknął przy stole:

— „Tak mi, Boże, dopomóż! panoczku! sokole!

Że na Czartowy Ostrów znajdziem przechód łatwy,

A jak oka, jak serec, strzecz będziem twój działwy;

A jeśli komu powiem, gdzie wy? w jakiej stronie?
Niech mię piorun zabije! niech ziemia pochłonie!¹⁸
I całuje go w nogi i, jak dziecko, chłapie.
Pan podjął — uściskami Ułasa osypie,
I sąsiedni panowie, i szlachta, co pije,
Wszyscy hurmem się cisną chłopowi na szyję,
I w chwili rozrzewnienia, z braterskim wyrazem,
Lza chłopska i szlachecka spłynęły się razem:
A w tej łzie (o czem szlachta wąpiała od wieka)
Był tylko jeden wspólny pierwiastek — człowieka.

(Str. 261-6.)

Część druga.

Straszne to były czasy — syte pokolei
Leż, krwi, ognia, rozpacy i dobrych nadziei.
Chmury wojsk szły na północ nieprzerwaną smugą.
Jedna połowa świata ścierała się z drugą.
Krew lała się na polach, gdzie bój silnych wabi,
Ale krwawszemi łzami zlewali się słabi.

Smutno w poleskich dworach i po wioskach kmieci:
Tam codzień zbrojny żołdak bezkarnie nadleci,
Pokrzywdzi siwą głowę, stodołę zapali,
Pozarzyna dobytek i poleci dalej.
W ostatniej straży wojska, z tej i owej strony,
Wahał się bezkarnie żołnierz rozproszony:
Mignie spisa kozacka, czy bagnet Westfala,
Mogła już łzy i jęki przewidywać zdala.
Z oddalonej wieszczyzny nad błotem, nad rzeką
Wolać o sprawiedliwość — było za daleko.
Przeklinał syn Polesia swe ojczyste drzewa,
Gdzie las jęki przytłumia, wiatr skargi odwiewa.

II.

Wszystka szlachecka młodzież w gorącym zapędzie,
Pewna, że głową mury skruszy i zdobędzie,
Że z piersi odmuruje upadłą budowę,
Niosła pod sztandar Franków i piersi, i głowę.
Mało kto został doma, na roli, przy żniwie:
Czyja stodoła z ogniem poszła nieszczęśliwie,
Kogo mocniej, żelzywiej bicz kozaczy dotniae,
Szedł do lasu ze strzelbą, wyniszczając ich sotnie.

Nieraz synowie Donu, posłani z depeszą,
Gdy przez groble poleską manowcami śpieszą,
Z za bagniska, z za krzaków, lub z gęstego żyta
Gwizdnie kulka szlachecka i serca dopyta;
Lub czasem na bawaku, by odpocząć nieco,
Spisy w ziemię utkwivszy, gdy ogień nanieją,
To, jak chmura komarów, szlachecka gromada
Pan Bóg wie, skąd się zjawia, na tabór napada
I wyzywa na rękę, rozбивa na głowę,
Uprawdza zdobycze i konie stępowe,
Zostawi kilka trupów, gdzie walka zajada,
I znowu znika w lasy — jakby w wodę wpada.

III.

Oddzielone od grobli bagnami i rowem,
Uroczyisko, nazwane Czarłowskim Ostrowem,
Było sotniom kozackim niebezpieczne srodze:
Gdy się długim szeregami rozciągną po drodze,
Stamjad najgęstszym gradem najcenniejsze strzały
Zawsze w głowę starszyny, jakby w cel, trafiły.
Jedno hasło wystrzału kilka trupów kładzie.
Stary cześniak Belina dowodził gromadzie.
Przy nim byli panowie okolicznych wiosek:
Pan komorarik Szeliga, pan chorąży Wrzosek,
Pan mostowniczy Kurdesz, pan podsędek Kościa,
I szlachta Z Zajeziera, z Zabločia, z Zamościa,
Na jej czele chwałebnie znajomy tym stronom
Pan Baltazar Kapota, z Brzozówki ekonom.

Gdzie się ta banda kryje? w błocie, czy na drzewie?
Oni wiedzą o wszystkim, a nikt o nich nie wie.
Kędy ciągną bagaże czy huf słabszy który,
Oni na kark spadają piorunami z chmury —
I nie ustąpią z placu, nie popuszczą dłonią,
Póki łupów nie zgarną, sotni nie rozgonią.
Dzisiaj tu, jutro owdzie: — drużyna kozacka
Próżno za nimi pędzi, próżno łas otacza,
Bo oblawa na szlachtę wraca bez połowu;
Kędyś się przyczaili, by wybuchnąć znowu,

Kto im dostarcza jadła i starej gorzałki?
Ściąd mają proch i kule na tak gęste strzały?
Ściąd o wojska obrotach wiedzą tak dokładnie?
Ktoś do nich, ani wątpić, przemyka się zdradnie.

Wprowadziła kozaków na drogę najprościej!
Otóż jest, panie Janie, cel twojej miłości!
Dobrze skarkulo wałaś przedać nasze dusze!
Ja zginę, ale pierwę zgubić zdrając muszę!^m
Skończył — i jednym palcem pociągnął dwa kurki,
Huknęły dwa naboje z dwóch lufek dwururki:
Dziewczę martwe upadło — krwi bryzgnęła struga,
Jedna z pięknego czola, a z pod serca druga...
Pan Baltazar, ukryty w leszczykowej ciszy,
Za dymem nie widzi, za hukiem nie słyszy;
Lecz, gdy opadły dymy, gdy ujrzał, że kona:
— „Panie cześniku! — rzecze — już kłeska zemszczona!”
Jeszcze nie skończył wołać, gdy kozacka pika
Już mu piersi rozbija, do serca przenika...
Ryknął straszliwym jękiem, pod wótcznią się miota
I skonał krwią zalany Baltazar Kapota.

1) Wyzwolenie włościan
(1859).

(Tamże t. 7, str. 193—195.)

Czytałem wołę dobroczynną cara,
Co prawa ludziom przypomina,
I byłem pewien, że żadna ofiara
Nie będzie ciężką dla serca Litwina.
Wróżąc urodzaj tego roku rzadki,
Piękne dożynki społecznego żniwa,
Chodząc eodzień patrzeć za rogatki,
Czy wielu szlachty do miasta przybywa.
Gdy mnie obrzucił pył pańskiej kolaski,
Gdym ujrzał postać znaną w przeczcu,
Łzy biegły z oka — czy to gryzły piaski?
Czy coś z pod serca płynęło do oczu?
Ja nie wiem, nie wiem, skąd ta łza się kręci,
Skąd moje czoło hardziej wawrzynem:
Że mój prapradzad był szczyrem Litwinem,
Że jestem szlachcie, że mam herb w pieczęci.

Myślałem sobie: — Napróżno krzykacze
Rzucali błotem na szlacheckie miano!
Jutro, pojutrze na oczy zobaczę,
Że nas niedarmo szlachetnymi zwano:
Jutro, pojutrze z uniesieniem powie
Moskwa i Polska, cała Europa,
Żesmy Litwini w dobrowolnej znowie
Jazmo i łańcuch rozwiążali z chłopa:
I że najpierwsze odbiorą oklaski,
I kartę w dziejach, jako przykład światu,
Ci, którzy dzierżą marszałkowskie laski,
Którzy są głową i sercem powiatu;
Jak Zygmunt August, oni z własnej chęci
Zrzekną się bicia, nie słowem, lecz czynem...
I byłem chlubny, że jestem Litwinem,
Że jestem szlachcie, że mam herb w pieczęci.

.....
Ze starej Lidy, ze starej Osmiany,
Z Trok Klejstutowych, z Wilejki i z Dzisay
Kwiat naszej szlachty dokoła wezwany
Wyrok dla ludu podpisze korzystny.
Z takim oklaskiem w tak niedawnej chwili
Wybrani świetni powiatów ojcowie

Czyżby się Wilnu wstydzic dozwolili,
 Odjąć koronę paleońskiej głowie?...
 Przecież się stało... Kraju mój rodzony!
 Wieniec twej cześci odarty w tej chwili:
 Ojcowie twoi własnymi imiony
 Kajdany ludu pismem utwierdzili!
 Podali dziejów ohydnej pamięci
 Swoją praktyczną opiekę nad gminem!
 O! wstyd mi Wilna! Nie chcę być Litwinem!
 I hańba mojej herbowej pieczęci!

J) Cupio dissolvi

(1861).

(Tamże t. 7, str. 281—2.)

Naco mi, Panie, ta suknia z ciała,
 Co mi swobodną duszę skwołała?
 Skwołała w pancerz, ciśnie i gniecie,
 I zatrzymuje na ziemskim świecie.
 Ja jestem duchem... duchem, nie więcej...
 Pospo mam chodzić w szacie zwierzęcej?
 Moje radości, moje katusze,
 Na drzewku serca wydzwaniac muszę,
 A nieśmiertelnych myśli osnowa
 Musi się ścieśniać belkotem słowa.

Kiedys mię stworzył wolną istotą
 Między występkiem a między enotą,
 Czyż grzech i enotę przed okiem nieba
 Koniecznie ciałem wyrażać trzeba?
 Jesliś przeznaczył ludziom za brata,
 Czyż tylko ciało braterstwo spleta?
 Czyż tortur ducha nie masz w Twych ręku?
 Czyż nie rozumiesz bólów bez jęku?

Dałeś mi mowę, cóż ona znaczy?
 Czyż choć cień myśli mej wytłumaczy?
 Dałeś mi zmysły, cóż ich powaby?
 Każdy ulomny, każdy z nich słaby,
 Każdy kłamliwy w swojej osnowie,
 Żaden mi ścisłej prawdy nie powie.
 W uchu i w oku, w smaku i woni,
 Tylko się samo złudzenie chroni,

Tylko przeszkoda duszy człowieczej,
 By doskonalej pojęła rzeczy.

W ziemskich warunkach ciała i kości
 Spada korona niezależności;
 Duch musi stawać na ziemskiej mierze,
 Ziemska namiętność swe prawa bierze,
 Wysokie żądze giną bezpłodne,
 Wzamian rozkoszy, co mnie niegodne;
 Głód i pragnienie, zimno i spieka
 Dają poczucie nędzy człowieka.
 Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
 Próżność piersiową kłatkę wydyma,
 Nienawiść ręce uzbraja w noże,
 Miłość zbydłęca, co było Boże.
 Tak... nawet miłość — uczuć królowa,
 Tutaj świętości swej nie dochowa.

A zawsze bólem serce się kraje,
 Ale ta boleść chluby nie daje;
 Ja, moje ziemskie splacając długi,
 Cierpię męczeństwo, nie bez zasługi!
 Kiedy mię ziemskie cierpienie zmoże,
 Z więzów cielesnych wyrwiesz mię, Boże,
 Ale już dusza nie będzie młoda,
 Już jej przeminie dawna swoboda,
 Bo ją bolesna pamięć przygniata
 Grzechu i cierpień ziemskiego świata.

K) Chatka w lesie.

Dziwadło dramatyczne

(1855).

(Tamże t. 4, str. 250—256.)

W ogrodzie publicznym spotykają się księgarz Czcionka i poeta Henryk.
 Księgarz się dopytuje o pracę, poeta odpowiada, iż próżnuje, napawając się
 urokami jesieni. Na oświadczenie Czcionki, że przecież widział na biurku
 grubą posyt, Henryk wyzaje, że spisuje liroczny pamiętnik swego życia;
 jako rzecz osobista nie jest on przeznaczony do druku.

HENRYK. Chcę, widzisz, panie Czcionka, moją przeszłość całą
 Owiać takim powietrzem, jak się oddychało
 W moje lata dziecinne. Niech z kart pamiętnika
 Wieje aromat łąk, gdzieś łapał konika:

Chciałbym wydać ten ogłos na rzecznej zatoce,
Jako fala pieniaista po żwirze plucchoe;
Niech olcha gwarzy z olchą swych liści szelestem;
Niech mi się zda samemu, że ja dziekiem jestem,
Że na kiju ojcowskim haruję ohechoz;
Niech mię lube dzieciństwa postaci otoeza,
Niech mię upominają, żem chłopak swawolny.
Chcę oddać dźwiękiem słowa pierwszy dzwonek szkolny;
Niechby moich dzisiejszych czytelników tono
Zadręgało razem ze mną radością szaloną,
Gdym pierwszy raz nauki skończył w imię Boże,
Gdy pierwszy list pochwalny rodzicom przywożę;
Chcę, aby w pamiętniku ów moment ocałał,
Gdy ojciec list przeczytał i łzami się zalał.
Chcę utrwalić piskliwe organy u fary,
Gdym jeszcze służył do mszy, a nasz pleban stary
Wyciągał „Święty Boże!” całą siłą piersi;
A ludzie w nabożeństwie gorliwi i szczerzi,
Uniesieni modlitwy władzą tajemniczą,
W sto głosów niedobrych na odpowiedź krzyczą.
Lecz Bóg nakłaniał ucha do prostego wrzasku...
Tak to chciałbym obrazek prześnić po obrazku,
Choćby tu nie błyszczały kolorytu dziwy,
Lecz każdy byłby rzewny, bo każdy prawdziwy.

CZCIONKA (na stronie). Hm! obrazek domowy, nakreślony z duszy,
Będzie bujnego druku na kilka arkuszy.
Czuję węchem wydawcy, że to niezła proba,
Że prześwietna publiczność dziełko upodoba.
Cóż dalej? Słucham pana.

HENRYK. Dalej, panie Czcionka,
Kolejno moje oko w przeszłości się błąka
I czuje niepojęte artysty rozkosze,
Kiedy wszystkie jej rysy na kartę przenoszę.
Drży ręka, gdy się biorę za podobną pracę,
Okło łzami zapływa, a serce kołacie.
A jednak wśród tych wzruszeń odywam najśłodziej,
A jednak obraz wierny z pod pióra wychodzi:
Bo obraz w mej pamięci wyżył się pomalu,
Przystroili się w tęczowe barwy ideału.
Dzisiaj dobitniej się może niż wlenczas odslania
Kronika mojej wiary, mego wychowania,
Koleje pierwszych wrażeń: jak? kiedy? dlaczego?
Rozwój najdroższych uczuć, co mi serca strzeżają.

Co mi nie dają zginąć w zwątpienia obłędzie —
Naprzykład: pierwsza miłość...

CZCIONKA. Ho! i miłość będzie!
A przyznam się — począłem był tracić otuchę,
Bo psychiczne badania zwykły bywać suche;
Filozof je oceni, lecz ogół nie kupi.

HENRYK. Nie bój się!... mój pamiętnik, to nie ementarz trupi:
Tam na tle młodych rojeń, we właściwej szacie,
Ruszą się i żyją prawdziwe postaci,
Tam postać mojej matki, tam siostry, tam krewni,
Tam jest niejedna scena, co serce rozzerwini;
Mój dyrektor, i pleban, i włościanie z wioski,
I arendarz brodaty, faworyt ojcowski,
I szlachta, co poluje, i dziewki, co przęda,
Jest nawet organista, co jeździ z kołędą.
Każdą postać malują tak wiernie, tak świecie,
Że ją poznasz z oblicza, poznasz po akcenie,
Każdą łatwo odgadniesz po mowie i głosie,
Czego się nie domyślił, serce ei dopowie.
Jedna tylko jest postać niedokładna nieco,
Bo serce nadto drżało...

CZCIONKA (ze śmiechem). Tę postać... kobiecą
(Widzisz pan, żem się rzeczy domyślił w tej chwili)
Jużbyśmy w edytorskim przypisku skreśliłi.

HENRYK (z zapalem). Ty skreślił, panie Czcionka? ty!...
[harpagon blady?]

CZCIONKA. Ja, com czytał romanse, powieści, ballady;
Wszak w poetach miłości jednostajna miarka.

HENRYK (z zapalem). Choćbyś serce znał Tassa, choćbyś znał
[Petrarka,

Choćbyś oczy wysłępił w łacińskim Nazonie,
Nie zdołasz oddać nieba, co w jej oczach płonie!
Słuchaj — ja byłem stary... byłem bardzo stary...
Wśród bolesnych doświadczeń, wśród cierpień bez miary,
Za życia kamień grobu już czulem nad głową,
Ona tylko spojżała... jam odżył na nowo!
I odrzuciłem wszystkie moich cierpień roje,
I powagę lat moich, i marzenia moje;
A wtrącając szczebiotom niewinnego dziecka,
Anim poczuł, jak mija godzina zdradziecka,

Jak mija cały dzionek... przyszedł zachód dzionka...
Jam przecie człek statysta — znasz-mię, panie Czcionka,
I zadziwił się pewno: skąd mi zapal służę?
Jam biegła na wyścigi wpośród malw i róży,
Bo to było w ogrodzie — był wieczór majowy...
Wtem — Bóg wie skąd — tęsknota owiała nam głowy,
I usiedliśmy razem pod wierzbą pochyłą,
I bolesne westchnienie dwa serca przeszło,
I nie mogliśmy zgadnąć, choć nam głowę utnij,
Dlaczegośmy weseli? dlaczegośmy smutni?
Dziwne serce człowieka...

CZCIONKA. To dałpan dziwno!
Ja sam, słysząc od pana tę powieść naiwną,
Czułem, jak dreszcz tajemny przebiegił po mej duszy...
Co pan chcecz za pamiętnik, licząc od arkuszy?
Proszę mieć na uwadze, że to wydać myślę
In octavo minori, nie drukując ściśle.

HENRYK. Co pan chcecz? nie rozumiem.

CZCIONKA. Chcę nabyć tę pracę.

HENRYK. Ależ to nie na sprzedaż!

CZCIONKA. Ja dobrze zapłać:
Pięć talarów za arkusz... zresztą, mniejsza o to,
Sześć talarów zapłać i wydam z ochotą;
Edycyjka przepyszna, okładka różowa.

HENRYK. Żle, widać, panie Czcionka, pojąłeś me słowa:
Toż moja osobistość, moja dusza przecie!
Chcesz, abym własne serce stawiał na tandecie;
Ja tego nie sprzedaję!

CZCIONKA. Widzisz pan, żem skory:
Za jeden arkusz druku *octavo minori*
Płać siedem talarów — widzisz pan, że dużo.
Dzisiaj trudno o pieniądź, dziś czasy nie służą;
Drukujemy, sprzedajemy, a straty ponosim.

HENRYK. Leez panie...

CZCIONKA. No... pół-ósma — niech już będzie osiem;
Dawaj prędzej rękopism!

HENRYK (powstając z uraza). Co pana ośmiela
Grać tutaj jakąś rolę ducha-kusiciela?
To pismo ciekawości niczyjej nie wzbudzi;
Kreśliłem je dla siebie, nie dla obcych ludzi.
Pan myślisz, że dam spocząć dla marnego zysku
Świętokradzkiej żrenicy na cichem ognisku?
Że dla waszej zabawki choć w karykaturze
Najdroższe memu sercu poświęcić powtórzę?
Że dla was własne piersi i serce otworzę,
Byście anatomiczne zatapiali noże?
Abyście łzę bolesną, kiedy oczy gryzie,
Mogli poddać chemicznej ściśle analizie?
Ja nie wyjdę na pokaz przed publiczne grono,
Niegodziłem zaszczytu, by się mną trudniono,
W serdeczny mój pamiętnik całą duszę włożył;
Lecz to rzecz nie dla druku, panie edytorze!
Ja siebie nie sprzedaję.

CZCIONKA. I to mię nie dziwi:
Ilu znalazłem poetów, wszyscy są drażliwi.
Czyż ja panu krzywdzące przełożenia robię,
Byś wychodził na pokaz we własnej osobie?
Owszem... jeszcze rzecz dana na wartości zyska,
Gdy się odmienną miejsca i osób nazwiska;
A że tu pozwolona zupełna swoboda,
Toć pan dla niepoznaki coś ujmie, coś doda.
W przedmowie się zawierczaj wiadomości udziela,
Że to niby pośmiertna praca przyjaciele,
Odszukana w papierach — zresztą moja bieda!
Jakoś się wydrukuję, jakoś się wyprzedza.
Trzeba tylko obmyślić jakiś tytuł gładki,
Naprzykład: *Podróż życia*, lub *Moje notatki*;
Jak pan chcecz, bo co do mnie, byłbym za *Podróżą*.
Widzę dobry punkt wyjścia, widzę ognia duże;
Gdy autor o swej pracy rozprawia z zapalem,
Musiał być rzecz niegorsza — i czarno na białem.
Prawdaż?!

HENRYK. Gorsza, czy lepsza, ale nie na sprzedaż.
Nie dam panu tej książki.

CZCIONKA. Jaktó!! pan mi nie dasz?

HENRYK. Bo to rzecz osobista, to rzecz dla mnie święta.

CZCIONKA. Pan się, widzę, zbytęcną sumiennoscją pęta.

Potrzeba tylko dodać wstęp i zakończenie,
Zmienić nazwiska osób.

HENRYK. Ja nie nie odmienię
I drukować nie myślę.

CZCIONKA. Nie??

HENRYK. Za nie na świecie!

CZCIONKA. Dałbym panu zadatek w brzęczącej monecie.

HENRYK (z uśmiechem). Schowaj twój pieniążk w worek,
[ja książkę w zaciśnięte.

CZCIONKA (na stronie). Nie przyjmuje pieniędzy ... to pierwszy
[raz slysze!

Czcionka wreszcie odchodzi, wzięwszy przyrzeczenie, że rękopis nie przejdzie do rąk współzawodnika wydawcy. Ale niebawem zmienia się postać rzeczy. Marja rozpalita wyobraznie poety perspektywą blagiego pojęcia w „chatko w lesie”. Henryk zbiera swe zasoby. Rękopis przechodzi do rąk odgajającego się tymczasem Czcionki za pół ofiarowanej poprzednio ceny. Sędzia Płodozian przedaje poecie lichę folwarszką, każe mu zapłacić w czwórnaśob. Gdy wreszcie po roku „chatka w lesie” gotowa na przyjęcie ukochanej, Marja nie może się zdecydować na życie pustelnicze. Nadebity Czcionka proponuje uzupełnić drukujący się pamiętnik opowieścią o dotychczas zarodzie. W napisanej w roku następnym (1856) II-giej części „Chatki”. S., jakby przerażony pesymizmem swego utworu, rozwiązuje wszystkie dysonanse (Marja powraca do kochanka, Sędzia w pole wywieziony); w ten sposób założenie utworu *par excellence* romantycznego zostało skrzywione.

Opracował AURELI DROGOSZEWSKI.

ŻELIGOWSKI EDWARD

(Antoni Sowa).

(1816—1864.)

Edward Witold Żeligowski upamiętnił się w literaturze jedy-
nym swem dziełem, poematem fantastycznym „Jordan”. Utwór ten,
dziś nie czytany i trudny do czytania, stanowi jednak ciekawą
kartkę w dziejach umysłowości naszej, sprawił bowiem w chwili
ukazania się wstrząsające wrażenie na współczesnych; był głosem
ich sumienia, na czołach krypał piętno pogardy, w sercach mło-
dych niecił umieszczenie, krzepiące je otuchą w walce z biernością
i ospałością umysłową, z materializmem życiowym i kastowemi
grzechami przewodniej warstwy narodu; wlewał nadzieję w sprę-
gnięte pocięchy dusze, że nadechdzą czasy wielkiej przemiany
w duchu ludzkości i w jej losach. Należąc do pisarzy, którzy
w czwartym i piątym dziesiątku lat XIX w. budzili ruch umy-
słowy na Litwie, Żel. swe demokratyczne dążności próbował oprzeć
na właściwych epoce idealistycznych podstawach, na przeświad-
czeniu, że ideały jego są „życia koniecznością”, a konieczność ta
sama przez się prowadziła do „słodkiej utudy”, do oczekiwania
endu i „bajeczności” jutra. Dla wtajemniczonych w dzieło poety
brzmiały wyraźnie, choć stłumione umyślnie, echa poezji wieszszej;
ideały jej utwór zbliżał niejako do rzeczywistych warunków życia.
Ze względu na teren oddziaływania poezji Ż-go, we wspomnianych
ryszak zawierała się wyjątkowość i oryginalność jego czynu poe-
tyckiego, mimo że talent autora był bardzo skromny. „Sowa” siebie
nazwał, prorokując sobie los nocnych ptaków, kryjących się z chwilą
nadejścia dnia.

Ja Sowa jestem, ja latam w ciemności,
Lecz gdy dzień wejdzie, ja schowam się w cieniu.
Zostawię życie ptakom jasności...

Jakkolwiek obraz poety symbolizował tu warunki polityczne
i stan umysłowy i moralny społeczeństwa na Litwie, zastosować

go można jednak również do braku wybitniejszych talentów i do braku szerszych widnokręgów w poezji. Współczesnie i obok Ż-go rozlega się głos Syrokomli, pieśniarza o pokrewnej tendencji a talentem górującego, lecz skromna poezja lirnika wioskowego nie posiadała tego polotu i uboższą treść ideową zawierata. Jednocześnie w dalekiej od stolicy Litwy, kordonem odciętej Warszawie, wystąpiła inna poetka młodzieży, ale najbliższemu tylko gronu znana, Naręcza Zmichowska. Oto indywidualne okoliczności wystąpienia Żel-go. W tych warunkach chwilowy rozgłos Jordana może stać się zrozumiałym. Niewielki talent i okoliczności zewnętrzne sprawiły, że działalność pisarska Żel-go rozwinąć się szerzej nie mogła. Gdy więc zamiast oczekiwanego przez Sowę dnia nadeszły nowe, bolesne i głębokie wstrząśnienia, imię poety usunęło się w cień; nie zostały też dostatecznie rozwświetlone okoliczności jego życia. Urodził się d. 20 lipca 1816 r. w dziedzicznym Marjampolu w pow. wilejskim. Odbywał studia uniwersyteckie w Dorpacie (od r. 1835). Tu przejął się poezją romantyczną, która odpowiadała wrodzonemu jego usposobieniu, był bowiem, jak mówi o sobie

„rzewne, chorobliwe dziecię,
I pierś mą smutek zaległ nieznanym,
Miałem już w sercu — jeszcze bez bliźna rany.
(Poezje, str. 180.)

Istotnie pierwszy drukowany wiersz Ż-go, przysłany z Dorpatu Nadwiślaninowi w r. 1841 posiada łzawo-melancholijny i romantyczny zarzek koloryt. W Dorpacie poznaje się przyszły poeta z współczesnym ruchem umysłowym, zwłaszcza z filozofią niemiecką; tu rozwinęły się przekonania demokratyczne, które podzielał z gronem rówieśników, uchylając się od zwykłego wśród ówczesnej młodzieży akademickiej burszowskiego sposobu spędzania czasu. Wspomnienie wiosny życia będzie mu w przyszłości umiała posępne dni wygnania. Przez osobę Ż-go i jego poezję przedarło się na Litwę, kraj od świata odgradzony i w lasach zagrzebany, tchnienie idei z Zachodu.

Sprawa Konarskiego (1838) doprowadziła do wykrycia wśród młodzieży polskiej w Dorpacie tajnych związków, których celem było pielęgnowanie narodowości i sposobienie się do przyszłych usług ojczyźnie, przeważanie do kraju książek, ogłaszanych na emigracji. Ż., przetrzymany czas jakiś w więzieniu uniwersyteckim, oddany został pod dozór w Dorpacie, z którego pozwolono mu wyjechać dopiero w r. 1842.

Po powrocie do rodzinnego miejsca, poeta zaczął gospodarować na roli. Przeciwności między otoczeniem a młodzieńczymi wyobrażeniami, marzeniami i zamiarami zbyt było rażące, duchów pokrewnych sobie poeta niewiele znalazł, stąd gorzcy li-

rycznych ustępów Jordana i jaskrawość w malowidłach życia. Od ogłoszenia poematu (1846) staje się Ż. przedstawicielem demokratycznych, bardzo zresztą nielicznych na Litwie, elementów. Osiadłszy w Wilnie, osobistym wpływem, gorącym słowem oddziaływał na młodzież, budując w niej poczucie obowiązków społecznych i poważnych zadań życia, jednocześnie powstrzymując (jak podaje biograf poety i przyjaciel jego, Bronisław Zaleski) od lekkomyślnego spiskowania. Lecz i sam Ż. padł ofiarą wzmożonej po r. 1848 reakcji.

W połowie r. 1851 za dzieło swe, dwukrotnie ocenzone w i od r. 1848 będące w obiegu, a może także za mglistą wizję Dzielwicy z grobu powstającej i na świat cały wyciągającej rękę w również ocenowanym Pamiętniku Naukowo-Literackim R. Podbereskiego, (1849 r.), Ż. został wywieziony do Petrozawodzka. Jednocześnie wywieziono i Rom. Podbereskiego, Zofję Klimzańską, współpracowniczkę demokratycznej Gwiazdy i innych. Ż. przypisuje swe wygnanie (w przedmowie do Dzia i w ezora) hałasowi wokół Jordana. „Jedni mię wynosili pod niebiosą, a drudzy — między tymi ostatnimi ortodoksi i heretycy literacy, znaleźli mi tak wiele do wyrzucenia, iż zostałem z literackiej areny i parnasu rzucony tam, gdzie pieprz rośnie”. Szlakiem kibitki Jordana popędziło kilku jego wielbicieli, by mu rękę na drogę uścisnąć, może podróż ułatwić. Dwuletni pobyt na północy podkopał zdrowie poety, skazanego na samotność i pozbawionego środków do życia. Wygnaney nad Uralem (Bron. Zaleski i inni) uzyskali za pośrednictwem gen. gub. Perowskiego możność sprowadzenia go do Orenburga (r. 1853), w którym stosunki dla skazańców były znośniejsze. Stąd jednak nakazany został Ż-mu, obłożnie wówczas choremu, wyjazd do Wiatki, powstrzymany przez Perowskiego na własną odpowiedzialność; na wstawienie się wielkorządcy zamieniono (w styczniu 1854 r.) Wiatkę na Ufę. Tu w r. 1856 przyjęty został do służby cywilnej. Spotykał się w tych latach ze współczuciem przedstawicieli inteligencji rosyjskiej; wdzięczność swą dla przyjaznych osób żywo wyraża w piosenkach. Lecz oprócz tęsknoty do kraja rodzinnego, oprócz boleści, którą powoduje w tym czasie strata rodziców, próżno wyglądających dalekiego samotnego syna, nęka go także myśl zmarnowanego, bezczynnego życia. Polega się w nim nastrój religijny, widoczny i poprzednio, jak np. w wierszach, umieszczonych w r. 1843 w „Noworoczniku Literackim“ A. S. Krasniewskiego. Z tych „Wiar“ rozwija zupełnie mickiewiczowskie motywy przeciwności między wiarą a rozumem. Obecnie na obczyźnie w modach poety, obok nuty skargi, brzmie też inna, mimo rezygnacji nieugięta, świadcząca o moralnym hareie wygnania. Prosi jedynie o to, by mógł „sztyndar moralnej swobody utkwid i umrzeć na wiernych cmentar-

gwaltowniejsza robota, nim wzlecieć zdołamy". Stosuje się ta prawda do społeczeństwa w całości, lecz i do jednostek także. Podstawa systemu Żel-go jest etyczna. Wewnętrzne udoskonalenie się jednostki i przejęcie się jej ważnością obowiązków, to jest punkt wyjścia. Potrzebna jest świadomość celu dążenia, dróg i przeszkód.

Tyle tylko udało się (ciałom społecznym) postawić krok naprzód, ile razy organizm społeczny umiał roznieść się w sobie, zgłębić swoje pierwiastki i elementa, i w ten zrozumienie swoją umiejtność i ducha swojego do pewnych zrozumianych nakierować celów i dążeń*. Literatura narodowa jest refleksem życia; i Jordan miał być odbiciem podobnym, stawionem przed społeczeństwem w tym celu, by poznało, z jakich win ma się oczyścić, nim będzie mogło w jutro wstąpić.

Z natury obrazów i treści wylewów lirycznych Jordana wynika, że centralną ideą systemu Żel-go, poza stroną etyczną, sięgającą zresztą w głąb stosunków obyczajowych, była myśl o braterstwie z ludem, ukazana jako nakaz woli Bożej i warunek przyszłości narodowej. W tym momencie czasu stanęła ludzkość i naród. W ten sposób wielkie idee romantyczne o przeobrażeniu się świata, o konieczności dziejowej, w duchu boskim poczęte, przeczepione zostały na grunt rzeczywistości i nabierały realniejszych życiowych barw, pod względem społecznym przynajmniej. Bo co się tyczy perspektywy narodowej, to musiały się ukrywać w obrazach tak mglistych, że tylko uczucie mogło symbolom nadać właściwe znaczenie. Tak np. huragan chęci Jordana „pieśń wielków umarłych mu śpiewa”. Ale to przecie było zasadnicze przeświadczenie epoki, że dzieje ludzkości w duchu są jednolite. Może wyrażanie nieco brzmie ten ustęp, w którym duch, powstający z cementarzy, nuci pieśń „wielkości i żaloby”.

Takie były zalety Jordana, które uderzyły współczesnych. Entuzjastyczny nastrój uczuciowy i nieokreślone rojenia o podniosłych zadaniach życiowych wprawiały w żywszy ruch młodzieńcze serca. Dla nas występują na jaw wady, dostrzegane zresztą i przez współczesnych. Autor nadał utworowi swemu tytuł i barwę fantazji dramatycznej, ideę torem, wskazanym przez Dziady, Kordjana. Waclawa, jeżeli pominiemy wzory obce. Nie dziwią nas tedy częste wylewy liryczne i łożność scen, z których żadna niemal nie staje się punktem wyjścia dla następnej, nie dziwi brak ruchu dramatycznego. Lecz co ważniejsza, w dziele nie znajdujemy ruchu postępowego tej idei, która jest jego osnową. Marzenie o czynie jest wstępnym akordem, lecz także i szczytowym momentem. Ta sama uwaga stosuje się do charakteru głównej postaci. Dramat jest rozpisany na wzór Kordjana. Bohater Sowy przechodzi przez różne doświadczenia życiowe, znajduje się w róż-nych sytuacjach, stosunkach i t. p. To ma być nicia, wiążącą luźne

ogniwa. Mniejsza o to, że związek między bohaterem a presuwająciami się wobec nas scenami bywa przypadkowy, niedość dobitnie zarysowany, albo zupełnie znika. Lecz postać Jordana, mimo wszelkie wahania, pozostaje w gruncie nieruchomą; jego doświadczenia, jego starcia z zewnętrznym światem nie wzbogacają jego wewnętrznej treści i nie modyfikują jej. Ani z szatańsko dumnego Konrada nie rodzi się pokorny sługa, ani z miotanego jaskółczym niepokojem Kordjana nie powstaje człowiek, próbujący czynu. Jordan po wszystkich przejściach jest takim, jakim był w chwili ukazania się oczom naszym, gdyż jego zadaniem wyłącznym jest wypowiedzenie tez autora. Z tego źródła pochodzą pewne niekonsekwencje, wskutek których mgliste zarysy budowy jeszcze bardziej się zacieraają. Jordan np. przeżywa zawód miłosny, doznaje moralnego wstrząśnienia. Otaczają go duchy (jak Konrada). złe i dobre, walcząc o niego. Przy tej sposobności ukazują się mu różne widma, jak w II-jej części „Dziadów”. Wreszcie na widok postaci kochanki (echo „Nieboskiej”) Jordan woła, że przeżył i przezwycięzył cierpienia romantycznych Gustawów i Werterów. W postaci bohatera nie zachodzi zmiana wewnętrzna, gdyż już przed zdradą kochanki, czując, iż życie spokojne i domowe cnoty nie dla niego są przeznaczone, wydał westchnienie: „Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę”. Scena była tedy potrzebna autorowi tylko dla zaznaczenia jego przekonania, iż współczesna epoka musi wzniesić się ponad romantycyzm — oczywiście rozumianą jako napięcie uczuć egotycznych. Podobnie zbytek i niejasna wydać się może scena, w której Jordan odpycha wyniosłe tych, którzy szukają drogi do czynu, a czyn jest przecie hasłem Jordana. Chodziło tu o zaznaczenie wiary, iż w duchu przedewszystkiem ma się dokonać zmiana, i o potępienie chwilowych zapałów. Idea czynu jednak owija się całkowicie w mgłę. Jeżeli dodamy do tego, że materiał frazeologiczny, obrazy, motywy, rytm i tok wiersza przypominają czytelnikowi co chwila Dziady, Kordjana, Przedświt, Psalmu, że zatem dla wypowiedzenia własnej treści nie umie odszukać oryginalnej formy; jeżeli zważymy, że styl jest często niezręczny, przekonamy się, że utwór Żel-go posiada niejedną cechę niemną. Jeżeli przez współczesnych cechy te były pomijane, świadczy to o tem, jak wiele spagnione było pokolenie Żel-go wlotów poetyckich; w ciężkiej atmosferze natężenia śpiewaków, dość licznych zresztą, niewysoko się wzbijały. Jordan mógł się wydać oślniewającą gwiazdą.

Dalszym ciągiem Jordana miał być dramat Zorski, w którym idea czynu miała zejść ze swych obocznych wyżyn. Dramat ten znany jest dotychczas tylko ze streszczenia i wyjątków, podanych przez L. Sowińskiego w Aten. 1884. Materalną treścią utworu są tu stosunki między dworem a pańszczyźnianym chłopem. Jest tu większy ruch akcji, niż w Jordanie, cała galeria

osób, jaskrawe położenia i sceny, mimo to Zorski sprawia zupełnie takie wrażenie, jak Jerdan. „Zdaje się, że widzimy przed sobą książkę, nie człowieka”, mówi Sowiński. Słowo zagadki dziejowej przedstawia się nieco konkretniej. Jakkolwiek zgodnie z doktryną mesjanizmu, „Pan Bóg w narodach przebywa”, narody zaś „żyją w stworzycielu” i idą „możnolnie każdy głoskę złożyc na słowo wieku, aby w nim żyć”, przecie to słowo całkowicie spożywa „w głębi twego (t. j. Zorskiego) ludu łona”. Religia (rozumie się Chrystusowa) i narodowość są nierozdzielne. Uczucie zaś narodowości to głębokie przejęcie się bratnią miłością. Lud ukrywa w sobie święte moralności dnia, które winien z siebie rozwinąć i uświadomić sobie. „Gdy lud ducho światła w czoła, w pierś swą przyjmie, wcieli w życie, na pojęcia stanie szczęście”. Trzeba zejść do ludu, złączyć z nim, wypiatować w sobie jego myśli. Rozpocznie żywot nowy, „po królewsku kto się schłopi i po chłopsku skrólewszające”. Ideal Krasińskiego — zbliżenie się warstw społecznych, — lecz demokratycznie odwrócony, a wzięty jako istota, jako cel, nie jako środek.

W r. 1851, t. j. na kilka miesięcy przed wygnaniem, napisał Ż. poemat „On, ona, oni”, umieszczony w wyjątkach w zbiorze poezyj. — Idea etyczna, rozwinięta w paru scenach Jordana, dotknięta została z innej strony. Najsłabsze jest młodzieńco o temperamencie ognistym i zapalnym zostaje skutkiem despotyzmu rodzicielskiego wciśnięty w sutanne księża. Staje się niegodnym swego stanu i przyczyną hańby tych, co się z unością do niego zbliżają. Wygotował nadto Ż. prozą Wspomnienia z życia i grobu w 2 tomach, Szkielety w jednym. Rękopisy zostały zabrane przy rewizji. W późniejszym czasie najbardziej żałował Ż. tomu drobnych poezyj, owoców młodzieńczego serca i wyobraźni.

Ostatnie dzieło Żel-go, „Dziś i wczoraj”, jest nadzwyczaj bezładną mieszaniną wątków powieściowych, poetycznych a mglistych, i sentymentalnych monologów i rozwekłych i nużących rozpraw; język zaniedbany, skażony rusycyzmami. Praca ta jest jednak ciekawą ze względu, iż znamionuje stanowczy zwrot na drogę, która otrzymała niebawem miano programu pracy organiczej.

Potępia autor pierwiastek „izraelski” w naszej uśmysłowości, t. j. myśli o wybranym stanowisku narodu. Skwapliwie zaznacza, że praktyczne formy działalności mają się odbywać za zezwoleniem i, jak autor przypuszcza, przy życzliwym poparciu władz. Propaguje myśli zbliżania się do inteligencji rosyjskiej. Wiernym pozostał swym sympatjom ludowym, nie marzy już jednak o królewskim schłapieniu; jego bohater, nowy Pan Podstoli, sprawia cuda, nie przyzwidując chłopkiej sukmany.

Można by tu uczynić ogólniejszą uwagę, iż w działalności pisarzy, stanowiących drugie pokolenie romantyków i występujących po r. 1840, zaznacza się wybitniej pierwiastek demokratyczny.

Wkońcu zbliżają się oni pojęciowo do przedstawicieli nowego, politycznego okresu.

Na schyłku życia pracuje Ż. nad dramatem „Mikołaj”, nie wykończył go jednak.

BIBLIOGRAFJA.

I. Pisma Ż.:

- 1) Z melodjy litewskich i Tesknota. Nadwiślanin, 1841, II, s. 65.
- 2) Chrześcijaństwo, wiara, Noworocznik Literacki, Wilno 1843.
- 3) Jordan, Wilno 1846, wyd. 2, 1847, w Bibl. Mrówki, Lwów 1870.
- 4) Z przedmowy do 2-ej części Jordana Gwiżdża 4, Kijów 1849.
- 5) Było to dawno, Do J. D. Pamiętn. Nauk. Liter. 1849, t. I, Z. III, s. 145—8. 6) List do wydawcy, Pam. Nauk. Liter. 1850, t. II, Z. 4, s. 112—16. 7) Poezje, Petersb. 1858. 8) Dziś i wczoraj, Rysy biograf.-obyczajowe i bajki p. Omegdajskiego, 2 tomy, Petersb. 1858.
- 9) Z niewydtworów „Nie samochwalej...“ Kur. Warsz. 1883, N. 219.
- 10) W albumie, Kur. W. 1906, N. 221.

Wiadomości o Ż. i oceny dzieł:

- 1) G. Bomba (L. Sztymel): W. List. z Polesia (o Noworocz. Liter.), Tyg. Petersb. 1843, s. 365. 2) A. Tyszyński (O Jordanie) B. Warsz. 1846, s. 152—9 i Pisma krytycz. Krak. 1904, I, s. 142—9. 3) O przedmowie do 2-ej części Jordana. Pam. Nauk. Liter. 1850, t. II, z s. 97—8. 4) Z. Ż. (Krajewski) Dziś i wczoraj. B. Wr. 1858, II, 408—15. 5) T. Padalica (Z. Fiz.) Dziś i wczoraj. B. Wr. 1858, III, 455—66. 6) Bolesła w Wiktor (St. Budzyński): Poezje Sowy. B. Wr. 1859, III, 179—80. 7) (Bron.) Zaleski) E. Ż. Roczn. Tow. Hist.-Lit. w Paryżu. Rok 1866 s. 368—72.
- 8) J. L. Kraszewski W. Syrokoma (Listy o Ż.) Warsz. 1863 i Wybór pism t. X, s. 814, 818. Warsz. 1894. 9) Ag. Giller Hist. powstania Paryż 1870, t. III, s. 49. 10) P. Wilkońska Wspomnienie 1871 r. i Warsz. 1907 III, s. 145—9. 11) A. Sulima Szewczenko na wygn. i Bron. Zaleski Przegl. Powsz. 1884, IV, s. 11—24 i 16 listów Szewczenki do Bron. Zaleski w „Kijewsk. Starina” 1883 r. 12) L. Sowiński O niewydan. dramacie A. S. Aten. 1884 IV. 466—8. 13) Album acad. d. K. Univers. d. Dorpat. Dorpat 1889 r. 14) B. Limanowski Hist. demok. polskiej, Zurich 1890. 15) Marjan Zdzichowski E. Ż. Przegl. Liter. 1897 N. 2—3 i Byron i jego wieki, t. 2, s. 595—610.
- 16) Litwin (Jakób Gieysztor) Litwa przed r. 1863, Lw. 1888.
- 17) Tenże Pamiętniki, Wilno, 1914. 18) A. (Kraushar): Bajki. Lw. 1893. 19) Limanowski Hist. dem. polskiej, Zurich, 1901.

a) Z wielkich mych bólów...

(Poezje, Petersb. 1858, str. 1.)

Z wielkich mych bólów małe piosenki
Tworzę ja sobie — słyszę ich dźwięki,
Jak matka głosu swych dzieci słucha,
Lzami ja nieraz mam pieśń objęć,
Otulę czuciem, myślą odzieję,
Tkana z krwi serca, z krwi mego ducha.
Nie piękna odzież, co z mąk i męki,
Toć i wy takie, moje piosenki,
Nie dla was uczy, wasle świata.
Lecz tam, gdzie serce samotne płacze,
Tam, gdzie z naźwieją walczą rozpacz,
Niechaj was boleś w swój wieniec wplata.

b) Jordan, fantazja dramatyczna.

(Wilno 1846.)

Poemat składa się z 3-ech części. Pierwsza, to introdukcja, zawierająca dwie wizyjne sceny. W jednej z nich mamy obraz zapędów młodzieńczego bohatera w sferę ideału nieosobistego. W następnej ukazują się Jordanowi postać kochanki (Anieli). Oto dwa bieguny jego dążeń, dwie podstawy akcji, o ile akcja taka istnieje. Introdukcja mglista, jak cały poemat, gdyż autor musi idealistyczną frazeologią, ogólnikami okryć swe myśli wobec czujnej i nieufnej cenzury. W obu scenach widzimy Jordana w stanie somnambulicznym na szczycie stromej góry, nad przepaścią. Tuż cmentarz i kaplica. Cała treść deklamacji sceneryjną, akcentami myślowymi i barwą stylową przypominają bądź monolog Kordjana na szczycie Mont-Blanc, bądź Improvizację Kourada, bądź wreszcie Odę do młodości. Chciałby duszą świat opłynąć, wylać się z brzegów, zginąć w jedności, ożyć w całości — by myśl jego wcieliła się w świat. Duchy bratnie, wtórują mu, djabły drwią.

Drugą, najobszerniejszą część utworu przeważnie jest poświęcona obrazom różnych stron życia społeczeństwa szla-

checkiego. Poznajemy stan umysłowy i moralny obywatelstwa wiejskiego, jego stosunek do ludu. Obraz to smutny, nieraz zastraszający. Zarazem poznajemy różnorakie usposobienia, panujące wśród młodzieży. Nie pozbawiona szlachetniejszych uczuć, nie posiada jednak stałej moralnej podstawy. Więc lekomyślnie daje ujście kipiącej energii w niedorzecznych awanturach, to znów czując, iż „życiem użyźnia ziemię, na której podle zielska wzrosną“, umie tylko marzyć i boleć. Większość, obniżając powolnie swe loty, przystosowuje się do otaczającego świata. Niektórzy tylko bronią się przez jakiś czas ironią i samoironią, aż kiedyś z przekonaniem wygłaszać będą te arcypraktyczne i arcypozytome zasady, które dziś jeszcze są zaprawione przez nich szyderstwem. Trzeba poruścić te obumierające serca, otworzyć przed nimi drogę moralnego odrodzenia. Zadaniem „fantazji dramatycznej“ Sowy jest takimi sercami wstrząsnąć, takie sumienia obudzić. Niech te serca, „w których jeszcze drzemie boskość preczysta“, które „całą duszą zapagną zbawienia“ — tym poświęca dzieło swe Sowa — niech ci wypędzą szatana, co we własnej ich piersi zagościł, bo

„niech tylko jedna zbrodnia
Nieskruszona pierś obwinie,
To już potem noda o dnia.“

Jest jeszcze jedna grupa młodzieży — spiskowcy, lecz stosunek do niej autora nie jest zupełnie jasny.

Maluje w powyższy sposób smutny stan społeczności i, wykazując nikłość lub niedostateczność szlachetniejszych nawet odruchów przeciw istniejącym stosunkom, autor jakby uzasadnia niezbyt i naturalność idei Jordanowej. Ideą tą jest przekonanie, iż nadeszła chwila przełomowa, chwila głębokiego przeobrażenia podstaw społecznych. Czują to dzieci wieku, uczucie to bowiem splywa na nie ze świata duchów, przemawia do nich głos ojców, głos przeszłości (idea ciągłości przetrwania narodowych, rozwinięta w Przedświcie, stąd symbolizm cmentarza i kaplicy w wizjach Jordana). W takim przeciwstawieniu rzeczywistości i ideału ukryty jest pierwiastek dramatyczny utworu. Właściwego przelotu ruchu dramatycznego

dzieło nie posiada i ustępy liryczne refleksyjne układają się najdowolniej ze scenami dialogowymi. Jedyne osobista historia miłosna Jordana posuwa się i znajduje tu swe rozwiązanie, co jednak staje się zaledwie jednym z epizodów, służących nadto raczej do charakterystyki ogólnego stanu społeczeństwa.

Oto kolej ustępów i scen.

Po dwu lirycznych tyradach autora, spowiadającego się ze swych zamierzeń, jako pierwszą scenę mamy Ranek. Jordan, przebudzony ze snu, дума, jak Konrad w celi nad senem marzeniami (sceny wizyjny w prologu) i wyraża pewność, że marzenia te świadczą o związku świata ludzkiego ze światem duchów. Z tego ostatniego człowiek otrzymuje podniecie do wcielenia idei w czyn. Nowa poczyna się epoka nowej idei, czuje to Jordan, jako „dziecię wieku”.

(Str. 22.)

I rozpięty, umęczony,
Bolejący duch człowieczy
Na wiekowych krzyżu bezpraw
Przez ucisków, jęków tonie,
Przez głód, nędzę, lzy ludowe
Duch ludzkości szedł w obronie
I wywalczy życie nowe.
Triumfalny, oświecony
Na dziejowe wbiegł zagony
W balsamicznych zdrojów ścieku.

Salon marszałka Ćwika. Szlachta spędza dni całe przy kartach, urozmaicając czas szampanem, rozmową o kobietach, niewybrednemi żartami, szyderstwem z uczucia, z wzniosłych popędów, z poezji, idealizującej te wszystkie niepraktyczne rzeczy. Poeta Prot z odrobiną goryczy bawi zebranych deklamacją, w której utyskuje na niebezpieczne skutki romantycznej poezji, burzącej spokójność, rujnącej zdrowie. Tylko stary rotnistrz z obecnych jest oburzony niewiarą w uczucie, nieposzanowaniem kobiet, i budzi sumienie w Procie, iż „dzieli śmiech brudnej zgrai” i „odbывa wczesny proces gnicia”.

Aniela i Walery. Aniela kocha Jordana, krewny jej Walery postanawia dopomagać koханkom.

W pieczarze. Widocznie gromadzą się tu spiskowcy, utyskują, że marnie pędzą życie. Rozbiegają się, gdy wpada nagle nie należący do w tajemniczonych paliwoda Henryk, który stał się po pijanemu bohaterem blabej awantury.

Walery i rodzice Anieli. Walery, używszy postępu, przekonał się, że rodzice są jak najlepszego mniemania o Jordanie, przeświadczony jest zatem, że sprawa Anieli jest na jak najlepszej drodze. Ale rodzice wydadzą Aniela za szkaradnego i starego hrabiego Fioli, bo choć córka go nie kocha, „czwarte przykazanie wszystko rozwiąże i za miłość stanie”, a interesy rodziców poprawią się. „Świętym zamiarom pomóż, święty Boże!” zamyka naradę matka.

Monolog Jordana.

(Str. 60.)

Gdybym ja zdołał być różdżką oliwną,
O przyniosłbym z potopu wam wróżbę pociechy;
Gdybym ja zdołał być ogniem piekielnym,
Powypalałbym wszystkie z waszych pierai grzechy,
Z piersi zrdzawionych, co gangrena toczy,
I łzami ludów przemylałbym wam oczy!

Cnoty domowe zadowolili go nie mogą. Będzie wielkim lub zginie. Jemu i Anieli los różną wskazał drogę.

Posiedzenie obywatelskie. Szlachta zaniepokojona zamierzonymi przez rząd reformami. Akcyza w browarach (gorzelniach), opieka nad chłopem grozi ruiną. Prot ironicznie zaznacza:

(str. 69)

...do dziś dnia jeszcze jest zagadka,
Czy chłop człowiekiem, czyli też jest rzeczą?
Lubo, jak własność, jest pod prawa pieczę.
Bo w ewangelji, co Chrystus powiada,
Ze wszysey bracia, to jeszcze jest kwestja,
Którą się dotąd w Europie bada,
Czy się w ten szereg liczy i chłop bestja?

Jeden z obecnych dodaje:

Rzecz się najgłówniej tyczy propinacji,
W tem, mi się zdaje, jest główne zadanie.

Gdy chłop własnością być tylko przestanie,
 Cóżby się wtenczas z całą szlachtą stało?
 Wtenczas dla szlachty kres ostatni kłęski,
 Wtenczas szlachectwo jest rzeczą zbutwiałą.

Wchodzi Jordan, zebrani traktują go jak półgłówka, ironicznie, napozór poważnie proszą go o piosnkę. Jordan, rozumiejąc gęz, ulega, ale jego piosnka nie przypadła obecnym do smaku.

(Str. 73.)

Chociaż wszystkie życia znaki
 Im na czołach polyskują,
 Ale dusze ich są w trumnie,
 Że trupami są — nie czują.
 Chociaż żyją i uctują,
 Chociaż zgrają ciągną tłumnie,
 Człowieczeństwa noszą znaki,
 Ale to są wilkolaki!

(Str. 74.)

O, nie! to nie są wilkolaki wcale,
 Ani też wilki, ni psy, ni szakale,
 Ale są ludzie zaci i porządni,
 Rzetelni, akuratni, uprzejmi, rozsądni,
 Przedsiębiorcy, zręczni i ostrożni,
 Milni, weseli, a przytem pobożni;
 Czytają książki bez uszczerbku czasu,
 I są wszzechstronni w swych pojęć rozmiarach,
 Bogom ambrozję gotują w browarach,
 A smotę djabłom pędzą z swego lasu.

Kdzie dalej niezbyt jasna scena między Protem a Jordaniem. Prot domaga się rady, jak „uczucia, myśli w szatę czynów wcielić”. Jordan przyjmuje go jednak zimno, w smętnych słowach wykładając historjografję Psalmów i Przedświtu: „czyn bez ducha — zlepek z gliny”; człowiek tylko „cnotą i miłością ogień tu rozdmucha, inne środki są nicością”; każe pytać o radę zmarłych, gdyż

(str. 84)

Choć w grobowej tamci ciśnie,
 Jeszcze karmią dźwięki swemi,
 Swoją cnotą, swoim grzechem
 Jeszcze koczają z pod ziemi.

W sobie trzeba pielęgnować ziarno, przez Boga dane, a wtedy „w imię Boże, gdy zawołasz, Bóg odpowie: stań się w niebie”. Ze względu na obecność Prota w pieczarze możnaby posunąć się do hipotetycznego wniosku, że program społeczny Jordana, przesiąknięty mistycznymi elementami, przeciwstawia się tu politycznej, spiskowej działalności.

Deklamator. Fragment obfituje w zwroty liryczne i sarkastyczne wycedzki. Autor we własnem imieniu opowiada, jakich sposobów użyła matka, by skłonić Anielę do oddania ręki swej hr. Fioli. Wyzyskała przywiązanie córki ku sobie, przekładała jej, że miłość to wymysł płonny, roztoczyła przed nią widoki przyszłego przepychu, tak, że ta sama nie wiedziała, „czy w jej sercu bezkrólowie, czy królują konie, cugi”, a wreszcie dała jej radę: gdy młoda małżonka nie pokona wstrętu, niech wyobraźnią wystrzeli w świat, gdzie serce panowało, i tam zleje się z kochankiem.

Tu dotyka Sowa jednego z najistotniejszych punktów swego systemu, punkt ten bowiem posiada dla niego nietylko etyczne, ale i społeczne znaczenie, gdyż

(str. 98—99)

...narodu tręś, początek.
 Jak szczerp wielki z zdźbta i z rostka
 Są zamknięte w każdej parze
 Wszystkie dzieci takich związków
 Jak robactwo w gnojej ranie
 Toczą łono społeczności

(str. 103)

A wyż to przecie, wy, w środki bogaci,
 Powinnibyście w duchowej krainie
 Zamieszkać, wzrastać w umysłu dziedzinie,
 I krzepić wzrost i siły ubogich swych braci!

I cóż stąd, żeście wy bardziej pieniężni,
 Odyście słabi umysłem, mali, niedożeńni?
 Wy wierzyte w materję, bo nie macie ducha;
 I pierś jak kufer sztabą zamknęliście twardą.
 Wszystko, co jest szlachetne, wita was z pogardą;
 Tylko podłość płaszcząca w próżność waszą dmucha.

Na zakończenie niewielki ustęp, z którego się dowiadujemy, że imiona Prota i przyjaciół jego zostały wyrte „w jakimś lasku, na brzoźwym drzewie” — „przed drogą daleką”, przed wygnaniem.

Ostatnią część utworu stanowi jedna wielka scena, w której widzimy bohatera, otoczonego duchami złemi i dobrymi i widmami (na wierchołku tej samej góry, co w prologu). Jordan monologuje, skarży się na ból zawodu, stacza walkę z pokusami, wysłuchuje nauk duchów czystych, że Bóg przyszedł na świat, „by różności ziemskie sprostać” (różnice stanów wyrównać), by najmniejszych bratem zostać. Trzeba zostać bratem chłopca, dzielić się z nim w duchu.

(Str. 143.)

Człeku, wielka twa potęga
 Gdy się władza twego ducha
 W gromy wolnej woli sprząta!

I wszystkie doświadczenia Jordana miały doprowadzić go do takiej potęgi, do skupienia się władz ducha w gromy wolnej woli. Marzył, poznał ból gorzkiego zawodu, spotkawszy na drodze swej marne serce. Ale z bólu osobistego się otrząsnął, zwalczył pokusy i zwątpienie. Wziął w pierś nakaz z nieba, a tym — przemienienie świata na podstawie powszechnego braterstwa. Z kontemplacji przejdzie obecnie do czynu.

(Str. 143—4.)

Gdy pierś taką zagrzmii wola,
 Gdy się chęć tak zespolą —
 Ja chęć! — powiesz ty do siebie,
 A Bóg — Stań się! — powie w niebie!

Bo głos Boga i głos ludu
 Zlewają się w jedno brzmienie,

Lecz ma Boskie być twe cheenie,
 Kiedy pragniesz doznać cudu!

e) **Boże mój...**

(Poezje, str. 26—27.)

Boże mój, pomóż, bo któż wytrzyma
 Strońmą, ciernistą podróż pielgrzymą?
 Kto celu dojdzie? Serce zachowa?
 Czyja wystarczy wola i głowa?
 Choćby kto czuwał i bezustanku,
 Bez Twojej pomocy nie minie szwanku;
 Rozum go zbląka, krewkość uniesie,
 Bo człowiek w życiu, jak dziecko w lesie;
 A grzechy — dzikie lasów zwierzęta,
 A losy ludzkie — to mórz okrzęta,
 A rozum ludzki — to morska piana!

Lecz miłość k'Tobie — to kompas duszy,
 A wiara w Ciebie — duszy kotwica,
 O Ojce ojców! nie odwróć lica,
 Bo łódź zatoni albo się skruszy.
 A kto w upadku do Ciebie wola,
 Ten Ciebie pragnie, ten Ciebie kocha,
 O, w walkach jego pomóż mu trochę,
 Bo siłą swoją on nie podola!

Zginam to czoło, które dumnie wznoszę
 Przed moich światła, i o jedno proszę:
 Przyjmij łzy moje, przyjm moje męczeństwo,
 Przedniaż je tyle, ile Tobie zda się,
 Bylebym wkońcu wywalczył zwycięstwo,
 Był dobry żołnierz i w duchu i w czasie.

I żadnej Ciebie nie proszę nagrody,
 Ani o imię w świętych kalendarzu,
 Lecz daj mi sztandar moralnej swobody
 Utkwić i umrzeć na wiernych ementarzu.

Opracował A. DRÓGOSZEWSKI.

GROZA ALEKSANDER KAROL.

(1807—1875).

Jeden z najmłodszych przedstawicieli t. zw. szkoły ukraińskiej, Aleksander Groza, przyszedł na świat, wychowywał się i kształcił, jak Goszczyński i Zaleski, na Ukrainie i, jak oni, z przeszłości krwawej tej ziemi, z podań i pieśni ludu tamecznego czerpał natchnienie, tem tylko od tych swoich przewodników duchowych różny, że do końca życia z klasnego zakresu kierunku ukraińskiego nie wyszedł, że, choć w ostatnich latach rozstać się musiał z ziemią rodzinną, los nie uniósł go tak daleko, jak tamtych, nie znieśli oni do zerwania tych żywych związków uczuciowych z krajem i z ludem, jakie zadziergnęły się w latach dziecięcych i młodzieńczych. Groza pozostał do śmierci poetą i beletrystą ukraińskim, o dość szczerpłym, jednostronnym horyzoncie twórczości.

Przyszły autor „Starosie kaniowskiego” przyszedł na świat w r. 1807 w powiecie taraszczańskim, we wsłi Zahraniczach, z ojca Pawła i matki Teofilii z Kopeczyńskich. Starszy od Aleksandra o 5 lat brat jego, Sylwester, adwokat, potem rolnik, również próbował pióra, był współpracownikiem wydawanej przez Aleksandra „Rusalki”, potem „Albionem” Kraszewskiego, wydał osobno kilka powieści, wieści, choć bez wielkiego talentu malujących stosunki i obyczaje na Ukrainie. Nauki początkowo pobierał Aleksander w znanej szkole humanistycznej, w owym właśnie okresie, kiedy wśród jej wychowawców spotykamy imiona: Zaleskiego, Goszczyńskiego, Grabowskiego Michała, Krocchowieckiego Jana, Mianowskiego Józefa. Groza był o 6 lat młodszy od Goszczyńskiego, o 5 — od Zaleskiego, pomimo to jednak dobrze zachował w pamięci ich rysy, obyczaje, sposób ubierania się, czego dowód złożył potem w „Moście kontraktowej”. Po 3 latach pobytu w Humanu został Groza przeniesiony do gimnazjum w Winnicy, które wydało takich uczniów, jak: Aleksander Jedowicki, Mikołaj Malinowski, Franciszek Kowalski, Tomasz Padara, Jan i Karol Stenkiewiczowie, Tytus Szczeniowski, Walery Wróblewski (Koromowicz), Nauczycielem literatury polskiej

w tej szkole był w owe czasy Jan Zakrzewski, zapalony miłośnik piśmiennictwa ojezystego, wydawca pamiętników Samuela Maszkiewicza, autor wypisów polskich dla młodzieży. On to namawiał swych uczniów do zbierania podań i pieśni ludu miejscowego i pod jego to okiem powstawały podobno pierwsze rymy Grozy, które zjednały sobie uznanie Aleksandra hr. Chodkiewicza i wróżbę dla autora, że „będzie poetą”. Po ukończeniu gimnazjum w r. 1826 Groza wstępuje do uniwersytetu wileńskiego na wydział literacki, poczem rok jeszcze (1829—1830) spędza, jako wolny słuchacz, w uniwersytecie dorpackim. Pierwsza próba poetycka Grozy, wiersz p. t. „Poeta obłąkany”, część poematu „Melancholja”, utworzonego pod niewątpliwym wpływem IV części „Dziadów”, ukazała się w druku w tym samym „Noworoczniku Literackim” na rok 1831, wydawanym przez Hipollita Klimaszewskiego w Wilnie, w którym 18-letni Kraszewski zamieścił dwa pierwsze swoje obrazki: „Biografje sokalskiego organisty” i „Wieczór czyli przygody peruki”.

Po ukończeniu studiów uniwersyteckich osiadł Groza w oddzielonej po rodzicach Solohubowce na Ukrainie, a odświeżając wspomnienia z lat dziecięcych, z zapalem począł zbierać motywy twórczości ludowej, by na nich oprzeć swą własną. Dumy i powieści poetyckie zaczęły powstawać jedne po drugich. W r. 1836 wyszedł pierwszy tomik „Pozycji” (w Wilnie), zawierający powieść poetycką o „Starosie Kaniowskim”. Współcześni wysoko cenili ten utwór: Grabowski pisał o tej powieści, że „Groza, jak i inni pisarze tej naszej szkoły, umie rozwikłać poetyczniejszą ukraińską i z jej elementu tworzyć”. Trudno podzielać te zachwyty: „Starosta kaniowski”, chociaż ma niektóre sceny dość silne, razi wadliwą budową, wysuwaniem z ułna dla schożdej tem samem w cień figury tytułowej, przesadną tajemniczością, wzorowaną na „Zamku kaniowskim” Goszczyńskiego. W r. 1838 Groza wydał w Wilnie pierwszy tomik pisma zbiorowego p. t. „Rusalka”, w którym zamieścił kilka swoich utworów poetyckich i „Szkieł kontraktowe”, Michała Grabowskiego artykuł o „Pisarzku francuskim”, „Piąty akt” Józefa Korzeniowskiego i t. d. „Rusalka” wychodziła potem jeszcze przez cztery lata: na rok 1839, 1840, 1841 i 1842, zasilana piórami obu Groza, Aleksandra i Sylwestra, Michała Grabowskiego, ks. Holo-wocznika ustępy „Pamiętnika starego litewskiego szlachcica”, t. j. przeróbki z „Pamiętek Soplicy”, i wielu innych. Mac wzorem innych poprzedzających wydawnictw tego rodzaju, „Rusalka” dążyła do zaspokojenia wyższych potrzeb duchowych inteligencji i szlachty polskiej na Litwie i Rusi, trwałszy jednak śladów po sobie nie pozostawiła: z rozwojem prasy periodycznej noworoczniki ustąpić musiały miejsca czasopismom, częścię i stałej informującym pu-

bliźność czytającą o sprawach politycznych, społecznych i literackich.

W r. 1843 wychodzi nowy zbiorek poezji Grozy w dwu tomach (w Wilnie). W pierwszym zawiera się kilka wierszy ulotnych i okolicznościowych, przekład jednej sceny z „Fausta” (rozмова Fausta z Wagnerem), kilka ballad z podań ludowych wysnutych („Alina” z Wacławem i Helena”, „Maryna”, „Mogily”), oraz poemat liryczny „Książkin”, przedstawiający postać puławskiego przed zromem, jak opowiada Franciszkowi Zabłociemu dzieje swego serca. W drugim tomie, prócz kilku pieśni ukraińskich i dum („Zaporozec”, „Śpiew zaporożców”, „Bohdan”, „Lacki”), czytamy trzy większe powieści poetyczne: „Pierwsza pokuta Żeleźniaka”, oparta, wedle zeznań samego poety, „na żywym opowiadaniu starca z wierzbowieckiego futuru, naczynego świadka wielu, bardzo wielu wypadków”, bierze w obronę lud ukraiński, podobnie jak „Zamek kaniowski”; niemawie Żeleźniaka do słachły i żądę krwawej zemsty tłumaczy poeta krywdą, która mu wyrządzono, skazując ojca na upalenie rąk, a matkę na wyrwanie języka za wtargnięcie do kościoła i zniewagę Przenajświętszego Sakramentu. Druga powieść, „Soroka”, ma za tło podanie ludowe, związane z mogiłą Soroki, na trakcie z Daszowa do Iliniec, którą poeta w latach młodzieńczych niejednokrotnie oglądał, jeżdżąc z domu do szkół w Winnicy; trzecia zaś to „Starosta kaniowski”. Grabowski i te utwory podniósł bardzo wysoko, jedną z dum nazwał nawet „małem arcydziełem”.

Po r. 1842 poeta zamilił na czas jakiś: przez pięć lat, prócz powiastki prozą „Bankruetwo” i wiersza „Prządek”, zamieszczonego w „Atheneum” Kraszewskiego w r. 1844, nie więcej nie pisał i nie wydawał. Dopiero w r. 1848 ukazał się w Wilnie nowy utwór Grozy p. t. „Władysław, wyciąg z pamiętników niebardzo starych” (w 2 tomach w wydaniu „poprawnem” ukazał się w r. 1858 w Wilnie pod zmienionym nieco tytułem „Pamiętnik niebardzo stary, wyciąg z notat Władysława N.”, także w dwu tomach). Pierwsza to próba Grozy w zakresie beletrystyki, chociaż, ściśle biorąc, powieścią utwór ten nie jest: czerpieł obficie z własnych wspomnień i wrażeń, poeta przedstawia tu kontrakty kijowskie z całą różnorodnością przewijających się scen, obrazów i typów charakterystycznych: obywateli ziemskich, kontraktowców, złotych młodzieńców, wysokich urzędników, kupców, faktorów, oberżystów, rzemieślników, artystów-malarzy, aktorów i t. d. Obfitę wiązanek epizodów, luźnych scen (cyrk pehel, koncert Lipińskiego, przedstawienie teatralne), rozpraw, dyskusyj w przeróżnych przedmiotach, nawet wierszy, nie obejmuje mocomem wiążącym akcją uboga i szczerpła, mająca, zgodnie z tytułem, raczej charakter pamiętnikarski, niż powieściowy. Po wydaniu „Władysława” Groza raz jeszcze próbował stworzyć noworocznik, któremu tym razem

dal tytuł „Grosz wdowi”; to pismo zbiorowe wychodziło tylko dwa lata (Kijów, 1849 i 1850).

Rok 1855, prócz wydanego po raz pierwszy w Warszawie dwutomowego zbioru „Powieści ludu i dum”, powtórnego w r. 1858 i przynoszącego, prócz dawniejszych utworów (tom II wypełnia „Starosta kaniowski”) kilka nowych dum i ballad (np. „Martyń”, „O duszach umarłych” i inne), wydał cykl „Obrazków ukraińskich” (Wilno, po raz drugi opublikowanych w Zytomierzu w r. 1860 p. t. „Trzy powieści”). Z trzech zamieszczonych tu powiastek czy nowel najlżejsza jest pierwsza, melodramatyczny romans kapitana wojsk rosyjskich, grafa, i Julji-Lilji, córki profesora gimnazjalnego, w jakichś miasteczku podolskiem; druga, „Pan Grzegorz”, ma do brze zarysowane typy: starej panny, która, wyszedszy zamąż, bierze pod pantofel swego małżonka i męża uległego, ale wreszcie buntującego się przeciw wszechwładzy swej magnifiki; trzecia wreszcie, p. t. „Gość nieoczekiwany, powieść fantastyczna”, wypełnia gorączkowa, bezładna opowieść pana Seweryna, przyrodnika-entomologa i panteisty, którego zawód milosny przyprawił o utratę zmysłów.

W r. 1856 wydaje Groza w Kijowie, na pamiętkę powtórną koronacji obrazu Matki Boskiej w kościele karmelickim w Berdyczowie książkę pobożną, p. t. „Oharzyk berdyczowski. Zbiór modlitw ku czci Trójcy Przenajświętszej, Najświętszej Marii Panny i Świętych Pańskich, Modlitwy na wszystkie niedziele i znaczniejsze święta, nauki i modlitwy o Sakramentach, Nabożeństwo Pasyjne, Nabożeństwo na Wielki Tydzień, Pieśni i t. d., ułożony dla pożytku katolików...”; w r. 1857, też w Wilnie, „powieść ze Wschodu” p. t. „Trzy palmy”, oraz w tymże roku, tamże, rzecz p. n. „Mozaika kontraktowa, pamiętnik z r. 1851”. „Mozaika” jest jakby jednym rozdziałem z „Władysława”, z tą tylko różnicą, że autor przemawia tu w pierwszej osobie: przedstawia kontrakty, jako ośrodek nie tylko życia ekonomicznego całej prowincji, ale i ruchu umysłowego, tu bowiem spotykali się najwybitniejsi dźwiałcy polscy z Ukrainy, Wołynia, Podola, a także literaci, wydawcy, muzycy, aktorzy, malarze i t. p. W „Mozaice kontraktowej” występują: Michał Grabowski, Padalica, Dołga Marcinowski, Józef Konti, Michał Jezierski, Spirydjon Ostaszewski, Jan Wileczyński, wydawca „Albumu Wileńskiego”, profesor Fonberg i inni; koncerty Frankensztajna, Apolinarego Kąskiego (dla którego uczenia Groza zamieszczył potem, w r. 1860 we lwowskiej „Czytelni dla młodzieży” i wydał w osobnej odbitce wiersz p. t. „Muzyka”), braci Wieniawskich przepatają się z barwnymi scenami kontraktowemi. „Mozaika” przeznaczona była zrazu dla pisma zbiorowego „Dniestrzanka”, mającego być dalszym ciągiem „Rusalki” i „Grosza wdowiego”; gdy zaś to pismo nie doszło do skutku, ukazała się w osobnej odbitce.

W r. 1858 wyszedł w Wilnie „dramat ukraiński” w pięciu aktach p. t. „Hryć”, uzupełniony dumą historyczną p. t. „Marek Jachimowski” do szlachcica, który dostał się do jasyru po klęsce cecoarskiej. „Hryć”, wysuty „z podań ludu i z wydarzeń pod koniec XVIII wieku”, ma za motyw główny znaną pieśń ukraińską: „Ne chody, Hryeju, na wczernyć”, ale nie wyróżnia się ani pomysłem (możny dziwidz Alfred przebiera się za parobka Hrycia), ani melodramatycznymi efektami miłości i obłąkania, zazdrości i zabójstwa, ani niefortunnym wprowadzeniem pierwiastka nadprzyrodzonego w postaci Złego i Dobrego Ducha.

Po długoletnim pobycie w Solohubówce Groza zmuszony jest opuścić to gniazdo ojczyste i zamieszkuje zrazu w Berdyczowie, gdzie oddaje się pracy nauczycielskiej, potem zaś w Żytomierzu, który stał się nadwczas jednym z ognisk ruchu umysłowego i gdzie miejscowa inteligencja polska, z zasłużonym i niezmordowanym Kraszewskim na czele, podjęła wziętą działalność narodowo-kulturalną. Groza nie pozostał za innymi w tych zabiegach owocnych: podjął w roku 1859 myśl wydawania dzieł pożytecznych przy pomocy Karola Kaczkowskiego i Leona Lipkowskiego. Tak powstała spółka nakładowa, która puściła w świat: „Piegrzymy w Dobromiłu” Czarłoryskiej, „Pamiętkę starego szlachcica Hlewskiego” Rzewuskiego, „Koliszczyznę” M. Grabowskiego, „Chronologję polską” Szymona Konopackiego, „Jana III” Szajnochy, pierwszą część „Kobiety w Polsce” Z. Kaczkowskiego, wreszcie — trzy elementarze Grozy („Elementarz większy”, „Elementarz mniejszy” i „Elementaryk” — wszystkie trzy w Żytomierzu w r. 1860). Spółka rozwijała się zrazu pomyślnie; miała swoje księgarnie w Żytomierzu i Kijowie, drukarnię oraz dwaście filij prowincjonalnych. A chociaż całe to przedsięwzięcie nie przyniosło spodziewanych zysków inicjatorom, chlubnie świadczy o ich zabiegliwości i duchu obywatelskim.

Ostatni raz do wspomnień z krwawej przeszłości Ukrainy powraca Groza w powieści poetyckiej p. t. „Śmieciński” (Wilno, 1850). Tem historycznym, jak i w „Pierwszej pokusie Żelazniaka”, jest rzeź humańska, z której poeta posiadał wspomnienie rodzinne: matka jego podczas tej strasznej zawieruchy zawdzięczała ocalenie poczciwemu młynarzowi ze wsi Sabarówki, który ją i jej brata, niemowlęta, ukrył w swym futorze, gdy tymczasem ich rodzice ze starszemi dziećmi uciekli na Podole. Bohaterem powieści jest podcasyz Mikołaj Cyryl Śmieciński, nad którego wychowaniem, zrazu pod okiem ojca, a potem, po jego zgonie, poczyliwych służących: osadczego Tymka Zozuli i kredencera Marcina, oraz zanego parocha Fankraego (analogiczne postacie wyprowadził Groza na scenę w „Hryciu”), poeta rozwodzi się dość długo. Dzieje miłości Cyryla do Haliny, córki szlachcica-mielnika z pod Winnicy, a wreszcie punkt kulminacyjny, rzeź humańska, wypełniają

resztę utworu: w krwawych ruchach Haliny ocaliła zona Gonty, a Cyryl zawdzięcza życie różniemu Goncie, który kładzie jednak jeden warunek: młody szlachcic musi ustąpić celnie trzy głowy: psa, żydą i szlachcica. Cyryl dopienia tej hańbiącej umowy, za co spotyka go potem powszechna wśród szlachty pogarda, Halina zaś wstepuje do klasztoru.

Ostatnim utworem Grozy było „misterjum z podań narodowych” w dwóch częściach p. t. „Twardowski” (Brody, 1873), pisane w Chatajngrodku pod Berdyczowem, u Eustachego Iwanowskiego, w grudniu 1872 r. Pierwszą część, złożoną z 9 „zmian”, poświęcił autor, przez wdzięczność za gościnę, Iwanowskiemu w tych słowach: „Pod Twoim dachem i na Twojej ziemi znalazłem spokój i myśl swobodną do napisania większej części mego Twardowskiego, bo tu moje Eumenidy do snu zaklęte, zostały cnotami i starym ojęw obyczajem” i t. d., poczem za Bekwarkiem, wstępującym w drugiej części misterjum, powtarza jedno z ośmiu błogosławieństw Chrystusa: „Błogosławieni czyste serca, albowiem oni Boga oglądają będą”; część druga, w 5 aktach, przypisał Groza p. Izabelli Czezelowej, „na pamiętkę mego pobytu w Chatajngrodku”. „Twardowski” zdradza słabą talent poety, który zresztą w formie dramatycznej nigdy nie godniejszej uwagi nie stworzył. Prócz Twardowskiego wstepuje tu szatan pod imieniem Expiens, a także mnóstwo postaci historycznych: Bona, Zygmunt August, arcybiskup Gamań, Rej, Kochanowski, Bekwark, Szańczyk, Zresztą, utwór ten jest zlepkim scen, naśladowanych z „Fausta”, ballad Mickiewicza („Lilje”, „Pani Twardowska”) i wzorowanych na podaniach ludowych o Twardowskim. Mętnej i spletananej myśli przewoźniej utworu nie wyjaśnia dostatecznie ani przedmowa, ani ostatnie wyrazy dramatu: „Wszystko przemija krom Duszy i — Boga!” Napisane również podobno w Chatajngrodku dwa utwory: „Wanda” i „Mysza wieża” nie dochowały się. Na dwa miesiące przed śmiercią rozpoczął Groza druk nowego pisma zbiorowego p. t. „Rocznik”, gdzie chciał zamieścić opuszczone jeden akt „Twardowskiego”, uzupełniający całość utworu i wyjaśniający jego ideę zasadniczą. Do wykonania tego przedsięwzięcia, jak również i uskuteniczenia zamierzonego 10-tomowego wydania pism, nie przyszło: prace te przerwała śmierć w 1875 r., w 68 roku życia.

Groza wyższego talentu nie posiadał: nie miał tej płomiennej wyobraźni swych wielkich mistrzów, Mickiewicza i Goścyzińskiego, przetapiającej szczerą kruszec wspomnień rodzinnych, podań miejscowych, pieśni i legend ludu ukraińskiego i białoruskiego w metal szlachetny, nie umiał tworzyć z nich kunsztownych kształtów istotnych dzieł sztuki. Utwory Grozy dziełami sztuki, mimo zachwytów Grabowskiego i publiczności współczesnej, nie są: dłuższe — greszą rozwickłością, rozbieżnością epizodów, brakiem zharmonii-

zowania poszczególnych części z całością, wadliwą kompozycją, mniejsze, o wiele lepsze, nie posiadają dostatecznej plastyki, nie utrwalają się należycie w wyobraźni czytelnika. Ale jako poeta, jeden z ostatnich, zapóźnionych przedstawicieli „szkoły ukraińskiej”, utrwalający w swych powieściach poetyckich i dalszych, z dziełami tej nieszczęśliwej krainy związanych, jako beletrysta i pamiętnikarz, odtwarzający życie dworów i dworaków polskich na Ukrainie, ciche partykularne tamtejsze i szumne kontrakty, jako obywatel wreszcie i wydawca, przyczyniający się noworocznikami swemi i działalnością autorską do obudzenia mechu umysłowego i szerzenia kultury polskiej w tej dzielnicy między rokami 1831 a 1863, Groza zasługuje na pamięć rodaków i ma osobną kartę w dziejach nie tylko piśmiennictwa, ale i kultury polskiej na kresach południowo-wschodnich u schyłku stulecia.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

Wydania zbiorowego pism Grozy nie było; daty zaś i miejsca wydań poszczególnych utworów zostały zaznaczone w powyżej podanym zyciorysie, powtarzać więc ich na tem miejscu niema potrzeby. Pisali o Grozie następujący krytycy i biografowie: Grabowski M.: Literatura i krytyka, I (1840 Wilno); tenże: Korespondencja literacka (Wilno 1842—1843); tenże: „Do p. Aleks. Grozy” („Ruben”, 1845); Siemieński L.: Charakter poezji ukraińskiej i poemata Grozy („Kilka rysów z literatury i społeczeństwa”, Warszawa, 1859); N... z „Hryć”, dramat Al. Gr. (Pismo zbiorowe J. Ohryzki, II, Petersburg, 1859; ocena „Śmiecińskiego” („Bibl. Warsz.”, 1861, III, sierpień); Nowosielski A. o Twardowskim, (Wiek 1873); Sztjmer o Grozie (Tyg. Petersb. 1873); Ordon Wł. o „Twardowskim” („Strzecha”, 1874 w Nr. 11—12, Lwów); Piłg A.: Aleksander Groza („Kłosy”, 1876); Rzechowski: Kilka słów o Aleksandrze Grozie i jego pismach („Album Muzeum Narodowego w Rapperswyłu z r. 1876”, Lwów, 1876); Zawadyński T. Al. G. (Tyg. III, 1876 V); Nowosielski A. Al. G. (Kronika Rodzina 1876); Zdziański Sł.: Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX wieku (Warszawa, 1899); Chmielowski P.: Aleksander Groza (w „Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej”); Korotyński Wł. (W. K.) Wiesz-podróżny („Kur. War., 1908, Nr. 320); Brzostowski A. R.: Aleksander Groza (w jego zbiorze p. t. „Ci, których znalazłem”, Warszawa, 1910, Biblioteka Dział Wyborowych); Pamiętniki dr. M. Gallego (Przegl. Narod. 1913).

F) Starosta kaniowski

powieść ukraińska z podań ludu (1896).

Postacią tytułową jest osławiony w dziejach Ukrainy Mikołaj Potocki, starosta kaniowski i bohustawski, bezczelny warchol i krwawy ciemniejąca ludu. Powieść Grozy przedstawia długą serog gwałtów i bezprawii tego dzwignego szewcika; jak dokonywa najazdów i toczy wojny domowe, jak kaze babie wiejskiej drapać się na drzewo i kuknąć jak kukulka, a sam strzela do niej z rusznicy, jak porywa piękną dziewiczyzną Hannę, wybraną serca swego wiernego sługi Szulaka, i więzi ją w swoim zamku i t. d. Po dokonaniu zaś tylu niokropniejszych zbrodni pod koniec życia kaje się, dźwigając z grzechów klasztor pociągowski i bojęnie go obdarza, wreszcie tamże umiera. Z tą akcją główną (grochy i pokuta Potociego) płacze się drugorzędna: krwawa i okrutna współzawodnictwo o łaski pańskie dwu zaufańców starosty: kozaka Szulaka i Żyda Arona. Nie brak wreszcie i motywów fantastycznych, wysnutych częściowo z podań ludu, poczciwi zaś z utworów naszej poezji ludowej, którym Groza wiele zawdzięcza: są więc duchy, djabły i spiry, jak u Goszczyńskiego, rusalki, jak u Zaleskiego, źle i twórczo przeczcza, jak w „Marji”. Są też widoczne ślady oddziaływania motywów mickiewiczowskich („Ucieczki”, „Pana Tadeusza”). Przycyżamy poniżej pierwszy rozdział części pierwszej, stanowiący zamknięty w sobie epizod.

Tatarskimi zagony wkoło opalony,
Kozackimi szablami wkoło poszezerbiony,
Posiwał stary zamek, jak ta stara głowa.
Co wygląda: skąd przyjdzie śmierć, co ją pochowa?
Z trzech stron wał go otaczał, a z czwartej staw długi
Podlewał, olchowymi uciekającą ługi;
Wkoło wału i stawu uleone wypasy
Ogrodziły odwieczne futury i lasy.
Na wypasach kozackie tuczyły się konie,
Jak ich pany, co, ciężkie porzuciwszy bronie
I zasiadłszy z starostą do misy, do dzbanu,
Jedli, pili, hulali od mroku do rana.
Niekiedy ze swych śmieci chętki ich poniesie
Na szajki hajdamackie, kryjące się w lesie,
Lecz to rzadko.

Dziś w zamku niezmierną ochota:
Dwieście koni w triumfie wchodziło we wrota,
Wiodło działa zdobyte i bractwów na smyczy.
Pewnie Pan Bóg poszezerzył na łatarskiej dzicy?
Gdzie tam! oto powracal zająk z Żywotowa.
Pan starosta Wyzycyka i Krasiejkę wspierał,
Zlamali Komargrodzkić, więc holdy odbierał.
Przebóg! domowa wojna... jednak bez niesławy,
Bo tą razą starosta bronil słusznej sprawy.

Choć prawem odsądzony od wszelkiej własności,
Nie chciał kniaź Czetwertyński ze swej posiadłości

Wypuścić Żywotowa, a z nim imion siła !);
 Zamek, którego Rośka oblewem broniał;
 Otoczył sporym wałem, palami osadził,
 Różnej strzelby i ludu wielką moc zgromadził.
 Nad tym ludem i strzelbą dał za pułkownika
 Na Łużnach Łużyńskiego, w wielu bitwach ówika.
 Wyżycza z Krasieckimi wiedzie pięśset koni;
 Ci dzielnie nacierają, a tamten się broni.
 Niejedna ze stron obu przez polci głowa.
 A wtem i pierwsza roku upłyne połowa,
 Możeby upłynęła naprzód i druga,
 Gdyby nie ta starosty sąsiadzka przysługa.

Z mnogimi popleczniki, w odświętnem odzieniu,
 Ochoczy pan starosta stał na podniesieniu
 I spozierał wesoło; snałby triumfował
 Tak, jak jego przodkowie, tylko że nie chował
 W piersiach takiego serca, jakie u nich było.
 Ci z sultanem rej wiedli i swoim Mohiłą
 Moldawski tron okryli, a orężem wsparli;
 Ten się cieszył, że jego kozacy wydarli
 Zameczek u szlachcica, i przed całym światem
 Rozgłaszał swoją radość dzwonów, dział wiatem.

Za harmatkami, co tam z zamku wylamali,
 Za niewolnikami, co tam na sznur nawiązali,
 Na wozie czerwokonnym, wśród dziatek kąkolu,
 Łużyński, mąż waleczny, leżał; a choć bólu
 Nie zdradził żadnym jękiem, lecz z ran, krwią kipiących
 Ze spojrzeń obłąkanych, odetchnięć gorzących,
 Znać tam wielkie cierpienie. W augustowskich czasach
 Nie na takich triumfy odnosił zapasach
 Nie takie on forteczki zdobywał i broniał
 Pułk jego ze Szmigieliskim o lepszą się goniał,
 Brzuchowiecki publicznie poklask mu uderzył,
 A żołnierz, takie cuda widząc nieraz, wierzył,
 że szatan miał z nim spółkę, bo łudkiem żelazem
 Tego zdziałać nie można. Dziś już jednym razem
 Tyle mstw, odwagi czyż pójdzie na nice?
 Po wojnach, gdyby jaką miał w spadku dzielnicę,
 Spocząłby, jako inni, na swej milej grzędzie;
 Nie miał jej, więc na dworskim musiał się urządzie.

) Żywotów, miasteczko w gub. kijowskiej, powiecie taraszczańskim
 O tym szturmie Żywotowa i jego obronie opowiadał mi starzec, naczu-
 świadek (Przyp. poeta).

I pana z Komarogrodu trzymać lud w komendzie.
 Czarne oczy w małżeńskie zawiody go stać;
 Lecz i tu przeszło szczęście, jak ślepe widziadio,
 Zmarła żona, oddawszy drobiazg mu na łono;
 Nie rozstał się z nim nigdy, i teraz wzięto
 Razem ojca i dziatwę; tak na swoim łonie
 Pająk niesie swą dziatwę. Bohaterskie skronie,
 Które niegdyś helm zdobił, stroił wieniec chwaly,
 A teraz krwią pluszczące z płazem otulały
 Dwie maleńkie córeczki drobnemi rączkami.
 Krew ojca z jego córek zlewała się łzami
 I spadała na synków, co u piersi wiszą.
 „Wstawaj, tatu!” wołają; tata piersi dyszą
 I ciężko, i powolnie; jako otów, oczy...
 A wóz, gdzie tam! — katafalk, powolnie się toczy
 Poprzed panem starostą. Ten spojrzął z uśmiechem,
 Jak na wertep zapustny, wielkanocną kozę.
 Dzielny mąż doumieriał i śmierć swoją zgrozę
 Płazem dziatek jak dzwonu rozgłaszała echem.

Była w zamku wysoka, przestronna komnata,
 Jakby jego prababka. Pożary i wojny
 Nieraz zamek na długie zabierały lata,
 A ona zostawała, jak ziarnoć na popiele;
 Z wchodzącą wiosną z ziarna odrastało ziele,
 Z tych szczątków znowu zamek wstawał w czas spokojny.
 Wieki wiekom, plemionom podając plemiona
 Tę relikwię razem w posagu dawały
 Porosłe w sławę drogie dziedziców imiona.
 Ciche wieko dębowe, cicha darń zielona,
 Zamknęły żywot pełny i cnoty, i chwaly.
 Blask życia zagasiła śmierć grobowym cieniem,
 Jednakże oni pod tej komnacie sklepieniem
 Żyli pendzlem malarza w czerstwym, młodym wieku.
 I pięknie było spojrzeć od ściany do ściany
 Na ich warowne zbroje, malowne żupy,
 Na oblicza naszemu niezwykajne czeku.
 A kiedy bracia szlachta, pokrewni, sąsiady,
 W jakiej ciężkiej potrzebie szukali porady,
 Jak do owej świątyni, kędy bóstwo mieszka,
 Prosta ich w tę komnatę prowadziła ścieżka;
 I wobec sławnych przodków orężem i głową
 ducha pokrzepiali, i radzili zdrowo.

Pan starosta przybytek tak drogi, tak świątyni
 Zamienił na piwnicę; z półek piękne sprzęty,
 Złożone z ksiąg i zbroi, wyniósł na poddasze,

A stawił roztruchany, gąsior i flasze.
 Ogromny stół dębowy o dwunastu nogach,
 Ze czterema Bachusami w czterech jego rogach,
 Osadził w samym środku. Myśliwskie zdobyce
 Ze łbów, rogów i skóry zwierzera rozlicznego
 Rozwiesił na obrazach, jakby chciał oblicze
 Zakryć każdego z przodków, by na sprawy jego
 Nie ciskali swym wzrokiem; a niemy szyderca.
 Wstyd, by czasem nie zechciał przemówić do serca.
 Raz przemówił, starosta powstał, jak mąż prawy,
 Lecz wiek winy nie zgasił jeden dziękon sławy.
 Z swą tłumną służbą-drubną wszedł do tej komnaty
 Pan starosta; natychmiast zagrzniały wiwaty.
 Bachusy z srebrnych beczek trysnęły krynicą,
 Kufel z kuflem, szklanica radzwni z szklanicą,
 Pójdą śmiechy i żarty, rozwiązane usta
 Prawią, co niesie ślina, co rodzi myśl pusta.
 W górze starosta z swymi bliższymi kompany
 Uracza się i hawi; szary koniec stołu
 Bawi się z sobą. Pija, gwarzy pany,
 Pije i gwarzy szlachta; czasami popołu
 Hukną; wiwat! i znowu każdy po swojemu.
 „Tak, wielmożny starosto! już mi samemu —
 Rzekł pułkownik Świderski — głowy nie stawało!
 Łużyński — czat wieleony! Co się nie strzelało
 Do tego piekielnika, zawsze wyszedł cało.
 Jaż nie kiep, dobrodzieju! umiem, Bogu dzięki,
 I dobrze okiem zmierzyć, i przyłożyć rękę,
 I mam takich kozaków, co dla swej igraszki
 Kulami w lot strzelają najdrobniejsze płaszki;
 A zaś do tego diabła cośmy nie strzelili,
 Zawsze pudło i pudło. Kuleśmy świecili,
 Mówią, że poświęcona kula diabła bierze;
 W niego zmierzysz i palniesz — kula jakby w pierze,
 Utonie w nim, on przeciw stoi czerstwy, zdrowy,
 Biada temu, do czujej przyceli się głowy!
 Rozgłosz szedł, że Zabokrycz, sławny sotnik w Siczy,
 Dobrze takich ichmościów, jak Łużyński, ćwiczy;
 Że znachor z niego wielki, w Turcezech wyczoony.
 Nuż ja do niego z memi niskimi pokłony,
 Nuż złotkiem pobrzękiwać! Zabokrycz się stawi
 o swoim strzelaniu cudne rzeczy prawi.
 Wtem patrzymy, Łużyński ot na wale stoi;
 Zabokrycz do ruszycy przymierzył się swojej.
 Palnął, lecz po naszymu z pudłem leci kula.
 Łużyński się naodwrót do strzelby przystala:

Huknął wystrzał — nasz sotnik już nieżywy leży.
 Wszystkie się me kozactwo po polu rozbieży,
 I sam dałem drapaką, bo z piekłem nielada!
 Klopec się, co robisz? Wtem do mnie dopada
 Jakiś Wołoszyn, w dziele puszkariskim uczoony,
 O swem z puszki strzelaniu rozprawi androny;
 Daję mu jednę; prawda, że gracko z niej strzela!
 Już nam trochę do serca przybyło wesela,
 Ale i ten, po udzie wzięwszy basarunek,
 Musiał się udać z pola do bab po ratunek.
 Gdyby nie pański Szulak, nie pańskie kozaki,
 Dotychczasabymy tylko pechali jak raki,
 Albo, nie nie zdziaławszy, wrócili do domu
 Wśród śmiechu przeciwników i własnego sromu.
 Niechaj mnie djabli porwą, jeżeli rzec mogę,
 Którędy oni w zamek znaleźli sy drogę.
 Tutaj Roška, tam kanał, pallsada, wały.
 Łużyński to nie człowiek, ale diabeł cały!
 Chytry jak lis; u niego tylko w myślach zdrada”.

Na szarym końcu Szulak szlachcie rozpowiada
 Swe z Łużyńskim sukcesą: jako z jednej strony
 Fałszywy szturm do zamku został przypuszczony,
 A z drugiej jak on koczę po grobli prowadził
 I własną ręką bramę petardą wysadził;
 Jak w starą woskobojnię Łużyński się schronił
 I do ostatek z kilku swoimi się bronił,
 A kiedy już budynek cały w ogniu płonął,
 A Łużyński, rzeć można, wszystek we krwi tonął,
 Dopiero go zabrali.

Powstał rum za drzwiami,
 Z stłkiem i hukiem ciągnion czterma kozakami,
 Wpadł jakiś szlachcie błądy, drzący, oszarpany;
 Porwała się z miejsca swoich i szlachta, i pany;
 Starosta, zobaczywszy szlachcieca, zawoła:
 „Panowie bracia! szukam u waszego koka
 I porady, i zdania, aby nie mówiono,
 Żem impetus despoła, ichmościea zwołiono
 Na gorącym uczynku: pozaw wojewody
 O tem, żem mu żydowski dwie utopił brody,
 Podrzucił mi do zamku i sam czynił na nogi;
 Zgoniono jenerala. Coż? Bracia!” — „Batogi!”
 Jedni krzyczeli, drudzy, niestyle sierdzieci,
 Co innego radzili, wrzeszczeli ci i ci.
 Po długich wrzaskach, sporach postawiono na tem,
 Że jegomość jenerał lub dostanie baten,

Lub zje pozew. Nieborak na drugie się zgłosił.
 Starosta na swe miejsca gości swych zaprosił,
 Zaszumił złoty węgryzn, zapienili miody,
 A biednemu woźnemu dano kuflę wody;
 Jadł więc swój szorstki pozew, gęsie wino chłapał,
 A każdy, kto chciał tylko, żartami go szczypał.

Wieczór się ściemnił, rzęśne światło zapalono,
 Wszelakiem jadem długie stoly zastawiono,
 Służba się uwijała, woźny pozew kończył
 I ostatnią kropelkę wody z kufla sączył:
 „Szulaku!” — rzekł starosta — „nie lubię być w długi:
 Po czasie weźmiesz cztery konie z mego cugu,
 Dobrze wóz napakujesz naszymi Żydami,
 Odwieszysz wojewodzie; niech więcej pozwami
 Nas nie obrzuca. Kto wie, czy za drugim razem,
 Jak dziś, panu woźnemu ta rzecz ujdzie plazem?
 Mogą być kryminały. Myż nibyto moi.
 A teraz, generale, marsz z moich podwoi!
 Nie wykaj więcej nosa!^a I, jasnego pana
 Woźny trzykroć pokornie ścisnawszy kolana,
 Poszedł za drzwi, ścigany szyderstwy i śmiechy.
 Wino, miód biesiadnikom dodają ulechy;
 Coraz huczniejsza wrzawa. Poczuwszy dym w głowie,
 Swe różne dykteryjki sławni gadułowcy
 Prawią jeden za drugim; starosta ochoczy
 I za boki się chwytia, i ociera oczy:
 Radość nieopisana! — A wtem dwa brytany,
 Co dotąd sobie mileżkiem leżeli u ściany,
 Zawryją przeraźliwie i pod stół się wtoczą.
 Biesiadnicy zdziwionem okiem wokoło toczą,
 Umilkną gwary, śmiechy. Brytany pod nogi
 Cisną się, warczą, skomlą z wzrastającej trwogi.
 Co to jest? — każdy pyta — co to? Przy kominie
 Stoł bładę Łużyński, krew mu z czoła płynie,
 Ręce złożył na piersiach, a oczy wyźwierzył.
 Raz jeden niemił w pana starostę uderzył,
 Drugi raz w Świderskiego, a w Szulaka trzeci.
 „Dzieci moje!” — zawołał — „biedne moje dzieci!”
 I zniknął; a wtem kozak od warty się stawił,
 O zgonie Łużyńskiego staroście objawił.
 „Co ty?” — huknie starosta — „wydziwiasz przed nami
 On tutaj był i jeszcze musi być za drzwiami”.
 „Łużyński” — przawzał kozak — „własnymi rękami
 Oczy jemu zamknąłem, za duszę pacierze
 Zmówiła kurdygarda, i dzwonnik na wieżę

Poszedł w dzwony uderzyć^e. Właśnie w tejsie chwili
 Oszwał się dzwon na wieży, smutnie popatrzyli
 Biesiadnicy po sobie, strach podniósł im włosy,
 A dzwon coraz i coraz brzmiał smutnemi głosy.

B) Mozaika kontraktowa.

Pamiętnik z roku 1851. (Wilno, 1857 r.)

Uplętnęto nam wówczas kilka godzin na przypomnieniach przeszłości. Mówiliśmy dużo o Bohdanie Zaleskim, Goszczyńskim, Grabowskim, także humańcach, tylko od nas starszych, bo oni podobno już byli w klasie czwartej, kiedyśmy dopiero zaczynali.

Objaśnialiśmy sobie fatalną katastrofę ks. Proniewicza, profesora pierwszej klasy, który odważył się dać piątoklasiście Kuflewiczowi siedm batogów, a za to dostał od piątoklasiistów na korytarzu przed pierwszą klasą plag trzydzieści. Za ten eksces połowa piątej klasy otrzymała ekskluzję ze szkół i na drogę od 30 do 40 boćkowców na osobę. Jaką tu dyplomację ks. prefekt Skibowski rozwinął, jak zbuntowaną piątą klasę upokorzył i rozgromił, opowiedzą kiedyś pamiętniki.

Dobrze pamiętam Zaleskiego i Goszczyńskiego, byli oni w przyjaźni z moim bratem Augustynem. Zaleski blondyn, twarzy białej, pięknej, oczu błękitnych, wzrostu miernego, chodził w bajówce zielonej. Goszczyński wzrostu wyższego, także blondyn, twarzy ospowatej, jak on nazywał, rabej, ale przyjemnej, oczów niewielkich, żywych. Przed naszą stancją leżał duży kamień, Goszczyński wchodząc zawsze musiał skrzesać ognia podkowiami; nosił bajówkę koloru piernikowego. O nich już w szkołach mówiono, że najlepsze wiersze pisali.

Pierwszy rok moich szkół w Humanu zacząłem pod najpomysłniejszą wróżbą. Nauczycielem domowym, czyli, jak wówczas nazywano, dyrektorem, był u nas Jan Tomaszewski (później doktor medycyny w uniwersytecie wileńskim i stale mieszkający w Humanu), łagodny, rozsądny, szlachetny, dość

że jego przyjaciółmi, którzy ciągle naszą stancję odwiedzali, byli Seweryn Gałęzowski ¹⁾, Krynicki ²⁾, Grolkowski ³⁾, Jurewicz ⁴⁾, z młodszych Goszczyński, Zaleski, Krechowicki ⁵⁾, Grabowski.

Dziesięcioletni dzieciak, przypatrywałem się i przystuchiwałem tym zdolnym, szlachetnym młodzieńcom, którzy swem życiem dowiedli, że chcieli i umieli wyższym się celom poświęcić.

Zwyczajnym miejscem do zabawy studentów w piłkę był obszerny plac, zwany Cegielnią, leżący z jednego boku murów bazylijskich. Tu widywałem Goszczyńskiego w mecie i w palancie. Piłka, silną dłoń puszczana, leciała trafnie i daleko.

Ileż razy słyszałem Zaleskiego, wiersze deklamującego, bo on przecie ciągle coś deklamował. Raz w pierwszej stancji brat mój siedział na łożku, a Bohdan Zaleski stał przed nim w pokornej postawie i deklamował; wkońcu obadwaj rzucili się sobie w objęcia, nie rozumiałem, o co im szło, ale to, co mówił Bohdan, było bardzo czułe, bo i mnie się łzy z oczu puściły; potem dowiedziałem się, że to była prośba Priama za ciałem Hektora, a mój brat prezentował Achilleśa i widać, że prośba skutek wzięła, kiedy proszący i proszony tak serdecznie się uściśnęli.

¹⁾ Seweryn Gałęzowski. Jeden z najslawniejszych naszych chirurgów-lekarzy (*Przyp. poety*).

²⁾ Krynicki, były profesor mineralogii w charkow. uniwersytecie (*Przyp. poety*).

³⁾ Grolkowski, doktor medycyny, powszechnie szanowany w Kijowie, jako umiętny lekarz i człowiek najczyniejszy (*Przyp. poety*).

⁴⁾ Jurewicz, za wczesnie zgasły, był w uniwer. wileń. zastępcą prof. anatomii porównawczej (*Przyp. poety*).

⁵⁾ Krechowicki kończył nauki w uniwer. wileńskim i warszawskim. Gruntowne i piękne artykuły, bezmiernie podawane, znajdują się prawie we wszystkich naszych pismach czasowych. Przyjaciół Zaleskiego, Goszczyńskiego i Grabowskiego. On pierwszy pisał o „Zamku kaniowskiem” Goszczyńskiego, a jego zdanie wyższa krytyka przyjęła (*Przyp. poety*).

Opracował HENRYK GALLE.

WIELOGŁOWSKI WALERY.

(1805—1865.)

Publicysta i pisarz ludowy, gorący patriota i rewolucjonista, a następnie wyznawca i szerzytel zasad katolickich i zachowawczych, urodził się 6 grudnia 1805 r. w Proszówkach nad Raba, w pobliżu Bochni, w domu swej babki, z ojca Ignacego i matki Marjanny z Wielogłowskich. Brat ojca, Kasper, prezes senatu Wolnego Miasta Krakowa, zmarł w Warszawie 1845 r. Dziecięce lata swe opowiedział w skróconym na lat dziesięć przed śmiercią utworze: „Dom mojej babki”, odtwarzającym wiernie tradycjom przeszłości życie patryarchalne dworku prozowieckiego, oddziaływujące swoją pogodą i powagą na przyszłe ideały i przekonania pisarza i działacza społecznego, zwracającego się myślą i sercem w burzliwych kolejach żywota ku „sielsko-anielskiemu” dzieciństwu, spędzonemu pod czułą opieką babki (z domu Badenianki) i rozumnej, zacnej matki. Ojciec odumarał jednynaka bardzo wczesnie. Wielogłowscy, b. Starzykoń, tegoż co i Wielopolscy, wywodzili się z Wielogłów w Sądeckiem, sąsiadujących z Wielopolem. Wzety pokrewieństwa łączyły rodzinę Walerego z Popielami. Stosunki te wprowadzały młodzieńca w atmosferę zachowawczo-katolickich przekonań i polsko-ziemiańskich tradycji. Początkową edukację jednynaka prowadził w Proszówkach wychodząca francuski ksiądz, kapelan i gubernier jednocześnie. Następnie chłopak umieszczony został w Krakowie, w pensjonacie prof. Sołtykowieza. Tutaj kolegował z Pawłem Popielem i trzema Jelowickimi. Po złożeniu egzaminu dojrzałości w 18 roku życia, wskutek śmierci ojca powrócił do domu i objął zarząd pozostawionego mu w spuściźnie Zborowa (w pow. stopnickim) i jednocześnie posłużył 17-letnią Konstancję Wesslównę, córkę starosty lubartowskiego i Marjanny z Gosłowskich, przedmiot uczyć, trwających od lat dziecinnych. Młody dziedzic dał się porwać wirowi życia hulaczczego bogatszej młodzieży szlacheckiej. Przegrzewszy w karty znaczną sumę, dał sobie słowo, że więcej do gry nie usiądzie. Mimo młodego wieku w 22 roku życia został wybrany przez ziemian kieleckich na radę dy-

rekcji świeżo powstałego Towarzystwa Kred. Ziemińskiego i, osiadłszy w Kielcach, oddał się żarliwie nowym obowiązkom. Wejwnięty jednocześnie do udziału w szerzących się po kraju związkach tajnych, zaraz po wybuchu listopadowym wszedł do służby cywilnej nowo zorganizowanego rządu, a następnie zaciągnął się do szeregów. W wojsku doszedł stopnia majora w korpusie Różycyńskiego i pozyskał krzyż zasługi. Opuściwszy kraj po upadku sprawy, utracił dobra zaborowickie (12 wsi), które podpadły konfiskacie. Nie słabnąc na duchu, mimo takiej zmiany warunków bytu, osiadł w Galicji, wziął w dzierżawę Dębno pod Tarnowem i prowadził tu patriotyczno-demokratyczną propagandę, podobno w radykalnym wielce kierunku. Towarzystwi, ruchliwy, pełen zapału, umiał sobie jednać ludzi i pozyskał wielką popularność i wpływ na okolicę. Zagrożony aresztowaniem i wydaniem władzom rosyjskim, musiał w r. 1836 bez paszportu i pieniędzy uciekać wraz z nieodstępną w złej doli małżonką, i po licznych przygodach dotarł po kilkotygodniowej podróży do Strassburga, gdzie dopiero uczuł się bezpiecznym. Spotkał tu Bohdana Zaleskiego, bawiącego tu z bratem Józefem, i kilka miesięcy spędził w tem towarzystwie. Pod ich wpływem, a głównie przez nawiązanie bliższych stosunków i korespondencji z Bohdanem Jańskim (od r. 1838), odrodzicielem ducha chrześcijańskiego i katolicyzmu wśród emigracji, Wielogłowski z radykalnego demokracja staje się chrześcijaninem-katolikiem. W pięknym liście, poslanym z Wersalu, do przebywającego w Alzacji Wielogłowskiego, stara się Jański hamować zapaleńca, krańcowego zawsze w swych uczuciach i przekonaniach. „Jako poseł i reprezentant całej naszej duchowej rodziny z tyłu i tak szanowanymi braćmi z kraju, staraj się, żeby ciągle mówiła przez ciebie Charitas. Strzeż się egzagerowania naszych przedsięwzięć i co powiesz, mów w duchu najszerszej pokory chrześcijańskiej, prostoty i nieograniczonej ufności nie w naszych siłach, ale w Bogu, w duchu ścisłej, rzetelnej prawdy”.

„I rzeczywistość i roztrpność radzi, żeby prócz uczuć patriotycznych i narodowych — nie szukać dla nas żadnej politycznej roli — nie wchodzić w żadną utarczkę ze stronnictwami, ale główną rzeczą jest prowadzenie życia chrześcijańskiego, o ile można doskonałego, a to bez względu na stan duchowny czy świecki, małżeński czy bezenny, tę lub inną profesję. Dekładamy wszelkich sił i środków ku naprawie naszych współbraci. Gdy wszyscy zatopieni w interesach i pasjach — my starajmy się łączyć ku obronie prawdy, mimo naszej słabości i niedoskonałości. Nie powinniśmy wchodzić do żadnej partji, czy demokratycznej czy arystokratycznej, bo w obu stare natchnienia, stare myśli niechrześcijańskie”. — Mimo najgorętszego uwielbienia dla swego mistrza, którego degląda w chorobie śmiertelnej, nie pozostanie Wiel. wiernym jego mądrym i wzniosłym radom. Krańcowość w przekonaniach, gwał-

towność i wojowniczość w ich propagandzie i obronie cechować go będą aż do śmierci. Po zgonie Jańskiego, pod wpływem i za przykładem Mickiewicza zostanie uczniem Towiańskiego, lecz wystąpi z koła, skoro przekona się, iż kościół nie uznaje tej nauki. W tym czasie odbył z żoną pielgrzymkę do Rzymu i miał sposobność na przyjęciu u papieża udzielił Grzegorzowi XVI szczęgłów o ciężkim stanie katolicyzmu w Polsce. W czasie tego pobytu córce, k. Wielogłowskich zachorowała niebezpiecznie i przez przywołanych lekarzy uznana została za konającą. Zrozpaczony ojciec biegnie do pobliskiego kościoła augustjanów i, zastawszy tam świeżo wprowadzone nabożeństwo majowe ku czci Matki Boskiej, robi ślub, iż w razie ocalenia dziecka postara się zaprowadzić je w Polsce. Wróciwszy do domu, zastaje córkę śpiącą spokojnie po przewyciężeniu przez organizm choroby. Spędziwszy czas jakiś w różnych miejscowościach Francji południowej, wraca Wielogłowski do Paryża, gdzie zakłada dom komisowy. W swoim skromnym mieszkaniu gromadzi on co czwartek przedstawicieli różnych kół emigracji. Pod wpływem prądów demokratycznych, radykalnych, rozwijających się wśród emigracji i w kraju, przed wypadkami r. 1846, które rzuciły tak jaskrawe światło na tę propagandę, pisze Wielogłowski i ogłasza w jesieni tegoż roku swą pierwszą pracę: „Polska wobec Boga” (Paryż 1846). Książka ta jest wynikiem wieloletniego procesu ścierania się w gorącej, wrażliwej duszy autora różnorodnych przekonań i ideałów, którym kolejno holdował. Proces ten zakończył się stanowczym zwrotem do wierzeń katolickich i przekonań zachowawczych. Osnowę książki stanowią rozważania religijno-moralne nad pytaniami polityczno-narodowymi. Rozstrząsa on tu właściwość charakteru narodowego, śledząc w nim kolejno objawy siedmiu grzechów głównych. Rozdziały o lenistwie i zazdrości wyróżniają się prawdą i doniosłością spostrzeżeń i sądów. Zajmując wysokie stanowisko moralne, z równą surowością piętnuje błędy i występki tak arystokracji, jak demokracji. Przy prawowierności katolickiej czuć jednak wpływ „Książki pielgrzymstwa” i pojęć „Przedświata” i „Palniodów” w upatrywaniu idealnej doskonałości w Polsce wieków dawniejszych (przed w. XVI), zawdzięczającej to szczególnej łasce Boga, z której utratą wskutek osłabienia wiary nastąpił upadek Rzeczypospolitej. Rewolucja r. 1848, którą przeżył Wielogłowski w Paryżu, otworzyła emigrantom polskim wstęp do Galicji i Poznańskiego. Wielogłowski przez Brukselę, gdzie korzystał z gościnny w domu generała Skrzyneckiego, udał się do Wrocławia i tam, spotkawszy się z kilku rodzinami spokrewnionemi z nim, udał się z całym tem kołem do Altwasser, na Śląsku, gdzie napisał książkę: „Emigracja polska wobec Boga i Narodu” (Wrocław 1848, str. 232), poświęconą gen. Skrzyneckiemu. Jest to owoc rozmyślań i doświadczeń, zakończonych okresem życia emigracyjnego. Podniosłość stanowiska religijno-

narodowego łączy się tu z trzeźwością pojęć i sądów. Przy poparciu Pawła Popiela, dawnego kolegi szkolnego z zakładu Soltykowicza, — który przebywał współcześnie w Altwasser, — uzyskał od Goltchowskiego, świeżo mianowanego namiestnikiem Galicji, pozwolenie powrotu w strony rodzinne i osiedlił się w Krakowie. Pierwszym czynem po powrocie było spełnienie ślubu, wykonanego w Rzymie. Z pobudki Wielogłowskiego duchowieństwo krakowskie zaprowadziło w r. 1849 nabożeństwo majowe w kościele P. Marji. On zaś wydał książkę „Nabożeństwo majowe”, Wrocław 1849) z odpowiedniami modlitwami i pieśniami. Pożar Krakowa w r. 1851 stał się bodźcem dla społeczeństwa, rozpoczynając Wielogłowski różnorodną działalność obywatelską i przedsiębiorczą. Zakłada Towarzystwo Szuk Pięknych, któremu, jako sekretarz, aż do śmierci kieruje energicznie, waleczną z powszechną wówczas obojętnością dla sztuki i niewiarą w możliwość rozwoju sztuki polskiej. Zajmuje się również gorliwie zbieraniem składek na dom Towarzystwa Naukowego, budzącego się wtedy do życia. W związku z tym Towarzystwie Rolniczem zostaje dla swej energii i starania powołany na członka komitetu. Z jego inicjatywy i starania powstaje szkoła rolnicza w zakupionym na ten cel Czernichowie. Świeżo powstała rada miejska krakowska na w. Wiel. pracowitego, skąd go do inicjatywy, członka. Jednocześnie zakłada dom komisowy, zakład picia wód mineralnych na Plantach, litografię i księgarnię nakładową dzieł katolickich. Wydaje dzieła Dieduszyckiego (Zbigniew Oleśnicki, Piotr Skarga), pisma ks. Antoniewicza, „Podróż na Wschód” Manna, Kazania ks. Goliána i długi poczet książek treści religijnej, dla ludu przeważnie. Nie wyczerpany w pomysłach, mających na celu podniesienie kulturalne życia narodowego, projektuje urządzenie wystawy przemysłowej na Błoniach krakowskich, żeglugi parowej na Wiśle. Kupiwszy pod Krakowem wieś Rybnę, nawiązuje z ludem przyjazne stosunki i umie sobie tak ująć wieśniaków całej okolicy świadczącymi im przysługami, że go przez długi czas w latach późniejszych będą wybierać na posła do sejmu. Zetknięcie to z ludem pobudzi do pracy nad szerzeniem oświaty przez rozwój piśmiennictwa ludowego. Zakłada szkołę w Rybnie, projektuje sobie wydanie taniej książeczki do nabożeństwa, kilkokrotnie, po cenie sprzedawanej, którą w miljonie egzemplarzy rozszedła się po Polsce, sigła Śląska i Łużyce.

Młodziency demokracizm, przekształcający się stopniowo pod wpływem chrześcijańsko-katolickich przekonań i uczuć wieku dojrzałego, zwraca teraz działalność Wielogłowskiego ku oświecaniu i umoralnianiu ludu. Jako autor licznych i wielką popularnością cieszących się książeczek ludowych, był on w swoim czasie naj-

wybitniejszym i najzasłużeńszym pracownikiem na tem polu, pokrewnym duchowo ze współczesnym mu ks. Antoniewiczem, a po części i z ks. Janem Koźmianem. W przeciwstawieniu do działalności demokracji ówczesnej i jej doktrynerskiego radykalizmu, działacze powyżsi są pionierami późniejszej demokracji chrześcijańskiej. Rok 1846 popchnął ich do pracy w tym kierunku, a praca ta znalazła moralne, a stopniowo i materialne poparcie społeczeństwa i rozszerzy się stopniowo na cały obszar ziem polskich. Ks. Antoniewicz rozwija między r. 1846 a 1852 niezamordowaną działalność misjonarską i oświatową wśród ludu polskiego w Galicji, a od r. 1848 na Śląsku i w Wielkopolsce, jednocześnie zaś w Krakowie rozpoczyna Wielogłowski działalność swą jako pisarz i wydawca różnorodnych książeczek, kalendarzy dla ludu tudzież obrazków życia ludowego, odtwarzających różne postacie ludowe i warunki ich życia dla poznajomości klas wyższych z potrzebami i położeniem ludu. Najważniejszym i największym rozmiarami z tych obrazków jest „Komornia czyli tajemnice życia wiejskiego” (Kraków, 1862, str. 384). Jest to obraz ciężkiej doli bezrolnych komorników, odtworzony ze znajomości życia ludu i jego mowy, lecz pozbawiony artyzmu i głębszego wniklecia w dusze wieśniacze. Dla rozbudzenia ducha katolicko-polskiego wśród klas wyższych ogłasza książkę: „Polska na drodze pokoju i miłości” (Kraków, 1850), wydaje cały szereg książek do nabożeństwa, książek religijno-moralnych oryginalnych i tłumaczonych, kalendarzy, noworoczników. Wspomnienia swego dzieciństwa bierze za materiał do obrazka „Dom mojej babki”, obejmującego pod serażą całość zapowiadającym tytułem: „Zwidy świata i ludzi” tylko część I od r. 1800 do 1816 (Kraków, r. 1856, str. 425). Jednocześnie prowadzi Dom Handlowo-Komisowy interesów ziemiańskich. Pośredniczy w sprzedaży zboża i produktów wiejskich na rynkach niemieckich, sprowadza z Anglii maszyny i narzędzia rolnicze. Brak fachowego przygotowania, nieakuratność ziemian w dostawie sprzedanych produktów i wypłatach należności przeszkadzały do pomyselnego rozwoju tego przedsiębiorstwa. Rozwijające się po wojnie włoskiej (1859) życie polityczne w Galicji i współczesny ruch na obszarze ziem polskich w granicach państwa rosyjskiego pobudzą Wielogłowskiego do czynnego udziału i zabierania głosu. Kwestja rzymska i wywołany przez nią adres katolików polskich do Piusa IX, broniący władzy świeckiej papieża wbrew pragnieniom i dążeniom patryjotów włoskich i opinii publicznej, sympatyzującej w Polsce z temi dążeniami, ściągają na Wielogłowskiego, jako jednego z promotorów adresu (Paweł Popiel, M. Mann, Adam Potocki, Leon Rzewuski), pigmo wstecznika i ultramontanina. Potępienie przeważnej części ówczesnego ogółu oświeconego wywołało w duszy namiętego i skłonnego do krańcowości działacza oburzenie i nienawiść dla przeciwników, a więc i potępienie dla

rozpoczynającego się wtedy ruchu narodowego, który, choć nie wywieszał hasel rewolucyjnych i przybrał poważny, religijny charakter, to jednak wiązał się dążeniami i sympatjami ze współczesnym, za podjęcie i wzór mu służącym, ruchem włoskim wyzwolenia i zjednoczenia całej Italii. Garibaldi silniej oddziaływał na wyobraźnię i serca polskie, niż rozważny kierownik i główny twórca jedności włoskiej, Cavour. Stąd w kwestii rzymskiej sympatje ogółu, niezdołnego pojmwować doniosłości tej sprawy dla kościoła, zwracały się ku dążeniom włoskim. Zajęte w tej kwestii stanowisko zachowa Wielogłowski z całą wyżyką mu bezwzględnością i krańcowością i wobec ruchu narodowego polskiego, w którym będzie widział pojaw i wynik dążeń i uśłowian rewolucyjnych, radykalnych, zagrażających przyszłości narodu, zaczynającego się normalnie i żywiej rozwijając i brać do pracy kulturalnej, dzięki przyjaźniejszym warunkom, wytwarzającym się w Austrii i Rosji. Stąd za główny obowiązek obywatelski uważa on teraz walkę z ruchem patryjotycznym, przyjmującym postać szeroko rozpościerającej się organizacji tajemnej, mającej na celu przygotowanie zbrojnego wybuchu. W wydawanym przez siebie tygodniku — a w końcu miesięczniku — „Ognisko” (1860—1865), poświęconym sprawom rolnictwa, przemysłu i handlu, sztuki i rzemiosł, tudzież w „Kalendarzu dla rodzin katolickich” występuje przeciw rosnącemu gwałtownie ruchowi i jego rozmaitym objawom, walcząc bronią ironji, satyry, ostrzegając przed zgubnymi skutkami środków rewolucyjnych, potępiając rolę, jaką w ruchu odgrywała niepełnoletnia młodzież i kobiety, piętnując zamachy w r. 1862 i terrorystyczne środki, stosowane w późniejszej fazie ruchu zbrojnego. W „Kalendarzu” z lat 1862 do 1864 umieścił trzy części swego „Dramatu spraw obecnych”, odtwarzającego w formie dramatycznej, w szeregu postaci charakterystycznych, cechy ułamku ruchu ówczesnego (od 1861 do 1864). Bezwzględnością swych wystąpień i potępień wywołał w rozamiętnionych i przeczulonych duszach ówczesnych oburzenie i potępienie. Nawet przedstawiciele konserwatywnego obozu uważali wystąpienie Wielogłowskiego za niewłaściwe, przedwczesne cenajmniej. W liście, pisany na kilka tygodni przed śmiercią, wyraża on zamiar opuszczenia Krakowa, gdyż widzi, iż praca jego jest bezskuteczna, a „współwierzcy polityczni dobrzy ludzie, ale trwożliwi, poświęcają prawdę, umizgając się do popularności... Widzę z boleścią, iż idzie społeczeństwo w przepaść, bo brnie w nieprawości ducha i zatrute jest w sercu”. Wzburzenie opinji, drażnionej ostrością ataków i szyderstw publicysty, poniewierającego ówczesny patryjotyzm na podstawie bolesnego doświadczenia, nabytego przez udział w wypadkach 1831 i 1848, wyraziło się wreszcie zriewagą, wyrządzoną Wielogłowskiemu na ulicy. Wywołana przez to zajęcie silna gorączka sprowadziła, w trzy dni później (4 czerwca 1865 r.) śmierć osamotnionego głosiela idei, które przecie w Krak

po jego zgonie zaczęła zyskiwać sobie uznanie i poparcie w umysłach nie tylko przeciwników, ale i niedawnych uczestników dogasającego wtedy ruchu. Powstający w r. 1866 „Przegląd Polski” podejmie, tylko w zmienionych warunkach i nastrojach ogółu, idee, głoszone przez Wielogłowskiego, adres sejmu galicyjskiego uczyni z nich sztandar dla powstającego wtedy stronnictwa konserwatywnego, a „Teki Stańczyka” będzie posługiwać się, z większą może ciętością i ironją, argumentami, jakie sęlażyły wybuchy oburzenia i gromy potępienia na redaktora „Ogniska”.

BIBLIOGRAFJA.

Ani zbiorowego wydania pism, ani pośmiertnych wydań (z wyjątkiem dziełka „Kraków przed 40 laty”) nieogłoszonych za życia utworów Wielogłowskiego nie było. Ponieważ w ciągu biografji nie można było omawiać długiego szeregu licznych, mniejszego znaczenia zwykle, prac i broszur, książeczek ludowych, niedostępnych przytem piszącemu, bo nie znajdujących się w księgozbiorach warszawskich, przeto podajemy tu możliwie pełną bibliografię, wedle charakteru pism rozklasyfikowaną, mającą dać obraz różnorodnej a obfitej działalności tego publicysty i pisarza ludowego.

A) Polityczno-moralne: „Polska wobec Boga” (Paryż, 1846), „Emigracja polska wobec Boga i Narodu”, (Wrocław, 1848 u Schlettera, str. 232), „Polska na drodze pokoju i miłości” (Kraków, 1850 r., 2 wyd. 1865 r.), „Wesłechnienie pobożne za dynastją Czartoryskich w Polsce, posłane z ziemi ucieisku do synów jej w rozproszeniu” (Paryż, w księg. słowiań., 1840, str. VIII i 192), „Godła rewolucyjne wobec prawdy” (Wrocław, Storch, 1849 str. 44), „Dramat spraw obecnych w kilku odsłonach” (Kraków, 1863, część I, str. 61, część II, 1864, str. 106, dalszy ciąg 1864, str. 84, część III 1865, str. 108).

B) Obrazy obyczajowe: „Trzy powieści moralno obyczajowe” (Kraków, 1853), „Zwiady świata i ludzi. Oddział I od r. 1800 do 1816. Dom mojej babki — Kraków 1856, str. 425, „Jarmark w Dobrowej” w trzech obrazkach (Kraków, 1857, str. 97), „Obrazek wiejskich rozkoszy. Zaiwo dworskie”, (Kraków, 1857, str. 94), „Obrazek oderwany. Pisarz prowentowy, kucharz, lokaj, panna” (1857), „Obrazki z obyczajów domownictwa wiejskiego” (gospodyni, fornale, dziewczki), przypisane braci Szlachcie (Kraków, 1857, str. 223), „Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego” (1856—1857, zeszyt 7, 2-e wyd. 1857, trzecie w tomie jednym), „Jedynaczka czyli walka uczucia z racłąbą”, powieść (Krak. 1858, str. 316), „Kucharki, obrazek z obyczajów domownictwa wiejskiego” (Krak. 1858, str. 102), „Komornica, czyli tajemnicie życie wiejskiego” (Krak. 1862, str. 384, trzecie wyd. Lublin, 1908).

C) Gospodarczo-przemysłowe: „Plan do Towarzystwa Akcyjnego w celu założenia kapieli w Soleu” (Kraków, 1830, str. 8), „Bekanntmachung von der Mineralquelle zu Solec” (Breslau, 1830), „Kalendarz rolniczo-przemysłowy na r. 1859” (Kraków), mieszczący rozprawy o miłości ziemi rodzimnej, szkole rolniczej w Czernichowie i Banku rolniczym. Zapewne ta sama rozprawa wyszła r. 1860 osobno p. t. „O potrzebie banków rolniczych”; „O szkole politechnicznej i górniczej” (1861), „O żebractwie” (1861), „Kraków jako główne targowisko zbożowe” (1860, str. 58).

D) Różne treści: „Kościół krakowski (staloryty z opisem, Krak. 1855, w 12-ce), „Kościół św. Katarzyny w Krakowie”, (Krak. 1858, str. 110), „Kraków przed czterdziestu laty” (wyd. pośmiertne, dopełnione przez L. Siemińskiego — Krak. 1871, nakł. Jaworskiego, str. 298), „O poruszaniu i wróżbiarstwie stolów” (Krak. 1853), „Pożary”, obrazek (1859), „Historja o komecie” (1857), „List pisał z gmin wiejskich do wyborców” (1861), „Wiadomość o sejmie galicyjskim” (1861), „Groszówka czyli nauka czytania dla wiejskich dzieci” (Krak. 1863, str. 56), „Groby polskie w Irkucku” (Krak. 1863, str. 72), „Podróż do Rzymu i Paryża w r. 1861 odbyta przez Feliksa Borunia” (1862 i 1890), „Podróż na szeroki świecie” (1864), „Lalka od dziadunia” (Kraków, 1856, str. 104, 2-e wyd. 1868), „Medycyna wiejska” (1859 i 1865). Wielkie powodzenie miała: „Niewiasta” (Krak. 1855 — piąte wyd. 1860).

E) Książki treści religijnej: „Nabożeństwo majowe” (Wrocław, 1849, str. 516), „Książka do nabożeństwa katolickiego” (Kraków, 1851, str. 261, 2-e wyd. 1861, 3-e wyd. p. t. „Ofiarzyk mały polski”, Krak. 1862, str. 282), „Modlitwy i obchody kalwaryjskie” (1851, str. 216), „Książka parafjalna rzym.-kat. nabożeństwa” (1858, str. 450), „Ofiarz rzym.-katol. nabożeństwa” (1859, str. 404), „Ofiarzyk rzym.-katol. naboż.” (1859, str. 285), „Żywoł błogosi. Andrzeja Boboli” (1853), „Żywoł Najsw. Panny Matki Zbawiciela” (1856), „Poczet świętych i błogosławionych patronów polskich” (1858, ze stalorytami, wyd. 2-e 1862), „Żywoł panny de Lamourous, zw. Dobrą matką, założycielki i przełożonej w Berdeaux”, tłum. z francusk. (Kraków 1858), „Pokarm duchowny dla młodzieży katolickiej” (1862, 1867), „Pokarm duchowny dla małych dzieci” (1868, str. 126), „Święty Łyzdor oracz za wzór rolnikom podany” (Krak. 1863, str. VIII i 144).

F) Kalendarze i czasopisma: „Kalendarz dla rodzin katolickich” (od r. 1854 do 1865 przez lat 12. Tu pomieszczał w latach: 1863, 1864 i 1865 swój „Dramat spraw obecnych”, „Noworocznik katolicki dla dam na r. 1855”, (str. 140), „Kalendarz rolniczo-przemysłowy na r. 1859”, „Ognisko”, pismo tygodniowe, poświęcone interesom rolnictwa, przemysłu, handlu, sztuk i rzemiosł” (od r. 1860 do 1 lipca 1861 — wznowione od 1 stycznia 1862, wycho-

dziło później w zeszytach miesięcznych i przybrało charakter polityczny, przestało ukazywać się w r. 1865 w jakimś czasie po śmierci redaktora).

Biografie Wielogłowskiego wkrótce po śmierci ogłosił Ludwik Dębicki w „Kalendarzu na r. 1866” (Kraków). Obszerne, pamiętnikowe, dalekie od ścisłości, wspomnienie pomieścił tenże sam pisarz w książce: „Portrety i sylwetki z dziewiętnastego stulecia” (Lwów, 1905, od str. 28 do 114). Znaleźć można też szczegóły o Wiel. w listach Andrzeja Koźmiana.

Emigracja polska wobec Boga i Narodu.

Str. 204—217.

Rozdział X.

Wczoraj, — dzisiaj — i jutro.

Zdać sobie rachunek z tego, co było wczoraj; wiedzieć, co czynić dzisiaj, — przeczuć, co będzie jutro — oto jest cały rozum człowieka, zajmującego się politycznym w kraju działaniem. Czyli wyraźniej: Znać pierwotne i plemienne źródło narodu, a zarazem jego słowo twórcze, — pojmnąć też usposobienie kraju w chwilach obecnych i drogę, na której się społeczeństwo rozpadziło, — a z tych dwóch prawd naukowych domyślać się trzeciej — przyszły kraj przeczekać... oto jest drogowskaz dla tych, którzy rządzą, lub którzy posiadają w narodzie przewagę.

Lecz niestety! Dzisiaj (w całym świecie podobno), a tem bardziej w Polsce: mało kto wie, skąd wyszedł, gdzie ma iść i gdzie zajdzie? Jedni wprawdzie znają przeszłość, bo z niej i w niej wyrosli, w niej jeszcze całem jestem żyją; lecz, nie pochwywszy w czasie obecnym wálka dalszego rozwoju myśli ludzkiej, ani zapuściwszy wzroku w krainę przyszłości, kończą bezowocnie na granicy nowej epoki żywot swój moralny i wśród bólesci skonania żadnej już nie mają siły ani odwagi.

— Nie patrzą oni na zmiany jako na kolebkę nowego porządku, ale raczej jak na grób otwarty dla całej ludzkości. Nie widzą odrodzenia się w nowej latorosi, ale śmierć dostrzegają w starym pniu społecznym. — A stąd sami przerażeni: sięją też wszędzie strach i obawę; sami o wszystkim wątpiący,

roztrącają zaufanie powszechne; i jak ptaki przed burzą, zapelniając powietrze rozpaczliwym piskiem, nie umieją ciężkiej nad światem odwrócić chmury, ale w błędnym i nieoznaczonym polocie sami się płaczą i giną.

Inni zaś jako proste najemniki teraźniejszości: nie nosząc na sobie tradycji narodowej i nie czerpiąc z przeszłych dziejów szlachetnego natchnienia do sprawy wieku, ale jak niskie i ślepe narzędzia tajemnych wyroków opatrności (bez jaśniejszego w cel wyższy spoglądu) stojąc z młotem i siekierą na świata porębie, a w sążeń roztrzaskując ciało narodowe, rąbają go i piłują w trzaski i trociny, w myśli szczerzej lub nieszczerzej, że są ogrodnikami społecznego sadu i suche obcinają gałęzie, albo szczepią zraz rodzajny w dziką wieku plonkę.

Inni wreszcie: ani w gruncie przeszłości, ani na powierzchni teraźniejszych potrzeb nie czerpiąc żywiołu, kwitną pomysłami, mniej lub więcej trafnymi, przyszłych świata przeobrażeń. — Oni to prawdy odwiecznej poronione dzieci... chybione proroki, są w społeczeństwie jakby bukiet w szklance, który choć ładny i pachnie, to przecież rychło wędnieje i nie zostawia po sobie ani pożytku ani zasiewu. — A tak społeczeństwo targane jest między trzy myśli, odnoszące się do trzech kresów czasu, które zamiast płynąć jedna z drugiej, zaprzeczają się nawzajem. — Ciężkie i smutne położenie szczególnie dla Polski, którą potrójny nieprzyjaciel wewnętrzny przesładuje. — Dziwne bo też między nimi jest podobieństwo!...

Teraz zaś: abyśmy głównemu w tym rozdziale założeniu odpowiedzieli, rozberniemy ważniejsze zadania dla Polski i dla emigracji ze względu na: wczoraj, dzisiaj i jutro.

Wiara.

Wiara chrześcijańska — katolicka w przeszłości narodowej była słowem twórczem, urządzającym i łączącym nas w społeczeństwo, była więc źródłem życia, porządku, siły, postępu i jedności i stała się panującą: bo jakiejżeby myśli, jeśli nie

Bożej (w narodzie, który w Bogu jest poczęty) panowanie się należało?... — Ale później wiara nasza słabła, a my, zniżając się w duchu, staliśmy się ludźmi obrzydka, a nie wiary. — W czynach gorszący, w mowie puści, zuchwali i kłamcy, tradyliśmy wiarę naszą i miłość, a zachowaliśmy tylko wiedzę i tytuł. Dlatego to z wystudzeniem miłości wiara nasza cierpka, nie pobłażająca i przesładowca dla innych wyznań (przy myśli polskiej się wiążących), odstąpiła ich i od wiary i od Polski.

Dzisiaj niema żadnej wiary w Polszcze: a chociaż są ludzie jeszcze wierzący, to w ogólności społeczeństwo niereligijne. — Duchowieństwo jest upadłe, poniżone, zależne i nieoświecone. Większa część służy nie tylko rządowi, ale i wszelkiej innej wyższości ziemskiej, lub też poddaje myśl Bożą opinjom wieku. Zniża się ze wzgórze wieczystych w świecie przeznaczę do padolu dziennych zwad ludzkich i teoryj wędrownych. — Chce to niby znaleźć się w postępie, a rzeczywistość jest w upadku. — Dlatego też nie ma u ludzi ani szacunku ani budzi w nich wiary, ale piastując tylko urząd duchowny, wyrzeka się pasterstwa dusz i świętego kapłaństwa. Rządy są pogańskie, a gorzej jeszcze: bo judaszowskie. — One to, ciemiężąc kościół, udają fałszywą wiary protekcją. — Panowie są rozpustni, a lud idąc za przykładem: rządów, księży i panów — stracił wiarę serdeczną, a nie nabył rozumowej i został bez żadnej zasady religijnej.

Jutro wiary przewidujemy szczęśliwsze: ale nie na tej już drodze, co pierwiej. Religja katolicka będzie wprawdzie panującą, ale w skutku wolnością, a nie urzędowego lub duchownego przymusu. Będzie panującą, chociaż nie rządzącą, i wpływać tylko będzie na społeczeństwo jako prawda, w zupełnej wolności ducha przyjęta. Stanie się ona owszem rozwiązaniem niewoli duchowej, będzie oświeceniem i uświeceniem sumienia, ale urzędową nie będzie doktryną, służącą jak dotąd rządowi do uciemniania ludów, a ludom do rokосу przeciw władzom. Bogu bowiem poddani wszyscy być powinniśmy, ale Bóg w służbę iść nie może, ani do rządów, ani do ludów.

Pragnąc przeto wolności sumień dla wszystkich, postara się najprzód Polska o wolność dla wiary katolickiej, — o swo-

bodne jej rozwijanie się przez słowo-pismo i naukę, o uwolnienie duchowieństwa z pod jarzma zależności od władz cywilnych, o wolność dla stowarzyszeń duchownych i świeckich, słowem: o swobodę dla rozwoju myśli Bożej na drodze moralnej i religijnej, a razem: znajdzie środki, iżby młode duchowieństwo w zakładach, na ten cel przeznaczonych, zupełniejsze i wyższe odbierało wychowanie. Inne, a nader ważne pod tym względem przeczecia w tej chwili podać nie mogę, a dziś się tylko o wolność dla sumień naszych przedewszystkiem upominając, winszować będę narodowi, jeśli wolność od wiary i wiary od wolności nie odłączy. Co się tyczy Emigracji, zdaje nam się, iż ona, zaniedbawszy się z początku w obowiązkach religijnych — a chwilejąc się dzisiaj między wspomnieniem fałszu a przeczeciem prawdy, niezadługo już oburącz uchwyci się kotwicy wiary i w najwyższej przed Bogiem i narodem stanie zasłudze. Jakaś tajemnica Boża ukrywa się wśród tej emigracji; tajemnica, która leży pod głębokimi warstwami myśli napływowych. Ale niechżeby się kiedy jak w arcyżyjskiej studni dokopała dna swoich przeznaczeń, a ręczymy, iż z niej tryśnie bogaty zdroj prawdy na cały naród — a może i na wiele narodów.

Władza świecka.

Wszelki urząd w Polsce płynął dawniej z jednego tylko pojęcia ojcowskiej Boga nad światem władzy, a tem samem był w naturze swej patriarchatem:

Król był ojcem narodu, tak jak szlachcic, będąc królem swojej wioski, był także ojcem włościan swoich. Stąd to i tytuły, dawane z początku władzom świeckim, odnosiły się do ojcostwa jak do potęgi. I tak np. królowi mówiono „Miłościwy Panie“ a do szlachty: „Jego Mość“ czyli, „Jego Miłość“. Widzimy dotąd jeszcze pomiędzy ludem, iż włościanin, żądając jakiej pomocy lub rady, tak się odzywa: „Udaję się najprzód do Boga“, a potem do Pana, jako do Ojca!! Słyszałem również wielu właścicieli wsi, nazywających włościan swoich dziećmi i mówiących np. „Szczęść wam Boże, dzieci“ i t. p.

To ojcostwo wszakże, które nie płynęło z krwi, ale tylko z ducha, opierało się wyłącznie na wierze i było tylko prawdą o tyle, o ile wiara urzędzała wzajemny w społeczeństwie stosunek; ale po upadku wiary i w ojcach i w dzieciach stało się fałszem, który to fałsz tak rzadcy, jak i niebaczone propagatory podniosły i przeciwko wszelkiemu zwierzchnictwu rodzinnemu obróciły.

Dzisiaj: niema żadnej władzy ani urzędu prawnego w Polsce, ale tylko przemoc, lub władza z buntu (która jest rodzajem przemocy, jeno mniej porządnej, a więcej dzikiej). Stosunek ojcowskiego zwierzchnictwa skończył się u góry z ostatnim królem polskim, a stosunek szlacheckiego ojcostwa skończył się z pierwszym słowem, wyrzeczonym do włościan „bierz“, a ze słowem zbójcekiem, wyrzeczonym przez władze obce: „rznij“. Te dwa wyrazy, powiedziane na ziemi polskiej, odbiły się żalobą w niebie, a w piekle radością, bo panowanie Boże zniżyły, a podniosły rząd szatana i, tem samem zgasiwszy w sumieniach światło Boże, oświeciły Polskę pochodnią, w ogniu zawiści zatłoną. I od tej chwili skończyły się ojcostwo i braterstwo, a stanęli wobec siebie sknery i rabusie, a w środku nich obce szatany jako szczwacze, a pod nimi kałuża krwi, a nad nimi przekleństwo Boże. I stanęły dwa obozy, z których jeden wyobrażał przeszłość niepowrotną, a drugi przyszłość zwichniętą. Kto się zaś do żadnego z tych zastępów nie zaciągnął, skrył się i uchylił, aby siebie ratować, choćby kosztem Polski: a przeciw powinien był stawić z siebie i z drugich zastęp pojednawczy w imieniu miłości i prawdy Chrystusowej, aby walczące rozbroić, a ginące ratować. Powinna się była już z ludzi rozsądnych i pocziwych, a Boga w seru mających, utworzyć siła opinia publiczna, tyle sprawiedliwa, pośrednia, ile godząca w sobie różnicę dwóch ostatnich zasad, które się do walki na śmierć wyzwały. Leż dotąd ciało polityczne, myśl pojednania w duszy piastującej, nie pojawiło się w Polsce i dlatego: przesadzone wymagania demokracji obudziły strapienszałą odwagę jakiegoś zbiegowiska upartych zachowawców, którzy z swego państwa, w próchno się sypiącego, nie ustąpić nie chcą, ale, zasłidszy na popiołach dawnych praw i przywilejów, budzą ostatniem technie-

niem szkielet swojej władzy i bronią się piśmem i belkotaną mową. Wszakże nie nie poradzą ci panowie przeciwko dokonaniu czynowi, — przeciwko duchowi czasu, — przeciwko temu, co jest dzisiaj. Demokracja panuje... przyjął ją trzeba jako niezbędną konieczność, ale poprzestać na niej nie można, jako na zasadzie wyssanej równie jak i arystokracja z ziemskiego błota, a więc niedostatecznej. Demokracja panuje... i zwyciężyła na głowę stare społeczeństwo, które się ze wszystkich cnot wyzuło, a tylko wszystkie wady przeszłości zachowując, upornie ich do dziś dnia broni. Stare społeczeństwo niech się szamoce, jak chce, to już demokracji na drodze zapasnictwa nie zwalczy... mogłaby starszyzna posunąć młode społeczeństwo naprzód (gdyby umiała), ale że nie umie, więc go też wtył nie cofnie. Cóż wszakże ta walka starego rospustnika naszej arystokracji z młodym szaleńcem wyrosłym u nas demokracji w kraju sprowadzi?... oto mężobójstwo!...

Zatną się w zaciekłości obydwa szermierze: ojciec zapomni, że walczy z synem, i syn zapomni, że walczy przeciwko ojcu. Brat młodszy ze starszym na miecze się zetną i tryśnie krew jednorodna, ze źródła rozbratu. W piekło więc dwa stronnictwa na siebie zajadłe nieszczęśliwą Polskę pędzą. A dlaczego tak jest, mój Boże! bo pogańskie jest społeczeństwo tak demokratyczne, jak i arystokratyczne. Każde z nich chce Polski dla siebie, a nie chce poświęcić siebie dla Polski. Żadne z nich nie ma miłości chrześcijańskiej, wyrozumiałości, polubowności, ale uparte w głupstwie: fałsz swój uwielbiło, a w tym fałszu siebie. Każde chce rządzić, a żadne z nich nie wie, że wedle słów Chrystusa Pana ten tylko ma prawo rządzić społeczeństwem, który szczerze, w pokorze ducha i miłości zupełnej jest i chce być sługą braci swoich. Że zaś rządy zabiorcze dzisiaj myśl demokratyczną w Polsce wzięły na swoją rękę i obracają na własną korzyść, a przeciw ją kładą na nasz rachunek i demokracją polską skutkami własnej propagandy obciążają, przeto do życzenia byłoby Towarzystwu Demokratycznemu w emigracji, jak również mała — niebezpiecznemu, ale niepotrzebnemu Towarzystwu Monarchicznemu, aby się rozwiązały, a nie dawały pozoru utrzymania w kraju

gorszących rozdrożeń. Zrobiłyby w tem rzetelną krajowi przysługę.

Jutro społecznego w Polsce układu: zaciemnia mi się w widzeniu, bo nie tylko przegradza mi go czarny obłok obcej jeszcze siły, ale tuman wewnętrznej w kraju kurzawy nie dozwala mi widzieć jasno. A przecież: jako chrześcijania rozumieć i czuć, co być powinno. Otóż do ojcostwa już królewskiego nad narodem, ani do ojcostwa szlachckiego nad ludem nie powrócimy. Stało się!... Też zasady najmoralniejszej i najwyższej, ale na prostocie tylko wiary opartej, nadużyliśmy grzesznie... i zużyliśmy ją... bo włóścian, dzieci nasze wedle ducha, zamieniliśmy na własność rzeczową i gorzej jeszcze!... Bóg więc odebrał nam władzę nad człowiekiem i chwala Jemu za to: bo z ciężaru, któregośmy nosić nie umieli, uwolnił nas; a szafarstwo, któreśmy niewiernie spełniali, także z rąk nam odbiera, rozdzielając dary swoje między wszystkie dzieci.

Ale czy dlatego, że się skończyło ojcostwo i państwo, kończyć się mają nasze względem ludu wiejskiego obowiązki? i czy koniec urzędu ma też być końcem naszych z ludem stosunków?... Nie daj tego Boże! Oh, nie daj! bo drugi grzech byłby od pierwszego cięższym i rozdział ducha stratniejszym od rozgraniczenia własności! Szafunek dóbr materialnych odebrał nam Bóg, ale szafunek wyższych rzeczy jeszcze przy nas został. Wiele i bardzo wiele dać ludowi możemy; dużo więcej jak ziemię: bo miłość naszą, bo uczucie braterskie, — bo oświatę — i ducha polskiego a rycerskiego, któryśmy wiekową pracą wykształcili. Ojcami więc i panami już nie będziemy, ale starszymi braćmi długo nam jeszcze być należy;... a stąd też: już nie krzyżem ludu, ale tragarzami krzyża ludowego staniemy się. I w ten to tylko sposób da się zawiązać nowy, wolniejszy, a swobodny, bo w braterstwie chrześcijańskim poczęły stosunek.

Nie żałujmy więc tego, co było, ale uczmy się zastosować do tego, co jest i co będzie, i postępujemy tak: iżby lud, jako nasz brat młodszy, dorastał i wychowywał się przy pomocy naszej do tej towarzyskiej i obywatelskiej równości, która już w drugim pokoleniu stawić go może w pełnej sile tak moralnej, jak i politycznej.

W rzeczy zaś narodowej: gdy lud nie może nam już być narzędziem, ale tylko współpracownikiem, lub nieprzełamaną przeszkodą, przeto nie wyzywajmy go zawczas, nie bądźmy mu natrętnymi w duchu,... ale dając sami z siebie przykład miłości naszej i poświęcenia się dobru powszechnemu, mniej dbajmy o formę, ale się pytajmy, jaki duch sumieniem naszym rządzi? Albowiem szatan nad świętymi panować nie może, ale tylko rozsiada się w grzesznym społeczeństwie. Bądźmy więc świętymi, a przynajmniej sprawiedliwymi, i zaprowadźmy u siebie w duchu rząd miłości i prawdy, a Boga wzywam na świadectwo, że szatanom berło z rąk wypadnie i władza będzie doskonała, bo pochodząca z ramienia doskonałego narodu.



~~F. III 59 IX~~

Czyt. Naukowe
Nr III
Nr inw. C. N. 439



